

Sensacje XX wieku - Rewir

Woloszanski Bogusław



calibre 0.9.43

Bogusław Wołoszański

"Sensacje XX wieku" rewir

Nadchodził wit. Dowódca Frontu Zachodniego, Michaił Tuchaczewski, wyszedł z pokoju drewnianego domku, który od dwóch dni służył mu za kwaterę.

Nie spał tej nocy. Oczywiście nadchodzący dzień nie mógł przynieść rozstrzygnięcia. Bitwa miała trwać długo, ale podniecenie, które odczuwał przed rozpoczęciem ofensywy, i zmęczenie odpędziły sen. Przeszedł przez wśkś sień, gdzie na komodzie skulił się żołnierz.

- Nie pij, bo cię zarznś jak prosię - Tuchaczewski trścił go łokciem.

Żołnierz zeskoczył z komody. Zaczł wtykać bluzę munduru za pasek spodni, a drugś rękś gorśczkowo usiłował wymacać karabin, który zsunł się na podłogę.

- Tak jest, towarzyszu dowódco. Zmęczony... Ja tylko na chwilę głowę o cianę oparł... - mamrotał.

- Nastaw samowar. Wygasł już całkiem. - Tuchaczewski zdjł z wieszaka skórzans kurtkę, narzucił na ramiona i otworzył drzwi wejciowe. Żołnierze stojący na warcie wyprężyli się. ..Dobrze, że przynajmniej ci nie piś" - pomyślał. Miał pod komendś prawie pół miliona ludzi, ale wiedział, że ich wartość bojowa nie jest duża. Zbieranina tych, którzy uwierzyli w rewolucję, i jeszcze więcej takich, co uważali, że będą łupić polskie dwory i gwałcić polskie dziedziczki. Nie mieli dowiadczenia ani umiejętności żołnierskich, a dyscyplinę trzeba było krwawo egzekwować.

Wyszedł na wsskš, piaszczystš uliczkę. Sierpniowy wit był zimny i wilgotny.

Tuchaczewski zapišł guziki skórzanej kurtki. Postanowił pospacerować przez kilka minut.

Polacy cofali się. Uważał, że ani na moment nie można dać im odetchnšć, gdyż wówczas mogliby zorganizować rezerwy, podcišgnšć zaopatrzenie, wzmocnić obronę i przejć do kontrofensywy. Tuchaczewski był głęboko przekonany, że cała Europa Zachodnia le do Polski broń, amunicję, ochotników i prowiant.

Dlatego siły wojsk polskich szybko się odradzały i każda przerwa w ofensywie, zelżenie nacisku może kosztować Rosję przegransš.

Armie Tuchaczewskiego też rozbudowywały się. W czerwcu Front Zachodni otrzymał pięćdziesiš osiem tysięcy ludzi uzupełnienia i tym samym liczebnoć jego wojsk wzrosła do czterystu czterdziestu siedmiu tysięcy żołnierzy. Na poczštku lipca Tuchaczewski mógł wystawić w pierwszej linii dziewięćdziesiš jeden tysięcy żołnierzy i dzięki temu na kierunku głównego uderzenia jego wojska miały dwukrotnš przewagę liczebnš nad wojskami polskimi. Cišgle jednak było to za mało, dlatego też zdecydował rzucić do boju wszystkie odwody, a służby tyłowe ograniczyć do minimum. W ten sposób zyskał dodatkowo ponad pięć tysięcy żołnierzy.

O wicie 4 lipca 1920 r. wojska Frontu Zachodniego rozpoczęły ofensywę.

W cišgu siedmiu dni Armia Czerwona przełamała polski front, przekroczyła Berezynę, zajęła Ihumień. Mińsk i Białystok. Polacy ponieśli duże straty i mimo zażartej obrony nie zdołali zatrzymać armii Tuchaczewskiego. Uchodzili z pola,

ale w sposób zorganizowany; bez panicznej ucieczki wojska, które straciło wszystko i rozbite na niewielkie grupy ratowało się przed śmiercią lub niewolą. Odchodząc, wysadzali mosty i minowali drogi. W potyczkach osłonowych oddawali niewielu jeńców i zostawiali niewiele sprzętu. Zachowywali siły do ostatecznej rozprawy. Pod Warszawą mogli odbudować swoje wojska, których potęgę pokazali w kwietniu i maju 1920 r, Tuchaczewski liczył jednak, że szybki marsz jego oddziałów uniemożliwi Polakom zorganizowanie obrony i zmobilizowanie rezerw. Przed nim była Warszawa i ostateczne zwycięstwo. Wydał odezwę do żołnierzy:

Czerwonoarmiecy! (...) Wielki pojedynek rozstrzygnie. JjJsy wojny i narodu rosyjskiego oraz ludności polskiej. Wojska spod znaku Czerwonego Sztandaru i wojska łupieżczego białego orła oczekuje miertelny pojedynek. (...) Na Zachodzie rozstrzygniesz się losy światowej rewolucji. Ponad trupem białej Polski wiedzie droga do ogólnoswiatowej pogody. Poniesiemy na bagnietach szczęście i pokój pracującej ludzkości.

Tuchaczewski planował wielkie uderzenie na Warszawę od północy i tam zdecydował się skoncentrować cztery armie, które mogłyby przełamać silną obronę, jakiej spodziewał się w rejonie stolicy. Prawe skrzydło jego wojsk było potężne, ale na pozostałych odcinkach wielkiego frontu sytuacja kształtowała się niekorzystnie dla Rosjan. Na centralnym kierunku, na obszarze rozciągniętym na sto sześćdziesiąt kilometrów działała słaba grupa mozyrska, licząca zaledwie pięć tysięcy żołnierzy. Lewe skrzydło pozostało całkowicie odsłonięte. Polskie uderzenie w to miejsce groziło odcięciem armii idących na Warszawę, okręże-

niem ich i zniszczeniem. Tuchaczewski musiał więc uzyskać dodatkowe siły.

Mógł je przejść z Frontu Południowo-Zachodniego, którego armie podeszły pod Lwów. Naczelnym dowódcą Armii Czerwonej, Siergiej Kamieniew obiecał, podczas narady 22 lipca, że wyda rozkaz przesunięcia 1. Armii Konnej i 14. armii z Frontu Południowo-Zachodniego na lewe skrzydło Frontu Zachodniego.

Jednakże dowódca Frontu Południowo-Zachodniego Aleksander Jegorow i członek Rady Rewolucyjnej Józef Stalin nie mieli zamiaru oddawać najsilniejszych jednostek do dyspozycji innego dowództwa i umożliwić mu tym samym odniesienie wietnego zwycięstwa. Sami chcieli przejść do historii jako pogromcy Polski. Stalin pisał do naczelnego dowódcy Armii Czerwonej:

Na całej linii Frontu Południowo-Zachodniego Polacy stawiają bardzo silny opór, przy czym szczególnie zaciętość przejawiają na kierunku lwowskim. Sytuacja z Rumunią jest niejasna i napięta. W tych warunkach uważam za konieczne przenieść punkt ciężkości głównego uderzenia armii i Frontu Południowo-Zachodniego w granice Galicji. Siergiej Kamieniew zatwierdził tę propozycję, chociaż oznaczała ona rozproszenie sił. Od tej chwili Stalin zaczął lekceważyć polecenia przekazania części wojsk Frontu Południowo-Zachodniego do Frontu Zachodniego.

Rozkaz w tej sprawie - jaki nadszedł 3 sierpnia - po prostu wyrzucił do kosza.

Dyrektywa z 6 sierpnia mówiąca o przekazaniu 1. Armii Konnej, 12. armii i dodatkowo 14. armii, również nie została wykonana. 11 sierpnia Kamieniew ponownie wydał rozkaz przekazania Tuchaczewskiemu 1. Armii Konnej i 12. armii. Pisał w telegramie do Stalina i Jegorowa:

W celu udzielenia pomocy Tuchaczewskiemu skierować jak najwięcej sił do uderzenia mniej więcej w kierunku na Lublin, Puławy, aby wszelkimi sposobami wesprzeć lewe skrzydło Tuchaczewskiego. (...) Jest rzecz istotna i konieczna, by jak najprędzej przekazać dowódcy frontu [tj. Tuchaczewskiemu - BW] najpierw 12. armię, a potem bezpośrednio podporządkować mu również Armię Konną, przy czym Tuchaczewski wyznacza termin przekazania 12. armii na 13 sierpnia, a Armii Konnej - na 15 bm.

- Michaił Nikołajewicz, telegram z dowództwa. - Tuchaczewski odwrócił się. Stał za nim członek Rewolucyjnej Rady Wojennej, Józef Unszlicht. - Już rozszyfrowane!

- Co piszsz?

- Towarzysz naczelny dowódca potwierdza wysłanie do dowództwa i Rady Rewolucyjnej Frontu Południowo-Zachodniego rozkazu przekazania nam 12. armii, ale nie precyzuje terminu. Powołuje się jedynie na waszą ocenę, iż 12. armia powinna najpóźniej jutro dołączyć do nas, a Konarmia - do 15 sierpnia...

- Czy od Jegorowa nadeszła jaka wiadomość?

- Nie. Nie sądzę, abymy, w ciągu najbliższych dni usłyszeli cokolwiek od Jegorowa i Stalina...

- Uważasz, że będę sabotować rozkazy dowództwa?

- Robisz to już od pewnego czasu. - Unszlicht rozpiął płaszcz i z kieszeni

munduru wyjść paczkę papierosów. - Francuskie, zdobyczne. - Wyciśgnął

papierosy w stronę Tuchaczewskiego. Ten pokręcił przecząco głową.

- Wojska Frontu Południowo-Zachodniego są pod Lwowem i mają szansę

zdobycia tego miasta - mówił dalej Unslicht. - Stalin pragnie tego bardziej niż

Jegorow. W karierze polityka atut w postaci zdobycia miasta ma duże znaczenie.

Dlatego nie odda nam ani jednego pułku, gdyż jest przekonany, że gdy zdobędzie

Lwów, to wówczas nikt nie będzie pamiętał o jego niesubordynacji...

- Jeżeli tak jest, jak mówisz, to Stalina należałoby oddać pod sąd wojenny

i rozstrzelać!

- Może się tłumaczyć, że Konarmia i 12. armia są uwikłane w zacięte walki

i nie sposób w podanym przez nas terminie ich wycofać. Być może partia zechce

postawić przed sądem Stalina i Jegorowa, ale przedtem my musimy zdobyć

Warszawę. Bez ich pomocy - spokojnie stwierdził Unslicht.

Odczekał chwilę, ale nie słysząc odpowiedzi powtórzył:

- Tak, musimy zdobyć Warszawę bez Konarmii i 12. armii. W każdym razie

nie możemy liczyć na wsparcie jednostek w ciągu najbliższych dni...

O wicie 4 lipca 1920 r. wojska Frontu Zachodniego rozpoczęły ofensywę.

W ciągu siedmiu dni Armia Czerwona przełamała polski front, przekroczyła

Berezyne, zajęła Iłumień, Mińsk i Białystok. Polacy ponieśli duże straty i mimo

zazartej obrony nie zdołali zatrzymać armii Tuchaczewskiego. Uchodzili z pola,

ale w sposób zorganizowany; bez panicznej ucieczki wojska, które straciło

wszystko i rozbite na niewielkie grupy ratowało się przed miercią lub niewolą.

Odchodząc, wysadzali mosty i minowali drogi. W potyczkach osłonowych oddawali niewielu jeńców i zostawiali niewiele sprzętu. Zachowywali siły do ostatecznej rozprawy. Pod Warszawą mogli odbudować swoje wojska, których potęgę pokazali w kwietniu i maju 1920 r. Tuchaczewski liczył jednak, że szybki marsz jego oddziałów uniemożliwi Polakom zorganizowanie obrony i zmobilizowanie rezerw. Przed nim była Warszawa i ostateczne zwycięstwo. Wydał odezwę do żołnierzy:

Czerwonoarmiecy! (...) Wielki pojedynek rozstrzygnie losy wojny i narodu rosyjskiego oraz ludności polskiej. Wojska spod znaku Czerwonego Sztandaru i wojska łupieżczego białego orła oczekuje morderczy pojedynek. (...) Na Zachodzie rozstrzygniesz się losy światowej rewolucji. Ponad trupem białej Polski wiedzie droga do ogólnoswiatowej pożogi. Poniesiemy na bagnietach szczęście i pokój pracującej ludzkości.

Tuchaczewski planował wielkie uderzenie na Warszawę od północy i tam zdecydował się skoncentrować cztery armie, które mogłyby przełamać silną obronę, jakiej spodziewał się w rejonie stolicy. Prawe skrzydło jego wojsk było potężne, ale na pozostałych odcinkach wielkiego frontu sytuacja kształtowała się niekorzystnie dla Rosjan. Na centralnym kierunku, na obszarze rozciągniętym na sto sześćdziesiąt kilometrów działała słaba grupa mozyrska, licząca zaledwie pięć tysięcy żołnierzy. Lewe skrzydło pozostało całkowicie odsłonięte. Polskie uderzenie w to miejsce groziło odcięciem armii idących na Warszawę, okrążeniem ich i zniszczeniem. Tuchaczewski musiał więc uzyskać dodatkowe siły.

Mógł je przejść z Frontu Południowo-Zachodniego. którego armie podeszły pod Lwów. Naczelnny dowódca Armii Czerwonej, Siergiej Kamieniew obiecał.

podczas narady 22 lipca, że wyda rozkaz przesunięcia 1. Armii Konnej i 14. armii z Frontu Południowo-Zachodniego na lewe skrzydło Frontu Zachodniego.

Jednakże dowódca Frontu Południowo-Zachodniego Aleksander Jegorow i członek Rady Rewolucyjnej Józef Stalin nie mieli zamiaru oddawać najsilniejszych jednostek do dyspozycji innego dowództwa i umożliwić mu tym samym

odniesienie wietnego zwycięstwa. Sami chcieli przejść do historii jako pogromcy Polski. Stalin pisał do naczelnego dowódcy Armii Czerwonej:

Na całej linii Frontu PołudniowoZachodniego Polacy stawiajś bardzo silny opór, przy czym szczególnś zaciętoć przejawiajś na kierunku lwowskim. Sytuacja z Rumuniś jest niejasna i napięta. W tych warunkach uważam za konieczne przenieć punkt ciężkoci głównego uderzenia armii i Frontu Południowo-Zachodniego w granice Galicji. Siergiej Kamieniew zatwierdził tę propozycję. chociaż oznaczała ona rozproszenie sił. Od tej chwili Stalin zaczął lekceważyć polecenia przekazania części wojsk Frontu Południowo-Zachodniego do Frontu Zachodniego.

Rozkaz w tej sprawie - jaki nadszedł 3 sierpnia - po prostu wyrzucił do kosza.

Dyrektywa z 6 sierpnia mówiśca o przekazaniu 1. Armii Konnej, 12. armii i dodatkowo 14. armii, również nie została wykonana. 11 sierpnia Kamieniew ponownie wydał rozkaz przekazania Tuchaczewskiemu 1. Armii Konnej i 12. armii. Pisał w telegramie do Stalina i Jegorowa:

W celu udzielenia pomocy Tuchaczewskiemu skierować jak najwięcej sił do uderzenia mniej więcej w kierunku na Lublin, Puławy, aby wszelkimi sposobami wesprzeć lewe skrzydło Tuchaczewskiego. (...) Jest rzecz istotną i konieczną, by jak najprędzej przekazać dowódcy/rontu [tj. Tuchaczewskiemu - BW] najpierw 12. armię, a potem bezpośrednio podporządkować mu również Armii Konnej, przy czym Tuchaczewski wyznacza termin przekazania 12. armii na 13 sierpnia, a Armii Konnej - na 15 bm.

- Michaiłe Nikołajewiczu, telegram z dowództwa. - Tuchaczewski odwrócił się. Stał za nim członek Rewolucyjnej Rady Wojennej, Józef Unszlicht. - Już rozszyfrowane!

- Co piszsz?

- Towarzysz naczelny dowódca potwierdza wysłanie do dowództwa i Rady Rewolucyjnej Frontu Południowo-Zachodniego rozkazu przekazania nam 12. armii, ale nie precyzuje terminu. Powołuje się jedynie na wasz ocenę, iż 12. armia powinna najpóźniej jutro dołączyć do nas, a Konarmia - do 15 sierpnia...

- Czy od Jegorowa nadeszła jaka wiadomość?

- Nie. Nie sędzę, abymy, w ciągu najbliższych dni usłyszeli cokolwiek od Jegorowa i Stalina...

- Uważasz, że będś sabotować rozkazy dowództwa?

- Robisz to już od pewnego czasu. - Unszlicht rozpiśł płaszcz i z kieszeni munduru wyjśł paczkę papierosów. - Francuskie, zdobyczne. - Wyciśgnśł

papierosy w stronę Tuchaczewskiego. Ten pokręcił przecząco głową.

- Wojska Frontu Południowo-Zachodniego są pod Lwowem i mają szansę zdobycia tego miasta - mówił dalej Unslicht. - Stalin pragnie tego bardziej niż Jegorow. W karierze polityka atut w postaci zdobycia miasta ma duże znaczenie. Dlatego nie odda nam ani jednego pułku, gdyż jest przekonany, że gdy zdobędzie Lwów, to wówczas nikt nie będzie pamiętał o jego niesubordynacji...

- Jeżeli tak jest, jak mówisz, to Stalina należałoby oddać pod sąd wojenny i rozstrzelać!

- Może się tłumaczyć, że Konarmia i 12. armia są uwikłane w zacięte walki i nie sposób w podanym przez nas terminie ich wycofać. Być może partia zechce postawić przed sądem Stalina i Jegorowa, ale przedtem my musimy zdobyć Warszawę. Bez ich pomocy - spokojnie stwierdził Unslicht.

Odczekał chwilę, ale nie słysząc odpowiedzi powtórzył:

- Tak, musimy zdobyć Warszawę bez Konarmii i 12. armii. W każdym razie nie możemy liczyć na wsparcie jednostek w ciągu najbliższych dni...

MIERĆ

Tuchaczewski milczał. Miał doć dyskusji na temat niewystarczających sił w centrum i na lewym skrzydle wojsk idących na Warszawę.

- Nasze plany zatwierdziła partia i naczelne dowództwo. Ofensywa rozpocznie się zgodnie z planem - powiedział w końcu. - Za daleko zaszliśmy, aby teraz dać

Polakom czas na zorganizowanie obrony i kontrofensywy. Jedyne, co możemy zrobić, to uderzać, nawet bez Konarmii!

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę kwatery. Unszlicht zgasił papierosa i podszedł za nim.

13 sierpnia o wicie armie Frontu Zachodniego ruszyły ku Wile.

Dysproporcja w rozłożeniu sił i słabość lewego skrzydła wojsk bolszewickich nie mogły ujść uwagi polskiego dowództwa. Desperacka obrona wojsk polskich pod Radzyminem, Zielonką i Ossowem powstrzymywała postępy Armii Czerwonej i umożliwiła manewr zaczepny. 16 sierpnia znad Wieprza uderzyła 2. armia generała Edwarda Rydza-mięgłego. Jej oddziały wdarły się od południa w najsłabszą część sowieckiego frontu i zaczęły szybko posuwać się na północ. 17 sierpnia w Mińsku Mazowieckim wojska 2. armii połączyły się z 5. armią generała Władysława Sikorskiego.

Tuchaczewski nie miał już złudzeń. Dalsze postępy polskich wojsk groziły okrążeniem jego oddziałów. Armia Czerwona, która straciła w bitwie warszawskiej około osiemdziesięciu tysięcy ludzi, rozpoczęła szybki i bezładny odwrót. Prawie sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy sowieckich zbiegło do Prus Wschodnich. Armia Konna i 12. armia z Frontu Południowo-Zachodniego włączyły się do walk 20 sierpnia, ale było już za późno, aby mogły zmienić sytuację na froncie.

Klęska pod Warszawą nie przeszkodziła jednak w dalszej karierze Michaiła Tuchaczewskiego. Stało się tak za sprawą Lenina, przekonanego, że zawinił głównie Stalin. Ponadto Lenin doskonale rozumiał, że siły zbrojne Rosji

Sowieckiej muszš tworzyć fachowcy - wykształceni w szkołach wojskowych, z dowiadczaniem bojowym, nabytym na frontach wojny wiatowej i wojny domowej. A do takich należał Tuchaczewski. Dlatego partia komunistyczna - na pewien czas przynajmniej - zapomniała, że pochodził ze szlachty.

Dlaczego jednak syn zubożałego ziemianina, absolwent elitarnej Aleksandrowskiej Szkoły Wojennej, oficer legendarnego Siemionowskiego Pułku Gwardii wstšpił do Armii Czerwonej i z pasjš zwalczał wszystko, co buruazyjne"? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Być może bezporedni wpływ na postawę młodego człowieka wywarły dowiadczania wojenne? Tuchaczewski w 1914 r. wyruszył na front jako zastępea dowódcy kompanii. Walczył z niebywałš odwagš i poświęceniem, czego dowodem było przyznanie mu szeciu odznaczeń w cišgu pół roku! W lutym 1915 r. dostał się do niewoli, skšd cztery razy próbował zbiec. Przenoszono go do coraz cięższych i staranniej pilnowanych obozów, aż trafił do twierdzy Ingolstadt, gdzie spotkał francuskiego kapitana Charlesa de Gaulle'a. Zaprzyjanił się. Przed rozstaniem de Gaulle podarował mu rodzinnš pamištškę: złoty krzyżyk wysadzany brylantami.

Lenin, Moskwa, rok 1918

Źołnierze 27. dywizji piechoty.

Front Zachodni, 1920

Tuchaczewski wydostał się na wolnoć z ponurej bawarskiej twierdzy i pieszo przedarł do Szwajcarii, skšd powrócił do Rosji. Zgłosił się do wojska i rozpoczął

służbę w rezerwowym pułku siemionowskim. Straszliwe dowiadczczenia frontowe, dotkliwe przeżycia w niewoli odebrały mu entuzjazm i wiarę w cara. Rozgoryczony klęskami armii carskiej uznał, że rewolucja - najpierw lutowa, a potem październikowa - stwarza szansę służby dla ojczyzny, walki z Niemcami, których szczerze nienawidził, a zarazem działania dla osobistej kariery. Bez wstępienia ten ostatni powód był decydujący w kolejnych poczynaniach Tuchaczewskiego.

W marcu 1918 r., gdy bolszewicy ogłosili mobilizację wojskowych specjalistów, zgłosił się do służby. Wkrótce potem wstąpił do partii bolszewickiej, rekomendowany przez dwóch starych komunistów: Awła Jenukidzega i Nikołaja Kulabkę. Oni to w znacznym stopniu przyczynili się do kariery młodego człowieka o niezwykle wybujałych ambicjach. Kulabko przedstawił Tuchaczewskiego Leninowi i być może to spotkanie - w czasie którego wodzowi spodobało się oddanie komunizmowi, prezentowane przez młodego oficera - przesłdziło o darowaniu mu póniejszych błędów... Carski porucznik w wieku zaledwie 25 lat został komisarzem Moskiewskiego Rejonu Zachodniej Strefy Obronnej.

Wkrótce mianowano go dowódcš 1. armii i skierowano na front wschodni w rejon rodkowej Wołgi, gdzie należało zdławić powstanie Korpusu Czechosłowackiego. 27 czerwca 1918 r. Tuchaczewski przybył na stację Inza, gdzie miecił się sztab armii. Dotychczas dowodził niewielkimi oddziałami, liczącymi co najwyżej kilkudziesięciu żołnierzy. Nagle dano mu władzę nad życiem i mierciš kilkunastu tysięcy ludzi. To wywołało zawrót głowy u młodego oficera.

Porzšdki, które zastał w Inzie, nie spodobały mu się, i zapewne słusznie. Pisał:

(...) zarówno dowódcy, jak i szeregowi czerwonarmięci odznaczali się niezwykłym egocentryzmem. O żadnej dyscyplinie nawet mowy nie było. W skład armii wchodziły również takie oddziały (zwłaszcza niektóre pociągi pancerne i oddziały pancerne), których nasze dowództwo obawiało się niemal tak samo jak nieprzyjaciela.

Nie spodobał mu się również dowódca frontu, w którego składzie działała I. armia - Murawiew. Uznał go za „wojskowego analfabetę” i samolubnego awanturnika”. Dziwne to określenia, jeśli zważyć, że Murawiew był podporucznikiem carskiej armii. W czasie wojny wiatowej oraz po rewolucji lutowej dowodził dużymi oddziałami i zdobył wielkie doświadczenie bojowe. Negatywna opinia Tuchaczewskiego o zwierzchniku miała podłoże polityczne: Murawiew był lewicowym eserowcem*, co wywoływało nienawiść komandarma I. armii, całkowicie już oddanego nowej ideologii. Otwartemu konfliktowi zapobiegł nagły zwrot w działaniach Murawiewa, który na wieść o powstaniu lewicowych

* Członkiem Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, założonej na przełomie lat 1901 i 1902. Po rewolucji październikowej eserowcy wystąpili przeciwko bolszewikom. W grudniu 1917 r. powstała oddzielna organizacja lewicowych socjalistów-rewolucjonistów, która po okresie współpracy z bolszewikami w lipcu 1918 r. przeszła do otwartej opozycji.

y i pieszo

rozpoczął

;nia fron-

? w cara.

v lutowa,

z Niem-
j kariery.
ynaniach
specjalis-
ewickiej,
Nikołaja
młodego
haczew-
)odobało
;esdziło
dwie 25
bronnej.
w rejon
'słowac-
ecił się
ajwyżej
Ikunas-
;. Pisał:
iewyk-
i armii
ddziały
ik nie-

ziałała
ibnego
orucz-
itowej
tywna
wiow
armii,
)biegi
wych

t'2. Po

wstała
zbol-

eserowców w Moskwie postanowił wzniecić rewolucję w Symbirsku. Zapropo-
nował Tuchaczewskiemu, aby przyłączył się do puczu. Ten, co prawda, odmówił,
ale dał się aresztować bez najmniejszego oporu. Bierność omale nie kosztowała
go głowy po stłumieniu buntu przez bolszewików, którzy - podejrzliwi wobec
wszystkich byłych oficerów carskich - uznali, że Tuchaczewski musiał zdradzić
sprawę, skoro uszedł z życiem z ręk buntowników. Przed trybunałem rewolucyj-
nym, a zarazem niechybnym wyrokiem mierci, uratowało go dwóch starych
komunistów: Iosif Warejkis (sekretarz gubernialnego komitetu RKP(b), od-
powiedzialny za zastrzelenie Murawiowa) i Walerian Kujbyszew (póniejszy
komisarz polityczny armii Tuchaczewskiego).

Pomoc i przyjań działaczy blisko zwiższanych z najwiższymi wladzami Rosji radzieckiej miały ogromny wpływ na dalsz karierę Tuchaczewskiego. Jako dowódcą 5. armii Frontu Wschodniego, zaprzyjańił się z Michaiłem Frunzem - wówczas dowódcą 4. armii - późniejszym ludowym komisarzem spraw wojskowych i morskich. Zyskał również przyjań Grigorija Sergo" Ordżonikidze, późniejszego najbliższego współpracownika Stalina, jednego z nielicznych, którzy dyktatorowi mówili po imieniu. Te frontowe przyjanie, zawarte z ludmi mającymi wiele do powiedzenia w bolszewickich wladzach, ratowały Tuchaczewskiego zarówno przed intrygami podwładnych, nienawidzżcych go za pełnż wyższoci postawę, zemstż przełożonych, których ostro krytykował, zarzucajżc niekompetencję, jak i przed podejrzliwociż samych wladz, które nie mogły zapomnieć Tuchaczewskiemu szlacheckiego pochodzenia i carskiej szkoły. Nie był to jednak czas, w którym nowa wladza mogłaby pozbywać się takich ludzi. Jak Tuchaczewski: deklarujżcych lojalność i oddanie komunizmowi, bez wahania wypełniajżcych polecenia. Byli przydatni.

Dlatego też Lenin, nie bacżc na rozmiary klęski w Polsce, już w marcu 1921 r. wyznaczył Tuchaczewskiemu zadanie stłumienia rebelii marynarzy garnizonu w Kronsztadzie. Tę misję mógł wypełnić tylko dowiadczony oficer, który żelaznż rękż zaprowadziłby porzżdki w skłóconym i rozpadajżcym się dowództwie wojsk komunistycznych i pokierował szturmem na niedostępnż twierdzę. Czasu było bardzo niewiele; nadchodziły wiosenne roztopy, a jedyna droga do fortów Kronsztadu prowadziła przez lód zatoki. 18 marca - po zaciętych i krwawych walkach - Tuchaczewski mógł zapisać na swoim koncie kolejny sukces: spacyfikowanie Kronsztadu. Ta wiadomoć niezwykle ucieszyła Lenina,

który przyjął zwyciężcę i uhonorował pochwałą: Ojczulku, jestem zadowolony, bardzo zadowolony z przeprowadzonej przez was operacji, i natychmiast zlecił Tuchaczewskiemu równie trudne zadanie: zlikwidowanie buntu Aleksandra Antenowa w guberni tambowskiej. Potyczki wojsk komunistycznych z dobrze zorganizowanymi i korzystającymi z poparcia miejscowej ludności oddziałami Antenowa (liczącymi pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy) trwały kilka miesięcy. Zdecydowanie i bezwzględność, wspierane nowymi metodami walki (m.in. zorganizowaniem oddziałów szybko przemieszczających się samochodami), przyniosły Tuchaczewskiemu sukces w czerwcu 1921 r.

Nadszedł czas, aby zaczęły profilować wojenne przyjaźnie. Michaił Frunze - już szef sztabu Armii Czerwonej - ciążę go w 1924 r. do Moskwy na pomocnika, a następnie zastępcę szefa Sztabu Armii Czerwonej. Prawdopodobnie planował, że dowiadczony na wielu frontach dowódca obejmie po nim funkcję szefa sztabu. Niespodziewanie jednak plany te spaliły na panewce;

w lutym 1925 r. Tuchaczewski został wysłany na stanowisko dowódcy Zachodniego Okręgu Wojskowego w Smoleńsku. Ten raptowny zwrot w karierze był bez wątpienia dziełem Stalina. Sekretarz generalny KC WKP(b) - już choćby ze względu na nieporozumienia z okresu wojny z Polską - nie darzył sympatią byłego dowódcy Frontu Zachodniego. Lecz w tym wypadku nie chodziło o zadawnione urazy.

W 1925 r. Stalin zaczynał budować podstawy swojej potęgi. Doceniał siłę armii i odpowiadało mu to, że wiele wysokich stanowisk zajmujących byli oficerowie carscy. Unikali oni bowiem angażowania się w rozgrywki partyjne

i nie byli uwikłani we wszelkiego rodzaju frakcje, do których przystępowali starzy bolszewicy. Stalin poparł decyzję Frunzego, który zdecydował się zlikwidować zniechęconą przez wojskowych instytucję komisarzy politycznych i wprowadzić na ich miejsce szefów zarządów politycznych o znacznie mniejszych kompetencjach i podporządkowanych formalnie dowódców jednostek, przy których działali. Takie posunięcie w tym okresie walki o władzę odpowiadało Stalinowi, jako że prowadziło do odpolitycznienia wojska. Dlatego też przez pewien czas tolerował karierę Tuchaczewskiego, ale nie mógł patrzeć, jak pod jego boki kwitnie przyjań dwóch dowódców cieszących się wojennymi sławami. Zdecydował się wysłać Tuchaczewskiego gdzie daleko od Moskwy. Na miejscu pozostał Frunze, którego pozycja i popularność niepokoiły Stalina. Wiedział, że ten legendarny przywódca oddziałów czerwonarmijnych, wspaniały strateg i lubiany przez żołnierzy dowódca może stać się poważnym konkurentem do stanowiska sekretarza generalnego. W październiku 1925 r. czterdziestoletni Frunze poddał się operacji wrzodu żołądka. Nie przeżył tego zabiegu, a okoliczności zgonu zdają się wskazywać jednoznacznie, że było to zabójstwo, inspirowane przez Stalina.

W listopadzie 1925 r., a więc w kilka miesięcy po opuszczeniu Moskwy, Tuchaczewski powrócił do stolicy na stanowisko szefa sztabu Armii Czerwonej. Ta decyzja Stalina staje się zrozumiała, jeśli wemnie się pod uwagę, że sekretarz generalny nie miał większego wyboru.

Reforma w siłach zbrojnych - wprowadzona przez Frunzego - stawiała

kandydatowi na stanowisko szefa sztabu bardzo wysokie wymagania. Mogli im sprostać jedynie carscy sztabowcy, ale oni nigdy nie zyskali całkowitego zaufania nowych władz. Tuchaczewski za dowiódł wielokrotnie pełnego oddania, i - co najważniejsze dla Stalina - trzymał się z dala od wszelkich koterii i rozgrywek partyjnych. Sekretarz generalny mógł więc uważać, że nowy szef sztabu zajmie się budowaniem potęgi armii, a nie przyłączy się do opozycji.

Tuchaczewski rzeczywiście włączył się w nurt reform, w wyniku których Armia Czerwona miała przeobrazić się w nowoczesne wojsko dysponujące silną bronią pancerną i lotnictwem. Aby osiągnąć ten cel, gotów był nawet zapomnieć o swych urazach wobec Niemców. Wiedział doskonale, że rachityczny i na dodatek wyniszczony wojną przemysł radziecki nie może dać wojsku nowoczesnego uzbrojenia. W tej sytuacji współpraca z Republiką Weimarską i jej siłami zbrojnymi, Reichswehrą, wydawała się nieodzowna. Z drugiej za strony Niemcy - skrzepowani zakazami traktatu wersalskiego, zabraniającego im m.in. budowy i posiadania czołgów, samolotów bojowych, okrętów podwodnych - byli zainteresowani skorzystaniem z możliwości, jakie dawały radzieckie poligony i szkoły wojskowe. Zakłady Kruppa. Rheinmetall czy Mañ mogły ukryć przed międzynarodową kontrolą działalność zbrojeniową. Pierwsze modele czołgów. powstające w dobrze ukrytych warsztatach, nazwano „Lekkim traktorem” i „Ciężkim traktorem”, a prototyp czołgu, który dał początek masowo produkowanym PzKpfw I nazwano „Landwirtschaftlicher Schlepper”, co oznaczało „ciągnik rolniczy”. Jednakże trzeba było wyjechać tymi „traktorami” na poligon, sprawdzić, jak zachowują się w trudnych warunkach, a przede wszystkim postrzelać z czołgowych dział (konstruowanych potajemnie m.in. w szwedz-

kich zakładach Boforsa). Tak hałaliwych prób nie można było tłumaczyć testowaniem modeli maszyn rolniczych. Radzieckie poligony, niedostępne dla międzynarodowych kontroli i szpiegów, pozwalały badać nowy sprzęt i trenować załogi (m.in. w szkole wojsk pancernych w Kazaniu). Rosyjscy specjaliści uważnie przyglądali się niemieckim prototypom i wynikom prób. W rezultacie w pierwszym czołgu, jaki powstał w radzieckich biurach konstrukcyjnych, wykorzystano wiele rozwiązań z niemieckiego Grosstraktora", a także z zakupionego w Wielkiej Brytanii czołgu Yickers" (lótonner). Tuchaczewski kilkakrotnie wyjeżdżał do Berlina i podpisywał tam dokumenty dotyczące współpracy wojskowej Armii Czerwonej i Reichswehry.

Stalin krytycznie obserwował dynamicznego i ambitnego szefa sztabu. Nie podobał mu się rozmach Tuchaczewskiego ani jego samodzielność. Konflikt był nieunikniony... W grudniu 1927 r. Tuchaczewski wystosował raport, w którym domagał się przyznania większych rodków na wyposażenie sił zbrojnych w najnowocześniejszy sprzęt - zwłaszcza czołgi i samoloty. Czy Stalin zwietrzył w tym próbę podważenia jego władzy, jako że prymitywna gospodarka radziecka nie mogła spełnić zśdań dostarczenia nowoczesnej broni, czy też uznał, że Tuchaczewski zbyt szybko staje się samodzielnym, w każdym razie zareagował bardzo ostro, nazywając raport bredniami. Tuchaczewski, któremu opinię Stalina przekazał komisarz do spraw wojskowych Kliment Woroszyłow, uniósł się honorem i podał się do dymisji.

Został odesłany do Leningradu na stanowisko dowódcy okręgu wojskowego.

Nie zarzucił jednak planów mechanizacji armii. W Leningradzie znalazł dobry

klimat do urzeczywistniania swoich pomysłów. Nowa przyjaźń - z Siergiejem Kirowem. szefem lokalnego komitetu partii i członkiem Biura Politycznego -

Desant radzieckich oddziałów spadochronowych, manewry, rok 1935

Tekturowo-płócienne czołgi" na rowerowym podwoziu.

używane podczas manewrów Reichwehn

ułatwiała uzyskanie dodatkowych rodków i umożliwiała wykorzystanie miejscowego przemysłu do realizacji zamówień armii oraz, co ważne dla Tuchaczewskiego, dawała wsparcie i ochronę ze strony funkcjonariusza partyjnego. Tuchaczewski okazję umiał chwycić w lot. Realizował swe pomysły na poligonie i czekał na sprzyjający moment.

W końcu 1929 r. Komitet Centralny WKP(b) podjął uchwałę „o stanie obrony ZSRR”, w której stwierdzono, że w ciągu dwóch lat należy nasycić wojsko sprzętem. Tuchaczewski postanowił przedstawić swe propozycje restrukturyzacji sił zbrojnych i w kwietniu 1930 r. i w sierpniu 1930 r. przesłał do Stalina raport na ten temat. Raport wywołał burzę. Sekretarz generalny nie potrzebował bowiem rad. Oskarżył Tuchaczewskiego o dążenie do militaryzacji kraju. Był to zarzut równie poważny jak zarzut zdrady i szpiegostwa. Militaryzacja - w rozumieniu władz komunistycznych - oznaczała intensywną produkcję uzbrojenia, co w warunkach Związku Radzieckiego musiałyby się odbywać kosztem produkcji np. ubrań, a więc działałoby „przeciwko narodowi radzieckiemu”. To mógł być mierny zarzut, zwłaszcza że padł w czasie, gdy Stalin rozpoczął wielką rozprawę z wyższymi dowódcami Armii Czerwonej, wywodzącymi się z cars-

kiego korpusu. Iędztwo prowadzone przez OGPU w sprawie tzw. Partii Przemysłowej* wskazało na kilku oficerów. Był to wystarczajšcy powód, aby machina cigania została skierowana przeciwko wojsku. W więzieniu znaleli się byli generałowie: Aleksandr Bałtiskij, Władimir Jegoriew, Aleksandr Lignau, Siergiej Łukirskij; teoretycy wojskowoci: Kakurin, Sniesariew, Aleksandr Swieczin i wielu innych. Zostali zesłani do łagrów, skšd większość po dwóch latach zwolniono. Czy w grupie tej miał znaleźć się również Tuchaczewski? Wydawałoby się, że Stalin, rzucajšc tak ciężkie oskarżenie, zdecydował się unicestwić człowieka, wobec którego żywił zadawnione urazy. Jednakże cofnął się przed zastosowaniem ostatecznych rodków. Być może dlatego, że Tuchaczewski wysłał do niego list, który nieco złagodził gniew wodza. Być może Stalin planujšc szybkš rozbudowę armii uznał, że Tuchaczewski może mu być jeszcze potrzebny. W każdym razie Tuchaczewski uniknął procesu i zaczął ponownie wspinać się po szczeblach wojskowej kariery.

W czerwcu 1931 r. został mianowany wiceprzewodniczącym Rady Wojennej, wicekomisarzem do spraw wojskowych i morskich oraz szefem uzbrojenia armii. Mógł więc kształtować Armię Czerwonš jako siłę uderzeniowš zdolną zmiażdżyć każdego wroga, zarówno tego, który usiłowałby wedrzeć się w granice Zwišzku Radzieckiego, jak i tego, przeciwko któremu partia komunistyczna zdecydowałaby się skierować swoje zbrojne ramię.

Trzonem armii miały być jednostki pancerne. W sierpniu 1931 r. Rada do spraw Pracy i Obrony uchwaliła, na wniosek Tuchaczewskiego, program budowy

* W dniach 25. 11. - 7.12.1930 r. odbył się proces ośmiu inżynierów, oskarżonych o przynależność

do Partii Przemysłowej i działalność na szkodę gospodarki ZSRR. Celem tej rozprawy miało być uzasadnienie stosowania przez władze zbrodniczych metod w czasie kolektywizacji rolnictwa. Ze względu na opór, jaki polityka Stalina budziła w Biurze Politycznym, oskarżonych skazano „tylko” na kary więzienia i zrezygnowano z dalszych procesów.

czołgów. Do końca 1932 r. sformowano dwa pierwsze korpusy - samodzielne taktyczne związki operacyjne, z których każdy złożony był z dwóch brygad zmechanizowanych, jednej brygady karabinów maszynowych oraz samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej. Analizy i dowiadczania z wielkich manewrów wykazały, że stan etatowy korpusu powinien wynosić 469 czołgów, 200 samochodów oraz 9865 żołnierzy i oficerów. Do 1936 r. utworzono 4 korpusy zmechanizowane, 6 samodzielnych pułków czołgów, 15 zmechanizowanych pułków dywizji kawalerii oraz 83 bataliony i kompanie czołgów w dywizjach piechoty. Zakłady przemysłu czołgowego, zbudowane w czasie I pięciolatki 1928-1932 z roku na rok zwielokrotniały produkcję. W 1930 r. wyprodukowały 170 czołgów, rok później - 740, w 1932 r. - 3038, aby osiągnąć maksymalną wydajność 4803 czołgów w 1936 r. Takimi wynikami nie mógł się poszczycić przemysł żadnego z potężniejszych państw.

Tuchaczewski rozumiał, jak ogromne znaczenie dla działań wojennych ma lotnictwo. Według jego planów miała to być samodzielna siła. Na początku 1936 r. przystąpiono do formowania armii lotniczych, liczących 250-260 samolotów myśliwskich i bombowych, które miały działać na kierunkach strategicznych. Jakby z boku tych wielkich działań organizacyjnych Tuchaczewski realizował swe zamiłowanie do nowinek technicznych, które nie zawsze jednak przynosiły

oczekiwane skutki. Próby z kutrami wybuchowymi zakończyły się fiaskiem, podobnie jak eksperymenty z samolotem-matką, wynoszącym w powietrze na swoich skrzydłach cztery myliwce. Wiara w moc techniki owocowała jednak w pracach Naukowo-Dowiadczyckiego Instytutu Rakietowego - którego pracownicy zostali otoczeni bezprecedensową opieką Tuchaczewskiego - badaniami nad silnikami odrzutowymi i radiolokacyjnymi metodami wykrywania samolotów.

Dobra passa trwała. W 1935 r., gdy w ZSRR przywrócono stopnie wojskowe (w miejsce wprowadzonych po rewolucji stopni funkcyjnych), Tuchaczewski otrzymał stopień marszałka - jako jeden z pięciu oficerów, którzy dostąpili tego najwyższego wojskowego zaszczytu. Marszałek Tuchaczewski mógł wreszcie uwierzyć w swoją siłę i powodzenie...

Spadochroniarze przed wejciem do samolotu

Kolumna samochodów zjechała z drogi prowadzącej z centrum Kijowa, minęła wartowników wyprężonych jak struny przy uniesionym szlabanie i skierowała się szeroką, brukowaną drogą w głąb poligonu. Generał Archibald Wavell, przedstawiciel brytyjskiego Generalnego Sztabu Imperialnego, patrzył z zainteresowaniem na rozległe stepy, na których za kilkadziesiąt minut miała rozegrać się decydująca część manewrów wojskowych. Droga zakręcała szerokim łukiem obejmującym niewielkie wzniesienie, zza którego zaczęły się wyłaniać sylwetki czołgów. Rosjanie zapewne umyślnie ustawili je tak, aby zakręt stopniowo ujawniał coraz więcej pancernych pojazdów, stojących w nienagannym porządku. Załogi, wyprężone na baczność, witały przemykające samochody z człon-

kami zagranicznych sztabów generalnych i ataszatów wojskowych.

Wavell patrzył z rosnącym zdumieniem. Szybko przestał liczyć czołgi.

orientując się, że jest ich co najmniej kilkaset.

- Możliwość totalitarnego państwa są niezmiernie - powiedział półgłosem do siedzącego obok oficera. Starał się, aby rosyjski kierowca nie słyszał rozmowy, gdyż, jak sądził, żołnierz znał angielski. - Zgromadzili tutaj co najmniej pięćset czołgów.

- Zapewne nie jest to jedyna rzecz, która zaskoczy nas dzisiaj, sir - odrzekł oficer, równie zaskoczony liczebnością pojazdów pancernych.

Rzędy czołgów skończyły się i samochody przemknęły przez las i zaczęły piąć się pod górę. Na której widać było obszerną trybunę, a za nią rozłożyste namioty wojskowe. Samochody zatrzymały się i wysiedli z nich oficerowie, którzy przybyli obserwować wielkie manewry. Wavell szukał wzrokiem postawnej sylwetki marszałka Tuchaczewskiego. Wiedział, że oficer ten, według ocen brytyjskiego ataszatu wojskowego - jeden z najzdolniejszych spośród dowódców Armii Czerwonej - otrzymał w lipcu najwyższy stopień wojskowy. Pragnął poznać go, gdyż uważał, że ta znajomość może być bardzo interesująca. W tłumie mundurów nie mógł jednak odnaleźć sylwetki znanej tylko z opisów.

- Gdy dostrzeże pan Tuchaczewskiego, to proszę mi go wskazać. - Zwrócił się do stojącego obok pracownika ambasady brytyjskiej.

- Nie widziałem go jeszcze, ale zapewne wkrótce się pojawi.

Grupa oficerów zaczęła wspinać się szerokimi, drewnianymi schodami na trybunę.

- Szanowni goście! - Radziecki oficer, który wyszedł przed trybunę, odczekał, aż wszyscy zajmą miejsca. - Witam was w imieniu towarzysza Stalina, partii, rządu Związku Radzieckiego i dowództwa Armii Czerwonej na manewrach Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Biorąc w nich udział wszystkie rodzaje wojsk, które ćwiczyły przełamywanie pasa obrony, umocnionego przez korpus piechoty, wsparty batalionami czołgów i artyleriści...

- Ciekawe, iloma batalionami, skoro tam, za zakrętem, kolumny czołgów ciągnęły się przez dobrą milę. - Attache pochylił się do Wavella.

- Pewnie nie powiedzisz, ile jednostek, ale podaj liczbę czołgów - odparł generał i nie pomylił się.

- W ćwiczeniach uczestniczyło tysiąc czterdzieści czołgów, z których większość przebyła do sześciuset pięćdziesięciu kilometrów, zachowując pełną dyscyplinę marszową... - mówił oficer radziecki. Wavell nie słuchał dalszych wyjaśnień.

Liczba tysiąca czołgów wydawała mu się imponująca. Jeżeli Armia Czerwona potrafiła zgromadzić na jednych manewrach tysiąc czołgów, to oznaczało, że ma ich co najmniej dziesięć razy tyle. Wśród pojazdów stojących na poligonie przeważały lekkie czołgi 7-26, budowane na brytyjskiej licencji Vickersa (6 ton), ale dostrzegł też również czołgi T-28 z trzema wieżami i ciężkie T-32, będące dość wierną kopią brytyjskiego „Independent Tank”. Siła pancerna

zademonstrowana na początku ćwiczeń była dopiero wstępem do pokazów, które olniły przybyłych oficerów.

Nisko nad liniš horyzontu pojawiły się czarne punkciki, szybko zbliżajšce się w ich stronę.

- To bombowce TB-3 - powiedział jeden z gości i podał Wavellowi lornetkę.

Samoloty leciały doć nisko, jakie dwieście, trzysta metrów nad ziemiš.

W pewnym momencie na ich skrzydłach pojawiły się figurki żołnierzy, którzy wychodzili z kabiny i zelizgiwali się po szerokich płatach. Niebo zajaniało setkami białych spadochronów. Wavell patrzył na to widowisko jak urzeczo-ny. Nigdy dotychczas nie widział tak masowego wykorzystania wojsk powietrznodesantowych. Słyszał o próbach użycia podobnych oddziałów w Niem-
czech. ale nie przypuszczał, że można przeprowadzić desant na takš skalę.

Żołnierze, którzy wylšdowali, po rozpakowaniu pojemników i wydobyciu
broni kierowali się w stronę rozległej łški. Wprawa, z jakš formowali
ugrupowanie bojowe, szybkoć ruchów i pewnoć wskazywały, że oddziały
były dobrze wyćwiczone i zgrane. Zanim żołnierze dotarli do łški. zaczęły
lšdować tam duże samoloty transportowe. Gdy tylko odkołowały na bok
prowizorycznie zaznaczonego pasa startowego, w dole kadłubów otwierano
drzwi, z których wyjeżdżały niewielkie tankietki, samochody opancerzone
i działa. Na oczach zaskoczonych obserwatorów zaczynały formować się
oddziały dysponujšce artyleriš i broniš pancernš. Stanowiły siłę zdolnš
skruszyć obronę wroga, który nie mógł w tak krótkim czasie przygotować się
do odparcia niespodziewanego uderzenia.

- Gdybym nie zobaczył na własne oczy. nigdy bym w to nie uwierzył -

powiedział Wavell.

Szokowała go sprawność żołnierzy i wielkość sił użytych w tej operacji. Jako brytyjski sztabowiec, doskonale rozumiał, jakim zagrożeniem dla innych państw może być armia dysponująca licznymi i dobrze przygotowanymi oddziałami powietrznodestantowymi. Ich liczebność wynosiła w 1935 r. prawdopodobnie sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i wciąż wzrastała.

Raport generała Wavella z kijowskich ćwiczeń, sporządzony natychmiast po powrocie generała do Londynu, nie wywarł jednak na nikim wrażenia. Minister wojny, lord Halifax, przeczytał go uważnie, ale nie potrafił sobie wyobrazić setek spadochroniarzy wyskakujących z samolotów. Nie uważał, żeby British Army potrzebowała kiedykolwiek uciekać się do pomocy desantu zrzuconego daleko za liniami wroga. Uznał, że sir Archibald Wavell, pisząc raport z udziału w kijowskich manewrach, dał się ponieść romantyce rosyjskich stepów. O wiele bardziej interesujące dla ministra były informacje, które Wavell przywiózł z Moskwy na temat działalności marszałka Tuchaczewskiego. Rząd brytyjski bacznie obserwował działania wicekomisarza do spraw wojskowych i morskich. Według ocen ambasady brytyjskiej w Moskwie, był on przeciwnikiem sojuszu Związku Radzieckiego z Niemcami. Źródłem tej niechęci dopatrywano się w przeżyciach marszałka z czasów wojny wiatowej - walka i długi pobyt w niemieckiej niewoli musiały pozostawić głębokie lądy w psychice Tuchaczewskiego. Halifax nie spodziewał się, że wkrótce będzie mógł poznać marszałka osobiście.

20 stycznia 1936 r. zmarł król Jerzy V. Kilka dni później na biurku lorda

Halifaxa zadzwonił telefon majšcy bepporednie połšczenie z siedzibš rzšdu na Downing Street.

- Lordzie, pan premier rad by pana widzieć pojutrze o 4.00 - mówił asystent premiera Baldwina. - Sprawa dotyczy delegacji, które wezmš udział w pogrzebie króla. Pan premier oczekuje informacji na temat członków delegacji rosyjskiej. Ich listę przekażemy panu bezzwłocznie...

- Proszę zawiadomić pana premiera, że będę punktualnie.

Gdy przyszedł, zaproszono go do niewielkiego salonu na pierwszym piętrze.

gdzie w bardzo niewygodnym fotelu siedział już szef wywiadu, admirał Hugh Sinclair.

- Premier spóni się zapewne - powiedział na powitanie. - Ciekawe, jaki poda powód?

- Jestem przekonany, że powodem sš kłopoty z komunizujšcymi zwišzkami zawodowymi w kilku stoczniach - umiechnšł się Halifax.

- Mylę, że raczej nudny przedstawiciel jakiego rzšdu. Stawiam na to gwi-
neę - odpowiedział Sinclair.

- Przyjmuję. - Halifax rozłożył papiery na niskim stoliku. - Przyzna pan, że Rosjanie przysyłajš delegację o ciekawym składzie. - Zmienił temat. Chciał się zorientować, co Sinclair ma do powiedzenia na temat, który miał być przedmiotem rozmowy z premierem.

- W pewnym sensie - mruknął Sinclair.

Nie lubił dyskusji o sprawach radzieckich. Zwiśzek Radziecki pod rżdami Stalina stał się białš plamš na mapach brytyjskiego wywiadu. W pierwszym okresie industrializacji, gdy Rosjanie musieli korzystać z pomocy zachodnich fachowców, można było przemycać agentów lub też uzyskiwać liczne informacje od angielskich specjalistów, zatrudnianych na radzieckich budowach. W połowie lat trzydziestych jednak werbowanie agentów stało się niewykonalne. W Zwiśzku Radzieckim przestał funkcjonować podstawowy impuls skłaniający ludzi do zajmowania się szpiegostwem: nikt tam nie potrzebował funtów ani dolarów, które w tym kraju nie miały żadnej wartoci, nie można było bowiem za nie nic kupić. Wypłacanie szpiegom rubli też mijało się z celem, gdyż człowiek wydający nieco ponad normę zostałby natychmiast zadenuncjowany przez sprzedawcę w sklepie, sšsiada lub wcibskiego działacza komitetu domowego. Odkładanie szpiegowskich zarobków w banku na zachodzie też nie nęciło obywateli ZSRR, gdyż bardzo niewielu mogło liczyć na otrzymanie paszportu. W tej sytuacji Secret Intelligence Service koncentrował się na penetrowaniu rodowiska rosyjskich emigrantów w Paryżu. Berlinie i Londynie.

- No, to jesteśmy w komplecie - powiedział Baldwin, wchodząc do salonu razem z ministrem spraw zagranicznych, Anthonym Edenem. - Wybaczcie drobne spónienie, ale nowy poseł rumuński chciał koniecznie wyrzeć jak najlepsze wrażenie, co niestety zajęło mu trochę więcej czasu, niż przewidywaliśmy.

Halifax skinšł głowš w stronę Sinclaira, co miało oznaczać, że po zakończeniu narady wypłaci przegrane gwineę.

- Proszę panów - Baldwin rozpoczął spotkanie wyraźnie zmęczony po dniu pracy - 25 stycznia przybywają delegacje, które wezmą udział w pogrzebie króla. Sądzę, że najbardziej interesująca dla nas jest delegacja rosyjska, której przewodniczy minister... czy jak oni nazywają... komisarz ludowy spraw zagranicznych. Maksim Litwinów. Nie będę się modlić na pogrzebie króla, ale zapewne liczę na serię formalnych i nieformalnych spotkań, aby określić swoją politykę w nowych warunkach kształtujących się na kontynencie. Zaprosiłem panów, aby poznać wasze opinie na ten temat. Pana zdanie ministrze? - Baldwin zwrócił się do Anthonyego Edena.

- Bez wątplenia Stalin nie ma zamiaru zmieniać dotychczasowej polityki, w której priorytet mają Niemcy. Ponieważ jednak jest to miłość bez wzajemności, Stalin podejmuje flirt z państwami demokratycznymi, starając się wywołać zazdrość Hitlera i w ten sposób skłonić go do współpracy z Rosją. Liczy się z tym, że Hitler odrzuci jego zabiegi, a wówczas Stalin zmierzać będzie do połączenia się z nami...

- Nie można mu odmówić zręczności - powiedział Baldwin.

- Skład radzieckiej delegacji wskazuje na dużą elastyczność. Bez wątplenia dwaj najciekawszy ludzie to Litwinów oraz marszałek Tuchaczewski. Pierwszy uważany jest za zwolennika sojuszu z państwami demokracji, drugi - za

przeciwnika Niemiec.

- Jakie jest pana zdanie, lordzie? - Baldwin zwrócił się do Halifaxa.

- Według powszechnej oceny, Tuchaczewski nie lubi Niemców, aczkolwiek wiele wskazuje na to, że żywi podziw dla ich dokonań i może łatwo pozbyć się uprzedzeń, jeżeli Niemcy zdecydują się ożywić współpracę z Rosjanami, których prowadzili w okresie rapalleńskim. Obecnie jednak nie mamy żadnych informacji o bezprecedensowej współpracy wojskowej Wehrmachtu i Armii Czerwonej.

- Na podstawie publicznych wystąpień Tuchaczewskiego można uznać, że jest on nieprzejednanym wrogiem Niemiec. Uważa, że między obydwojma państwami wybuchnie wojna. - Admirał Sinclair doszedł do wniosku, że najwyższy czas włączyć się do rozmowy. - Mówię o jego artykule opublikowanym 31 marca ubiegłego roku przez gazetę „Prawda”, która ma szczególne znaczenie w Rosji, będąc jakby oficjalną wykładnią stanowiska władz, w tym wypadku wojskowych. Tuchaczewski pisał otwarcie o planach Niemiec zmierzających do wywołania wojny ze Związkiem Radzieckim.

- Rozmawiałem ze Stalinem w czasie mojego ostatniego pobytu w Moskwie - wtrącił minister Eden. - Powiedział mi, że Tuchaczewski konferował z Göringiem na temat wspólnego planu agresji na Francję. To było wprost szokujące. Ssądzę, że Stalin starał się zawrzeć w tej nieprawdopodobnej wprost informacji przestrożę dla nas i jednocześnie chciał zdyskredytować Tuchaczewskiego.

- Czy oznacza to, że Tuchaczewski przekracza wyznaczone mu przez Stalina kompetencje? - Baldwin utwierdzał się w mniemaniu, że rozwiązanie rosyjskiej

łamigłówki jest niezwykle trudne.

- Tuchaczewski musi działać na polecenie Stalina lub co najmniej za jego przyzwoleniem. Być może jednak czasami jest nadgorliwy. Ostatnio np. publicznie oskarżył Niemców, że zmierzają do wywołania wojny. Muszę zwrócić uwagę pana premiera na szczególny fakt... - Halifax na chwilę przerwał, aby wzmocnić wymowę dalszych słów: - Tuchaczewski zdaje sobie sprawę, że w razie wojny z Niemcami Armia Czerwona nie sprosta Wehrmachtowi. Dlatego uznał, że Rosjanie mają dwie drogi: albo zawrzeć cisły sojusz z Hitlerem, albo szukać na Zachodzie silnych sojuszników, z którymi mogliby utworzyć antyhitlerowski blok. Przypuszczam, że w czasie najbliższej wizyty rosyjskiej delegacji będziemy wiadkami próby wytyczania tej drugiej drogi.

- Zapewne w tym samym czasie inna ekipa rosyjska w Berlinie wytyczać będzie pierwszą drogę. - Sinclair wydobyl z teczki plik papierów. - Mam tu doć dokładny raport na temat posunięć dyplomacji sowieckiej w Berlinie. Wynika z niego jednoznacznie, że Stalin, wysyłając do Berlina generałów znanych z proniemieckich sympatii, takich jak Uborewicz i Jegorow, stara się usilnie nawiązać jak najbliższe kontakty z Hitlerem. Spostrzeżenia panów są niewątpliwie całkowicie uzasadnione, ja jednak na podstawie informacji z Berlina muszę stwierdzić, że podstawowym celem dyplomacji radzieckiej jest zawarcie sojuszu z Niemcami, a wszystkie inne działania, jak kontakty z nami czy Francją, nie mają dla nich większego znaczenia.

- Jak Niemcy oceniają Tuchaczewskiego? - zapytał Baldwin, który dokładnie notował słowa Sinclaira.

- Wiemy z całą pewnością, że są doskonale zorientowani w działalności Tuchaczewskiego i zaniepokojeni faktem, iż w najwyższych władzach wojskowych Rosji jest człowiek otwarcie występujący przeciwko nim. - Sinclair spojrzął na leżące przed nim papiery zawierające bardzo szczegółowe analizy, przygotowane przez szefa siatki wywiadowczej w Berlinie, pułkownika Christiego. - Możemy uznać, że zrobił wszystko, aby... - zawahał się szukając odpowiedniego słowa - ...aby zaszkodzić Tuchaczewskiemu.

Sinclair miał doskonałe informacje. Niemcy byli zdecydowani zniszczyć Tuchaczewskiego za wszelką cenę. Była jednak sprawa, o której nie wiedział ani Sinclair, ani szef niemieckiej służby bezpieczeństwa, Reinhard Heydrich. Tuchaczewskiego chciał zniszczyć również Stalin i jego organizacja - NKWD...

Reinhard Heydrich

Szef Sicherheitsdienst, Reinhard Heydrich, podniósł słuchawkę telefonu.

- Niech przyjdzie do mnie Behrends - powiedział do sekretarki.

- Standartenführer już czeka. . .

- To niech wejdzie.

Zameldował się Hennann Behrends, szef Sekcji Wschodniej SD, specjalista od spraw radzieckich. Heydrich wskazał ręką krzesło przed biurkiem.

- Zdecydowałem się spotkać z tym rosyjskim generałem. Niech więc pan przedstawi mi wszystko, co o nim wiemy.

Behrends rozłożył na kolanach papierowš teczkę, na której brzegu widniały duże, czarne litery "Geheim".

- Nikołaj Skoblin zrobił szybks karierę w Armii Ochotniczej Komiłowa. gdzie wstšpił w 1917 r. W cišgu kilku miesięcy awansował ze stopnia sztabkapitana do generała majora. Od 1921 r. na emigracji. Od 1930 r. w Paryżu; w tym samym roku wstšpił do emigracyjnej organizacji Rosyjski Powszechny Zwišzek Wojskowy (ROWS). gdzie pełnił funkcję szefa służby informacyjnej. Utrzymuje ciste kontakty z rosyjskimi emigrantami w Berlinie. Na przełomie 1935 i 1936 r. nawišzał kontakt z nami. Głównym powodem były zapewne antykomunizm i oczywicie pienišdze. Wszystkie informacje, które nam przekazał, okazały się prawdziwe. Prawdopodobnie współpracuje również z rosyjskimi służbami specjalnymi. Uważam, że jest agentem rosyjskiego wywiadu wojskowego. To najważniejsze informacje - zakończył Behrends, kładšc przed Heydrichem zdjęcie przedstawiajšce szczupłego mężczyznę z sumiastymi wšsami.

Heydrich umiechnšł się.

- Nie sšdżę, żebym miał kłopoty z rozpoznaniem tego Skoblina. chyba że zgoli wšsy. Gdzie zorganizował pan spotkanie?

- Hotel „Ambasador”, pokój 12, drugie piętro. Recepcjonista jest nasz, więc nie będzie zadawał pytań.

- Dziękuję, sędzę, że ta sprawa może mieć dla nas kapitalne znaczenie.

Behrends wyszedł z gabinetu, a Heydrich skierował się do niewielkiego pokoju obok, gdzie zrzucił mundur. Założył garnitur, ciemną, gabardynową kurtkę, a na głowę wcisnął kapelusz. Nie lubił cywilnego ubrania, ale w mundurze SD nie mógł spotykać się z agentem. Wyszedł z gabinetu i skręcił w stronę tylnego wyjścia. Nie chciał, aby widziano, jak wsiada do samochodu na Prinz Albrecht Strasse, gdzie mieściła się siedziba SD. Samochód czekał więc na niego na podwórzu z tyłu budynku.

- Jed do hotelu „Ambasador” - powiedział do kierowcy. Nie musiał podawać adresu, gdyż hotel ten był dość często wykorzystywany przez Służbę Bezpieczeństwa, podobnie jak prywatne mieszkania w różnych dzielnicach Berlina. Decydując się na spotkanie ze Skoblinem, Heydrich rozważał, czy nie zaproponować jakiegoś mieszkania, ale nie chciał dekonspirować tych miejsc przed rosyjskim

MIERĆ MARSZAŁKA

agentem. Informacja, którą Skoblin przekazał z Paryża, była elektryzująca:

„Spisek wojska przeciwko Stalinowi. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski”. Heydrich uznał, że trafia mu się okazja do niezwyklej rozgrywki. Bez względu na to, kto i jak zamierzał obalić Stalina, sama informacja mogła mieć ogromne znaczenie dla polityki Niemiec.

Heydrich nie mógł pozwolić na wypuszczenie z rąk sprawy, która mogła przesądzić o jego karierze i rozwoju organizacji, kierowanej przez niego. Jeżeli

Skoblin mówił prawdę, to należało włšczyć się w grę i pomóc w obaleniu Stalina.

Sicherheitsdienst była jednak za słaba, aby zadaniu takiemu podołać. Prawdopodobnie żadna tajna służba wiata nie zdołałaby pomóc spiskowcom, gdyż granice Zwišzku Radzieckiego były szczelnie zamknięte. Ale można było przecież poinformować Stalina, a wówczas on sam wykończyłby Tuchaczewskiego i innych buntowników, którymi byli zapewne ludzie z najbliższego otoczenia marszałka, a więc trzon dowódczy Armii Czerwonej. Ich usunięcie za byłoby dotkliwym ciosem dla radzieckiej obrony.

Samochód zatrzymał się przy Kólnstrasse.

- Nie przyjeżdżaj po mnie - powiedział do kierowcy. Postawił kołnierz płaszcza, nie wiadomo, czy po to. by ochronić twarz przed silnym wiatrem, czy też zasłonić jš przed wzrokiem przechodniów. Przebiegł na drugš stronę ulicy i skierował się do hotelu. Minšł szybko recepcję i wbiegł na szerokie, wyłozone dywanem schody. Recepcjonista podniósł się. ale poznawszy go. wrócił do polerowania mosiężnych ozdób nad kontuarem. Heydrich dotarł na drugie piętro. odszukał pokój nr 12. zastukał do drzwi i. nie czekajšc na zaproszenie, nacisnšł klamkę.

Na łóžku leżał mężczyzna, który na widok przybysza zerwał się. podszedł do krzesła, zdjšł z poręczy marynarkę i nałozyl jš.

- Jak się pan czuje w Berlinie, generale Skoblin? - Heydrich wycišgnšł rękę.

- Dziękuję, lubię to miasto i zawsze się cieszę, gdy mogę tu przyjechać - niewprawnš niemczyznš powiedział Skoblin.

- W tym pokoju możemy rozmawiać zupełnie spokojnie. - Heydrich zdjął płaszcz i usiadł przy stole. - Wiadomość z Paryża była dla nas bardzo interesująca. Proszę o bliższe szczegóły.

Skoblin zawahał się myśląc, czy nie przedstawić najpierw warunków, ale uznał widocznie, że informacje są tak ważne, iż szef Służby Bezpieczeństwa nie będzie się potem targować.

- W Moskwie przygotowuj się do zamachu na Stalina. Po jego obaleniu ma być wprowadzona dyktatura wojskowa. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski...

Skoblin potwierdzał informację, którą przekazał z Paryża. A więc jednak Tuchaczewski włączył się do spisku. Heydrich poczuł się nagle jak myśliwy, któremu udało się trafić wspaniałego dzika i teraz idzie po ładach krwi. Był pewny, że ta zdobycz mu nie umknie. Jeżeli jednak Skoblin kłamał? Wówczas byłoby oczywiste, że działa na polecenie z Moskwy. Nie mógł sam wymyślić sprawy Tuchaczewskiego, która - jak łatwo można było przewidzieć - zainteresuje najwyższe władze Niemiec. Nie ryzykowałby wprowadzenia w błąd SD, która Sowietom opłacała informacje, jakie dotychczas przekazywał, ani tym bardziej ciśnięcia na swoją głowę gniewu wysokich funkcjonariuszy. Jeżeli więc kłamał, to na polecenie NKWD. To za bardzo by Heydrichowi odpowiadało. Udział NKWD w całej sprawie gwarantował sukces. Była to gra warta wiecej.

- Słucham dalej, generale...

- Jak pan zapewne wie, marszałek Tuchaczewski był w styczniu tego roku w Londynie, a następnie zatrzymał się na kilka dni w Paryżu...

- Na siedem dni - wtrącił Heydrich.

- Tak, dokładnie - potwierdził Skoblin. - Londyńska część podróży marszałka jest mi nie znana, ale o pobycie w Paryżu wiem bardzo wiele. Tuchaczewski rozmawiał z przedstawicielami francuskiego rządu o możliwości obalenia Stalina. Odbył tajne rozmowy z marszałkiem Petainem, ministrem spraw zagranicznych, ministrem wojny, a także przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej, generałem Maurice'em Gamelinem. Domyśla się pan, że ludzie, którzy chcą stworzyć nowy rząd w Moskwie, muszą się liczyć z reakcjami mocarstw zachodnich. Nie wiem, w jakim stopniu Tuchaczewski wyjawiał swoje plany oficjalnym przedstawicielom rządów brytyjskiego i francuskiego, znam natomiast przebieg jego spotkania z generałem Jewgienijem Millerem, przywódcą ROWS. Usiłując pozyskać go dla swoich planów, jasno przedstawił zamiar obalenia Stalina. Sformułowania, jakich użył, nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Należy wnioskować, że przygotowania są zaawansowane. Z rozmowy z Millerem wynikało, że marszałek stara się zrealizować plan przejęcia władzy w Rosji przy współpracy niemieckiej generalicji. A na ten temat pan może pewnie uzyskać więcej informacji z Abwehry...

- Czy ma pan jakie dowody?

- Spiskowcy starają się nie zostawiać ladów, a tym bardziej pisemnych.

Zwłaszcza w Moskwie - powiedział z umiechem Skoblin. - Jak pan się zorientował, moje informacje pochodzą z pierwszej ręki i wykluczam możliwość pomyłki. Reszta należy do pana...

Heydrich wyszedł z kieszeni kopertę zawierającą plik banknotów i położył ją na stole przed Skoblinem.

- Do następnego spotkania, generale. Jeżeli dowiedziałyby się pan czego nowego, to oczywiście proszę o natychmiastowy kontakt.

Heydrich wyszedł z hotelu i postanowił powrócić piechotą na Prinz Albrecht Strasse. Chciał mieć czas na przemyślenie sprawy. Czuł, że może zyskać bardzo wiele, jeżeli potrafi informacje odpowiednio wykorzystać. Przygotowanie intrygi, w wyniku której zniszczono by Tuchaczewskiego i kadrę dowódczą Armii Czerwonej, wymagało akceptacji Himmlera i zapewne samego Hitlera. Oni wprowadzili Sowietom nagrodę sukces, ale każdy błąd oznaczałby koniec obiecującej kariery szefa Sicherheitsdienstu.

Po powrocie do biura Heydrich zatelefonował natychmiast do swojego protektora, szefa SS, Heinricha Himmlera, i poprosił o natychmiastowe spotkanie w sprawie, która może być ważna dla Niemiec".

- A jeżeli całą sprawę aranżuje NKWD? - zapytał Himmler, gdy tylko

Heydrich zakończył relacjonować przebieg spotkania ze Skoblinem.

- To znaczy, że zmierzają do zlikwidowania marszałka i zapewne kilkudziesięciu innych wysokich oficerów. Prawdopodobnie nie mają żadnego dowo-

du przeciwko nim i liczę, że jeśli sprawa nas zainteresuje, to my przygotowujemy materiały, które pozwolą rosyjskim sądom skazać Tuchaczewskiego i jego towarzyszy na karę śmierci pod zarzutem zdrady lub szpiegostwa na rzecz Niemiec. Skoblin jest bez wątpienia podwójnym agentem. Nie wierzę, aby w czasie pobytu w Londynie i Paryżu Tuchaczewski informował przedstawicieli rządów tamtych państw o zamiarze obalenia Stalina. Tym bardziej nie ujawniłby takich planów szefowi emigracyjnej organizacji, który nienawidzi go za przystąpienie do komunistów i który może być agentem NKWD. Tak więc albo rzeczywiście Tuchaczewski zaangażował się w spisek, co NKWD wykryło, lecz nie ma dowodów i oczekuje, że my je dostarczymy, albo też nie istnieje żaden spisek, a NKWD - bez wątpienia na polecenie Stalina - chce zniszczyć marszałka, z nieznanych jeszcze nam powodów. Jego pozycja jest zbyt poważna, aby bez niezbitych dowodów postawić go pod murem. Trzeba przekonać władze partii, że Tuchaczewski jest szpiegiem i zdrajcą. Uważam, że - bez względu na motyw - dostarczenie dowodów zdrady Tuchaczewskiego jest dla nas korzystne.

- I oczywiście zrobimy to - stwierdził Himmler. - Liczę, że całą operację przeprowadzi pan nie szczędząc sił i środków. Wiem, że pan doskonale rozumie wagę tej sprawy nie tylko dla Rzeszy, ale również dla pana... Proszę przygotować się do spotkania u fuhrera.

24 grudnia 1936 r. we wczesnych godzinach porannych Himmler i Heydrich stawili się w Kancelarii Rzeszy.

- Nasza Służba Bezpieczeństwa uzyskała informacje o spisku, organizowanym

przez rosyjskich oficerów, w celu obalenia Stalina. Według informacji SD, na czele spisku stanął marszałek Michaił Tuchaczewski - relacjonował Himmler, starając się w każdym zdaniu podkreślić zasługi nadzorowanej przez siebie organizacji. Był jednak zbyt wytrawnym graczem, aby angażować się osobiście w sprawę. Jej fiasko mogliby wykorzystać ludzie zazdroni o sympatię Hitlera. - jego zastępcę Rudolf Hess i Martin Borman. szef kancelarii fuhrera - którzy uważnie przysłuchiwali się słowom Himmlera.

- W sprawę zaangażował się Reinhard Heydrich, który zebrał najwięcej materiałów - dokończył Himmler.

Hitler spojrzał na Heydricha, który był wyraźnie podenerwowany, ale potrafił wspaniale panować nad sobą. Wsunął się pół kroku do przodu.

- Kilka dni temu spotkałem się w Berlinie z naszym agentem działającym w środowisku rosyjskiej emigracji. Dotychczas uzyskiwaliśmy od niego absolutnie pewne informacje, dlatego na obecnym etapie nie mam powodów wątpić w prawdziwość wiadomości na temat przygotowywanego zamachu i udziału w nim marszałka Tuchaczewskiego. - Mówił pewnie i płynnie, co podobało się fuhrerowi, wyraźnie coraz bardziej zainteresowanemu.

- Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem byłoby wsparcie Tuchaczewskiego i upadek Stalina, a zarazem bolszewizmu - Hitler wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po pokoju. - Nie sądzę jednak, żeby było to możliwe. Dlatego musimy wykorzystać sytuację do zlikwidowania Tuchaczewskiego i oficerów, którzy wspólnie z nim knuję przeciwko Stalinowi. Zdziestkowanie władz Armii

Czerwonej doprowadzi do jej poważnego osłabienia, a odbudowa kadry zajmie im wiele lat! Ssędzę również, że usunięcie Tuchaczewskiego. głównego architekta porozumienia z Francją, może przeszkodzić w zacieńczeniu stosunków między Rosją a Francją, szczególnie niekorzystnych dla Rzeszy. Musimy pamiętać, że otaczają nas wrogowie. Dlatego każdy cios im wymierzony jest ważny. Ma pan moje pełne poparcie w tej sprawie. - Hitler zwrócił się do Heydricha: - Oczekuję szczegółowych raportów. Proszę kontaktować się z moim zastępcą.

Narada była skończona. Himmler i Heydrich uzyskali to, czego oczekiwali:

osobiste poparcie fuhrera. Heydrich postanowił nie podejmować jednak żadnych działań, dopóki nie przemyśli starannie wszystkich kroków, a okres wiśt wydawał się doskonałą okazją ku temu. Wrócił do swojego gabinetu i wezwał Behrendsa oraz Obersturmführera Alfreda Naujocksa. Krótko zrelacjonował im przebieg konferencji u Hitlera i polecił, aby w ciśgu najbliższych dni zastanowili się nad działaniem w sprawie Tuchaczewskiego.

- Przypominam panom, że sprawś interesuje się osobicie Adolf Hitler.

a bezporedni nadzór sprawuje Rudolf Hess. Teraz życzę wam wesołych wiśt.

4 stycznia Behrends i Naujocks mogli już przedstawić szefowi doć precyzyjny plan postępowania.

- Jest oczywiste, że kontakty generalicji niemieckiej i rosyjskiej nie mogły ujć uwagi Abwehry. W archiwum wywiadu powinna się znaleźćteczka zawierająca wszystkie informacje o oficjalnych i prywatnych kontaktach oficerów Reichswehry i Armii Czerwonej. Najważniejsza część tego dossier dotyczy-

łaby najbliższego nam okresu, gdy Abwehrę zainteresowała możliwość współdziałania generalicji Wehrmachtu i Armii Czerwonej w dokonaniu zamachu stanu w Związku Radzieckim - referował Behrends. - Powinny to być stenogramy podsłuchiowanych rozmów telefonicznych, raporty bezporedniej inwigilacji naszych oficerów oraz kopie lub zdjęcia przechwyconych listów. Wśród nich powinien znaleźć się list marszałka Tuchaczewskiego do jednego z naszych generałów, zawierający wybrane informacje o przygotowywanym zamachu. Oczywiście dokumenty będą miały wszystkie atrybuty sprawy urzędowej: pieczęcie, urzędowe adnotacje itp. Co więcej, sprawa, jako szczególnie ważna, powinna nosić ludy osobistego zainteresowania admirała Canarisa, a może nawet... - Behrends zawahał się na moment.

- Samego fuhrera - podpowiedział Heydrich. To dobry pomysł i sądzę, że spodoba się fuhrerowi. Proszę dalej...

- Fotokopie najważniejszych dokumentów z archiwum Abwehry powinny znaleźć się u nas. Jeden z naszych ludzi zdecyduje się wykraść te dokumenty i fotokopie sprzedać Rosjanom. Problemem pozostaje sposób powiadomienia ich o możliwości zakupu dokumentów za wysoką, acz niezbyt wygórowaną, cenę. Inaczej mówiąc, Rosjanie powinni się dowiedzieć, że mam dowody zdrady Tuchaczewskiego od kogo wiarygodnego dla nich, i następnie powinni wykazać chęć kupna dokumentów. To wszystko. A oto notatka - Behrends położył na biurku szefa kilka kartek maszynopisu.

- Akceptuję ten plan - powiedział Heydrich. - Obersturmführer Naujocks zajmie się sprawą technicznego wykonania wspomnianych dokumentów. Ocze-

kuję, że w najbliższym czasie dostarczy mi pan ich szkice. Nie chciałbym wyznaczać konkretnych terminów, gdyż nadmierny popiech mógłby stać się przyczyną niewybaczalnego błędu. Nie oznacza to jednak, że stać nas na marnotrawienie czasu.

- Niezbędne jest ustalenie nazwisk niemieckich oficerów, nazwisk, które znajdą się w przygotowywanych przez nas dokumentach; musimy też uzyskać autentyczne informacje dotyczące służbowych kontaktów naszych oficerów z Rosjanami w latach 20. Te dane znajdują się w archiwum Abwehry, lecz nie sądzę, żeby tak łatwo nam je udostępnili.

- Te papiery będziemy mieć - obiecał z naciskiem Heydrich. - Jeżeli nawet ludzie mający pieczę nad archiwami nie chcieliby nam przekazać odpowiednich dokumentów. Oczekuję od panów codziennych ustnych raportów z przebiegu akcji.

Naujocks zabrał się do poszukiwania fałszerza, który potrafiłby po mistrzowsku podrobić podpisy oraz sfalszować listy i urzędowe adnotacje. W piwnicach budynku SD przy Prinz Albrecht Strasse znajdowała się dobrze wyposażona drukarnia, ale Naujocks uważał, że żaden z pracujących tam ludzi nie potrafi wykonać tak trudnego zadania. Co najważniejsze za, człowiek, który podjąłby się sfalszowania dokumentów, musiałby być godzien całkowitego zaufania.

Mijały dni, a Naujocks nie miał odpowiedniego kandydata. Zdecydował się wreszcie zasięgnąć rady kolegi z SD, znanego z powiślań ze wiatem przestępczym, Wemera Gróthego. Ten wskazał mu niewielką drukarnię w dzielnicy Kópenick, prowadzoną przez Franza Putziga.

Do oficyny, gdzie wstawiono kilka maszyn drukarskich, Naujocks dotarł pónym wieczorem. Przeszedł przez wšski korytarz, skšpo owietlony gołš żarówkš, otworzył drzwi z brudnymi szybami i wszedł do niewielkiego kantorka, gdzie tyłem do wejcia siedział pochylony nad papierami tęgi mężczyzna.

Z danych zebranych przez SD wynikało, że Franz Putzig miał 58 lat, był rozwiedziony; w czasie wojny walczył we Francji, gdzie został dwukrotnie ranny.

Po powrocie do Niemiec przez kilka lat żył z zasiłków i wówczas to zaczął działać jako informator policji, a jednocześnie zajął się fałszowaniem dokumen-

tów. W 1929 r. wstšpił do nazistowskiej partii NSDAP. Otworzył niewielkš

drukarnię, ale ze względu na kryzys musiał jš zamknšć i przez kilka lat ródło

jego utrzymania pozostawało nieznane. W 1935 r. uruchomił drukarnię i praw-

dopodobnie zerwał ze wiatem przestępczym.

- Pan Putzig? - zapytał Naujocks.

Mężczyzna drgnšł i szybko odwrócił się w stronę drzwi.

- Tak, czego pan chce? - Podniósł się z krzesła i stanšł przed przybyszem.

- Przysyła mnie pański przyjaciel Wemer...

- Wemer Gróthe?

- Tak. Powiedział, że wystarczy powołać się na niego, by zyskać pańskie zaufanie...

- Zgadza się. To mój stary przyjaciel, któremu jestem wiele winien z czasów wojny i póniejszych. - Putzig wskazał krzesło, z którego wstał, a sobie przysunął stółek. - Co pana sprowadza?

- Mam pilnš robotę, za którš gotów jestem dobrze zapłacić.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z politykš?

- Absolutnie! - zapewnił Naujocks. - Potrzebny mi paszport na nazwisko Kurt Blomke. Oto wszystkie dane. - Wycišgnął z portfela kartkę i własne zdjęcie. Czy może się pan tego podjąć?

Putzig wpatrywał się przez chwilę w kartkę.

- Wie pan, ja prowadzę legalny interes. Właciwie nie zajmuję się takimi sprawami. Jeżeli jednak przysyła pana Wemer, to nie mogę odmówić. Mógłby się obrazić... Dobrze, zrobię to. Nawet dużo nie wezmę...

- Pienišdze nie odgrywajš roli. Kiedy mogę zgłosić się po odbiór?

- Za dwa dni. Proszę przyjć o tej samej porze.

Naujocks był punktualny. Niecierpliwie czekał, aż Putzig wycišgnie ze szpary w szafce paszport. Okładka była lekko zniszczona, niektóre kartki miały tłuste plamy. Dokument tworzył wrażenie autentycznego i wielokrotnie używanego.

- Skoro Kurt Blomke jest handlowcem, to musi często wyjeżdżać, a więc i posługiwać się paszportem. Dlatego dokument jest doć zużyty. Zapewniam

pana. że może pan zgłosić się do urzędu i zażądać wymiany na nowy. Żaden z urzędników nie zorientuje się. że paszport jest fałszywy. - Putzig był dumny ze swojej pracy.

Naujocks wyciągnął z kieszeni szkło powiększające i kartka po kartce zaczął badać paszport. Dokument był podrobiony po mistrzowsku. Znaki wodne, pieczęcie, podpisy wydawały się absolutnie prawdziwe. Schował go i zapłacił żdanš kwotę. Był zadowolony. Bardzo zadowolony. Znalazł wreszcie człowieka, który nadawał się do sfalszowania listu Tuchaczewskiego i kilku innych dokumentów.

W tym samym czasie Heydrich opracowywał plan przekazania Rosjanom ..dowodów zdrady" Tuchaczewskiego. Zdawał sobie sprawę, że jest to jeden z najważniejszych elementów akcji. Radzieckie tajne służby były bardzo podejrzliwe. Wszędzie węszyły zdradę, spisek i kłamstwo. Było więc oczywiste, że pakiet dokumentów, choćby najlepiej sfalszowanych, wywoła ich nieufność. Heydrich postanowił działać z rozmysłem. Informacje o zdradzie powinny dotrzeć do Moskwy najpierw w postaci plotek, wynikłych z gadulstwa niemieckich dyplomatów. Zakładał, że Rosjanie nie uwierzą w nie, ale odnotują. To za wystarczy do przygotowania gruntu głównego działania, jakim będzie przekazanie zasadniczej informacji. Kto mógłby ją przekazać? Narada, którą Heydrich odbył w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wskazała na Czechów. Od listopada 1936 r. trwały negocjacje między Niemcami i Czechami na temat możliwości poprawy stosunków i zawarcia paktu o nieagresji. Czesi byli tym szczególnie zainteresowani, podczas gdy Niemcy nie traktowali rokowań poważ-

nie. Spotkania głównych negocjatorów: czeskiego posła w Berlinie, Yojtecha Mastnego, i Maximiliana Karla von Trauttmansdorffa stwarzały jednak pewne możliwości.

Heydrich uznał, że istnieje niepowtarzalna szansa wykorzystania Czechów jako pośredników w wielkiej rozgrywce z Tuchaczewskim. Ta droga prowadziła wprost do prezydenta Czechosłowacji. Eduarda Beneša, który - szczególnie zainteresowany płynnym przebiegiem negocjacji z Niemcami - nerwowo reagował na wszelkie zakłócenia. A pojawiły się one na początku 1937 r. Niemiecki negocjator, hrabia von Trauttmansdorff, powiadomił Mastnego, że w stosunkach ze Związkiem Radzieckim wypłynęły nowe sprawy, pozostające w bezprecedensowym związku z rokowaniami niemiecko-czechosłowackimi. Mastny przekazał informację prezydentowi. Wydawałoby się, że niewiele znaczyła. Jeżeli jednak prezydent chciałby się dowiedzieć czego bliższego, musiał przypomnieć sobie informację czeskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którą otrzymał w grudniu 1936 r. Ministerstwo informowało wówczas, że Niemcy zmierzają do obalenia władz Związku Radzieckiego, wykorzystując spisek w Armii Czerwonej. Beneš uwierzył w tę informację i natychmiast podzielił się nią z rządem francuskim. W połowie stycznia Yojtech Mastny powiadomił prezydenta, że Hitler prowadzi inne rokowania, które, jeżeli się powiedzą, będą miały wpływ chyba też na nasze [tj. czzechosłowackie - BW] sprawy. Należałoby więc odłożyć rokowania między Berlinem i Pragą na późniejszy okres. Zapewne wówczas Czesi uwierzyli, że Niemcy poważnie biorą pod uwagę możliwość przewrotu wojskowego w Związku Radzieckim i oczekując na wydarzenie, które stworzy nową sytuację polityczną w Europie, mogą wstrzymać działania dyplomatycz-

ne. Należało Czechów w tym przekonaniu utwierdzić. Nie było to trudne, skoro Hitler nie traktował poważnie negocjacji z tym krajem. W końcu stycznia zawiesił rokowania na dwa tygodnie. Zaniepokojony Mastny zwrócił się do hrabiego Trauttmansdorffa o wyjaśnienia. Ten zastrzegając się, że przekazuje poufne informacje, oświadczył, że fuhrer oczekuje na przewrót w Moskwie, w wyniku którego zostanie usunięty Stalin, co przesądzi o polityce Niemiec wobec Związku Radzieckiego i innych państw europejskich. Mastny nie uwierzył wprawdzie w to wyjaśnienie, ale nie mógł zatrzymać dla siebie tak sensacyjnej wiadomości. 9 lutego wysłał do prezydenta Beneša telegram, w którym napisał:

Prawdopodobnie przyczyną decyzji kanclerza [Hitlera - BW] odroczenia rozmów jest przypuszczenie oparte na określonych dowodach, które otrzymał z Rosji, że wkrótce możliwy jest tam nagły przewrót, który powinien doprowadzić do usunięcia Stalina i Litwinowa oraz ustanowienia dyktatury wojskowej. Beneš nie mógł zlekceważyć tego i wielu innych sygnałów wskazujących, że Niemcy wspólnie z najwyższymi dowódcami Armii Czerwonej przygotowują zamach stanu.

Co oznaczałoby to dla Czechosłowacji? Zwycięstwo zamachowców, związanych z Niemcami i korzystających z ich pomocy, pociągnęłoby za sobą ciły sojusz Moskwy i Berlina, bardzo niekorzystny dla Czechosłowacji. Beneš mógł więc uznać, że w interesie jego państwa leży powstrzymanie zamachowców i niedopuszczenie do usunięcia Stalina, który zdawał się być gwarantem integralności Czechosłowacji. Beneš mógł przeszkodzić spiskowcom, informując Stalina o niebezpieczeństwie. Musiał jednak mieć konkretne dowody. Niedyskre-

cje niemieckiego dyplomaty, informacje wywiadowcze i plotki zbierane w Berlinie nie wystarczały do oskarżenia radzieckich dowódców o zdradę. Benes musiał zyskać niezbity dowód...

Prezydent Czechosłowacji Benes

Heydrich, minšwszy masywne, dębowe drzwi, wszedł do gabinetu szefa wywiadu wojskowego Abwehry, admirała Wilhelma Canarisa. Stał w odległości kilku metrów od biurka i zameldował się zgodnie z wymogami regulaminu wojskowego. Canaris wydawał się speszony słubistym zachowaniem starego znajomego. Poznali się jeszcze w 1923 r., na krżżowniku Berlin, gdzie pierwszym oficerem był Canaris. a Heydrich odbywał szkolenie.

Gdy Heydrich został szefem służby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo NSDAP, uznał, że warto przyjrzeć się bliżej działalności wywiadu wojskowego i jego szefa. Nie miał konkretnego powodu, aby zacząć ledzić admirała. Po prostu z reguły nie dowierzał oficerom. Uważał (i słusznie), że spiskujš przeciwko Hitlerowi, nie mogšc cierpieć. że kapral wydaje im rozkazy. Dlatego nakazał ledzić Canarisa i założyć podsłuch w jego biurze. Z dziesiątków meldunków i raportów zaczęły wyłaniać się wštpliwoci co do lojalnoci szefa wywiadu wobec fuhrera. Były to jednak tylko poszlaki, których Heydrich nie mógł wykorzystać. Zaatakować szefa wywiadu wojskowego, postawionego na tym stanowisku przez samego Hitlera, mógłby tylko wówczas, gdyby miał w ręku niepodważalne dowody jego zdrady, a Canaris był zbyt sprytny na zostawianie ladów, zwłaszcza że człowiek z zewńsztr nie mógł ocenić, co w działalności

Abwehry jest zdrajcą, a co prowokacją wobec wrogię wywiadu...

Canaris szybko zorientował się w zamiarach SD i odpowiedział kontruderzeniem: zaczął zbierać materiały obciążające Heydricha. Podczas jednej z rozmów dał mu wyranie do zrozumienia, że ma dowody jego homoseksualizmu oraz podejrzenia co do „czystości rasowej” ojca. co oznaczało, że ojciec Reinharda był Żydem. Każde z tych oskarżeń, poparte dowodami, mogło w jednej chwili zniszczyć ambitnego szefa Służby Bezpieczeństwa. Dlatego też Heydrich musiał milczeć, choć nie zrezygnował ze zbierania materiałów obciążających szefa Abwehry. Czekał na ostateczne dowody nielojalności Canarisa. by go zaatakować tak skutecznie, że ten nie byłby w stanie się obronić.

Mimo wrogoci obydwaj szefowie tajnych służb utrzymywali pozornie poprawne stosunki.

Heydrich przyszedł prosić Canarisa o zgodę na wydostanie z archiwum Abwehry dokumentów dotyczących lat 20. Potrzebował ich dla fałszerzy, którzy znaleliby tam podpisy ludzi interesujących SD. notatki służbowe, listy, oficjalne i prywatne pisma, mające stać się wzorcami dla preparowanych dokumentów. Heydrich oczekiwał jednak odmowy i nie pomylił się.

- Mój drogi Heydrich. - Canaris podczas rozmów w cztery oczy pozwalał sobie na poufałość wobec młodszego kolegi i zdawał sobie sprawę, że bardzo drażni to rozmówcę. - Wiem. że w naszym fachu nie należy pytać, czemu ma służyć to przedsięwzięcie...

- Tak, tym bardziej że zainteresowane są nim władze Rzeszy - przerwał

Heydrich. Nie chciał przywoływać nazwiska Hitlera, ale zdawał sobie sprawę, że Canaris doskonale rozumie, kogo miał na myli.

- Ależ tak. Skoro pan do mnie przyszedł, musi mieć to szczególne znaczenie. - Canaris zagłębił się w fotelu za ogromnym biurkiem. - Oczywiście nie widzę żadnych przeszkód w udostępnieniu Sicherheitsdienstowi dokumentów z archiwum Abwehry. Ja oczywiście się zgadzam, ale muszę uzyskać pisemną zgodę naczelnego dowódcy wojsk lądowych, generała Wemera von Fritscha.

Canaris kłamał. Nie miał zamiaru udostępnić Służbie Bezpieczeństwa dokumentów. Sięgnął po pierwszy z brzegu pretekst, aby odwlec moment otwarcia archiwum. Gdyby Heydrich przyszedł z poleceniem podpisanym przez generała von Fritscha. Canaris znalazłby inne powody nieujawnienia dokumentów. Wiedział o niechęci Hitlera do generałów i sądził, że proba Heydricha związana jest z działaniem skierowanym przeciwko najwyższym oficerom Wehrmachtu, a on - jeden z głównych spiskowców przeciw Hitlerowi - do tego dopuścić nie mógł.

Heydrich wstał, podniósł rękę w pozdrowieniu i wyszedł z gabinetu. Stało się zgodnie z jego przewidywaniami, ale chciał, żeby Canaris wiedział, że dokumenty są potrzebne SD, i że SD je dostanie, bez względu na przeszkody. W ten sposób chciał wykazać, jak sprawnie organizację kieruje. Zadanie wydobycia dokumentów otrzymał współpracownik Heydricha, Walther Schellenberg. Miał zorganizować włamanie do Ministerstwa Wojny, gdzie przechowywano dokumenty Reichswehry, Wehrmachtu oraz Abwehry, i wydostać je za wszelką cenę. Schellenberg nie dowierzał umiejętnościom ludzi z SD i odwołał się do pomocy

szeffa policji kryminalnej, Arthura Nebego, który przysłał kilku zawodowych włamywaczy. W nocy z 1 na 2 marca 1937 r. do archiwów Abwehry dokonano włamania. „Złodzieje” skradli tajne materiały i podłożyli ogień w celu zatarcia ladów.

Heydrich sam wybrał dokumenty, które miały stać się wzorcami dla fałszywych raportów i listów. Na ich podstawie grupa kierowana przez Behrendsa, w której skład włączono czterech emigrantów rosyjskich, przygotowała treść „fałszywek”. Na początku kwietnia do drukarni Putziga ponownie zawitał Naujocks.

- Poznaje mnie pan? - Usiadł na krzele naprzeciw Putziga.

- Oczywiście, jest pan przyjacielem Wemera Gróthego.

- Jestem oficerem Sicherheitsdienstu. - Naujocks wyciągnął legitymację z kieszeni płaszcza i położył ją na stole. - Niech pan się nie obawia - dodał szybko, widząc lęk na twarzy drukarza. - Zamówienie na fałszywy paszport wykonywał pan dla SD. Chodziło jedynie o sprawdzenie pańskich umiejętności.

Teraz muszę odwołać się ponownie do pana lojalności i zaangażowania jako członka NSDAP. Mamy dla pana niezwykle ważne zadanie. Proszę zabrać rzeczy osobiste i udać się ze mną.

Nieufność i lęk nie zniknęły z twarzy Putziga.

- Zadania tego nie będzie mógł pan wykonać tutaj. Jego znaczenie dla Rzeszy i fuhrera wymaga, aby przez najbliższe kilka dni korzystał pan z naszych

pracownicy - wyjaniał Naujocks, aby uspokoić fachowca. - Pojedziemy do pana mieszkania, skąd zabierze pan najpotrzebniejsze rzeczy i natychmiast rozpocznie pracę w naszych laboratoriach. Ss lepiej wyposażone niż ta drukarnia - dodał z umiechem widząc, że drukarz odzyskuje dobre samopoczucie.

Jeszcze tej samej nocy w podziemiach budynku przy Prinz Albrecht Strasse Putzig rozpoczął niezwykle żmudną robotę. Naujocks powierzył mu wykonanie dokumentów wymagających szczególnej wprawy. Bez wątpienia był tam list Tuchaczewskiego. Wszystkich falsyfikatów Putzig wykonać nie mógł, gdyż zorientowałby się w planach SD i trzeba byłoby go zlikwidować, a Naujocks nie chciał pozbywać się fachowca tej miary, przewidując, że może się on jeszcze wielokrotnie przydać SD.

9 kwietnia Putzig wykonał zadanie. Heydrich z niedowierzaniem wpatrywał się w papiery dostarczone przez Naujocksa. Patrzył na nie pod wiatło, badał drobiazgowo przez szkło powiększające. Niepodobieństwem było jednak doszukanie się jakiegokolwiek błędu. List Tuchaczewskiego do nie wymienionego z nazwiska generała niemieckiego był wręcz majstersztykiem. Styl wypowiedzi, podpis, odręczne notatki na marginesach nie mogły pozostawiać cienia wątpiwości, że autorem jest radziecki marszałek. W licie Tuchaczewski zwierzał się z planów dokonania zamachu stanu i prosił o radę. Innym dokumentem, równie mistrzowsko wykonanym, była adnotacja szefa Abwehry nakazująca przekazanie dokumentów Hitlerowi.

Heydrich połączył się z Himmlerem i owiadczył, że jest gotów do omówienia głównego etapu akcji - przedstawienia dokumentów Rosjanom.

Himmler oczekiwał Heydricha z wyranš niecierpliwociš. Widać było, że gra wcišgnęła go, a zbliżajšce się rozstrzygnięcie sprawiało, że stawała się coraz bardziej podniecajšca.

Rozłożył na biurku papiery dostarczone przez Heydricha i kartka po kartce analizował je z niezwykłš wprost skrupulatnociš. Mijały minuty, a Himmler nie odrywał oczu od linijek tekstu, pieczštek i podpisów.

Heydrich zrozumiał, że dusza policjanta nakazywała Himmlerowi odnalezienie błędu, ale im dłużej to trwało, tym większš satysfakcję sprawiała mu bezskuteczność tych poszukiwań.

- Gratuluję, Heydrich! - Himmler oderwał wreszcie wzrok od papierów. - Ta praca została wykonana w sposób mistrzowski.

- Sšdzę jednak, że brakuje jednego najważniejszego elementu...

Himmler spojrział z zainteresowaniem.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że fuhrer powinien załšczyć jakš adnotację w odpowiedzi na notę Canarisa?

- Uważam, że sfalszownie podpisu flihrera byłoby niedopuszczalne, a jednak zestaw tych dokumentów, ich logiczny cišg, wymaga uwieńczenia w postaci dowodu bezporedniego zainteresowania flihrera.

Himmler milczał przez chwilę.

- Ma pan rację - powiedział wreszcie. - Zajmę się tym. Mam dla pana ważną

informację. 21 kwietnia przybywa do Berlina szef czeskiej tajnej policji, doktor Karel Novak. Nie mam wątpliwoci, że ta wizyta jest następstwem naszej akcji, która przekonała Czechów, że najwyżsi oficerowie Armii Czerwonej szykują się do obalenia Stalina. Novak spotka się z Millerem. Pewnie będzie chciał uzyskać dowody na spisek w Moskwie. Chciałbym, aby pan wziął udział w tym spotkaniu i przekazał Novakowi niektóre fotokopie dokumentów.

- Czy nie wzbudzi to ich podejrzeń?

- Nie sądzę. Czesi są tak przekonani o istnieniu spisku, że nie będą dociekać, dlaczego oddalimy im dowody.

Himmler nie mylił się. Novak już na początku spotkania z Millerem wyraził zainteresowanie dokumentami dotyczącymi współdziałania oficerów niemieckich i radzieckich w sprawie zamachu stanu. Zupełnie naturalnie przyjął propozycję spotkania z Heydrichem i niecierpliwie oczekiwał na fotokopie dokumentów, które po powrocie do Pragi triumfalnie wręczył prezydentowi. Zaznaczając, że ich autentyczność nie budzi wątpliwoci.

Benešowi takie zapewnienia nie były potrzebne. Od pierwszej chwili był przekonany o prawdziwoci informacji nadchodzących z Berlina. Fotokopie przywiezione przez doktora Novaka były jedynie dowodem ostatecznym. Należało się tylko zastanowić, jak przekazać je Stalinowi. Nikt w Pradze nie wiedział, jak bardzo rozgałęziony jest spisek. Istniało niebezpieczeństwo, że informacja przekazana NKWD może trafić w ręce kogoś zwiśzanego z rebeliantami. Dlatego

też Bene postanowił określić drogę informować posła radzieckiego w Pradze, Aleksandrowskiego, aby on sam - najlepiej zorientowany w geografii radzieckich organów władzy - wybrał najpewniejszą drogę lub dotarł bezpośrednio do Stalina. Pierwsze z serii spotkań odbyło się 22 kwietnia.

- Zaprosiłem pana, gdyż chciałbym wyjawnić uporczywie powtarzające się wiadomości o zbliżeniu między Związkiem Radzieckim a Niemcami. - Bene od razu podjął główny temat, aczkolwiek nie miał zamiaru wspomnieć wprost o spisku.

Aleksandrowski nie dał się zaskoczyć. Przewidywał, co będzie tematem rozmowy. Kilka dni wcześniej otrzymał bowiem telegram od komisarza spraw zagranicznych, Maksima Litwinowa: Uwieracie Ludowemu Komisarzowi Spraw Zagranicznych, że krążące za granicą słuchy o naszym zbliżeniu z Niemcami pozbawione są wszelkich podstaw. Nie prowadziliśmy i nie prowadzimy jakichkolwiek rozmów na ten temat, czego dowodem może być chociażby równoczesne odwołanie przez nas ambasadora i radcy handlowego. Jest sprawą oczywistą, że pogłoski te rozpowszechniane są przez Niemców lub też Polaków w celach niezupełnie dla nas jasnych. Dementi to proszę cytować wszystkim, którzy zwrócą się do was w tej sprawie.

Aleksandrowski nie wierzył w oficjalne zapewnienia swoich szefów o braku działań dyplomatycznych mających doprowadzić do zbliżenia między Związkiem Radzieckim i Niemcami, jednakże telegram zawierał służbowe polecenie i ambasador musiał je wypełnić.

- Nasze stanowisko w tej sprawie jest niezmiennie. Zwišzek Radziecki ceni pokojowe współistnienie narodów i nie widzi powodów, aby jeden z nich wyróżniać - odpowiedział.

- Ależ dlaczego? - Obruszył się Bene. - Dlaczego to Zwišzek Radziecki nie miałby zbliżyć się do Niemiec? Czechosłowacja przyjęłaby to z zadowoleniem...

- Przepraszam, panie prezydencie, ale nie rozumiem takiego ujęcia kwestii... - Aleksandrowski był szczerze zaskoczony reakcją Benesa.

- No cóż, muszę pana zapewnić, że bez względu na to, jakie zmiany dokonają się w polityce zagranicznej Zwišzku Radzieckiego. Czechosłowacja pozostanie bezwzględnie wierna zasadzie dobrosšsiedzkich stosunków z waszym krajem i dotrzyma wszelkich zobowiązań, jakie zawarła.

- Panie prezydencie, nie widzę powodów, dla których polityka mojego państwa miałaby ulec zmianie. - Aleksandrowski był coraz bardziej zdumiony.

- Zwišzek Radziecki jest nie tylko ogromnym krajem. Jest mocarstwem, które ma różnorodne interesy w Europie i Azji. Wydaje mi się, że właśnie różnorodność tych interesów może skłonić władze ZSRR do dokonania zmian w polityce zagranicznej, zwłaszcza wobec Niemiec... - Bene zrobił krótką pauzę, sięgnął po filiżankę herbaty - ... czy Wielkiej Brytanii. Nie myślę o żadnych konkretnych sprawach. Proszę odnotować jako moje zapewnienie, że w każdej sytuacji Czechosłowacja pozostanie w przyjaznych stosunkach ze Zwišzkiem Radzieckim.

- Jestem bardzo rad, panie prezydencie, że tak stawia pan sprawę. Kierownictwo partii i rząd mojego kraju bardzo ceniś postawę Czechosłowacji. Muszę jednak podkreślić, że polityka Związku Radzieckiego jest absolutnie niezmienna, gdyż była i jest nastawiona na zachowanie pokoju. Zmiana naszej polityki zagranicznej możliwa byłaby tylko wówczas, gdyby który z naszych licznych partnerów przeszedł do obozu podżegaczy wojennych.

W czasie tej rozmowy Bene ani słowem nie wspomniał o możliwości obalenia Stalina. Jednakże uporczywe podkreślanie wierności Czechosłowacji w razie zmiany polityki Moskwy mówiło samo za siebie. Obydwaj politycy rozumieli doskonale, że sytuacja taka może nastąpić tylko w wyniku zmiany władzy na Kremlu.

Aleksandrowski po powrocie do ambasady przygotował natychmiast szczegółowe sprawozdanie ze spotkania i wysłał je do Moskwy.

Następnie dwukrotnie konferował z ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji, który zapewne miał zlecone przez prezydenta podjęcie tematu zmiany polityki zagranicznej Związku Radzieckiego". Być może dopuścił się ..zamierzonej niedyskrecji". Prawdopodobnie 7 maja Aleksandrowski ponownie stawił się u prezydenta. Benes miał już wówczas dostarczone z Berlina fotokopie dowodów zdrady" Tuchaczewskiego i zapewne tego dnia przekazał Aleksandrowskiemu list do Stalina, zawierający bezpośrednie ostrzeżenie i dane o źródłach informacji na temat spisku oraz ludzi zamieszanych w zмовę.

W Moskwie machina NKWD ruszyła.

Naujocks le się czuł w marynarce, która wydawała mu się za wńska w ramionach i uwierała pod pachami. Zawsze, gdy zakładał cywilne ubranie, wydawało mu się, że wygląda jak komiwojazer. Nie lubił rozstawać się z mundurem, którego gromy wygląd - jak sędził - dodawał mu męskoci.

Jednakże tego dnia, siedząc przy stoliku kawiarnianym, był nawet zadowolony ze złego samopoczucia, wywołanego cywilnymi łachami, gdyż uważał, że dodaje to autentyzmu jego osobie. Powinien wyglądać jak oficer, który nieudolnie maskuje swój zawód. Na tarasie kawiarni „Adier” było tłoczno i hałaśliwie.

Naujocks specjalnie wybrał to miejsce i porę największego ruchu, aby spotkać się z rosyjskim łącznikiem. Uważał, że w tłoku najlepiej się ukryć.

Otworzył „Berliner Zeitung” na kolumnie ogłoszeń matrymonialnych, nie czytał jednak zachęt do poznania pań i panów. Co pewien czas zerkał znad gazety i lustrował okoliczne stoliki. Zastanawiał się, jak wygląda rosyjski agent, na którego oczekiwał. Nie wiedział o nim nic poza tym, że miał przedstawić się jako „Hans”. Jednakże nikt z ludzi przewijających się obok nie pasował do wizerunku szpiega. Minęła 17.00. czas umówionego spotkania, ale nikt nie podchodził do stolika Naujocksa, który przeczytał wreszcie całą kolumnę ogłoszeń matrymonialnych, ale nie mógł otworzyć gazety na innej stronie, gdyż ta była znakiem rozpoznawczym.

- Nazywam się Hans - usłyszał wreszcie. Przy stoliku stał wysoki mężczyzna, który mówił czystą niemiecką. - Czy mógłbym prosić o ogień?

Naujocks wydobyl zapalniczkę i podsunął ją nieznanemu.

- To nie najlepsze miejsce na spotkanie. Oczekuję pana w samochodzie na rogu ulicy. Zielony opel. - Mężczyzna zaciśgnął się dymem i oddał zapalniczkę. Oddalił się szybko.

Dureń - pomyślał Naujocks. - ..Nie najlepsze miejsce"! Im ciśgle marzy się pustka rosyjskich stepów.

Zawołał jednak kelnera, zapłacił i wyszedł na ulicę. Tuż przy skrzyżowaniu dostrzegł zielony samochód. Gdy tylko usiadł obok kierowcy, ruszyli natychmiast.

- Dokśd jedziemy? - zapytał Hans.

- Nie wiem, to pan zaproponował przejażdżkę. - Naujocks, jeszcze dotknięty uwagś o niewłaciwie wybranym miejscu, wzruszył ramionami.

- Uważam, że sprawa, którś mamy omówić, wymaga spokoju. Poza tym nie czuję się najlepiej w kawiarni, gdzie może siedzieć pół tuzina pańskich kolegów i obserwować nas - wyjanił, zerkajśc w lusterko, by sprawdzić, czy nie jedzie za nimi jaki samochód.

- Jeżeli ledziliby nas, to raczej ja się powinienem obawiać - mruknśł Naujocks.

Kluczyli przez kilkanacie minut ulicami Berlina, aż wreszcie wyjechali na autostradę prowadzścś do Poczdamu. Hans zjechał w bocznś drogę i zaparkował samochód przy kępie drzew.

- Tu możemy spokojnie porozmawiać. Co pan ma na sprzedaż?
- Dokumenty, niezwykle interesujące dla rosyjskiej służby bezpieczeństwa. - Naujocks nie chciał wyjawiać wszystkiego.
- Tyle wiem, a konkretnie? - dopytywał się Hans.
- Ss to wyniki ledztwa prowadzonego przez Abwehrę w sprawie kontaktów wysokich oficerów niemieckich i rosyjskich, zmierzających do obalenia Stalina i ustanowienia dyktatury wojskowej.
- W jaki sposób dostał pan te dokumenty?
- Nie dostałem ich. Znajdują się w Sicherheitsdienst, która - na podstawie decyzji Hitlera - przejęła prowadzenie ledztwa. Mam dostęp do tych dokumentów, a konkretnie: będę miał dostęp jeszcze przez dwa dni.
- Za ile chce pan je sprzedać?
- Za 50 tysięcy marek.
- To dużo, bardzo dużo...
- Warto ss znacznie więcej. Podobnie jak moja głowa, która spadnie, gdyby wyszło na jaw, w jaki sposób Rosja dowiedziała się o zdradzie własnych oficerów.
- To bardzo wysoka kwota - powtórzył Hans. - Nie mogę sam decydować.

Muszę mieć zgodę przełożonych.

- Niech się pan popieszy. Nie mogę zrobić kopii na wszelki wypadek, bo to zbyt niebezpieczne, a jutro w nocy minie w ogóle taka możliwość.

- Dam panu odpowiedź jutro rano. Spotkamy się w tym samym miejscu.

w kawiarni „Adler”. - Hans włączył silnik i ruszyli w stronę centrum.

Następnego dnia Hans przybył punktualnie. Nie przysiadł się do stolika

Naujocksa, lecz przechodząc obok rzucił tylko: „Zgadza się. Jutro tutaj”.

Naujocks patrzył za nim z pełnym uznaniem. To są zawodowcy - pomyślał

o rosyjskich agentach. Późnym wieczorem, gdy nikogo już tam nie było, szedł

do laboratorium w podziemiach budynku SD. Postanowił sam zrobić zdjęcia

dokumentów. Był przekonany, że Rosjanie będą starannie badać odfitki i mogli-

by stać się nieufni, gdyby podejrzewali udział zawodowego fotografa. Po

północy, gdy zdjęcia były już wywołane i wysuszone, zapakował je w gazetę

i pojechał do domu. O umówionej porze usiadł przy stoliku w kawiarni Adler”.

Nie czekał długo. Po kilku minutach dostrzegł znajomą sylwetkę Hansa, który

skierował się do samochodu zaparkowanego w tym samym miejscu, gdzie stał

dwa dni temu. Naujocks podszedł za nim. Wsiadł do samochodu.

- Ma pan dokumenty? - zapytał Hans.

- Pan chyba żartuje. - Naujocks wzruszył ramionami. - Zaczniemy od tego,

czy pan ma pieniądze?

- Oczywiście!

- Wobec tego jedmy do hotelu "Ambasador". Tam wynajmę pokój i tam mam dokumenty.

Przeszli obok recepcji i skierowali się do pokoju na pierwszym piętrze.

Naujocks zamknął drzwi na klucz i rzucił marynarkę na krzesło.

- Chciałbym najpierw zobaczyć pieniądze - powiedział do Hansa, który niepewnie rozglądał się po pokoju.

- Słusznie - odparł tamten. Otworzył teczkę i rzucił na stół plik banknotów. -

A teraz poproszę o zdjęcia.

Naujocks przejrzał pobieżnie banknoty i, nie wypuszczając ich z ręki, wyciągnął szufladę szafki przy łóżku, odchylił dno i ze skrytki wydobyl paczkę owiniętą w gazetę. Podał ją Hansowi i zabrał się do liczenia pieniędzy.

- Wykorzystuję ten pokój do spotkań z moimi informatorami, dlatego nie obawiałem się o bezpieczeństwo dokumentów - wyjął. Przeliczył dokładnie pieniądze. - Zgadza się. No cóż, życzę powodzenia.

Po raz pierwszy Naujocks i rosyjski agent ucisnęli sobie ręce i wyszli z pokoju. Rozstali się przed hotelem. Nikt z SD nie ledził Hansa. Heydrich zabronił podejmowania takiej akcji, gdyż zagrażałaby całemu przedsięwzięciu.

Kilka dni później zdjęcia dokumentów, wśród których znajdowała się odbitka „listu Tuchaczewskiego”, dotarły na Kreml.

Kremlowska wieża

Długi urlop w Gagrze nad Morzem Czarnym dobiegał końca. Tuchaczewski z niepokojem myślał o powrocie do Moskwy. Czuł się podobnie jak w czasie wielu frontowych poranków, gdy musiał zrywać się z łóżka po dwóch, trzech godzinach snu i zanim uniósł ciężkie ze zmęczenia powieki, myślał z lękiem o nadchodzącym dniu. Jednakże tam, na froncie, wszystko było oczywiste i zrozumiałe. Linie transzei wskazywały, kto swój, a kto wróg. W Moskwie dawno już zatracił to rozeznanie. To, co działo się wokół niego, napawało go przerażeniem i bezsilności.

W 1936 r. NKWD aresztowało kilku najwyższych oficerów. W więzieniu znalazł się dowódca 8. samodzielnej brygady ciężkich czołgów, Dmitrij Schmidt. Początkowo oskarżano go o przygotowania do zabicia komisarza Klimenta Woroszyłowa, a następnie o organizowanie buntu we własnej brygadzie.

Aresztowano komkorów: Witalija Primakowa, Witowta Putnę, Siemiona Turowskiego, komdiwa Jurija Sablina. Wszyscy oni dawno już zwiśzali swoje losy z partiš bolszewickš i służyli jej z pełnym oddaniem. Łczyła ich ponadto służba na froncie polskim w 1920 r., co głęboko niepokoiło Tuchaczewskiego. Mógł jednak tłumaczyć sobie fakt aresztowania tych ludzi dawnymi powiśzaniem z opozycjš trockistowskš, co dawało mu nadzieję, że nie podzieli losu aresztowanych, gdyż przed laty przeciwstawiał się Trockiemu. Jednakże kolejne wydarzenia uwiadamiały mu, że tylko łudzi się nadziejš.

W grudniu 1936 r. Stalin, przemawiajšc na plenum Komitetu Centralnego,

wymienił jego nazwisko. Powiedział, że organy ledcze mają materiały obciążające marszałka, ale „połapaliśmy się i towarzysz Tuchaczewski może spokojnie pracować”. Tę wypowiedź można było zrozumieć tylko w jeden sposób: aresztowani wskazują na Tuchaczewskiego jako kompana i uczestnika spisku, ale na razie partia (Stalin?) wierzy w jego niewinność. Jak długo jednak? Wystarczyło jedno zeznanie więcej i zastępca komisarza spraw wojskowych mógł znaleźć się w więzieniu.

W styczniu dotarła do marszałka bardzo niepokojąca wiadomość. Podczas procesu siedemnastu członków partii, oskarżonych o działalność kontrrewolucyjną, Karol Radek - jeden z podsędnych - wymienił nazwisko Tuchaczewskiego. Prawdopodobnie przypadkiem, relacjonując jakąś sytuację bez większego znaczenia. Jednakże prokurator Andriej Wyszyński uchwycił ten ład i wielokrotnie dopytywał się, czy Tuchaczewski nie miał związku z działalnością wywrotowców. Można było nawet odnieść wrażenie, że oczekiwał na potwierdzenie podejrzeń, które formułował na sali rozpraw. Radek stanowczo zaprzeczał, co tylko pogarszało sprawę. Człowiek, w którego obronie stawał „przestępca i wróg ludu”, musiał wydać się podejrzanym.

Następny cios padł w lutym. Zmarł najbliższy przyjaciel, Sergo Ordżonikidze. Samobójcza śmierć, dziwna i tajemnicza, wstrząsnęła Tuchaczewskim. Odszedł najszczerzy przyjaciel, którego poznał w najtrudniejszym dla obu okresie walk na Zakaukaziu. Ordżonikidze był zarazem najsilniejszym protektorem i doradcą marszałka.

Jednakże w tej serii wydarzeń - niebezpiecznych, zagrażających życiu - błysnęła możliwość, która zdawała się rozpraszać obawy. W maju marszałek miał wyjechać do Londynu na czele radzieckiej delegacji na uroczystość koronowania króla Jerzego VI. Ta perspektywa kołał niepokój Tuchaczewskiego. Był przekonany, że partia nie wysyłałaby w takiej misji człowieka podejrzanego o działalność antyrewolucyjną. Oczywiście zawsze można było później wytłumaczyć, że oszukał najwyższe władze i wliżgnął się do państwowej delegacji, ale taka sytuacja byłaby niezręczna dla NKWD i ta bardzo sprawna organizacja zrobiłaby wszystko, aby do tego nie dopuścić. Im bliższy był termin wyjazdu, tym bardziej Tuchaczewski uspokajał się, gdyż nie czyniono żadnych zmian w składzie delegacji.

Nie wiedział jednak, że 21 kwietnia komisarz spraw wewnętrznych, Mikołaj Jeżów, wystąpił do Stalina z wnioskiem o odwołanie wyjazdu marszałka, ze względu na zamach, jaki przygotowano na niego w Warszawie. Było to bardzo mało prawdopodobne, tym bardziej że w razie rzeczywistego zagrożenia Tuchaczewski wraz z delegacją mógł popłynąć do Londynu na pokładzie okrętu wojennego. Stalin szybko zaakceptował propozycję Jeżowa i wydał polecenie zmiany składu delegacji. Rozprawa z Tuchaczewskim rozpoczęła się.

On sam nie mógł wiedzieć, że jego los został przesądzony, gdy stanął na drodze Stalina, który obawiał się towarzyszy partyjnych i najwyższych oficerów - dwóch rodowisk, gdzie mógł narodzić się najgroniejszy spisek. Ze zdumieniem i podziwem Stalin obserwował, jak szybko Hitler rozprawił się z bardzo silną opozycją, stanowiącą barierę na drodze do osiągnięcia pełni władzy. W cięgu

jednej nocy (z 29 na 30 czerwca 1934 r.) wierne mu oddziały SS zamordowały szefa organizacji SA, Emsta Róhma, i jego najbliższych współpracowników.

Następnego dnia dokończono dzieła usuwania najgroniejszych przeciwników kanclerza. Podziw Stalina dla sprawności tej akcji wynikał z faktu, że Róhm stał na czele armii liczącej bez mała milion ludzi, a został zlikwidowany bez oporu.

W kilka miesięcy później Stalin przeniósł metody Hitlera na własny grunt i nadał im rozmiar, o którym Hitler nie mógłby nawet marzyć.

1 grudnia 1934 r. do Instytutu Smolnego w Leningradzie wtargnął młody człowiek Leonid Nikołajew. Strzelił do Siergieja Kirowa - szefa leningradzkiej organizacji partyjnej, członka Biura Politycznego i sekretarza Komitetu Centralnego - i zbiegł. Strzały były śmiertelne. Nigdy nie wyjaśniono, jak udało mu się przedostać do dobrze strzeżonego obiektu. Jednakże fakt, że ofiarą zamachu padł polityk będący zwolennikiem liberalniejszego kursu, zgłoszony kilka miesięcy wcześniej - na XVII zjeździe partii bolszewickiej - jako kandydat na stanowisko sekretarza generalnego, wskazywał jednoznacznie, że zbrodnia została zorganizowana na polecenie Stalina. Gdy schwytano zabójcę i przyprowadzono przed oblicze Stalina, który specjalnie w tym celu przybył do Leningradu,

Pierwsi marszałkowie Związku Radzieckiego.

siedzą od lewej: Tuchaczewski, Woroszyłow, Jegorow.

stoi: Budionny i Bliicher

Ostatnia defilada z udziałem Tuchaczewskiego

(pierwszy z lewej, na dole trybuny)

zamachowiec, na pytanie, dlaczego strzelał, padł na kolana i wskazując tajniaków mówił łkajšc: "To oni kazali mi to zrobić". Nie wyjawiał niczego więcej, gdyż natychmiast skatowano go kolbami pistoletów do utraty przytomności, a 29 grudnia został stracony, po krótkim, tajnym procesie.

mierć Kirowa była bardzo wygodna dla Stalina. Pozwalała mu przekonywać władze partii i naród, że wynikała ze spisku bezwzględnych i przebiegłych wrogów socjalizmu, którzy - korzystajšc z pomocy mocarstw zachodnich - opanowali wiele rodowisk społeczeństwa radzieckiego. Zarzut udziału w kno-waniach przeciwko władzy radzieckiej w celu przywrócenia ržšdów wyzys-kiwaczy był miertelnš broniš przeciwko tym, których Stalin obawiał się, podejrzewał o wrogoć lub chęć pozbawienia go władzy, którym nie dowierzał. Jednymi z pierwszych ofiar byli dawni towarzysze wodza - Lew Kamieniew i Grigorij Zinowiew, którzy wsparli go niegdy w walce z Lwem Trockim, ale póniej zwrócili się przeciw niemu.

Starzy działacze partyjni - często najbliżsi współpracownicy Lenina, zahar-towani w carskich więzieniach, na syberyjskich zsyłkach - musieli zostać zniszczeni w pierwszej kolejności, gdyż stanowili największe zagrożenie dla sekretarza generalnego. Mógł przypuszczać, że tak jak przed laty targnęli się na carat, tak obecnie widžc samodzierzawie Stalina, wystšpiš przeciw niemu. Należało jednak udowodnić istnienie spisku, działalność tajnych ugrupowań i kontrrewolucyjnych centrów, utrzymujšcych cisty zwišzek z antykomunistycz-nymi orodkami na Zachodzie. To już było zadanie władz bezpieczeństwa. Jednakże generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego. Gienrich Jagoda,

nie działał doć sprawnie, wręcz zaczął hamować represje przeciwko starym bolszewikom. 25 września 1936 r. Stalin przysłał więc z Soczi, gdzie odpoczywał, telegram, który przesłdził o losie Jagody: Uważamy za sprawę konieczną i pilną nominację towarzysza Jeżowa na stanowisko ludowego komisarza spraw wewnętrznych. Jagoda okazał się zdecydowanie niezdolny do zdemaszkowania trockistowsko-zinowiewoskiego bloku, OGPU jest w tej sprawie opóźnie o cztery lata. Jagoda został przesunięty na mało znaczące stanowisko komisarza poczt i telegrafów, ale Stalin nie wybaczał ludziom, którzy go zawiedli". W kwietniu 1937 r. Jagodę aresztowano i skazano na karę śmierci. Nowy szef NKWD Nikołaj Jeżow, stał się niezawodnym wykonawcą planów Stalina*.

Wielka czystka przybierała gigantyczne rozmiary. Za czasów działalności Jeżowa liczba członków partii komunistycznej zmniejszyła się z dwóch i osiemdziesiątych miliona do dwóch i czterech dziesiątych miliona. Choć w okresie tym przyjęto milion nowych członków. Nikt nie jest w stanie obliczyć, ilu ludzi aresztowano. Niewinni, wyrwani nagle z normalnego życia, zamknięci w więzie-

* Gorliwość Jeżowa przesłdziła o jego zgubie, gdy posunął się do aresztowania najwierniejszych stalinowców, a zarazem utracił kontrolę nad zorganizowanym przez siebie aparatem terroru.

W rezultacie w grudniu 1938 r. odwołano go ze stanowiska i aresztowano. W 1940 r. stanął przed Trybunałem Wojskowym Sładu Najwyższego; został skazany na śmierć i rozstrzelany.

niu, załamywali się. Niewielu, bardzo niewielu, wytrzymało noc bez snu, obawy o los najbliższych, umiejętnie podsycane przez ledczych, a wreszcie tortury - od bicia gumową pałką po najbardziej wyrafinowane, jakie tylko mogła

wymyślić bestia ludzka. Oskarżali siebie, najbliższych, sšsiadów, kolegów z pracy. Teczki NKWD pęczniały, a samochody zwoziły do cel nowych podejrzanych. Ta rozpędzona machina, wcišgajšca coraz to nowe ofiary, musiała jako uzasadniać swojš działalnoć, oddawała więc sędziom oskarżonych tak „przygotowanych”, aby na sali sšdowej nie mieli zaprzeczyć oskarżeniu, nie przyznać się do winy. czy wręcz domagać się ustalenia prawdy. Oficerowie ledczy wmawiali zmaltretowanym ludziom, że jedynš ich szansš jest przyznanie się i błaganie o litoć.

Ogromna większoć tak włanie zachowywała się na sali sšdowej. W ten sposób propaganda - rozgłaszajšc zeznania ludzi, którzy wskazywali siebie i bliskich jako aktywnie działajšcych wrogów państwa i narodu - zyskiwała materiał do wywoływania w społeczeństwie atmosfery zagrożenia działalnošciš antyradzieckich ugrupowań i uzasadniania tym samym terroru.

W sierpniu 1936 r. przed sšdem stanęło szesnastu komunistów oskarżonych o udział w „zjednoczonym antysowieckim centrum trockistowsko-zinowiewowskim”. Byli wród nich Kamieniew i Zinowiew. Wszyscy zostali skazani na mierć. Ich zeznania, wydobyte torturami, posłużyły do przygotowania następnego wielkiego procesu. W styczniu 1937 r. rozpoczęła się rozprawa „siedemnastu”. Podsšdnych oskarżono o poważne przestępstwa polityczne, jednakże sšd uznał, że nie aż tak szkodliwe, by we wszystkich przypadkach wydać wyrok mierci. Stracono trzynacie osób. a cztery (w tym Karol Radek, który okazał się bardzo pomocny prokuratorowi) otrzymały wyroki więzienia.

Stalinowi, w równym stopniu jak długoletni działacze partyjni, zagrażali starzy

wojskowi, weterani rewolucji, bohaterowie wojny domowej, o których pisano wiersze, nakręcano filmy i piewano pieśni. Musiał zniszczyć ich samych i legendę. Chciał, by odeszli jako zdrajcy ojczyzny, szpiegowie, przestępcy. W ten sposób zamierzał rozbić środowiska wojskowe, w których mógł narodzić się plan obalenia go, a jednocześnie zastraszyć tysiące oficerów, zmusić ich do ratowania własnej pozycji, stopnia czy nawet życia. Mogli to osiągnąć oskarżając innych. Machina czystki w wojsku, która zaczęła kręcić się w 1935 r. i ograniczała głównie do zwalniania oficerów, wkrótce stała się równie zabójcza jak w partii.

Tuchaczewski - człowiek, który kiedy wszedł w konflikt ze Stalinem, bohater rewolucji, oficer zbyt samodzielny i przedsiębiorczy - musiał odejść, gdyż stanowił potencjalne zagrożenie dla Stalina. Fakt wycofania go z delegacji do Wielkiej Brytanii mówił wszystko. Dla środowiska oficerskiego był ostatecznym potwierdzeniem, że zastępca komisarza spraw wojskowych popadł w niełaskę. a jego dni na stanowisku i na wolności są policzone.

1 maja marszałek wszedł na trybunę honorową na placu Czerwonym, aby razem z innymi dostojnikami przyjąć defiladę wojska i pochód ludności cywilnej. W części zarezerwowanej dla przedstawicieli władz wojskowych nie było jeszcze nikogo. Tuchaczewski stanął z boku. Dopiero po kilku minutach przyszedł marszałek Jegorow. Nie zaszalutował, nie odezwał się. Również wicekomisarz Jan Gamamik zdawał się nie dostrzegać Tuchaczewskiego. Nie przeczuwali, że i ich czeka los człowieka, od którego ostentacyjnie dystansowali się. Podobnie zachował się marszałek Budionny, co jednak - ze względu na nienawić, jaką żywili wobec siebie z Tuchaczewskim - nikogo nie zdziwiło. Stało się jednak

jasne, że wszelkie kontakty z Tuchaczewskim sš niebezpieczne. Przyjacielska rozmowa, życzliwe słowo, a nawet ucisk dłoni nie mogły ująć uwagi wnikliwych obserwatorów z NKWD. A może i samego Stalina, który na tej samej trybunie stał dwa metry wyżej i doskonale widział zachowanie marszałków.

Tuchaczewski nie dotrwał do końca parady. Gdy tylko z placu Czerwonego zjechały ostatnie ciężarówki z wojskiem i ruszyły równe szeregi robotników skandujących: „Niech żyje towarzysz Stalin”, wsadził ręce do kieszeni, zszedł po marmurowych schodach i zmieszał się z tłumem.

Kilka dni póniej zatelefonował do niego komisarz Woroszyłow. Sucho i służbicie poinformował, że ze względu na zamach przygotowywany na marszałka w Warszawie, zdecydowano się, w trosce o jego bezpieczeństwo, odwołać wyjazd do Londynu. Bliższe informacje na temat zamachu, nie budzące żadnych wątpliwoci, ma szef NKWD, Nikołaj Jeżow, który udostępni je zainteresowanemu.

Ostatnia nadzieja prysła. Cała sprawa była szyta zbyt grubymi nićmi, aby można było jš przyjść bez zastrzeżeń. Zapewne w tym momencie Tuchaczewski zdał sobie sprawę, że wkrótce padnš kolejne ciosy, przed którymi nie zdoła się uchylić. Był już osaczony.

9 maja został zwolniony ze stanowiska zastępcy komisarza spraw wojskowych i morskich i mianowany dowódcš maleńskiego Nadwożańskiego Okręgu Wojskowego, gdzie stacjonowały trzy dywizje piechoty i dwa bataliony czołgów.

Tego samego dnia wyjechał z żonš na daczę w Pietrowskim. Zwykle

znajdował tam spokój i pokrzepienie. Teraz jednak i tam dotarła nieprzyjazna atmosfera. Kucharka i kobieta podajśca do stołu, zawsze umiechnięte i skore do pomocy, wydały się marszałkowi opryskliwe, a nawet wrogie. Starał się nie zwracać na to uwagi, przekonany, że nadmiernie przeczulony ostatnimi wydarzeniami le ocenia sytuację. Jednakże siedzśc w pokoju nad ksiżkś, usłyszał, jak żona mówi do szwagierki:

- Co się stało Nataszy? Zawsze taka miła, a dzisiaj przechodzśc przez podwórze nawet „dzień dobry” nie powiedziała...

Tuchaczewski dostrzegł, że jego siostra, widzśc, iż przysłuchuje się rozmowie, zamachała rękś, dajśc znak, by zmienić temat.

- Misza też jaki inny. - Żaliła się żona. - Czy zauważyła, że posiwiał? Nie chce ze mnś rozmawiać o swoich zmartwieniach, ale wiem, że sś bardzo poważne.

Rozmowa urwała się gwałtownie, gdyż Jelizawieta wymogła gestami zmianę tematu. Zaczęła mówić o swoim mężu, Mikołaju.

Tuchaczewski rozmyślał, jak może bronić się przed niebezpieczeństwem, które odczuwał nawet tutaj, daleko od Moskwy. Jego pierwszym odruchem na wiadomość o odwołaniu ze stanowiska zastępcy komisarza było złożenie podania o przeniesienie w stan spoczynku. Zdawał sobie sprawę, że to ucieczka, ale choć przez chwilę miał nadzieję, iż usuwajśc się z drogi, uniknie najgorszego. Dymisja nie została jednak przyjęta. Był żołnierzem, musiał wykonać rozkaz i objść stanowisko dowódcy Nadwołańskiego Okręgu Wojskowego w Samarze (Kuj-

byszewie).

- le robisz, że tak bardzo się przejmujesz tym wyjazdem. - Jelizawieta podeszła do niego. Tuchaczewski usiłował zaprzeczyć, ale doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. - Pamiętasz, jak musiały wyjechać do Leningradu? Też bardzo to przeżywałem, a potem byłem zadowolony. Pamiętam, jak powiedziały mi, że gdyby nie pobyt w Leningradzie, nie zostałby wicekomisarzem.

- To było zupełnie co innego... Patrzył na siostrę i rozumiał doskonale, że ona nie wierzy w to, co mówi albo nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

Odesłanie zastępcy komisarza spraw wojskowych do małego, nic nie znaczącego okręgu wojskowego było jak zamknięcie w komórce. - Wtedy nie mieli do mnie żadnych zastrzeżeń politycznych. Teraz sytuacja jest o wiele poważniejsza. Na procesie Radek wymienił moje nazwisko. A co mówił w ledztwie? Co zaprotokołowano? Może nic ważnego, ale pamiętaj, że Stalin i Woroszyłow nienawidzą mnie. Jeli nawet zeznania Radka nie są bardzo obciążające, to już ci dwaj postaraj się, żeby nabrały odpowiedniego ciężaru. Wystarczająco dużego, by pociśgnął mnie na dno jak kamień u nóg topielca.

Tuchaczewski właściwie oceniał sytuację. 6 maja NKWD aresztowało byłego dowódcę obrony przeciwlotniczej, kombryga Michaiła Miedwiediewa, któremu wyznaczono rolę wiadka oskarżenia. Przez dwa dni wytrzymał bicie i szykany, co nie oznaczało wcale, że był szczególnie twardym człowiekiem. Po prostu niewiele wiedział o kadrze dowódczej. Sypał nazwiskami ludzi, których znał z czasów służby, nie mającymi jednak żadnego związku ze sprawą Tuchaczewskiego. Jednakże 10 maja załamał się i zaczął powtarzać wszystko, co podsuwał

mu oficer ledczy. Z jego zeznań wynikało, że Tuchaczewski stanął na czele kontrrewolucyjnego spisku, którego celem było obalenie władzy radzieckiej i przywrócenie kapitalizmu. Zapewne na podstawie tego „zeznania” zwolniono Tuchaczewskiego ze stanowiska. Pozostawało jednak zebranie mocniejszych dowodów, które umożliwiłyby postawienie go przed sądem i skazanie na śmierć. Takie dowody mieli dostarczyć więźni od pewnego czasu Primakow i Putna. Popiech, jaki zaczęło w sprawie marszałka wykazywać NKWD, ponaglone przez Stalina, spowodowało, że poddano ich szczególnie okrutnym zabiegom w celu wymuszenia zeznań. W połowie maja obydwaj „przyznali się” do udziału w spisku i zaczęli wyliczać innych uczestników. Obydwaj też wskazywali na Tuchaczewskiego. NKWD uzyskało w ten sposób „żelazne dowody”, a jednak Stalin ciśgle nie zgadzał się na uwięzienie marszałka. Być może oczekiwał czego więcej... Może obawiał się, że rozprawa z Tuchaczewskim i wieloma innymi oficerami z bohaterskich przeszłości bojowych będzie trudniejsza, niż przypuszczał.

21 maja marszałek z żoną wsiedli do samochodu, który miał odwieźć ich na stację.

- Nie wyjeżdżamy na długo - rzekł nagle Tuchaczewski do swojego adiutanta, Jewgienija Szyłowa.

- To bardzo dobra wiadomość, Michaił Nikołajewiczu. - Adiutant nie zadawał żadnych pytań, oczekując, by marszałek sam wyjaśnił powód swojego optymizmu.

- Obiecano mi szybki powrót do Moskwy - mówił Tuchaczewski. Nie powiedział tego wprost, ale ze sposobu, w jaki wypowiedział słowo „obiecano”. wynikało jednoznacznie, że zapewnienie wyszło od samego Stalina. Tak było w istocie. Marszałek, czując się zaszczuty, postawił wszystko na jedną kartę. Wysłał list do Stalina. Odpowiedź nie nadchodziła przez kilka dni. Stracił już nadzieję, że będzie mógł wykorzystać tę ostatnią deskę ratunku, gdy nagle wezwano go do sekretarza generalnego. Rozmowa odbyła się w miłej atmosferze. Stalin wydawał się szczerze zatroskany losem marszałka i, jak wielokrotnie w podobnych sytuacjach, udzielał dobrych rad. „Trzeba przeczekać, aż ucichną plotki” - powiedział, sugerując, że to wrogowie rozprowadzają kłamliwe informacje. Jednakże na tyle prawdopodobne, że nawet on - sekretarz generalny - nie może ich zlekceważyć. To zapewnienie, udzielone przez pierwszego człowieka w państwie człowiekowi w skrajnej desperacji, miało dla niego ogromną wagę. Zdawało się przywracać nadzieję, że to tylko zмова zawistnych kolegów. Zaczynał widzieć swoją sprawę, którą dotychczas uważał za beznadziejną, jako drobne potknięcie na trudnej drodze kariery.

Może dlatego, jadąc na dworzec, był w znacznie lepszym nastroju. Żona, Nina Jewgieniejewna, też odczuwała ogromną ulgę. Po raz pierwszy od wielu dni widziała męża pełnego energii. A może tylko nauczył się ukrywać swoje największe zmartwienie?

- Dzisiaj rano byłem w organizacji partyjnej. Opłaciłem składki i powiedziałem, żeby nie przesyłali papierów do Kujbyszewa. Po co? Na tak krótko...

Na dworcu w Kujbyszewie Tuchaczewskich powitał dotychczasowy dowódca

okręgu, Paweł Dybienko. Zawiózł ich do przygotowanego mieszkania.

- Wiem, że możecie być zmęczeni - powiedział, gdy stanęli w przedpokoju - ale dzisiaj odbywa się konferencja partyjna. Dobrze byłoby, żebyście przyszli. Głos możecie zabrać jutro, jak trochę odpoczniecie. Dzisiaj przysłuchajcie się jednak, co mówiś towarzysze. Dobrze byłoby, żebyście się przy okazji poznali, skoro macie razem pracować.

- Dobrze, przylijcie samochód...

Gdy marszałek wszedł do sali rejonowego komitetu partii, powitały go oklaski. W tym samym czasie na Kremlu Stalin rozłożył na biurku wszystkie dokumenty, które wyjął z szafy pancерnej. Spokojnie, długo wpatrując się w każdą kartkę, analizował treść oryginałów i dołączonych tłumaczenia.

No, towarzyszu Tuchaczewski, jak wam obiecałem, szybko wróćcie do Moskwy. Nawet szybciej, niż sam myślałem - powiedział do siebie. Na blacie biurka leżały fotokopie dokumentów, przywiezione z Berlina przez Hansa", oraz materiały nadesłane z Pragi.

Stalin sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Połóżcie mnie z Jeżowem - powiedział do sekretarza, który zgłosił się na dwięk dzwonka. - Towarzyszu Jeżów, aresztujcie Tuchaczewskiego. Już wystarczy jego kreciej roboty.

Usłyszał tylko, jak komisarz wyrecytował: ..Tak jest. towarzyszu sekretarzu

generalny" i odłożył słuchawkę. Zsunął porozkładane papiery na kupkę. Po-
stanowił, że nie zostaną wykorzystane przed sądem, gdyż w żadnym z dotych-
czasowych procesów nie przedstawiano materialnych dowodów winy. a jedynie
zeznania świadków i oskarżonych. Przywoływanie przez prokuratora dokumen-
tów zdobytych przez wywiad Stalin uznał za niepotrzebny precedens. Klarowny
wizerunek przewodu sądowego, w którym skruszeni zbrodniarze kajali się,
wyjawiali, jak zdradzili ojczyznę i bliskich, wydawał się Stalinowi rozwiązaniem
idealnym i nie miał zamiaru go zmieniać. Jednakże dowodów zdrady Tuchaczew-
skiego potrzebował poza sądem, na posiedzeniu Biura Politycznego. Pokazanie
towarzyszom, jak sprawnie działa wywiad radziecki, miało dodatkową wymowę.
Stawało się przestrożą dla nich samych, aby nie próbowali podejmować współ-
pracy z zagranicznymi ośrodkami lub knuć przeciwko Stalinowi. Wiedział, że
nikt nie będzie kwestionować dokumentów niemieckich noszących podpis
samego Hitlera oraz informacji z Pragi, przesłanej przez prezydenta Beneša.
Robiąc wielką czystkę w wojsku, Stalin musiał mieć pewność, że nie napotka
nieprzewidzianych przeszkód. Nikt z towarzyszy nie powinien mieć cienia
wątliwości, że Tuchaczewski to zdrajca, którego należy osądzić jak najsurowiej.
Na podstawie materiałów, które Stalin miał w ręku. można było oskarżyć
marszałka, że stanął na czele grupy wojskowych i cywilnych rebeliantów.
zamierzających zamordować Stalina, Kaganowicza, Mołotowa i Litwinowa.
a następnie zamierzał ustanowić dyktaturę wojskową w cisłej współpracy
z Niemcami. Oczywiście pomoc Niemców byłaby sowiecie wynagrodzona przez
zwycięskich zamachowców, którzy oddaliby im duże połacie Kraju Rad (przede
wszystkim Ukrainę), przyznali znaczne ulgi w handlu oraz zawarli cisły sojusz

polityczny i wojskowy. Taka wizja, wyłaniająca się z dokumentów oraz z zeznań aresztowanych, nie dopuszczała możliwości sprzeciwu wobec jedynej możliwości, jakim było aresztowanie i kara śmierci dla zamachowców*.

Następnego dnia, 22 maja, Michaił Tuchaczewski udał się do szefa komitetu okręgowego partii. Pastyszew trzymał go długo w sekretariacie, zanim wreszcie

* W czasie posiedzenia Biura Politycznego 24 maja Stalin uzyskał nie tylko zatwierdzenie aresztowania Tuchaczewskiego. Podjęto też decyzję o konieczności przeprowadzenia gruntownej kontroli w korpusie oficerskim, co wynikało z przewidywania, że spiskowcy nie mogli planować obalenia najwyższych władz państwa bez solidnego oparcia wśród oficerów. Ta decyzja stwarzała możliwość czystek w wojsku.

zaprosił do gabinetu. Rozmowa trwała kilka minut, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich szef rejonowego urzędu NKWD, Papaszenko. Za nim weszli dwaj naczelnicy wydziałów. W sekretariacie pozostało kilku żołnierzy, ciśniętych na wypadek, gdyby aresztant chciał stawiać opór lub też zdołał zawiadomić swoich współpracowników.

- Obywatelu Tuchaczewski. Jesteście aresztowani. - Papaszenko wyciągnął z kieszeni munduru kartkę z nakazem aresztowania, podpisanym przez Jeżowa.

W tej samej chwili dwaj pozostali enkawudzicy schwycili marszałka za ręce. uniemożliwiając obronę, zerwali pagony i odznaki marszałkowskie i wywlekli go do sekretariatu. Stamtąd skierowali się tylnym wyjściem na schody prowadzące na podwórze, gdzie czekał już samochód. Wepchnęli aresztanta do wnętrza i samochód ruszył w stronę więzienia.

Nina Jewgieniewna długo czekała na męża. Jego nieobecność tłumaczyła nawałem obowišzków, jakie przypadły na pierwszy dzień pobytu w nowej placówce. Miała mu jednak za złe, że pozostawił jš samš w mieszkaniu, które wydawało jej się puste i obce. Był już póny wieczór, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Przekonana, że wraca mšz. wyszła do przedpokoju.

Przed drzwiami stał jednak Paweł Dybienko, którego poznała na dworcu poprzedniego dnia. Był wyranie zdenerwowany i mimo chłodnego wieczoru spocony. Nic nie mówišc, wszedł do mieszkania.

- Michaił Nikołajewicz został dzisiaj aresztowany - wykrztusił wreszcie i widać było, że jest szczerze przejęty.

Nina poczuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp.

Michaił Tuchaczewski

MIERĆ MARSZAŁKA

Tuchaczewskiego bezzwłocznie przetransportowano do Moskwy. Przez kilka pierwszych dni nie protokołowano w więzieniu jego zeznań, co oznaczało, że nie przyznawał się do winy. Załamał się jednak szybko. 26 maja przyznał się do wszystkich zarzucanych przestępstw.

Dlaczego? Torturowano go? Zapewne tak. Na protokole przesłuchania z podpisem Tuchaczewskiego odkryto po latach krople krwi. Analiza wykazała, że

krew ciekła na papier pod kłosem. Spływała z ciała maltretowanego więźnia lub też z pejcza, którym go bito. Bez wstąpienia poddano go również presji psychicznej. Był to zabieg często stosowany wobec więźniów politycznych. Przekonywano ich, że od przyznania się i wskazania współwinnych zależy życie najbliższych: żony, dzieci, rodzeństwa.

Jest również pewne, że ludzie, w których ręce Stalin złożył los Tuchaczewskiego, doskonale zdawali sobie sprawę, jak bardzo sekretarzowi zależy, by wszystko przebiegało bez zakłóceń. Nie cofnęli się przed niczym, aby wydobyć zeznania, których oczekiwał Stalin. Być może Tuchaczewski uznał, że cała sprawa jest tragicznym nieporozumieniem i gotów był przyznać się do wszystkiego licząc, że uda mu się skontaktować ze Stalinem i przerwać koszmar lub wyjść przed sąd i uzyskać uniewinnienie od absurdalnych zarzutów. Nie docenił bezwzględności maszyny, w której tryby wpadł. Tuż przed rozpoczęciem procesu poddano go przesłuchaniu, aby uzyskać pewność, że stojąc przed trybunałem nie zmieni zeznań. Zresztą istniało wiele innych metod, aby oskarżony, który, uwierzywszy w bezstronność sądu, wypierał się zeznań złożonych w ledztwie, został szybko przywołany do porządku. Sędziowie, ciele współpracujący z aparatem represji, ogłaszali w takich wypadkach przerwę, w czasie której „nieposłusznego” oskarżonego poddawano torturom, aplikowano narkotyki, a w szczególnie trudnych i ważnych wypadkach podstawiano sobowtóra.

11 czerwca 1937 r, o 9.00 rozpoczął się proces marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i siedmiu innych oficerów aresztowanych pod podobnymi zarzutami.

Agencja TASS informowała następnego dnia: Wczoraj, 11 czerwca br., w sali sędu najwyższego ZSRR Specjalny Sędowy Trybunał Sędu Najwyższego ZSRR, pod przewodnictwem przewodniczącego Izby Wojskowej Sędu Najwyższego ZSRR (...) tow. Uiricha, w składzie: zastępcy ludowego komisarza obrony (...) tow.

Ałksmisa, marszałka Buddionnego, marszałka Bluechera, szefa Sztaby Generalnego, Szaposznikowa, dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego, Biełowa, dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, Dybienki*, dowódcy Północ-

* Był to ten sam oficer, który poinformował Ninę Tuchaczewskę o aresztowaniu męża.

nokaukaskiego Okręgu Wojskowego, Kaszyrina i dowódcy 6. Kozackiego Korpusu Kawalerii im. Stalina, Goriaczowa, rozpatrzył na zamkniętym posiedzeniu,

Zgodnie z dekretem z 1 grudnia 1934 r., sprawę Tuchaczewskiego, Jakira,

Uborewicza, Korka, Eidemana, Feldmana, Primakowa i Putny. (...) Po ogłosze-

niu aktu oskarżenia na pytanie przewodniczącego tow. Uiricha, czy oskarżeni przyznają się do przypisywanych im przestępstw, wszyscy oskarżeni przyznali się

w pełni do winy. Sęd uznął ze wyżej wymienieni oskarżeni byli na służbie

wywiadu wojskowego jednego z państw prowadzących nieprzyjazną politykę

wobec ZSRR, dostarczali wojskowym orodkom tego państwa informacji szpiego-

wskich, dokonywali aktów szkodliwych w celu zmniejszenia siły Armii Czerwonej

(...) i mieli na celu przyczynienie się do rozczłonkowania Związku Radzieckiego

i powrotu władzy obszarników i kapitalistów. Specjalny Trybunał uznął oskar-

żonych winnymi złamania przysięgi wojskowej, zdrady Armii Czerwonej i Ojczyz-

ny i postanowił pozbawić ich stopni wojskowych (...) i skazać wszystkich na

najwyższy wymiar kary - rozstrzelanie.

Rozprawa trwała krótko. Zakończyła się tego samego dnia po 23.00. Oskarżeni przyznali się do winy. Byli apatyczni, straszliwe ledztwo zostawiło na wszystkich niezatarte ludy. Oskarżali siebie i kolegów, starajęc się zyskać pobłażliwoć sędziów. Nie wiedzieli, że oficerowie ze składu sędziowskiego, którzy mieli wydać wyrok w ich sprawie, czuli się równie zagrożeni. Oni także walczyli o życie, starajęc się wykazać bezgraniczne oddanie Stalinowi.

Wyrok w tej sprawie zapadł zresztš wczniej, gdy Stalin przykazał przewodniczącemu składu sędziowskiego orzeczenie kary mierci dla wszystkich oskarżonych.

Nad ranem 12 czerwca marszałek Tuchaczewski* stanł przed plutonem egzekucyjnym na podwórzu więzienia na Łubiance. Podobno jego ostatnie słowa brzmiały: ..Strzelacie nie do nas, strzelacie do Armii Czerwonej..."

Order Czerwonej Gwiazdy

* Represje dotknęły najbliższš rodzinę marszałka. Bracia Nikołał i Aleksandr oraz szwagier (mšż Jelizawietyi. jako wojskowi, zostali rozstrzelani. Matka, pozbawiona rodków1 do życia, zebrała i wkrótce zmarła z głodu. Pozostali członkowie rodziny, którzy - w myl an. 58 kk - byli CzSIR-ami. czyli ..członkami rodziny zdrajcy ojczyzny", zostali skazani na osiem lat łagru. Ich dzieci umieszczono w różnych domach dziecka pod zmienionymi nazwiskami. W 1946 r. siostry marszałka uzyskały możliwość osiedlenia się w Aleksandrowsku pod Moskws, ale po dw^ch latach zesłano je na Kołymę. skšd powróciły w styczniu 1956 r.

Tuż przed witem 22 czerwca 1941 r. niemiecka stacja nasłuchowa prze-

chwyciła rozmowę radiowś między dowódcś jednego z nadgranicznych posterunków i kwaterś głównś.

- Zostaliśmy ostrzelani przez Niemców. Co mamy robić? - pytał dowódca radzieckiego oddziału.

- Chyba zwariowaliście! Dlaczego nie używacie szyfru?! - brzmiała odpowiedź.

Pół godziny później, o 3.40, szef Sztabu Generalnego. Georgij Żuków, zatelefonował do Willi Stalina w podmoskiewskiej miejscowości Kunczewo, informując o niemieckim ataku. Stalin milczał długo, a wreszcie nakazał Żukowowi i członkom Biura Politycznego stawić się niezwłocznie na Kremlu.

Zebranie rozpoczęło się o 4.30. Zdenerwowany komisarz spraw zagranicznych.

Wiaczesław Mołotow, poinformował, że ambasador niemiecki przekazał mu notę o rozpoczęciu wojny.

- Czy naprawdę na to zasłużyliśmy? - zapytał Mołotow.

Armia Czerwona dysponowała 300 dywizjami, z których 170 (tj. około 2,9 miliona żołnierzy) stacjonowało w zachodnim rejonie Związku Radzieckiego i na ziemiach zagarniętych w 1939 i 1940 r. Te wojska miały 38 tysięcy dział i modzierz, 1470 czołgów nowych typów (T-34 i KW-1) wśród 22-24 tysięcy czołgów w ogóle (w większości lekkich i przestarzałych) oraz około 1500 samolotów nowych typów z ponad 3 tysiącami stacjonowanymi w tym rejonie. Była to ogromna siła. Odpowiednio zorganizowana i kierowana mogła zmierzyć

się z armiami niemieckimi i sojusznicznymi, które o wicie ruszyły do ataku (120 dywizji piechoty, 2,5 miliona żołnierzy. 3350 czołgów, 48 tysięcy dział, 2200 samolotów).

Jednakże radzieckie wojska - tak liczne, tak obficie wyposażone w broń pancerną i lotnictwo - były kompletnie zaskoczone niemieckim uderzeniem.

Większość z nich znajdowała się na poligonach lub w drodze z poligonów do rejonów zgrupowań. Dywizje rozwinięte w długie kolumny marszowe stawały się doskonałym celem dla niemieckich bombowców i myśliwców. Radzieckie samoloty przemieszczano na nowe lotniska, z których ogromna większość nie miała jeszcze zaplecza, części zamiennych, amunicji i paliwa. W ciągu pierwszych ośmiopółgodzinnych walk lotnictwo niemieckie zniszczyło 1200 samolotów radzieckich (z czego 800 na lotniskach), uzyskując panowanie w powietrzu.

Grupy pancerne przeszły Bug i parły jak burza w stronę Moskwy. Do 9 lipca w rejonie działania Grupy Armii „rodek” Niemcy wzięli do niewoli 289 974 jeńców i zniszczyli 2585 czołgów oraz 246 samolotów. W rejonie Smoleńska zniszczyli lub zdobyli 2 tysiące czołgów. 1900 dział i wzięli do niewoli 100 tysięcy żołnierzy.

Rozmiar klęski Armii Czerwonej był wręcz niewyobrażalny. W ciągu trzech tygodni oddziały niemieckie wdarły się przeszło sześćset kilometrów w głąb

Związku Radzieckiego. Do Moskwy pozostawało niespełna trzysta kilometrów.

W czasie pierwszych pięciu miesięcy walki Armia Czerwona straciła (zabitych, rannych, wziętych o do niewoli) około trzech milionów żołnierzy. Taki był rachunek, jaki przyszło zapłacić za czystkę w siłach zbrojnych.

Nikt dzisiaj nie potrafi dokładnie określić, jak wielu oficerów (podczas czystki) rozstrzelano, uwięziono w łagrach lub w najlepszym razie zwolniono z wojska. Szacunki wahają się od trzydziestu pięciu tysięcy do osiemdziesięciu dwóch*. Wśród nich znaleźli się najlepsi, najzdolniejsi i najbardziej dowiedzeni dowódcy. Ich odejście zniszczyło to wszystko, co wnieśli do wojska, czego nauczyli się na frontach wojny domowej, co wypracowali na manewrach w czasie gier sztabowych.

Marszałek Tuchaczewski napisał w jednej ze swoich prac (w 1935 r.), że Niemcy uderzą na Związek Radziecki wiosną '94. T. w s\& dwasto ^^{'LYL...

Jeńcy radzieccy

* Taką liczbę podaje jeden z najwybitniejszych znawców zagadnienia, doktor Paweł Wiczorkiewicz w najnowszej pracy Stalin i generalicja sowiecka w latach 1937-1941. Sprawa Tuchaczewskiego i jej konsekwencje". Wydawnictwo Gryf" 1993.

Od wczesnego rana autostrada Monachium-Salzburg mknęły czarne mercedesy. Sto siedemdziesiąt kilometrów na południe od Monachium zjeżdżały na wąską asfaltową szosę prowadzącą do górskiego kurortu Berchtesgaden. Po dwudziestu minutach szybkiej jazdy docierały do miasteczka, przemykały ulicami i przy dworcu skręcały w stronę Obersalzbergu. Tuż potem ginęły w cieniu starych jodeł i dębów, rosnących po obydwu stronach wąskiej jezdni. Droga stawała się coraz bardziej stroma, aczkolwiek dobrze wyprofilowane zakręty

pozwalają kierowcom utrzymać dużą prędkość. Zwalniali, dopiero gdy dotarli do stóp góry Kehistein. Dalszy podjazd nie był trudny, ale widok przepaci po prawej stronie drogi, mimo solidnych rur ciśnieńskich się między kamiennymi słupkami, zmuszał do ostrożności.

Admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry, ocknął się z długiej drzemki, w jakś zapadł nad ranem, gdy wyjechali z Monachium. Usiadł wygodniej w skórzanym fotelu służbowego mercedesa i zaczął rozcierać zdrętwiałe kolano.

- Już chciałem pana obudzić, admirale. - Kierowca przyglądał mu się w lusterku wstecznym. - Za 15 minut powinniśmy być na miejscu.

Canaris obcisnął mundur, poprawił rzadkie, siwe włosy i przysunął twarz do szyby. Szybko zbliżali się do szczytu, a z każdym przebytym metrem widoki stawały się coraz wspanialsze. W kryształowo czystym powietrzu wyranie rysowała się skalista grań Untersbergu, zza której wyłaniał się szczyt Gaisberg, już słabiej widoczny w niebieskiej mgiele. W dole, między górami, widać było czerwone dachy i białe ciany domów Berchtesgaden i nieco dalej położonego Bischofwiesen.

Dlaczego Hitler nie lubi wjeżdżać na szczyt? - pomyślał Canaris. - Tak wspaniały widok musi przecież odpowiadać jego naturze: cały wiat u stóp. Nawet ptaki latająś niżej.

Rzeczywiście, Adolf Hitler niechętnie odbywał podróże na szczyt góry Kehistein, gdzie mieściła się willa z grubo ciosanych, szarych kamieni. Dostał ją 20 kwietnia 1939 r. w podarunku od partii i narodu na 50. urodziny. Ten prezent

kosztował 30 milionów reichsmarek (ok. 90 milionów dolarów, według ówczesnych cen), a ludzie z najbliższego otoczenia fuhrera sędzili, że sprawili mu wielką przyjemność, gdyż upodobał sobie ten malowniczy zakątek Alp Bawarskich.

Bywał tu wielokrotnie po wyjściu z więzienia w Landsbergu, gdzie odsiadywał krótki wyrok za zorganizowanie w Monachim puczu w listopadzie 1923 r. W 1928 r. od hamburskiego przemysłowca wynajmował dom letniskowy "Wachenfeld", położony u stóp Kehisteinu. Wkrótce, za honorarium ze sprzedaży „Mein Kampf”, wykupił dom i znacznie go rozbudował. Willa, nazwana "Berghof", stała się oficjalną rezydencją szefa NSDAP, a później kanclerza Niemiec.

Był on szczególnie zadowolony, gdy wprowadzał gości do sali konferencyjnej, gdzie całą cianę zajmowało okno ze wspaniałym widokiem na góry. Natychmiast po naciśnięciu guzika okno się opuszczało, aby nic nie zakłócało widoku; wewnątrz sali wypełniało krystaliczne alpejskie powietrze i... wycieki spalin z garażu mieszczącego się tuż pod podłogą.

W tym domu w 1938 r. rozegrały się wydarzenia, które przesądziły o losach świata: 11 lutego przybył tu Kurt von Schuschnigg, kanclerz Austrii, z ministrem spraw zagranicznych. Guido Schmidem, aby powstrzymać Hitlera przed wysłaniem wojsk do Austrii. 15 września do Berchtesgaden przyleciał brytyjski premier Neville Chamberlain wraz z doradcą do spraw międzynarodowych, Horacym Wilsonem (który w rzeczywistości wiedział o sprawach międzynarodowych jeszcze mniej niż szef rządu brytyjskiego) w celu omówienia

warunków zachowania pokoju w Europie.

W styczniu 1939 r. w „Berghofie” Hitler podejmował Józefa Becka, polskiego ministra spraw zagranicznych, usiłując namówić go, do tego, by Polska oddała Niemcom Gdańsk i udostępniła eksterytorialną autostradę do Prus Wschodnich. W czasie tych rozmów Hitler był w doskonałej formie: wspaniale panował nad emocjami.

Być może na dobre samopoczucie flihrera wpływało otoczenie. Jednakże nie lubił willi na szczycie Kehisteinu. Już sama podróż windą - przestronną i wyłożoną lustrami, co sprawiało wrażenie, że jest znacznie większa niż w rzeczywistości - wywoływała u niego duszność. Ponadto obawiał się, że piorun może uderzyć w szczyt góry. co mogłoby się skończyć dla jadących windą zawieszonych na stalowych linach. Lęk był tak silny, że Hitler wychodził z kabiny spocony i blady, odczuwając palpacje serca oraz duszności, spowodowane nagłymi zmianami ciśnienia. Dlatego też w domu na górze bywał jedynie podczas szczególnych okazji.

Ostatnia zdarzyła się 11 czerwca 1939 r., gdy zaprosił profesora Carla Burckhardta, Szwajcara, wysokiego komisarza Ligi Narodów. Za jego pośrednictwem chciał przekazać mocarstwom zachodnim informację, że zdecydował się skierować swe armie na Wschód. Chciał również olnić szwajcarskiego polityka, zademonstrować mu swoją potęgę. Dlatego wysłał swój osobisty samolot Immelmann III do Gdańska, aby zabrać stamtąd gościa do Salzburga, skąd samochodem zawieziono go na Kehistein. Hitler uznał, że wspaniałe krajobrazy roztaczające się ze szczytu będą najlepszym tłem dla jego słów. Stojąc na tarasie

willi, rzekł do profesora:

- Wszystko, co robię, jest skierowane przeciwko Rosji. Jeżeli Zachód okaże się zbyt tępy, aby to wykorzystać, będę zmuszony porozumieć się z Rosjanami i zwrócić się najpierw przeciwko Zachodowi. Póniej za skieruję całą moją siłę przeciwko Zwiżskowi Radzieckiemu. Potrzebuję Ukrainy, aby już nigdy Niemców nikt nie głodził, jak podczas ostatniej wojny.

Samochód zatrzymał się na dużym parkingu wykutym w skale u szczytu.

Canaris wziął teczkę i ruszył w stronę ciężkich, brązowych drzwi zamykających wejście do tunelu. Przed nim podszła wielki admirał Erich Raeder, dowódca

Hitler i Góring w Obersalzbergu

Rezydencja Hitlera Berghof'

Kńegsmarine, który udawał, że spieszc się do czekajšcego u wlotu tunelu

generała Alfreda Jodła, nie dostrzega Canarisa. Ten zobaczył idšcego nie opodal

generała Heinza Guderiana i skierował się w jego stronę, gdy nagle za plecami

usłyszał głos:

- Pan to musi wiedzieć, admirale!

Canaris odwrócił się do człowieka, który szedł za nim.

- Musi pan wiedzieć, dlaczego fuhrer nas tu wezwał - mówi generał Franz

Halder, szef sztabu wojsk lądowych.

- Wywiad wie o wszystkim, co dzieje się za granicą, ale nie o wszystkim, co dzieje się w Niemczech. Jeli chodzi o tę konferencję, to wiem tyle, ile pan. -

Canaris wyciągnął rękę na powitanie.

- Obydwaj się domylamy, czego dowiemy się na górze - zauważył Halder, gdy weszli do wilgotnego tunelu.

19 sierpnia 1939 r. kilkudziesięciu najwyższych oficerów Wehrmachtu otrzymało pisemne polecenie stawienia się w siedzibie Hitlera na górze Kehlstein w celu zaprezentowania planów operacyjnych, przygotowanych na wypadek wojny z Polską. Poinformowano wezwanych, że powinni przybyć w strojach nieoficjalnych, alby uniknąć zwracania uwagi, i wydano im rygorystyczne polecenie powstrzymania się od wszelkich komentarzy, które mogłyby przedostać się do prasy zagranicznej.

Przed drzwiami windy, w okrągłej salce wyłożonej marmurowymi płytami i oświetlonej kinkietami w kształcie pochodni, zebrało się kilkunastu najwyższych dowódców Wehrmachtu. Nie było wśród nich współpracowników fuhrera - Goebbelsa. Göringa i Hessa - ale oni, jak słusznie przypuszczał Canaris, przybyli wcześniej i oczekiwali na górze.

Masywne drzwi rozsunęły się bezszelestnie, ukazując obszerne wnętrze windy wyłożonej weneckimi lustrami.

Gdy wszyscy weszli, żołnierz SS nacisnął guzik. Po minutowej jeździe winda

zatrzymała się łagodnie i oficerowie weszli do niewielkiego hallu wyłożonego kamiennymi płytami. Do rozpoczęcia konferencji pozostawało jeszcze 20 minut. więc skierowali się na taras, gdzie oczekiwało już kilkudziesięciu oficerów Wehrmachtu i SS.

Polecenie stawienia się w nieoficjalnym stroju najsumienniejszy wykonał głównodowodzący lotnictwem Hermann Göring. Był w białej koszuli, na którą narzucił zielony kaftan ze skóry wężorza, z dużymi guzikami obciśniętymi żółtą skórą. Spod jego krótkich spodni widać było nogi w szarych pończochach. Całoci dopełniał szkarłatny pas, gęsto wysadzany złotem, z którego zwisał sztylet w pochwie z tego samego materiału co pas.

Tuż przed dwunastą oficerowie udali się do sali konferencyjnej. Było to największe pomieszczenie „Berghofu”. Grubo ciosane belki stropu, ciany wykładane marmurem, marmurowy, czerwony kominek (prezent od Benito Mussoliniego); cały ten surowy wystrój nadawał pomieszczeniu dość ponury wygląd; półmrokowi nie zapobiegało światło wpadające przez pięć okien.

Zwykle porodka pokoju stał okrągły stół o średnicy 3 metrów, otoczony wygodnymi fotelami, ale na czas konferencji usunięto go i ustawiono krzesła. Honorowe miejsca w pierwszym rzędzie zajęli: feldmarszałek Göring, generał von Brauchitsch i wielki admirał Raeder. Canaris usiadł w ostatnim rzędzie, pod cianą. Stał tam miał najlepszy widok na zebranych i Hitlera, który nadszedł kilkanaście minut później. Wszyscy zerwali się, unosząc dłonie w geście pozdrowienia, a co zapalczywi krzyknęli: „Heil Hitler”.

- Wezwałem was - powiedział fuhrer, gdy ucichły powitalne okrzyki i wszyscy zajęli miejsca - aby przedstawić obraz sytuacji politycznej, aby zorientować was w przesłankach, na których oparłem swą decyzję działania. Myślę, że wzmocni to wasze zaufanie do mnie.

Tak rozpoczęło się dwugodzinne przemówienie. Mimo zakazu robienia notatek admirał Canaris wyciągnął kartki i zaczął zapisywać słowa fuhrera. Zobaczył, że również generał Halder i admirał Boehm ukradkiem notują.

Wystąpienie poświęcone było uzasadnieniu konieczności rozpoczęcia wojny z Polską, którą wódz oskarżył o doprowadzenie do sytuacji zapalnej.

- Chciałem znowe ułożyć stosunki z Polską, w celu rozprawienia się najpierw z Zachodem - mówił - ale ten plan, który odpowiadał mi najbardziej, nie mógł zostać urzeczywistniony, gdyż zmieniły się realia*. Stało się jasne, że w razie konfliktu z Zachodem, Polska zaatakuje nas. Polska chce dostępu do morza; od czasu gdy okupujemy Memel**, wydarzyły się rzeczy, które przekonały mnie, że konflikt z Polską mógłby nastąpić w momencie dla nas niekorzystnym.

Hitler dowodził, że dla Niemiec nastał właśnie wyjątkowo sprzyjający czas. Wielka Brytania i Francja rządzone były przez ludzi niezdolnych do podjęcia ważnych decyzji.

- Nasi wrogowie są polednimi ludmi, a nie ludmi czynu, nie mistrzami. Są małymi robakami.

Przekonywał, że Niemcom sprzyja także sytuacja międzynarodowa: Wielka

Brytania zaplętała się w rywalizację z Francją i Włochami na Morzuródziemnym oraz Japonią na Dalekim Wschodzie; zajęta jest nie rozwieszonymi problemami na Bliskim Wschodzie i w Irlandii. Niewiele lepsza była sytuacja Francji. Jugosławię zainfekowały bakterie rozkładu". Rumunia, zagrożona przez Węgry i Bułgarię, stała się chętna do współpracy. Turcja, po śmierci Kemala Atatürka, jest rządzona przez słabego, chwiejnego przywódcę.

- Wszystkie te sprzyjające okoliczności nie potrwał dłużej niż dwa lub trzy lata. Nikt nie wie, jak długo będę żył. Mam pięćdziesiąt lat i jestem u szczytu możliwości. Byłoby najlepiej, gdyby wojna wybuchła teraz, a nie na przykład za 5 lat, gdy i ja, i Mussolini będziemy o pięć lat starsi.

* Bez wątpienia Hitler mówi o udzieleniu Polsce (31 marca 1939 r.) gwarancji przez premiera Neville'a Chamberlaina oraz zapowiedzi zawarcia traktatu o pomocy wzajemnej (co nastąpiło 25 sierpnia 1939 r.), który w razie zaatakowania Wielkiej Brytanii przez Niemcy zobowiązywał Polskę do uderzenia na agresorów.

** Memel czyli Kłajpedę, zajęł przez Niemców 23 marca 1939 r.

Hitler wiedział, że wielu oficerów obawia się wciśnięcia Niemiec w długą i wyczerpującą wojnę. Co prawda stan ekonomiczny Rzeszy znacznie się poprawił po zajęciu Austrii i Czechosłowacji, ale brakowało co najmniej kilku lat do pełnego przygotowania marynarki i lotnictwa do starcia na wielu frontach. Wódz zdawał sobie sprawę, że musi rozwiązać wątpliwości wojskowych. Dlatego zaczął dowodzić, że Francja i Wielka Brytania nie wystąpią w obronie Polski. W jego ocenie obydwa mocarstwa mogły wprowadzić najwyżej morską blokadę

gospodarczŝ Rzeszy, co nie było grone, gdyŝ głównie ródła zaopatrzenia znajdowały się na wschodzie; mogły wprawdzie uderzyć zza Linii Maginota, jednak wydawało się to mało prawdopodobne.

Pozostawała jeszcze do wyjanienia kwestia Zwiŝzku Radzieckiego. Niemiec-
cy generałowie zdawali sobie sprawę, ŝe czystki przeprowadzone przez Stalina
w 1937 i 1938 r. pozbawiły Armię Czerwonŝ najlepszych dowódców, ale
w dalszym ciŝgu była to ogromna siła, dysponujŝca ponad pięcioma milionami
ŝołnierzy, dwudziestoma tysiŝcami czołgów i omioma tysiŝcami samolotów.

- Nasi wrogowie mogŝ mieć tylko nadzieję - argumentował Hitler - ŝe Rosja
zwróci się przeciw nam po podboju Polski. (...) Jestem przekonany, ŝe nigdy nie
zaakceptuje angielskiej oferty. Tylko lepy optymista mógłby uwierzyć, ŝe Stalin
jest tak głupi, iŝ nie przejrzy intencji Anglii. Rosja nie jest zainteresowana
w zachowaniu Polski, a Stalin wie, ŝe wojna [z Niemcami - BW] oznaczałaby
koniec jego reŝimu, bez względu na to, czy jego ŝołnierze wyszliby z wojny
zwycięzcy, czy pokonani.

Fuhrer zmierzał do najważniejszej informacji, która miała rozwiać wszelkie
wŝtpliwoci generałów, obawiajŝcych się, ŝe uderzenie Niemiec na Polskę
mogłoby spowodować interwencję wojsk radzieckich.

- Nawiŝzałem osobisty kontakt ze Stalinem. Zaaranŝowałem wizytę Ribbentropa
w Moskwie, natychmiast, aby pojutrze podpisać pakt o nieagresji. Wytrŝciłem broń
z ręki tym dŝentelmenom! Teraz będę miał Polskę, kiedy tylko zechcę!

Głos Hitlera narastał, ton wypowiedzi stawał się podniosły i uroczysty, co

wskazywało wyranie, że zmierza do końca przemówienia.

- To jest wielki cel, który wymaga wielkiego wysiłku. Obawiam się jedynie, że w ostatnim momencie przyjdzie jaka winia z propozycji mediacji. Rozpoczęliśmy niszczenie angielskiej hegemonii. Zakończyłem przygotowania polityczne, droga jest otwarta dla żołnierzy!

Burza oklasków zerwała się w momencie, gdy Hitler zamilkł i opucił głowę, dając do zrozumienia, że skończył. Göring pierwszy podbiegł do niego. Stał obok, dziękując za krzepiące słowa i zapewniając, że siły zbrojne spełnią swój obowiązek.

Canaris zamknął notatnik. Był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Ocena sytuacji międzynarodowej, którą przedstawił Hitler, wydała mu się zbyt pobieżna i dotycząca za krótkiego okresu. Canaris był zdania, że wojna z Polską rozpocznie wojnę światową. Na początku Francja i Anglia nie będą zapewne interweniować, ale co się stanie potem, za pół roku, za rok?

Esesmani z ochrony fuhrera otworzyli drzwi na korytarz wiodący w stronę tarasu. Tam na stołach piętrzyły się równo ułożone na lodzie kocyki czarnego kawioru - ulubionego smakołyku wodza.

Przerwa na posiłek była krótka. W drugiej części zebrania rozmawiano o szczegółach planów operacyjnych wszystkich rodzajów wojsk. Hitler odzywał się rzadko. Dopiero pod koniec zabrał głos:

- W związku z zasadami prowadzenia tej wojny zamknijcie swe serca przed

litociš. Działajcie brutalnie. Zgniećcie każdą iskrę życia. Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać, co im się sprawiedliwie należy. - Mówił o narodzie niemieckim. - Musimy im zapewnić egzystencję. Moc jest prawem; dlatego musimy działać z wielką bezwzględnością. Musicie podejmować decyzje szybko i zawsze mocno wierzyć w niemieckiego żołnierza. Celem wojskowym jest całkowita destrukcja Polski. Najważniejsza jest szybkość. Musicie cigać wrogów aż do całkowitego zniszczenia. Jestem przekonany, że niemiecki Wehrmacht sprosta temu zadaniu. Rozkaz do rozpoczęcia walk przekażę wam później. Prawdopodobnie w sobotę rano.

Canaris nie miał już żadnych wątpliwości. Straszliwa machina, która zgniecie Polskę, ruszy wkrótce. Los sąsiedniego kraju nie interesował go; był jednak przekonany, że wkrótce zostaną uruchomione siły, które zniszczą Niemcy. Czy mógł temu zapobiec?

Było już za późno na powrót do Berlina. Admirał pojechał do Platerhof", hotelu dla gości Hitlera w Obersalzbergu, gdzie czekał na niego zastępca - pułkownik Hans Oster.

- Wraca pan nocnym ekspresem? - zapytał Canaris.

- Tak, w tej sytuacji muszę rano być w Berlinie - odpowiedział Oster.

- Ja muszę zostać. Niewykluczone, że fuhrer wezwie mnie, aby ustalić szczegóły operacji. - Canaris wstał i podał Osterowi rękę. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż wreszcie admirał skinął znacząco głową, co mogło oznaczać: niech pan uważa na siebie".

Ostrzeżenie było uzasadnione. Canaris i jego zastępca byli założycielami tajnej organizacji "Schwarze Kapelle" (Czarna orkiestra). Nie wiadomo dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach powstała organizacja. Była najtajniejsza i najbardziej zakonspirowana ze wszystkich spiskowych grup działających w Niemczech. Miała jeden cel: obalenie Hitlera prowadzącego Niemcy do zguby.

Kilkadziesiąt minut po wyjeździe pociągu ze stacji, Oster wyszedł na korytarz, gdzie przy oknie stał mężczyzna. Oster stanął opodal i wyciągnął papierosa.

Mężczyzna się odwrócił.

- Przepraszam pana - powiedział łamanym niemieckim. - Czy nie ma pan zapalek?

- Tak, proszę - Oster podał mu pudełko. Tamten wziął je. Zapalił papierosa i podał pułkownikowi pudełko, które trzymał dotąd w drugiej ręce.

- Dziękuję. - Skinął głową i oddalił się w przeciwny koniec korytarza. Nikt, kto obserwowałby to spotkanie, nie mógł mieć żadnych podejrzeń, że nie było ono przypadkowe.

Oster wrócił do przedziału. Po chwili również mężczyzna palący papierosa wszedł do swojego przedziału. Był to major Gijsbertus Jacob Sas, pracownik ataszatu wojskowego ambasady holenderskiej w Berlinie. Oster znał go od wielu lat i korzystał z jego pośrednictwa w kontaktach z Brytyjczykami. Major wyjść

z kieszeni pudełko z zapalnikami otrzymane od Oстера, wyciągnął z niego równo złożoną kartkę i włożył ją do teczki, którą zamknął starannie na kluczyk.

Po przyjeździe do Berlina Sas udał się bezpośrednio do ambasady Wielkiej Brytanii. Sporządzona przez Canarisa informacja o przebiegu konferencji w Orlim Gnieźnie znalazła się na biurku majora Foleya, szefa berlińskiego oddziału wywiadu brytyjskiego MI-6.

Canaris rozpoczął grę, której efektu zapewne nie przewidywał...

Sala konferencyjna w willi Berghof'

W końcu 1906 r. dziewiętnastoletni Wilhelm Canaris, absolwent Akademii Morskiej w Kilonii, stawiał się u dowódcy lekkiego krążownika Dresden, aby rozpocząć pierwszą samodzielnie służbę. W jego rodzinie nie było tradycji militarnych, choć ojciec - bogaty właściciel kopalń węgla pod Dortmundem* - chętnie przyznawał się do powinowactwa z admirałem Konstantynem Kanarisem, jednym z przywódców powstania greckiego w 1812 r.

Gdy w 1914 r. w Europie wybuchła wojna, krążownik Dresden, wchodzący w skład eskadry Dalekiego Wschodu wiceadmirała Maximiliana von Spee, cumował w porcie St. Thomas w Duńskich Indiach Zachodnich. Wyruszył stamtąd do Niemiec drogą prowadzącą dookoła Ameryki Południowej, 1 listopada 1914 r. niemiecka eskadra (dwa pancerniki i 4 krążowniki) napotkała w pobliżu chilijskiego portu Coronel flotyllę brytyjską składającą się z pięciu krążowników. Dysponując ogromną przewagą ognia, po 57-minutowej walce

Niemcy posłali na dno dwa małe krążowniki Good Hope i Monmouth. Na wieść o tym zwycięstwie prasa niemiecka rozpoczęła wielką akcję, głosząc, że potęga niezwyciężonej Royal Navy" jest mitem. Dotknięci do żywego Anglicy wysłali w pogoń silną eskadrę, której trzon stanowiły dwa nowoczesne, silnie uzbrojone pancerniki Invincible i Inflexible.

Zespół wiceadmirała von Spee powracał do Niemiec, opływając przylśdek Horn i kierując się na północ obok Falklandów. 8 grudnia dowódca postanowił wykorzystać okazję i ostrzelać Port Stanley, nie wiedząc, że w pobliżu czeka nowo przybyła potężna angielska eskadra. Niemieccy marynarze dostrzegli ją, gdy było już za późno na ucieczkę. Szybsze i silniej uzbrojone okręty angielskie w dwugodzinnej bitwie posłały na dno cztery nieprzyjacielskie jednostki.

Okrętowi Canaris dopisało szczęście: wymknął się z obławy, korzystając z okazji, że idące jego tropem krążowniki Kent i Cornwall zajęły się walką z okrętami Leipzig i Nürnberg.

Jednakże szczęśliwa passa nie trwała długo. W marcu 1915 r. krążownik został osaczony w pobliżu chilijskich wysp Juan Fernandez przez trzy brytyjskie okręty:

nie miał żadnej szansy nawiązania równorzędnej walki. Porucznik Canaris wsiadł do szalupy i udał się na pokład okrętu brytyjskiego HMS Glasgow, aby złożyć stanowczy protest wobec pogwałcenia przez Brytyjczyków neutralności Chile.

Dowodził, że okręt niemiecki, znajdujący się na wodach nie zaangażowanego w wojnę państwa, stał się również neutralny. Brytyjski dowódca w pełni

* Prawdopodobnie; w życiu Canarisa wszystko było tajemnicze, pochodzenie również. Inne źródła

podajš, Œe jego ojciec był inŒynierem zatrudnionym w hucie pod Dortmundem.

kurtuazji słowach odrzucił protest. W tym samym momencie na pokładzie Dresden rozległ się potężny wybuch i okręt zaczął tonšć. Canaris zasalutował i wrócił do szalupy. Wypełnił swójš misję, której celem było odwrócenie uwagi Anglików i zyskanie na czasie. Gdy rozmawiał z dowódcš brytyjskim, niemiecka załoga ewakuowała się i wysadziła kršżownik w powietrze, aby nie dostał się w nieprzyjacielskie ręce.

Dalsza droga porucznika prowadziła do Chile, gdzie został internowany i osadzony w obozie na wysepce Quiriquina, odległej o 500 mil od Valparaiso. Nie przebywał tam długo. Nawišzał kontakt z właścicielem kutra rybackiego, który za pewnš kwotę zgodził się przewieć go na lšd stały. Canaris udał się niezwłocznie do niemieckiej placówki w Santiago. Tam dostał dokumenty na nazwisko Reed-Rosas i w przebraniu Metysa rozpoczął wędrowkę przez Andy. Po kilkudziesięciu dniach niezwykle trudów dotarł do Buenos Aires, gdzie wsiadł na pokład parowca Frisia, płynšcego do Rotterdamu.

Gdy 17 września 1915 r. zameldował się w admiralicji w Berlinie, nikt go nie poznał. Wynędzniały, chory na malarię i zapalenie jelit, wyglšdał, jakby wyszedł z grobu. Wieć o wyczynie dzielnego porucznika wyprzedziła go w drodze do Niemiec. Cesarz odznaczył bohatera Krzyżem Œelaznym.

Po krótkiej rekonwalescencji Canaris, promowany do stopnia kapitana, został wysłany do Madrytu, gdzie miał prowadzić działalnoć szpiegowskš w Etappe - organizacji zaopatrzenia i wywiadu floty niemieckiej. Tak rozpoczęła się szpie-

gowska kariera późniejszego szefa wywiadu III Rzeszy.

Maximilian graf von Spee

PIERW!

Brytyjczycy bacznie obserwowali morskie działania Niemców. Szczególnym niepokojem napawała ich możliwość podjęcia przez okręty podwodne zmasowanych ataków na żeglugę, co dowództwo niemieckie rozważało od 1916 roku. 154 U-booty niemieckiej marynarki wojennej, z których 100 wyruszyłoby w morze, mogły zatopić każdego miesiąca statki o łącznym tonażu około 600 tysięcy BRT. W rezultacie przerwałyby dostawę surowców i żywności do Wielkiej Brytanii i zmusiły ją do kapitulacji.

Było to bardzo realne zagrożenie. Informacje dostarczane przez szpiegów obserwujących ruch w brytyjskich portach umożliwiały dowództwu niemieckiej marynarki precyzyjne kierowanie U-bootów na najcenniejsze transporty. Sprawne uzupełnienie paliwa i amunicji okrętów podwodnych pozwalało im dłużej pozostawać w morzu, co zwiększało grobę ataków.

Brytyjczycy musieli podjąć działania obronne. Polegały one na uderzeniu w najczulsze punkty podwodnej floty: wywiad i zaopatrzenie. Skuteczność akcji U-bootów w dużej mierze opierała się na działalności kapitana Canarisa w Madrycie. Należało więc go zabić.

Z takś misją przybył latem 1916 r. do stolicy Hiszpanii agent wywiadu brytyjskiego, kapitan Stewart Menzies. Nie udało mu się jednak wytropić

Canarisa, gdyż ten, po kolejnym ataku malarii, został odesłany na rekonwalescencję do Niemiec. Podróż do Berlina przez Europę objętą wojną nie była jednak prosta i Canaris - zdając sobie sprawę, że Brytyjczycy gotowi są drogo zapłacić za jego głowę - przebrał się za mnicha i ruszył trasą, która z powodów znanych tylko jemu prowadziła przez Francję i Włochy. Brytyjczycy zdołali wszakże wpaść na jego trop i w miasteczku Domodossola na granicy włosko-szwajcarskiej czekała na operatywnego kapitana włoska policja. Osadzono go w więzieniu pod zarzutem szpiegostwa. W czasie wojny wyrok za takie przestępstwo mógł być tylko jeden - kara śmierci. Canaris, zamknięty w celi z grubymi kratami, nie miał żadnych szans ucieczki, mógł jedynie opóźnić bieg, wydawałoby się nieuchronny, wydarzeń. Zaczął symulować gruźlicę i gryzł język, aby pluć krwią. Gra była tak przekonująca, że rozprawa sądowa, w której musiał zapłacić wyrok śmierci, została odłożona. Hiszpańscy przyjaciele Canarisa, a wśród nich młody oficer Francisco Franco, zabiegali o zwolnienie „nieuleczalnie chorego” z więzienia.

Podobno Włosi nie dali się długo przekonywać. Zapakowali więźnia do pociągu i pod strażą odesłali do granicy francusko-hiszpańskiej, skąd już Canaris powrócił spokojnie do Madrytu. Inna wersja głosi, że Canaris zabił więziennego kapelana, przywdział jego sutannę i w tym przebraniu uciekł z więzienia.

Przebywający wciąż w Madrycie kapitan Menzies dowiedział się, że jego niedoszła ofiara powróciła i wznowił polowanie.

Stan zdrowia Canarisa po wyczerpującej podróży i przejściach więziennych

pogarszał się i szef Etappe - kapitan Kurt von Kron - zdecydował się odesłać chorego współpracownika do Niemiec w najbezpieczniejszy sposób: na okręcie podwodnym. Dowództwo marynarki wojennej zaakceptowało pomysł i poinformowało Madryt, że okręt U-35, dowodzony przez asa podwodniaków, kapitana Arnolda de la Periere, 1 października wejdzie do zatoki w pobliżu portu Kartagena. Depesza została przechwycona i rozszyfrowana przez wywiad brytyjski.

Kapitan Menzies przystąpił do działania, pewny, że tym razem Canaris już mu się nie wymknie. Miał też nadzieję na upolowanie przy okazji gronego okrętu podwodnego. Od jednego z agentów, Juana Marcha, który dowodził siatką szpiegowską w Kartagenie, dowiedział się, że Canaris - w oczekiwaniu na U-35 - ukrył się na pokładzie niemieckiego parowca Roma, cumującego w porcie.

Pónoym wieczorem agenci Menziesa wytropili, że Canaris przesiadł się do łodzi rybackiej, która wypłynęła w morze wśród kilkunastu kutrów wychodzących na połów makreli. To pokrzyżowało plany Brytyjczyków. Nie potrafili wśród kilkunastu identycznych łódek rozpoznać tej najważniejszej.

Wydawałoby się, że podobny kłopot miał kapitan de la Periere, który obserwował przez peryskop rybacką flotę. On jednak wiedział, że latarnia na maszcie łódki wiozącej Canarisa nadawać będzie alfabetem Morse'a literę „m”.

Nie wiedział natomiast, że w pobliżu jego okrętu krężyły w zanurzeniu dwa francuskie okręty podwodne gotowe zaatakować U-35, gdy tylko wypłynie na powierzchnię, aby przejść Canarisa.

O 6.30 rano Arnold de la Perière podniósł peryskop i dostrzegł łód nadajęc umówiony sygnał. Okręt wynurzył się i, bezbronny, kołysał się na falach przez wiele minut, zanim kuter dobił do jego burty i Canaris wskoczył na pokład. Wydawało się, że lada moment jeden z francuskich okrętów odpali torpedy. Mijały minuty, a atak nie następował. Załoga U-35 zamknęła właz i okręt bezpiecznie skrył się pod wodš.

Canarisowi sprzyjało szczęcie. Słońce, które o tej porze było tuż nad wodš, wieciło prosto w szkła francuskich peryskopów. Dowódcy Topa^e i Opale, olepieni promieniami i refleksami na wodzie, nie zauważyli niczego. Kapitan Menzies powrócił z niczym...

Canaris po zakończeniu w Berlinie kuracji podjšł służbę na okręcie podwodnym, który pod jego dowództwem zatopił prawdopodobnie 18 statków na Morzu ródziennym.

Wojna dobiegała końca. Niemcy ogarnęła fala rewolucyjna, która nadeszła ze wschodu i w pokonanym państwie znajdowała dobrš glebę.

Canaris - monarchista i zaciekły antykomunista - znów znalazł dla siebie cel.

Po demobilizacji zgłosił się do gubernatora Kilonii, Gustawa Noskego, i zaoferował swe usługi w tłumieniu buntów. Walczył ze spartakusowcami, działał przeciwko rewolucjonistom w Berlinie i na południu Niemiec.

Nie została do końca wyjaniona rola, którš odegrał w zabójstwie Róży

Luksemburg i Karola Liebknechta, założycieli Niemieckiej Partii Komunistycz-

nej. Zastrzelono ich 15 stycznia 1919 r w drodze z hotelu Eden" - gdzie byli przesłuchiwani - do więzienia w Moabicy. Dochodzenie w tej sprawie prowadziły władze wojskowe i one to sędziły podejrzanych o dokonanie morderstwa. W składzie sędziowskim był Wilhelm Canaris. Morderca Róży Luksemburg porucznik Vogel, został skazany na 4 miesiące więzienia, ale nie odbył wyroku. Canaris należał do grupy osób, która zorganizowała ucieczkę.

Gdy minęła rewolucyjna burza, los skierował Canarisa ponownie do marynarki. Przez dwa lata był oficerem sztabowym w admiralicy. Potem rozpoczął służbę na krążowniku Berlin, nie przerywając działalności wywiadowczej w organizacji zakonspirowanej pod nazwą Oddział Transportu Morskiego.

Działał na dwa fronty. Współpracując z tajnymi służbami jednego państwa Ententy - prawdopodobnie Wielkiej Brytanii - zaczął tworzyć siatki szpiegowskie na Bałkanach i w Europie środkowej. Byłych i przyszłych wrogów jednoczył strach przed komunizmem. Co prawda pierwsza fala rozprzestrzeniająca się ze Związku Radzieckiego, została zatrzymana na początku lat dwudziestych, ale gwałtowny kryzys gospodarczy, który ogarnął świat w końcu tej dekady, stworzył niebezpieczeństwo kolejnej rewolty.

Na początku roku 1933 Canarisa mianowano komendantem garnizonu w wionowicy. Wydawałoby się, że jego burzliwa kariera dobiegła końca.

Róża Luksemburg

Pogodnego wrześniowego poranka 1934 r. kontradmirał Bastian usiadł w swo-

jej mesie, aby wykonać ważne polecenie, które nadesłano z Berlina. Sięgnął po kwestionariusz osobowy i zaczął wypełniać rubryki:

Wygląd i zachowanie: redniego wzrostu, dobrej prezencji, wojskowa postawa bez zarzutu, wspaniałe maniery.

Znajomość języków obcych: angielski, francuski, hiszpański, włoski, portugalski, rosyjski*.

Finanse: w całkowitym porządku.

W rubryce Ocena ogólna Bastian wpisał: Kapitan Canaris wypełniał obowiązki dowódcy okrętu energicznie i wykazał umiejętności zawodowe. Utrzymywał ciś dyscyplinę i wysokie morale załogi okrętu; pracował niezmiernie, aby wpoić załodze zasady morskiej służby i utrzymać gotowość bojową. Szczególnie zwracał uwagę na kondycję fizyczną oficerów i marynarzy, dbał o systematyczne ćwiczenia fizyczne.

Raport trafił do ręk Ericha Raedera, dowódcy marynarki wojennej, do którego Hitler zwrócił się o wytypowanie kandydata na stanowisko dowódcy wywiadu wojskowego. Szef istniejącej od 1921 r. Abwehry, komandor Conrad Patzig, popadł w zatarg z szefem Służby Bezpieczeństwa (SD), Reinhardem Heydrichem, i z tej przyczyny minister obrony, generał Blomberg, odwołał go ze stanowiska. Admirał Raeder uznał, że Canaris spełnia wszystkie wymagania stawiane człowiekowi na tym stanowisku i, choć nie lubił go, zaproponował tę kandydaturę.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Wilhelm Canaris otrzymał nominację na szefa Abwehry, a 1 stycznia 1935 r. o 8.00 wszedł do budynku przy Tirpitz Ufer w Berlinie.

Na korytarzach było pusto. Warta przy drzwiach i oficer dyżurny, siedzący markotnie przy stoliku w hallu, byli jedynymi pracownikami wywiadu spędzającymi pierwszy dzień nowego roku w ponurym gmachu.

- Jestem kapitan Canaris - powiedział nowo przybyły do oficera. - Proszę zadzwonić do komandora Patziga i powiedzieć mu, że przyszedłem do biura i chętnie się z nim zobaczę, jeżeli nie ma nic przeciwko temu.

Zdziwiony oficer podniósł słuchawkę i dokładnie przekazał słowa Canarisa, po czym bezzwłocznie zaprowadził go do gabinetu byłego szefa wywiadu.

Patzig przybył tuż przed 10.00 i zastał swego gościa siedzącego na krześle w sekretariacie.

- Jeli mam być szczery, to nie spodziewałem się pana dzisiejszego ranka -

* Kontradmirał stanowczo przecenił zdolności językowe Canarisa, który' w rzeczywistości władał płynnie tylko hiszpańskim i znał angielski.

powiedział, ujmując Canarisa po ramię i prowadząc do gabinetu. - Cieszę się, że pan przyszedł.

Pierwsza rozmowa byłego i nowego szefa wywiadu trwała długo. Patzig, nie tając, że z ulgą odchodzi z Abwehry do służby na pancerniku Admiral Scheer,

przedstawił dokładnie zagrożenie, które dostrzegał w działaniach Heinricha Himmlera i jego podopiecznego, Reinharda Heydricha, zamierzających przejść wywiad, by połączyć go ze Służbą Bezpieczeństwa.

- Martwię się o pana, kapitanie, ponieważ nie zdaje pan sobie sprawy, w jakie bagno pan wdepnął - rzekł pod koniec rozmowy.

- Proszę zostawić to mnie, komandorze Patzig. - Canaris umiechnął się. -

Jestem nieuleczalnym optymistą. Jeśli chodzi o tych ludzi, to myślę, że wiem, jak sobie z nimi poradzić.

Patzig milczał zaskoczony, po czym powiedział:

- Jeżeli naprawdę pan tak myśli, to przykro mi to mówić, ale ten dzień jest początkiem końca pańskiej kariery...

Złowroga wróżba sprawdziła się 10 lat później, ale nawet Patzig, znający SS, nie mógł przewidzieć, jak straszny będzie to koniec.

Himmler ze swoimi SS-manami

W bardzo krótkim czasie Canaris zmienił całkowicie sposób funkcjonowania wywiadu. W ramach Abwehry utworzył trzy główne wydziały. Stary Geheimer Meldedienst, przemianowany na Grupę I. zajął się wywiadem. Nowa Grupa II prowadziła działania sabotażowe, dywersyjne i czarną propagandę. W Quenzsee w Bawarii utworzono ośrodek szkoleniowy dla sabotażystów. W Berlinie i Tegel powstały specjalne laboratoria zajmujące się produkcją najdziwniejszych przed-

miotów, użytecznych dla szpiegów i sabotażystów: od sympatycznego atramentu, który wyglądał i smakował jak płyn do płukania ust, do materiałów wybuchowych o wyglądzie młki. Grupa III zajęła się kontrwywiadem.

Canaris wiedział, że jego ludzie będą potrzebowali niezawodnej łączności i zaproponował firmie Telefunken, aby opracowała specjalną radiostację dla szpiegów, nazwaną Afu (Agenten-Fungerat). niewielką, łatwą do ukrycia, a jednocześnie o dużym zasięgu.

Zawarł porozumienie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, ustalające zasady wykorzystywania dyplomatów w pracy szpiegowskiej. Do wszystkich placówek zagranicznych wysłano specjalne zestawy szpiegowskie. W zamkniętych i zapieczętowanych skrzyniach - stanowiących bagaż dyplomatyczny, a więc nie podlegający sprawdzaniu przez służby celne - kurierzy rozwozili po świecie radiostacje, broń i komplety szyfrów. Inni dostarczyli szefom placówek klucze do skrzynek w zalakowanych kopertach, z instrukcją, że można je otworzyć tylko po odebraniu z centrali specjalnego sygnału; dla Anglii było to słowo "Nautius", dla Kanady - "Jimmy", dla Stanów Zjednoczonych - „Robert". W innych zalakowanych kopertach przysyłano przez kurierów spisy agentów oraz czek Deutsche Bank na pokonanie sumę 406 funtów szterlingów, która miała stanowić fundusz rezerwowy, wykorzystywany w razie konieczności opłacenia ważnego informatora, udzielenia pomocy agentowi itp.

Pierwsze specjalne bagaże dyplomatyczne wysłano w marcu 1935 r. pod opieką kapitana frachtowca Schwaben, z poleceniem dostarczenia ich ambasadorowi w Waszyngtonie i konsulowi generalnemu w Nowym Jorku. Kilka

miesiący później podobne zestawy doręczono konsulom generalnym w Nowym Orleanie i Seattle oraz chargé d'affaires w Panamie.

W kwietniu 1935 r. wyruszył do Stanów Zjednoczonych człowiek legitymujący się paszportem na nazwisko Edward Derp. W rzeczywistości był to komandor Hermann Menzel, który miał kierować działalnością agenturalną na terenie USA.

W niewiarygodnie krótkim czasie w najważniejszych państwach Europy zaroilo się od agentów Abwehry. Byli niedowiadczeni i niedostatecznie wyszkoleni. szybko więc wpadali w ręce kontrwywiadu. W Belgii od kwietnia do grudnia 1935 r. schwytano ich dziesięciu, we Francji - dwudziestu jeden; w tym samym czasie w Anglii aresztowano pierwszego od zakończenia wojny wiatowej szpiega niemieckiego.

W ogromnym dziele przebudowy Abwehry Canaris zaniedbał tylko własny gabinet na czwartym piętrze budynku przy Tirpitz Ufer nr 76/78 w pobliżu Tiergarten. Gdy Patzig zabrał wszystkie swoje rzeczy, w pokoju niewiele pozostało, a nowy szef nie chciał otaczać się zbytkiem.

Na XIX-wiecznym biurku, ciężkim od brzożowych ozdób, postawił godło Abwehry: trzy odlane z brzożu małpy. Jedna nadstawiała ucha, druga oglądała się baczenie przez ramię, a trzecia przykrywała ręką usta. ciany przyozdobił trzema obrazami: portretem admirała Kanarisa, japońskim rysunkiem diabła oraz zdjęciem swego ulubionego psa Seppla. Później dodał do tej skromnej kolekcji portret generała Franco z osobistą dedykacją.

Było słoneczne niedzielne popołudnie 8 września 1935 r., gdy Canaris stawił

się w gabinecie Hitlera w willi Berghof" w Obersalzbergu. Po raz pierwszy od objęcia stanowiska spotkał się z fuhrerem. - Prosiłem o to spotkanie, mein Führer, aby przedstawić panu pierwszy raport na temat rozwoju Abwehry oraz poprosić pana o krótkie zreferowanie planów, w których przewiduje pan udział Abwehry - powiedział Canaris, gdy zajął miejsce na szerokiej sofie.

Hitler rozpoczął od prezentacji planów przyłączenia Austrii do Rzeszy.

- Sytuacja w Austrii jest w pełni przez nas kontrolowana - stwierdził Canaris.- Oficer tamtejszego wywiadu, major Erwin von Lahousen, podjął z nami współpracę i stanowi cenne źródło informacji.

Później Hitler mówił o możliwości konfliktu z Polską w sprawie Gdańska i korytarza" do Prus Wschodnich. Ponownie uzyskał zapewnienie Canarisa, że Abwehra dysponuje przężną siatką wywiadowczą w Polsce, podobnie jak i w Czechosłowacji, gdzie Konrad Henlein, przywódca Niemców sudeckich, został skaptowany jako agent.

- Czy mogę spytać o plany związane z Anglią? - Canaris omijał dotychczas ten temat, który wydawał się kluczowy dla dalszych przedsięwzięć Abwehry. - Nie, nie! - Hitler obruszył się. - Nie chcę szpiegów w Anglii. Polityka, jaką prowadzę wobec tego kraju, przynosi same sukcesy. W czerwcu podpisaliśmy niemiecko-angielskie porozumienie morskie, a w zasięgu ręki wydaje się kilka innych, korzystnych dla Rzeszy traktatów. Nie ma potrzeby budowania siatki szpiegowskiej w Anglii. To mogłoby narazić na szwank nasze działania dyplomatyczne...

Ta odpowiedź komplikowała plany Canarisa. Zdecydował się więc ominąć zakaz Hitlera i rozbudowywać siatkę w Wielkiej Brytanii. Była mu potrzebna do wielkiej gry... przeciwko Hitlerowi. Pod koniec rozmowy fuhrer wypowiedział słowa, które utwierdziły szefa Abwehry w tym postanowieniu:

- W Anglii nie potrzebujemy szpiegów, ale mogł się przydać łącznicy, którzy mniej lub bardziej formalnie zapewnią nam bezpośredni kontakt z rządem brytyjskim.

Hitler, który w 1935 r. przystąpił do rozbudowy potęgi militarnej Rzeszy, szybko zdał sobie sprawę, że największym zagrożeniem jego planów nie są mocarstwa zachodnie, lecz ... niemieccy generałowie. Już pierwszy ruch w kierunku ekspansji uwiadomił mu to z całą mocą.

2 maja 1935 r. postanowił wprowadzić swe wojska do Nadrenii, uznanej w traktacie wersalskim za strefę zdemilitaryzowaną. Minister wojny, generał Wemer von Blomber. otrzymał polecenie opracowania planów operacji, której nadano kryptonim „Schulung” („Ćwiczenie”). Minister był przekonany, że chodzi o trening sztabowców i manewry wyznaczonej dywizji. 27 lutego 1936 r. Hitler polecił mu przygotować na 7 marca rozkaz wymarszu jednostek, które miały wkroczyć do Nadrenii. O operacji poinformował również najwyższych dowódców Wehrmachtu. Jeszcze tego samego dnia Blomberg. w towarzystwie generała Ludwiga Becka. szefa sztabu generalnego, oraz generała Wemera von Fritscha. głównodowodzącego wojskami lądowymi, stawiał się w Kancelarii Rzeszy.

- Mein Fuhrer, do tej operacji możemy przeznaczyć najwyżej 35 tysięcy

żołnierzy, z których da się sformować dywizję nadając się do walki - zameldował generał Beck.

- Francuzi są gotowi do przeprowadzenia w każdej chwili szybkiej mobilizacji i wystawienia co najmniej dwudziestu w pełni wyposażonych dywizji, które zgniotą nasze siły ekspedycyjne - wsparł Becka generał Fritsch. - Zrobiś z nas siekaninę.

- A jak się zachowamy, jeżeli Francuzi stawia opór - dociekał Beck.

Hitler milczał. Atmosfera była napięta i dawało się wyraźnie odczuć, że żadna ze stron nie ma zamiaru zrezygnować ze swoich racji. Hitler doskonale rozumiał powagę sytuacji. Przy pierwszej próbie rzucenia wyzwania Zachodowi generałowie rzucili wyzwanie jemu.

- Ja wiem lepiej! - wybuchnął wreszcie. - Mam absolutnie pewne informacje. że Francuzi nie ruszą najmniejszego piłu! Zobaczycie, i jeszcze więcej! wiat przyjmie wyzwolenie Nadrenii z dyktatu wersalskiego jako fakt dokonany i tak to pozostawi' - Hitler zamilkł, ale orientując się. że ten wybuch i pewność siebie wywarły na generałach niedobre wrażenie, wstał zza biurka i pochylił się w ich stronę, dodając stanowczo: - Jeli chodzi o mnie, zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę. Jestem głęboko przekonany, że odniosę sukces. Jeżeli jednak operacja zakończy się niepowodzeniem i Francuzi zmuszą nasze wojska do wycofania się. to przyjmę konsekwencje jako swój osobisty porażkę i podam się do dymisji jako fuhrer i kanclerz.

Generałowie ustąpili. Byli przekonani, że próba zajęcia Nadrenii - przy ogromnej dysproporcji sił między Francuzami i -Niemcami - musi zakończyć się fiaskiem, a wówczas Hitler ustąpi. Mylili się.

Hitler z dowódcami Wehrmachtu w kancelarii Rzeszy

Wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, nie oddając ani jednego strzału.

Hitler triumfował, ale dokładnie sobie zapamiętał, że najwyżsi oficerowie chcieli pokrzyżować jego plany. To oni musieli odejść.

W grudniu 1937 roku generał Blomberg, 59-letni wdowiec, poprosił fuhrera o zgodę na polubienie 26-letniej sekretarki. Hitler nie miał żadnych zastrzeżeń, a nawet wziął udział w ceremonii jako wiadek. Tuż potem młoda para wyjechała na Capri, a w Berlinie tymczasem wybuchł skandal. Policyjne akta wykazywały, że nowo polubiona żona szefa sztabu sił lądowych była prostytutką, a ponadto została skazana za pozowanie do zdjęć pornograficznych. Hermann Göring osobiście przedstawił fuhrerowi policyjne dossier, dostarczone przez Heinricha Himmlera. Hitler zażądał, aby Blomberg natychmiast przerwał miodowy miesiąc i przeprowadził rozwód. Blomberg odmówił uznając, że oskarżenia zostały spreparowane przez jego wrogów - Göringa i Himmlera. Musiał więc odejść ze stanowiska.

Najodpowiedniejszym kandydatem na jego miejsce był generał von Fritsch - który, dowiedziawszy się o aferze, stawiał się u Hitlera jako wysłannik korpusu oficerskiego, domagającego się dymisji Blomberga - ale Hitler pamiętał, że i on nie sprzyjał planom ekspansji. Należało więc wyeliminować również jego z gry.

Göring i Himmler zastosowali podobną metodę jak w wypadku Blomberga:

spreparowali policyjne akta, oskarżając Fritscha o homoseksualizm.

Nowy skandal obyczajowy w armii dał Hitlerowi wolną rękę. Jako następca Hindenburga, był naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Zlikwidował stanowisko ministra wojny i utworzył Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych (Oberkommando der Wehrmacht), któremu miały podlegać wszystkie sztaby, łącznie ze Sztabem Generalnym. Szefem mianował generała Wilhelma Keitla. Jego jedyną zaletą było absolutne oddanie Hitlerowi, co zyskało mu przydomek Lakeitel, od Lakei - lokaj.

Potem Hitler rozpoczął czystkę. 4 lutego 1938 r. Niemcy i świat dowiedziały się z komunikatów radiowych o zwolnieniu 35 generałów. Generał Ludwig Beck, najzagorzalszy przeciwnik planów Hitlera, sam zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu sił lądowych dwa miesiące później. Wydawało się, że nikt już nie zgłosi sprzeciwu wobec planów podboju Europy. Fuhrer przeczuwał jednak, że w jego najbliższym otoczeniu w dalszym ciągu są wrogowie, gotowi przeszkodzić w rozpętaniu wojny, która - jak sądzili - zniszczyłaby Niemcy.

Należeli do nich: Canaris i jego zastępca, Hans Oster, szef departamentu łączności, generał Erich Feligiebel, dowódca berlińskiego okręgu wojskowego, generał Erwin von Witzleben i wielu innych. Nie odważyli się wystąpić otwarcie przeciwko wodzowi. Rozumieli, że ostatnie sukcesy: wprowadzenie wojsk do Nadrenii i przyłączenie Austrii sprawiły, iż większość Niemców widziała w Hitlerze człowieka, który odbuduje potęgę państwa i zmyje hańbę klęski

w wojnie wiatowej. Uznali, że mogł obalić Hitlera dopiero wtedy, gdy zacznie on ponosić klęski w starciu z mocarstwami zachodnimi.

SPECJAŁ!

Luckington było urocze wioska angielska, położona wśród łąk i lasów na południe od Oksfordu. Kilka okazałych domów na pagórkach otoczonych drzewami wskazywało, że wioska jest siedzibą ludzi zamożnych, którzy osiedli tu z dala od zgiełku Londynu, choć na tyle blisko, że bez większej straty czasu mogli dostać się do stolicy.

Późną jesienią 1936 r. w Luckingtonie pojawił się nowy mieszkaniec. Wynajął czy kupił dom o nazwie Luckington Manor i wkrótce potem wydał dla sąsiadów przyjęcie, o którym mówiło się przez wiele wieczorów. Nowym mieszkańcem był kapitan Robert Treeck. Biorąc udział w powitalnym przyjęciu zachwycił wyszukana kolekcja drezdeńskiej porcelany, broni myliwskiej i wspaniała stajnia z kilkoma niezwyklej urody końmi. Nie mniejsze wrażenie wywarła na sąsiadach towarzysząca przystojnemu baronowi piękna baronesa Violetta de Schroeders, z pochodzenia Chilijka.

Wkrótce okazało się, że Treeck jest Niemcem urodzonym na Łotwie. Wspominał, że w czasie wojny wiatowej służył w kawalerii. Rewolucja bolszewicka pozbawiła go rodzinnych posiadłości, a on sam ledwie uszedł z życiem, gdy ciganami przez czerwonoarmistów został postrzelony w gardło, czego dowodem była widoczna blizna. Udało mu się przedostać do Niemiec, gdzie mieszkał do 1936 r. Nie powiedział tego wprost, jednakże z jego słów można było wywnios-

kować, że wyjechał z tego kraju, nie godząc się z dyktaturą Hitlera. W Anglii wynajmował kilka posiadłości w różnych częściach kraju; w Londynie zamieszkiwał w apartamencie na Cheyne Place pod nr 12, w sąsiedztwie znanych polityków, wydawców i przemysłowców.

Zarówno życiorys, jak i stopa życiowa barona stały się przepustką do hermetycznego świata arystokracji, w którym pojawił się nagle; bardzo szybko został zaakceptowany przez środowisko. Tym bardziej że chętnie wspomagał wszelkie akcje charytatywne iłożył duże sumy na rzecz przedsięwzięć towarzyskich. W Luckingtonie głośnym echem odbiła się wiadomość o wysokiej kwocie wynoszącej 150 funtów, którą baron wpłacił na rzecz miejscowego towarzystwa łowieckiego, przebijając wielokrotnie jednego z najhojniejszych ofiarodawców, mieszkańca Luckingtonu i myliwego... Stewarta Menziesa, który wpłacił tylko 35 funtów. Być może Treeck uczynił to umyślnie, chcąc upokorzyć miernego wroga Wilhelma Canarisa, a obecnego pracownika tajnych służb, w których przepowiadano mu wielką karierę.

Menzies był najbliższym sąsiadem Treecka w Luckingtonie; ich posiadłości rozdzielał tylko żywopłot. Jednakże przez wiele miesięcy nie widywali się, chociaż Treeck wielokrotnie podejmował próby nawiązania bliższych kontaktów z sąsiadem. Spotkali się dopiero na przyjęciu w dworcu księcia Beauforta.

Menzies nie mógł odmówić temu zaproszeniu, a Treeck przyszedł specjalnie, by spotkać trudno uchwytnego sąsiada.

Gdy skończył się taniec i pary opuszczały parkiet, Treeck podszedł do Menziesa.

- Cóż za niezwykle udane przyjęcie! - zaczął lekko rozmowę.

- Nie sądzę, aby akurat o tym chciał pan mówić - powiedział Menzies z nikłym umiechem.

- Zaiste. - Treeck nie dał się zbić z tropu. - Czy możemy przejść się trochę?

Menzies nie odpowiedział, lecz wskazał na szklane drzwi prowadzące do

parku. Zeszli po kilku kamiennych schodach półkolicie opasujących duży,

kamienny taras.

- Nie mam zamiaru taić - Treeck podjął rozmowę, gdy odeszli od domu na

tylko daleko, że nikt ich nie mógł słyszeć - że przybyłem do Anglii ze specjalną

misją, której zapewne się pan domyśla lub o której został pan poinformowany.

- Przecenia pan możliwości angielskiego wywiadu, kapitanie - odparł Men-

zies.

- Zostałem przysłany przez Canarisa - owiadczył Treeck. Kłosem oka

dostrzegł wyraz lekkiego zaskoczenia na twarzy Anglika. - Tak, szefa Abwehry,

Wilhelma Canarisa - powtórzył z naciskiem. - Mam działać jako łącznik

w sprawach, które mogłyby dotyczyć pana i Canarisa.

Menzies nie dał poznać, jakie wrażenie wywarło na nim wyznanie sąsiada. Szli

przez chwilę w milczeniu.

- No cóż... To interesująca oferta. wiadczy zapewne o dobrej woli pana

Canarisa. - Menzies wypowiedział te słowa chyba tylko po to, aby w gruncie

rzeczy nic nie powiedzieć. - Doceniam dobrą wolę. Ze swojej strony również

mogę ją wykazać. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mam zamiaru

utrudniać pana misji w Anglii, jednakże pod warunkiem, że nie będzie pan działał

niezgodnie z prawem... - Menzies zawiesił głos. Jego słowa były wyranym

ostrzeżeniem przed działalnością szpiegowską.

Rozmowa była skończona. Treeck zrozumiał, że nie uzyska od Menziesa

żadnej informacji. Mógł więc tylko oczekiwać na dzień, w którym Menzies

zdecydowałby się zareagować na propozycję nawiązania współpracy z Canari-

sem.

Mijały miesiące. 27 kwietnia 1937 r. baron wziął lub z Yioletta de Schroeders

i rzadko bywał w Luckingtonie. Zniknął z Anglii wraz ze swoją piękną żoną

w lipcu 1939 r.

Wyznanie barona Treecka podczas przyjęcia w Luckingtonie nie było dla

Menziesa zaskoczeniem. W 1936 r. spotkał się on w Londynie ze starym

znajomym z Hiszpanii, rybakim Juanem Marchem. W czasie wojny wiatowej

niepamienny syn rybaka z Majorki był podwójnym agentem, pracującym dla

wywiadu brytyjskiego i niemieckiego. To on wskazał Menziesowi kryjówkę

Canarisa oczekującego na okręt U-35, który miał go zabrać do Niemiec.

Szpiegowska robota okazała się bardzo opłatna. March zebrał majątek, którym

potrafił tak zręcznie zarządzać, że szybko stał się jednym z najbardziej wpływo-

wych ludzi w hiszpańskiej gospodarce.

W maju 1936 r. spotkał się z nim Canaris, który po wybuchu wojny domowej przybył do Madrytu, by zorganizować przerzut broni dla wojsk rebeliantów. Szef Abwehry nie wiedział zapewne, że dwadzieścia lat wcześniej March wydał go Anglikom, ale doskonale orientował się w jego powiśzaniach z brytyjskim wywiadem. Przyszedł do niego na długš i zadziwiajšco szczerš rozmowę. Wspominał o swojej niechęci do Hitlera, o istnieniu opozycyjnej organizacji „Schwarze Kapelle” i prawdopodobnie wyraził chęć nawiśzania kontaktu z Brytyjczykami.

March nie zatrzymał tych rewelacji dla siebie. Natychmiast przesłał raport do Londynu:

Canaris nie kocha swoich nowych panów ani im nie wierny - pisa}. -W tej chwili jest naszym najlepszym sojusznikiem w Europie. W następnym raporcie stwierdził: Canaris może siać się partnerem brytyjskiego wywiadu.

Menzies czekał. Nie potrafił ocenić, na ile szczerą jest gotowoć do współpracy szefa Abwehry. Obawiał się, że jest to zaczštek intrygi, która mogłaby kosztować Wielkš Brytanię bardzo drogo.

Wilhelm Canaris

Niepowodzenia w nawiśzaniu kontaktu z Brytyjczykami nie zniechęciły Canarisa. Był przekonany, że mocarstwa zachodnie zmuszone będą w końcu zajść sztywne stanowisko wobec ekspansjonistycznej polityki Hitlera. Dojdzie

wówczas do kryzysu, w wyniku którego naród pozna prawdziwą naturę działań fuhrera. a wtedy można go już będzie aresztować i postawić przed sądem.

Przyłączenie Austrii było wielkim sukcesem Hitlera i wydawało się niweczyć szansę rebelii w Berlinie, ale wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich do Wiednia Hitler zdecydował się przyłączyć do Rzeszy tzw. Sudetenland - część Czechosłowacji. Canaris i jego współpracownicy byli przekonani, że Wielka Brytania, a już na pewno Francja, związana paktem z Czechosłowacją, nigdy na to nie przystanie. Nastąpi kryzys, który umożliwi pozbawienie Hitlera władzy.

Generał Feligibel miał zadbać o przecięcie łączności między Berlinem i resztą Niemiec. Generał Witzleben przejąłby dowództwo nad oddziałami, które rozpoczęłyby okupację Berlina i aresztowały Hitlera, Himmlera, Heydricha, Göringa. Gwardia przyboczna wodza - SS Leibstandarte", doskonale wyszkolone i wyposażone oddziały stacjonujące w Monachium - zostałyby okrążone i rozbrojone przez wuppertalską dywizję pancerną, dowodzoną przez generała Ericha Hoepnera. Realizacja całego tego misternego planu zależała wyłącznie od reakcji mocarstw zachodnich na poczynania fuhrera i dlatego w sierpniu 1938 r. Canaris i Beck zdecydowali się przerwać oczekiwania i grę niedomówień, występując z otwartą propozycją.

W połowie miesiąca na lotnisku w londyńskiej dzielnicy Croydon wylądował samolot Ju-52, na którego pokładzie przybył doktor Ewald von Kleist-Schmenzin. Nikt nie zażądał od niego paszportu ani wypełnienia deklaracji celnej.

Brytyjczycy doskonale wiedzieli, kto do nich przybywa. Szef wywiadu, admirał Sinclair, i jego zastępca, Stewart Menzies, otrzymali - zapewne przez ambasadę

brytyjskš w Berlinie - dokładne informacje o celu wizyty Kleista.

Chciał niewiele. Instrukcja, którš przekazał i mu przed odlotem Beck i Canaris, nakazywała uzyskanie wiarygodnego owiadczenia rždu Wielkiej Brytanii, że udzieli pomocy Czechosłowacji.

Kleist zatrzymał się w Hyde Park Hotel", dokšd zawieli go wprost z lotniska ludzie Menziesa. Tam odwiedził go lord Lloyd of Dolobran, prezydent Ligi Morskiej Imperium Brytyjskiego, człowiek mający doskonałe kontakty zarówno w rždzie, jak i w Pałacu Buckingham.

- Decyzje zostały podjęte - owiadczył Kleist. - Plany mobilizacyjne sš opracowane, dzień Zero" okrełony, dowódcy armii otrzymali rozkazy. Wszystko rozpocznie się, zgodnie z planem, w końcu września i nikt nie potrafi temu przeszkodzić, jeżeli Brytania nie wystšpi z oficjalnym ostrzeżeniem wobec Hitlera.

- Zapewne wychodzš panowie z założenia, że usunięcie Adolfa Hitlera jest ważne dla Brytanii, i z tego względu oczekujecie od nas pewnej gratyfikacji...

- Faktem jest, że oczekujemy pewnych zmian terytorialnych w rejonie Pomorza i łska. Możemy jednak uznać, że nie sš to kwestie pierwszorzędnej wagi. - Kleist wyranie pozostawił sobie furtkę do rokowań. Szybko odszedł od tego tematu i zajął się przedstawieniem sytuacji w Niemczech, zaskakujšc rozmówcę inteligencjš, rzeczowš ocenš i całkowitš szczerociš, którš posunšł tak daleko, że ujawnił nazwiska swych mocodawców.

- Wielka Brytania ma potężnych przyjaciół w Niemczech - zakończył

wypowied. - Wród nich Canarisa i Oстера.

Bez wštpienia zrobił to na wyrane polecenie Canarisa. któremu zależało, aby kolejny sygnał o jego gotowoci do współpracy dotarł do szefów wywiadu brytyjskiego.

Następne rozmowy - z doradcš rzšdu brytyjskiego do spraw polityki zagranicznej, sir Robertem Vansittartem, i Pierwszym Lordem Admiralicji. Winstonem Churchillem - teŹ nie przyniosły rezultatu. Kleist powrócił do Berlina i udał się natychmiast do Canarisa.

- Nie znalazłem w Londynie nikogo, kto chciałby skorzystać z okazji rozpoczęcia wojny przewencyjnej - powiedział, siedzšc w gabinecie szefa Abwehry. - Mam wrażenie, Źe oni za wszelkš cenę chcš uniknšć wojny. Powiedzieli, Źe brytyjska konstytucja uniemoŹliwia reagowanie w razie sytuacji, która jeszcze do tego nie dojrzała.

Potem przekazał Canarisowi list od Churchilla.

Wojna, gdy raz. wybuchnie, będzie prowadzona do gorzkiego końca, nie należy rozważać, co stanie się w czasie pierwszych kilku miesięcy, ale gdzie będziemy w końcu trzeciego lub czwartego roku.

Canaris złoŹył starannie list i schował do sejfu. To nie była deklaracja, której oczekiwali spiskowcy.

Gdy kryzys pogłębiał się, coraz wyraniej dostrzegali defensywne stanowisko Wielkiej Brytanii, pragnšcej za wszelkš cenę uniknšć zbrojnej konfrontacji.

Premier Chamberlain zdecydował się nawet na dość upokarzającą podróż do rezydencji Hitlera w Obersalzbergu, aby tylko znaleźć pokojowe rozwiązanie sytuacji.

W czasie konferencji w Monachium mocarstwa zachodnie ustąpiły przed żądaniami Hitlera i zgodziły się oddać mu kawał Czechosłowacji.

Kolejny sukces Hitlera przekreślił szansę na zamach stanu. Spiskowcy nie mogli aresztować i postawić przed sądem człowieka, który przylączył do Rzeszy Austrię - gdzie 95% obywateli poparło „akt zjednoczenia” - a następnie bez jednego wystrzału zajął Sudetenland, gdzie 3 miliony Niemców wiwatowało na jego cześć.

Canaris wiedział, że czas bezkrwawych zwycięstw skończył się i każda następna próba zdobycia kolejnych terenów w Europie doprowadzi do wojny. Był przekonany, że Niemcy tej wojny nie zdołają wygrać. Jeżeli nawet w pierwszym okresie udałoby się zaskoczyć mocarstwa zachodnie i odnieć zwycięstwo, i to Rzesza nie miała sił i środków, by przez wiele lat walczyć z całym światem.

Wojna, do której zmierzał Hitler, musiała - w przekonaniu Canarisa - przynieść Niemcom zgubę. Dlatego, choć jego Abwehra bardzo sprawnie przygotowała grunt działań militarnych w Polsce i na zachodzie Europy, Canaris usiłował przeszkodzić w realizacji „Fali Weiss” - planu uderzenia na Polskę. Wysłał do Londynu majora Fabiana von Schlabrendorffa i Helmuta von Moitkego z informacjami na temat przygotowań Rzeszy do wojny z Polską.

Londyn nie potrzebował już więcej ostrzeżeń. Premier Chamberlain zdawał

sobie sprawę, że zbliża się koniec pokoju w Europie, i przygotował kraj do wojny, ale tylko obronnej.

Produkcja samolotów myliwskich wzrosła z 240 do 660 miesięcznie, dzięki czemu RAF we wrześniu 1939 r. miał 26 eskadr myliwskich, a rok wcześniej tylko 6. Łańcuch stacji radarowych, które we wrześniu 1938 r. pokrywały tylko ujście Tamizy, rok później rozciągał się od Orkanów do Isle of Wight.

Największy postęp zanotowano w organizacji obrony cywilnej. Opracowano precyzyjne plany ewakuacji ludności; budżet obrony cywilnej A.R.P. (air raid precautions) wzrósł z 9,5 milionów funtów do 51 milionów.

Premier Chamberlain blokował posunięcia zwolenników szybkiego zwiększenia siły uderzeniowej. Ofensywna część lotnictwa - bombowce - była pod każdym względem nie przygotowana do akcji: trzon lotnictwa strategicznego stanowiło 9 dywizjonów samolotów Whitley, zbyt powolnych i za słabo uzbrojonych, aby mogły brać udział w akcjach dziennych. Do nocnych rajdów lotnictwo brytyjskie również nie było przystosowane, gdyż z całego Bomber Command zaledwie 84 pilotów potrafiło latać w nocy: brakowało rodków radionawigacji i piloci, którzy wystartowaliby do nocnego rajdu, mogli nawet w najbardziej sprzyjających warunkach minąć cel w odległości 30-50 kilometrów. Rząd Chamberlaina nie robił nic, aby sytuację tę poprawić, uważając, że jakiegokolwiek działania zmierzające do rozbudowy ofensywnej strony brytyjskich sił zbrojnych mogły podrażnić Hitlera i przyczynić się do wzrostu napięcia w Europie.

W takich warunkach działania Canańsa wydawały się skazane na niepowodzenie. On jednak nie zwykł opuszczać ręk. Wysłał do Londynu przedstawiciela

Sztabu Generalnego, podpułkownika Gerharda von Schwerina. Jego oficjalna funkcja doskonale maskowała misję, którą zlecił mu Canaris: przekazać Brytyjczykom, że 23 maja 1939 r. Hitler owiadczył, iż zdecydował się „zaatakować Polskę przy pierwszej nadarzącej się okazji”.

14 lipca Schwerin został zaproszony na kolację do dyrektora wywiadu morskiego, admirała Johna Godfrey'a, który doskonale orientował się w prawdziwych zadaniach Niemca. Zaproszeni zostali również przyjaciele Godfrey'a i w ich obecności Schwerin powtórzył ostrzeżenie, które przywiózł z Berlina. Sugerował, że Wielka Brytania może zniweczyć plany podboju Europy przez zorganizowanie potężnej morskiej demonstracji na Bałtyku i rozmieszczenie we Francji grupy ciężkich bombowców oraz dwóch dywizji piechoty.

Następnego dnia najwyższe osobistości brytyjskie otrzymały dokładne raporty z tych rozmów. Premier Chamberlain uznał jednak, że demonstracja siły może tylko zaognić sytuację i sprowokować Hitlera do ataku. Nie rozumiał tego, co od kilku miesięcy starali się uwiadomić Zachodowi Canaris i ludzie ze „Schwarze Kapelle”: stanowczość Anglii i Francji była jedynym sposobem powstrzymania Hitlera, przewidywanego o bierność i słabość mocarstw zachodnich.

1 września 1939 r. wojska hitlerowskie napadły na Polskę. 3 września Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Rzeszy.

Tegoż dnia admirał Canaris wezwał swojego zastępcę.

- Proszę przeczytać raport - podsunął Osterowi kartkę.

Pułkownik Oster przebiegł wzrokiem raport i spojrzął na zwierzchnika. Potem przeczytał jeszcze raz i oddał kartkę Canarisowi. Admirał schował dokument do szafy pancерnej. Spiskowcy doskonale rozumieli sytuację: nawet w gabinecie szefa wywiadu nie można było mieć pewności, że starannie ukryte mikrofony nie rejestrują każdego słowa. Dlatego też porozumiewali się za pomocą listów.

W imperium Hitlera nikt nie wierzył nikomu, a wzajemna wrogość i rywalizacja sprzyjały budowaniu potęgi wodza.

- Całkowicie zgadzam się z tym - rzekł Oster. - Wobec otwartej wrogości

Anglii przekazanie im tej wiadomości może zwiększyć szansę na wzajemne zaufanie.

Oster też podejrzewał, że w gabinecie Canarisa działa podsłuch i słowa, które wypowiadał, nie miały większego znaczenia. Wkrótce rozmówcy przeszli do konkretnej rozmowy na temat możliwości rozbudowy siatki agentów w Anglii.

Konferencja nie trwała długo. Oster pieszyl się, aby wykonać polecenie, które Canaris opisał na kartce.

Po południu spotkał się w parku z innym pracownikiem Abwehry, majorem von Schlabrendorffem.

- Musi pan jak najszybciej dotrzeć do hotelu Adion" - polecił majorowi,

upewniwszy się, że nikt ich nie ledzi ani nie podsłuchuje. Gdyby zresztą tak się stało, gestapo nie mogłoby zarzucić Osterowi zdrady. W działalności wywiadowczej granica między zdradą i prowokacją jest niewidoczna. Oster zawsze mógłby

wytłumaczyć, że rozmowa z majorem była częścią akcji przeciwko Brytyjczykom.

- W hotelu tym zbierają się brytyjscy dyplomaci przed wyjazdem do Londynu - mówił dalej Oster. - Odszuka pan attache wojskowego, pułkownika Dennisa Daleya, i przekaże mu, że wkrótce członkowie wojskowej opozycji niemieckiej spróbują ustanowić linie kontaktowe z Londynem z pomocą Watykanu. Proszę go też uprzedzić, że wkrótce odbędzie się nalot na Londyn. - Von Schlabrendorff nie zadawał pytań. Z jego zachowania wynikało, że zna pułkownika Daleya. - Proszę pamiętać, że Brytyjczycy zapewne zwinęli już łączność dyplomatyczną i ostrzeżenie o nalocie będą musieli przekazać innym kanałem. Z tego powodu mogą podejrzewać, że ostrzeżenie jest prowokacją, za pomocą której chcemy poznać ich drogi łączności. Proszę więc wiadomość tę przekazać mimochodem.

Major skinął głową i wyciągnął rękę na pożegnanie, po czym ruszył przed siebie. Oster rozejrzał się uważnie; nie dostrzegając nic podejznanego, wrócił do samochodu, zaparkowanego na niewielkim placu przed bramą.

Gdy tylko opuścił park, jeden z dwóch mężczyzn siedzących w altanie odsłonił przykryty gazetą mikrofon kierunkowy. Spojrzał pytająco na drugiego. Tamten pokręcił głową.

- Za daleko! Ci z Abwehry są bardzo ostrożni - powiedział, otwierając walizkę, do której włożył aparaturę podsłuchową.

W ład za Schlabrendorffem podszła mężczyzna w jasnym prochowcu. Nie

odstępował go ani na krok aż do hotelu Adion".

Stewart Menzies - który 28 lutego 1938 r. przejął kierownictwo wywiadu po zmarłym na raka admirał Sinclairze - przyjął wiadomość o planowanym nalocie bardzo ostrożnie. Uznał, że może być próbą intencji Canarisa. Brytyjczycy na darmo czekali, przygotowani do odparcia niemieckich samolotów. Nie pojawiły się. Dopiero po wojnie generał Alfred Jodl przyznał, że Hitler rzeczywiście zamierzał uderzyć na Londyn już pierwszego dnia wojny z Wielką Brytanią, ale jako mu to wyperswadował.

Hitler z Chamberlainem, Monachium, 1938

Canaris pamiętał o ostrzeżeniu ustępującego szefa Abwehry, komandora Patziga: "Twoim największym wrogiem będzie SS". To ostrzeżenie dotyczyło przede wszystkim Reinharda Heydricha. Canaris znał go z czasów, gdy był pierwszym oficerem na krążowniku Berlin, a Heydrich odbywał tam szkolenie. W 1931 r. porucznika Heydricha wydalono z marynarki, gdyż odmówił polubienia uwiedzionej przez siebie kobiety.

Osiadł na farmie pod Monachium, gdzie Heinrich Himmler, szef bojówek partii nazistowskiej Sturm Staffeln SS, zamieszkiwał i prowadził eksperymenty genetyczne na kurach. Himmlerowi spodobał się 27-letni blondyn o doskonałej prezencji. Zlecił mu tytułem próby opracowanie w ciągu 20 minut struktury wywiadu SS. Heydrich, choć nigdy nie miał nic wspólnego ze szpiegowską robotą, wykonał zadanie celująco.

Tak zaczęła się błyskotliwa kariera młodego człowieka, którego głównym motorem działania była niepoahamowana ambicja. Niezmordowanie budował swoją służbę bezpieczeństwa Sicherheitsdienst (SD). We wrześniu 1932 r. organizacja ta, zajmująca dotychczas pokój w budynku NSDAP w Monachium, rozrosła się na tyle, że przeprowadziła się do dwupokojowego mieszkania przy Tiirkenstrasse 23, a niedługo potem zajęła willę na Zuccalistrasse nr 4.

Heydrich domagał się comiesięcznej wypłaty z kasy partyjnej 700 690 marek na pokrycie wciąż rosnących wydatków, ale w odpowiedzi usłyszał, że dochody całej partii nazistowskiej ze składek członkowskich wynoszą 710 000 marek miesięcznie. Dopiero gdy Hitler został kanclerzem, SD otrzymywała co miesiąc 350 000 marek, z czego tylko 80 000 pochodziło z kasy partyjnej, a resztę dostarczano (nielegalnie) z urzędu kanclerskiego.

Heydrich z zawiścią patrzył na działalność wywiadu prowadzoną przez inne agendy partyjne. Kolcem w oku był mu zwłaszcza Departament Polityki Zagranicznej, kierowany przez partyjnego ideologa Arthura Rosenberga. On to zorganizował oddział wywiadu zagranicznego, który prowadził stary towarzysz partyjny (miał legitymację z numerem 7956, z 1922 r.) Arthur Schumann.

Heydrich - korzystając z poparcia Himmlera - doprowadził 9 czerwca 1934 r. do wydania przez zastępcę fuhrera, Rudolfa Hessa, dekretu, na mocy którego włączono oddział Schumanna do SD, a stwierdzenie: poza Sicherheitsdienst RFSS [Reichsführera SS; tytuł Heinricha Himmlera - BW] żadna wywiadowcza ani kontrwywiadowcza służba nie będzie istniała w partii oddawało Heydrichowi niepodzielną władzę nad służbami specjalnymi SS. Z nienawiścią patrzył na

Abwehrę - imperium Canarisa - nie mógł jednak nic zrobić, aby przejść wywiad wojskowy i zagraniczny; wiedział, że najpierw, musi pozbawić Canarisa poparcia Hitlera. I taki cel sobie postawił. Na razie jednak obydwaj starzy znajomi z krążownika Berlin zachowywali pozory przyjani. Gdy Canaris kupił dom przy Betazele 17, w południowo-zachodniej dzielnicy Berlina. Heydrich wprowadził się do domu tuż za rogiem, przy Reiftragerweg 14. Często odwiedzali się, prowadzili przyjazne rozmowy, ale doskonale wiedzieli, że obydwaj oczekują na moment dogodny na pozbycie się konkurenta.

Pierwsze zwycięstwo odniósł Heydrich w 1936 r., kiedy to zawarł z Canarisem porozumienie w sprawie rozdzielenia kompetencji obydwu wywiadów. Było to wyrane ustępstwo ze strony admirała, który podpisując umowę z młodszym kolegą, uznał wpływy i znaczenie jego organizacji.

Czy Heydrich odkrył największą tajemnicę Canarisa: „Schwarze Kapelle”? Prawdopodobnie tak. Jednakże nie udało mu się zdobyć dowodu tak niepodważalnego. aby mógł przedstawić go Hitlerowi. Ale Canaris, wiadom niebezpieczeństwa, chwycił „przyjaciela” za gardło. W sobie tylko znany sposób dowiedział się, że Heydrich był pół-Żydem. Dociekł i tego, że rywal z SD interesuje się nie tylko kobietami, a jego seksualne skłonności obejmują również mężczyzn. Każda z tych informacji mogła zniszczyć karierę Heydricha z dnia na dzień. Canaris zebrał dokładne dossier i przesłał je przyjacielowi w Szwajcarii, z poleceniem przekazania redakcji „New York Timesa”. gdyby jemu lub członkom jego rodziny przytrafił się wypadek. Potem poinformował o tym Heydricha. Największy wróg został obezwładniony.

Na jak długo?

Na początku 1941 r. Heydrich przystąpił do likwidacji czeskiego zbrojnego podziemia. Głównym celem było zniszczenie organizacji UVOD (Centralny Komitet Krajowego Ruchu Oporu), pozostającej w ścisłym kontakcie z brytyjskimi organizacjami SOE (Special Operations Executive - Kierownictwo Operacji Specjalnych). W kwietniu i maju w dwóch rajdach na kryjówki UVOD gestapo aresztowało dwóch szefów organizacji: podpułkownika Balabana i podpułkownika Masina. Trzeciemu przywódcy, kapitanowi Vaclavowi Moravkowi, udało się wymknąć z obławy i zmylić pogoń.

Powiadomił Londyn, że gestapo jest na jego tropie oraz że obawia się o bezpieczeństwo „Franty”. Ta wiadomość zelektryzowała brytyjski wywiad. Za wszelką cenę należało uchronić Moravka i Frantę”, gdyż taka strata sparaliżowałaby operacje na terenie Czechosłowacji i odcięła wywiad brytyjski od niesłychanie cennego źródła informacji o działaniach Niemców.

Franta" od 1936 r. współdziałał z szefem wywiadu czechosłowackiego, majorem Josefem Bartikiem. Po wkroczeniu Niemców do Czechosłowacji nie przerwał swojej działalności, lecz nawiązał kontakt z czeskim podziemiem, przez które przekazywał wiadomości wywiadowi brytyjskiemu. Na podstawie jego informacji MI-6 poznała strukturę organizacyjną Abwehry i SD w Finlandii, Jugosławii, Grecji, Turcji, Persji, Egipcie, Rumunii. Ostrzeżenia „Franty” umożliwiły ewakuację brytyjskiego rezydenta, majora Gibsona, i kierownictwa czeskiego wywiadu przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Pragi. On infor-

mował również o planach ataku na Polskę, Norwegię, Danię, Holandię, Belgię

i Francję. Umożliwił wywiezienie z Holandii królowej Wilhelminy i z Norwegii króla Haakona.

Początkowo wywiad brytyjski nie wierzył w autentyczność danych, podejrzewając, że zostały spreparowane przez Abwehrę, jednakże wkrótce przeważająca ich większość okazała się prawdziwa.

Londyn, powiadomiony o niebezpieczeństwie, postanowił zorganizować zamach na Heydricha, aby w ten sposób przerwać penetrację czeskiego podziemia i uchronić „Frantę”.

W grudniu 1941 r. w Czechosłowacji wysładowało 3 komandosów, którzy mieli przeprowadzić operację „Anthropoids” - zamordowanie Heydricha. Operacja nie udało się jednak uratować; szef SD zdołał ustalić jego tożsamość. Okazał się nim pracownik Abwehry Paul Thummel. Operacji „Anthropoids” zmieniono cel; zamach na Heydricha został odłożony. Komandosi mieli wydostać „Frantę” z gestapo.

Sytuacja Thummela nie była jednak tak tragiczna, jak początkowo się wydawało. Gestapo traktowało go z pewnym szacunkiem, gdyż oddał on ogromne usługi ruchowi nazistowskiemu, za co otrzymał Złotą Odznakę Partyjną. Praca w Abwehrze ułatwiła mu również obronę. Zamiast tłumaczyć się, zaczął oskarżać gestapo o uniemożliwienie mu penetracji czeskiego podziemia, i to w najważniejszym momencie, gdy szykowało się do schwytania przywódców. Oczywiście zaprzeczał, że jest „Franta”, a nawet twierdził, że wpadł na trop tego

niebezpiecznego szpiega.

Heydrich stracił pewność i poinformował o całej sprawie swego szefa, Himmlera.

Ten za skontaktował się z Canarisem, który skrzętnie potwierdził zeznania

Thummela. Dowody winy Thummela, zebrane przez Heydricha, były bardzo słabe.

Umiercenie tego człowieka dałoby więc Canarisowi broń przeciwko gestapo i SD.

Dlatego też Himmler i Heydrich - choć podejrzewali, że Thummel jest szpie-

giem - zwolnili go 2 marca, aczkolwiek pozostał pod nadzorem gestapo. Niedługo

cieszył się wolności. Heydrich był wytrawnym i wytrwałym myliwym. Przekonany

o winie Thummela, wiedział, że wczniej czy póniej znajdzie dowody, które

pozwołš mu go aresztować i obciŹżyć zarazem Canarisa. Stało się to w końcu marca.

Dwadziecia dni po zwolnieniu Thummela Heydrich wydał nakaz ponownego

aresztowania. Był juŹ gotowy do zaatakowania Canarisa.

Admirał wyczuł zagrożenie i 21 maja 1942 r. przyjechał do Pragi. Po mistrzowsku

przeprowadził rozmowę, w której ustalono zasady współpracy Abwehry i SD, dajšce -

w odczuciu Heydricha - tej drugiej organizacji wiêksze moŹliwoci działania

w terenie zastrzeŹonym dotychczas dla wywiadu wojskowego. Canaris nie miał

jednak zamiaru przestrzegać tych ustaleń. Kilka dni póniej Heydrich zginšł

w zamachu przeprowadzonym przez zespół "Anthropoids".

Odszedł jeden wróg, pozostali inni: Kaltenbrunner, Schellenberg i nade

wszystko Himmler, który podejrzewał istnienie spisku przeciwko Hitlerowi,

aczkolwiek nie wiedział, jak głêboko spisek ten siêga. Emst Kaltenbrunner, który

przejšł po Heydrichu kierownictwo Sicherheitsdienstem, chciał opanować rów-

nieŹ Abwehrę. Czekał na okazję, która pomogłaby mu obalić Canarisa.

CZARNA PA;

Wieczór był zimny, a dokuczliwy wiosenny deszcz się nasilał. Policjant Hans Folke zsiadł z roweru i rozejrzał się po pustej ulicy. Miał już doć patrolowania wymarłych uliczek. Postanowił zajść na chwilę do gospody Kamappa, ale widok zamkniętych okiennic przypominał mu, że zaprzyjaniec restauratorowi zmarła przed kilkoma dniami żona i na znak żałoby zamknął jedyny w miasteczku lokal, w którym można było napić się wódki lub piwa. Folke westchnął i skierował się w stronę dworca, gdzie powinien być jeszcze otwarty bar.

Wszedł na peron i oparł rower o cianę. Otrząsał włanie mokry płaszcz, gdy wzrok jego padł na grupkę podróżnych. Wyglądało na to, że dopiero przyjechali, i nie bardzo wiedzą, co dalej robić. Policjantowi wydało się to dziwne, gdyż do miasteczka, w którym nie zatrzymywały się nawet pociągi popieszne, przyjeżdżali jedynie ludzie mający tu krewnych lub znajomych, a ci zawsze oczekiwali gości na peronie. Spojrzał jeszcze raz w stronę podróżnych, którzy jakby ponagleni jego wzrokiem, zaczęli się kierować ku wyjściu.

Jeżeli nie wiesz, gdzie się podziać, to nie ma nic lepszego niż policjant, który wie wszystko. Powinni mnie zapytać. Jeżeli nie chcesz, to ja ich zapytam, dlaczego unikasz policjanta - pomyślał Folke i ruszył w stronę nieznanym. Ci przypieszyli kroku.

- Hej! - krzyknął w ich kierunku. - Zaczekajcie!

Obcy szli przed siebie, udając, że nie słyszysz okrzyku.

- Zaczekajcie, mówię! - Teraz musieli usłyszeć. - Dokąd zmierzacie?

- Tu... My tu, do znajomych... - Mężczyzna w kapeluszu mówił bardzo niepewnym głosem.

- Do Bergów - wsparła go kobieta osłaniająca płaszczem chłopca.

Bergowie rzeczywiście mieszkali w miasteczku, ale w każdym niemieckim miasteczku mieszka co najmniej jeden człowiek o tym nazwisku.

Folke wyciągnął latarkę i skierował wiatło na mężczyznę. Tamten zmrużył

oczy i usiłował zasłonić twarz. Folke właściwie odczytał ten gest. Mężczyzna chciał ukryć swe rysy.

- A odkąd to Bergowie mają znajomych Żydów?! - Folke triumfował. Już słyszał pochwałę i widział nagrodę za złapanie Żydów.

- Nie jesteśmy Żydami! - gwałtownie zaprotestowała kobieta.

- Pójdziemy na posterunek, to wszystko się wyjani - owiadczył policjant i poprawił pas z pistoletem. - Idcie przede mną.

- Proszę pana, dlaczego od razu na posterunek?... - oponował mężczyzna. - Pada deszcz, posterunek pewno daleko, a my sobie spokojnie idziemy do Bergów.

- Naprzód! - warknął Folke i ujął w dłoń pałkę.

Szli przed siebie w milczeniu, aż mężczyzna się zatrzymał.

- Proszę pana - mówił cicho. - Ma pan rację. Ale jeżeli pan nas puci, to dam panu dużo złota. Będzie pan bogatym człowiekiem...

- Naprzód! - Polkę udawał, że nie słyszy propozycji.

- W tej walizce jest dużo złota i dolarów. To wszystko, co mam. Niech pan wemie. - Mężczyzna nie ustępował.

Folke zamachnął się i z całą siłą uderzył go pałką. Kobieta i dziecko zaczęli rozpaczliwie krzyczeć.

- Milczeć! - ryknął rozwścieczony Folke. - Powystrzelam was jak psy, jeli tylko które jeszcze pinie.

Mężczyzna podniósł się z chodnika i już bez słowa wszyscy poszli na posterunek. Tam Folke przywołał komendanta i obydwaj otworzyli walizkę. Nie było złota, ale pod ubraniami leżały pliki dolarów.

- Skąd to masz? - Folke złapał mężczyznę za klapy marynarki.

- To wszystko moje! - Żyd zasłonił się przed razami.

- Wy, Żydzi, nie macie dolarów, tylko brylanty i złoto. Jeżeli masz dolary, to znaczy, że komu sprzedała kosztowności za te pieniądze. I powiesz nam, kto to był, albo zatłukę cię jak psa. - I komendant zaczął okładać go pałką.

- Ja powiem, tylko już go nie bijcie! - Kobieta dopadła męża i osłoniła jego twarz. - Jesteśmy z Pragi. Dolary dał nam Karel Drda. On mieszka...

- Nie mów! - Mężczyzna oprzytomniał po razach i usiłował przeszkodzić w wyjawieniu tajemnicy, która mogła kosztować życie wielu ludzi. Za późno...

Sprawę przejęło gestapo i dość szybko ustalono, że rodzina schwytana

w czeskim miasteczku Cedáa rrafa zostać" przemycona. <fo Szw a.y;ari.\ w Ta.ma.ch.

„Operacji 7". Akcją ratowania Żydów kierował doktor Wilhelm Schmidhuber - człowiek z Abwehry. Aresztowano go natychmiast w Pradze i przewieziono do Berlina.

Schmidhuber zdawał sobie sprawę, że jedynym ratunkiem dla niego może być pomoc kogo postawionego bardzo wysoko w faszystowskiej hierarchii. A takim człowiekiem był Canaris. Z więzienia wysłał do niego wiadomość, że jeśli nie uwolni go, wówczas gestapo dowie się całej prawdy. Pomoc nie nadchodziła tak szybko, jak pragnął więzień, więc uznał on, że Abwehra go zdradziła. Zaczął mówić.

Jego zeznania nie dotyczyły bezpośrednio admirała, ale obciążały najbliższych jego współpracowników: zastępcę Oстера i Hansa von Dohnanyi'ego, blisko zwiázanego z działalnością Schwarze Kapelle".

Oster został umieszczony w areszcie domowym; Dohnanyi w więzieniu Wehrmachtu na Lehterstrasse w Berlinie. Wkrótce trafił tam inny bliski współpracownik Canarisa, doktor Josef Mueller.

Dla SD kartą atutową miał być Dohnanyi, przeciw któremu zgromadzono wiele zarzutów. Oskarżano go m.in. o zdradę i czerpanie korzyści z przerzutu

rodzin żydowskich do Szwajcarii. On jednak bronił się bardzo zrećnie. Twierdził, że była to gra Abwehry, tworzącej siatkę wywiadowczą w rodowisku żydowskich emigrantów. Oskarżyciel doktor Manfred Roeder nie potrafił znaleźć dowodów, które złamałyby linię obrony Dohnanyi'ego.

ledztwo nagle zostało przerwane, gdyż główny oskarżony zachorował na zapalenie żył. Wkrótce wykryto u niego zator mózgu. Dohnanyi musiał być przeniesiony do szpitala. Gestapo nie dało jednak za wygraną i szybko wydobyło swą ofiarę z bezpiecznego szpitala, w którym umiecił już Canaris. Chory rozumiał jednak, że jego jedyną nadzieją jest opóźnienie procesu, a więc dalsza choroba. W grypsie przesłanym do żony prosił o dostarczenie bakterii dyzenterii. Pani Dohnanyi udało się zdobyć zarazki, ale były zbyt słabe, aby zakazić organizm. Dohnanyi wysłał następny list, prosząc o bakterie dyfterytu. Te odegrały swą rolę. Ciężka choroba uniemożliwiała oskarżonemu składanie zeznań i trzymała z dala od oprawców z gestapo. Jednakże cała ta gra zdenerwowała ich do tego stopnia, że wywieśli majaczszego w goršczce więzienia i zastrzelili go gdzie w lesie pod miastem.

Kaltenbrunner i Schellenberg zaciskali pętlę wokół Canarisa. ale nie mieli przeciwko niemu niezbitych dowodów. Zdrada popełniona przez ludzi z Abwehry kompromitowała szefa, ale nie była wystarczająco silnym argumentem, aby zmusić go do dymisji lub skłonić Hitlera do pozbawienia go stanowiska. Flihrer wciřz wierzył mu: był zadowolony z informacji dostarczanych przez Abwehrę i łatwo mógł wybaczyć zakłócenia w jej pracy. Ludzie, którzy chcieliby usunąć Canarisa, musieliby mieć niepodważalne dowody jego zdrady. Czekali...

Pierwszy dowód pojawił się po kapitulacji Włoch.

Florencja. Himmler, Goebbels i Frank w rozmowie z Mussolinim
podczas jednej z oficjalnych wizyt Hitlera we Włoszech

Canaris długo czekał w gabinecie przylegającym do sekretariatu kancelarii
Hitlera. Wiedział oczywiście, dlaczego fuhrer go wezwał, i był zadowolony, że
tak długo oczekuje na audiencję. W ciszy i spokoju mógł rozważyć każde słowo,
które zamierzał wypowiedzieć. Sytuacja była bowiem bardzo poważna.

25 listopada 1943 r. Włosi obalili Mussoliniego i aresztowali go. Dla Niemiec
sprawę niezwyklej wagi była teraz polityka nowego rządu marszałka Pietra
Badoglio: pozostanie wiemy Hitlerowi i będzie walczyć z wojskami alianckimi.
które 9 lipca wylądowały na Sycylii, czy też podda się i otworzy drogę
prowadzącą z południa do Niemiec. Wydarzenia we Włoszech mogły przesądzić
o dalszym biegu wojny. W połowie 1943 r. Niemcy miały doć sił, aby w razie
kapitulacji Włoch wprowadzić tam swoje wojska, które stawiałyby opór aliantom.
W czasie konferencji, którą zwołał w dzień po obaleniu Mussoliniego, Hitler
powiedział: „Jutro wyleż rozkaz do dowódcy 3. dywizji grenadierów pancernych,
aby skierował do Rzymu specjalną jednostkę, która aresztuje rząd, króla.
wszystkie te kreatury, a zwłaszcza następcę tronu, Badoglio, i całą tę bandę!”

Było oczywiste, że może wydać taki rozkaz. Należało więc go uspokoić
zapewnieniem, że nowy rząd pozostanie wiemy zobowiązaniom sojuszni-

czym. Canaris jednak znał prawdę. Od wielu lat Abwehra utrzymywała we Włoszech kilka tysięcy agentów, którzy wiedzieli o wszystkim, co działo się w tym kraju. Każde, nawet najtajniejsze, działanie rządu włoskiego, wszystkie najskrytsze plany były znane Canarisowi. Nie miał wątpliwości, że marszałek Badoglio zmierza do kapitulacji. Należało to ukryć przed Hitlerem za wszelką cenę. Każdy dzień opóźnienia w wysłaniu wojsk niemieckich do Włoch mógł przesądzić o szybszym zakończeniu wojny.

Admirał wstał z wygodnego fotela i podszedł do okna, za którym rozpościerał się piękny widok na ogród Kancelarii Rzeszy. Równe alejki, obsadzone rzędami pieczołowicie dobranych drzew, trawniki, wśród których wyrastały kępy bajecznie kolorowych kwiatów, tworzyły niezwykłą scenę w kwaterze człowieka, który podpalił pół świata.

Canaris wiedział, że nadchodzi czas bardzo ryzykownych działań. Do pewnego czasu fuhrer będzie mu wybaczał wprowadzanie w błąd, uznając, że nie były to kłamstwa, lecz błędna ocena sytuacji. Jednakże w pewnym momencie zorientuje się, że szef wywiadu wiadomie go dezinformuje. Mimo niebezpieczeństwa, postanowił kontynuować grę. Dotychczas prowadził ją bez najmniejszego potknięcia. Największą blagą, którą była sprawa Gibraltaru, przeszła mu bezkarnie.

Zaczął się to 30 czerwca 1940 r., gdy szef Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu, generał Alfred Jodl, zwrócił uwagę flihrera na konieczność zajęcia Gibraltaru, co pozwoliłoby zamknąć Brytyjczykom drogę na Morze Ródziemne i przerwało szlaki komunikacyjne prowadzące ze wschodnich kolonii.

W połowie lipca Hitler zaakceptował plan i wydał rozkaz przygotowania operacji. Człowiekiem odpowiedzialnym za stronę wywiadowczą był oczywiście Wilhelm Canaris. Zorganizował on grupę ekspertów, która bezzwłocznie wyruszyła z fałszywymi paszportami do Hiszpanii, aby na miejscu zbadać możliwości zbrojnego opanowania Gibraltaru.

Mówiło się, że Abwehra rządzi Hiszpanią, i nie była to wielka przesada.

Szefowi oddziału wywiadu w Madrycie, Wilhelmowi Leissnerowi, podlegało 717 pracowników niemieckich i ponad 600 hiszpańskich, którzy przeniknęli do wszystkich najważniejszych urzędów swego kraju.

27 lipca ludzie Canarisa powrócili po dokładnej penetracji Hiszpanii i zdali sprawę ze swoich ustaleń. Na tej podstawie Canaris sporządził raport o możliwościach niemieckiej interwencji i opanowania Gibraltaru. Po lekturze tego dokumentu żaden odpowiedzialny dowódca niemiecki nie mógł podjąć decyzji o wprowadzeniu wojsk do Hiszpanii.

Canaris dowodził, że niespodziewany atak nie będzie możliwy, gdyż na granicy hiszpańskiej trzeba zmieniać podwozia wagonów ze względu na inny rozstaw torów w tym państwie. Taka operacja zaalarmowała Anglików i dała czas na ciśnięcie na Skałę", jak nazywali Gibraltar, dodatkowych sił. Szybkie przerzucenie wojsk przez Hiszpanię też było niemożliwe z powodu fatalnego stanu dróg i linii kolejowych. Desant powietrzny na Gibraltar miał mizerne szanse ze względu na silne wiatry i brak miejsca do wylądowania dużej liczby szybowców. Równie mało realny był desant z morza, gdyż strome zbocza dawały

ogromną przewagę obrońcom, którzy długo mogli odpierać ataki.

Pewne szansę powodzenia istniały po „zmiękczeniu” obrońców długotrwałym bombardowaniem z morza przy użyciu co najmniej 16 dział kalibru 380 mm i 16 dział kalibru 210 mm, a w tym okresie było to niemożliwe.

Raport szefa Abwehry kończyło stwierdzenie, że w planowanej operacji zajęcia Gibraltaru absolutnie niezbędna jest pomoc Hiszpanów. Pozostawała jednak wątpliwość, czy generał Franco zdecyduje się zrezygnować z neutralności i stanąć przy boku Niemiec. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że mógłby się na to zgodzić, obawiając się, że odmowa sprowokuje Niemców do wprowadzenia wojsk na terytorium Hiszpanii. Canaris postanowił rozproszyć obawy dyktatora.

Musiał działać bardzo ostrożnie. Nie mógł zlecić tego zadania podwładnym w Madrycie, gdyż nie wiedział, którzy z nich pracują również dla SD. Powierzył tę delikatną misję swemu najbliższemu współpracownikowi, doktorowi Josefowi Muellerowi.

Pojechał on do Rzymu, gdy tylko się dowiedział, że przybył tam hiszpański minister spraw zagranicznych, Serrano Suñer. W czasie dyplomatycznego przyjęcia stanął obok niego i, korzystając z okazji, gdy Suñer przez chwilę został sam, zaczął szeptać mu do ucha informację, której nikt inny nie powinien usłyszeć:

- Admirał prosi pana. aby zechciał pan przekazać generałowi Franco, że powinien trzymać Hiszpanię poza tę grę, za wszelką cenę. Może uważacie, że

pozycja jest bardzo silna? Nieprawda! Jest tragiczna i mamy niewielkie nadzieje na wygranie wojny. Franco może być pewny, że Hitler nie wejdzie zbrojnie do waszego kraju.

Gdy tylko Mueller przekazał informacje, odwrócił się i znikł w tłumie gości hiszpańskiej ambasady.

Minister Suner przekazał jego słowa bardzo dokładnie, a Franco wysłuchał bardzo uważnie. Nie miał zamiaru wprowadzać swojego państwa do wojny. Zapewnienie Canarisa, że Niemcy nie będą interweniować zbrojnie, miało ogromne znaczenie.

Gdy spotkał się z Hitlerem 23 października 1940 r. w Hendaye u stóp Pirenejów, mówił zdecydowanie, że nie godzi się na udział w uderzeniu na Gibraltar.

Rezygnacja z neutralności państwa, które zostało wyniszczone w wojnie domowej, nie jest możliwa - argumentował generalissimus. Zrodziłoby to ogromne problemy, gdyż należało się spodziewać, że Stany Zjednoczone wstrzymałyby wówczas dostawy paliw i zboża, bez których słaba gospodarka hiszpańska załamałaby się, a w kraju wybuchła rewolta. Franco odrzucił wszystkie argumenty Hitlera, przekonany, że Niemcy zostawią Hiszpanię w spokoju.

To Canaris wytrścił fuhrerowi z ręki niesłuchanie gronś broń - szantaż militarny.

W ten sposób Niemcy przegrały wojnę o Gibraltar, zanim się rozpoczęła...

- Flihrer oczekuje pana, admirale. - Jedna z sekretarek stanęła w drzwiach. Jej głos przerwał rozważania Canarisa, który ruszył w stronę gabinetu wodza, przekonany, że za wszelkś cenę musi ukryć zamierzenia rzšdu włoskiego.

Ogromne, wysokie na ponad 3 metry, drzwi otworzyły się i admirał w towarzystwie jednego z adiutantów wszedł do olbrzymiego pokoju, gdzie za wielkim biurkiem siedział Hitler.

- Mein Fuhrer! - Canaris podniósł rękę i stanął dwa kroki przed biurkiem.

- To pan, admirale... - Hitler podniósł wzrok znad papierów i zdjął okulary. Tylko w otoczeniu najbliższych współpracowników używał powiększającego szkła lub okularów. - Zna pan sytuację we Włoszech. To dla mnie szczególnie ważne! Pan i von Roenne [szef wywiadu Sztabu Generalnego - BW] musicie podjąć nadzwyczajne wysiłki, aby dostarczyć mi ostateczną informację o zamierzeniach Włochów.

- Generał Enno von Rintelen [niemiecki attache wojskowy w Rzymie - BW] jest przekonany, że nic nie wskazuje na to, by Badoglio zamierzał nawiązać kontakt z aliantami - odpowiedział Canaris.

- Znam ten raport - przerwał mu Hitler. - Ale w tym zamieszaniu, jakie panuje we Włoszech, nie możemy gubić się w sprzecznych informacjach. Pan musi dojść prawdy! - Hitler pochylił się nad papierami.

- Tak jest. W ciągu najbliższych dni dostarczę raport, który powinien wyjaśnić wszystkie wątpliwości. - Canaris zsalutował i wyszedł z gabinetu.

30 lipca poleciał do Wenecji, gdzie oczekiwał na niego szef wywiadu włoskiego, generał Cesare Ame. Przez ostatnie kilka tygodni byli w cisłym kontakcie. Od niego to Canaris dowiedział się, że Mussolini pod koniec

urzędowania był pod silną presją członków rządu, domagających się zerwania z Niemcami. Generał informował też o planach obalenia duce i wreszcie o samym tym wydarzeniu. Te wiadomości pozostały jednak w sejfie admirała; nie dotarły do Hitlera.

- Co nowego, generale? - zapytał Canaris, gdy wsiadł na weneckiej ulicy do samochodu swego informatora.

Ten nie odpowiedział na pytanie; spojrzał tylko wymownie na kierowcę.

Canaris z uśmiechem pokiwał głową, dając do zrozumienia, że kierowca jest zaufanym człowiekiem. Specjalnie wybrał samochód na miejsce rozmowy, gdyż uznał, że nie będą musieli obawiać się podsłuchu.

- 27 lipca rozeszły się pogłoski, że Niemcy lada moment mogą wkroczyć do Rzymu - zaczął niepewnie Ame.

- Może się tak stać, jeśli flihrer nabierze przekonania, że Badoglio zamierza porozumieć się z aliantami.

- Wszystko zależy od tego, jak póno Hitler dowie się o tym, i jak daleko w tym czasie zdążą zająć alianci - odparł generał.

- Czy rozmowy z aliantami są zaawansowane?

- Tak, kapitulacja sił włoskich to sprawa najbliższych dni.

- Co możemy zrobić?

- Opónić dotarcie tej informacji do Hitlera. Proszę pana o to. Tych kilka dni

może zdecydować o życiu tysięcy Włochów i dalszych losach wojny...

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział cicho Canaris.

Jednakże tajemnicy nie udało się utrzymać. Przecieki nastąpił z najmniej spodziewanej strony.

29 lipca o 11.00 generał Alfred Jodl otrzymał od ministra poczt załokowań kopertę z literą "U", oznaczającą, że koperta zawiera stenogram rozszyfrowanej rozmowy telefonicznej między Anglią i Stanami Zjednoczonymi.

A oto treść przesłanego Jodłowi dokumentu:

O godz. 1 nad ranem czasu środkowoeuropejskiego 29 lipca przechwycono rozmowę telefoniczną między premierem Winstonem Churchillem i prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, dotyczącą odezwy do narodu włoskiego i podjęcia rokowań na temat zawieszenia broni.

Churchill powiedział: Nie chcemy występować z określonymi warunkami zawieszenia broni, dopóki nie zrobi to Włosi.

Roosevelt: W porządku.

Churchill: Możemy poczekać jeden lub dwa dni.

Roosevelt: Zgadzam się.

Churchill: Do tego czasu problem jeńców wojennych w Italii zostanie

rozstrzygnięty tak, by zapobiec przetransportowaniu ich do „krajów Hunów” [czyli Niemiec - BW].

Dalsza część stenogramu wskazywała jednoznacznie, że alianci prowadzili z Włochami tajne rokowania.

Hitler pozbył się ostatnich złudzeń.

Jakim jednak cudem Niemcy poznali treść rozmowy Churchilla z Rooseveltem? Churchill telefonował do Waszyngtonu z podziemnego bunkra w centrum Londynu. Zainstalowano tam aparat telefoniczny połączony ze specjalną centralą wielkości kilku sporych szaf, ustawionych 3 kilometry dalej, w podziemiach domu towarowego Selfridges. Stała się radiowa sygnalizacja za Atlantyk tak zniekształcona, że nikt, kto nawet przechwyciłby ją, nie mógłby zrozumieć, o co chodzi. Był to wynik używania urządzenia nazywanego A-3, a zainstalowanego prawdopodobnie w sierpniu 1939 r.

Już w październiku 1939 r. niemiecki agent przeczytał w „New York Timesie” informację o „bezpiecznym telefonie” i powiadomił o jego istnieniu centralę w Hamburgu. W Niemczech sprawę zajęło się laboratorium Ministerstwa Poczty, któremu podlegały wszystkie sprawy łączności. Naukowiec o nazwisku Vetterlein do marca 1942 r. skonstruował kopię nadajnika i odbiornika, a w pobliżu Eindhoven ustawiono gigantyczną antenę, która miała przechwytywać zniekształcone rozmowy. W tym samym więc czasie, gdy prezydent Roosevelt słyszał odszyfrowane słowa Churchilla, rejestrowała je również niemiecka stacja. Niemieckie urządzenie było tak doskonałe, że opuszczało zaledwie pojedyncze

sylaby w chwili, gdy angielskie i amerykańskie urzędzenia zmieniały (co 20 sekund) kanały. W ten sposób Hitler dowiedział się o planowanej kapitulacji Włoch.

W tym samym czasie dotarł do niego raport Abwehry. sporządzony przez Canarisa, jednakże nie podpisany przez niego:

Dążenie Włochów do stawienia oporu aliantom jest niezłomne w narodzie i siłach zbrojnych. Rząd jest zdecydowany zastosować bezwzględne środki w celu kontynuowania wojny. Negocjacje pokojowe są nie do pomylenia i nic takiego nie zostało podjęte, nawet przez papieża. 27 lipca rozeszły się pogłoski, że Niemcy planują wejście do Rzymu i przywrócenie Mussoliniego do władzy. Gen. Yittorio Ambrosio [naczelnny dowódca wojsk włoskich - BW] nie przywiązuje do tych pogłosek większej wagi.

Hitler nie uwierzył w informacje zawarte w raporcie, ale głębokie przekonanie, wywiadu o wiernoci Włochów, zdezorientowało go i opóźniło reakcję.

Dopiero wiadomość o podpisaniu kapitulacji (3 września) wywołała furję flihrera. Wydał rozkaz okupacji Włoch i zatopienia włoskiej floty, która, dysponując 6 nowoczesnymi pancernikami, wciąż stanowiła potęgę. Samoloty Luftwaffe zaatakowały zdalnie sterowanymi raketami HS 293 pancernik Roma i zatopiły go. Inny okręt został poważnie uszkodzony.

W czasie gdy we Włoszech trwała akcja odwetowa, Walter Schellenberg udał się do Himmlera i położył na jego biurku teczkę.

- Czy to co ważnego? - zapytał Himmler, choć zdawał sobie sprawę, że szef wywiadu nie zajmowałby mu czasu błahymi sprawami.

- Owszem. To bardzo ważne - Schellenberg wypowiedział te słowa ze szczególnym naciskiem.

Himmler wskazał mu fotel przy biurku, założył okulary i zaczął czytać raport w czarnych okładkach. Wyglądał jak inkasent elektrowni odczytujący zapis licznika. Złowroga potęga tego człowieka zupełnie nie pasowała do fizjonomii skromnego urzędnika.

Czarna teczka zawierała zeznanie szofera, który w Wenecji wioził Canarisa i generała Ame. Ten człowiek od dawna był na usługach SD. Canaris za był przekonany o jego pełnym oddaniu Abwehrze i jemu osobicie.

Himmler przeglądał dokumenty wyranie zdenerwowany.

- Niech pan zostawi to dossier u mnie - powiedział wreszcie. - Zwrócę na nie uwagę fuhrera, gdy nadejdzie stosowna okazja.

Schellenberg zasalutował i wyszedł. Nie wypadało mu pytać, dlaczego

Himmler nie chce natychmiast wykorzystać żelaznego dowodu zdrady Canarisa.

Być może uznał zeznanie szofera za zbyt słabą broń w walce z Canarisem?

A może szef Abwehry znał kompromitujące szczegóły z życia szefa SS i trzymał go w szachu?

Upadek Canarisa nastąpił niespodziewanie i z bardzo błahego powodu.

Marszałek Badoglio (po prawej) w kwaterze głównej
generała Maxwella Taylora po podpisaniu
kapitulacji Włoch

We wrześniu 1943 r. Schellenberg zainteresował się towarzyskimi spotkaniami
w domu Hanny Solf, wdowy po byłym ministrze ds. kolonii i ministrze spraw
zagranicznych w rządzcie Maxa von Badena.

Raz w miesiŃcu schodzili się tam wpływowi ludzie, których SD zaczęła
podejrzewać o spisek przeciwko fuhrerowi. Nie było to podejrzenie bezzasadne,
gdyż rzeczywiście w domu pani Solf bywał np. Ludwig Gehre z Abwehry,
utrzymujący kontakty z wywiadem brytyjskim... Podobną robotę wykonywał
inny gość - hrabia Helmuth von Moitke. Otto Kiep, były konsul z Nowego Jorku,
współpracował ze ..Schwarze Kapelle".

Schellenberg nie miał większych trudności z wprowadzeniem do towarzystwa
swojego agenta, lekarza z kliniki SS, doktora Joachima Reckzeha. Zabawa
w kotka i myszkę nie trwała długo. Na podstawie informacji Reckzeha gestapo
aresztowało Ottona Kiepa. Wywołało to natychmiastową reakcję, która do-
prowadziła do eskpiozji w odległym miejscu - w Istambule, gdzie działał doktor
Eñch Vermehren, agent Abwehry, pozostający jednocześnie na usługach wywia-
du brytyjskiego, współpracujący z Kiepem. Przestraszył się, że Kiep nie wy-
trzyma tortur w gestapo i ujawni powiŃszania z Brytyjczykami. ZaŃsdał więc, aby
jego mocodawcy z wywiadu brytyjskiego MI-6 wywiŃszali się z kontraktu
i zapewnili ochronę jemu samemu i rodzinie. Brytyjczycy zgodzili się, ale nie

dlatego, że honor nakazywał im lojalność wobec wiernego agenta; uznali, że ucieczkę Vermearena można wykorzystać propagandowo. Gdy tylko agent ten dotarł bezpiecznie do Kairu, prasa brytyjska zaczęła pisać o bezcennych informacjach i dokumentach Abwehry, przywiezionych przez uciekiniera.

Sprawa szybko doszła do Hitlera. Fuhrer zarządził śledztwo, którego wyniki zbulwersowały go. Okazało się, że Vermearen rzeczywiście dużo wiedział o działalności wywiadu w Turcji, a na dodatek znał szyfry dyplomatyczne.

Himmler doszedł do wniosku, że zbliża się czas na uderzenie w Canarisa.

Czekał na najbardziej sprzyjający moment. Wiedział, że najlepiej będzie zaatakować, gdy Hitler choć na krótko zwłópi w lojalność i skuteczność działania Abwehry. Jeszcze zwlekał wiedząc, że zdobycz jest już w zasięgu ręki...

Inni dostojnicy hitlerowskiego państwa, czując, że pozycja szefa Abwehry słabnie, uznali, że również mogą przypuścić atak i odnieść wiele korzyści.

W nagonce na admirała wziął udział Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych. Od wielu lat z niechęcią patrzył, jak Canaris panoszy się w jego ministerstwie, werbując dyplomatów, wydając polecenia ambasadorom i konsulom. Ribbentrop, chorobliwie zazdrosny o względy Hitlera, chciał sam go informować o wywiadowczych sukcesach swych pracowników w innych państwach. Miejscem szczególnej konkurencji była Ameryka Południowa. Tam jednak wielkie sukcesy odnosił Canaris, co szczególnie drażniło Ribbentropa.

W 1941 r. Abwehra skaptowała w Hamburgu obywatela Argentyny, Niemca

z pochodzenia, który przyjechał do ojczyzny na krótkie wakacje. Hans Rudolf Leo Hamisch, 46-letni pracownik największej argentyńskiej firmy handlowej Boker & Co., zgodził się zbierać informacje na temat Stanów Zjednoczonych. Wkrótce okazało się, że ten niepozorny człowiek (trzewy, wrażliwy, z rezerwś i zimno kalkulujšcy" - jak scharakteryzowano go w aktach Abwehry) dokonał izeczy wielkich. Był jedynym z organizatorów akcji obalenia - w czerwcu 1943 r. -nšdów Castiia, opowiadajšcego się za pełnš neutralności Argentyny i ustanowie-niem dyktatury proniemieckiego generała Pedra Ramireza, którego stał się bliskim doradcš.

27 stycznia 1944 r. wywiady zarówno amerykański, jak i brytyjski odkryły powiřzania Hamischa i zařdały odsunięcia tego człowieka od spraw państwo-wych. Argentyna została zmuszona do zerwania stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Była to przykra porażka wielkiej polityki Hitlera, który na te wiadomości, skrętnie podsunięte przez Ribbentropa, zareagował wybuchem gniewu.

Nieszczęcia chodzš parami. Niemal równoczenie rozsypały się wpływy Canarisa w Hiszpanii.

W listopadzie 1943 r. ambasador Eberhard von Stohrer, bardzo przyjanie nastawiony do Canarisa, został zastřpiony przez Hansa Heinricha Dieckhoffa.

Gdy nowy dyplomata przedstawił listy uwierzytelniajšce generałowi Franco, miał podobno usłyszeć od niego:

- Jestem zadowolony, że odtřd będę miała do czynienia z prawdziwym

przedstawicielem III Rzeszy, a nie z tym intrygantem Canarisem.

Nie sposób dociec, czy Franco rzeczywiście tak powiedział. Jest to mało prawdopodobne, zważywszy, że łączyła go z Canarisem stara przyjaźń i wiele zawdzięczał szefowi Abwehry. Być może Dieckhoff zmylił także reakcję dyktatora i natychmiast przesłał raport na ten temat do Ribbentropa.

To był pierwszy cios, jaki zadał Canarisowi, ale nie ostatni. Wiedział, na czym zależy jego szefowi i nie przepuszczał żadnej okazji, aby oskarżyć madrycki oddział Abwehry o niekompetencję, łapówkarstwo, a nawet zdradę. Wielokrotnie wspominał w oficjalnej korespondencji dyplomatycznej, że Canaris osobiście nakłaniał Franca do zerwania z Hitlerem i opowiedzenia się po stronie aliantów.

Admirał szybko poznał treść raportów ambasadora i pojął zagrożenie. Postanowił podjąć walkę i wyruszyć do Madrytu, aby spotkać się tam z szefem Sztabu Generalnego, generałem Vigo, oraz z szefem wywiadu, generałem Campo Martinezem. Liczył, że przy ich pomocy zmusi wrogię ambasadora do zaniechania ataków. Nie docenił jednak jego sprytu i wpływów.

5 lutego 1944 r. Dieckhoff przysłał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych depeszę:

Dowiedziałem się z poufnych źródeł, że admirał Canaris rowaia plan przybycia do Hiszpanii w następnym tygodniu. Jakkolwiek z radociš powitałbym okazję do omówienia funkcjonowania tutejszego oddziału Abwehry [było to sprytne nawiązanie do wcześniejszych raportów, w których żalił się na fatalne

funkcjonowanie oddziału Abwehry w Madrycie - BW], to jednak muszę stanowczo odradzać przyjazd. Ta wizyta, której nie uda się utrzymać w tajemnicy, mogłaby Tylko dać Anglosasom pretekst do zintensyfikowania presji [na rządy hiszpański, aby opowiedział się po stronie aliantów - BW] ;' stałaby się kłopotliwa dla naszych hiszpańskich przyjaciół.

To był celny strzał. Canaris nie uzyskał zgody na wyjazd do Hiszpanii. Nie mógł już wygrać z ambasadorem przy pomocy hiszpańskich sojuszników. Uznał więc, że musi zawrzeć kompromis. Zaprosił ambasadora na spotkanie do francuskiej miejscowości Biarritz, w pobliżu granicy hiszpańskiej. Dieckhoff przyjął zaproszenie. Jednakże gdy Canaris wszedł do hotelowego apartamentu, nie zastał tam ambasadora. Z fotela poderwał się młody dyplomata Herbert von Bibra. Stuknął obcasami i krzyknął ..Hei! Hitler!" Następnie wręczył admirałowi list od ambasadora:

Doceniam pańskie zapewnienie, że przywiśzuje pan największą wagę do mojej obecności w Biarritz- Niestety, obowiązki uniemożliwiają mi opuszczenie Madrytu. Dlatego zdecydowałem się wydelegować pana von Bibrę jako swojego przedstawiciela, w pełni upoważnionego do zabrania głosu w moim imieniu.

Canaris złożył starannie list i schował do kieszeni. Został upokorzony, ale musiał to przełknąć. Wiedział już, że przegrał i nie pozostało mu nic innego, jak tylko zgodzić się na wszystkie warunki, które przez von Bibrę stawiał ambasador Dieckhoff.

Ten wkrótce raportował do ministerstwa:

Admirał Canaris zgodził się zreorganizować Abwehrę w Hiszpanii zgodnie z moimi życzeniami, aby zadowolić pana ministra spraw zagranicznych. Personel Abwehry zostanie zredukowany do absolutnego minimum. Biuro Abwehry zostanie wyprowadzone z budynku ambasady. Centrum radiowe i nasłuchu radiowego zostanie przekazane ministerstwu.

Canaris tylko raz zareagował ostro. W czasie rozmowy z Bibrš owiadczył:

- Stanie się moim obowiškkiem ostrzec dowództwo wojsk lšdowych, marynarki i lotnictwa, że w zwiškku ze zmieniajšcš się sytuacjš nie będzie możliwe wykonanie operacji, które w przyszłoci zlecš Abwehrze.

Delegatura Abwehry w Madrycie była jednš z najwaźniejszych placówek na wiecie. W stolicy Hiszpanii krzyżowały się cieżki agentów najwaźniejszych państw; tamtędy wiodły trasy kurierów i oficjalnych przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, walczšcej Francji. Canaris ostrzegał bardzo serio: przekazanie kontroli nad madryckš placówkš amatorom oznaczało zerwanie wielu waźnych akcji i kontaktów wywiadowczych. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na to ostrzeżenie.

Hitler, pod wpływem intryg Himmlera i Ribbentropa, uznał, że Canaris utracił zdolnoć do skutecznego prowadzenia wywiadu. Admirał z pełnymi honorami został pozbawiony funkcji, o czym powiadomił go feldmarszałek Wilhelm Keitel oraz generał Alfred Jodl, informujšc jednoczenie o przyznaniu Deutsches Kreuz ein Gelt i wyznaczeniu poledniego stanowiska.

Kolumna jeńców niemieckich na ulicach Berlina, 1945

Zaraz potem Himmler przystąpił do reorganizacji wywiadu, oddając go w ręce Schellenberga. Utworzył nową sekcję Militarisches Amt (Amt Mil - Biuro Wojskowe), która miała kontrolować zbieranie i przepływ wojskowych informacji wywiadowczych. Jej szefem został pułkownik Georg Hansen*.

Zwierzchnicy szefa nowej sekcji nie podejrzewali nawet, że ten człowiek był zdolnym uczniem Canarisa. Jednak - jak miała wykazać najbliższa przyszłość - nie dorastał do swego mistrza, choć od wielu lat działał w "Schwarze Kapelle".

Po objęciu nowego stanowiska niezwłocznie zaczął nawiązywać kontakty z aliantami. Na początku 1944 r. generał Ulrich Liss, gdy kontuzjowany powrócił z frontu wschodniego do Berlina, otrzymał od Hansena polecenie nawiązania przez Sztokholm kontaktu z generałem Kennethem W.D. Strongiem, szefem wywiadu sztabu głównodowodzącego wojskami alianckimi w Europie, generała Dwighta Eisenhowera. Inny wysłannik specjalny spotkał się gdzieś w południowej Francji z emisariuszem Churchilla w celu przedyskutowania możliwości przerwania działań wojennych po obaleniu Hitlera.

Hansen, gdy został aresztowany po nieudanym zamachu na Hitlera, ujawnił, że Canaris był najzagorzalszym wrogiem fuhrera. Zeznał również, że był szefem Abwehry i pisał pamiętniki, w których wiele miejsca poświęcił Hitlerowi.

Canaris nie brał bezpośrednio udziału w zorganizowaniu zamachu na fuhrera, przygotowanego przez członków "Schwarze Kapelle" (m.in. generała Ludwiga Becka, generała Carla Górdelera), a wykonanego przez pułkownika Clausa von

Stauffenberga, również członka tej tajnej organizacji. Może usunięcie ze stanowiska szefa wywiadu przekreśliło możliwość aktywnego działania admirała na rzecz ustanowienia w Niemczech nowego porządku? Może uznał, że jest pilnie strzeżony, co wykluczało kontaktowanie się ze spiskowcami? Jednakże fala represji, jaka wybuchła w Niemczech po zamachu, nie ominęła i Canarisa.

23 lipca Kaltenbrunner wysłał Schellenberga z poleceniem aresztowania Canarisa, który przebywał w swoim domu w Schlachtensee, malowniczej osadzie nad brzegiem jeziora. Po południu Schellenberg i SS Hauptsturmführer von Voelkersam zastukali do drzwi admirała.

- Spodziewałem się, że będzie to pan - rzekł Canaris na widok Schellenberga. zanim przybyły zdążył wyjawnić cel swej wizyty. - Proszę mi najpierw powiedzieć, czy znaleziono cokolwiek na piśmie, co mógł pozostawić ten głupi pułkownik Hansen?

- Tak, notatnik - odparł Schellenberg stojący jeszcze w progu. - Obok innych zapisków była tam lista osób, które miały zostać rozstrzelane [przez spiskowców, po zamachu na Hitlera - BW]. Ale nie było nic na pański temat.

- Ci dumie ze Sztabu Generalnego nie mogli żyć bez pisania - skwitował informację Canaris i zaprosił ludzi, którzy przyszedli go aresztować, do wnętrza. Tam Schellenberg oficjalnie przedstawił admirałowi rozkaz wydany przez SS

* Był jednym z pierwszych uczestników spisku, powieszonych 8 sierpnia 1944 r. w więzieniu Plötzensee w Berlinie.

Obergruppenfuhrera Mullera, szefa specjalnej komisji powołanej przez Himmlera do zbadania okolicznoci zamachu na Hitlera.

- To le, że musimy sobie powiedzieć do widzenia" w taki sposób - stwierdził Canaris z rezygnacją. - Ale przejdziemy i przez to. Musi mi pan obiecać, że w ciągu najbliższych trzech dni stworzy mi pan możliwość rozmowy w cztery oczy z Himmlerem. Wszyscy inni, Kaltenbrunner i Muller, są niczym więcej jak tylko brudnymi rzenikami, którzy chcą mojej krwi.

Schellenberg zgodził się, mimo to podsunął Canarisowi, by zamiast więzienia wybrał wyjście honorowe - samobójstwo.

- Nie, drogi Schellenberg! - Canaris potrząsnął głową. - Mój lot bez wątpienia się zakończył. Ale ja się nie zabiję. Jestem przekonany o swych racjach i mam nadzieję, że wypełni pan złożone przyrzeczenie...

Admirał ciągle wierzył w swoją władzę nad Himmlerem, która w efekcie miała przynieść mu wolność. Bez wątpienia wiedział, że Himmler podjął tajne negocjacje z aliantami, proponując im usunięcie Hitlera. Jeżeli Canarisowi udałooby się zdobyć jakie dowody zdrady Himmlera, mógłby sądzić, że ten zrobi wszystko w obawie przed ujawnieniem dokumentów. Canaris jednak daremnie liczył na tę ostatnią szansę. Himmler był sprytniejszy. Tak pokierował wypadkami, że nie zostawił admirałowi możliwości wykorzystania jej.

Umieszczono admirała w areszcie w szkole Sicherheitspolizei w Furstenbergu. Wkrótce jednak Muller przysłał swoich ludzi, którzy przewieźli Canarisa do siedziby na Prinzalbrechtstrasse w Berlinie.

Tam, w czasie przesłuchania, admirał popełnił błąd, który kosztował go życie.

Przyznał, że pisał pamiętniki. Był przekonany, że człowiek, u którego zdeponował dokumenty mogące być zastawem za jego życie, zniszczył je. Niestety...

Major Wemer Schrader popełnił samobójstwo, pozostawiając wszystkie dokumenty przekazane przez Canarisa.

Prowadzący śledztwo wysłał zaraz swoich ludzi do Zossen, gdzie w sejfie Schradera znaleziono całe archiwum "Schwarze Kapelle" i pamiętniki admirała.

Był to aż nadto wystarczający dowód, aby Canarisa i jego najbliższego współpracownika, generała Ostera, skazać na karę śmierci. Himmler nie zrobił jednak tego. Nie wydał wyroku. Dlaczego? Czyżby ciągle obawiał się dowodów, które zgromadził przeciw niemu admirał? A może Canaris uprzedził go, że zdeponował dokumenty „w pewnych rękach” i że zostaną ujawnione w razie jego śmierci? Jeżeli tak, to Himmler zdawał sobie sprawę, że dopóki Canaris będzie żył, nie ujawni dokumentów. Dlatego też trzymał go przy życiu.

Więziono admirała w różnych obozach koncentracyjnych, aż w końcu trafił do więzienia we Flossenburgu.

Była już wiosna 1945 r. Amerykańskie wojska stały w odległości około 150 kilometrów. 8 kwietnia Canaris został wezwany przed sąd. Nie przyznawał się do winy. Żądał zwolnienia i wysłania jako szeregowego żołnierza do walki z wojskami radzieckimi. Sąd odrzucił prośbę. Uznał go winnym zdrady flihrera

i Niemiec i skazał na śmierć. Po wyroku esesmani wywlekli go z sali i ciężko pobili, a potem, półprzytomnego, wrzucili do celi.

Canaris ze złamanym nosem zwał się z pryczy i trzonkiem łyżki wystukał w rurę biegnącą przez celę: Umieram ... za ... mój ... kraj ... i ... mam ... pełną ... wiadomość ... że ... jako ... oficer ... zrozumiesz ... iż ... wykonywałem ... tylko ... obowiązki ... wobec ... mojego ... kraju ... usiłowałem ... przeciwstawić ... się ... Hitlerowi... zrób ... co ... możesz ... dla mojej ... żony ... córek... oni... złamali... mi... nos... umrę... dziś... rano... żegnaj...

Była to ostatnia wiadomość, którą więniowi z sąsiedniej celi - podpułkownikowi H.M. Lundingowi, byłemu szefowi duńskiego wywiadu - przekazał admirał Wilhelm Canaris.

Wkrótce Lunding, słysząc hałasy na korytarzu, przytknął oko do judasza.

Zobaczył, jak esesmani wywlekają nagiego Canarisa z celi i ciągną korytarzem.

Zabrali go do pomieszczenia, gdzie wykonywano wyroki śmierci. Tam powiesili na żelaznej obroży, zwisającej na łańcuchu z sufitu. Po kilku minutach opucili na podłogę. Canaris wciąż żył. Przystąpili zatem znów do egzekucji...

Jeden z najpotężniejszych ludzi III Rzeszy przez 30 minut umierał w więzieniu w Flossenbureu.

Roland Freisler, prezydent

„Trybunału Ludowego”, który

skazał na śmierć autorów i uczestników

Noc na pustyni zapada szybko. Słońce chowa się gwałtownie za horyzontem, pogrążając piasek w ciemnościach. John Haselden widział przez niewielkie okienko w kadłubie Wellingtona, jak minęli linię brzegową, zostawiając za sobą rozszerebrane Morze Ródziemne. Wpatrywał wiaterek Cyreny. Bliskość arabskiej osady miała być dla niego znakiem rozpoczęcia niezwykłej przygody. Nie bał się jej, chociaż po raz pierwszy w życiu miał zmierzyć się z wrogiem, którego nie znał: widział go tylko na ekranie kina przy Balaam Street, gdzie chętnie oglądał wojenne kroniki. Nie potrafił sobie wyobrazić niebezpieczeństwa. Może dlatego nie czuł strachu.

- Przygotuj się! - krzyknął do niego sierżant McClusky, który przeszedł obok, pochylił się i podniósł klapę w podłodze samolotu. John wstał z niewygodnej ławki przy burcie samolotu, dociągnął pasy i zaczepił sprzączkę od linki otwierającej spadochron. Usiadł niezdarnie na krawędzi luku. Czuł, że mięśnie napinają się bezwiednie, jakby w oczekiwaniu bólu. Pęd powietrza szarpał nogawki spodni, a w dole otwierała się czarna przepaść.

Sierżant, pochylony nad nim, wpatrywał się w lampki obok drzwi kabiny pilotów. Nagle klepnął go w ramię. John usłyszał jeszcze:

- Powodzenia, chłopie... - i wysunął się przez wąski otwór.

Lądowanie na piasku okazało się znacznie przyjemniejsze niż dotyk twardej

ziemi lotniska w Ringway, gdzie uczył się skakać ze spadochronem. Pięć miesięcy temu zgłosił się ochotniczo do wojska, a gdy członkowie komisji poborowej dowiedzieli się, że skończył arabistykę na uniwersytecie w Aberdeen, skierowali go do specjalnej jednostki spadochroniarzy.

Szybko zwinął czaszę, rozgrzebał rękami piasek i wrzucił spadochron do płytkiego dołu. Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu zasobnika z wyposażeniem. Po chwili zobaczył długi, walcowaty kształt metalowego pojemnika, wbitego w piasek w odległości kilkudziesięciu metrów. Wydobył z niego radiostację, mapy, niewielką paczkę z żywnością i wodą, mocno przybrudzone, przesiąknięte potem ubranie arabskie i metalową puszkę z brunatnym kremem. Rozebrał się do naga i systematycznie zaczął wcierać maść w ciało. Mikstura powinna zacząć działać po kilku godzinach, nadając jego skórze ciemnobrązowy odcień. Włosy ufarbował jeszcze przed startem. Mistyfikacja była doskonała; nikt nie potrafiłby rozpoznać Anglika w krępych mężczyźnie o niadej cerze i kruczoczarnych włosach. John Haselden mówił wietnie w narzeczu sesussi - jednym z licznych, które opanował podczas studiów i wakacyjnych praktyk w paru krajach Bliskiego Wschodu.

Gdy nad pustynią pojawiły się pierwsze promienie słońca, John zatarł starannie lada nocnego lśdowania i zarzuciwszy na plecy tobolek, w którym ukrył broń i radiostację, wyruszył w stronę najbliższego szlaku karawan. Do Będš Littoria dotarł pónym popołudniem. Nie był tam nigdy przedtem, ale znał doskonale rozkład osady. Przed wyprawą spędził wiele godzin, starając się zapamiętać

wszystkie szczegóły planu i zdjęć lotniczych. Najbardziej interesował go duży.

jednopiętrowy budynek w centrum - siedziba generała Erwina Rommla.

Skierował się w tamtą stronę, gdy tylko przybył do miasteczka. Wskł, kamienistą uliczką dotarł do niewielkiego placu. Tam usiadł w kucki pod palmą i rozsupłał ostrożnie swój tobołek. Wydobył kawałek placka i krusząc go, zaczął powoli przeżuwać. Wyglądał jak zmęczony wędrowiec, który przysiadł na chwilę przed dalszą drogą. Nie zwracał niczyjej uwagi. Stapał się z tłumem innych identycznie wyglądających postaci w brudnych burnusach i białych turbanach. Mogły go zdradzić tylko oczy, badawczo wpatrzone w bramę wysokiego domu. Policzył wartowników: czterech przy bramie - ciężkiej, kutej, trudnej do sforsowania. Stali za workami piasku, nad którymi rozciągnęli kawałki brezentu, chroniące przed promieniami słońca. Ilu było za wrotami? Uznał, że tego nie dowie się łatwo. Po chwili zauważył trzy sylwetki na płaskim dachu, gdzie zapewne mieściły się stanowiska karabinów maszynowych lub działek przeciwlotniczych. Za załomem muru dostrzegł następne stanowisko, obłożone workami z piaskiem, ale z odległości nie potrafił zobaczyć, ilu jest tam żołnierzy.

Zawinął reszkę placka w przetłuszczoną szmatkę. Podniósł się i przeszedł na drugą stronę placu. Dostrzegł tam kilka straganów i pomyślał, że będzie to doskonały punkt obserwacyjny. Oglądał jeszcze przez chwilę skupisko przekupniów i ruszył do wschodniej części miasta, gdzie miał się zgłosić do handlarza, by zażądać zwrotu pieniędzy za dwie kozy, które padły w dwa dni po zakupie. Gdy handlarz odpowie: „Pamiętam, że ci sprzedałem kozy, ale nie pamiętam ile”, oznaczać to będzie, że znalazł bezpieczne schronienie. Każda inna odpowiedź

zwiastowała niebezpieczeństwo. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem i wieczorem ukrył radiostację pod stertę słomy na strychu domu handlarza kóz.

Następnego dnia spędził na placu wiele godzin, siedząc w kucki nad papierem, na którym rozłożył kilka glinianych skorup. Zachwalał je przechodniom, nawet patrolowi żandarmerii niemieckiej. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Czuł się całkowicie bezpieczny.

Po kilku dniach uznał, że wie już bardzo dużo o strażnikach i głównym mieszkańcu obserwowanego domu. Notował w pamięci godziny, w których zmieniano warty. Przez otwartą bramę dostrzegł posterunki przed drzwiami budynku. Wielokrotnie widział Rommla wyjeżdżającego w opancerzonym kabriolecie, z silną eskortą. Zauważył, że około godziny 20.00 feldmarszałek zawsze wracał do domu i nigdy nie opuszczał go w nocy. Wiele cennych informacji przekazali mu inni przekupnie, z którymi gawędził po zamknięciu straganów.

Po dwóch tygodniach obserwacji John doszedł do wniosku, że może przekazać pierwszy raport do kwatery w Kairze. W nocy wygrzebał spod sterty słomy węzełek z radiostacją i przekazał meldunek. Tej samej nocy raport znalazł się na biurku szefa wywiadu wojskowego w Kairze, generała Francisa de Guinganda. Zwrócił on szczególną uwagę na zdanie: Obiekt X silnie strzelony, ^ wyjściem

Zdjęcie górne: generał Rommel w swoim pancernym samochodzie, 1942

Zdjęcie dolne: włoski patrol pod ogniem artylerii brytyjskiej

strony północnej, otoczonej żyłopotem. Tam strażę są najslabsze. Następane raporty, które Haselden nadsyłał regularnie co cztery dni, potwierdzały pierwsze spostrzeżenia.

Na początku listopada generał Guingand i szef operacji specjalnych, pułkownik Laycock rozpoczęli planowanie ataku na kwaterę Rommla. Dowódca wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie, marszałek Claude Auchinleck, wyznaczył termin: 17. a najpóźniej 18 listopada 1942 r. Wtedy to zamierzał uderzyć na wojska niemiecko-włoskie, a śmierć Rommla mogła przesądzić o powodzeniu tej ofensywy. Nadano jej kryptonim "Crusader". Pułkownik Laycock uważał, że komandosi powinni zaatakować równocześnie kilka punktów, aby sparaliżować ruchy wojsk niemieckich i włoskich. Proponował, aby w operacji wzięło udział pięćdziesięciu dziewięciu komandosów, którzy powinni zabić lub schwycić Rommla, zniszczyć dowództwo wojsk włoskich w Cyrenajce, wymordować szefów włoskiego wywiadu, a w jego kwaterze w Appollonii zdobyć księgi szyfrów, przy okazji za zniszczyć jak najwięcej linii telekomunikacyjnych.

17 listopada po zapadnięciu zmroku w rejonie Będś Littoria wynurzyły się u wybrzeża dwa okręty podwodne: Torbay i Talisman. Na brzegu migotało światło latarni, które machał Haselden, na znak, że komandosi mogą lądować. Sześciu oficerów i pięćdziesięciu trzech komandosów dotarło pontonami na ląd. Wkrótce rozdzielili się na kilka grup. Trzej żołnierze, prowadzeni przez podpułkownika Geoffreya Keyesa, wyruszyli z Haseldenem w stronę kwatery Rommla. Pogoda im sprzyjała: rzęsy deszcz tłumiał odgłos kroków. Przeskoczyli żyłopot i zaczęli czołgać się w stronę domu. światło reflektora, które wartownicy

kierowali z dachu w stronę krzewów, nie było grone. Strugi wody rozprasały promienie i zacierały ludy.

Po kilku minutach dotarli do tylnych drzwi; nie było przy nich wartowników.

Keyes otworzył je i nagle zobaczył żołnierza w hełmie i pelerynie, który zapewne schronił się przed deszczem. Komandos uniósł thompsona, ale Niemiec zdążył schwycić za lufę jego karabinu i skierować jś w górę. Keyes odepchnął go i wyszarpnął nóż z pochwy przytroczonej do nogawki spodni. Nie zdążył jednak uderzyć, gdyż w tej samej chwili wtargnął któryś z komandosów i widząc szamotaninę, strzelił do Niemca, kładąc go trupem. Huk zaalarmował żołnierzy na piętrze. Jeden z nich wybiegł na schody, ale nie mógł się zorientować, o co chodzi w ciemnym korytarzu. Komandosi zaczęli do niego strzelać. Niecelnie. Zdołał cofnąć się do pokoju.

Po chwili komandosi zobaczyli wiatło w szparze drzwi pod schodami.

Wbiegli tam. Kilku żołnierzy niemieckich, obudzonych strzałami, zdejmowało broń ze stojaka. Keyes strzelił na olep, ale w tym samym momencie jeden z Niemców zdołał załadować karabin i nacisnąć spust. Kula trafiła Keyesa w serce. Upadł do tyłu i oparł się o stojącego za nim żołnierza. Ten wrzucił granat do rodka i wyciągnął martwego dowódcę do ogrodu. Dwaj pozostali przy życiu komandosi walczyli jeszcze, ale nie mieli żadnych szans wykonania zadania. Byli otoczeni i po kilku minutach walki zginęli, przeszyci seriami karabinów maszynowych. Akcja, podobnie jak i ataki na obiekty włoskie, zakończyła się fiaskiem. Uratował się jedynie dowódca operacji, podpułkownik Laycock i jeden żołnierz. Uratował się też Haselden, który nie zauważył, że kilka dni przed planowanym

atakiem Rommel przeniósł swoją siedzibę o sto pięćdziesiąt kilometrów na południe, do Gambund. 17 listopada nie było go jednak i w nowej kwaterze. Przebywał o tysiące kilometrów stamtąd, w swoim rodzinnym domu, dokąd udał się, aby spędzić z żoną 25 rocznicę lubu...

Generał Claude Auchinleck wysłuchiwał raportu Laycocka z wyrażoną irytacją.

W skrytoci ducha liczył na powodzenie akcji. Wierzył, że jeżeli komandosom nie uda się zabić lub porwać Rommla, to przynajmniej zdeorganizują włoską sieć dowodzenia.

- Czy odniósł pan wrażenie, że Niemcy i Włosi zostali uprzedzeni o naszej akcji? - przerwał Laycockowi wyliczanie strat.

- Absolutnie nie, sir! - wykrzyknął zapytany z taką energią, jakby to jego podejrzewano o zdradę.

- Czy ty też jesteś tego zdania? - Auchinleck zwrócił się do szefa wywiadu, generała Guinganda, gdy Laycock wyszedł z pokoju.

- Tego nigdy nie można wykluczyć - wymijająco odpowiedział Guingand. - W tym wypadku jednak sądzę, że to komandosi spartolili robotę. Nic nie wiadomo o przeciekach ani zdradzie. Wprost przeciwnie, meldunki z frontu wskazują na całkowite zaskoczenie nieprzyjaciela.

Od 18 listopada wojska brytyjskiej VIII armii parły niepowstrzymanie do przodu. XXX korpus przekroczył egipsko-libijską granicę w pobliżu Fortu Maddalena i posuwał się szybko w stronę Gabr Saleh. Na prawym skrzydle XIII

korpus przetoczył się przez włoskie pozycje i jak burza sunął do Bardii.

Brytyjczykom udało się zaskoczyć Włochów i Niemców. Operacja Crusader" zakończyła się 20 grudnia zwycięstwem wojsk alianckich. Nadchodził jednak czas, gdy Rommel mógł wprowadzić do walki broń o niezwykłej sile...

Artyleria angielska

Attache wojskowy ambasady USA w Rzymie, pułkownik Norman E. Fiske, czuł się fatalnie tego dnia. Silne skurcze żołądka były tak męczące, że nie mógł skupić się na czytaniu depeesz nadesłanych rano z Waszyngtonu. Zastanawiał się, co mogło być przyczyną takiego samopoczucia. Poprzedni wieczór spędził z żoną i kilkorgiem przyjaciół w małej knajpce na Via Appia. Bywali tam wielokrotnie i do tej pory nie zdarzyło się żadne zatrucie. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, co jadł i pił. gdyż próba odtworzenia menu wywoływała gwałtowny napływ liny do ust i kolejny skurcz żołądka.

- Powinien pan pójść do lekarza, sir - Loris Gherardi był bardzo zmartwiony stanem zdrowia pułkownika - ale doktor Bames jeszcze nie przyszedł.

- Dziękuję ci. Loris, chyba poradzę sobie bez lekarza - westchnął ciężko Fiske. ale nuta współczucia, którą usłyszał w głosie posłańca, bardzo mu się spodobała. ..To porządny chłop" - pomyślał, patrząc, jak Loris sadowi się na krzele przy drzwiach w oczekiwaniu na depeşe, które miał zanieść do konsulatu.

Pracował jako posłaniec w ambasadzie amerykańskiej od 1920 r. i zdobył

całkowite zaufanie pracowników. Kiedy przyjeżdżali do Rzymu, aby objść nowe stanowisko. Loris Gherardi już tam był. Cichy, spokojny, skory do usług i pomocy, szybko zyskiwał sympatię nowych pracowników. Co najważniejsze, nie wzbudzał żadnych podejrzeń o współpracę z wywiadem włoskim SIM. Szef ochrony ambasady był starym fachowcem z FBI i żaden szpieg nie uchowałby się w jego „rejonie łowieckim” - jak sam mówił o swoich umiejętnościach.

Nowy atak bólu kazał pułkownikowi udać się do toalety. Jeszcze od drzwi rzucił okiem na biurko, aby sprawdzić, czy nie zostawił na wierzchu niczego ważnego. Leżała tam tylko gazeta i parę czystych kartek, których nie miał siły zapisać. Loris odczekał, aż popieszne kroki pułkownika ucichły na korytarzu, podszedł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Dorobił go dawno.

Szkolenie w SIM zaczynało się od kursu lusarskiego. Po jego ukończeniu każdy włoski agent potrafił z łatwością otwierać zamki i dorabiać klucze. Skierował się w stronę ciężkiej, rzeźbionej szafy w rogu pokoju. Otworzył ją i po chwili, przypominając sobie kolejne cyfry, zaczął obracać pokrętła sejfu.

Loris Gherardi pracował dla SIM od 1935 r. Przez wiele lat nie zlecano mu żadnych zadań. Pozostawał „upiony” aż do 1940 r., gdy na skwerze w pobliżu swojego domu zaczął spotykać się z człowiekiem, któremu dokładnie relacjonował, co się dzieje w ambasadzie. Podczas ostatniego spotkania „opiekun” z SIM przekazał mu numer sejfu pułkownika Fiske, aparat fotograficzny i polecił, by w poniedziałek 15 września w godzinach porannych wydobyl z sejfu książkę w czarnych okładkach i sfotografował ją. Za wykonanie zadania obiecał duży sumę.

Drzwi sejfu ustąpiły i Gherardi zobaczył na półce książkę w czarnych

Zdjęcie górne: walki o Tobruk, 1942 - wysunięty posterunek brytyjski

Zdjęcie dolne: niemieckie oddziały wkraczają do Tobrukuokładkach. Rozłożył ją na stole pod lampą. Zerknął na zegarek - pułkownika nie

było od dwóch minut; mógł więc spokojnie działać przez trzy, cztery minuty.

Włczył lampę i zaczął fotografować kolejne stronice. Gdy skończył pracę, schował książkę do sejfu i usiadł w fotelu. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że naturalniej będzie, jeżeli pułkownik nie zastanie go w gabinecie.

Gdy Fiske wrócił po kilkunastu minutach, czuł się znacznie lepiej i mógł wreszcie zabrać się do redagowania depezy. Tego samego dnia wieczorem Loris przekazał łącznikowi na skwerze aparat fotograficzny. Włoski wywiad poznał tajemnicę "Czarnego kodu", którym od kilku miesięcy posługiwali się attaché wojskowi w ambasadach m.in. w Rzymie, Moskwie i Kairze. Kilka dni później Włosi zaczęli rozszyfrowywać amerykańskie depeze. Minister spraw zagranicznych, Ciano, zanotował w swoim pamiętniku pod datą 30 września: Wywiad wojskowy wszedł w posiadanie amerykańskiego tajnego szyfru, wszystko, co Phillips [ambasador amerykański William - BW] telegra/uje do USA, jest odczytywane przez naszych kryptologów. Zapewne w tym samym czasie SIM przekazał szyfr Abwehrze i wkrótce generał Erwin Rommel mógł otrzymywać najnowsze informacje o ruchach wojsk alianckich w Afryce Północnej, gdyż wywiad niemiecki odszyfrował depeze wysyłane z ambasady amerykańskiej w Kairze przez bardzo skrupulatnego oficera.

Był to pułkownik Bonner Frank Fellers. W okresie międzywojennym pracował

w wielu urzędach wojskowych, a nawet przez dwa lata był na Filipinach asystentem generała Douglasa MacArthura. W październiku 1940 r. przybył do Kairu. Bardzo poważnie podszedł do swoich nowych zadań. Pracę rozpoczął od wizytacji brytyjskich jednostek i dokładnego zapoznania się z warunkami życia i walki na pustyni. Był przekonany, że jego obserwacje i opinie zostaną wzięte pod uwagę podczas szkolenia i wyposażania wojsk amerykańskich, gdyby przyszło im walczyć w warunkach pustynnych. Toczył długie rozmowy z brytyjskimi dowódcami, analizując problemy morale żołnierzy, płynności dostaw, skuteczności broni pancernej i przeciwpancernej oraz setki innych spraw. Brytyjczycy nie lubili go, gdyż zbyt często dawał im odczuć, że uważa ich za miernych żołnierzy i jeszcze gorszych dowódców, ale musieli być uprzejmi wiedząc, że od raportów Fellersa może zależeć wielkość dostaw amerykańskiego uzbrojenia. Cierpliwie odpowiadali więc na wszystkie pytania.

Każdego wieczoru pracowity pułkownik przygotowywał obszerny raport, stanowiący esencję rozmów z dowódcami brytyjskimi oraz zawierający własne obserwacje. Następnego dnia raport - zaszyfrowany za pomocą "Czarnego kodu" - wysłano z kairskiej poczty do MILID WASH (Military Intelligence Division, Washington - Oddział Wywiadu Wojskowego, Waszyngton). Kilka godzin później Rommel odczytywał tekst raportu przechwyconego przez niemiecką stację nasłuchową.

23 stycznia 1942 r. dowiedział się więc o odesłaniu z Afryki Pomocnej na Daleki Wschód dwustu siedemdziesięciu samolotów brytyjskich.

25 stycznia poznał opinię pułkownika Fellersa na temat wartości bojowej

brytyjskich czołgów i samolotów oraz wykaz najczęściej występujących w nich wad i przyczyn awarii.

29 stycznia otrzymał dokładny spis brytyjskich jednostek pancernych: liczbę czołgów, pojazdów zdolnych do walki i remontowanych, ich miejsca postoju, ocenę wartości bojowej.

1 lutego pułkownik Fellers przesłał ocenę wartości bojowej różnych jednostek brytyjskich wraz z informacją, że amerykańskie czołgi M-3 nie będą użyte wcześniej niż w połowie lutego.

6 lutego donosił o stanie hinduskiej 4. dywizji i 1. dywizji pancernej oraz o planach budowy linii obronnych w rejonie Acroma-Bir Hacheim.

Były to informacje bezcenne dla Rommela. Ostrzegały o zamiarach Brytyjczyków, ujawniały ich miejsca najsilniejsze i najsłabsze. Informowały o skutkach działania wojsk niemiecko-włoskich, o stanie wiedzy dowódców brytyjskich i ich planach.

17 stycznia 1942 r. wojska niemiecko-włoskie uderzyły i w ciągu siedemnastu dni odrzuciły Brytyjczyków o czterysta pięćdziesiąt kilometrów na wschód.

W maju Rommel podjął następną ofensywę; jego czołgi miały wjechać do Egiptu, a potem przebić się przez Palestynę i połączyć się w Iraku z wojskami niemieckimi, przedzierającymi się przez Związek Radziecki. Depesze pułkownika Fellersa informowały, że Brytyjczycy mają zamiar stworzyć główną linię obrony w rejonie miasta Marsa Matruh, a następnie powiadomiły, że dowództwo

brytyjskie zarzuciło ten plan.

Wojska niemiecko-włoskie jak pustynna burza parły do przodu. Brytyjczykom wywietrzały z głowy wspomnienia o dawnych zwycięstwach, a generał Auchinleck uznał, że musi podnieść poziom morale swoich wojsk odczuwających coraz większy respekt przed niemieckim generałem i jego pancernymi dywizjami.

W czerwcu Auchinleck skierował do dowódców podległych sobie jednostek rozkaz: Pojawia się autentyczne niebezpieczeństwo, że nasz przyjaciel Rommel staje się rodzajem magika lub straszydła dla naszych żołnierzy, którzy mówią o nim stanowczo za dużo. W żadnym razie nie jest on supermanem, aczkolwiek jest bardzo energiczny i zdolny. Nawet gdyby był supermanem - byłoby bardzo niekorzystne, gdyby nasi żołnierze przyznawali mu nadnaturalną siłę. Oczekuję od was, abyście rozpraszali z pomocą wszelkich dostępnych środków wiarę, że Rommel jest kim więcej niż zwykłym niemieckim generałem. Ważną rzeczą jest, abyśmy nie mówili o Rommlu zawsze, gdy wspominamy o naszych wrogach w Libii. Musimy używać określeń „Niemcy”, „wojska osi”, a nie „Rommel”.

Proszę zapewnić natychmiastowe wykonanie tego rozkazu i uzmysłowić dowódcom, że z psychologicznego punktu widzenia jest to sprawa najwyższej wagi.

Głównodowodzący wojskami brytyjskimi doskonale wyczuwał nastroje wśród żołnierzy. W brytyjskich szeregach rosła legenda „Lisa pustyni”, którego czołgi pojawiały się nagle, precyzyjnie realizowały plan, a gdy wycofywały się, po bokach ich drogi stały straszliwe działa kal. 88 mm. Niskie, wietnie zamaskowane za piaszczystymi pagórkami lub w kępach suchych krzaków, były niezwykle trudne do zniszczenia, a ich pociski, wystrzelone z odległości dwóch

kilometrów, przechodziły przez panczerze brytyjskich i amerykańskich czołgów jak przez papier. Nagły odwrót niemieckich czołgów rodził u brytyjskich pancerniaków obawę, że jest to zasadzka, wiadomy manewr, który ma wciśgnąć brytyjskie czołgi pod lufy osiemdziesiątekósemek.

Rommel wygrywał, chociaż jego siły były słabsze niż brytyjskie. Gdy w listopadzie 1941 r. Brytyjczycy przystąpili do operacji „Crusader”, mieli dziewięćset dwadzieścia cztery czołgi (w tym 713 ubrojonych w armaty) i działa samobieżne. Niemcy i Włosi dysponowali pięćset pięćdziesięcioma czołgami, a w tej liczbie tylko sto trzydziestoma dziewięcioma gronami PzKpfw III i trzydziestoma pięcioma jeszcze groniejszymi PzK-pfw IV. Były one znacznie lepsze niż brytyjskie Crusader I i amerykańskie Granty, ale znacznie mniej liczne. Stałym problemem Rommla był brak paliwa, części zamiennych, amunicji. Hitler, zajęty wojną w Związku Radzieckim, nie dbał o należyte wyposażenie wojsk w Afryce Północnej. Co gorsza, statki, które wyruszały z zaopatrzeniem z portów włoskich, były dziesiątkowane na Morzuródziemnym przez brytyjskie okręty i samoloty bazujące na Malcie. Ta wyspa mogła wywrzeć ogromny wpływ na przebieg walk w Afryce Północnej. Brytyjczycy znali jej strategiczną wartość. W październiku przystąpili do rozbudowy sił na Malcie. Na wyspę miało dotrzeć równocześnie kilka konwojów. Już sam fakt wyjścia na Morzeródziemne dwóch konwojów - ze wschodu i zachodu - zmuszał Włochów i Niemców do rozproszenia sił, co zwiększało szansę dotarcia do portu La Valetta jak największej liczby alianckich statków z zaopatrzeniem. Ponadto na bazę włoskich okrętów w Tarencie miały spać brytyjskie bomby, a oddziały komandosów szykowały się do ataku na dziewięć lotnisk, aby uniemożliwić wrogowi wysłanie

samolotów.

Pułkownik Fellers został lojalnie poinformowany o wielkim planie, w którego wyniku Malta miała uzyskać dostawę broni do skuteczniejszej walki z włoskimi statkami. 11 czerwca, gdy z Aleksandrii wyszedł konwój kierujący się w stronę Malty. Fellers wysłał do Waszyngtonu depeszę nr 11 119;

W nocy z 12 na 13 czerwca brytyjskie jednostki sabotażowe równocześnie zaatakują samoloty na dziewięciu lotniskach „osi”. Planuje się użycie oddziałów spadochronowych i zmotoryzowanych patroli dalekiego zasięgu.

Ta metoda ataku daje możliwość dokonania sporych zniszczeń przy niewielkim ryzyku w zestawieniu z ewentualnymi korzyściami. RAF jest przygotowany do wsparcia akcji jednostek lądowych.

Dzisiaj Brytyjczycy przerzucają dużą liczbę żołnierzy z Syrii do Libii.

12 czerwca o 8.00 niemiecka stacja nasłuchowa w Lauf zarejestrowała tę depeszę i natychmiast przesała ją do wydziału dekryptau. O 10.00 depesza została rozszyfrowana. O 11.30, ponownie zaszyfrowana przy użyciu szyfru niemieckiego, została wysłana do kwatery głównej generała Rommla, który miał wystarczająco dużo czasu na ostrzeżenie zagrożonych lotnisk.

Gdy brytyjscy spadochroniarze wylądowali w nocy na pasach startowych

lotnisk w Afryce Północnej, powitał ich silny ogień. W Martubie i El Fetejak nie udało im się zbliżyć do samolotów. Na lotniskach K2 i K3 lekko uszkodzili osiem maszyn. Jedynie w Beninie (w Afryce Północnej) oraz Heraklionie i Castelli na

Krecie zniszczyli osiemnacie samolotów i spalili dwa hangary, gdyż dowódcy tych baz nie otrzymali ostrzeżeń lub zignorowali je.

Jednakże źródło bezcennych informacji generała Rommla wyszło równie szybko, jak się pojawiło. Niemcy i Włosi nie byli jedynymi, którzy odczytywali depesze Fellersa. Robili to również Brytyjczycy, którzy złamali lub wykradli Amerykanom „Czarny kod”. Bardzo nie podobały im się szczegółowe raporty Fellersa, w których w dodatku niepochwlebnie wyrażał się o odwadze brytyjskich żołnierzy i umiejętnościach ich dowódców. W końcu czerwca zawiadomili Waszyngton, że Niemcy uzyskują cenne informacje prawdopodobnie z biura pułkownika Fellersa. Oczywiście wiedzieli, że to nieprawda, ale miała to być zemsta za antypatię Fellersa wobec nich. Wkrótce do ambasady przyjechało dwóch specjalistów z Waszyngtonu. Dokładne ledztwo nie wykazało żadnych uchybień, ale na wszelki wypadek odwołano pułkownika Fellersa do Waszyngtonu, a nowy attache używał do przekazywania najważniejszych wiadomości szyfru M-138. „Czarny kod” pozostał w użyciu, ale utajniano nim jedynie te wiadomości, które Niemcy powinni byli poznać.

Ronne) w swoim samochodzie dowodzenia

W końcu maja 1942 r. dwaj generałowie - Rommel i Auchinleck - byli gotowi do następnego zwania. Obydwaj znali dość dobrze siły i zamierzenia strony przeciwnej.

Rommel wiedział, że jego wojska sš mniej liczne, ale lepsze od alianckich.

Miał pięćset szećdziesišt czołgów, bez mała połowę mniej niż alianci, ale

wiedział, że jego PzKpfw III (282 czołgi) z działami kał. 50 mm i PzKpfw IV (40 czołgów) uzbrojone w działa kał. 75 mm przewyższają brytyjskie Mańlda, Valentine i Crusader. Mógł jedynie obawiać się stu sześćdziesięciu siedmiu amerykańskich M3 Grant, ale i one miały liczne wady obniżające zdecydowanie wartość bojową sprzętu. Największe działo, kał. 75 mm, zamontowano nieruchomo w kadłubie i wycelowanie go wymagało manewrowania całym czołgiem. Wysoka sylwetka pojazdu (3,65 m) czyniła go doskonale widocznym i łatwym do zniszczenia. Brytyjczycy nie mieli dobrych armat przeciwpancernych. Ich artyleria dysponowała głównie działami dwufuntowymi (kał. 40 mm), zbyt słabymi, aby skutecznie zwalczać czołgi niemieckie z dużej odległości. Znacznie lepsze były działa szeciofuntowe (kał. 76,2 mm), ale w maju 1942 r. VIII armia miała ich tylko sto dwanaście. W powietrzu też sytuacja układała się na korzyść Niemców. Myśliwce Messerschmitt Bf 109F i G były lepsze niż brytyjskie Hurricane i amerykańskie Warhawk czy Kittyhawk, a niemieccy piloci - sprawniejsi od brytyjskich (kapitan Joachim Marseille zestrzelił sto pięćdziesiąt sześć samolotów angielskich, zanim zginął w wypadku nad El Alamejn 30 września 1942 r.).

Rommel mógł liczyć na sukces ofensywy, którą postanowił rozpocząć 26 maja o brzasku.

Początkowo walka toczyła się ze zmiennym szczęciem. Na prawym skrzydle Afrika Korps rozbił hinduską 3. brygadę zmotoryzowaną, ale w starciu z 7. dywizją pancerną stracił wiele czołgów. Na lewym skrzydle sytuacja Rommla była znacznie gorsza: alianci zatrzymali włoski XX korpus, a dywizje "Trieste" i "Ariete"

poniosły poważne straty. Rommel wycofał się i przegrupował siły. "Lis pustyni", nie mogąc rozbić wojsk alianckich we frontalnym ataku, postanowił wciśnąć je w zasadzkę, w której mógłby wykorzystać siłę ognia swoich strasznych armat kal. 88 mm. Na początku czerwca pod Sollum trzynacie armat zniszczyło sto dwadzieścia trzy z dwustu trzydziestu omini brytyjskich czołgów. Teraz Rommel chciał powtórzyć ten sukces. Ustawił doskonale zamaskowane działa w pobliżu lotniska El Adem. O swoim planie poinformował dowództwo w Berlinie. Nie mógł przewidzieć, że jego zamiary są znane dowódcom brytyjskim. W Bletchley Park w Anglii zespół kryptologów odczytywał większość depeš Rommla, wysyłanych do Berlina i Rzymu, a przechwyconych przez brytyjskie stacje nasłuchowe. Były szyfrowane w maszynie Enigma; dzięki polskim kryptologom Brytyjczycy nauczyli się szybko i sprawnie poznawać ich treć.

W Bletchley Park po rozszyfrowaniu depešy tłumaczono ją na angielski i utajniano treć przy użyciu szyfrów angielskich, a następnie przesyłano do kwatery generała Auchiniecka w Kairze. Konieczność zachowania jak najciszej tajemnicy nakazywała, aby jak najmniej oficerów wiedziało, z jakiego ródła pochodzą informacje o planowanych ruchach wojsk nieprzyjacielskich. W Kairze tylko trzech ludzi znali teksty niemieckich depeš: głównodowodzący, generał Auchiniek, dyrektor operacji wojskowych (Director of Military Operations) oraz szef wywiadu wojskowego (Director of Military Intelligence). pułkownik de Guingand. Przywilej ten nie obejmował dowódcy VIII armii, generała Neila Ritchiego. Jeżeli z depeš wynikała informacja istotna dla dowódcy VIII armii, był on powiadamiany listownie przez generała Auchiniecka (z zastrzeżeniem, by natychmiast po przeczytaniu list spalił) lub też docierał do niego pułkownik

Guingand, aby osobiście przekazać wiadomość bez podania jej źródła.

Tak też się stało w czerwcu 1942 r. Generał Auchinleck, dowiedziawszy się o planowanej przez Rommla zasadzce, wysłał natychmiast pułkownika de Guinganda z ostrzeżeniem dla generała Ritchiego. Szef wywiadu pełnił swoją misję skrupulatnie. Liczył na to, że generał Ritchie - który spędził wiele miesięcy w kwaterze głównej w Kairze jako zastępca szefa sztabu - zorientuje się bez zbędnych wyjaśnień, jakie jest źródło informacji.

Pomylił się. Ritchie uważał, że ostrzeżenie przywiezione przez szefa wywiadu Kairu pochodzi z jego własnych źródeł wywiadowczych lub z zeznań jeńców niemieckich czy włoskich, a on, dowódca VIII armii, nie mógł dopuścić myśli, że w Kairze wie o planach wroga lepiej niż on na polu bitwy. Jego wywiad nie meldował o żadnych poważniejszych ruchach wojsk niemieckich w rejonie El Adem. Dlatego też generał Ritchie nie uwierzył w ostrzeżenia i w sobotę 13 czerwca 1942 r. trzysta czołgów ruszyło w stronę El Adem. Pełną szybkością wjeżdżały w wietnie zamaskowane wilcze doły" i pola minowe. Te, które, usiłując uniknąć zagłady, raptownie hamowały i zakręcały, stały się celem niemieckich dział kal. 88 mm. Obsługa doskonale zamaskowanych i rozstawionych armat czekała, aż brytyjskie czołgi obrócą się bokiem, wystawiając na strzał miejsca, gdzie pancierz był cieńszy; strzelali celnie z odległości od stu do tysiąca metrów. W ciągu kilku godzin Brytyjczycy stracili dwadzieścia trzy czołgów. Pozostało im jedynie szybkie wycofanie resztki oddziałów pancernych do Egiptu. Rommel parł na wschód, przekonany, że wkrótce przyjmie defiladę swoich wojsk pod piramidami.

Przez całaś dobę w eterze rozbrzmiewały komunikaty, rozmowy, rozkazy.

Oczywiście, najważniejsze informacje były zaszyfrowane czy też utajnione za pomocą dość prymitywnych kodów, ale dowiadczony i uważny słuchacz nie miał większych kłopotów ze zrozumieniem tej wrzawy.

Kapitan Seebóhm był mistrzem nad mistrzami. Po sposobie nadawania rozróżniał jednostki, lokalizował je i orientował w ich ruchach. Radiowe rozmowy żandarmów kierujących przejazdami kolumn pojazdów pozwalały mu orientować się w planach dowództwa jednostek VIII armii, lokalizować składy żywności i amunicji, dowiadywać się o terminach transportów z zaopatrzeniem, ich liczbie i zawartoci. On i jego ludzie z Femmeldeaufklarung Kompanie wsłuchiwali się codziennie w radiowe głosy brytyjskiej armii, obsługując aparaturę nasłuchowš, zainstalowanš w kilku samochodach pancernych na wzgórzu nie opodal Tel-el-Eisa, nazwanym „Wzgórzem Jezusa”. 16 czerwca o 10.30 zarejestrowali rozmowę między dowództwem 29. brygady hinduskiej i 7. dywizji pancерnej, z której wynikało, że tej nocy garnizon fortu El Adem zaatakuje pozycje niemieckie. Rommel, poinformowany o brytyjskich planach, rzucił do akcji 90. dywizję lekkš, która zaatakowała zaskoczonš załogę El Adem i zajęła fort, będący ważnym ogniwem obrony Tobruku.

Na poczštku lipca 1942 r. wywiad VIII armii zlokalizował posterunek nasłuchowy kapitana Seebóhma. Rozkaz zlikwidowania go otrzymał 48. batalion australijski z 9. dywizji piechoty, dowodzony przez podpułkownika H.H. Hammera - hodowcę owiec z Australii - którego żołnierze nazywali Hard-as-nails

Hammer" - „młotek twardy jak skała". W nocy z 9 na 10 lipca batalion wyruszył na pozycje wyjciowe. Atak wydawał się trudnym zadaniem. Dookoła wzgórza rozciśgały się stanowiska włoskiego 7. pułku Bersalierów. Liczono się z tym, że stuosobowa kompania Seebóhma nie podda się bez walki. Podpułkownik Hammer nie chciał jednak, aby akcja została poprzedzona ostrzałem artyleryjskim. Ssdził, że w samochodach posterunku obserwacyjnego można będzie znaleźć ważne dokumenty, które mogłyby zostać zniszczone wybuchami pocisków.

O 3.40 ruszyli do ataku. Susami przemierzali pustynię, aby jak najszybciej dotrzeć do włoskich okopów, gdy nagle przelatujący nisko samolot zrzucił flarę, której jasne wiatło zalało okolicę. Żołnierze przywarli do ziemi w oczekiwaniu gwałtownej kanonady, ale z włoskich pozycji nie padł żaden strzał. Bersalierzy spali. Dopiero gdy pierwsi żołnierze australijscy wdarli się do okopów, rozbudzone straże rozpoczęły ogień. Walka trwała krótko, ale odgłosy strzałów zaalarmowały Niemców, którzy naprędcie zorganizowali obronę, chroniąc się za opancerzonymi samochodami.

Bitwa była niezwykle zacięta i krwawa. Żołnierze, którzy opróżnili magazynki pistoletów maszynowych lub nie zdšżyli zarepetować karabinów, rzucali się do ataku z łopatkami lub bagnietami, Niemcy odpowiadali ogniem z karabinów maszynowych, ustawionych na samochodach, ale nie mogli celnie razić Australijczyków atakujących z dołu i mało widocznych na tle piasku. Zamknięci w niewielkim kręgu, chronionym burtami samochodów pancernych, nie mieli szans na wycofanie się. Zaledwie kilku żołnierzy niemieckich ze stuosobowej

kompanii oddało się do niewoli. Pozostali zginęli lub odnieśli poważne rany. Seebóhm, pchnięty bagnetem w brzuch i klatkę piersiową, żył jeszcze, ale po kilkunastu godzinach, przetransportowany do szpitala w Kairze, zmarł, nie ujawniwszy żadnego ze swoich sekretów. W samochodach jego posterunku nasłuchowego było jednak wystarczająco dużo dokumentów, aby uzmysłwić Brytyjczykom, jak dużo Rommel wiedział o ich wojskach. Pułkownik Walter Scott, badający zdobyte meldunki i notatki, zwrócił uwagę na pojawiający się w dokumentach kryptonim „Kondor”, z którym dotychczas się nie spotkał.

Wszystko wskazywało na to, że posterunek Seebóhma był jedną ze stacji szpiegowskich używających do szyfrowania książki Daphne du Maurier Rebecca"; tylko tak można było wytłumaczyć obecność anglojęzycznej powieci w samochodzie Seebóhma. Nic więcej pułkownik Scott nie mógł stwierdzić. Przejrzał zaledwie kilkadziesiąt dokumentów z tysięcy kartek zalegających duże, drewniane skrzynie, ale intuicja łowcy szpiegów podpowiadała mu, że „Kondor” to bardzo ważny trop. Nie mylił się...

Żołnierze angielscy w walce na pustyni

- Stój! - patrol brytyjski niespodziewanie wynurzył się z ciemnego zaułka. Eppler obejrzał się nerwowo, ale długa, wąska uliczka nie stwarzała szans ucieczki przed czterema żołnierzami, mierzścymi z karabinów. Pozostawało tylko wierzyć, że Brytyjczycy nie dopatrzą się niczego podejrzanego w sfałszowanych dokumentach.

- O, przestraszył nas pan, kapralu - usiłował rozładować napięcie towarzysząc

Epplera, Peter Monkaster. - Nie sądziłem, że w takiej dziurze jak Assyut może być wojsko...

- Dokumenty! - kapral nie miał ochoty na rozmowę. - Dokąd zmierzacie?

- Do Kairu, podpisaliśmy kontrakt z koncernem BP - popieszczył wyjął Eppler, którego belgijski dowód, na nazwisko Richard Tihon. kapral uważnie przeglądał.

- Pojutrze zaczynamy pracę - dodał Monkaster. Jego dokumenty wskazywały, że jest Francuzem.

Kapral nie znalazł w nich nic podejrzanego. Oddał papiery, zsalutował i zaczął oddalać się z żołnierzami wąskich uliczek.

- O co chodziło? - zapytał Eppler, gdy przemierzyli już dobry kawał drogi.

- Nie sądzę, żeby za tym się coś kryło. Po prostu rutynowa kontrola - uspokoił go Monkaster.

Od trzech tygodni podróżowali przez pustynię. Wyruszyli z oazy Gialo 11 maja 1942 r. Początkowo jechali, w mundurach żołnierzy brytyjskich, terenowym samochodem, eskortowani przez podobnie umundurowanych żołnierzy Afriki Korps. Ich przewodnikiem był węgierski ksiądz Ladislaus de Almaszy, który od wielu lat poszukiwał na pustyni legendarnej oazy Zerazura. Znał doskonale drogi do Kairu i on to doprowadził ich do Assyut. Tam eskorta zawróciła. Monkaster i Eppler założyli cywilne ubrania i skierowali się na dworzec, skąd pociągami

mieli dotrzeć do Kairu. Rozpocząła się ich wielka misja.

Johan Eppler urodził się w 1914 r. w Aleksandrii. Jego rodzice byli Niemcami i dlatego on również czuł się Niemcem, chociaż po śmierci jego ojca matka wyszła ponownie za mąż za bogatego prawnika egipskiego i przeszła na mahometanizm, skłaniając do tego i syna. Tuż przed wybuchem wojny młody Eppler poznał w Bejrucie prostytutkę Su Yan, która namówiła go do współpracy z Abwehr. Służbę dla niemieckiego wywiadu uznał za obowiązek wobec ojczyzny rodziców. Wyjechał do Berlina, gdzie przeszedł staranne przeszkolenie w ośrodku Abwehry. Tam nadano mu pseudonim "Kondor". W kwietniu 1942 r. przyłynął do Trypolisu, mając w bagażach dwie amerykańskie radiostacje Hallicrafter, 50 tysięcy fałszywych funtów szterlingów w banknotach pięcio- i jednofuntowych oraz książkę "Rebecca".

W Trypolisie poznał Petera Monkastera - wysokiego blondyna, który od kilkunastu lat pracował w wieżach wiertniczych różnych kompanii naftowych w Libii. Eppler nie pytał go, w jaki sposób nawiązał współpracę z Abwehr, ale szybko się zorientował, że Monkaster nie przeszedł szkolenia w Berlinie. Musiał go nauczyć posługiwania się szyfrem "Rebecca". Praca nad utajnieniem tekstu rozpoczynała się od dodawania do przyznanego agentowi numeru osobistego, np. 46, numeru miesiąca i dnia miesiąca. I tak, wysyłając szyfrogram 4 czerwca, musieli do 46 dodać 4 (dzień) i 6 (czerwiec) otrzymując w ten sposób sumę 56. Ta liczba wskazywała stronicę książki, która była kluczem do szyfru. Eppler zaczynał szyfrować, wybierając pierwsze litery z pierwszej linii tekstu ze strony 56. Brzmiały one: "He would like..." Teraz literom tym musiał przyporządkować

cyfry od 1 do 9:

Hę would like

12 34567 89

Szyfrogram rozpoczynał się więc od słów:

O Y L X Z HUPOU WLDBF HELRR

4 6 15 45367 128

co oznaczało: 4 (dzień miesiąca) 6 (czerwca) 15:45 (godzina nadania szyfrogramu) 367 (numer agenta) 128 (słów w depeszy). Pozostałe litery oznaczały zera i były dobierane z liter nie występujących w pierwszych słowach pierwszej linii wybranej stronicy. Po tym rozpoczynał się właściwy tekst depeszy, składający się ze 128 słów. „Kondor” szyfrował je, używając tabeli tworzonej z pierwszych liter 21 wierszy ze stronicy 56, z pominięciem akapitów. Każdą tak wybraną literę zastępował odpowiednią cyfrą z tabeli.

Pierwszy szyfrogram nadał 4 czerwca, gdy bezpiecznie dotarli do Kairu i zamieszkali na przedmieciu. Eppler zaczął natychmiast poszukiwać starych znajomych. Według zasad przyswojonych w czasie szkolenia w Niemczech, rozglądał się za ludmi zajmującymi ważne stanowiska w armii lub władzach administracyjnych, wrogo nastawionymi do Brytyjczyków oraz takimi, którzy z racji zawodu stykali się z Brytyjczykami. Wszystkie te warunki spełniała tancerka Hekmeth Fahmy, którą Eppler poznał przed wojną w kabarecie „Kit Kat” i którą każdego wieczoru obdarowywał złotymi błyskotkami lub gotówką. Był przekonany, że Hekmeth pamięta go doskonale. Nie pomylił się. Gdy po

zakończonym tańcu zbierała pieniądze za występ, zbliżyła się do niego i szepnęła:

- Miło cię znowu widzieć. Dzisiaj nie mogę się z tobą spotkać, ale przyjd jutro tam, gdzie dawniej.

Wsunął jej za stanik kilka pięciofuntowych banknotów, co było królewskim wynagrodzeniem. Uznał, że zapowiedź wznowienia kontaktów z piękną Fahmy jest dobrym poczętkiem misji w Kairze. Nie zamierzał jednak czekać do następnego dnia. Zastanawiało go, dlaczego nie miała czasu tego wieczoru. Po wyjściu z kabaretu wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do Zamalek, gdzie na Nilu cumowała mieszkalna łód Hekmeth.

Nie czekał długo. Wkrótce na nabrzeżu zatrzymał się samochód z brytyjską rejestracją wojskową. Kierowca przez kilka minut niezbyt wprawnie manewrował, by ustawić wóz przy krawężniku. Wreszcie wysiadł i w wietle ulicznych latarni Eppler dostrzegł wysokiego mężczyznę w płaszczu. Bez wątplenia był to oficer, co zdradzały wysokie, błyszczące buty i bryczesy. Mężczyzna szybko wszedł na łód i otworzył drzwi do kabiny kluczem, który wyjął z kieszeni płaszcza. Po kilkunastu minutach przyjechała Hekmeth. Eppler nie czekał dłużej.

Wiedział, że jutrzejsze spotkanie z tancerką będzie bardzo ważne. Nie pomylił się. Hekmeth zaczęła wspominać dawne lata, zapewniając Epplera, że pozostał jej płomienną miłością. Przerwał jej:

- Kim był oficer, który przyjechał do ciebie wczoraj wieczorem?

- Jeste zazdrosny?

- Nie, po prostu ostrożny - Eppler podniósł się z łóżka i podszedł do marynarki rzuconej na krzesło. Wydobył z niej rewolwer. - Poza tym bardzo interesujś mnie brytyjscy oficerowie...

Odwiódł kurek i zbliżył lufę rewolweru do twarzy Hekmeth.

- Wiesz, co zrobiś ze mnś Anglicy, gdy powiesz im, że jestem niemieckim agentem? - Nie czekał na odpowiedź. - Oni sś dżentelmenami tylko w powieciach Agaty Christie i to tylko dlatego, że staruszka zapomniała wspomnieć, jak ci emerytowani pułkownicy patroszyli Hindusów w czasie służby w kolonii...

- Przestań! - Hekmeth poderwała się z łóżka i odrzciła rewolwer. - Nie musisz mnie straszyć. Nienawidzę Anglików tak samo jak ty!

- Kim jest więc major, który tu był wczoraj?

- Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Służy w Sztabie Generalnym. Wiem, że podczas ofensywy angielskiej w listopadzie był razem z generałem Auchiniec-kiem. Mogę ci powiedzieć więcej! Jego teczka zawiera czasami bardzo ciekawe dokumenty.

- Skśd wiesz? - Eppler opucił rewolwer. Nagle zrozumiał, że to wymachiwanie broniś przed nosem nagiej dziewczyny było w stylu kapitana Bohma, który uczył szpiegów cichego zabijania i godzinami rozprawiał o swoich dowiad-zeniach.

- Walkę z Anglikami zaczęłam znacznie wcześniej niż ty - powiedziała dumnie Hekmeth i uznała, że nagość nie przystoi tym słowom, więc szybko okryła się przecieradłem. - To, co wyczytałam z dokumentów mojego majora, przekazywałam ludziom z organizacji Wolnych Oficerów.

- Teczka nie była zamknięta?

- Była, na małą kłódkę, ale dorobiłam kluczyk.

- Zależy mi na kontakcie z ludmi, którym przekazywała informacje - powiedział Eppler spostrzegając, że ciśgle jeszcze trzyma odbezpieczony rewolwer. Odłożył go na podłogę uznając, że dalsza rozmowa nie ma sensu. W czasie tego spotkania wydobył z Hekmeth więcej, niż się spodziewał. Nad ranem wskazała mu łód zacumowaną kilkadziesiąt metrów dalej, którą mógł wynająć i urządzić tam sobie wygodną siedzibę. Zaproponowała również, że zaprowadzi

Zdjęcie górne: lotnictwo brytyjskie bombarduje oddziały- niemiecko-włoskie, 1942

Zdjęcie dolne: odprawa załóg czołgów brytyjskich

go do protestanckiego księdza, Austriaka, u którego będzie mógł ukryć radiostację i najważniejsze papiery.

Trzy dni po tym spotkaniu Hekmeth powiadomiła go, że ma się udać do dentysty, u którego spotka postawnego, szpakowatego Egipcjanina. W niewielkiej, brudnej poczekalni, gdzie jedynymi sprzętami było kilka stołków i leniwie kręcący się u sufitu wentylator, siedział samotnie mężczyzna czytający jakąś angielską gazetę. Eppler usiadł obok niego:

- Nazywam się Richard Tihon - powiedział cicho. - Jak się domyłam,

Hekmeth powiedziała panu, że będę tutaj...

Patrzył badawczo na starszego mężczyznę. Według informacji, które przekazała Hekmeth, był to szef sztabu armii egipskiej, który, ze względu na otwartą wrogość wobec Anglików, został zwolniony ze stanowiska.

- Tak. Jestem generał Aziz-el-Masri - mężczyzna odłożył gazetę i wyciągnął rękę. - Tutaj nie musimy się obawiać podsłuchu. Hekmeth powiedziała mi wszystko o panu, a ja postarałem się sprawdzić jej informacje. Wszystko się zgadza. Co pan oferuje?

- Zapewne słyszał pan o sukcesach wojsk generała Rommla? W niedługim czasie nasze dywizje wjadą do Aleksandrii i Kairu. Pomoc Egipcjan, którzy gotowi są zrzucić angielską niewolę, zostałaaby w pełni doceniona przez generała Rommla, a zapewne również fiihrera. Mogę ustanowić kontakty między panem i generałem Rommlem. Nie jestem upoważniony do zaciągania zobowiązań.

- To niepotrzebne. Nie oczekuję zobowiązań, gdyż historia dowodzi, że wy, Niemcy, nie zwyklicie ich dotrzymywać. To nam jest potrzebna wasza pomoc. Dlatego zostawmy tę sprawę i zastanówmy się nad wspólnym działaniem przeciw wspólnemu wrogowi...

- Uderzenie wojsk Rommla na Egipt powinno być wsparte ogólnonarodowym powstaniem Egipcjan - Eppler wyrecytował jedną z instrukcji, którą przekazano mu w sztabie Rommla przed rozpoczęciem misji. - Naszym zadaniem byłoby jak

najdalej idšca pomoc dla tych działań...

- Nie potrzebujemy broni ani zachęty. Natomiast skoordynowanie działań mogłoby pomóc naszej sprawie - rzekł generał. - Te problemy będziemy omawiać wkrótce. Spotka pan bardzo ważnego człowieka. A teraz odstšpię panu kolejkę do doktora i niech pan się nie obawia, to bardzo dobry dentysta... - dodał generał widząc, że Eppler szykuje się do wyjścia.

Po kilku dniach Eppler trafił do szejka Hassana-el-Banna, przywódcy Bractwa Muzułmańskiego, fanatycznie oddanego religii i cieszącego się ogromnym autorytetem wśród współwyznawców. Każdego ranka obchodził okoliczne domy, wzywając ludzi do modlitwy, pisał patriotyczne poematy i przeladował kobiety nie zakrywające twarzy. Tworzył plany więtej wojny. Poparcie ze strony szejka oznaczało bardzo wiele - poparcie setek tysięcy fundamentalistów muzułmańskich, gotowych na skinienie przywódcy skoczyć do gardła Brytyjczykom.

Każdego dnia o północy Eppler siadał do radiostacji. Dwie stacje nasłuchowe - Seebóhma i w Atenach - odbierały jego szyfrogramy, w których informował centrale o swoich sukcesach: spotkaniu z szejkiem Hassanem-el-Banna i omówieniu planów powstania po wkroczeniu wojsk niemieckich do Egiptu, o kontaktach z przedstawicielem wojskowej organizacji Wolnych Oficerów, Anwarem Sadatem. Te rozmowy Eppler relacjonował szczegółowo, gdyż Sadat, pochłonięty wizją niemieckiego zwycięstwa, poszukiwał w Kairze odpowiedniej kwatery dla generała Rommla i znalazł ją na ulicy Pyramid w pobliżu hotelu Mena House.

Monkaster rzadko towarzyszył Epplerowi - pozostawał w odwodzie na

wypadek aresztowania tamtego lub zdrady. Tylko wieczorami wyruszał z Epplerem, aby złożyć wizytę Hekmeth, gdy była ona zajęta majorem. Drzwi do kabiny sypialnej były dokładnie zamknięte, a major zostawiał teczkę i ubranie w niewielkiej kajucie, której bulaj był zawsze otwarty. Monkaster i Eppler nie musieli nawet wchodzić do rodka. Wystarczyło wsunąć w bulaj rękę i wyciągnąć teczkę zamkniętą na kłódkę; otwierali ją kluczem dostarczonym przez Hekmeth i starannie fotografowali wszystkie dokumenty. Znajdowali w nich wiele cennych informacji o rozmieszczeniu wojsk brytyjskich, transportach z amunicją i nowymi czołgami, zamiarach dowództwa i tak dalej.

Eppler znał wartość tych dokumentów. Czuł smak sukcesu. W krótkich seansach łączności radiowej nie otrzymał podziękowań ani obietnic zaszczytów po wkroczeniu Rommla do Kairu, ale w marzeniach widział moment, gdy staje przed Rommlem, a ten dekoruje go najwyższymi odznaczeniami. A może nawet sam Hitler, który na pewno przyjedzie do Afryki, aby uwiecznić wielkie zwycięstwo Rommla i ... Epplera. Czuł się coraz ważniejszy i coraz bezpieczniejszy.

W połowie czerwca spotkał się z Anwarem Sadatem. Ten powiedział:

- Znam ostatnie doniesienia z frontu. Anglicy zostali zniszczeni i wycofaj się w popiechu. Zbliża się czas naszego uderzenia.

Sadat i Eppler nie wiedzieli, że przygotowania do większej wojny nie uszły uwagi Anglików. Kontrwywiad wzmocnił czujność.

Tego wieczoru Eppler postanowił zajrzeć do klubu Turf', gdzie często przesiadywali brytyjscy oficerowie. Kilku znał już z widzenia i chętnie przy-

słuchiwał się ich rozmowom. Z urywanych zdań, zwierzeń, plotek można było czasami zbudować ważną informację o nastrojach w brytyjskiej armii, zmianach personalnych, atmosferze w dowództwie. Zamówił szklankę whisky i siedział przez kilkanaście minut przy barze. W klubie tego wieczoru było pusto i doszedł do wniosku, że dalsze przebywanie tu jest stratą czasu. Wyciągnął pięćfuntowy banknot i wręczył barmanowi.

- Przepraszam, sir, czy nie ma pan egipskich funtów? - barman był wyraźnie niezadowolony, że klient płaci walutą brytyjską.

- Dlaczego ci się nie podobają brytyjskie pieniądze? Są złe?

- Nie o to chodzi, sir, wszystko w porządku - barman oddalił się szybko i po chwili przyniósł na tacy resztę.

Eppler odliczył napiwek i wyszedł z baru, zapominając szybko o proteście barmana, któremu nie chciało się wymieniać funtów brytyjskich na egipskie. Skierował się do klubu w hotelu „Metropolitan”, gdzie można było spotkać korespondentów wojennych. Rozmowy z nimi Eppler uważał za równie interesujące jak z brytyjskimi oficerami. Tym razem jednak nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję, kto wygra tę wojnę. Podczas poprzedniego pobytu zauważył nową kelnerkę, Yvette. Przyglądał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że pójdzie z nią do łóżka jest tylko sprawą ceny. Nie mylił się. Nad ranem wyciągnął portfel z kieszeni koszuli leżącej na krześle i zapłacił 20 funtów. Nie zwrócił uwagi, że dziewczyna bacznie przygląda się zwiłkowi banknotów w jego portfelu. Popęłnił drugi błąd...

Tego samego ranka Yvette zameldowała się u swojego przełożonego, szefa żydowskiej agencji wywiadowczej, blisko współpracującej z brytyjskim kontrwywiadem MI-5.

- Jestem przekonana, że jest niemieckim szpiegiem - relacjonowała spotkanie z Epplerem.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Odnoszę wrażenie, że mówi z obcym akcentem. Jest bardzo bogaty.

Widziałam w jego kieszeni portfel wypchany banknotami - dziewczyna zataiła fakt, że Eppler zapłacił jej za noc z nim spędzoną.

- Musisz mu się baczniej przyjrzeć. To, że ma dużo pieniędzy, nie oznacza jeszcze, że jest szpiegiem - szef, którego nazywano „Toik”, zdawał sobie sprawę, że nie należy lekceważyć żadnego sygnału. Yvette nie miała dużego dowiadczania, ale jej dotychczasowe działania wskazywały, że jest bardzo bystra i ma intuicję. - Jeżeli twoje podejrzenia potwierdzi się, telefonuj natychmiast pod ten numer - napisał na kartce kilka cyfr. Gdy wyszła, rozważał jeszcze przez chwilę jej słowa i sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Chciałbym rozmawiać z majorem - nie podał nazwiska, ale sekretarka szefa kontrwywiadu, majora Anthony'ego Sansoma, wiedziała, że nie należy zadawać zbędnych pytań ludziom, których głos słyszała w słuchawce telefonu stojącego w pewnym oddaleniu od innych aparatów. Numer tego telefonu znali tylko dobrzy znajomi szefa.

Telefonuję do pana. majorze, w sprawie, która może być ważna. „Toik” nie znośił wymieniać swojego nazwiska. Podwładni twierdzili, że ma ich tyle, iż nie pamięta, komu którym się przedstawiał. W rozmowach z Sansomem było to niepotrzebne, gdyż ten poznawał go doskonale po głosie.

- Gdzie się spotkamy?

- Jak zwykle - Toik” odłożył słuchawkę. Nie lubił rozmawiać długo, gdyż rodziło się niebezpieczeństwo ustalenia, z jakiego numeru telefonuje.

Widywali się rzadko i bardzo dbali, aby nie spotykać się w tym samym miejscu. Pod koniec każdego spotkania ustalali, gdzie zobacz się ponownie.

Tym razem była to niewielka smażalnia ryb nad brzegiem Nilu.

Toik” zapoznał majora z podejrzeniami Yvette. Sansom słuchał uważnie, przekonany coraz bardziej, że mężczyzna z portfelem wypchanym banknotami może być szpiegiem, którego poszukiwał. Kilka dni wcześniej przywieziono do Kairu dwóch jeńców, wziętych podczas szturm na posterunek nasłuchowy kapitana Seebóhma. Nadano im nazwiska ..Aberle” i Weber” - to dla tajności całej akcji - i przystąpiono do przesłuchań. Trzymali się dzielnie i nie pisnęli ani słowa o przeznaczeniu angielskiej księżki, znalezionej w samochodzie dowódcy Femmeldeaufklarung Kompanie.

Dokładne oględziny księżki ujawniły, że na okładce wymazano gumką cenę

- 50 eskudos. Księżkę kupiono więc w Portugalii, a tam nie było dużo księgarń sprzedających angielskie wydawnictwa. Można było przypuszczać, że uda się

ustalić, gdzie jś kupiono, a może nawet - kto jś kupił. Wkrótce ludzie z MI-6 w Lizbonie powiadomili Kair. że znaleli księgarnię, w której 3 kwietnia 1942 r. asystent attache wojskowego ambasady niemieckiej zakupił sześć ksiższek. Podejrzenia, że ..Rebecca" była kluczem do szyfru, potwierdzały się.

- To, oczywiście, niewielkie poszlaki - „Toik" kończył opowieć o Epplerze - lecz pomyślałem, majorze, że pana to zainteresuje.

- Tak, jak najbardziej - skwapliwie przytaknął Sansom, po chwili zreflektował się. - Pracujemy nad czym podobnym. Pana uwaga może być nam pomocna.

Poinformuje mnie pan o nowych rewelacjach tej dziewczyny? No, jak jej na..

- Oczywiście, poinformuję pana - Toik" przerwał doć naiwną próbę poznania imienia dziewczyny.

Tego samego dnia na nabrzeżu, przy którym cumowała łódka Epplera i Monkastera, pojawił się nowy żebrak. Każdego dnia przychodziło tam wielu nędzarzy przeszukujących kosze z odpadkami wyrzucanymi z łodzi, siedzących w kucki w cieniu muru magazynu lub wylotu wąskich uliczek, gdzie piekące słońce nie zaglądało nigdy. Nowy żebrak usadowił się w miejscu, z którego było doskonale widać łodzie Epplera i Hekmeth. Dokładnie notował w pamięci każdy ruch obserwowanych. Nie uszło jego uwagi, że wieczorami podjeżdżał na nabrzeże Zamalek samochód, z którego wysiadał brytyjski oficer...

Major Sansom już następnego dnia po rozmowie z „Toikiem" otrzymał nowe

materiały. Zgłosił się do niego intendent i wyjął z teczki kilkadziesiąt banknotów pięćfuntowych.

- Ss fałszywe - powiedział, rozkładając je równo na stole. - Zostały podrobione bardzo dobrze i dlatego należy podejrzewać, że pochodzą z państwowej wytwórni w Niemczech...

Major wziął jeden z banknotów do ręki.

- Skąd je pan ma? - przyglądał się uważnie, ale nie mógł dostrzec ladów fałszerstwa.

- Ten, który pan trzyma... - intendent zawiesił głos, przyjrzał się numerowi banknotu i sprawdził w swoich notatkach - został wypłacony barmanowi w Turf Ciub" dwa dni temu przez brytyjskiego kapitana. Barman nie zna go bliżej.

- Wie pan, skąd pochodzą inne banknoty?

- Tak, 300 funtów przyniósł do mojego biura grecki kupiec. Otrzymał je od człowieka mieszkającego na łodzi...

- W Zamalek - przerwał mu Sansom.

- Zgadza się. Dwaj mężczyźni zapłacili za dużą ilość jedzenia i picia. Wygląda na to, że przygotowywali przyjęcie...

- Dziękuję panu - Sansom wstał. - To wszystko jest bardzo ważne.

Po wyjściu intendenta major nakazał, aby cały rejon, w którym mieszkali

Eppler i Monkaster, został otoczony przez żandarmerię.

- Odpowiada pan za to, żeby ci ludzie nie zniknęli w gorścym powietrzu pustyni, poruczniku - zakończył rozkaz.

Tego samego ranka Yvette weszła na pokład łodzi Epplera. Zapukała do drzwi kabiny, ale nikt nie odpowiedział. Weszła do rodka. Na korytarzu walały się puste butelki po alkoholu, wszędzie widać było ludy nocnej libacji. Eppler spał w swojej kabinie i próby obudzenia go nie powiodły się. Yvette usiadła przy niewielkim biurku, zastanawiając się, czy zaczekać na przebudzenie Epplera. Doszła jednak do wniosku, że będzie trwało to za długo i postanowiła zostawić mu parę słów. Rozejrzała się po biurku w poszukiwaniu papieru i ołówka. Jej wzrok padł na książkę "Rebecca" i wystającą spomiędzy stronic kartkę. Widać było starannie zapisane długie kolumny cyfr. Yvette nie miała wątpliwoci, że jest to szyfr. Zaczęła kartkować książkę, zwracając uwagę, że niektóre stronice są przybrudzone. Wynotowała dokładnie ich numery i spisała cyfry z kartki, którą następnie schowała z powrotem między stronice książki. Odłożyła ją na miejsce i upewniwszy się, że Eppler się, wymknęła się z łodzi. Przebiegła kilkanacie kroków i skręciła w uliczkę, gdzie powinny stać riksze.

- Nie tak szybko, panienko! - usłyszała za sobą. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła żebraka. Schwycił ją mocno za rękę.

- Policja, pójdiesz ze mną - wepchnął ją do rikszy. - Jed na komisariat - powiedział kierowcy.

Major Sansom nie wiedział o aresztowaniu Yvette. Na 10 sierpnia zaplanował

wielkš obławę, w wyniku której w jego sieci mieli wpać niemieccy agenci.

Dzielnica Zamalek została otoczona wojskiem i obława powoli zbliżała się do łodzi Epplera. Ten obudził się, gdy usłyszał tupot butów na pokładzie. Miał na tyle przytomności, że dopadł drzwi i podparł je dużš, ciężkš sztabš przygotowanš wczniej na podobnš okazję.

- Wyrzuć radiostację i szyfry - krzyknš do Monkastera, który oszołomiony stał w korytarzu.

Drzwi zaczęły pękać pod ciosami kolb. Eppler schwycił dużš, mosiężnš popielnicę, uchylił bulaj i wyrzucił jš na pokład. Łomot do drzwi gwałtownie ustał, a żołnierze brytyjscy, przekonani, że na pokładzie jest granat, czmychnęli na nabrzeże i do wody. Dało to szpiegom kilka bezcennych minut. Monkaster wyrzucił przez zawór denny radiostację, a Eppler w tym czasie podpalił ksišżkę. Kartki zaczęły czernieć i zwijać się w płomieniach, gdy żołnierze rozpoczęli ponowny szturm do drzwi. Eppler, obawiajšc się, że płomienie nie zniszczš całkiem ksišżki, wyrzucił jš w ład za radiostacjš. Patrzył, jak tonie powoli, a żołnierze już sforsowali drzwi i wdarli się do korytarza.

- Zabijcie mnie! No, strzelajcie! - krzyczał. - Nie zastrzelicie mnie. Musicie wzišć żywego...

Przerwał mu silny cios kolbš w kręgosłup i nieprzytomny Eppler osunšł się na ziemię.

Major Sansom nie tortuował osobicie Epplera. Zadawanie bólu przesłuchi-

wanym traktował jako przykry obowišzek i zlecał go podwładnym. Mijały jednak dni, a z Niemców nie udawało się wydobyć ani słowa. Trzeciego dnia zaaplikowano im skopolaminę. Bez rezultatu. Pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Z dna Nilu podniesiono łód Epplera i przy tej okazji wygrzebano z mułu radiostację. Nie nadawała się do użytku, ale można było odczytać częstotliwość, na które nadawano szyfrogramy. Dokładniejsze poszukiwania umożliwiły odnalezienie Rebecki". Ogień zniszczył wiele kartek, ale nie było to ważne, gdyż Brytyjczycy mieli nie naruszony egzemplarz, znaleziony w samochodzie kapitana Seebóhma. Pónym wieczorem zadzwonił „Toik”:

- Panie majorze, to sprawa nie cierpišca zwłoki - mówił popiesznie.

- Koniecznie o tej porze? - Sansom był zmęczony po całym dniu pracy i nie miał ochoty na spotkanie.

- Niedokładnie się wyraziłem. Powinienem powiedzieć: na pana miejscu nie zwlekałbym ani sekundy...

Gdy się spotkali, Toik" wyjanił, że jego agentka zaginęła kilka dni temu. Był przekonany, że popełniła jakiś bład i ludzie, których ledziła, zlikwidowali ją. Skoro jednak zwłoki nie znalazły się przez dwa dni, zaczął rutynowo dowiadywać się w komisariatach, czy nie wiezdź nic na jej temat. W ten sposób trafił na łód. Został poinformowany, że aresztowano ją pod zarzutem kradzieży na łodzi Epplera.

Sprawdził datę - było to tuż przed angielskš obławš.

Sansom natychmiast nakazał zwolnić dziewczynę z więzienia.

W jej torebce zachował się zwitek papieru, na którym zanotowała strony książki i kolumny cyfr gotowego szyfrogramu. Zeznania Epplera nie były już potrzebne. Kryptolodzy w ciągu kilku dni odtworzyli zasady szyfrowania przez Kondora" depesz. 25 sierpnia Kondor" wznowił nadawanie. Kto siedział przy radiostacji? Eppler, Monkaster czy może Brytyjczyk? Ostatnia możliwość jest najmniej prawdopodobna. Bez współpracy któregoś z Niemców nadawanie depesz byłoby niemożliwe, każdy ze szpiegów miał bowiem znaki, które wprowadzał do tekstu depeszy, aby ostrzec odbiorców, że został zdekonspirowany i zmuszony do nadawania. Brak w tekście pewnych sygnałów oznaczało z kolei, że jest ona nadawana przez nie wtajemniczoną osobę. Ponadto Brytyjczycy musieli liczyć się z niebezpieczeństwem, że odbiorcy depesz znali doskonale styl meldunków i szyfrów ..Kondora". Nagła zmiana byłaby sygnałem dla Niemców, że ich agent został aresztowany, a nadawanie przejęli nieprzyjaciele.

Eppler stanął przed sądem, który wydał na niego wyrok śmierci. Był to sfingowany sąd i wyrok. Brytyjczycy mieli nadzieję, że niemiecki szpieg ..skruszeje" w celi śmierci i zgodzi się wyjawić tajemnice. Mijały dni, a Eppler nie zdradzał ochoty do mówienia. Nie wiadomo, jak o jego sprawie dowiedział się przebywający w Kairze premier Winston Churchill. Podobno zdecydował się osobiście przesłuchać Niemca. W czasie rozmowy zapewnił Epplera, że nie zostanie stracony, jeżeli zgodzi się podjąć współpracę z wywiadem brytyjskim. Męczony przez wiele dni. skazany na śmierć, Eppler załamał się. słysząc obietnicę szefa brytyjskiego rządu. Zgodził się na współpracę. I to prawdopodobnie on w dalszym ciągu wysyłał w eter szyfrogramy z podpisem Kondor". Ich

treć dyktowali Brytyjczycy...

Pobojowisko na pustyni

Premier Winston Churchill, rozsierdzony porażkami wojsk brytyjskich, uznał, że przyczyna klęsk tkwi w nieudolnym dowodzeniu. Przybył do Kairu, aby bezpośrednio zapoznać się z sytuacją na froncie, ale już wcześniej podjął decyzję o oddaniu dowodzenia w wojnie na pustyni generałowi Haroldowi Alexandrowi, który wyróżnił się sprawną organizacją ewakuacji wojsk brytyjskich spod Dunkierki, a potem dobrze zorganizował odwrót w Birmie. Kilka dni po mianowaniu nowego głównodowodzącego otrzymał pisemną instrukcję od Churchilla:

7. Pana pierwszym i głównym obowiązkiem będzie zatrzymanie i zniszczenie przy najbliższej okazji niemiecko-włoskiej armii, dowodzonej przez marszałka polnego Rommla oraz linii zaopatrzeniowych i baz w Libii.

2. Odłoży Pan wszystkie inne obowiązki, łącząc się z Pana stanowiskiem, jako drugorzędne wobec zadania przedstawionego w pkt. 1, które musi być uznane za najważniejsze w interesie Jego Królewskiej Moci.

Na drugiej stronie pustyni Rommel, awansowany przez Hitlera do stopnia feldmarszałka, z niepokojem obserwował stały wzrost potęgi aliantów. Wiedział, że musi jak najszybciej uderzyć, aby uniemożliwić rozbudowę alianckich pozycji w rejonie El Alamejn. Rozpoznanie i wywiad poinformowały, że brytyjskie pozycje są najsłabsze na południe od El Alamejn. Należało tam uderzyć, przebić się przez linie obronne i ruszyć w stronę Aleksandrii, aby opanować tę główną

brytyjską bazę zaopatrzeniową. Powodzenie planu zależało od zaskoczenia, które można było osiągnąć, ukrywając przed Brytyjczykami wszelkie ruchy wojsk, grupowanych na pozycjach wyjściowych do ataku. Dlatego też Rommel przesuwał swoje oddziały w nocy, pozostawiając na miejscach, z których wyruszyły, tekturowe makiety czołgów i dział, namioty, stosy beczek i kilkudziesięciu żołnierzy, którzy mieli udawać, że jest ich kilkanaście tysięcy. Cała akcja przebiegała bardzo sprawnie. Brytyjskie samoloty rozpoznawcze nie widziały kolumn czołgów i ciężarówek posuwających się nocami na południe, a w dzień fotografowały „niemieckie wojska” tkwiące ciśnie na północy.

Rommel potrzebował jednak więcej amunicji i paliwa, niż dotychczas zdołały dostarczyć włoskie konwoje. Wysłał depesze do Berlina i Rzymu, żądając dodatkowo zaopatrzenia, niezbędnego dla oddziałów, które miały przełamać brytyjskie linie obronne w rejonie Alam Halfa i podjąć natarcie w stronę Aleksandrii. Kilka godzin po wysłaniu szyfrogramów z kwatery głównej Rommela zostały one rozszyfrowane przez angielskich kryptologów w Bletchley Park i przesłane do generała Alexandra, który usytuował swoją kwaterę główną w pobliżu piramidy Cheopsa.

Tam, 21 sierpnia, odbyła się narada z udziałem premiera Winstona Churchilla. Wcześniej nowy dowódca VIII armii, generał Bernard Law Montgomery, zaprowadził premiera na skraj brytyjskich linii obronnych, aby pokazać czterysta dział wkopanych w piach i wietnie zamaskowanych. One to miały powstrzymać czołgi Rommela. Churchill nie był jednak przekonany co do skuteczności tej zapory. Zdawał sobie sprawę, że ofensywa, do której przygotowywał się Rommel, mogła

przesłuchać o wyniku wojny w Afryce Północnej. Nastrój premiera poprawił się dopiero w czasie narady u generała Alexandra, gdy nowy szef sztabu VIII armii, generał de Guingand, rozłożył na stole kilka niemieckich map.

- Zdobyliśmy je w ciągu ostatnich trzech tygodni - wyjął. - Nie przedstawiają większej wartości wojskowej, gdyż niewiele możemy się z nich dowiedzieć o rozlokowaniu sił nieprzyjaciela. Zawierają jednak niezwykle cenne wskazówki...

Wszyscy pochyłili się nad rozłożonymi mapami.

- ... dowodzą, że Rommel niewiele wie o terenie, w którym chce atakować - dokończył generał.

- Czy może zdobyć te wiadomości? - zapytał Churchill.

- W ciągu najbliższych dni nie będzie to możliwe. Może jedynie polegać na rozpoznaniu lotniczym, a z samolotu nie sposób dostrzec, gdzie są ruchome piaski.

- Co z tego wynika? - Pytał dalej Churchill czując, że rodzi się wspaniały plan.

W jego przekonaniu zmylenie wroga miało większą wartość niż sto czołgów.

- Musimy skłonić Rommla, aby uderzył w rejonie dla nas dogodnym i skierował czołgi na ruchome piaski - wtrącił generał Montgomery, który nie mógł dopuścić do tego, aby Churchill uznał wyłącznie zasługi generała de Guinganda. - Podjąłem już odpowiednie działania....

Było to kłamstwo, ale bez większego znaczenia. Dopiero po naradzie Mont-

gomery nakazał Guingandowi i szefowi specjalnej organizacji A-force", pułkownikowi Dudleyowi Clarke'owi, aby opracowali plan wciśnięcia Rommła w zasadzkę. Należało go zachęcić do ataku w rejonie Alam Halfa i skierować na ruchome piaski.

Kondor" ożył. 26 sierpnia niemiecka stacja nasłuchowa odebrała szyfrogram z Kairu:

„Kondor" wzywa. Potwierdzam wiadomość opartą na najbardziej wiarygodnych źródłach, że VIII armia przygotowuje się do ostatecznej obrony w rejonie Alam Halfa. Oczekuje na posiłki, ale obecnie nie jest zdolna do stawienia poważniejszego oporu.

W następnej depeszy Kondor" podał, jakimi siłami dysponują alianci. Rommel nie sprawdzał informacji Kondora", który wielokrotnie dowiedział, że ma dostęp do najtajniejszych brytyjskich wiadomości.

Pierwszy cel podstępny został osiągnięty: Rommel uzyskał potwierdzenie, że uderzenie na południu daje największe szansę powodzenia. Teraz należało osiągnąć cel drugi: skierować niemieckie czołgi i wojska na grząski, nieprzejezdny dla nich teren.

Pozostanie tajemnicą pułkownika Dudleya Clarke'a, w jaki sposób skłonił oficera zdradzającego wojskowe tajemnice tancerce Hekmeth Fahmy, aby założyła mundur, wzięła raportówkę, w której znajdowały się odpowiednio spreparowane mapy, wsiadł do samochodu i wyruszył w stronę niemieckich linii. Być może dał

majorowi wybór między sędem wojennym i hańbišć mierciš przed plutonem egzekucyjnym - po której jego rodzina w Anglii dowiedziałaby się, że został rozstrzelany jako szpieg - a honorowš mierciš „za króla i ojczyznę”, zmywajšć z nazwiska plamę największego przestępstwa wojennego. Jeżeli tak było, to pułkownik Ciarke dotrzymał słowa. Do dzisiaj znamy tylko pseudonim oficera: "major Smith". Nie ujechał daleko. Na ziemi niczyjej jego samochód wyleciał w powietrze, jakby uniesiony wybuchem miny. Niemcy wysłali natychmiast patrol, który znalazł poszarpane zwłoki brytyjskiego majora i osmalonš wybuchem, ale całš raportówkę. Wyjęte z niej mapy dostarczono do sztabu Rommla, który uznał, że szczęście mu sprzyja. W przeddzień planowanej ofensywy otrzymał mapy terenu, przez który miały przetoczyć się jego czołgi.

31 sierpnia o 2.00 w nocy czołgi 15. i 21. dywizji pancernej ruszyły w stronę brytyjskiej linii. Za nimi posuwał się włoski XX korpus. O godzinie 3.00 Rommel zorientował się, że sytuacja nie rozwija się zgodnie z planami. Przewidywał bowiem, że do witu wojska posunš się o pięćdziesiąt kilometrów na wschód, a tymczasem z trudem przeszły piętnacie kilometrów. Rommel nie wiedział, że tam, gdzie spodziewał się oporu jednej brytyjskiej dywizji - walczyły trzy. Nie zrezygnował z kontynuowania natarcia. Zdecydował się jednak skrócić na północ znacznie wczesniej, niż planował. Liczył, że manewr ten wyprowadzi jego czołgi spod ostrzału brytyjskich armat przeciwpancernych i umożliwi omińnięcie najsilniejszych punktów obrony. Czołgi niemieckie i włoskie ruszyły w kierunku wytyczonym na podstawie map znalezionych przy zwłokach majora. Nie ujechały daleko. Ich gšsienice zaczęły zapadać się w miękki piasek. Na odwrót było za

póno, tym bardziej że próba skrętu pogarszała sytuację i czołgi pogrżały się głębiej. Wtedy na niebie rozświetlonym flarami pojawiły się brytyjskie myliwce. Pociski kał. 40 mm z działek podwieszanych pod skrzydłami samolotów Hurricane przechodziły przez pancerze czołgów z równą łatwością jak gwóźdź przez blachę puszkę konserw. Uderzenie niemieckie straciło impet.

Wkrótce Rommel odebrał wiadomość, że dowódca 21. dywizji pancernej, generał Georg von Bismark, zginął od wybuchu miny. Dowódca Afrika Korps, generał Walther Nehring, którego czołg został ostrzelany przez brytyjskie samoloty, odniósł bardzo poważne rany. W południe 2 września zaczęło brakować paliwa. Następnego dnia Rommel musiał podjąć decyzję odwrotu. Pozostawił pod Alam Hafa 536 zabitych żołnierzy niemieckich i włoskich, 569 zaginionych, 49 czołgów, 55 dział i 395 ciężarówek. Straty Brytyjczyków też nie były małe: 1750 żołnierzy zabitych, rannych, zaginionych. 67 czołgów, 18 dział.

Rommel liczył jeszcze na sukces podczas ostatniego manewru, który stosował często: wycofał czołgi, a pozostawił zamaskowane działa kał. 88 mm. Ich pociski miały roznieść w pych ruszające w pociąg czołgi brytyjskie. Generał Montgomery nie dał się jednak zwabić w zasadzkę i nie posłał czołgów w pogoń za uchodźcym nieprzyjacielem. Miał inne plany wykorzystania broni pancernej. Nie zależało mu na nękanii nieprzyjaciela uchodźcego z pola walki. Chciał zwyciężyć go w walnej bitwie.

Generał Montgomery bardzo starannie przygotowywał ofensywę, która miała ostatecznie przesądzić o losie wojsk niemiecko-włoskich i zażegnać niebezpieczeństwo wdarcia się w granice Egiptu. Siły brytyjskie rosły szybciej niż

niemiecko-włoskie. W końcu października Brytyjczycy mogli wystawić sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy przeciwko stu czterem tysiącom Niemców i Włochów.

Porównanie sił

(w nawiasach liczby dotyczące wojsk włoskich)

działa

działa ppanc.

czołgi

samochody pancerne

wojska „osi” VIII armia

460 (260) 908

850(300) 1451

496 1029

192 435

Przewagę aliantów ugruntowało tysiąc dwieście samolotów, w tym pięćset pięćdziesiąt lekkich bombowców i myśliwców bombardujących. Mieli wystarczająco dużo paliwa i amunicji, czego bardzo brakowało wojskom państw „osi”.

We wrześniu oddziały niemiecko-włoskie otrzymały 40 465 ton zaopatrzenia

i 31 061 ton paliwa. W październiku już tylko 12 308 ton paliwa dotarło do Afryki Północnej. Drugie tyle poszło na dno Morzaródziemnego - w cysternach statków zatopionych przez samoloty i okręty bazujące na Malcie.

Montgomery był jednak daleki od lekceważenia wroga. Znał wartość niemieckich czołgów i dział kał. 88 mm tak dobrze, jak umiejętności i bitność żołnierzy niemieckich. Wiedział, że duża przewaga liczebna daje mu tylko możliwość podjęcia walki i szansę, ale nie gwarancję, zwycięstwa. Montgomery postanowił przechrzyć „Lisa pustyni”; uznał, że powinien zaatakować w miejscu i czasie

w którym Niemcy i Włosi nie byliby przygotowani do odparcia uderzenia.

Wprowadzenie wrogów w błąd co do czasu rozpoczęcia ofensywy było dość

proste: z ambasady amerykańskiej w Kairze nowy attaché wysyłał raporty

utajnione w „Czarnym kodzie”, z których wynikało, że VIII armia po od-

niesieniu poważnych strat pod Alam Halfa odbuduje swoją siłę najwcześniej

w końcu listopada i do tego czasu nie będzie zdolna do podjęcia poważniejszych

działań zaczepnych. Podobne oceny nadsyłał „Kondor”, któremu Rommel

jeszcze ciśgle ufał. Sądził, że rozpoczęcie przez Brytyjczyków ofensywy w końcu

listopada jest mało prawdopodobne ze względu na złą pogodę. Należało się

spodziewać ofensywy dopiero na wiosnę.

O wiele trudniejszym dla Brytyjczyków zadaniem było przekonanie Rommla,

że uderzenie nastąpi w innym miejscu niż planowano. Najdogodniejszy do

rozwinęcia natarcia był teren nadmorski. Rommel zdawał sobie z tego sprawę

i dlatego rozmiął tam: 164. dywizję piechoty, dwa bataliony z brygady

spadochroniarzy Ramcke'go oraz włoski XXI korpus. Na tyłach stała wioska

dywizja pancerna „Ariete” i niemiecka 21. dywizja pancerna. Wzdłuż nadmorskiej drogi czekały w rezerwie: 90. dywizja lekka i włoska zmotoryzowana dywizja Trieste”. Niemiecko-włoskie pozycje obronne były chronione przez czterysta czterdzieci pięć tysięcy min. osiemdziesiąt sześć dział kał. 76,2 mm, zdobytych na froncie wschodnim, bardzo gronych dla pancerzy brytyjskich czołgów.

Gdyby udało się Rommla przekonać, że Brytyjczycy szykują się do natarcia na południu, wówczas przerzuciłby część swoich sił w tamtą stronę. Ale jak to zrobić, skoro ofensywa na północy wymagała skoncentrowania tam tysięcy ludzi, dział, czołgów i samochodów, przemieszczanych z południa. Wydawało się to zadaniem niewykonalnym. Pustynia w rejonie El Alamejn jest płaska, kamienista, pokryta niewielkimi krzaczkami. Z niemieckich okopów doskonale było widać brytyjskie pozycje, ruch tysięcy ludzi i pojazdów musiałby więc zostać zauważony.

Montgomery nie zrezygnował jednak z wprowadzenia w błąd Rommla. Szef sztabu VIII armii, generał de Guingand, wezwał pułkownika Dudleya Clarke'a i przedstawił mu założenia planu Montgomery'ego. Nie taił stopnia trudności przedsięwzięcia:

- Musisz ukryć sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi z tysiącem dział i tysiącem czołgów na pustyni twardej i płaskiej jak stół bilardowy, a Niemcy nie mogą nic o tym wiedzieć, chociaż obserwują każdy ruch. nasłuchują każdego odgłosu. tropią każdy ład. Każdy cholerny arabski przybłęda będzie cię podglądał i doniesie Niemcom za paczkę herbaty. To jest niewykonalne zadanie, ale musisz

je, do jasnej cholery, wykonać!

Pułkownik Ciarke przywykł do wykonywania zadań niewykonalnych. Po to stanął na czele organizacji nazwanej "A-force". Był to najdziwniejszy zespół, jaki można było spotkać w armiach świata. W jego skład wchodził: kupiec, artysta-malarz, chemik, prestidigitator, naukowiec, scenarzysta i scenograf filmowy oraz parę innych równie niezwykłych, jak na służbę wojskową, postaci. Urządzili sobie kwatery główne w nieczynnym domu publicznym, ale rzadko tam bywali uznając, że najlepsze pomysły przychodzą do głowy w czasie wypraw na pustynię.

Podczas pierwszej narady, która odbyła się tuż po rozmowie Clarke'a z de Guingandem, doszli do wniosku, że podstawowym i szczególnie trudnym zadaniem jest ukrycie przed niemieckimi obserwatorami magazynów z zapasami. Do rozpoczęcia ofensywy oddziały VIII armii potrzebowały 6 tysięcy ton paliwa, amunicji i żywności. Gdzie złożyć kanistry i beczki z benzyną i olejem, skrzynie z amunicją, paczki konserw i zasobniki z wodą? Przecież nie można było pod nosem Niemców budować magazynów.

Pułkownik Ciarke wraz z podpułkownikiem Geoffreyem Barkasem - w cywilu scenografem filmowym - i majorem Jasperem Maskelynem - w cywilu prestidigitatorem - wybrali się w rejon oddalony o niecałe piętnacie kilometrów od linii frontu, gdzie powinny być złożone zapasy. Generał de Guingand miał rację: teren był płaski, porośnięty karłowatą roślinnością, kamienisty. Zatoczyli szeroki łuk i wracali już do kwatery, gdy podpułkownik Barkas wypatrzył transzeje.

Wybudowano je ponad rok wcześniej, a ponieważ wojska przesunęły się w innym kierunku, transzeje zostały opuszczone. Rowy, głębokoci od stu pięćdziesięciu do dwustu centymetrów, wydawały się doskonałym miejscem do zmagazynowania skrzyń i kanistrów.

Jeszcze tej samej nocy dowieli kilkaset kanistrów, które starannie ułożyli przy cianach transzei. Teraz należało sprawdzić, czy z powietrza będzie można dostrzec, że w transzejach co się zmieniło. Rankiem Barkas długo i uważnie analizował zdjęcia lotnicze, zrobione przed napełnieniem i po napełnieniu rowów kanistrami. Nie było widać żadnej zmiany. Przez trzy następne noce w transzejach ułożono więc sto tysięcy kamistrów z paliwem dla czołgów. Ponowna inspekcja z powietrza nie wykazała żadnych zmian w biegu linii transzei. Niemcy nie mogli odkryć, że tuż pod ich boki powstał magazyn, który miał zasilić pancerne oddziały VIII armii. Nie wszystko jednak dało się zamaskować w rowach. Resztę zapasów rozlokowano na pustyni w namiotach, przed którymi posadzono kukły żołnierzy. Jedziło tam kilka samochodów pozorujących, że jest to normalny obóz wojskowy. W innych miejscach skrzynie i beczki układano w kształt ciężarówek i zakrywano siatkami maskującymi. W ten sposób w ciągu trzech nocy zgromadzono w odległości kilkunastu kilometrów od frontu sześć tysięcy ton zapasów.

Zespół Clarke'a wykonał w ten sposób część zadania. Najtrudniejsze jednak wciśz było przed nimi. Jak przemieścić z południa tysiśc czołgów, aby wróg był przekonany, że wozy bojowe jadące na północ, zmierzają na południe? Podpułkownik Barkas znalazł rozwiązanie tego - wydawałoby się - nierozwiązalnego

problemu. Wybrał trzy punkty koncentracji czołgów w pobliżu miejsca, gdzie biegła droga ze ładami prowadzścymi na południe. Tuż obok była druga droga, prowadzšca na północ. W cišgu dnia czołgi wyruszały drogš ku południu, ale po zapadnięciu zmroku skręcały i wjeżdżały na tę drugš. Docierały niš do rejonu zgrupowania, nazwanego Martelle, gdzie každy z wozów miał kryjówkę: wykonanš z dykty makietę 10-tonowej ciężarówki. W tym czasie w miejscu, z którego wyruszyły czołgi, żołnierze zacierali łady gšsienic, a na stanowiskach opuszczonych przez czołgi montowano tekturowe makiety. Gdy nad ranem pojawiały się niemieckie samoloty, ich piloci nie mogli zauważyć żadnej zmiany. Zdjęcia, robione w czasie dnia, pokazywały zgrupowanie czołgów oczekujšcych na rozkaz wyruszenia na południe, lub też kolumny czołgów zmierzajšcych w tym kierunku.

Feldmarszałek Rommel uzyskiwał coraz więcej dowodów, że Brytyjczycy szykujš się do uderzenia na południu. Koronnym potwierdzeniem były zdjęcia lotnicze z budowy wodocišgu wiodšcego z północy na południe. Widać było wyranie, że każdego dnia Brytyjczycy układajš od siedmiu do omiu kilometrów rur. To był genialny pomysł pułkownika Barkasa, który nakazał układanie pustych beczek w wykopach, co na zdjęciach z powietrza wyglšdało dokładnie jak budowa ruocišgu. Wieczorami wyjmowano beczki i zasypywano rowy, a następnego dnia te same beczki układano w nowo wykopanych rowach.

Rommel gotował się do obrony, ale zrezygnował z planów wdarcia się do Egiptu. Zdawał sobie sprawę, że najpierw będzie musiał odeprzeć brytyjskie uderzenie, a potem przejć do kontrofensywy. Obydwa działania wymagały

odpowiedniego wyekwipowania jego Panzerarmee, a stan zapasów był alarmujący: paliwa starczało na sześć dni walki, amunicji na dziewięć dni, żywności na trzy tygodnie. Ze względu na brak opon i części zamiennych, jedna trzecia pojazdów była unieruchomiona. Rommel wysyłał ponagląjące depeche do Rzymu i Berlina. Domagał się zwiększenia dostaw, ale uzyskiwał niewiele. Im więcej statków wychodziło z portów sycylijskich, tym więcej szło na dno pod bombami i pociskami samolotów i okrętów z Malty. W sierpniu zatonęła jedna trzecia statków z zaopatrzeniem dla wojsk niemiecko-włoskich. we wrześniu - tyle samo, w październiku ponad 40% nie dotarło do portów przeznaczenia.

Dyktator Włoch, Benito Mussolini, zaniepokojony rosnącymi gwałtownie stratami, stwierdził, że jeżeli tempo wyniszczania jego floty handlowej utrzyma się, to wkrótce pozostaną tylko statki rybackie.

Włoskie ministerstwo żeglugi i dowództwo marynarki wojennej, czując poparcie Mussoliniego, niechętnie wysyłało w morze nowe statki*. Rommel zdecydował się wyjechać do Europy i interweniować osobiście u Hitlera. Ponadto zamierzał odpocząć. Odczuwał wyrwanie ciężar dziewiętnastu miesięcy służby na pustyni. Nie sądził, aby jego kilkutygodniowa nieobecność mogła cokolwiek zmienić. Sytuacja na froncie wydawała mu się jasna. Wywiad Fremde Heere West potwierdzał oceny, że Brytyjczycy nie uderzą wcześniej niż w końcu listopada.

Rommel skierował część wojsk - niemiecką 21. dywizję pancerną i włoską dywizję pancerną "Ariete" - na południe, w rejon spodziewanej ofensywy Brytyjczyków, oddał dowództwo w ręce generała Georga Stummego i 23

wrzenia wyjechał do Rzymu, a następnie do Winnicy na Ukrainie, aby tam, w polowej kwaterze Hitlera, przedstawić mu sytuację w Afryce Północnej i uzyskać niezbędną pomoc materialną.

* Wg raportu przedstawionego Mussoliniemu przez ministra komunikacji, Vittorio Cini, 3 marca 1943 r. stan floty handlowej był następujący:

stan floty 10.06.1940

do marca 1943 zwodowano

łącznie

straty do marca 1943

pozostało

liczba statków tonaż BRT

772 3 292 584

129 563 068

901 3 855 652

568 2 134 786

333 1 720 866

Odliczając statki pływające na innych morzach, pozostające w stoczniach oraz używane wyłącznie

do celów cywilnych, tonaż włoskiej floty handlowej na Morzuródziennym w 1943 r. wynosił ok. 300 ty.

- Cieszę się, że pana widzę, feldmarszałku - Hitler serdecznie przywitał

Rommel, chociaż tego dnia nie był w najlepszym nastroju. Wiadomości z Kaukazu wywołały napad furii. Fuhrer oskarżał dowództwo o nieudolność i tchórzostwo.

Adiutant Hitlera, generał von Belov, po przyjacielsku ostrzegł Rommla przed nastrojem wodza. Jednakże był on spokojny. Furia minęła lub ustąpiła miejsca respektowi wobec wybitnego dowódcy i zahartowanego w bojach żołnierza.

- Czy przynosi pan dobre wieści? - Hitler podszedł do dużego drewnianego stołu w rogu pokoju, gdzie leżały mapy.

- Mamy szansę odparcia uderzenia wroga i przejścia do kontrofensywy - Rommel nie ruszył się z miejsca, czekając aż Hitler zezwoli mu podejść do stołu.

- Proszę, niech pan przedstawi sytuację - powiedział wreszcie Hitler i przez kilka minut słuchał w skupieniu relacji.

- Stan zapasów jest katastrofalny, mein Führer - Rommel zawahał się.

obawiając wybuchu złości, ale ostatecznie zdecydował się przedstawić prawdę o położeniu swych wojsk. - W pierwszym tygodniu września Brytyjczycy zatopili siedem statków transportowych, w tym trzy tankowce. Zaopatrzenie, które dociera do Afryki, jest niewystarczające i zmniejsza się coraz bardziej.

- Jaka przyczyna?

- Sądzę, że w dowództwie włoskiej marynarki jest zdrajca lub nie potrafił tam

pilnować tajemnicy...

- Tak, to bardzo prawdopodobne, ale proszę się nie obawiać. Zdecydowałem wysłać do Afryki wszelką niezbędną pomoc. W najbliższym czasie wyleję 10. dywizję pancerną oraz dywizję „SS Leibstandarte Adolf Hitler”, która w tej chwili jest we Francji. Na Kretę przerzucana jest z Krymu 22. dywizja powietrznodesantowa i wkrótce znajdzie się ona pod paną rozkazami. Wprowadzę na Morze Ródziemne nowe statki, tak szybkie, że angielskie okręty podwodne ich nie dopędzą. Dostarczę panu nowe czołgi Tiger. Nie widział pan ich zapewne, ale proszę je obejrzeć przy najbliższej okazji. Będzie pan oczarowany. Uzbrojone są w działa kal. 88 mm i mają pancierz stumilimetrowej grubości. Nie dorównują im czołgi rosyjskie, amerykańskie ani brytyjskie razem wzięte. W najbliższym czasie otrzyma pan czterdzieści tych czołgów. Angielską obronę zmieciemy w pył z pomocą wyrzutni szeciolufowych Nebelwerfer. Wyleję do Afryki brygadę tych wyrzutni raketowych. Może być pan spokojny. Dostaniemy Aleksandrię!

Hitler odwrócił się do okna i zamilkł. Rommel stał przez chwilę niezdecydowanie, nie znajdując obyczajów obowiązujących w kwaterze wodza. Obecny przy rozmowie feldmarszałek Keitel też się nie odzywał.

- Tak, to wszystko dotrze do Afryki już wkrótce, zanim Anglicy odważą się uderzyć - Hitler przerwał milczenie. - Może pan spokojnie oczekiwać na wzmocnienie sił. Uderzy pan na Aleksandrię i zdobędzie ją. A teraz życzę panu dobrego odpoczynku. Dokąd pan się wybiera?

- Do Semmering.

- Znam, to piękna miejscowość. Niech pan dobrze odpoczywa.

Rommel zsalutował i wyszedł z pokoju. Hitler patrzył za nim przez chwilę i powiedział do Keitla:

- Ten człowiek się zmienił. Obawiam się, że przestał wierzyć w zwycięstwo... - Po chwili dodał: - Nie powinno się trzymać tak długo człowieka na stanowisku zwińszanym z tak duŹ odpowiedzialnościami. On chyba traci nerwy...

Rommel bezzwłocznie udał się na polowe lotnisko, gdzie czekał już He 777. Aby zawieć go do Wiener Neustadt w Austrii. W czasie lotu miał wystarczająco dużo czasu, by przeanalizować słowa Fuhrera. Nowe dywizje, nowe czołgi, nowe statki transportowe? Wszystko to wydawało się zbyt piękne, zbyt optymistyczne. Kiedy na lotnisku Wiener Neustadt przywitał się z żoną i wsiedli do samochodu, opowiedział jej krótko o spotkaniu z Hitlerem.

- Zastanawiam się, czy Fuhrer nie powiedział mi tego wszystkiego tylko po to, aby mnie uspokoić - zakończył relację. Postanowił jednak nie wracać już myłami do spotkania w Winnicy. Czekał go miesięczny wypoczynek w pięknych austriackich górach.

W tym czasie brytyjscy czołgiciele rozpoczynali szkolenie na trzystu nowych czołgach amerykańskich M-4 Sherman. które w połowie września wylądowano w Aleksandrii. Wkrótce VIII armia dostała sto amerykańskich dział samobieżnych kalibru 105 mm. W Suezie schodziły na ląd dwie nowe dywizje, przysłane

z Wielkiej Brytanii: dowiadczona w bojach 51. Highland Division i nowo sformowana 8. dywizja pancerna. W bazach lotniczych przygotowano do pustynnej służby cztery dywizjony bombowców B-25 Mitchell i Yickers Wellington. Brytyjczycy byli doskonale przygotowani do wielkiej operacji Lightfoot"...

Rommel

Kończył się 23 dzień października. Generał Georg Stumme przejrzał ostatnie raporty, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi. Schował papiery do kasy pancерnej i wyszedł z pokoju swojej kwatery głównej. Na schodach rzucił jeszcze adiutantowi, że idzie na kolację w kasynie i udał się tam popiesznie. Szef sztabu zapowiadał, że na kolację będzie mięso gazeli. Generał przeszedł przez wśkś uliczkę, prowadzścś wprost do kasyna i wszedł w drzwi. Zauważył, że zegar nad wejciem pokazywał 21.40. co oznaczało, że generał jest spóniony o dziesięć minut. Był człowiekiem bardzo skrupulatnym i skoro zapowiedział, że przyjdzie o 21.30. powinien być o tej porze. Powiesił czapkę na wieszaku i odpiśł pas. gdy nagle doszły go głuचे odgłosy z oddali. Minęło kilka sekund, a huk wybuchów utrzymywał się. To nie była przypadkowa wymiana strzałów... - Generał wybiegł na ulicę. Niebo rozjaniały ognie strzałów i wybuchów.

- Jakie wiadomoci?! - krzyknśł do dyżurnego, gdy tylko przekroczył próg kwatery i. nie czekajśc na odpowied, kazał przygotować samochód.

- Dowódca 21. dywizji pancерnej melduje, że Brytyjczycy przystšpili do ataku - raportował żołnierz. Po chwili nadeszły nowe meldunki: 90. dywizja lekka donosiła, że znalazła się pod ogniem okrętów wojennych, co wskazywało, że

między El Daba i Sidi Abd el Rahman wróg rozpoczął dużą operację inwazyjną.

Stumme nakazał 90. dywizji natychmiastowe przystąpienie do kontruderzenia i odparcie oddziałów alianckich desantujących się na brzeg. Uznał, że sytuacja tam właśnie jest najgroźniejsza i postanowił osobiście pokierować walką z desantem. O 23.00 wyruszył w stronę kwatery 90. dywizji. Nie dojechał tam nigdy.

W rejonie Wzgórza 21 jego samochód został ostrzelany przez brytyjską artylerię. Generał dostał ataku serca i wypadł z samochodu tak cicho i szybko, że kierowca nie zauważył tego. Wojska niemieckie zostały bez dowódcy...

W Semmering dzwonek telefonu zbudził Rommla w nocy. W słuchawce usłyszał głos feldmarszałka Keitla:

- Telefonuję z kwatery Hitlera w Rastenburgu - powiedział. - Na pustyni

Brytyjczycy rozpoczęli ofensywę. Generał Stumme zaginął, prawdopodobnie nie żyje. Czy może pan natychmiast wrócić do Afryki?

- Oczywiście - automatycznie potwierdził Rommel. wyrwany z głębokiego snu. - Mogę wyruszyć natychmiast.

- Proszę czekać na następny telefon - powiedział Keitel i odłożył słuchawkę.

Powoli znaczenie wiadomości docierało do Rommla. Początkowo wydawało mu się wykluczone, by Brytyjczycy mogli rozpocząć ofensywę. Może chodziło o jakiś mało znaczący atak? Ubrał się szybko i po kilkunastu minutach był gotowy do drogi. Po północy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem przy słuchawce był Hitler.

- Zna pan ostatnie doniesienia? - spytał.

- Wiem tylko, że Anglicy przystępi do ofensywy...
- Czy jest pan gotów udać się do Afryki i objść dowodzenie?
- Oczywiście, mein Fiihrer - Rommel był zaskoczony pytaniem.
- To dobrze. Po prostu czułem się zobowiżany zapytać pana o to. Niech pan jedzie jak najszybciej - powiedział Hitler.

Rommel nie mógł mieć już żadnych wstępliwości. Brytyjczycy rozpoczęli ofensywę i odnieli pierwsze zwycięstwo - zaskoczyli Niemców.

Około południa samolot wylądował na lotnisku Ciampino. Powitał Rommla attache wojskowy ambasady niemieckiej, generał Enno von Rintelen.

- Co się dzieje na pustyni? - krzyknął Rommel. gdy tylko ucisnęli sobie dłonie.

Rintelen odciśgnął go na bok, gdzie warkot silników nie zagłuszał rozmowy.

- Anglicy kontynuujš ofensywę. Generał Stumme zmarł na atak serca! Brakuje paliwa - Rintelen szybko wymienił najważniejsze sprawy.

- Musi pan natychmiast skontaktować się z feldmarszałkiem Kesseiringiem.

On musi dotrzeć do Mussoliniego. Do samego Mussoliniego - podkrelił z naciskiem - aby ten bezzwłocznie wysiał konwój z paliwem i amunicjş. Proszę powiedzieć mu. że w czasie rozmowy ze mnş Hitler obiecał pomoc. Jeżeli

Mussolini będzie się opierał, Kesseiring powinien interweniować u Hitlera. Te statki muszś dotrzeć do Afryki jak najszybciej! Od tego zależy dalszy los wojny...

- Interwencja u Hitlera nie będzie potrzebna - uspokajał Rommla Rintelen.
- Niech pan leci spokojnie do Libii. Zrobimy wszystko, aby w cišgu najbliższych dni otrzymał pan niezbędne materiały.

Wkrótce samolot Rommla wystartował do Damy w Libii, a generał Rintelen udał się na spotkanie z feldmarszałkiem Albertem Kesseiringiem. Ten rozumiał doskonale powagę sytuacji. Zatelefonował natychmiast do Mussoliniego. Po kilkunastu minutach duce przesłał wiadomość, że w cišgu najbliższych trzech dni z Neapolu wyruszy pięć statków z amunicjś i paliwem. Miały duże szansę dotarcia do portów przeznaczenia, gdyż nad morzem utrzymywała się gęsta mgła, która była najlepszś osłonś przed samolotami rozpoznawczymi i atakami brytyjskich bombowców i okrętów podwodnych, Kesseiring natychmiast wysłał szyfrogram do Rommla informujśc, że pomoc wkrótce nadejdzie.

26 października feldmarszałek przybył do swojej kwatery głównej. Sytuacja była jeszcze trudniejsza, niż to wynikało z raportów, jakie otrzymał w Europie. Niemiecka 51. dywizja pancerna miała tylko trzydzieci dziewięć czołgów. włoska Littoria" - szećdziesišt dziewięć czołgów. 90. dywizja lekka broniła się resztkami sił. Rommel nakazał przegrupowanie 21. dywizji pancerniej na północ; liczył, że sto szeć czołgów powstrzyma Brytyjczyków i umożliwi przejęcie inicjatywy na polu bitwy. Zdawał sobie jednak sprawę, że ma niewielkie szansę na zwycięstwo. Pisał w licie do żony:

Sytuacja jest w dalszym ciągu bardzo poważna. Do czasu, gdy list ten dotrze do Ciebie, wyjani się, czy wytrzymamy, czy też nie. Nie mam wiele nadziei. W nocy leżę z oczami szeroko otwartymi, niezdolny zasnąć ze względu na ciężar, jaki spoczywa na moich ramionach. W dzień jestem miertelnie zmęczony. Co się stanie, jeżeli sprawy pójdą źle? To jest myśl, która zamęcza mnie dzień i noc. Nie widzę wyjścia, jeżeli to się stanie.

Liczył jeszcze na dostawy broni, amunicji i paliwa. Zapasy benzyny wystarczały na trzykrotne napełnienie zbiorników jego czołgów, co w warunkach pustyni dawało im zasięg około trzystu kilometrów. Szyfrogram Kesseiringa budził nadzieję, że lada moment do Tobruku zawiną włoskie statki. Tak się nie stało. Los konwoju był przesądzony już w momencie, gdy Kesseiring powiadomił Rommla, że z Neapolu wyjdzie pięć statków. Wkrótce potem depeza Kesseiringa, odszyfrowana w Bletchley Park, znalazła się na biurku szefa Wywiadu Powietrznego MI-6. Fredericka Winterbothama. Wiedział doskonale, jakie znaczenie ma zawartość ładowni włoskich statków dla Rommla i jaki może mieć wpływ na zmagania w Afryce Północnej. Wystarczyło wysłać samoloty z Malty, aby zatopiły konwój, ale wówczas Niemcy zorientowaliby się, że skoro bombowce i myśliwce bez pomocy samolotów rozpoznawczych odnalazły konwój, to znaczy, że wiedział, gdzie i kiedy szukać statków z bronią. Winterbotham obawiał się, że w ten sposób można zdradzić Niemcom, iż system szyfrowania „-Enigma” nie jest tajemnicą dla Brytyjczyków. Jeżeli jednak zachowałyby dla siebie wiadomość o konwoju z zaopatrzeniem, wówczas statki mogłyby dotrzeć do portu przeznaczenia i narazić na klęskę wojska VIII armii w Afryce Północnej.

Wieczorem 27 października Winterbotham zatelefonował do premiera Winstona Churchilla i przedstawił mu problem. Premier zdecydował się podjąć ryzyko wysłania samolotów. Być może uznał, że Niemcy nie dopuszczą myli, iż zawiodła „Enigma”, lecz będą szukać zdrajców w dowództwie włoskiej marynarki wojennej.

O wicie 28 października z lotnisk Luga i Halfar na Malcie wzbiło się w powietrze dwadzieścia sześć samolotów Beaufort i Wellington, które szybko odnalazły włoskie transportowce.

Pierwszy statek. Prosperina, zatonił, trafiony brytyjskimi bombami w pobliżu Tobruku, ale okręty eskorty zestrzeliły sześć brytyjskich samolotów. Wkrótce poszedł na dno Tripolino. Następnego dnia zatoneły, trafione torpedami zrzuconymi przez samoloty, dwa statki: Ostia i Zara. Jedynie Brioni skrył się we mgle i uszedł pocigowi. Nie na długo. W Tobruku dopadły go amerykańskie Liberatory i posłały na dno, zanim zdążył wyładować broń i amunicję.

29 października Rommel dowiedział się, że nie otrzyma pomocy. Precyzja, z jaką działały brytyjskie i amerykańskie samoloty, wskazywała, że ich załogi wiedziały, gdzie szukać celów, 1 listopada Rommel wysłał w tej sprawie raport do feldmarszałka Kesseiringa, zwracając uwagę, że los pięciu włoskich okrętów dowodzi, iż w sztabie włoskiej marynarki działają szpiegi lub też szyfr „Enigma” przestał być dla Brytyjczyków tajemniczy. Gdy tylko kryptolodzy w Bletchley Park odszyfrowali depeszę Rommla, Winterbotham poszedł z nią natychmiast do szefa MI-6, Stewarda Menziesa.

- Stało się to, czego się obawiałem - powiedział pokazując tekst depezy. -

Niemcy mogł zmienić system szyfrowania.

Zdjęcie górne: ciężka artyleria brytyjska ostrzeliwuje pozycje niemiecko-włoskie

Zdjęcie dolne: załogi czołgów Sherman" szykują się do ataku

- Bez wątpienia zrobiš tak, jeżeli uznajš, że dowiedzielimy się o konwoju

z ich szyfrogramów - Menzies jak zwykle zachowywał spokój, chociaż doskona-

le wiedział, jak poważna jest sytuacja. - Mylę, że bardziej sš skłonni podej-

rzewać Włochów o zdradę, niż uznać, że niemiecki system jest zły...

- Musimy więc utwierdzić ich w tym przekonaniu.

- Proszę jutro wysłać depezę do grupy „Stavro". Oczywiście, użyje pan

szyfru „K2" - polecił Menzies.

Następnego dnia niemieckie stacje nasłuchowe przechwyciły depezę, której

treć utajniono za pomocš szyfru znanego niemieckim kryptologom. Szyfrogram

zawierał gratulacje za przeprowadzenie sprawnej akcji zdobycia wiadomoci

o wyjciu w morze pięciu statków z Neapolu. Wszyscy członkowie grupy

uzyskali gratyfikacje w wysokoci 1,5 tyśišca funtów, które zostały wpłacone na

ich konto w banku szwajcarskim. Dalej wypadki potoczyły się zgodnie z przewi-

dywaniami Menziesia: Niemcy rozpoczęli poszukiwanie grupy „Stavro", która

nigdy nie istniała...

Na pustyni generał Montgomery wycofał po jednej brygadzie z 44., 50. i 51.

dywizji i skierował je do dywizji nowozelandzkiej, która miała dokonać decydu-

jšcego uderzenia. 2 listopada wojska brytyjskie przystšpiły do natarcia. Rozpoczęła się walka o nieznaną dotychczas zaciekłości. Źołnierze obydwu stron zdawali sobie sprawę, że nadszedł czas przełomu i ta bitwa rozstrzygnie losy dwuletniej wojny na pustyni. Obsługi włoskich dział przeciwpancernych prowadziły ogień do angielskich czołgów, dopóki nie rozjechały one stanowisk artylerii albo nie zmieniły się w płonšce wraki. Pod koniec dnia dowódca brygady pancernej, generał Freyburg, raportował, że z dziewięćdziesięciu czterech czołgów pozostały tylko dwadziecia cztery. Po drugiej stronie frontu sytuacja była jeszcze gorsza. Afrika Korps miał tylko trzydzieci dziewięć czołgów zdolnych do walki. Rommel wydał rozkaz odwrotu. I wtedy nadszedł telegram od Hitlera:

Do feldmarszałka Rommla!

W sytuacji, w jakiej się pan znalazł, nie może być innej myli, jak tylko bronić się twardo i rzucić każde działo i każdego człowieka do walki. My czynimy największe wysiłki, aby panu pomóc. Pański wróg, mimo swej wyższoci, musi także być u kresu sił. (...) Musi pan pokazać swoim żołnierzom, że nie ma innej drogi jak tylko zwycięstwo albo mierzć.

Rommel zdawał sobie sprawę, że rozkaz oznacza zgubę dla żołnierzy. Mógł liczyć, że Brytyjczycy, wyczerpani bojem, na krótko zwolnią nacisk, ale gdy tylko odbudują siły, zmiotą jego oddziały pozbawione możliwości odwrotu. Nie mógł jednak zlekceważyć rozkazu wodza. Oddziały niemiecko-włoskie okopały się. Na szczęście dla nich, Montgomery nie wykorzystał sytuacji i nie zamknął w okršzeniu tkwišcych nieruchomo na pustyni żołnierzy osi".

Po południu 4 listopada VIII armia przerwała front w rejonie Tell el Aqqaqir.

Czołgi z X korpusu rozbiły mężnie broniąc się włoską dywizję „Ariete”.

Dowódca Afrika Korps, generał von Thoma, został schwytany przez żołnierzy brytyjskich w chwili, gdy wyskakiwał z płonącego samochodu pancernego.

Nadeszła godzina ostatecznej klęski wojsk niemiecko-włoskich. I dopiero wtedy Hitler zgodził się na wycofanie ocalałych jednostek na zachód. Zmechanizowane oddziały Panzerarmee ruszyły szybko w tamtym kierunku, pozostawiając za sobą tłumy żołnierzy włoskich, pozbawionych wystarczającej liczby środków transportu.

W bitwie pod El Alamejn wojska osi" straciły 25 tysięcy żołnierzy zabitych i rannych oraz 30 tysięcy jeńców, 1000 dział i 320 czołgów. Alianci stracili 13 560 żołnierzy, w tym 4610 zabitych lub zaginionych, 500 czołgów zostało zniszczonych lub poważnie uszkodzonych.

Rommel uchodził na zachód, ale była to już droga donikąd. 7 listopada alianckie wojska inwazyjne wylądowały w kilku miejscach w Maroku i Algierii.

Tymczasem niemieckie czołgi stawały z braku paliwa. 21. dywizja pancerna ugrzęzła w rejonie Marsa Matruh i jedyne, co mogła zrobić, to zakopać się w piach i oczekiwać, aż nadciągną jednostki VIII armii, aby stoczyć z nimi ostateczny bój. Rommel zdecydował się na krok rozpaczliwy. Nie czekając na zgodę Hitlera, wyruszył do kwatery głównej wodza w Gierłży-Kętrzynie.

Dotarł tam wczesnym popołudniem 28 listopada. Uzyskał zgodę na stawienie się przed Hitlerem i o 17.00 wszedł do niskiej sali sztabowej w bunkrze wodza.

Hitler przez kilka minut zdawał się nie zauważać obecności Rommla, zajęty przeglądaniem dokumentów. Wreszcie odłożył papiery:

- Z czym pan przyjeżdża, feldmarszałku? - spytał oschle.

Rommel nie zamierzał bawić się w delikatność. Zwięźle, szybko przedstawił sytuację w Afryce Północnej.

- Dalsze pozostawanie naszych sił w Afryce Północnej grozi całkowitym ich zniszczeniem - zakończył.

- To jest defetyzm! - wybuchnął Hitler, którego słowa o możliwej klęsce wojsk niemieckich wyprowadziły z równowagi. - Niech pan zapamięta sobie, że w Rosji generałowie, którzy omielają się proponować wycofanie, stawiani są pod mur i rozstrzeliwani! - wrzeszczał.

- Mein Fuhrer - Rommel zachowywał spokój. - Trudno oceniać sytuację na afrykańskim froncie z kwatery w Prusach Wschodnich. Proszę, żeby pan zechciał wysłać generała Jodła lub feldmarszałka Keitla, aby dokonali inspekcji tam, na miejscu...

- Herr Generalfeldmarschall! - ryknął Hitler, tracąc już całkowicie panowanie nad sobą. - Kapituluj, jeżeli uważasz, że po to jesteś feldmarszałkiem. Jeżeli pan sądzi, że nie potrafi sobie poradzić, oznacza to, że pomyliłem się, dając panu stopień feldmarszałka. A teraz niech się pan wynosi! Precz!

Rommel bez słowa zaszalutował i wyszedł z sali. W sekretariacie zatrzymał się na chwilę, aby ochłodzić. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Hitler. Podszedł do Rommela i położył mu rękę na ramieniu.

- Musi mi pan wybaczyć - mówił już zupełnie innym głosem. - To bardzo trudny okres dla mnie. Wszystko powinno być dobrze. Proszę przyjąć do mnie jutro i wtedy porozmawiamy spokojnie. To niemożliwe... nie można pogodzić się z myślą, że Afrika Korps może być zniszczony.

Następnego dnia Hitler uznał argumenty Rommla, że sprawą najwyższej wagi jest dostarczenie oddziałom niemieckim w Afryce paliwa, broni i amunicji.

Interweniował w tej sprawie u Mussoliniego, a ponadto postanowił, że do Rzymu udadzą się Rommel i marszałek Rzeszy Herman Göring, aby na miejscu dopilnować wysłania do Afryki niezbędnego zaopatrzenia.

Wyruszyli bezzwłocznie specjalnym pociągami Göringa, ale już pierwsze dni w Rzymie bardzo Rommla rozczarowały. Marszałek Rzeszy nie znajdował czasu na organizowanie konwojów. Bardziej zajmowało go zdobywanie obrazów i rzeźb do prywatnej kolekcji. Rommel uznał, że dalszy pobyt w Rzymie jest stratą czasu i powrócił do Afryki. Dostawy, które nadeszły, starczały do zalecenia ran Panzerarmee, ale nie do rozbudowy sił niemieckich.

Jeszcze raz „Enigma” przesłuchiwała o biegu bitew. Rommel nie informował już Berlina i Rzymu o planach. Dlaczego? Stracił wiarę w możliwość uzyskania pomocy większej niż to, co w skryptych ilościach napływało w ładowniach włoskich statków? A może przestał wierzyć „Enigmie”? W każdym razie nasłuch brytyjski i kryptolodzy w Bletchley Park nie znajdowali nic istotnego w jego depeszach.

To zmyliło szefa wywiadu amerykańskiego w kwaterze generała Dwighta

Eisenhowera. brygadiera E. Mockler-Ferrymana. który nie miał żadnego dowiadzenia w walkach z Niemcami. Uważał, że gdy gotujš się do walki, to na prawo i lewo rozsyłajš radiogramy. Ich brak uznał za potwierdzenie bezradności nieprzyjaciela i informował swoich przełożonych, że Rommel nie planuje ataku. Ten błąd kosztował Amerykanów wiele: pod Kasserine ponieśli bolesną porażkę.

Był to jednak ostatni sukces Rommla w wojnie na pustyni. 6 marca czołgi Panzerarmee uderzyły na wojska brytyjskie, które były dobrze przygotowane do odparcia ataku. Ogień omiuset dziesięciu dział, rozmieszczonych przez generała Montgomery'ego na froncie o długości czterdziestu trzech kilometrów, zniszczył osiemdziesiąt osiem czołgów ze stu czterdziestu, które rozpoczęły bitwę. Była to ostatnia bitwa Rommla na pustyni. Dwa dni później, na rozkaz Hitlera, w tajemnicy opuścił Afrykę. Jego miejsce zajął generał von Amim. Niewiele mógł już zdziałać i w maju 1943 r. wojska niemiecko-włoskie skapitulowały. W Afryce zakończyła się wielka wojna szpiegów, szyfrów, fałszywych depesz i oddziałów. których nigdy nie było.

Brytyjczycy doskonale zapamiętali, jak wielką rolę w zmaganiach pancernych dywizji odegrał podstęp. Wszystkie dowiadzenia wykorzystali w" organizacji największej operacji desantowej w historii świata: inwazji na Normandię.

Było jeszcze ciemno, gdy na lotnisku pod Koloniš spadochroniarze Batalionu Kocha wyszli z hangaru po ostatniej odprawie i rzędami ruszyli w stronę szybowców DFS 230, równo ustawionych na betonowych pasach.

Dowódca, porucznik Witzig, stanął pod skrzydłem i obserwował, jak żołnierze, objuczeni bronią i sprzętem, podchodzą do samolotów. Wielu niosło duże, okrągłe pudła, przypominające do złudzenia miny talerzowe. Były to nowe ładunki kumulacyjne, wypróbowane kilka miesięcy wcześniej na cianach bunkrów pod Wizną w Polsce oraz w Czechosłowacji, gdzie spadochroniarze z oddziału Witziga przygotowywali się do nowej akcji.

Efekty działania min były zadziwiające: wybuch 50-kilogramowego ładunku przebijał 50-centymetrową warstwę betonu lub stalowy pancerz grubości 40 centymetrów. W czasie wybuchu wytwarzał się strumień gazu, którego cząsteczki, pod ciśnieniem 14 tysięcy atmosfer, „rozpychały” cząstki betonu lub stali i wpadały do wnętrza czołgu czy bunkra, zabijając wszystko co żywe.

Witzig spojrzął na zegarek. Dochodziła 4.00 nad ranem 10 maja 1940 r. Za kilka minut, zgodnie z planem, 83 jego żołnierzy powinno zająć miejsca w ciasnych wnętrzach 11 szybowców.

- Ty, tam! - krzyknął do żołnierza stojącego przy stateczniku. W ciemnościach nie mógł rozpoznać twarzy, ale zauważył, że chłopak oparł się o kadłub i drzemie w oczekiwaniu na rozkaz wejścia do samolotu. - W domu sobie popisz! Ruszaj się, jeśli nie chcesz, żebym dobrał się do ciebie jeszcze przed startem!

Wszyscy w oddziale wiedzieli, że Witzig potrafi być bezwzględny i okrutny. Zjawiał się w najbardziej nieoczekiwanych momentach, aby sprawdzić, czy żołnierze utrzymują porządek w koszarowej sypialni albo też czy wykazują zapał, ćwicząc na torze przeszkód. Opieszalych karał z całą bezwzględnością, gdyż

uważał, że los winowajcy musi być przykładem dla innych. W Czechach o mało nie zakatował na mierc jednego z żołnierzy. Znalazł go pišcego w cieniu bunkra, gdzie ćwiczyli wspinanie na pionowe ciany. Wpadł w furię i wyrwał bat z ršk wonicy, który powoził polowš kuchniš. Chłostał zaciekle chłopaka, dopóki jeden z kaprali nie odcišgnł go. Pobitego zabrano do szpitala, ale przełoeni, cenišcy Witziga, szybko zatuszowali całš sprawę.

Żołnierz oparty o kadłub na dwięk głosu dowódcy gwałtownie się wyprężył i poprawił oporzšdzenie. Witzig, widzšc natychmiastowy efekt swych słów, skierował wzrok w innš stronę, ale nie znalazł nic naganego.

Jego podwładni tworzyli grupę o kryptonimie „Granit”. Na dwóch lotniskach szykowali się do startu spadochroniarze z grup o kryptonimach „Beton”, „Stal” i „Żelazo”; łącznie 493 żołnierzy z jednostki nazwanej Batalionem Szturmowym Kocha - od nazwiska dowódcy kapitana Waltera Kocha. Mieli uderzyć na mosty na Kanale Alberta i opanować je, aby oddziały 6. armii, które 10 maja o 5.25 ruszały na Belgię, mogły szybciej wdrzeć się w głšb kraju. Jednakże sukces żołnierzy obsadzajšcych mosty zależał od wykonania zadania przez żołnierzy Witziga, którzy powinni opanować fort Eben Emael. Jeżeli nie udałoby się im tego dokonać, działa fortu zniszczyłyby wszystkie znajdujšce się w ich zasięgu mosty na Kanale Alberta i Mozie, zmuszajšc oddziały 6. armii do długotrwałych przepraw pod ogniem dział oraz pod bombami angielskich i francuskich samolotów. A opanowanie fortu wydawało się wręcz nieprawdopodobne.

Bunkry fortu - rozłozone na obszarze 45 hektarów - połączono korytarzami

wydrżżonymi na gębokoci 15-25 metrów w miękkiej skale wapiennej wznoszącej się nad Kanałem Alberta. Najdłuższy i najbardziej narażony na niemieckie ataki bok fortu, o długości 1300 metrów, biegi wzdłuż kanału. Znajdowało się tu najmniej bunkrów, ale też nie sposób sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek dowódca skierował żołnierzy do ataku na obiekty znajdujące się za kanałem o szerokości 54 metrów, na szczycie pionowej niemal ciany wysokiej na 65 metrów.

Wzdłuż drugiego boku trójkąta biegła fosa o szerokości około 15 metrów i długości 1100 metrów. Zasilały ją wody Kanału Alberta. W bezporednim sąsiedztwie płynęła rzeka Geer, której sforsowanie w ogniu dział było bardzo trudne.

Dostępu do trzeciego boku, nie chronionego żadną przeszkodą wodną, broniła skarpa o wysokości od 6 do 12 metrów. Nad nią piętrzyły się bunkry z karabinami maszynowymi i działami przeciwpancernymi. Tej przeszkody nie mogli sforsować żaden czołg.

Na powierzchni fortu wybudowano 4 bunkry, każdy z 3 działami kal. 75 mm. Strzelnice dwóch bunkrów skierowano na północ i pociski dział mogły razić nieprzyjaciela w Maastricht (dlatego bunkry te nazwano Maastricht 1" i Maastricht 2"), a dwa pozostałe, skierowane na południe, mogły ostrzeliwać Visé (Visé 1" i Visé 2"). Na terenie fortu znajdowały się ponadto 2 kopuły pancerne z 2 działami kal. 75 mm, które w czasie nieprzyjacielskiego ostrzału lub bombardowania opuszczano do poziomu gruntu, co doskonale chroniło je przed pociskami. Gdy ostrzał się skończył, wysuwały się niemalże 60 centymetrów nad powierzchnię, a ich działa mogły razić cele znajdujące się w odległości 11 kilometrów.

Porodku fortu ulokowano kopułę z dwoma działami kal. 120 mm o zasięgu 17 kilometrów. Ważyła 440 ton i nie mogła się opuszczać ani podnosić, a jedynie obracała się o 360 stopni. Rząd belgijski nie zgodził się na zainstalowanie dział większego kalibru, gdyż uznał, że nie przystoi to państwu neutralnemu.

Pod ziemią betonowe stropy o grubości 2,5 metra chroniły pomieszczenia, w których mieszkała 700-osobowa załoga fortu. Były tam: sypialnie, kuchnie, spichlerze z zapasem żywności na 3 miesiące, studnie, sięgające do ródki wody na głębokości 60 metrów, 6 agregatów prądowych, zapewniających oświetlenie i ogrzewanie, magazyny amunicji, centrale telefoniczne i kierowania ogniem.

Pomieszczenia o odmiennym przeznaczeniu były oddzielone od siebie długimi korytarzami. Załoga mogła szybko zablokować przejścia, umieszczając w przygotowanych miejscach stalowe belki, za którymi ustawiano worki z piaskiem, drugą cianę ze stalowych belek, a na dodatek zamykano pancerne drzwi. Cała operacja odcięcia pomieszczeń, do których wdarłby się wróg, trwała nie dłużej niż kilkanaście minut.

Wydawałoby się, że nie ma takiej armii, która zdołałaby z marszu zająć twierdzę Eben Emael. Jedynie wielotygodniowe oblężenie, zastosowanie ciężkich dział, czołgów i samolotów mogłoby zmusić obrońców do kapitulacji.

Niemcy nie mieli na to czasu i zdecydowali się użyć niewielkich sił, lecz działających zniechęca. Dowiadczczenia wskazywały na ogromną skuteczność takich operacji.

Już w 1933 r. Hermann Göring, ówczesny szef pruskiej policji, nakazał majorowi Weckemu utworzenie oddziału spadochroniarzy, którzy mieli za zadanie atakowanie siedzib partii komunistycznej. Obławy policyjne niewiele dawały, gdyż domy, w których przebywali przywódcy komunistyczni, były obstawione siecią obserwatorów. Ci, widząc nadjeżdżające samochody, wznosili alarm i gdy policjanci przystępowali do akcji, zastawali puste pomieszczenia. Dlatego Göring uznał, że należy uderzać niespodziewanie, zanim ciżgnie zniknąć wśród pobliskich domów. Błyskawiczne akcje spadochroniarzy Weckego okazały się bardzo skuteczne i oddział szybko rozrastał się, osiągnął wkrótce wielkość regimentu: nazwano go „Regimentem Göringa”.

1 lipca 1938 r. dowództwo Luftwaffe wydało rozkaz utworzenia 7. dywizji powietrznodesantowej. To jej oddziały miały opanować mosty na Kanale Alberta i Eben Emael.

- Do samolotów!

Komandosi sprawnie zajęli miejsca na twardych ławkach. Huk silników bombowców nasilił się i Ju 52/3m zaczęły kolejno odrywać się z pasa, ciżgnąc za sobą szybowce.

Witzig wystartował w pierwszym szybowcu, ale w niewielkim oddaleniu widział na tle nieba sylwetki innych maszyn. Piloci wypatrywali na ziemi ognisk rozpalonych specjalnie po to, aby wskazywać lecącym kierunek.

W szybowcu Witziga było cicho. Nikt nie rozmawiał; być może żołnierze krępowali się obecnością dowódcy.

Nagle szybowiec szarpnął i dziób uniósł się do góry. ale po chwili opadł.

Witzig zerwał się z miejsca i pobiegł do kabiny pilotów.

- Co się stało?! - krzyknął.

- Hol się zerwał, panie poruczniku - zameldował pilot.

- Zdołamy dolecieć do Eben Emael?

- Nie. - Pilot pokręcił głową i wskazał wysokociomierz. - Jesteśmy na wysokości 1100 metrów i cały czas opadamy. To oznacza, że wylądujemy 8-10 kilometrów przed celem. Żeby trafić do fortu, musimy osiągnąć wysokość co najmniej 2130 metrów.

- Wracajmy na lotnisko!

- Rozkaz! - powiedział z niepewnym głosem pilot i położył szybowiec w powolny skręt.

- Nie mamy wielkich szans dotarcia na lotnisko pod Koloniš - dodał po chwili. - Prawdopodobnie wylądujemy gdzieś na łące. Całe szczęście, że niedługo się rozwidni.

Witzig odwrócił się bez słowa i wciękły powrócił na miejsce. Przez wiele miesięcy przygotowywał się do tej misji, a nagła awaria sprawiła, że bitwa miała rozegrać się bez jego udziału.

Wkrótce drugi szybowiec zerwał się z holu. W stronę Eben Emael leciało już tylko 9 samolotów z 59 komandosami.

W forcie tuż po północy ogłoszono alarm. Naczelne dowództwo wojsk belgijskich od wielu miesięcy miało wszelkie powody, aby uważać, że Niemcy dokonają agresji.

Załogi bunkrów zajęły miejsca przy armatach i karabinach maszynowych, ale nikt nie wierzył, że kto mógłby zaatakować fort położony na niedostępnym wzgórzu. Żołnierze drzemali więc w spokoju.

W bunkrze Maastricht 2" kapral Henri Laciuse wyrzął przez szczelinę obserwacyjną. Wstawał pogodny, cichy dzień. Kapral ziewnął i wrócił do swojego miejsca, jakie wymociał sobie obok siodełka celowniczego działa kal. 75 mm. Zapadał znów w sen, gdy nagle zadźwięczał telefon. Odebrał go porucznik dowodzący załogą bunkra. Słuchał przez chwilę, a na jego twarzy widać było narastające napięcie. Odłożył słuchawkę.

- Mówisz, że nadlatują samoloty - powiedział niepewnie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Nic przecież nie słysząc... - zauważył któryś z żołnierzy.

- Nie nasza sprawa - odburknął porucznik. - W razie ataku wszystkie bunkry mają nawzajem osłaniać się ogniem.

- Jak to ..ataku"?! Przecież ani samoloty, ani spadochroniarze nie mogą ty wylądować. Jakim cudem?! - dopytywał się Laciuse.

Miał rację. Na łśce pagórka kryjšcego fort nie mógłby wylšdować samolot transportowy. Desant spadochroniarzy teŹ był mała prawdopodobny. Spadochroniarze skakali z wysokoci od 120 do 250 metrów, majšc przy sobie tylko pistolety i granaty. Karabiny, broń cięŹkš, materiały wybuchowe zrzucano w oddzielnych zasobnikach. Tak więc nad Eben Emael samoloty ze spadochroniarzami musiałyby nadlatywać kolejno, wielu skoczków wiatr prawdopodobnie zniósłby poza teren fortu, wielu pozostałoby bez broni, nie mogšc odszukać pojemników, a cała operacja trwałaby tak długo, Źe załoga fortecy bez trudu uporałaby się z napastnikami.

Z tego względu na powierzchni fortu nie zamontowano żadnych zapór przeciwdesantowych. A przecieŹ wystarczyłoby wkopanie kilkudziesięciu drewnianych słupów, by nie wylšdował tam żaden desant. Belgijscy dowódcy, rozważajšc moŹliwość zaatakowania twierdzy z powietrza, nie wzięli pod uwagę tego, Źe na łśce - za małej dla spadochroniarzy i samolotów transportowych - jest wystarczajšco duŹo miejsca dla szybowców. Ale przed wojnš mała kto słyszał o spadochroniarzach; o szybowcach w ogóle się nie mówiło.

- Bunkry majš nawzajem osłaniać się ogniem! To jest rozkaz, kapralu! - powtórzył porucznik, który nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję na temat moŹliwoci zaatakowania fortu. Odwrócił się na pięć i poszedł do radiotelegrafisty zamkniętego w oddzielnym pomieszczeniu. Po chwili jednak wyjrzał stamtšd.

- I doć tego spania. Uzupełnić amunicję przy działach! Alarm jest!

Żołnierze zajęli bez przekonania wyznaczone miejsca.

Lacluse zdjął słuchawkę telefonu i przez chwilę stukał w widełki.

- Co jest, do diabła?! - Usłyszał po chwili zaspany głos.

- Uzupełnić magazyny! Rozkaz porucznika! - powiedział Lacluse i powrócił do drzemki.

W korytarzu prowadzącym do każdego z bunkrów znajdowały się podręczne magazyny pocisków, do których trzeba było dowieźć naboje z głównego magazynu, umieszczonego kilka pięter niżej.

Po paru minutach z korytarza dobiegł szum windy. Znak, że na dole, w głównym magazynie amunicji, rozpoczęła się praca. Metalowe kraty windy rozsuwały się ze szcękaniem, żołnierze wyciśgali metalowe skrzynie z nabojami, a następnie układali amunicję na półkach podręcznego magazynu.

Tymczasem na wysokości 2130 metrów bombowce odczepiły hole i wykonały ciasny skręt. 9 szybowców z żołnierzami grupy „Granit” wyrównało lot.

Znajdowali się w odległości około 15 kilometrów od celu.

- Przygotować się! - krzyknął do żołnierzy w szybowcu nr 1 porucznik Delica, który pod nieobecność Witziga przejął dowodzenie grupą.

Szybko zbliżali się do celu. Po kilkunastu minutach zobaczyli wylaniające się z porannej mgły zarysy łąki, na której mieli wylądować. Piloci skierowali szybowce stromo w dół, aby do minimum skrócić dobieg przy lądowaniu.

W odpowiednim momencie wyrównali lot i szybowce jeden po drugim zaczęły siadać na łące, z której wystawały kopuły i bunkry fortu. Było cicho - nieomylny znak, że obrońcy niczego się nie spodziewają.

- Otworzyć drzwi! Odrzucić pokrywy kabin! - krzyknął Delica.

Żołnierze wysypali się z maszyn. Zatrzymali się na chwilę, aby zlokalizować cele i natychmiast ruszyli przed siebie. Naraz z północnej strony rozległy się strzały. To poczwornie sprzężony karabin maszynowy - jedyne stanowisko obrony przeciwlotniczej w potężnym forcie - rozpoczął ogień do lądujących szybowców. Kanonada nie trwała długo, gdyż niemiecka seria cięła obsługę stanowiska. Po chwili jednak miejsce zabitych zajęli inni żołnierze i karabin ponownie zaczął ostrzeliwać szybowce. Nie na długo. Wybuchy kilku granatów, celnie rzuconych przez komandosów, wybiły obsługę i zniszczyły karabin. Fort nie mógł już się bronić przed nadlatującymi szybowcami.

Delica spojrzął na zegarek; minęło 1,5 minuty od chwili, gdy jego szybowiec wylądował. Plany przewidywały, że dla całości akcji największe znaczenie będzie miało pierwsze dziesięć minut walki. Jeżeli w tym czasie komandosom uda się zniszczyć większość punktów obserwacyjnych i unieszkodliwić działa - wygrają.

Żołnierze skupili się wokół niego. Wskazał najbliższy cel, który w niemieckich planach oznaczono jako obiekt nr 12 - betonowy bunkier z trzema działami kal. 75 mm i pancerną kopułą obserwacyjną. Lufy obracały się już w ich stronę.

Delica podbiegł w tamtym kierunku. Po kilkunastu sekundach padł tuż przed pancerną płytą osłaniającą lufy działa. Tu był bezpieczny, gdyż konstruktorzy

bunkra nie umieli w nim strzelnic, przez które obrońcy mogliby wyrzucić granaty. Nie mogli więc nic zrobić Niemcowi, ale on z kolei nie miał ładunków kumulacyjnych. Dał znak dwóm najbliższym znajdującym się żołnierzom. Zaczęli czołgać się w jego stronę, ciągnąc za sobą talerzowe puszkę. Mimo nasilającego się ognia karabinów maszynowych dotarli do miejsca, gdzie ukrył się Delica. i podsunęli mu dwa ładunki. Porucznik przyklęknął i umieścił na betonowym występie przy pancernej płycie 12.5-kilogramowy ładunek. Wcisnął sworzeń zapalnika i odczołgał się o kilka metrów. Po 9 sekundach wybuch wepchnął płytę osłaniającą działą do wnętrza bunkra. Pozostałe dwa działą przerwały ogień.

Delica uznał, że załoga oszołomiona wybuchem albo uciekła w głąb schronu. albo pozostała na stanowiskach, lecz przez kilkadziesiąt sekund nie będzie w stanie się bronić. Wskoczył z dołu chroniącego go przed pociskami, podbiegł do bunkra i chwycił lufę działą. Stopę wsunął w występ betonu i wspisał się na dach bunkra. Drugi żołnierz, który w tym czasie dopadł do ciany i oparł się o nią plecami, podał mu ciężką dwuczęciową minę kumulacyjną. Delica umieścił podstawę miny na pancernej kopule obserwacyjnej. Nałożył na nią drugą część. z wystającym przyciskiem zapalnika. Uderzył go dłonią i zeskoczył z bunkra. Po 9 sekundach mina eksplodowała, przepalając pancerną kopułę. Fort stracił jeden z punktów obserwacyjnych.

Dalej - w kierunku zachodnim - widniała pancerna wieżyczka z dwoma działami kal. 75 mm. Wysunięta tuż nad ziemię, ostrzeliwała łaskę. na której stały szybowce. Nie można się było do niej podczołgać. gdyż drogę odcinał grad pocisków z karabinów maszynowych którego z północnych bunkrów. Delica

przyglądał się celowi przez lornetkę. Działa strzelały metodycznie, bez po-
piechu. Co prawda nie mogły wyrządzić wiele szkody komandosom, którzy już
wylądowali, ale można się było spodziewać, że lada moment dotrą następne
szybowce, a wówczas ogień dwóch dział mógł spowodować wiele szkód.

- ..Granit" wzywa ..Orła"! - Delica zaczął wywoływać przez radiostację
dowództwo operacji w Niemczech.

- ..Orzeł", zgłaszam się - usłyszał po chwili.

- Potrzebujemy wsparcia lotniczego. Obiektu nr 23 nie udało się zniszczyć.

Powtarzam: obiekt 23.

- Zrozumiałem, obiekt nr 23. Wsyłamy samoloty.

Po kilkunastu minutach nad fortem Eben Emael pojawiły się bombowce
nurkujące Ju 87. Zatoczyły ciasne koło i przez chwilę krążyły poszukując celu, aż
nagle runęły w dół z wyciem silników. Na niewielkiej wysokości spod ich
kadłubów oderwały się bomby, które z niezwykłą precyzją trafiły w najbliższe
sąsiedztwo pancерnej wieżyczki. Jedna z bomb eksplodowała w odległości
3 metrów, wyrwijąc kawał betonu z podstawy wieży. Załoga natychmiast

Efekt działania 50 kg ładunku kumulacyjnego - zniszczona pancerna wieża obserwacyjna
(fot. autora)

EBEN OIAI:I

Hitler gratuluje swoim zwycięskim oddziałom

zamknęła wieżyczkę. Kopulasty dach zrównał się z ziemią, a betonowy kołnierz zakrył strzelnicę. Belgijscy żołnierze byli bezpieczni, gdyż 250-kilogramowe bomby Ju 87 nie mogły przebić 40-centymetrowego pancerza. Do końca walki Belgowie nie odważyli się podnieć wieżyczki i ostrzeliwać napastników.

W północnej części fortu grupa komandosów, dowodzona przez sierżanta

Wenzela, niszczyła kopuły obserwacyjne i bunkry artyleryjskie. Systematycznie stosowano tę samą taktykę: najpierw strzelano w stronę celu z miotaczy ognia.

Strugi płonącej cieczy rozlewały się na pancerzach i otworach strzelniczych; nie mogły zaszkodzić belgijskim żołnierzom, dobrze chronionym przez stalowe płyty i wielometrowe betonowe ciany, ale zmuszały ich do odejścia od strzelnic.

Wtedy grupy atakujące podbiegały do bunkrów i zakładały ładunki kumulacyjne, które z niezwykłą siłą niszczyły cele.

Po pierwszych 10 minutach większość dział fortu zamilkła, zniszczona

wybuchami ładunków kumulacyjnych. Ale do zwycięstwa było jeszcze daleko.

Delica wiedział, że w schronach i bunkrach podziemnych jest 700 żołnierzy.

Gdyby wyszli na powierzchnię, z łatwością rozprawiliby się z 59 komandosami.

W dodatku - w bezpośrednim sąsiedztwie fortu stała dywizja wojsk belgijskich:

kilkanacie tysięcy żołnierzy gotowych do walki. Co prawda niewielkie oddziały

tej dywizji ruszyły na pomoc załodze fortu i podjęły atak od strony północ -

no-zachodniej. ale karabiny maszynowe komandosów zatrzymały ich skutecznie.

W każdej bitwie przychodzi chwila, w której obrońcy czują się zmęczeni, a atakujący zaczynają wstępować w zwycięstwo. Jest to czas, który może mieć decydujące znaczenie dla dalszej walki. W Eben Emael napięcie zaczęło słabnąć koło godziny 8.00. Większość dział była zniszczona, a kopuły obserwacyjne w większości rozbite, ale fort wciąż się bronił.

Karabiny maszynowe bunkrów nad Kanałem Alberta ostrzeliwały pozycje niemieckie w rejonie mostu na przedmieściach Canne. Tam belgijscy żołnierze na widok lądujących szybowców wysadzili jedno z przęseł, zamykając drogę niemieckim oddziałom idącym wspomóc komandosów walczących w forcie. 51. batalion saperów zaległ na prawym brzegu kanału pod ogniem bunkrów Eben Emael.

I wtedy nad fortem pojawiły się dwa szybowce. To przybywali komandosi Witziga, którzy po zerwaniu się holu wylądowali na polu pod Koloniš, zarekwizowali samochody w pobliskiej wsi i dojechali na lotnisko, skąd ponownie wyruszyli w rejs.

O 8.30 szybowce z 24 komandosami wylądowały. Ich przybycie dodało atakującym sił. Poderwali się do walki. Witzig z kilkoma komandosami pobiegł w stronę skarpy opadającej do Kanału Alberta. Tam na dole był bunkier blokujący ogniem przejście przez zniszczone przęsło mostu w Canne. Niemcy nie mieli lin, aby opucić się na dół. Witzig umieścił więc ładunki wybuchowe na szczycie skarpy i zdetonował je. Masa ziemi wyrwana wybuchem spadła w dół, zakrywając wieżyczkę obserwacyjną. Bunkier zamilkł.

Na górze kilku komandosów podczołgało się do strzelnic bunkra artyleryjs-

kiego „Maastricht I”. Ładunki wybuchowe wyrwały pancerną osłonę działa i przez ten otwór Niemcy wpadli do rodka. Belgowie po metalowych schodach zbiegli kilkanacie metrów na dół, gdzie mieciły się magazyny amunicji i korytarze prowadzące do pozostałych części fortu. Zamknęli pancerne drzwi i zasunęli stalowe przegrody. Nie zdężyli jednak ułożyć worków z piaskiem, które wzmocniłyby barykadę. Zasunęli rygle w drugich drzwiach pancernych. Za nimi ustawili karabin maszynowy na wypadek, gdyby Niemcy sforsowali przeszkody. Nie potrafili sobie wyobrazić siły ładunków wybuchowych, którymi dysponowali napastnicy.

Komandosi w ład za obrońcami zeszli po schodach i stanęli przed zaryglowanymi drzwiami. Domyłali się, że tędy prowadzi droga do wnętrza fortu. Założyli ładunki wybuchowe i wycofali się do bunkra na górze. Po kilkudziesięciu sekundach potężna eksplozja wyrwała drzwi, rozsadziła stalowe belki i wyważyła drugie pancerne drzwi. Trzymały się wprawdzie na zawiasach, ale otworzyły się z takim impetem, że wycisnęły w betonie ład. Fala wybuchu, niosąca setki metalowych strzępów, zabiła pięciu belgijskich żołnierzy, którzy za prowizoryczną barykadę szykowali się do odparcia ataku. Podmuch eksplodującego ładunku poszedł także w drugą stronę i zmiotł metalowe schody wiodące do bunkra. Już nikt nie mógł przecisnąć się przez poskręcane, porozrywane pręty i blachy klatki schodowej.

Tymczasem bunkier „Maastricht 2” się bronił. Żadne z dział nie zostało zniszczone.

- Niemcy zeszli na dół, do podstawy „Maastricht I” - krzyknął w pewnym momencie telefonista, który wychylił się ze swojej kabiny. Ludzie przy działach odwrócili się w jego stronę.

- Pięciu zginęło w korytarzu! - informował dalej.

- Zamknij się! - krzyknął porucznik. - Na stanowiska!

- Panie poruczniku! Powinnimy się poddać! - krzyknął któryś z działonowych.

- Pod sęd! - zagroził dowódca wymachując pistoletem.

Zdawał sobie sprawę, że po kilku godzinach walki wieść o losie załogi bliźniaczego bunkra może podziać demoralizującą. Dotychczas jego żołnierze osłonięci pancierzami i betonem czuli się bezpiecznie i dzielnie walczyli. Dochodziły wprawdzie informacje o zniszczeniu kilku dział, ale było wiadomo, że straty w ludziach nie są duże. I nagle się okazało, że zabezpieczenia nie wystarczają.

Morale żołnierzy broniących fortu, i tak niewysokie, nagle się załamało.

Wieść o losie załogi „Maastricht I” rozniosła się błyskawicznie po fortecy.

Walka zaczęła słabnąć.

Fort Eben Emael, broniony przez 700 żołnierzy, kapitulował przed kilkudziesięcioma niemieckimi spadochroniarzami.

Zwycięstwo kosztowało Niemców 6 zabitych i 15 rannych. Załoga fortu, chroniona wielometrową warstwą betonu i stali, straciła 23 zabitych i 59 rannych.

Jeńców przez wiele miesięcy trzymano w cisłym odosobnieniu, aby nie zdradzili efektów działania nowej broni niemieckiej - ładunków kumulacyjnych, które przepalały pancerz i beton...

PIERWSZY KO

Podpułkownik Dudley Ciarke zbiegł po schodach prowadzących do wyjścia z Ministerstwa Wojny. Zatrzymał się na dziedzińcu zastanawiając się, w którą stronę iść. Z reguły kierował się do Westminster Bridge, aby tam wsiść do metra. Mieszkał na pograniczu bogatej dzielnicy Hamsted, oddalonej od miejsca jego pracy o dobrą godzinę marszu, ale tym razem postanowił skorzystać z możliwości spaceru.

Ostatnie dni spędzał w ogromnym napięciu. Z Francji ewakuowano jednostki Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego i wojsk francuskich, a Ciarke - jako asystent generała Johna Dillia, szefa Imperialnego Sztabu Generalnego - był bezprecedensowo zaangażowany w koordynowanie tej wielkiej akcji o kryptonimie „Dynamo”. Tego dnia, 4 czerwca, o godzinie 14.23 ewakuacja spod Dunkierki oficjalnie się zakończyła.

Ponad 380 tysięcy żołnierzy dotarło do brytyjskich portów, ale na francuskim brzegu pozostał cały ciężki sprzęt: działa, 63 tysiące samochodów, czołgi, pół miliona ton paliwa, amunicja, medykamenty. Była to poważna strata dla Brytanii. Całkowicie nie przygotowanej do prowadzenia wojny, a wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie zatrzymają się nad brzegiem kanału La Manche, lecz zechcą

dokonać inwazji na Anglię.

Clarke skręcił na Trafalgar Square i skierował się do góry, w stronę kocioła St. Martin. Przez ostatnie dni rzadko opuszczał gabinet i był przekonany, że Londyn opanowała atmosfera wojenna. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że na ulicach życie biegło normalnym trybem, a jedyną oznaką zagrożenia były torby masek gazowych, noszone przez przechodniów. Jednakże dawała się odczuć atmosfera przygnębienia. Klęska wojsk Francji, najbliższego sojusznika na kontynencie, uwiadamiała Brytyjczykom, jak potężny jest Wehrmacht.

Spółeczeństwo, które stawało wobec największego w swojej historii zagrożenia, musiało zebrać siły, umocnić się w przekonaniu, że potrafi zwyciężyć.

Premier Winston Churchill mówił w parlamencie: „Wszystko, co mogę wam dać to krew, pot, łzy i trud”. Anglicy skłonni byli podejmować takie wyzwania, ale potrzebowali przy tym odrobiny nadziei, przypomnienia swej potęgi. Jednakże potęga należała do przeszłości... Wojska lądowe były nieliczne i za słabo uzbrojone, aby mogły stawić czoło Wehrmachtowi. Królewskie Siły Powietrzne miały za mało samolotów, by powstrzymać Luftwaffe. Jedynie Royal Navy była wystarczająco potężna, by pokonać wroga, ale Niemcy, wiedząc o tym, nie

KOMANDOSI

kwapili się do walnej bitwy morskiej. Wysyłali jedynie okręty podwodne, które wyrządzały Anglikom coraz większe straty.

Ciarke pamiętał swą służbę w Palestynie, gdzie brytyjskie wojska usiłowały utrzymać w ryzach i Palestyńczyków, i Żydów. Mimo zdecydowanej przewagi ponosiły dotkliwe straty zadawane przez niewielkie oddziały wyposażone w zdobyczną broń i prawie w ogóle nie wyszkolone, ale działające z determinacją, a nawet fanatyzmem.

Dlaczego więc nie wykorzystać tego przykładu i nie rzucić przeciwko

Niemcom niewielkich jednostek uderzających w najczulsze punkty dniem i nocą?

Niemcy nie mogli przecież upilnować wszystkich granic Rzeszy, granic, które po

ostatnich podbojach rozciągnęły się na wiele tysięcy kilometrów. Co więcej,

dywersanci dobijający do brzegów Francji w niewielkich grupach mogliby liczyć

na pomoc ludności z okupowanych terenów i współpracować z miejscowymi

oddziałami ruchu oporu, a to bardzo ułatwiłoby zadanie.

W Wielkiej Brytanii nie było jednak żołnierzy, którzy potrafiliby przebyć

kanał i zaatakować niemieckie stanowiska. Jedynie Royal Marines byli szkoleni

w tym celu, lecz wobec groby niemieckiej inwazji skierowano ich do obsługi

dział na pokładach okrętów strzegących i pilnowania rodzimych brzegów.

Należało stworzyć dopiero specjalne jednostki.

Ciarke dotarł do domu około godziny 18.00 i usiadł do pisania memorandum

dla swego szefa. Przedstawił w nim ideę zorganizowania jednostek komandosów.

6 czerwca Ciarka wezwał generał John Dill.

- Twój projekt spodobał się Churchillowi - powiedział, gdy tylko podpułkownik zameldował się w jego gabinecie.

- Bardzo się cieszę, sir.

- Twoim zadaniem będzie zorganizowanie takich jednostek i przygotowanie operacji na francuskim brzegu. Liczę, że nastąpi to wkrótce, choć rozumiem skalę trudności. Dzisiaj wyślę rozkaz do dowódców z Home Command, aby zebrali ochotników. Proszę przygotować wskazówki, którymi powinni się kierować przy wyborze kandydatów.

Ochotnicy powinni być przygotowani do dłuższej służby, cięższej pracy i krótszego odpoczynku niż rekruci innych rodzajów sił zbrojnych Jego Królewskiej Moci. Będą szkoleni do prowadzenia zwiadu, przebywania przez dłuższy czas w terenie, niewidocznego poruszania się w dzień i w nocy, podkradania się do nieprzyjaciela i donoszenia o jego działaniach - pisał Clarke *.

Taka perspektywa bardzo przypadła do gustu kapitanowi Dumfordowi Slaterowi z 23. pułku Royal Artillery w Plymouth. Zaraz po zapoznaniu się z pismem Clarke'a pobiegł do dowódcy.

- To jest dokładnie to, co chciałbym robić - owiadczył. - Czy zwolni mnie pan ze służby w swoim pułku?

Dalsze losy podpułkownika Clarke'a w rozdziale pt: Pojedynek na pustyni".

Pułkownik spojrzał na niego z niechęcią. Nie mógł zabronić kapitanowi odejścia do oddziału komandosów, a jednocześnie nie miał zamiaru pozbywać się najlepszego oficera w jednostce.

- Napiszcie pismo w tej sprawie - powiedział po namyśle. Uważał, że gra na zwłokę przynosi dobre rezultaty w każdej sytuacji, - Rozpatrzę je i dam wam odpowiedź.

Slater nie miał jednak zamiaru czekać. Uznał, że wyczerpał drogę służbową - jak to określał regulamin - i szybko dotarł do podpułkownika Clarke'a. Ten wysłał list do dowódcy 23. pułku Royal Artillery:

Kapitan J.F. Durnford Slater, RA, wyznaczony został do zorganizowania i dowodzenia No 3 Commando w stopniu podpułkownika. Proszę udzielić mi wszelkiej pomocy i jak najszybciej zwolnić [z dotychczasowych obowiązków - BW].

W ten sposób kapitan J.F. Durnford Slater został pierwszym brytyjskim komandosem II wojny światowej i rozpoczął podróż po garnizonach południowej Anglii, poszukując oficerów do swojego oddziału. Uporał się z tym zadaniem szybko i już 5 lipca jego oddział przemaszerował ulicami Plymouth.

Churchill (z lewej) podczas inspekcji umocnień na brzegu Anglii

Winston Churchill machnął ręką na powitanie policjantowi stojącemu przy drzwiach budynku na Downing Street 10 i wszedł do hallu, gdzie oddał kamerdynerowi kapelusz.

- Piękny dzień, nieprawdaż, sir? - Kamerdyner wypowiedział na powitanie żelazną formułkę.

- Chyba oszalałe, Bates - ofuknął go Churchill i skierował się w stronę schodów prowadzących do gabinetu na pierwszym piętrze.

Zamknął za sobą starannie drzwi i podszedł do okna. Dzień był rzeczywiście piękny. Na niebie nie pojawiła się ani jedna chmura. Jemu za wydawało się, że to najgorszy dzień, jaki mógł przydarzyć się w życiu premiera Wielkiej Brytanii.

22 czerwca 1940 r. przyniósł fatalne wiadomości: najbliższy i najpotężniejszy sojusznik na kontynencie - Francja - podpisała zawieszenie broni! Churchill mógł spodziewać się tego od dawna, ale oficjalne potwierdzenie złych oczekiwań podziało na niego przygnębiająco. Wielka Brytania pozostała teraz jedynym państwem w Europie, gotowym stawiać opór niemieckiej potędze.

Premier obciął koniec cygara gilotynką, zapalił je i usiadł niezgrabnie na w fotelu za biurkiem.

Leżały przed nim równo ułożone papiery, które powinien przejrzeć, ale nie miał na to najmniejszej ochoty. Pomyślał jednak, że lektura może rozproszyć czarne myśli i zabrał się do wertowania kartek. Nagle wzrok jego padł na dokument zatytułowany „Operacje desantowe specjalnych oddziałów Wehrmachtu”. Premier nie sprawdził, kto jest autorem tego opracowania, ale tytuł przyciągnął jego uwagę. Uwielbiał niekonwencjonalne działania i uważał, że przy ogromnej dysproporcji sił Wehrmachtu i British Army działania jednostek specjalnych mogły mieć wielkie znaczenie.

Dokument zawierał dość ogólnikowy opis działania niemieckich spadochro-

niarzy w Polsce' we wrześniu 1939 r., w Holandii w maju 1940 r. oraz w belgijskim forcie w Eben Emael.

Churchill złożył równo kartki i sięgnął po pióro. Pisał:

Do gen. Hastingsa Ismaya [szefa oddziału wojskowego sekretariatu Gabinetu Wojennego - BWJ. Powinnimy mieć oddział co najmniej 5 tysięcy spadochroniarzy (...). Proszę mi przedstawić raport na ten temat.

Generał Ismay wiedział doskonale, że zwrot „przedstawić raport” oznacza poinformować, co już zrobiono”, a premier słynął z żelaznej konsekwencji.

* We wrześniu 1939 r. Niemcy, chcąc zachować w tajemnicy istnienie wojsk powietrzno-desantowych, przeprowadzili na terenie Polski tylko niewielkie akcje: 1. batalion 2. pułku 22. dywizji dokonał desantu na lotnisku w Dęblinie, a 2. batalion desantował się w rejonie Przełęczy Dukielskiej. Ponadto żołnierze 2. batalionu 1. pułku walczyli w rejonie Woli Gułoskiej, gdzie zginął pierwszy niemiecki spadochroniarz w II wojnie światowej.

Generał zaczął działać. Dwa dni później przekazał majorowi Johnowi Rockowi rozkaz zorganizowania brytyjskiego oddziału powietrznodesantowego.

Rock nie był zachwycony. Nie wiedział, jakie zadania ma wykonywać nowa jednostka, nigdy nie skakał ze spadochronem, nie wiedział, skąd cięgnąć ludzi, samoloty i niezbędny sprzęt.

Pomogło mu dowództwo Royal Air Force, które oddelegowało instruktorów uczących pilotów samolotów myliwskich i bombowych, jak ratować się na spadochronach, dostarczyło niezbędny sprzęt treningowy, a nawet oddało szec

samolotów bombowych Armstrong-Whitworth Whitley.

Już 13 lipca 1940 r. pierwsi ochotnicy mogli przeżyć emocje skoków z samolotów, w których zdemontowano tylną wieżyczkę. Spadochroniarz stawał tyłem do wskiego otworu w ogonie samolotu, a instruktor pociśgał za rączkę jego spadochronu. Z zasobnika na plecach wypadała czasza, która natychmiast wypełniała powietrze, rozwijając się czasza wyrwała skoczek z kadłuba. Wkrótce ułatwiono życie nieszczęśliwym narażonym na bardzo nieprzyjemne wyszarpywanie z samolotu, zmieniając technikę skoku. W podłodze kadłuba wycięto otwór o średnicy 90 centymetrów, przez który mógł się przecisnąć żołnierz ze spadochronem.

Niebawem inny problem zwrócił uwagę dowództwa nowego oddziału:

bezpieczeństwo skoków. 25 lipca jeden ze skoczków zginął, gdyż jego spadochron się nie otworzył. W ciągu następnych dni zdarzyło się kilka mniej groźnych wypadków, których przyczyną była niewłaściwa konstrukcja spadochronów używanych dotychczas przez pilotów do awaryjnego opuszczania samolotu, ale nie przystosowanych do skoków żołnierzy obciążonych sprzętem i bronią.

Podstawowy problem polegał na tym, że skoczek po opuszczeniu samolotu musiał pociśgnąć za rączkę, która otwierała zasobnik na plecach, a pęd powietrza rozwijał wówczas czaszę. Było oczywiste, że przy masowym szkoleniu żołnierzy taka technika skoków będzie przyczyną wielu wypadków.

Jednakże wkrótce sir Raymond Quilter i James Gregory wymyślili nowy typ spadochronu, w którym nylonowa linka, przytwierdzona do uchwytu w kabinie.

wyciągała z zasobnika na plecach skoczka wewnętrzny pojemnik ze złożonym spadochronem; linki łączące pojemnik z uprzęż skoczka rozwijały się całkowicie i wtedy odpadał pokrowiec czaszy, która już bez przeszkód mogła swobodnie się rozwinąć. Czasza z naturalnego lub sztucznego jedwabiu miała średnicę 8.53 setne metra i przymocowana była do szelek spadochroniarza za pomocą 28 linek. Stabilność opadania zapewniał otwór o średnicy 56 centymetrów, wycięty porożku czaszy. Te spadochrony - nazwane „X-Type” - okazały się bardzo dobre, aczkolwiek ich wadą była wrażliwość na wilgoć, utrudniająca lub nawet uniemożliwiająca otwarcie mokrego spadochronu.

Skoczkowie nie mieli spadochronu zapasowego, gdyż otwór w podłodze Whitleya był za mały, aby mógł przez niego precyzyjnie się żołnierz z dodatkowym pojemnikiem na brzuchu. A ponadto sprzęt ten kosztował 60 funtów i był zbyt drogi, aby można było pozwolić sobie na zdublowanie go.

Inny problem, który musieli rozwiązać dowódcy jednostki powietrznodesantowej, polegał na wyposażeniu lądujących żołnierzy w broń niezbędną do podjęcia natychmiastowej walki. Było oczywiste, że spadochroniarze nie mogli opadać na ziemię objuczeni karabinami maszynowymi, amunicją, granatami, zapasem żywności, medykamentów, nie mówiąc już o modzierzach, rusznicach przeciwpancernych itd. Najbardziej niezbędne wyposażenie ważyło kilkadziesiąt kilogramów; tak obciążony żołnierz, uderzając o ziemię mógłby doznać kontuzji. Początkowo próbowano dawać skoczkom tylko pistolety i noże, a resztę wyposażenia ładowano do oddzielnie zrzuconych pojemników przewożonych w komorach bombowych lub podczepionych na zewnątrz samolotu. Pozostawało

jednak pytanie, czy żołnierze po wylądowaniu będą mieli czas, aby odnaleźć zasobniki, zidentyfikować je, rozpakować i przygotować się do wykonania zadania. A jeżeli będą musieli natychmiast podjąć walkę?

Postanowiono więc, że każdy spadochroniarz będzie wyskakiwał z samolotu z brezentowym pojemnikiem (tzw. LMG valise). zawierającym niezbędne wyposażenie. Brezentowe pasy pojemnika obejmowały szyję i kolana skoczka, który w prawej ręce trzymał klamrę zwalniająca zapięcia pasów. Kilkadziesiąt metrów nad ziemią szarpał za klamrę, powodując rozpięcie obydwu pasów, i zasobnik połączony szesnastometrowymi linkami z uprzężą spadochronu opadał tuż obok lądującego.

21 listopada 1940 r. grupa żołnierzy trenujących w Ringway została przemianowana na II Batalion Specjalnej Służby Powietrznej (II Special Air Service Battalion), w którym utworzono oddział spadochronowy oraz oddział szybowców.

O ile spadochronów starczyło dla wszystkich, o tyle na samoloty trzeba było trochę poczekać. Dowództwo złożyło zamówienie w dwóch zakładach lotniczych. General Aircraft Company opracowała szybowiec Hotspur Mk I. o rozpiętości 18 metrów, który mógł pomieścić 10 komandosów, i po udanych próbach wprowadzono do produkcji model Mk II o mniejszej rozpiętości skrzydeł (14 m).

Po kilku miesiącach szkolenia nastroje w oddziale SAS zaczęły się pogarszać. Wprawdzie co pewien czas organizowano pokazy sprawności dla delegacji

z Londynu, ale nie wskazywało na to, że w najbliższym okresie żołnierze zostaną skierowani do walki. Wielu zniechęconych złożyło podania o zgodę na powrót do rodzinnych jednostek. Premier Churchill też niecierpliwie oczekiwał na pierwsze dowody skuteczności jednostki, która powstała z jego inspiracji.

Zapewne głównie z tych powodów dowództwo zdecydowało się przystąpić do realizacji pierwszego bojowego zadania o charakterze sabotażowym. Jako cel ataku wybrano akwedukt Tragino we Włoszech. Zniszczenie tego obiektu mogłoby na pewien czas przerwać dostawy wody do południowej części kraju. Taki był oficjalny cel operacji, którą opatrzone kryptonimem „Colossus”. W rzeczywistości chodziło o sprawdzenie przydatności wyszkolonych spadochroniarzy i możliwości organizowania większych akcji dywersyjnych na tyłach wroga.

Był dżdżysty styczniowy poranek 1941 r., gdy komandosi ustawili się w szeregu na placu apelowym. Zaskoczyło ich nagłe wezwanie na zbiórkę, ale nie spodziewali się żadnych rewelacji, co najwyżej informacji o nowych ćwiczeniach.

Po kilku minutach z budynku dowództwa wyszedł podpułkownik Jackson i niespiesznie skierował się w stronę niewielkiej trybunki.

- Wiem, że rwiecie się do walki! - powitał żołnierzy. Odpowiedział mu pomruk potwierdzenia.

- Nadszedł czas, aby spełnić to marzenie. Wzywam ochotników do wykonania rajdu na głębokim zapleczu wroga... - Pułkownik zawiesił głos i spojrzał z góry na żołnierzy, którzy, jak na komendę, wystąpili o krok do przodu; zgłosili się

wszyscy.

Do grupy nazwanej „Oddział X II SAS” wybrano 7 oficerów i 31 żołnierzy, których wyniki szkolenia dawały gwarancję, że potrafią sprawnie przeprowadzić pierwszą akcję.

Przygotowano się do niej bardzo starannie. Na podstawie analizy zdjęć lotniczych na poligonie w Tatton Park w Ringway wybudowano dokładną kopię odcinka akweduktu i makietę terenu, w którym mieli poruszać się komandosi. Mogli poznać najsłabsze miejsca konstrukcji i nauczyć się instalowania ładunków wybuchowych.

Nocą 7 lutego 1941 r. z lotniska Mildenhall w Suffolku wystartowało 6 bombowców Whitley z 91. dywizjonu RAF, na których pokładach było 38 komandosów. Polecieli na Malte. W tym samym czasie do ujścia rzeki Sele dotarł okręt podwodny Triumph, który miał oczekiwać na powrót komandosów, aby bezpiecznie ewakuować ich z wrogiego terenu. Innej możliwości powrotu do Anglii nie przewidziano, o czym dowódca okrętu wiedział.

10 lutego bombowce z komandosami wystartowały z Malty i skierowały się do Włoch. Późnym wieczorem znalazły się nad rejonem Tragino i rozpoczęły zrzuty spadochroniarzy i zaopatrzenia. Niestety nawigator pierwszego samolotu zmylił kurs i grupa saperów wylądowała zbyt daleko od wyznaczonego miejsca, aby dotrzeć na zbiórkę oddziału. Dowódca akcji major T. Protchard musiał zdecydować, czy pozostali żołnierze zdołają przeprowadzić atak. Mieli ze sobą 450 kilogramów ładunków wybuchowych, co powinno wystarczyć do wysadzenia

rurociśgu. O godzinie 00.30 laski dynamitu umocowano na przęsłach akweduktu, a parę ładunków podłożono pod słupy pobliskiego drewnianego mostu.

O godzinie 00.45 obydwie obiekty wyleciały w powietrze.

Zadanie zostało wykonane, ale rozpoczęła się część akcji znacznie trudniejsza niż wysadzenie niebronionego obiektu; komandosi musieli przemierzyć 80 kilometrów nieprzyjaznego terenu i dotrzeć do ujścia Sele, gdzie miał oczekiwać okręt podwodny. Podzielili się na trzy grupy i rozpoczęli marsz, który przewidziano na 4 doby. Żadna z grup nie dotarła do wyznaczonego miejsca. Wszyscy żołnierze zostali schwytani przez policję i wojsko, zaalarmowane przez okoliczną ludność. Podobny los spotkał grupę saperów, którzy uznali, że nie warto mozolnie przedzierać się przez górzysty teren i w pierwszej napotkanej wsi zgłosili się do wójta, żądając udostępnienia rodków transportu. Wójt zdołał zawiadomić pobliski oddział wojska, który otoczył i rozbroił nierozważnych saperów.

Komandosi i tak nie uniknęliby włoskiej niewoli, gdyż okręt podwodny oczekujący u ujścia Sele musiał przedwcześnie odpłynąć. Na brzegu rozbił się samolot i dowódca oczekującego Triumphu - obawiając się, że na miejsce wypadku lada moment przybędzie wojsko - zdecydował się uciec w morze, pozostawiając spadochroniarzy własnemu losowi.

Znaczenie militarne działań 38 żołnierzy było nieznaczne, ale wiadomość o akcji na tyłach wroga wzmocniła morale spadochroniarzy z Ringway oraz społeczeństwa brytyjskiego przytłoczonego wiadomościami o katastrofalnej sytuacji

acji na froncie.

Angielskie bombowce Whitley'

Kilka miesięcy wcześniej komandosi podpułownika Slatera wyruszyli do walki, ale ich wypad na Guemsey - niewielką wyspę na kanale La Manche - miał charakter treningowy. Otrzymali rozkaz zlikwidowania nabrzeżnego stanowiska karabinu maszynowego i przecięcia linii łącznościowych, a w tym czasie druga grupa - 11. Independent Company - miała zaatakować lotnisko wojskowe i zniszczyć co się da.

W niedzielę 14 lipca 1940 r. o godzinie 18.00 obydwie działy wyruszyły do akcji z portu w Dartmouth na pokładach niszczycieli Scimitar i Saladin. Za nimi płynęły barki RAF, używane na co dzień do ratowania rozbitków, ale wobec braku jednostek desantowych, miały w ostatniej fazie podróży przewieźć komandosów z niszczycieli na ląd.

Gdy tylko armada wyszła z portu, zaczęły się kłopoty. Dwie barki zawróciły ze względu na awarie silników. Te, które kontynuowały rejs, mogły zaalarmować Niemców, gdyż silniki pracowały tak głośno, że słysząc je było z odległości wielu mil. Ale to był dopiero początek ziej passy.

Koło północy niszczyciele zbliżyły się do północnego krańca wyspy i komandosi przesiedli się do barek. Jednakże zamiast w stronę wyspy popłynęli z powrotem do Wielkiej Brytanii, gdyż kompas dowódcy le wskazywał strony wiata. Błąd wykryto po wielu minutach, gdy barki przebyły już spory kawał.

Zawróciły i dopiero po 1.00 zbliżyły się do brzegu, gdzie tymczasem zaczął się przyptyw. Żołnierze musieli wskakiwać do wody głębokiej na półtora metra. Próby przetransportowania na brzeg modzierz i ciężkich karabinów maszynowych zakończyły się niepowodzeniem; cały ciężki sprzęt zatonął. W dodatku pogoda gwałtownie się popsuła. Deszczowe chmury skryły księżyc i komandosi, błądząc po ciemku, mieli ogromne kłopoty z odnalezieniem celu. Gdy wreszcie zlokalizowali stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego, które mieli zniszczyć, okazało się, że nie ma tam ani broni, ani żołnierzy. Nagle Dumford Slater przewrócił się, a jego odbezpieczony thompson wystrzelił serię, która zaalarmowała Niemców. Na szczęście nie potrafili oni zlokalizować napastników i Brytyjczycy bez strat wycofali się do miejsca zbiórki. Tam z kolei okazało się, że barki kołyszą się na falach kilkadziesiąt metrów od brzegu i trzeba do nich dopłynąć. Czterech komandosów przyznało się, że nie umie pływać. Pozostawiono ich na brzegu.

Żołnierze 11. Independent Company też nie mieli szczęścia. Złe kompasy naprowadziły jedną z łodzi na skałę, gdzie zatonęła. Pozostali dotarli co prawda do brzegu, ale nie zdołali odnaleźć lotniska i powrócili na niszczyciel.

Lofoty - dwóch komandosów prowadzi раннего kolegę do okrętu desantowego

KWOTY, mmi

Zdjęcie lotnicze willi i radaru w Bruneval, wykonane przed atakiem

Premier Winston Churchill na wieść o fiasku pierwszego rajdu powiedział:

Niech już nie będzie takich głupich niepowodzeń jak na Guemsey".

Dumfordowi Slaterowi okazja do zrehabilitowania się żołnierzy trafiła się kilka miesięcy później, 1 marca 1941 r. 500 komandosów z Commando 3 i 4 oraz saperów z Royal Engineers wyruszyło na pokładach promów kursujących w czasie pokoju po kanale La Manche - Princess Emma i Princess Beatrix - na norweskie wyspy odległe o 900 mil morskich - Lofoty. Powodzenie tak dalekiego rajdu musiałoby wywołać wiele hałasu w wiecie i to był główny powód zorganizowania tej wyprawy. Wyspy nie miały bowiem większego znaczenia militarnego. Znajdowały się tam przetwórnice tranu, których zniszczenie postawiono za główny cel misji. Ponadto komandosi mieli zachęcić Norwegów zdecydowanych do walki z Niemcami do wstąpienia do oddziału. Mieli także aresztować kolaborantów.

W czterech portach, do których komandosi dobili na nowych okrętach LCA. opuszczonych przed akcją z promów, ludność zgotowała im owacyjne powitanie. Jedynie niemiecki trawler narobił trochę kłopotu, rozpoczynając ogień do konwoju, ale szybko został zatopiony pociskami z niszczyciela HMS Somali, osłaniającego operację. Komandosi wysadzili przetwórnice tranu, zabrali ze sobą 300 ochotników, którzy zdecydowali się podjąć walkę z Niemcami w szeregach British Army i nie niepokojeni wrócili do kraju. Ich najchlubniejszy czas miał dopiero nadejść...

Z walk na Lofotach

Cieszę się, że pan się zgodził - generał wyciągnął rękę w stronę sierżanta Coxa. Ten, zaskoczony, wymamrotał jakąś formułkę. Zupełnie nie wiedział, o co chodzi generałowi. Na nic się nie zgadzał. Kazano mu stawić się w Ministerstwie Lotnictwa 1 lutego 1942 r. o godzinie 9.00. więc wykonał rozkaz nie mając pojęcia, o co chodzi.

- To trudna i niebezpieczna misja. Nie mogę teraz oczywiście wyjawić panu szczegółów. Pozna je pan w odpowiednim czasie - mówił dalej generał.

Tak rozpoczął się długi i żmudny trening sierżanta Coxa, który po paru dniach doszedł do wniosku, że jego zadaniem będzie zniszczenie lub zdemontowanie stacji radiolokacyjnej.

Niemcy, którzy w czasie bitwy o Anglię w 1940 r. nie mieli pojęcia, jak skutecznymi są radary, i jak bardzo ułatwiły Brytyjczykom obronę, w 1941 r. poczynili znaczniejsze postępy w konstruowaniu stacji radiolokacyjnych i budowie sieci posterunków na brzegach Francji. Zdjęcia lotnicze wykazały, że w Normandii wybudowano 15 stacji, a najnowocześniejsza mieściła się we wsi Bruneval, około 20 kilometrów na północ od Le Havre.

Prostokątna antena, otoczona niskim murkiem, została umieszczona na wysokich skałach, w odległości 100 metrów od brzegu. Dalej, w głębi lądu, znajdowała się piękna normandzka willa, w której mieszkała obsługa licząca prawdopodobnie dziesięciu specjalistów.

To miejsce wydawało się doskonale zabezpieczone przed atakami. Od strony morza dostęp broniła skalista ciana wznosząca się na wysokość 100 metrów nad

włskim skrawkiem kamienistej plaży. Łodziś można było dobić do wsi Bruneval, ale nad drogami prowadzącymi ze wsi do stacji radiolokacyjnej zlokalizowano 15 stanowisk karabinów maszynowych. Nie dało się podejść niepostrzeżenie do willi, a na głos alarmu do walki włączyłby się 100-osobowy oddział strażniczy, kwaterujący w budynkach farmy La Presbytère, odległych o około 350 metrów od radaru. Kilometr dalej stacjonował pułk piechoty, a w odległości kilku kilometrów batalion dysponujący samochodami pancernymi.

Jednakże dowódca operacji, major John D. Frost, analizując zdjęcia lotnicze doszedł do wniosku, że teren nadaje się doskonale dla spadochroniarzy. Mogli wylądować w wielu punktach równocześnie i podjąć symultaniczny atak na niemieckie stanowiska. Latarnia morska na Cap d'Antifer była doskonałym drogowskazem. Plan zaakceptowano. Komandosi mieli być zrzućeni z pokładu bombowców RAF, a po wykonaniu zadania zabrałyby ich z plaży Bruneval okręty Royal Navy.

Noc z 27 na 28 lutego 1942 r. przyniosła wymarzoną pogodę do przeprowadzenia operacji tego rodzaju. Księżyc wiecił jasno przez rzadkie chmurki.

KOMANDOSI

W kabinach bombowców Whitley, nie przystosowanych do transportu ludzi, panowało przenikliwe zimno. Dlatego też wyposażono komandosów w piwory, które rozłożyli na podłodze, gdy tylko weszli na pokłady bombowców.

O godzinie 23.30 dowodzący grupą 12 bombowców Wing Commander Pickard nadał sygnał: „Przygotować się do akcji”. Samoloty zbliżały się do francuskiego

brzegu.

Komandosi zwinęli piwory i ustawili się w szeregach.

Zielone wiatło na kabinie pilotów i przenikliwy brzęczyk oznaczały, że samoloty znajdujś się w pobliżu celu. Jeden po drugim spadochroniarze wysuwali się przez dziurę w podłodze w czarnš przepac.

Sierżant Cox wylšdował sprawnie. Godziny spędzone na treningach nie były zmarnowane. Zwinšł spadochron i zaczął rozglšdać się za pojemnikiem z ciężkš broniš, materiałami wybuchowymi i narzędziami niezbędnymi do demontażu urzšdzeń stacji radiolokacyjnej. Znalazł go bez trudu w niegu pokrywajšcym pola Bruneval i tuż potem dołšczył do oddziału porucznika Younga majšcego opanować radar. Major Frost dowodził drugš grupš, która skierowała się w stronę normandzkiej willi. Trzeci oddział blokował drogę prowadzšcš z farmy La Presbytere, a czwarty powinien przebić się do skał i oczyić drogę do plaży.

Niemcy - całkowie zaskoczeni atakiem - porzucili nietknięte urzšdzenia elektroniczne i schronili się na farmie. Cox dopadł do radaru i, nie zważajšc na strzelaninę, przystšpił do demontażu. Ostrzał nasilał się. W pewnym momencie pocisk wytršcił sierżantowi z ręki część, którš włanie wymontował. Nie przerwał jednak pracy i po kilkunastu minutach elementy stacji leżały na betonowym cokole. Trzej saperzy zaczęli przygotowywać ładunki wybuchowe.

- Wycofujemy się! - Z oddziału majora Prosta nadszedł sygnał odwrotu. Na drodze prowadzšcej do La Presbytere dostrzeżono wiatła pojazdów. Niemcy mogli przystšpić do kontrataku, a jeżeli udałoby im się cišgnąć na pomoc

samochody pancerne, mieliby możność odciść Brytyjczykom drogę odwrotu.

Teraz wszystko zależało od grupy, która miała zlikwidować stanowiska ogniowe bronišce zejcia na plażę. Wydawało się, że droga jest czysta; gdy komandos i dotarli do wšskiej drogi, usłyszeli nawoływania:

- Łodzie sš tutaj. Wszystko w porzřdku. Schodcie na dół!

Kilku komandosów poderwało się, ale natychmiast grad pocisków przycisnł

ich do ziemi. Domylili się, że który z Niemców, znajšcy angielski, krzyczał

z plaży, aby wcišgnł ich w pułapkę.

Dopiero poniewczasie Frost się zorientował, że grupa, która miała utorować

drogę do miasta, została zrzucona za daleko i nie zdšżyła dotrzeć na czas.

- Lucky, bierz szeciu ludzi i atakuj bunkier na zboczu! - krzyknł do sierżanta.

Wszelkie wysiłki opanowania niemieckiego stanowiska okazały się bezowoc-

ne. Czas uciekał. Lada moment z tyłu mogły nadjechać niemieckie samochody

pancerne. I wtedy w ciemnocich rozbłysły nagle latarki. Nadchodziła spóniona

grupa porucznika Charterisa. Tylko dzięki błyskom latami na Cap d'Antifer

odnaleli drogę i sprawnie dotarli na miejsce. Ich przybycie dodało ducha

komandosom tulšcym się do skał. nad którymi wistały niemieckie pociski. Jeden

z nich celnym rzutem granatu wybił załogę karabinu maszynowego, co otworzyło

drogę do bunkra, który wkrótce potem został zniszczony.

Komandosi rozciąli druty kolczaste i zsunęli się na dół, na plażę. O godzinie 2.30 do brzegu zaczęły dobijać łodzie, które zabrały Brytyjczyków. Po drodze dołączyły do nich dwa niszczyciele, które miały osłonić kolumnę niewielkich jednostek przed atakiem niemieckich okrętów.

Komandosi zostawili na francuskim brzegu jednego zabitego i 7 zaginionych.

W ciągu dwugodzinnej akcji odnieśli wielkie zwycięstwo: zabili 30-35 niemieckich żołnierzy, zniszczyli stanowisko radarowe, zdobyli kompletny radar i trzech jeńców.

Powrót z rajdu na Bruneval

Anglicy bali się tego kolosa. Pancernik Tirpitz, zwodowany 1 kwietnia 1939 r. w stoczni w Wilhelmshafen, rozpoczął służbę 16 stycznia 1942 r. rejsem do Trondheim.

Jego kadłub chroniły pancerze o grubości 32 centymetrów, pokład - 12 centymetrów, a wieże artyleryjskie osłaniane były przez płyty grube na 37 centymetrów. Główna artyleria składała się z ośmiu dział kał. 380 mm, zgrupowanych w czterech wieżach. Każdy z 960 pocisków zgromadzonych w magazynach pod pokładem ważył tonę i mógł razić cele odległe o 36 kilometrów. W 6 wieżach na ródokręciu zamontowano 12 dział kał. 150 mm. Artyleryjską potęgę Tirpitz uzupełniało 16 dział kał. 105 mm. 32 do 74 działek przeciwlotniczych kał. 37 i 20 mm oraz 8 wyrzutni torped 533 mm.

Wydawałoby się, że Brytyjczycy mający ogromną przewagę na morzu - jako

że ich flota liczyła 15 pancerników i 6 lotniskowców - nie muszę obawiać się samotnych niemieckich pancerników. Jednakże Admiralicja zdawała sobie sprawę, ile szkód może poczynić niemiecki kolos, gdy wyruszy na Atlantyk. Jedynie pancerniki mogły stawić mu czoło, a każdy konwój chroniony nawet przez krążowniki nie miał żadnych szans spotkania z Tirpitzem. Salwy z jego dział dziesiątkowałyby statki i okręty eskorty, zanim te zdołałyby zbliżyć się na odległość, z której mogłyby rozpocząć skuteczny ogień.

Obawa przed potęgą niemieckiego okrętu zamieniła się w strach, gdy inny niemiecki pancernik, Bismarck, wraz z towarzyszącym mu ciężkim krążownikiem Prinz. Eugenem, zadał flocie brytyjskiej na Atlantyku poważne straty: na dno poszedł ciężki krążownik Hood (z 1419 marynarzy stanowiących załogę Hooda uratowało się tylko trzech), a pancernik Prince of Wales został uszkodzony.

Anglicy zatopili w końcu Bismarcka, ale kosztowało ich to ogromnie wiele wysiłku. Musieli rzucić do walki (oprócz pancernika Prince of Wales, lotniskowca Victorious, ciężkich krążowników Suffolk i Norfolk, pozostających od początku w kontakcie z niemieckim okrętem) pancerniki King George V, Rodney, Revenge i Ramillies, lotniskowiec Ark Royal, krążowniki liniowe Repulse i Renown, lekki krążownik Sheffield oraz wiele mniejszych jednostek (wśród których był polski niszczyciel Piorun). Cała ta potężna armada z największym trudem dopadła niemiecki pancernik, zanim dotarł do portu, i zatopiła go.

Bismarck poszedł na dno, ale rolę pogromcy brytyjskiej żeglugi mógł przejść Tirpitz.

W końcu sierpnia 1941 r. Pierwszy Lord Admiralicji pisał do premiera

Churchilla:

Jak długo istnieje „Tirpitz” konieczne jest posiadanie dwóch okrętów typu

„King George V”, zdolnych do wspólnego działania.

Aby te dwa okręty mogły skutecznie działać, musimy mieć trzy okręty tej klasy na naszych wodach, istnieje bowiem możliwość uszkodzenia jednego z nich przez torpedę, bombę lub minę. Może także zaistnieć konieczność poddania remontowi.

Dwa dni później premier opowiedział:

„Tirpitz” jest dla nas dokładnie tym, czym na Oceanie Indyjskim jest dla japońskiej marynarki „King George V”. Wywołuje lęk i poczucie zagrożenia we wszystkich punktach jednoczenie. Pojawia się i znika, powodując bezprecedensową reakcję i zakłócenia po naszej stronie.

Churchill odgadł intencje Hitlera, który chciał, aby największe okręty Kriegsmarine, zbyt nieliczne, by stanść do otwartego boju z Royal Navy, były tylko postrachem brytyjskiej marynarki.

Na wieść o wyjściu Tirpitz z macierzystego portu Wilhemshaven i przejściu do Norwegii. Churchill pisał:

Od trzech dni wiadomo, że „Tirpitz” przebywa w Trondheim. Zniszczenie lub nawet uszkodzenie tego okrętu jest obecnie naszym naj^większym zadaniem na morzu.

Jednakże zniszczenie pancernika kotwiczšcego w norweskim fiordzie stanowiło niezwykle trudne zadanie. Był za daleko, aby mogły go dosięgnąć bombowce startujšce z lotnisk w Anglii lub Szkocji. Samoloty z lotniskowców musiałyby przedzierać się przez bardzo silnš naziemnš i powietrznš obronę przeciwlotniczš. Strome brzegi fiordu utrudniłyby atak, a gęsta zasłona dymna wypuszczana na pierwszy sygnał alarmu, zakryłaby dokładnie sylwetkę pancernika, uniemożliwiając bombowcom odnalezienie celu. Tirpitz nie mogłyby dosięgnąć torpedy okrętów podwodnych. Wejście do przystani zamykały sieci, a wody fiordu patrolowane były przez ciganice z hydrofonami i bombami głębinowymi. Okręt, który pokonałby wszystkie zapory i ominął polujšce nań jednostki, miał niewielkie szansę skutecznego strzału, gdyż kadłub pancernika osłaniały sieci zatrzymujšce torpedy.

Anglicy, nie mogšc zniszczyć pancernego kolosa, zdecydowali się uderzyć tak, aby ograniczyć możliwości poruszania się Tirpitz. Wiedzieli, że okręt wychodzący w morze musi mieć zagwarantowanš możliwość remontu i usunięcia ewentualnych uszkodzeń, które mogłyby powstać w czasie rejsu i walki. Jedyne takie miejsce znajdowało się w porcie St. Nazaire, gdzie Francuzi wybudowali ogromny suchy dok Formę Eciuse, nazywany również Formę Louis Joubert lub Formę Normandie, gdyż wybudowano tam wielki liniowiec pasażerski Normandie. Dok umożliwiał budowę i naprawę okrętów o wypornoci do 85 tysięcy ton.

Wydawałoby się, że najprostszym sposobem likwidacji doku jest wysłanie bombowców, ale taki plan został szybko zarzucony. Uznano, że nalot spowodowałby poważne ofiary wśród francuskich mieszkańców miasta, a prawdopodob-

nie nie udałoby się trafić w najważniejsze miejsca doku: stację pomp, uruchamiających ogromne wrota wodoszczelne, i same wrota, bez których dok nie mógłby funkcjonować. Dlatego też zadanie zniszczenia Formę Eciuse powierzono komandosom, których akcja miała największe szansę powodzenia.

Było wczesne rano, gdy Charles Newman wysiadł z pociągu na dworcu King's Cross w Londynie. Rozejrzał się niezdecydowanie po peronie. Rzadko bywał w stolicy i zawsze czuł się tu niepewnie. Gubił się w plątaniu uliczek, nie potrafił zapamiętać nazw placów i dotrzeć pod właściwy adres. Z tego też powodu postanowił nie ryzykować jazdy po stolicy autobusem, lecz skierował się na postój taksówek, których rzędy czerniły się przed dworcem.

Podróż ze Szkocji była długa, monotonna, i Newman miał wystarczająco dużo czasu, aby rozważyć, dlaczego wezwano go nagle do Sztabu Generalnego. Sądził, że pozna tam plany walki, do której zostanie wysłany wraz ze swymi komandosami.

Był urodzonym żołnierzem, choć przed wojną los skazał go na wykonywanie zawodu przedsiębiorcy budowlanego. Zarabiał niewiele, mieszkał w pięknym domu w Szkocji, żonie i córce zapewniał komfortowe życie, ale ciągnęło go do wojaczki. Przez dwa wieczory w tygodniu oraz w pierwszy i trzeci weekend każdego miesiąca wyciśgał mundur z szafy i udawał się na ćwiczenia Armii Terytorialnej. Mijały lata. aż 3 września 1939 r. Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom.

Newman. już w stopniu majora, włożył mundur na stałe, a gdy w czerwcu

1940 r. zapadła decyzja o utworzeniu oddziałów komandosów, jemu powierzono zorganizowanie i dowodzenie No 2 Commando. Zabrał się do tego z ogromnym zapałem i w marcu 1941 r. oddział rozpoczął szkolenie. Mordercze szkolenie.

Newman nie żałował potu własnego ani żołnierzy. Najpierw trenowali w Devonshire, gdzie przechodzili - jak to nazywał dowódca - ..proces utwardzania".

W wydanej przez siebie instrukcji major przewidywał, że żołnierze muszą utrzymywać najwyższy stan fizycznej kondycji. Żołnierze wszystkich stopni muszą być przygotowywani do pokonania dystansu 5-7 mil w ciągu godziny [8-10 km - BW] w terenie każdego rodzaju, w pełnym oporządzeniu bojowym.

Przykładowe ćwiczenie:

- a) 7 mil [11,2 km - BW] w ciągu godziny (marsz i bieg),
- b) 15 mil [24 km - BW] w ciągu 4-14 godziny, a po przebyciu ww. dystansów być gotowym do walki natychmiast (ćwiczenie a) lub po dwugodzinnym odpoczynku (ćwiczenie b).

Po kilku miesiącach utwardzania" komandosi pojechali do zamku w Achnacarry w Szkocji, gdzie tuż za bramą musieli przemaszerować przed rzędem grobów z tabliczkami: ..le przygotował linę do wspinaczki"; ..przebiegł przed karabinem maszynowym w czasie zajęć strzeleckich" itp. Oczywiście groby były puste, ale widok cmentarnej alei miał być ostrzeżeniem, że nowo przybyli nie mogą liczyć na łatwe sukcesy. Rzeczywistość przeszła jednak najgorsze obawy.

Każdego dnia trenowali wspinaczkę, walkę w mieście, wyjeżdżali nad morze

ćwiczyć desantowanie z okrętów albo po prostu odbywać przejażdżki, tyle że po wzburzonym morzu lub w czasie lodowatych wichrów. Po paru miesiącach Newman zyskał pewność, że jego oddział jest pod każdym względem przygotowany do akcji, ale o żadnej jako nie było słycać.

Komandosi zaczynali się nudzić. Tracili ochotę do dalszych ćwiczeń, skoro ich wysiłek nie był wykorzystany. Dochodziło do bójek i awantur w pubach; w ten sposób uchodziła z żołnierzy gromadzona przez całe miesiące agresja. Newman uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie nowa porcja treningu i zabrał swoich chłopców na Hebrydy. aby tam w mronej pogodzie ćwiczyli desantowanie na kamieniste plaże. Miał jednak wiadomość, że długo nie utrzyma oddziału w ryzach. Wezwanie do Londynu przyjsł z ulgš i nadziejs na operację, w której chłopcy będs mogli wykazać swe umiejętnoci.

Konferencja w Sztabie Generalnym rozpoczęła się o godzinie 11.00. Prowadził js generał Charles Haydon, dowódca Special Service Brigade, w której skład, obok 11 innych oddziałów, wchodziło No 2 Commando.

Pierwsze słowa generała wcisnęły Newmana w fotel, Haydon zaproponował bowiem omówienie planów letniego treningu. Jednakże zniechęcenie, jakie ogarnęło majora, szybko zostało zastšpione ekscytacjš, gdy po skończonej naradzie Haydon wzišł go na bok i polecił, aby wytypował 100 żołnierzy na kurs walk w miecie. Newman spojrzal ze zdziwieniem. Jego żołnierze od wielu miesięcy uczyli się zdobywania domów, budowania stanowisk obronnych i przyswajali skomplikowanš wiedzę na temat miejskich bitew. Nie było potrzeby wysyłania ich na kurs tego typu. Nie zaprotestował jednak przeciwko projekto-

wi. - Skoro chcę przygotowywać żołnierzy do walki w mieście, to znaczy, że chodzi o konkretną akcję, w konkretnym mieście - pomyślał.

- Za dwa dni przybędę do pana jednostki - oznajmił generał i ta zapowiedź rozwiała wszelkie wątpliwości Newmana.

Wracał do Szkocji w doskonałym nastroju. Był pewien, że generał przywiezie plan operacji, choć zastanawiała go tajemniczość, która towarzyszyła zachowaniu dowódcy Special Service Brigade: po co wzywano majora na konferencję w sprawie szkolenia? Dlaczego generał zdecydował się przyjechać do Szkocji?

Sprawa wyjaśniła się, gdy w kwaterze Newmana w Ayr generał położył na biurku plik dokumentów dotyczących francuskiego portu w St. Nazaire. Chodziło o największą z dotychczasowych operacji sił specjalnych. Aby ukryć przygotowania do niej przed niemieckimi szpiegami, oficjalnie zorganizowano konferencję w sprawie treningu komandosów.

Tego dnia Newman, mianowany dowódcą ataku na port, siedział do późna w nocy nad zdjęciami lotniczymi i meldunkami wywiadu.

Port Nazaire położony był u ujścia Loary, w odległości około 10 kilometrów od morza. Dok Formę Eciuse odgrywał podwójną rolę: służył naprawie i budowie dużych jednostek, a gdy nie był potrzebny do tego celu, wykorzystywano go jako luźną między Loarą a basenem „Penhouet”.

Jego długość wynosiła około 350 metrów, szerokość 50 metrów. Zamykały go ogromne, przesuwane wrota o długości 54 metrów, wysokości 16,8 metra i grubości

10,5 metra. Tylko tak potężna konstrukcja mogła wytrzymać ogromny napór wody.

Tuż obok wrót, na zachodnim brzegu, umieszczono maszyny uruchamiające je. Na południowym brzegu znajdowała się stacja pomp opróżniających dok z wody.

KOMANDOSI

Mniejsze statki i okręty mogły dostać się do basenów portowych przez luzy tzw. Starego Wejścia lub przez awanport, skąd kanał z czterema luzami prowadził do basenu „St. Nazair”, gdzie Niemcy przystąpili do budowy ogromnych bunkrów przeznaczonych na przystanie dla okrętów podwodnych.

W wielu punktach ustawiono stanowiska dział kał. 20, 37 i 40 mm. Wdarcie się do portu wydawało się zadaniem samobójczym.

Newman poznał wkrótce dowódcę morskiej części operacji - komandora Roberta E.D. Rydera, nazywanego z racji inicjałów RED. Był to człowiek o bogatej przeszłości. Przed wojną służył na okręcie podwodnym, później dowodził statkiem badawczym działającym w rejonie Antarktydy. Tuż po wybuchu wojny powierzono mu dowodzenie okrętem-pułapką (tzw. Q-Ship);

był to frachtowiec uzbrojony w wiele starannie zamaskowanych dział. Jego zadaniem było krążenie po Morzu Północnym w poszukiwaniu U-bootów.

Autorom tego planu wydawało się, że niemiecki okręt, widząc samotny statek, nie zechce posłać go na dno za pomocą torpedy, lecz wynurzy się, aby ostrzelać z działa, a wówczas Q-Ship zrzuci pokojową maskę i rozpocznie ogień ze swej pokładowej artylerii. Ryder miał jednak pecha: U-boot nie wynurzył się, lecz strzałem z torpedy posłał na dno jego okręt. Komandor, któremu się udało

w ostatniej chwili uchwycić jakiej belki, spędził w wodzie cztery doby bez jedzenia i picia, aż odnalazł go jakiś okręt.

Wkrótce potem oddano pod jego komendę okręt transportowy Prince Philippe, ale i ten u wybrzeży Szkocji poszedł na dno po zderzeniu we mgle z innym okrętem. Ryder ponownie stanął na mostku kapitańskim statku transportowego, który w tajemniczych okolicznościach też zatonił.

Tego było już za dużo i Admiralicja odesłała szczęśliwego pechowego komandora do pracy na lądzie, gdzie został ekspertem do spraw zwalczania niemieckich wojsk inwazyjnych, gdyby pojawiły się one u brzegów Anglii.

Pewnego lutowego dnia RED wyruszył na wezwanie do Londynu, do dowództwa operacji połączonych (Combined Operations), na którego czele od października 1941 r. stał lord Mountbatten.

- Panowie, to jest cel największej z dotychczasowych akcji komandoskich - rozpoczął wyjaśnienia Mountbatten, wskazując makietę stojącą na dużym stole porożku pokoju. - Nadalimy jej kryptonim Chariot". Do portu wędrują się nasze jednostki z komandosami, którzy desantują się na nabrzeża i przystąpią do niszczenia najważniejszych urzędzeń. Główne zadanie wykona okręt z ładunkami wybuchowymi. Staranuje on wrota suchego doku. niszczyć je całkowicie...

Był to pomysł kapitana J. Hughes-Halletta, szybko zaakceptowany przez Mountbattena.

Ryder rozglądał się po sali. Kazano mu przyjechać do Londynu, więc uczynił to,

ale nie pojmował, w jakim celu.

- Oczywiście cały rejon jest strzeżony przez silne niemieckie oddziały.

Przejście okrętu, który staranuje wrota, oraz jednostek z komandosami odbywać się będzie prawdopodobnie pod ogniem dział nabrzeżnych. Ssdzę jednak, że uda

nam się odwrócić uwagę ich obsługi przez równoczesny nalot bombowy -

kontynuował lord. - To oczywiście tylko główne zarysy planu, którego szczegóły przygotuje zespół ekspertów z Combined Operations. Dowódcą całej operacji będzie podpułkownik Charles Newman...

- Tak jest! - Newman wstał i skinął głową.

- Morską część operacji dowodzić będzie komandor Robert Ryder... -

Mountbatten zawiesił głos. aby dać czas na podniesienie się i przedstawienie zebranym wymienionego oficera. Ale Ryder nawet nie drgnął.

- Komandor Ryder! - powtórzył Mountbatten dobitniej.

- Ja?! Sir, to chyba jakie... - Ryder wstał powoli, a na jego twarzy malowało się tak bezgraniczne zdumienie, że Mountbatten umiechnął się.

- Czy ma pan co przeciwko tej nominacji?- zapytał.

- Ależ nie, sir! - wykrzyknął Ryder. - To zaszczyt...

Narada zakończyła się szybko. Rozpoczął się najtrudniejszy okres szczegółowego przygotowania akcji. Przede wszystkim należało wybrać okręt. Specjalici

nie mieli wątpliwości, że powinien być to niszczyciel, gdyż tylko taki okręt można było opancerzyć tak, by miał szansę przedrzeć się przez ogień nabrzuonych baterii. Pierwotnie wybór padł na polski niszczyciel Burza. Na początku roku 1942 okręt ten wszedł do Portsmouth, gdzie miał być poddany gruntownemu remontowi. Anglicy narzekali, że Burza jest jednostką nietypową w ich flocie, co powoduje ogromne kłopoty z dobraniem części zamiennych i uzupełnianiem wyposażenia. Dlatego właśnie zaproponowali, żeby to polski niszczyciel staranował bramę doku. Kierownictwu Marynarki Wojennej nie odpowiadała jednak zamiana pięknego okrętu w taran i zdecydowanie odmówiło zgody na użycie jednostki stanowiącej polską własność. Wtedy Newman i Ryder wypatrzyli przy nabrzeżu portu w Portsmouth HMS Campbeltown, stary eks-amerykański niszczyciel USS Buchanan, dostarczony Wielkiej Brytanii wraz z 50 innymi okrętami w zamian za zgodę na korzystanie przez USA z baz w rejonie Karaibów.

Należało oczywiście niszczyciel przygotować do niezwyklej misji i Newman postanowił osobiście dokonać inspekcji. Wczesnym rankiem wyruszył do portu, ale przy trapię drogę zagroził mu Ryder.

- Wybierasz się na pokład?

- Tak. Chcę się rozejrzeć po tym okręcie - odparł Newman, zdziwiony takim powitaniem.

- A jeżeli w pobliżu jest jakiś niemiecki szpieg, to sądzisz, że nie zwróci uwagi, iż po pokładzie niszczyciela chodzi sobie oficer wojsk lądowych?...

Newman cofnął się skonfundowany.

- Od razu będzie wiadomo, że przygotowujemy jakąś akcję - mówił wyranie zadowolony z siebie Ryder. - Ach. te szczury lśdowe! - dodał, gdy Newman oddalił się o parę kroków, i podsztył za nim.

10 marca Campbeltown przeszedł do Devonportu, gdzie został poddany koniecznym zmianom. Przede wszystkim trzeba mu było ujść nieco ciężaru, by w ten sposób zmniejszyć o 1,2 metra zanurzenie; z 4,4 do 3,2 metra. Było to konieczne, gdyż zakładano, że niszczyciel będzie musiał dostać się do doku przez płytkie wody ujcia Loary, gdzie było wiele mielizn. Po 9 dniach, gdy zdemontowano 3 działa kał. 100 mm, wyrzutnie torpedowe, bomby głębinowe itp., okazało się, że zanurzenie zmniejszyło się tylko o 90 cm. Oznaczało to, że przy prędkoci 15 węzłów między kilem okrętu a dnem pozostanie tylko 60 centymetrów. Nie było jednak rady.

Campbeltown zmienił się całkowicie. Mostek obłożono pancernymi płytami o gruboci 12 milimetrów, chroniścymi załogę przed pociskami z broni maszynowej i działek kał. 20 mm. Na pokładzie przyspawano cztery rzędy stalowych płyt o tej samej gruboci, za którymi mogli skryć się komandosi. W miejsce zdemontowanych dział wstawiono 8 działek Oerlikona kał. 20 mm. a na dziobie ustawiono działo 12-funtowe.

Zmieniła się również sylwetka okrętu. Z pocziwego czterokominowca wycięto dwa kominy, a pozostałe dwa skrócono. Dzięki tym wszystkim zmianom eks-amerykański niszczyciel upodobił się do niemieckich okrętów typu Mowę. które często zawijały do St. Nazaire. Można więc było liczyć na to. że wyglśd

niszczyciela zmyli w pierwszej chwili załogi nabrzeżnych baterii.

Pozostał problem zamontowania ładunku wybuchowego. Była to bardzo trudna sprawa. Eksplozja musiała nastąpić po paru godzinach od staranowania wrót, tak aby załoga i komandosi mieli czas opuścić okręt i oddalić się na bezpieczną odległość.

Ładunek powinien znajdować się możliwie najbliżej dziobu, który wryje się we wrota, a jednocześnie należało zabezpieczyć go przed eksplozją w wyniku zderzenia.

Jak nie dopuścić do zdemontowania zapalników przez niemieckich saperów, którzy na pewno wejdą na pokład po opuszczeniu go przez Brytyjczyków?

Te problemy rozwiązywali dwaj eksperci od broni: porucznik Nigel Tibbits

i kapitan Pritchard. Uznali, że najlepsze miejsce na założenie materiałów

wybuchowych znajduje się tuż za stalowym słupem podtrzymującym pokład

w miejscu zamontowania wieży artyleryjskiej: konstrukcja dawała pewność, że ta

sekcja kadłuba nie zostanie zgnieciona przy taranowaniu wrót doku. Tam też

złożono 24 bomby głębinowe zawierające łącznie 4.25 ton materiału wybucho-

wego. Wszystkie zostały polśczone za pomocą cordtex - wodoodpornych

zapalników zespolonych z głównym zapalnikiem, tzn. ołówkowym, uzbrajającym

się w wyniku uderzenia i działającym z omiogodzinnym opóźnieniem. Całość

zamknięto w stalowym pudle oblanym betonem, co dawało pewność, że Niemcy

po wejściu pod pokład nie zorientują się szybko, co zawiera betonowy kloc.

Gdyby Campbelltown zawiódł i nie udało mu się dotrzeć do doku, do akcji miał

przystąpić cigan torpedowy MTB-74. Dowodził nim podporucznik Wynn

i według jego projektu przebudowano okręt. Dwie wyrzutnie torpedowe, umiesz-

czone normalnie wzdłuż burt, przeniesiono na dziób i uzbrojono w specjalne

torpedy wyposażone w zapalniki zegarowe, a nie. jak w tego typu broni - uderzeniowe. Te zmiany miały umożliwić MTB-74 atakowanie okrętów w portach chronionych sieciami przeciwtorpedowymi. Cigacz podpływał do sieci i dopiero wtedy wystrzeliwał torpedy. Umieszczenie wyrzutni na dziobie umożliwiałoby torpedom przeskoczenie sieci. Torpeda tonęła w pobliżu zaatakowanego obiektu i po pewnym czasie eksplodowała. kierując na kadłub siłą wody pod ogromnym ciśnieniem.

Podstawowym problemem był jednak wadliwie zaprojektowany napęd cigacza wyposażonego w pięć silników. Gdy tylko jeden szwankował, cztery pozostałe - jakby na znak solidarności - również odmawiały posłuszeństwa. W tej sytuacji zbyt ryzykowne byłoby wyprawianie okrętu w samodzielny rejs do St. Nazaire i zdecydowano, że odbędzie podróż na holu za Campbeltownem.

W skład armady miały wejść ponadto cigacze ML - „B” Ciass z dodatkowymi zbiornikami paliwa (2250 litrów), umożliwiającymi tym jednostkom - przeznaczanym do przybrzeżnej służby - odbycie morskiej podróży, oraz cigacz MGB „C” Ciass silnie uzbrojony w 2-funtowe działko Yickersa wystrzeliwujące 120 pocisków na minutę. 2-funtowe działko Rollsa oraz dwa najcięższe karabiny maszynowe kal. 12.7 mm. Ten okręt przysparzał załodze sporych kłopotów; jego dwa silniki uniemożliwiały utrzymanie stałej prędkości: wahała się ona od 15 do 40 węzłów. Nie było innej rady - też musiał płynąć na holu za jednym z niszczycieli eskorty.

Broń była gotowa. Nadchodził czas akcji.

26 marca 1942 r. o 14.00 z portu Falmouth wyszedł w morze konwój. Okręty uformowały szyk w postaci szeroko rozwartego, odwróconego „v”. Na czele szły dwa cigacze torpedowe. Pozostałe cigacze tworzyły ramiona osłaniające idący w środku niszczyciel Campbeltown (ciśnięty na holu MTB) oraz dwa niszczyciele eskorty: Tynedale i Atherstone z przyczepionym MGB. Na ich pokładach było 611 komandosów.

Okręty przyjęły typowy szyk stosowany przez Royal Navy w czasie polowania na niemieckie okręty podwodne. Uczyniły to specjalnie, aby nie wzbudzać podejrzeń przypadkowo napotkanych niemieckich jednostek pływających lub samolotów. Przystępując do ataku, miały zmienić szyk.

Już na kanale La Manche wydawało się, że szczęście nie sprzyja miałkom.

27 marca o godzinie 7.29 oficer wachtowy z Tynedale zameldował, że w odległości kilku mil znajduje się dziwny obiekt.

Komandor Ryder podszedł do radiostacji, wezwany przez oficera, który odebrał sygnał.

- Zapytajcie ich, co to może być - polecił.

- Kiosk niemieckiego okrętu podwodnego lub łódź rybacka, sir - zameldował po chwili radiotelegrafista.

- Przekaż im, że mają ruszyć w tamtą stronę i sprawdzić, co to jest naprawdę - rozkazał Ryder, ale zaraz okazało się, że sprawdzenie nie jest konieczne.

- U-boot przed nami! - doszedł z mostka głos marynarza obserwującego

morze przez lornetkę.

Ryder wybiegł na zewnątrz. Nie było JUŻ żadnych wstępliwoci. W odległości około 7,5 mili na powierzchni morza szedł U-boot. Tynedale i tuż za nim Atherstone ruszyły pełną parą w jego stronę.

KOMANDOSI

Niemcy z nieznanymi powodów nie obserwowali morza. Tynedale zbliżył się na odległość 3800 metrów i rozpoczął ogień z dział dziobowych. Jednakże artylerzyści nie popisali się, gdyż wśród fontann wzbijanych przez pociski, niemiecki okręt skrył się pod wodą. Z pokładu niszczyciela wystrzelono kilka bomb głębinowych. Tym razem salwa była celniejsza i zmusiła U-boota do wynurzenia się. Znowu jednak zawiedli artylerzyści i okręt skrył się pod wodą. Dwugodzinne prawie polowanie, w którym brały udział dwa niszczyciele, na nic się zdało i około 9.30 powróciły do szyku.

- Sędzisz, że nadali sygnał ostrzegawczy? - Newman odłożył na bok lornetkę, przez którą obserwował nieudany pojedynek z U-bootem.

- Tak myślę. - Ryder wiedział, że na nim spoczywa ciężar decyzji. Jeżeli port w St. Nazaire został ostrzeżony o nadciąganiu brytyjskiej flotylli, to w tej chwili ruszyło w tę stronę kilka okrętów. Jednakże RED uznał, że nie należy przerywać akcji. - Jesteśmy w odległości około 100 mil na południowy zachód od Brestu. Jeżeli nawet załoga U-boota zawiadomiła bazę, to nie mają żadnych podstaw sądzić, że zmierzamy do St. Nazaire. Będą przekonani, że jesteśmy zwykłym zespołem polującym na L"-booty.

- Doć nieudolnie - mruknął Newman. mając na myśli niedawną potyczkę niszczycieli z niemieckim okrętem.

- Poza tym pogoda nam sprzyja - dodał Ryder, wpatrując się w niskie deszczowe chmury, które zakrywały horyzont. - Możemy mieć pewność, że samoloty nas nie dostrzegą.

Sprawdziły się obawy dowódców, że załoga niemieckiego okrętu ostrzegła port w St. Nazaire. Jednakże, na szczęście dla Brytyjczyków, radiotelegrafista pomylił się i podał, że wrogie okręty zmierzają na zachód, co nie wzbudziło większego zainteresowania w niemieckich bazach.

O godzinie 11.35 z niskich, wiszących tuż nad wodą chmur wyłoniła się flotylla francuskich kutrów rybackich wracających z połowu na przybrzeżnych wodach.

- Jest ich sześć - zameldował wachtowy.

- Jeżeli mają radiostację, mogą powiadomić Niemców - zmartwił się Newman. - A nie możemy rozwalić tylu francuskich kutrów, bo będzie to niesłychana gratka dla niemieckiej propagandy.

- Ale możemy zabrać załogi na pokład...

Tymczasem ruszył w stronę dwóch płynących najbliższych kutrów, wzywając je do zatrzymania. Załogi nie stawiały oporu i potulnie weszły na pokład niszczyciela.

W tym samym czasie Atherstone zatrzymał trzeci z kutrów, którego szyperski zapewnił Brytyjczyków, że żadna z łodzi nie ma radiostacji, a załogi składają się

z Francuzów nienawidzących Niemców.

- Czy wie pan, że musimy zatrzymać pana i zatopić łódź? - Ryderowi było wyranie przykro.

- C'est la guerre! - Szyper wzruszył ramionami. Nie ukrywał jednak satysfakcji, widząc jak przez wiele minut brytyjscy artylerzyści strzelają z odległości kilkudziesięciu metrów do łódki, a ta wciąż kołysze się na falach.

KOMANDOSI

- Podpalić tę krypę! - krzyknął Ryder rozzłoszczony kolejnymi nieudanymi popisami artylerzystów.

Dalszy rejs przebiegł już spokojnie.

O godzinie 22.00 na Campbeltownie, który z nadejściem ciemności wysunął się na czoło szyku, dostrzeżono dwa błynięcia lampy. Ten sygnał nadawano z pomostu okrętu podwodnego Sturgeon, który wcześniej dotarł do ujścia Loary. Błyski oznaczały, że po przebyciu 450 mil zespół komandosów znalazł się dokładnie w miejscu określonym jako „Point Z”.

Porucznik Tibbits zszedł pod pokład Campbeltowna i uruchomił zapalnik ładunku wybuchowego. Ze zgniecionej szklanej kapsuły zaczął wyciekać kwas, który po omiu godzinach miał przereć miedziany drut podtrzymujący iglicę.

Akcja się rozpoczęła, ale komandosi musieli czekać, aż nadleci samoloty, które, bombardując port, miały zająć uwagę Niemców. O 23.30 dobiegł szum silników.

Bombowce zbliżały się do portu.

- Na stanowiska! - Kapitan Mecke, dowódca niemieckiej morskiej brygady obrony przeciwlotniczej ogłosił alarm, gdy tylko stacja radiolokacyjna zameldowała o zbliżaniu się alianckich samolotów.

{ Zbiegł wśskimi schodami na dół bunkra, w którym pracowała obsługa stacji i radiolokacyjnej.

i - Około 30 maszyn z północnego zachodu, na wysokości 2000 metrów - zameldował operator.

- Jak mogš atakować przy takiej pogodzie?! Przecież nic nie widzš?! - zdziwił się Mecke. Wieczorem pogoda się pogorszyła i gruba warstwa deszczowych chmur zasłoniła niebo. W takich warunkach alianci nie dokonywali dotšd nalotów...

- W dalszym cišgu na 2000 metrów - meldował operator.

Po kilku minutach rozległ się odległy wybuch, po chwili drugi.

- Sš nad nami, ale nic z tego nie rozumiem! - Mecke zaczął podejrzewać, że nalot ma inny cel niż zniszczenie bronionej przez niego placówki. Brytyjskie samoloty zrzucały bomby z wysokości 2000 metrów rzadko i niecelnie. Jedna z bomb eksplodowała poroдку rzeki, inna trafiła w port, wzniecajšc pożar.

Słychać było jeszcze dwa wybuchy.

- Przekazać meldunek! - Mecke obrócił się do radiotelegrafisty. - Zachowanie nieprzyjacielskich samolotów jest niewytłumaczalne i wskazuje na możliwość

lądowania spadochroniarzy.

Pół godziny później samoloty odleciały, ale Mecke nakazał wszystkim załogom dział przeciwlotniczych pozostanie na stanowiskach. Miały zwracać szczególną uwagę na brzeg morza.

15 minut później w bunkrze Meckego zadzwonił telefon.

- Kapitan Mecke, słucham.

- Stanowisko nr 3. Od morza zbliża się 17 jednostek. Idź obok awanportu.

- Połóżcie mnie z dowódcą portu - rozkazał Mecke. - Jeli jest w domu i pi, to go obudcie.

- Tak, kapitanie... - Głos dowódcy był wyraźnie zaspany. - Czy dzieje się coś niezwykłego?

- Jeszcze nie wiem. Czy dzisiejszej nocy spodziewany jest jakiś większy konwój?

- Nie!

O godzinie 1.22 fala wiatel z nabrzeżnych reflektorów zalała niszczyciel Campbeltown i podszajście po jego bokach cigacze. Widać je było jak na dłoni. ale Niemcy nie rozpoczęli ognia. Prawdopodobnie zmyliła ich sylwetka brytyjskiego niszczyciela: komin Campbeltowna znakomicie upodabniał go do niemieckiego torpedowca. Mijały minuty, a z brzegu nie padł żaden strzał.

Komandor Robert Ryder, który wraz z Newmanem urządził stanowisko dowodzenia na Starym Molo, obliczał, że do celu pozostało jeszcze półtorej mili. Przebycie tej trasy powinno zająć około 10 minut. Jednakże cisza nie trwała długo. Niemcy przez radio zażądali podania znaków rozpoznawczych.

Radiotelegrafista z niszczyciela nie stracił głowy i odpowiedział: „Czekajcie”. Tuż potem podał, znany Anglikom, znak jednego z niemieckich torpedowców. Tym razem jednak Niemcy nie dali się zwieść. Z brzegu padły pierwsze strzały.

Campbeltown przekazał następny sygnał: „Dwie jednostki uszkodzone w wyniku akcji nieprzyjacielskiej proszę o bezzwłoczne wydanie zgody na wejście do portu”. Strzały ucichły. Do bramy doku pozostała jeszcze mila. Z mostka brytyjskiego niszczyciela nadawano za pomocą lampy międzynarodowy sygnał informujący, że okręt znalazł się pod ogniem zaprzyjanych sił, ale Niemcy nie mieli już wątpliwoci, że to nie ich jednostka zbliża się do portu.

Jednostki patrolowe i baterie nadbrzeżne wznowiły kanonadę. Campbeltown odpowiedział ogniem, zatapiając jedną z małych jednostek straży przybrzeżnej i parł do przodu z szybkością 19 węzłów. Płyty osłaniające mostek i pancerze przyspawane do pokładu znakomicie osłaniały załogę i komandosów. Nie wytrzymałyby ognia cięższych dział, ale przy doku znajdowały się jedynie stanowiska obrony przeciwlotniczej z działkami kal. 20 mm. Tysiące pocisków z oerlikonów i karabinów maszynowych leciało w stronę niszczyciela; żaden jednak nie był tak celny, by zatrzymać szarżujący okręt. Straty na pokładzie nie były duże: ranny został sternik i dwaj marynarze z obsługi działek. Dopiero tuż przed bramą pocisk dużego kalibru trafił w stanowisko 12-funtowego działa i zabił obsługę. Jednakże już nic nie mogło

powstrzymać niszczyciela przed uderzeniem w bramę doku.

- Przygotować się do taranowania! - krzyknął przez megafon dowódca

Campbeltowna.

Kadłub zadygotał, gdy okręt wrył się w stalową sieć chroniącą dostęp do wrot. Liny, które miały za zadanie powstrzymać torpedy, nie wytrzymały impetu okrętu i pękły. Jednakże prędkość Campbeltowna spadła wyczuwalnie, a do bramy pozostało jeszcze kilkadziesiąt metrów. Zapalający pocisk rozerwał się na dziobie, wzniesając pożar. Campbeltown, płonąc jak pochodnia, wbił się w stalowe wrota. Dziób uniósł się do góry ze straszliwym zgrzytem zgniatanych blach. a po chwili opadł o kilkadziesiąt centymetrów. Była godzina o 1.34.

Campbelltown" wbity we wrota doku; na pokładzie niemieccy oficerowie

Zdjęcie zrobione kilka minut przed wybuchem

ST. NAZAIBE

Z walk w porcie St. Nazaire

W czasie gdy niszczyciel szarżował na wrota, komandosi dopłynęli na motorówkach do brzegu i założyli ładunki wybuchowe w maszynowni doku, magazynach, dwigach i stacji pomp. Wybuchy i następujące po nich pożary powiększały dezorientację Niemców, którzy zdołali jednak zatopić 11 ciganów. Do pozostałych pięciu załadowano część załogi Campbeltowna i rannych komandosów. Żołnierze, dla których zabrakło miejsca, otrzymali rozkaz przebi-

cia się do miasta i dalej - do lasu, gdzie czekał już na nich oddział partyzancki.

W czasie operacji zginęło 144 komandosów.

Ci, którzy odpływali w stronę czekających na morzu niszczycieli, i ci, którzy przedarli się do St. Nazaire, przeżyli gorzkie chwile rozczarowania. Minął czas, na jaki były nastawione zapalniki ładunku wybuchowego, lecz eksplozja nie nastąpiła. Wydawało się, że bohaterska akcja, która pochłonęła tak wiele ofiar, zakończy się fiaskiem, gdyż zawiodły zapalniki, lub też Niemcy odkryli je w porę i rozbroili. Jednakże Niemcy nie wiedzieli, że pod pokładem okrętu wbitego we wrota doku znajduje się ładunek wybuchowy. Uznali, że zadanie Brytyjczyków polegało na staranowaniu bramy.

Nad ranem kilkudziesięciu oficerów niemieckich weszło na pokład Campbeltowna.

Dokonywali pomiarów, sprawdzali stopień zniszczenia wrót, fotografowali. Zapewne wielu zeszło pod pokład, ale nikt nie zwrócił uwagi na betonową skrzynię za stalowym filarem. Być może uznali, że to balast, który miał wzmocnić siłę taranowania. I wtedy zadziałały zegarowe zapalniki. Było to prawdopodobnie po godzinie 11.00.

Straszliwa eksplozja ponad 4 materiałów wybuchowych zmiotła 40 oficerów znajdujących się na pokładzie i zabiła kilkuset żołnierzy zebranych na nabrzeżu.

Ofiarą wybuchu padło około 400 oficerów i żołnierzy. Dok, który mógł służyć Tirpitzowi powracającemu z atlantyckich łowów, przestał działać. Było oczywiste, że naprawa zajmie wiele miesięcy.

Jednakże opóŃniony wybuch na pokładzie Campbeltowna nie był jedyny.

W poniedziałek 30 marca o godzinie 16.30 potężna eksplozja wstrząsnęła luzš Starego Wejcia, a po półgodzinie - druga. 60 godzin po akcji komandosów eksplodowały głowice dwóch torped wystrzelonych przez MTB. Francuscy robotnicy pracujšcy w tym rejonie, nie wiedzšc, co się dzieje, zaczęli uciekać w stronę wielkiego doku. Przejście przez most nad luzš zamykał posterunek, ale żołnierze, widzšc tłum uciekajšcych, ustšpili im drogi. Następnym posterunkiem otrzymał rozkaz zatrzymania biegnšcych. Długie serie z karabinów maszynowych dziesiątkowały robotników. W cišgu kilkunastu minut zginęło 280 Francuzów. Wkrótce strzały rozległy się w innych punktach portu. O zmierzchu zdezorientowani niemieccy żołnierze strzelali do własnych patroli; te odpowiadały ogniem. W chaotycznej strzelaninie zginęło kilkunastu żołnierzy oraz robotników z organizacji Todta, gdyż ze względu na mundury khaki, często byli brani za brytyjskich komandosów.

Do generała Ritchiego! - podpułkownik krzyknšł do wartownika stojšcego przy drzwiach budynku kwatery zastępcy głównodowodzšcego wojskami brytyjskimi na Bliskim Wschodzie. Minšł żołnierza i chwycił za klamkę uważajšc, że pewnoć siebie jest najlepszš przepustkš. Ale wartownik nie dał się zbić z tropu.

- Chwileczkę, sir! Czy ma pan przepustkę?

Pułkownik się zawahał. Z tonu, jakim ołniez zadał pytanie, wynikało, że nie zamierza zadowolić się niczym innym jak tylko starannym przestudiowaniem przepustki.

- Nie. A gdzie jest biuro przepustek?

- Tam. w oficynie, sir. - Wartownik odprowadził przybysza badawczym wzrokiem aż do drzwi biura przepustek, a potem machnął ręką w stronę innego żołnierza, nakazując zwrócenie uwagi na pełnego tupetu oficera.

- Jestem pułkownik David Stirling. Chciałbym zameldować się u generała Ritchiego.

- Czy jest pan wezwany? - sierżant podniósł wzrok znad papierów rozłożonych na biurku. Przycisnął je kamieniem, aby podmuch powietrza z dwóch wentylatorów nie rozwiał dokumentów po pokoju.

- Nie, ale to ważna sprawa...

- Przykro mi, sir. Obowiśzuje droga służbowa. - Sierżant opucił głowę, uznając wyjanienia za zakończone.

Stirling patrzył na niego przez chwilę, ale doszedł do wniosku, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z brudnego pokoju z niewiadomych powodów nazwanego biurem. Stał bezradnie przed budynkiem, unikając wzroku wartownika, z którym rozmawiał przed chwilą.

- Cholerne szczęście! - powiedział półgłosem.

Poprzedniego dnia wyszedł ze szpitala, gdzie przez trzy tygodnie leczono mu ramię zranione wybuchem granatu. Jeszcze przez ten jeden dzień mógł pozostać

w Kairze i postanowił wykorzystać tę okazję i dostać się do zastępcy naczelnego dowódcy. Był tak blisko; kilkadziesiąt metrów od niego siedział generał Ritchie...

Pułkownik skręcił w wąską, pustą uliczkę. Przeszedł wolno kilkanacie kroków, zanim się zorientował, że wybrał złą drogę, gdyż drugi kraniec ulicy grodziły zwoje drutów kolczastych rozpiętych na kozłach. Zatrzymał się i spojrzął na wysoki biały mur okalający budynki kwatery. W pobliżu nie widać było wartownika, ale ciana była za wysoka, by bez drabiny lub sznura dała się sforsować. Stirling postanowił zaopatrzyć się w ten sprzęt. Nagle jego wzrok padł na bramę zastawioną kozłami z drutem kolczastym. Między ostatnim kozłem a murem widniała szpara na tyle szeroka, że mógł przecisnąć się przez nią człowiek.

Stirling rozejrzał się uważnie i ruszył w stronę bramy. Ryzykował, gdyż gdzie w pobliżu mógł być wartownik, który skrył się w cieniu przed palącymi promieniami słońca. Jednakże zmysł myliwego podpowiadał Stirlingowi, że zaulek nie jest pilnowany. Zdawał sobie sprawę z tego, iż w razie schwytania spędzi kilkanacie dni w areszcie, ale w jego żołnierskiej karierze parę razy zdarzyło mu się wpaść w gorsze tarapaty.

Przecisnął się przez szparę, wspisał na drewnianą bramę i zeskoczył do ogrodu. Przycupnął za kępą wysokiej trawy, dostrzegając na szczycie muru wartownika. Ten jednak nie zwrócił na niego uwagi. W głębi Stirling zauważył wejście do budynku i uznał, że jego jedyną szansą jest szybkie dopadnięcie drzwi. Szczęście mu dopisało. Nacisnął klamkę i znalazł się w ciemnej, wilgotnej sieni. Odetchnął

z ulgą, choć nie wiedział, czy trafił do budynku, w którym mieści się gabinet generała Ritchiego. czy też do którego z zabudowań gospodarczych. Po chwili jednak poczuł przypływ nadziei, gdyż wśka sień doprowadziła go do szerokiego korytarza wyłożonego czerwonym dywanem.

Obciśgnął mundur, otrzepał spodnie z kurzu i okruchów zaprawy wapiennej.

Nagle usłyszał kroki na schodach. Spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł oficera w mundurze generalskim.

W kwaterze generała Ritchiego nie powinno być innego generała poza nim... - pomyślał Stirling i sprężystym krokiem udał się w kierunku nadchodzącego oficera.

- Panie generale, melduje się pułkownik Stirling. Proszę wybaczyć, że nie salutuję, ale dopiero wyszedłem ze szpitala, po kontuzji prawego ramienia.

Generał spojrzał z zaciekawionym.

- Czy ja was wzywałem, pułkowniku?

- Nie, panie generale. Włanie przedostałem się przez zasieki w bramie, aby się panu zameldować. Nie mam przepustki. Złamałem regulamin i wiem, że zostanę ukarany. Najpierw jednak proszę mnie wysłuchać. - Stirling wyrzucał z siebie słowa w takim tempie, że generał nie zdążył mu przerwać. Umiechnął się tylko.

- Dobrze, proszę do mnie - wskazał ręką na piętro.

- Kto pana skrzywdził? - zapytał, gdy weszli do pokoju.

- Nie o to chodzi, sir - Stirling. po raz pierwszy od chwili podjęcia decyzji o przedarciu się do generała, poczuł się zmieszany. - Zdecydowałem się dotrzeć do pana, aby przedstawić plan utworzenia nowych oddziałów...

- No, no. Niech pan mówi. - Generał gestem zaprosił Stirlinga do zajęcia miejsca przed biurkiem. Sam zapalił cygaro i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Dziękuję, sir - Stirling nie usiadł. - Z moich dowiadzeń wynika, że użycie dużych grup do pojedynczego wypadu jest marnotrawieniem sił. Znacznie lepsze efekty da operowanie niewielkimi oddziałami. Obliczyłem, że szeciu żołnierzy zrzuconych na spadochronach w pobliżu nieprzyjacielskiego lotniska może łatwo dotrzeć do którego z samolotów i założyć ładunki wybuchowe. Oznacza to, że sześćdziesięciu ludzi z 12 ładunkami mogłoby w równoległe prowadzonych akcjach zniszczyć całe lotnictwo państw osi w Afryce Północnej. Osiągnięcie tego celu przy zastosowaniu klasycznych metod prowadzenia walki naraziłoby nas na poważne straty i nie wiem, czy byłoby w ogóle możliwe... - Stirling zawiesił głos. Czekał na reakcję generała.

Ten milczał przez chwilę. Widać było, że pomysł pułkownika podoba mu się. Jego realizacja wymagała oddelegowania do oddziałów specjalnych kilkudziesięciu żołnierzy. Nie był to problem dla 8. armii brytyjskiej.

- Dostaje pan tydzień urlopu na wykurowanie ramienia, a potem proszę się zająć tworzeniem takich oddziałów. We wszystkich trudniejszych sprawach proszę się zwracać do mnie.

Stirling zasalutował i wyszedł z pokoju. Dłużej nie zdołał powstrzymać wybuchu radości i na korytarzu krzyknął na cały głos .. hurra!". aż kilku oficerów spojrzało się na niego ze zdumieniem. Nie zwracał jednak na nich uwagi. Zbiegł po schodach i wypadł na ulicę.

Generał Ritchie przypatrywał mu się z okna. Pomysł stworzenia niewielkich oddziałów atakujących niespodzianie wroga wydał mu się bardzo interesujący. Dysproporcja sił między armiami włoskimi i brytyjskimi była ogromna.

Głównodowodzący wojskami włoskimi, marszałek Ugo Graziani. stał na czele 200-tysięcznej armii, której Wielka Brytania mogła przeciwstawić zaledwie 36 tysięcy żołnierzy. W takiej sytuacji każde działanie, które miało szansę osłabić siły wroga i morale jego żołnierzy, było bardzo ważne. W walkach na pustyni sprzęt, taki jak: czołgi, ciężarówki, ciągniki artyleryjskie odgrywał rolę pierwszoplanową.

Winston Churchill pisał:

Czołgi zastąpiły kawalerię z poprzednich wojen. Siła bojowa oddziałów pancernych, tak jak na morzu flotylli krążowników, była decydującym czynnikiem.

Dwizje lub brygady czołgów mogły ukorzyć/ronić w każdym kierunku tak szybko, że niebezpieczeństwo oskrzydlenia lub odcięcia nie było szczególnie duże. Z drugiej strony wszystko zależało od punktualności zaopatrzenia w paliwo i amunicję, a to było bardziej skomplikowaną sprawą niż zaopatrzenie okrętów na morzu.

Zniszczenie magazynów z paliwem i amunicją czy nawet rozbicie konwoju

ciężarówek z wodą mogło przesądzić o zwycięstwie. Generał Ritchie uznał, że niewielkie grupy komandosów lepiej wykonają dywersyjne zadania niż najsilniejsze nawet jednostki regularnego wojska.

Nowy oddział otrzymał nazwę „L Detachment of the special Air Force Brigade”(choć nie miał nic wspólnego z SAS szkolonym w Anglii), która miała sugerować, że z Wielkiej Brytanii przerzucono do Afryki Północnej część sił powietrznodesantowych.

Pierwsza operacja, przeprowadzona 17 listopada 1941 r., zakończyła się kompletnym fiaskiem. Spadochroniarze mieli zaatakować myliwce i bombowce na lotniskach w Tmimi i Gazali. Żaden z nich nie dotarł do celu. Silna burza piaskowa zmusiła do zrzucenia komandosów w terenie odległym o wiele kilometrów od wyznaczonych obiektów. Z 63 ludzi, którzy wyruszyli do akcji, przeżyło tylko 22. Od tego czasu SAS nie próbowała atakować na spadochronach.

Podpułkownik David Stirling rozwijał inną technikę walki, tworząc patrole komandosów operujących na jeepach. Samochody zostały pozbawione wszelkich części, które uznano za zbędne, a w zamian obudowano je kanistrami z wodą, benzyną, pojemnikami na naboje i materiałami wybuchowe. Na każdym jeepie ustawiano po dwa karabiny maszynowe Vickers K. wymontowane z samolotów myliwskich Gladiator. Wystrzeliwały 1200 pocisków na minutę i były niezwykle groźne w walce z nieruchomymi samolotami, niemieckimi ciężarówkami i lekko opancerzonymi pojazdami.

Od grudnia 1941 r. do marca 1942 r. jeepy SAS dokonały 20 rajdów poza linię frontu: zniszczyły w tym czasie 115 samolotów i kilkadziesiąt pojazdów. SAS zdobyła sławę, która przetrwała dziesiątki lat po wojnie.

Jeden z jeepów S.A.S

Słońce skryło się za horyzontem i chłód zaczął ogarniać pustynię. Nagrzany piach szybko oddawał ciepło. Vladimir Peniakoff zapiś kurtkę i zdusił papierosa o koło samochodu.

- Przygotujcie się - powiedział do żołnierzy, którzy zaczęli ciśgać z ciężarów-
wki siatki maskujšce.

Tydzień wczniej Peniakoff zebrał 11 ochotników i ruszyli z Kabritu w Egipcie w stronę Tobruku. Jego komandosi należeli do najdziwniejszej jednostki na wiecie, jednostki, której oficjalna nazwa brzmiała: Prywatna Armia Popskiego. Peniakoff - Belg rosyjskiego pochodzenia, mieszkajšcy od połowy lat 30. w Egipcie, gdzie prowadził plantację trzciny cukrowej - na poczštku 1942 r. ochotniczo wstšpił do armii brytyjskiej i uzyskał zgodę na sformowanie niewiel-
kiego oddziału, złożonego z 23 Arabów i brytyjskiego sierżanta. Nadano mu nazwę No 1 Long Range Demolition Squadron (Numer 1 Eskadra Niszczycielska Dalekiego Zasięgu) i już po pierwszych rajdach dał się poznać jako utalentowany dowódca, prowadzšcy akcje z fantazjš, ogromnš znajomociš terenu i brawurš.

Ponieważ nazwisko „Peniakoff” było za trudne dla brytyjskich radiotelegrafis-
tów, upraszczali je mówišc Popski". Wkrótce pułkownik Hackett z Naczelnego

Dowództwa brytyjskich wojsk na Bliskim Wschodzie dla żartu nazwał oddział

Peniakoffa „Popski's Private Army”, co szybko przyjęło się wśród żołnierzy.

a nawet zostało zaakceptowane przez władze.

W czasie jednej z akcji, na południe od Mareth. 4 jeepy oddziału zostały

zniszczone przez niemieckie samoloty, a żołnierze cudem uniknęli śmierci.

Pozostawieni sami sobie, z niewielkim zapasem wody i żywności, przeszli blisko

200 kilometrów, zanim napotkali oddział wojsk brytyjskich.

W lipcu 1942 r. 11 żołnierzy z Prywatnej Armii Popskiego wyruszyło w stronę

niemieckiego lotniska w pobliżu Tobruku. Wywiad donosił, że każdej niedzieli

wieczorem dociera tu konwój ciężarówek, prawdopodobnie z paliwem i amunicją

dla samolotów. Peniakoff uznał, że niewielki oddział może przedostać się do

bazy i dokonać wielu zniszczeń. Tym razem zrezygnował z podstawowego

rodka komunikacji, jakim był dla jego chłopców jeep. Miał inny pomysł.

Załadowali na ciężarówkę kanistry z wodą oraz paliwem, amunicję do

pistoletów maszynowych, karabin maszynowy, miny magnetyczne i wyruszyli.

Pokonanie drogi liczącej 700 kilometrów na skrzyni pojazdu o resorach twardych

jak skała było męczące nawet na asfaltowej szosie i przy dobrej pogodzie. Podróż

przez pustynię stała się koszmarem. W temperaturze przekraczającej 50°C

podszali kamienistymi szlakami i bezdrożami. Nie spotkali żołnierzy niemiec-

kich ani włoskich, ale kilkakrotnie nadlatywały samoloty. Komandosi Peniakoffa

mieli jednak szczęście. Zawsze w porę dostrzegali zbliżające się myliwce

i zdążyli naciągnąć na samochód siatki maskujące, dzięki którym ciężarówka

wyglądała z góry jak sterta kamieni. Piśtego dnia podróży udało im się trafić na starš drogę karawan i dzięki temu na czas dotarli do Tobruku. Znaleli wšwóz na poboczu drogi, wystarczajšco głębokim na zamaskowanie samochodu, i czekali. Całš niedzielę przespali w cieniu skał: dopiero gdy zapadł zmierzch, zaczęli zbierać się do akcji.

- Jadš! - zameldował jeden z żołnierzy, który z lornetkš przy oczach umiecił się na krawędzi wšwozu. - Widać 12 wiatel w odległoci około półtorej mili.

- Czekamy, aż przejedzie 11 ciężarówek i dopiero wtedy wjedziemy do kolumny. Między jedenastš i dwunastš ciężarówkę - poinformował Peniakoff.

- Może byłoby lepiej, sir, gdybymy doczepili się na koniec konwoju?

- Nie!- dowódca ucišł dyskusję. - Kierowca ostatniej ciężarówki na pewno zauważyłby, że kto za nim jedzie. Jeżeli uda nam się wjechać w kolumnę.

wówczas kierowca jedenastego samochodu będzie przekonany, że widzi w lusterku wiatła dwunastego, a ten z dwunastego uzna, że przed nim jedzie jedenasty.

Ruszamy!

Zjechali ostrożnie po kamienistym podłożu w stronę zakrętu i zatrzymali się w miejscu, gdzie skalna ciana skrywała ich przed wzrokiem jadšcych w konwoju.

Przyciemnione wiatła niemieckich ciężarówek pojawiły się na zakręcie.

Jechały w odległoci około 130 metrów od siebie, co sprzyjało włšczeniu się Brytyjczyków w kolumnę.

- Dziewięć... dziesięć... jedenacie! - liczył kierowca Sam Barret.

- Teraz! - krzyknął Peniakoff.

Kierowca trochę za gwałtownie dodał gazu i koła bedforda zaszurały na kamienistym podłożu.

- Oni nie używajś tylnych wiateł! Zga nasze! -jeden z żołnierzy jadących na skrzyni nachylił się do szoferki.

- Spokojnie, już to zrobiłem - odpowiedział Sam. Płynnie pokonał płytki rów oddzielający miejsce, w którym stali, od drogi i ruszył za znikajścś w mroku ciężarówkś. Dowódca się obejrzał. Po paru sekundach na zakręcie ukazały się wiatła ostatniej ciężarówki niemieckiej.

Komandosi ciskali w dłoniach thompsony, gotowi rozpoczcć ogień na sygnał alarmu, ale nic nie zakłócało równego warkotu silników. Kolumna z mozołem pięła się stromym podjazdem. Niemcy się nie zorientowali, że między nich wcisnśł się intruz.

Po kilku minutach napięcie opadło. Brytyjczycy odnieli pierwszy sukces, ale prawdziwe niebezpieczeństwo było jeszcze przed nimi.

- Mamy około 40 minut do celu - Peniakoff zwrócił się do kierowcy. - Nie będziemy ryzykować wjazdu do bazy w kolumnie, gdyż który ze strażników mógłby doliczyć się, że wjeżdża 13 ciężarówek zamiast 12. Gdy zobaczymy wiatła lotniska, zatrzymaj się na rodku drogi i udawaj, że samochód się zepsuł.

Musimy zdobyć tę ciężarówkę, która jedzie za nami.

KOMANDOSI

- Czy możecie dostrzec, ilu szkopów jest na tamtym samochodzie? - Peniakoff, wychylając się z szoferki, zadał pytanie żołnierzom siedzącym z tyłu.

- Chyba tylko dwóch, sir! - odpowiedział któryś. - Widać dwie sylwetki w kabinie, a na skrzyni jakiś ładunek. Tam chyba nie ma żołnierzy.

Po półgodzinnej jeździe zobaczyli w oddali blade wiatła Tobruku. Konwój zaczął zjeżdżać z niewielkiej pochyłości i znikł za zakrętem.

- Teraz! - krzyknął dowódca.

Kierowca nacisnął gwałtownie hamulec i skręcił w bok. Ciężarówka zatrzymała się, wzbijając tuman kurzu. Komandosi, przyczajeni w skrzyni, zeskoczyli i rozpięchli się po bokach drogi. Przy samochodzie pozostał tylko Peniakoff, kierowca i Etienne Latour, Alzarczyk mówiący płynnie po niemiecku. On to wybiegł na drogę i zaczął nadawać znaki wiatłem latarki.

- Co jest?! - niemiecka ciężarówka zatrzymała się z piskiem hamulców.

- Wał chyba się rozpadł! - odkrzyknął Etienne. - Będziecie musieli nas holować!

Niemcy wyskoczyli z samochodu. Jeden badawczo patrzył na Etienne'a, ale Peniakoff starał się kierować wiatłem latarki prosto w ich twarze, aby niewiele

mogli dostrzec. Gdyby nie ten wybieg, mogliby zauważyć brytyjskie mundury.

- A ty kim jesteś? - Niemiec zaczął co podejrzewać i sięgnął do kabury luno wiszszej na pasku. Nie zdążył jednak wyjść pistoletu, gdyż z boków drogi poderwały się cienie komandosów. Pierwszy dopadł Niemca, schwycił go od tyłu za brodę i wbił nóż w plecy. Drugi żołnierz niemiecki pucił się pędem w stronę samochodu, ale przebiegł zaledwie kilka kroków, gdy Sam Barret skoczył jak dziki kot i schwycił poniżej kolan. Upadli na ziemię.

- Jestem lszakiem! Nie zabijajcie mnie!

- Barret z nożem w ręku zawahał się. Spojrzał w stronę Peniakoffa.

- Zostaw go. Może nam się przydać. - Dowódca podszedł bliżej. - Wrzućcie go na ciężarówkę i ruszamy. Do wozu! - rozkazał, gdy odciśnięto na bok zwłoki. Spojrzał na zegarek. Akcja trwała zaledwie pół minuty.

Przy bedfordzie pozostało trzech żołnierzy, którzy mieli osłaniać odwrót komandosów z bazy. Peniakoff i siedmiu żołnierzy w niemieckiej ciężarówce pełnym gazem ruszyli za oddalającym się konwojem. Szybko udało im się nadrobić opónienie i po kilku minutach, gdy ciężarówki zbliżały się do bramy lotniska, samochód z komandosami ustawił się za nimi w przepisowej odległości. Bez kłopotów minęli pierwszy posterunek. Okazało się, że Peniakoff miał rację, nie chcąc ryzykować wjazdu trzynastej ciężarówki. Wartownik dokładnie policzył samochody i badawczo przyglądał się każdemu mijającemu jego budkę. W oddali migotało wiatelko drugiej strażnicy.

- Jones, skacz! - Peniakoff wychylił się z szoferki. Po chwili cień oderwał się od samochodu i tylko stuk kolby, która zawadziła o część ciężarówki, wiadczył, że komandos zeskoczył na ziemię.

- Następni! - Czterech komandosów zeskoczyło w pełnym biegu tuż przed linią zasieków.

Wartownik przy drugiej bramie powiódł wiatłem latarki po burcie ciężarówki i machnął ręką, dając znak, by jechali dalej. Skierowali się w stronę blaszanych baraków.

- Nie dojeżdżaj tam. Zatrzymaj się w najciemniejszym miejscu - powiedział kapitan do kierowcy, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od strażnika.

Zjechali na bok i zgasili wiatła. Czekali. Było cicho. Oznaczało to, że pięciu komandosów, którzy zeskoczyli z samochodu przed drugą linią zasieków, zdołało już niepostrzeżenie przedostać się przez druty kolczaste i - zgodnie z ustalonym planem - posuwali się na zachód lotniska. Mieli przyczepić ładunki wybuchowe do samolotów stojących na obrzeżu. Peniakoff wraz z trzema żołnierzami postanowił dotrzeć do bombowców ustawionych we wschodniej części lotniska.

Czekali kilkadziesiąt sekund, aby dać kolegom czas na dojście do wyznaczonego rejonu, i ruszyli w stronę wału z opon, beczek i piasku. Tuż za wałem było 9 samolotów. Równo ustawione trójkami, niemal stykały się skrzydłami. Dowódca i jeden z komandosów zsunęli się po wale i przemykając między skrzydłami, zaczęli przyczepiać magnetyczne ładunki do każdego z rodkowych samolotów w trójkach.

- Teraz tam! - Peniakoff wskazał niewielki barak. Wyglądało na to, że trzymano w nim części zamienne do samolotów.

Dwaj komandosi, którzy pozostali na wale, aby osłaniać kolegów w razie pojawienia się niemieckiego patrolu, zaczęli zsuwać się po pochyłości. Nagle który zaczepił nogę o pustą metalową beczkę, która z łoskotem sturlała się w dół.

- Kto tam jest? - niemiecki żołnierz, który wyrzął z blaszanego baraku, dostrzegł sylwetkę Brytyjczyka. - Alarm! - zaczął krzyczeć.

Trwało kilkanacie sekund, zanim dopadł go Peniakoff i zatopił nóż w jego karku. Ale było już za późno. Fala wiatła zalała lotnisko. Z okolicznych baraków zaczęli wybiegać lotnicy i strażnicy.

Peniakoff rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł żadnego ze swoich ludzi. Nie było czasu na poszukiwania. Wystrzelił z thompsona długą serię w kierunku nadbiegających żołnierzy i puciał się pędem w stronę drogi. Cigajscy na chwilę zatrzymali się, w obawie przed następnymi strzałami, a Peniakoff przebiegł tymczasem drogę i skręcił w stronę zasieków. Domyślał się, że gdzie w tym rejonie pierwsza grupa komandosów przeszła przez zasieki, a to była jego jedyna szansa. Musiał w biegu odnaleźć przecięte druty, aby tamtędy wydostać się na pustynię. W przeciwnym wypadku wpadłby w ręce pocigu lub zostałby zastrzelony. Przywarł na moment do ziemi i ciężko dysząc wyciągnął zza paska granat. Obejrzał się. Na tle nieba widział wyranie nadbiegających Niemców.

Byli w odległości 20 może 30 metrów. Rucił granat na olej za siebie. Wybuch rozjanił okolicę i w tym błysku Peniakoff dostrzegł poszarpane druty. Nie był pewien, czy rzeczywiście znajduje się tam przejście, czy też wiatło wybuchu wydobyło z mroku jakiś przedmiot, który rzucił cień na druty, sprawiając wrażenie, że w tym miejscu istnieje wyrwa. Nie miał jednak wyboru. Poderwał się i ruszył do ogrodzenia. Wiatło reflektora przesunęło się po zasiekach i wtedy uciekający zobaczył, że rzeczywiście w miejscu, do którego biegł, druty są rozcięte. Przesadził je jednym susem i pomknął na pustynię.

Odgłosy pogoni cichły. Niemcy bali się wybiec w ciemność. Jeszcze przez chwilę słyszał serie z broni maszynowej, ale i one po chwili umilkły. Peniakoff upadł na piasek i leżał tak przez kilka minut, aż myślał, że cigajscy zbiorą posiłki i z psami wyruszą jego ładem, zmobilizowała go. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Dochodziła 23.30. Według planu o tej godzinie ciężarówka miała wyruszyć w drogę powrotną, bez względu na to, kto zdoła do niej dotrzeć.

Rozejrzał się uważnie. Uznał, że znajduje się o kilkaset metrów na wschód od miejsca, gdzie został samochód. Gdyby chciał tam dojść drogą, zajęłoby to kilkunacie minut, a wówczas na pewno nie zdążyłby. Postanowił iść na przełaj. Potykając się w ciemnościach, zmierzał w stronę, w której powinien znajdować się Bedford. Nagle usłyszał cichy wist. Kto gwizdał angielską melodię.

A jednak czekali...

- Jesteśmy tutaj - usłyszał po chwili. Wiatelko zapalniczki zajaniało jak gwiazda w ciemnościach.

Który z żołnierzy wyciśgnął w stronę dowódcy manierkę z wódką. Łyknął

duży haust.

- Trzech brakuje, sir! - zameldował jeden z komandosów. - Nie ma potrzeby szukać ich. Dzielnie walczyli. Widziałem. Zostali okrężeni i nie zdołali się wyrwać. To wszystko, sir.

Peniakoff. jeszcze dysząc ciężko, zobaczył, że za kierownicę siedzi Connolly.

Nie zapytał o Sama Barreta. Jeżeli kto inny usiadł w szoferce, oznaczało to, że Sam zginął.

Samochód wolno wytoczył się z rozpadliny. Jechali w milczeniu; nikt nie miał ochoty na rozmowę. Oni wyrwali się mierci, ale dopadła trzech kolegów.

- Zatrzymaj się! - powiedział cicho Peniakoff. - Dużo zapłaciliśmy za bilety na to przedstawienie. Musimy obejrzeć je do końca.

Wyłączyli silnik. Czekali. Po kilku minutach horyzont rozświetlił błysk.

- To Jones - powiedział który z żołnierzy. - To on założył pierwszy ładunek.

Tuż potem rozległy się następne wybuchy. Niebo nad Tobrukiem zajaniało ponurą łuną. W ciągu kilkunastu minut 20 samolotów stanęło w płomieniach.

Wyleciał w powietrze skład amunicji, zbiornik benzyny i barak z częściami zapasowymi.

- Niemcy szybko odbudują to lotnisko - powiedział Peniakoff - ale my już wiemy, jak się tutaj dostać. Za 10-15 dni wrócimy. A teraz do domu. Connolly...

Do maja 1943 r. komandosi Peniakoffa atakowali Niemców i Włochów. Po kapitulacji wojsk „osi” w Afryce Północnej Prywatna Armia Popskiego wylądowała w Tarencie we Włoszech. Jej zadaniem była ocena sił Niemców i Peniakoff ze swymi ludmi wykonał wszystko wzorowo, tyle że na swój sposób. Zebrał kilku włoskich oficerów i kazał im dzwonić po kolegach z pytaniem o liczebność niemieckich oddziałów. Po kilku godzinach miał niezbędne informacje.

Jeepy armii Popskiego w drodze

Vladimir Peniakoff

Popski, z protezsz zakończonš hakiem na lewej ręce, za kierownicš swego jeepa

Wkrótce Armia Popskiego rozrosła się i poruszała na 6 jeepach uzbrojonych w karabiny maszynowe. Tak jak na pustyni, komandosi jedzili obładowani kanistrami z benzynš, dzięki czemu mogli pokonywać dystans 1000 kilometrów bez tankowania.

Walczyli do chwili kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech, w końcu kwietnia 1945 r., ale ostatnie miesiące wojny okazały się tragiczne dla Peniakoffa. Gdzie zniknęło jego niezwykle dotšd szczęście i w czasie walki w północnych Włoszech pocisk urwał mu lewš rękę.

Peniakoff po kilku tygodniach spędzonych w szpitalu powrócił do oddziału

i razem ze swoimi 118 komandosami dotarł do Austrii. Tam zakończył się szlak bojowy ostatniego komandosa II wojny światowej.

Żołnierze Armii Polskiej" w akcji

KOMANDOSI

POLSCY KOMANDOSI

W historii niespodziewanych uderzeń, brawurowych ataków, wielogodzinnych bitew z przeważającymi siłami wroga jest i polski rozdział.

28 sierpnia 1942 r. generał Władysław Sikorski wydał rozkaz sformowania polskiej kompanii Commando. Do końca września trwało przyjmowanie ochotników i 9 października kompania odjechała do północnej Walii, aby tam dołączyć do międzynarodowego oddziału No 10 Commando I.A. - skrót ten oznaczał „Inter-Ally", tj. międzyallyancki", gdyż w skład oddziału wchodziłi Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Norwegowie i Jugosłowianie - pod nazwą 6 Troop (6. kompania). Jednakże dowództwo brytyjskie nie zdecydowało się wykorzystać polskich komandosów w żadnej ze spektakularnych akcji podejmowanych na kontynencie. Być może rezerwowało chwałę efektywnych ataków dla własnych oddziałów, trzymając komandosów innych narodowości w odwodzie.

W sierpniu 1943 r. dowódca Operacji Połączonych (Combined Operations) lord Louis Mountbatten zdecydował o włączeniu kompanii polskiej i belgijskiej do 2 Special Service Brigade walczącej na froncie włoskim. We wrześniu polska

kompania (9t żołnierzy) odpłynęła do Algierii, skąd 1 grudnia przybyła do Tarentu.

Dwa tygodnie później polski patrol przekroczył rzekę Sangro. Tak rozpoczęła się żmudna i mało widowiskowa służba we Włoszech. Do 10 stycznia 1944 r. polscy komandosi prowadzili rozpoznanie, staczając wielokrotnie potyczki z przeważającymi siłami wroga.

17 stycznia polska kompania, przerzucona na zachodnie wybrzeże Włoch, przeszła rzekę Garigliano, rozpoczynając w ten sposób tzw. pierwszą bitwę o Monte Cassino. Gdy do Włoch przybył II Korpus Polski, komandosi zostali przydzieleni do niego jako oddział specjalny do dyspozycji dowódcy korpusu.

17 maja o wicie komandosi wraz ze szwadronem szturmowym 15. pułku ułanów rozpoczęli marsz w kierunku San Angelo, ale huraganowy ogień niemieckiej artylerii zatrzymał ich. Musieli się wycofać na wzgórze 706, później na Widmo, skąd podejmowali następne ataki. Uporczywe, krwawe walki trwały do 19 maja, kiedy to komandosi odeszli na stoki Castellone.

Do drugiej połowy lipca polscy komandosi walczyli we Włoszech, ponosząc bardzo poważne straty. Walki o Polverigi, Agugliano, Cassero, Castelferreti, wdarcie się do Ascony pochłonęły 18 zabitych i 80 rannych, co stanowiło 80% stanu osobowego oddziału. Dlatego naczelny wódz, generał K. Sosnkowski, zdecydował wycofać komandosów z walki i przystąpić do reorganizacji oddziału.

15 sierpnia 1944 r. powstało polskie Commando, składające się z pięciu kompanii, do których zgłaszali się ochotnicy z francuskich i greckich oddziałów partyzanckich

oraz Polacy wcieleni wczynie do Wehrmachtu.

Charakter walk na froncie włoskim wskazywał, że nie będą tam prowadzone

operacje typowe dla komandosów i z tego względu w listopadzie 1944 r.

przekształcono Commando w oddział zmotoryzowany pod nazwą 2. batalion

komandosów. 7 i 8 kwietnia zmotoryzowani komandosi wyruszyli na front

i wkrótce w ramach Grupy Rak" generała Rakowskiego przełamali obronę

na rzece Gaiana. przekraczali rzeki Quademo i Idice. Doszli do Bolonii, gdzie ich

piękna i bohaterska walka, choć bez spektakularnych wyczynów, dobiegła końca.

r

Do drzwi rozległo się energiczne pukanie.

- Wejść! - Generał Archibald Wavell odłożył raporty, które przeglądał od

kilkunastu minut i spojrzał na żołnierza przy drzwiach.

- Co jest?

- Zameldował się pułkownik Ciarke. sir!

- Wprowadźcie go natychmiast. - Wavell uniósł się z fotela za biurkiem

i podszedł do drzwi, w których stanął szczupły, smagły mężczyzna.

- Melduje się pułkownik Dudley Wrangler Ciarke z... - Oficer zamierzał

podać wszystkie informacje o swojej jednostce i celu przybycia, ale Wavell

przerwał mu:

- Wszystko wiem. pułkowniku. Czekałem na pana. Niech pan siada. - Wskazał fotel przy niewielkim stoliku pod cianš, na której wisiała ogromnych rozmiarów mapa Afryki Północnej. - Znam przebieg pana służby i pańskie osiągnięcia. To może nam się bardzo przydać...

Wavell wiedział, że przyszedł do niego nietuzinkowy żołnierz.

Ciarke - oficer artylerii - przed wybuchem II wojny wiatowej pełnił służbę w Palestynie, gdzie interesował się organizacjš i metodami walk partyzanckich.

Po powrocie do Anglii, w końcu 1939 r.. zaczął studiować taktykę działania

Burów. W czerwcu 1940 r.. gdy Niemcy zajęli Francję, postanowił wykorzystać

swš wiedzę i pomyślał o organizowaniu wypadów niewielkich oddziałów

komandosów, którzy przeprawialiby się przez kanał La Manche na kutrach

i motorówkach, atakowali niemieckie bazy i szybko się wycofywali. Swoje

propozycje Ciarke wysłał do Generalnego Sztabu Imperialnego, skšd trafiły do

premiera Winstona Churchilla. Ten nakazał przystšpić do natychmiastowego

organizowania jednostek komandosów. Zadanie to otrzymał Ciarke i wywišzał

się z niego bez zarzutu. Juž 26 czerwca 1940 r. 115 żołnierzy zaatakowało

francuskie wybrzeże między Boulogne i Berek Plage. Wyniki rajdu nie były

budujšce. Komandosi zabili dwóch żołnierzy niemieckich i wycofali się bez strat.

Jedynym pokrzywdzonym był pułkownik Ciarke. którego kula zadrasnęła za

uchem.

- Tak, jestem pewien, że pana wiedza i dowiadczenie mogš być nam bardzo

potrzebne - mówił generał Wavell. - Mylę, że dobrze orientuje się pan

w sytuacji. Jeżeli w obecnym stanie brytyjskiej gospodarki i sił zbrojnych możemy marzyć o utrzymaniu Bliskiego Wschodu, bez którego imperium rozpadnie się jak domek z kart. to zadanie musimy wykonać my, tutaj! Myślę, że nie uważa mnie pan za megalomana?...

Ciarke gwałtownie zaprzeczył i nie był to tylko kurtuazyjny gest.

Wiedział, że od lipca 1939 r. Wavell był głównodowodzącym wojskami brytyjskimi na Bliskim Wschodzie. Jego rozkazom podlegały jednostki w Egipcie, Sudanie. Palestynie. Jordanii, na Cyprze, w Brytyjskiej Somalii, Iraku, Adenie, państewkach nad Zatoką Perską w Kenii. Ugandzie, Tanganice. Syrii i Libanie. Jednakże liczebność tych wojsk była znikoma jak na skalę potrzeb i ogrom terytorium: Wavell dysponował zaledwie 100 tysiącami żołnierzy (z czego w Egipcie stacjonowało 36 tysięcy) i niekompletną 7. dywizję pancerną. Wzmocnienie sił nie było możliwe. Na terenie Wysp Brytyjskich stacjonowało 1650 tysięcy żołnierzy w 29 dywizjach i 8 niezależnych brygadach. 12 dywizji sformowano dopiero w pierwszych miesiącach 1940 r. i nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Wszystkim jednostkom brakowało artylerii i czołgów. Co więcej - po klęsce we Francji w 1940 r. - morale żołnierzy było niskie. Te siły nie wystarczyłyby nawet do skutecznej obrony wybrzeży przed niemieckimi inwazjami. Generał Wavell nie mógł również liczyć na wzmocnienie swoich wojsk żołnierzami z Indii, gdyż ich wartość bojowa nie była duża; nadawali się wprawdzie do utrzymywania kolonialnego porządku, ale nie do boju z dywizjami niemieckimi. Państwa Wspólnoty - Australia i Nowa Zelandia, które chlubnie zadeklarowały udział w wojnie i zbrojną pomoc - nie były jeszcze w pełni

gotowe do jej udzielenia. Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja ze sprzętem.

Przemysł brytyjski potrzebował czasu, aby przestawić się na produkcję zbroje-

niowś, a pierwszeństwo w dostawach miały nowe dywizje, formowane dla

obrony Wielkiej Brytanii przed niemieckš inwazjš. Zakłady produkowały od 9 do

15 czołgów tygodniowo, ale były to pojazdy powolne, słabo opancerzone

i uzbrojone. Nie mogłyby toczyć równorzędnej walki z czołgami niemieckimi.

Wavell zdawał sobie sprawę, że lada moment ruszš do ataku armie państw.

którym szczególnie zależało na opanowaniu rejonu Morza ródziemnego. Włó-

chy utrzymywały duże oddziały wojska w Libii (236 tysięcy żołnierzy) i Afryce

Wschodniej (100 tysięcy żołnierzy). Oddziały te dysponowały 1811 działami,

339 lekkimi czołgami i 151 samolotami w gotowoci bojowej. Należało się

spodziewać, że wkrótce uderzš na Egipt z zachodu i wschodu. Do walki o ten

niezwykle ważny strategicznie i gospodarczo rejon mogły włšczyć się Niemcy

i Zwišzek Radziecki. Wavell przewidywał, że te dwa mocarstwa, działajšc

wspólnie, zechcš opanować również Bałkany, a następnie Maltę. Cypr i Krete.

aby umocnić swš pozycję w tym rejonie Morza ródziemnego. Obawiał się, że

Zwišzek Radziecki zajmie też pola naftowe w Iraku i Persji.

- Sytuacja, w jakiej się znalelimy, jest krytyczna - mówił generał. -

10 czerwca Mussolini wypowiedział nam wojnę i pewnie juź niebawem ruszš

jego armie z Libii i Włoskiej Afryki Wschodniej. Możemy przeciwstawić im

tylko 36 tysięcy ludzi. Powie pan, że lepiej od razu skapitulować... - Wavell

zawiesił głos.

- Nie, nie sšdzę, sir. - Ciarke był wyranie zbity z tropu. - Nie mogę sobie

jednak wyobrazić, co w tej sytuacji, wobec tak ogromnej przewagi nieprzyjaciół, możemy zrobić...

- Mamy tylko jeden atut. Wrogowie nie wiedzą, jacy jesteśmy słabi. Powiem więcej: do głowy im nie przyjdzie, że jesteśmy aż tak słabi. I to musimy wykorzystać. Musimy przekonać ich, że jesteśmy wystarczająco silni, by odeprzeć każdą ofensywę. To będzie pana zadanie, pułkowniku! Oczekuję, że w ciągu najbliższych pięciu dni przedstawi mi pan propozycje.

- Tak jest! Sir... - Ciarke podniósł się z fotela. Nie miał pojęcia, co można zrobić, aby przekonać wroga o potędze oddziałów brytyjskich.

28 czerwca 1940 r. włoskie Naczelne Dowództwo - Comando Supremo - rozkazało marszałkowi Italo Balbo, głównodowodzącemu wojskami włoskimi w Afryce, uderzyć na Egipt wszystkimi siłami. Marszałek nie odebrał rozkazu, gdyż tego dnia zginął w samolocie zestrzelonym omyłkowo przez własną artylerię przeciwlotniczą.

Jego zastępca, marszałek Rodolfo Graziani - dotychczasowy szef sztabu wojsk lądowych - otrzymał rozkaz rozpoczęcia ofensywy 15 lipca. Nie zamierzał jednak podporządkować się poleceniom Naczelnego Dowództwa. Zdawał sobie sprawę, że najpierw musi przygotować zapasy amunicji, żywności i wody dla swoich wojsk. Ponadto uznał, że rozpoczynanie ofensywy w roku afrykańskiego lata nie jest dobrym pomysłem. Nie mógł jednak otwarcie sprzeciwić się rozkazowi, więc postanowił grać na zwłokę, co bardzo zdenerwowało Mussoliniego.

19 sierpnia duce nadesłał telegram: Marszałku Graziani, jak wspomniałem w czasie naszej ostatniej dyskusji, czas pracuje przeciwko nam. Dla Wielkiej Brytanii utrata Egiptu byłaby coup de grace, a dla nas podbicie tego bogatego kraju, niezbędnego do ułatwienia komunikacji z Etiopią, będzie wielką nagrodą, na jaką Włochy czekają. Pan tego dokona, jestem tego pewien. Mimo tego wezwania i wielu innych ponagleń Graziani rzucił wojska do ataku dopiero 13 września 1940 r.

Cztery dywizje i grupa pancerna, dowodzone przez generała Annibale'a Bergonzoliego. 3 dni później zdobyły Sidi Barrani. Od następnego celu - twierdzy Marsa Matruh - dzieliło włoskich żołnierzy zaledwie 120 kilometrów, a od głównej brytyjskiej bazy w Aleksandrii nieco ponad 40 tysięcy. Jednakże Graziani, dowódca doświadczony w pustynnych walkach, nie dał się zwieć mirażowi łatwego zwycięstwa i zatrzymał wojska, aby uzupełnić straty (530 zabitych i rannych) i podreperować stan zapasów.

Pułkownik Ciarke za rozpoczął wielką grę. Według jego przewidywań, wojska włoskie powinny kontynuować natarcie, posuwając się główną nadmorską drogą do Aleksandrii. Postanowił więc upozorować zgromadzenie w tym rejonie poważnych sił brytyjskich. Na południe od Sidi Barrani brytyjskie wojska inżynieryjne zaczęły budowę drogi, a specjalnie skonstruowane pojazdy szybko i sprawnie odciskały ląd czołgowych gąsienic, prowadzące do zgrupowań jednostek pancernych. Drogi te wskazywały załogom włoskich samolotów rozpoznawczych rejon zgrupowań, gdzie mogły sfotografować dziesiątki czoł-

gów, samochodów pancernych, armat i ciężników artyleryjskich. Na zdjęciach robionych z wysokości kilku tysięcy metrów (silny ogień brytyjskiej obrony przeciwlotniczej uniemożliwiał obniżenie lotu), nie było widać linek kotwicznych dział i czołgi do piasku, aby... nie porwał ich wiatr. Wszystkie pojazdy wykonano bowiem z gumy i nadmuchano jak balony. Na zdjęciach pustynnych dróg widać było kłęby pyłu. Co dla włoskich oficerów, analizujących te obrazy, stanowiło nieomyślny dowód, że jadł tam kolumny czołgów i ciężarówek kierujących się na południe. Oficerowie nie mogli wiedzieć, że kurz wzbijały brony ciężnione przez wielbłądy.

Marszałek Graziani czytał raporty sporządzane na podstawie takich meldunków. Wynikało z nich, że drogi do Marsa Matruh broni co najmniej 200 tysięcy żołnierzy brytyjskich, wspieranych przez silne oddziały pancerne, lotnictwo i artylerię. Duże zgrupowanie broni pancernej na południe od drogi do Aleksandrii oznaczało, że Brytyjczycy szykują się do uderzenia na prawe skrzydło wojsk włoskich, gdy te ruszą do natarcia na Marsa Matruh. W tej sytuacji Graziani nie widział możliwości kontynuowania ofensywy. Jego oddziały dysponowały jedynie lekkimi czołgami, które - słabo opancerzone i uzbrojone w karabiny maszynowe kal. 6.5 mm - nie mogłyby podjąć równorzędnego boju z brytyjskimi czołgami Matilda - lepiej opancerzonymi i uzbrojonymi w działa, których pociski bez trudu przechodziły przez pancerze włoskich czołgów. Postanowił więc czekać na posiłki i nie zmienił decyzji, mimo że Mussolini słał ponagląjące telegramy, a nawet groził zwolnieniem go ze stanowiska.

Generał Wavell. przy pomocy pułkownika Clarke'a. odniósł pierwszy sukces. gdyż uzyskał czas potrzebny na wzmocnienie wojsk i przygotowanie kontruderzenia. Oczywiście nie omieszkał przesłać do Londynu szczegółowego raportu na temat sposobu, w jaki przechytrzył wroga. Choć premier Churchill nie lubił Wavella i czekał tylko na sposobność odebrania mu stanowiska, z upodobaniem wczytywał się w raport. Wavell pisał: Każdy dowódca powinien stale rozmyślać metody wprowadzania w błąd swojego przeciwnika, wykorzystując jego obawy i zakłócając jego równowagę psychiczną. Podstawową metodą wprowadzenia w błąd jest zwrócenie uwagi wroga na obiekt, który chcesz, aby zobaczył i odwrócenie jego uwagi od obiektu, którego widzieć nie powinien. Wavell wymieniał rodzaje osiągnięcia tak pożądanego rezultatu: fałszywa informacja lub maskowanie, pozorny odwrót, który w rzeczywistości jest przygotowaniem do ataku, wspieranie zdrady, osłabianie morale wroga.

Churchill w słowach generała znajdował potwierdzenie własnej koncepcji prowadzenia wojny. Uważał bowiem, że: bitwy wygrywa się w wyniku krótkiego starcia i manewru. Im większy generał, tym więcej stosuje manewru, a mniej krótkich starć. Niemalże wszystkie bitwy uznane za mistrzowskie przykłady sztuki wojennej były bitwami manewru, w którym wróg został pokonany w wyniku zastosowania nowatorskiego fortelu lub broni. (...) W takich bitwach straty zwycięzców były małe. (...) W wojnach jest wiele rodzajów manewru, z których tylko część znajduje zastosowanie na polach bitew. To są manewry na polu dyplomacji, techniki, psychologii; prowadzone są daleko od pól bitewnych, ale często mają na nie decydujący wpływ.

W grudniu 1940 r., gdy generał Wavell uznał, że zgromadził wystarczająco siły, uderzył na włoskie pozycje. Do lutego 1941 r. jego wojska wdarły się na 1000 kilometrów w terytorium Libii i za cenę: 500 zabitych oraz 1400 rannych zdobyły 400 czołgów, 1290 dział, a do niewoli wzięły 130 tysięcy jeńców. W tym samym czasie we Włoskiej Afryce Wschodniej nieliczne wojska brytyjskie. tracąc 44 żołnierzy, rozgromiły Włochów i wzięły do niewoli 50 tysięcy jeńców.

Premier Churchill doskonale rozumiał rolę podstępów w udanych operacjach.

Natychmiast postanowił zastosować w Europie metody sprawdzone w Afryce.

W kwietniu 1941 r. powołał niewielką organizację o nazwie London Controlling

Section. W rękach jej szefa, pułkownika Olivera Stanieya. zbiegały się nici.

prowadzące do jednostek brytyjskich i amerykańskich w różnych rejonach

wiata, gdzie tworzone były Committees of Special Means - komitety środków

specjalnych, których celem było wprowadzanie wroga w błąd.

Atak piechoty angielskiej

Kapitan Woemer ze złością patrzył na dwóch mężczyzn, nieporadnie zeligujących się po klamrach kiosku na pokład okrętu podwodnego.

- Majś szczęście, że morze jest spokojne - powiedział do oficera wachtowego.

- My też: gdyby bujało, to zarzygaliby nam cały okręt. Skąd ci z Abwehry

biorś takie oferty? - Oficer przytknął lornetkę do oczu. 350 metrów dalej

rozciągała się plaża angielskiego wybrzeża, rozjarzona promieniami brzasku.

Kończyła się spokojna, bezwietrzna noc.

Dwaj mężczyźni w czarnych nieprzemakalnych kombinezonach, idąc nieporadnie po wąskim pokładzie okrętu podwodnego, zbliżyli się do miejsca, gdzie marynarz przytrzymał ponton. Podali mu tobołki, a następnie zsunęli się po obłoci blachy burty i z wyranym zadowoleniem, że najtrudniejsza część operacji opuszczenia U-boota udała się bez większych przykroci, schwycili za wiosła. Ponton, kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę, zaczął się oddalać w kierunku brzegu.

- Mam nadzieję, że dopłynę - mruknął kapitan, patrząc z wyranym niesmakiem na morskie popisy agentów Abwehry. Zaraz potem krzyknął na dół: - Zapisać w dzienniku: Godzina 5.17. Operacja wysadzenia agentów zakończona. Bez uwag".

Woda za rufą okrętu skłębiła się. U-boot zaczął się wycofywać, aż po kilku minutach zniknął pod wodą. W tym samym czasie dwaj mężczyźni dotarli do plaży, gdzie poprzecinali pływaki pontonu i zdjęli kombinezony. Spakowali starannie ekwipunek i złożyli go w dole, mozolnie wygrzebanym małymi łopatkami. Następnie zatarli ląd, wrzucili łopatki do morza i ruszyli wąską ścieżką między wydrami. Było już widno.

- Stój! - W porannej ciszy okrzyk zabrzmiał jak wystrzał. Zza wysokiej trawy wyłonił się brytyjski żołnierz z karabinem wycelowanym w stronę wędrowców. Zdawało się, że młodzieńcy szeregowiec jest bardziej niż oni zaskoczony spotkaniem.

- Co tu robicie tak rano? - zapytał jednak gronie. No właśnie! Co dwaj

spokojni brytyjscy obywatele, za jakich mieli uchodzić niemieccy agenci, mogli robić o 6.00 nad morzem? Podczas szkolenia nikt nie przygotowywał ich na takš ewentualnoć.

- Idziemy do miasta - wydukał niepewnie starszy. Zaraz potem, aby ukryć niepokój, dodał: - Opuć tę strzelbę. Tak mnie przestraszyłe, że zapomniałem, w którym hrabstwie jestem...

- Do jakiego miasta idziecie? - nie ustępował żołnierz.

Otóż to! Jakiego? Przed rozpoczęciem szpiegowskiej misji tłumaczono im, że wylšdujš w rejonie... Hybe? A może Hythe? Starszy agent spojrział z nadziejš na kolegę, licząc, że ten przypomni sobie trudnš angielskš nazwę.

- No. tego tutaj... tego najbliższego - usiłował ratować sytuację młodszy, ale skutek był kiepski.

Żołnierz nabierał coraz większych podejrzeń. Ochłonš z zaskoczenia i zapewne przypomniał sobie punkty regulaminu, które instruowały, co brytyjski żołnierz powinien zrobić, gdy napotka niemieckiego szpiega.

- Jestecie zatrzymani do wyjanienia - powiedział, unosząc karabin. - Połozć ręce na głowie i ić przede mnš. Przy próbie ucieczki będę strzelał! Kierować się tam - wskazał lufš w stronę zabudowań, widocznych zza wydm.

Misja agentów Abwehry, którzy na poczštku wrzenia 1940 r. wylšdowali na angielskim wybrzeżu w rejonie Hythe. zakończyła się fiaskiem, zanim okręt podwodny, którym przyplłynęli, zdšżył powrócić do bazy. Podzielili los jedenastu

innych, równie le przygotowanych do swej misji, którzy w tym samym czasie dostali się do Anglii. Większość szpiegów, przemycanych w ramach planu "Lobster", została aresztowana w kilka godzin po wylądowaniu na angielskiej ziemi. Inni, którym udało się dotrzeć do miast i znaleźć schronienie u brytyjskich faszystów, zostali szybko wykryci przez policję i kontrwywiad. Zdradzały ich wysyłane z Hamburga szyfrogramy "Enigmy", które Brytyjczycy potrafili odczytywać. Agenci demaskowali się nieumiejętnym nadawaniem meldunków radiowych, umożliwiającym brytyjskim służbom goniometrycznym namierzenie miejsc ustawienia nadajnika; kilku zgłosiło się na policję, proponując współpracę. Niemal wszyscy zostali skazani na śmierć.

Dwaj agenci, schwytani w rejonie Hythe, uniknęli tego losu. Nie byli lepsi ani gorsi od swoich towarzyszy. Mieli po prostu szczęście. Pewnego dnia w ich celach w londyńskim Tower zjawił się miły major, który każdemu z nich powiedział to samo:

- Stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że jest pan niemieckim szpiegiem. Został pan co prawda przypadkowo aresztowany przez żołnierza, ale ten chłopak tylko popsuł nam szyki. Zasadzka była bowiem przygotowana w domu pani Ciarton, u której miał pan wraz z towarzyszem znaleźć bezpieczne schronienie. Nie dziwi pana, skąd to wiemy? Abwehra was zdradziła. Za kilka dni stanie pan przed sądem, a nasze dowody wystarczą, by skazać pana na śmierć.

Wyrok powieszenia za szpiegię aż do śmierci" - jak to określa nasze prawo - zostanie wykonany bezzwłocznie. Czy chce pan przekazać jakie wiadomości rodzinie w Niemczech? Możemy przesłać je za pośrednictwem Czerwonego

Krzyża. Ale proszę się zastanowić, czy naprawdę nie ma pan ochoty dożyć staroci? Jedzenie w więzieniu Jego Królewskiej Moci nie jest wprawdzie najlepsze, ale za to bardzo zdrowe. Będzie pan tu siedział do końca wojny, co gwarantuje panu przeżycie tego straszego czasu. Zapewniam, że miliony żołnierzy niemieckich zazdrociłyby panu takiego losu.

- Co mam zrobić w zamian?

- Opowiedzieć nam wszystko o swojej misji, a później co pewien czas przekazywać do centrali w Hamburgu depesze, które przygotowujemy. Proszę to przemyśleć. Przyjdę jutro.

Agenci nie zastanawiali się długo. Rzeczywiście czuli się zdradzeni przez przełożonych, którzy ich przygotowali do szpiegowskiej misji. Szybko zgodzili się na współpracę z wywiadem brytyjskim. Starszy otrzymał pseudonim "Summer". a młodszy - "Tate". Ich zadaniem było przesyłanie do centrali w Hamburgu fałszywych informacji. „Tate” i „Summer” stali się trybikami pracującej z coraz większym rozmachem maszyny, kierowanej przez London Controlling Section. W czerwcu 1942 r. otrzymali polecenie informowania centrali o przygotowaniach do inwazji na Francję.

Stali się częścią wielkiej gry. mającej na celu utrzymanie wojsk niemieckich w zachodniej i północnej Europie w stałym napięciu i gotowości do odparcia inwazji. Przewiadczenie o jej bliskoci miało skłonić Hitlera do skierowania w rejony zagrożone uderzeniem wojsk alianckich poważnych sił. wycofanych z frontu wschodniego, i do rozpoczęcia prac fortyfikacyjnych.

Już w kilka miesięcy po podboju Francji Niemcy rozpoczęli nad kanałem La Manche budowę umocnień. wiadomość zagrożenia, z ręcznie podsycana przez Brytyjczyków, nakazała Hitlerowi wydać w marcu 1942 r. dyrektywę nr 40 - o budowie wału atlantyckiego. To było pierwsze zwycięstwo brytyjskich służb specjalnych: plan budowy umocnień, ciągnących się przez tysiące kilometrów - od granicy z Hiszpanią do północnych krańców Norwegii - wymagał zaangażowania ogromnego potencjału gospodarczego, dziesiątków tysięcy robotników, a później żołnierzy do obsadzenia bunkrów, stanowisk dział i karabinów maszynowych.

W jednej z depech „Tatę”, wykonując polecenia brytyjskich mocodawców, podał miejsce przewidywanej inwazji: francuskie miasto Dieppe.

Dieppe - port (zdjęcie lotnicze)

Był ciepły, wiosenny poranek 10 kwietnia 1942 r. Duży, czarny Bentley i jadący tuż za nim jeep z żołnierzami skręciły z mostu Lambeth w stronę Whitehallu. Przemknęły obok gmachu Parlamentu, zwolniły na moment przed skrzyżowaniem, ale policjant, poinformowany o przejeździe samochodów, wstrzymał ruch pojazdów z Westminster Bridge. Tuż za skrzyżowaniem samochody skręciły z Whitehallu w prawo, w wąską uliczkę, utworzoną z wysoko ułożonych worków z piaskiem, i zatrzymały się przed szlabanem zagradzającym drogę do Ministerstwa Wojny. Wartownik obejrzał dokładnie dokumenty, które podał mu oficer siedzący obok kierowcy Bentleya, zsalutował i otworzył zaporę.

zezwalajšc tym samym na wjazd na dziedziniec ministerstwa.

Przed schodami, prowadzšcymi do głównego wejcia ogromnego, szarego gmachu, stał oficer, który odczekawszy, aż samochód się zatrzyma, podszedł sprężystym krokiem i otworzył drzwiczki.

- Major Taylor - zameldował się wysokiemu, postawnemu mężczyźnie, który wysiadł z samochodu. - Panie generale, mam zaszczyt towarzyszyć panu na spotkanie, które rozpocznie się zgodnie z ustaleniami.

Ta zawiła forma powitania oznaczała, że major został wysłany po to, aby sprawnie przeprowadzić gości przez wszystkie punkty kontrolne, których w gmachu Ministerstwa Wojny było bez liku. Zaczekali chwilę, aż z samochodu wysiđš dwaj inni mężczyźni i ruszyli w stronę wejcia.

Punktualnie o 10.30 generał George Marshall, szef sztabu amerykańskich wojsk lšdowych, i Harry Hopkins, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, weszli do sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. W głębi, pod ogromnym obrazem, przedstawiającym wyprawę Kitschenera przeciwko Mahdiemu, stał gospodarz spotkania - generał Alan Brooke, szef Sztabu Imperialnego.

- Witam pana, generale - wyciŹgnł rękę w stronę Marshalla. Ten patrzył badawczo na Brooke'a. Zawsze zaskakiwał go niepozorny wyglđ najslawniejszego brytyjskiego żołnierza.

- Cieszę się z tego spotkania, generale, - Ucisnł rękę Brooke'a.

- Mam nadzieję, że podróż panów minęła bez większych komplikacji - Brooke

kontynuował obowiŹzkowŹ wymianę grzeczności. - Londyn wita was piéknŹ pogodŹ. O tej porze roku nie zawsze tak jest.

Członkowie obydwu delegacji zajęli miejsca za długim, mahoniowym stołem. Rozpoczęły się negocjacje na temat amerykańskiego planu prowadzenia wojny w Europie. Marshall przyjechał, by uzyskać od Brytyjczyków zapewnienie, że wspólnie z Amerykanami przygotujŹ inwazję na kontynent. Plan był następujŹcy:

15 września 1942 r. 6 dywizji (w tym 5 amerykańskich: 3 - piechoty i 2 pancerne) na pokładach brytyjskich okrétów wyruszy do ataku na brzeg Francji.

Wspomagać je będzie 5800 samolotów (w tym 2550 brytyjskich). Po wdarciu się na brzeg żołnierze wojsk desantowych utworzŹ silnie bronione przyczółki.

Wkrótce wspomogłoby ich 12 dywizji dostanych z Anglii. Na tym zakończyłby się pierwszy etap operacji wyzwolenia Europy, któremu nadano nazwę ..Sledgehammer". Przez następane miesiŹce siły we Francji byłyby rozbudowywane o 100 tysięcy żołnierzy tygodniowo. Gdy liczebność wojsk alianckich osiągnęłaby milion żołnierzy (30 dywizji), wówczas uderzyliby w głŹb Francji, wyzwolili to państwo i ruszyli do stolicy Trzeciej Rzeszy. Ten etap operacji, który miał być decydujŹcy dla losów II wojny, nazwano ..Roundup".

Brooke słuchał tych planów z irytacjŹ trudno skrywanŹ. W jego ocenie była to operacja niemożliwa do przeprowadzenia. Dobrze pamiętał, jak zakończyła się podobna operacja, podjęta przez Brytyjczyków w 1915 r. Wówczas to Pierwszy Lord Admiralicji Winston Churchill doszedł do wniosku, że desant duzego oddziału wojska na tureckim brzegu zmusi Niemców do przerwania z Francji

całych jednostek do odległego rejonu, a wtedy żołnierze Ententy uderzł na froncie francuskim i zwycięzł osłabione wojska niemieckie. 25 kwietnia 1915 r. oddziały angielskie, australijskie i nowozelandzkie podjęły próbę opanowania brzegu w rejonie Gallipoli. W czasie desantu zginęło kilka tysięcy żołnierzy. zdziesiątkowanych ogniem karabinów maszynowych i dział. Ci, którzy zdołali wdrzeć się na brzeg, przez kilka miesięcy bronili się dzielnie, ale w nocy z 8 na 9 stycznia 1916 r. musieli się ewakuować. Ta operacja kosztowała życie 30 tysięcy żołnierzy. 4 tysiłce odniosł rany. 8 tysięcy dostał się do niewoli lub zaginęł. Ogromne ofiary poszły na mamę: desant nie zmienił sytuacji na froncie. Winston Churchill musiał podać się do dymisji, choć podobno zawinili dowódcy oddziałów inwazyjnych, działający niezdecydowanie i bez wyobrani.

Co prawda inny desant - przeprowadzony 23 kwietnia 1917 r. na bazę niemieckich okrętoł podwodnych w Zeebrugge w Belgii - zakończył się sukcesem, ale była to operacja na niewielkš skalę: kilkudziesięciu żołnierzy z 4. batalionu Royal Marines zdołalo zniszczyć lub zablokować urzłdzenia portowe.

Przez całš I wojnę Brytyjczycy rozbudowywali wojska inwazyjne, które w 1918 r. liczyły 55 tysięcy żołnierzy, ale w czasie pokoju siły te zmalały do 15 tysięcy żołnierzy piechoty morskiej - Royal Marines. W latach trzydziestych w Fort Cumberland działał centrum rozwoju i szkolenia (Inter-Service Training and Development Centre), które opracowało trzy typy nieudanych okrętoł desantowych. Ćwiczenia przeprowadzone w rejonie Slapton Sands w 1938 r. zakończyły się kompletnym fiaskiem, ale niepowodzeniami rzłd brytyjski się nie

zrażał. W 1939 r. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny sprawnie wylądował we Francji i wydawało się, że wojska amfibijne nie będą potrzebne. Dopiero klęska Francji i ewakuacja spod Dunkierki nakazały Brytyjczykom powrót do idei stworzenia pojazdów i wojsk zdolnych dokonać inwazji na kontynent. Do 1942 r. niewiele jednak w tej dziedzinie osiągnięto.

Brooke, doskonale znając słabość brytyjskiej armii, nie wierzył też, aby Amerykanie, którzy zaledwie kilka miesięcy wcześniej ocknęli się z błędnego snu o pokoju, mogli wystawić silniejszą, odpowiednio wyszkoloną i wyposażoną armię.

Generał pamiętał raport brytyjskiego przedstawiciela wojskowego w Waszyngtonie, generała Johna Dillona, który pisał: Ten kraj [Stany Zjednoczone - BW] jest najlepiej przygotowany do pokoju, jak tylko możesz, sobie wyobrazić. (...) Obecnie ten kraj nie ma - powtarzam: nie ma - najmniejszego pojęcia, co oznacza wojna. Prawdopodobnie w przyszłości dokonasz rzeczy wielkich, ale (...) obecnie cała organizacja [sił zbrojnych - BW] pochodzi z czasów George'a Washingtona.

Dillon nie wspominał w raporcie o niskim morale amerykańskich żołnierzy po dotkliwych klęskach na Pacyfiku. Trudno było sobie wyobrazić, że - w atmosferze przygnębienia po Pearl Harbor i utracie Filipin - setki tysięcy młodych ludzi wyruszą ochoczo, z wiarą w zwycięstwo, do Europy. Wyruszą? Jak? Wody Atlantyku roily się od niemieckich okrętów podwodnych. Brytyjczycy mieli wszelkie podstawy, aby się obawiać, że niemieckie okręty podwodne skutecznie zablokują szlaki żeglugowe i doprowadzą wyspy do gospodarczego załamania.

Royal Navy i US Navy nie miały odpowiedniej liczby jednostek eskortowych,

by skutecznie zwalczać U-booty i zapewnić bezpieczeństwo konwojom. Z setek statków z żołnierzami i milionami ton zaopatrzenia dla wojsk inwazyjnych, wychodzących z amerykańskich portów, niewiele dotarłoby do Wielkiej Brytanii. Wilcze stada, samoloty Luftwaffe i wielkie okręty nawodne, działające z baz w Norwegii, zbierałyby krwawe żniwo.

Jak wdrzeć się na francuski brzeg? Chroniły go wprawdzie bunkry wału atlantyckiego, nie one jednak były najgroniejsze. W połowie 1942 r. Luftwaffe miała 4942 samoloty bojowe, z których 69% - w gotowości bojowej. Mniej więcej połowa z nich stacjonowała na froncie wschodnim, reszta - w Niemczech, Europie Zachodniej i w rejonie Morzaródziemnego. Była więc to siła zdolna rozgromić flotę inwazyjną i zmiażdżyć oddziały, którym udało się stanąć na francuskiej ziemi. Mogłyby tam zostać tylko do czasu, w którym Niemcy rzuciliby do walki pancerne dywizje z czołgami Panter II i /V. Tym pojazdom nie mógł bowiem dorównać żaden czołg brytyjski ani amerykański. Brytyjczycy dotkliwie odczuli siłę Wehrmachtu w Norwegii, Grecji, Francji, na Krecie i w Afryce Północnej.

Na podstawie tych dowiadczeń Brooke uznał, że plan wojny z Niemcami nie może zakładać frontalnego ataku. Inwazja musiała być poprzedzona długotrwałymi przygotowaniem: pracami tajnych służb, które wprowadziłyby nieprzyjaciół w błąd co do miejsca lądowania; nalotami na niemieckie fabryki, aby obezwładnić przemysł zbrojeniowy i wyniszczyć Luftwaffe; opanowaniem wybrzeży Morzaródziemnego w celu zmuszenia Niemców do rozproszenia sił.

Amerykanie byli innego zdania. Uważali, że siła dywizji sprzymierzonych

będzie tak duża, iż złamie opór Niemców. Generał Marshall żądał więc - a prezydent Franklin D. Roosevelt popierał go z całego serca" - aby wojska anglo-amerykańskie ruszyły do frontalnego ataku na Francję.

Brooke w swoim pamiętniku zapisał: W świetle obecnej sytuacji plan [inwazji - BW] na wrzesień 1942 r, jest po prostu fantastyczny. Nie mógł jednak powiedzieć Amerykanom: - nie". Wielka Brytania była silnie uzależniona od szczodroci zamorskiego krewnego; dostawy ze Stanów Zjednoczonych miały istotne znaczenie dla brytyjskiej gospodarki i obronności.

Kredyty i transport materiałów w ramach lend-lease'u ratowały Wielką Brytanię w najtrudniejszym dla niej okresie wojny - w roku 1941, a później nabierały coraz większego znaczenia. I tak np. w 1941 r. co dziesiąty pocisk, wystrzelony przez żołnierza brytyjskiego, pochodził z fabryk amerykańskich; w 1943 r. już co trzeci. W 1942 r. brytyjska VIII armia w Egipcie z utęsknieniem oczekiwała na transport amerykańskich czołgów M3 Grani, a wkrótce połowa wszystkich czołgów w brytyjskich dywizjach pancernych została sprowadzona z USA. Royal Navy potrzebowała amerykańskich okrętów i amerykańskich stoczni, aby w nich budować i remontować swoje jednostki. Fleet Air Arm (Powietrzna Broń Floty) była całkowicie uzależniona od dostaw samolotów myśliwsko-bombowych Corsair i rozpoznawczych Catalina. Royal Air Force wyczekiwała na dostawy doskonałych samolotów transportowych Dakota, lekkich bombowców, szturmowców i myśliwców. Obydwa państwa splotły się w ogromnym wysiłku wojennym i każdy z brytyjskich generałów

rozumiał, że spłotu tego nie może naruszyć bez narażenia na szwank interesu ojczyzny.

Brooke nie mógł więc powiedzieć: „nie”. Nie mógł również zgodzić się na przedsięwzięcie, które uważał za szaleństwo. Wydawałoby się, że nie ma wyjścia. A jednak Brooke i Churchill, znalazłszy wcześniej zapędy Amerykanów, opracowali plan, który pozwalał uniknąć sporu, a w każdym razie odsunąć podjęcie ostatecznej decyzji o inwazji na kontynent europejski. Brooke chciał osiągnąć odroczenie inwazji na Francję, zgadzając się na lądowanie w tym kraju, ale według jego planów nie miały to być masy wojsk inwazyjnych - jak tego chcieli amerykańscy autorzy planu „Sledgehammer” - tylko stosunkowo niewielki oddział realizujący zadania rozpoznawcze.

Takim rozstrzygnięciem zakończyła się konferencja w gmachu Ministerstwa Wojny. Generał Marshall był przekonany, że przełamał niechęć sojuszników do swych propozycji; a ugruntował się w tym przekonaniu podczas spotkania z premierem Churchillem 14 kwietnia. Wkrótce potem wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie natychmiast poinformował prezydenta o pozytywnych wynikach londyńskich rokowań.

W Londynie za brytyjscy planicy, pod dowództwem generała Bernarda Law Montgomery'ego, przystąpili do planowania rajdu kilku tysięcy żołnierzy na wybrzeże francuskie w rejonie portu Dieppe. Atak miały przeprowadzić dwie brygady z kanadyjskiej 2. dywizji, wspomagane przez niewielki oddział komandosów brytyjskich i 28 nowych czołgów Churchill. Wsparcie z morza miało zapewnić 200 okrętów (wśród których największymi jednostkami były

niszczyciele), a z powietrza 200 samolotów RAF.

Co mogły zdziałać dwie brygady i 28 czołgów na francuskim wybrzeżu, gdzie Niemcy w ciągu 6 godzin byli w stanie wprowadzić do walki dywizję pancerną (tj. około 300 czołgów)? Plan zakładał zniszczenie urządzeń w niewielkim porcie, schwytanie pewnej liczby Niemców; ewentualne zdobycie maszyny szyfrującej Enigma", zorientowanie się w terenie i w organizacji obrony wybrzeża; a po 1,5 lub 2 dniach powrót do Anglii.

Tymczasem w Waszyngtonie generał Marshall zakreślił główne kierunki zakrojonej na szeroką skalę operacji Bolero", polegającej na przerzuceniu do Wielkiej Brytanii żołnierzy i sprzętu niezbędnego do zwycięskiego podboju wybrzeży Francji. Prezydent Roosevelt natychmiast powiadomił Stalina, że alianci zachodni planują na wrzesień utworzenie drugiego frontu. W czerwcu do Londynu przybył generał Dwight Eisenhower, który -jako głównodowodzący europejskiego teatru działań armii USA (European Theater of Operations US Army - ETOUSA) - miał doglądać przygotowań do wielkiej operacji inwazyjnej ..Sledgehammer". Brytyjczycy przyjęli go chłodno. Nie wywarł na nich dobrego wrażenia oficer, którego dowiadczanie bojowe było równe zeru. Największą jednostką, którą dowodził, był pułk czołgów, który nie oddał ani jednego strzału w walce, a znajomość problemów europejskich generała Eisenhowera sprowadzała się do wiedzy nabytej w czasie zbierania materiałów do książki o amerykańskich pomnikach wojennych w Europie.

Eisenhower nie przejmował się jednak pełnym wyższoci dystansem brytyjs-

kich oficerów. Uważał ich za dziwaków, przeczulonych na punkcie tajemnicy wojskowej i operacji specjalnych. To przekonanie nasiliło się, gdy poznał działalność London Controlling Section. Zapisał w pamiętniku: W pierwszych dniach wojny, zwłaszcza gdy Wielka Brytania stawiała samotny opór w J 940 i 1941 r.. Brytyjczycy niewiele mieli do przeciwstawienia Niemcom z wyjątkiem podstępów. (...) Takie postępowanie stało się jednak zwyczajem, którego nie mogli się pozbyć.

Tymczasem generał Bernard Law Montgomery - wsławiony sprawnym przeprowadzeniem ewakuacji swojej dywizji spod Dunkierki w maju 1940 r. - przygotował założenia planu „Rutter”. Uznał, że powodzenie operacji zależy od utrzymania całego przedsięwzięcia w jak najgłębszej tajemnicy, co warunkowało całkowite zaskoczenie niemieckiego garnizonu na francuskim wybrzeżu. Na naradzie w Sztabie Generalnym brytyjscy sztabowcy słuchali jak urzeczeni słów Montgomery'ego. Zastanawiające, że żaden z dowiadczonych żołnierzy nie zwrócił uwagi, iż morskie wsparcie desantu jest wprost symboliczne. Pociski najcięższych dział kal. 120 mm, którymi dysponowały niszczyciele, mające osłaniać lądowanie wojsk desantowych, były zbyt małe, aby skruszyć niemiecką obronę. Najgroniejsza broń lądujących oddziałów - czołgi Churchill - była stanowczo za ciężka (38,5 ton) do walki na kamienistej plaży, stromo opadającej do morza, a ponadto, wprowadzona niedawno do uzbrojenia, miała wiele wad. Liczne zastrzeżenia można było mieć również do planu wsparcia oddziałów przez samoloty RAF. Plan Montgomery'ego został jednak zaaprobowany. Ruszyły przygotowania do rajdu na francuskie wybrzeże w rejonie Dieppe.

W tym samym czasie agent „Tatę”, pod okiem specjalisty z London

Controlling Section, szyfrował depeszę do centrali Abwehry: Z najlepszych źródeł uzyskałem informacje o tajnych przygotowaniach dużych sił alianckich do desantu na francuskie wybrzeże w rejonie Le Ha're - Dieppe. Termin jeszcze nie jest znany. Polecenie wysłania takiej depeszy dał szef LCS. pułkownik Stanicy. Dla niego był to tylko element wielkiej gry, która miała przekonać Niemców, że alianci szykują się do inwazji na wybrzeże francuskie. Dlaczego wskazał Dieppe? Czyżby nie znał planu Montgomery'ego? Bardzo możliwe, że wymóg zachowania tajemnicy wojskowej uniemożliwił poinformowanie szefa dywersyjnej organizacji LCS o planach Sztabu Generalnego. Jednakże zaskakująca to zbieżność...

Dowództwo wojsk niemieckich we Francji nakazało wzmocnienie garnizonu we wskazanym mieście. Pod kamieniami plaży ułożono dodatkowo 14 tysięcy min przeciwpiechotnych i przeciwpancernych. Budynek kasyna - zasłaniający widok na część plaży, najbardziej narażony na atak z morza - został zaminowany i miał być wysadzony, gdy tylko pojawiłyby się alianckie okręty, przez co poszerzyłoby się pole ostrzału niemieckich dział.

Zniszczony budynek kasyna w Dieppe (zdjęcie lotnicze)

Pórnym majowym wieczorem premier Winston Churchill zszedł do schronu pod masywnym budynkiem obok Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jasno

owietlony, wśki korytarz, z metalowymi drzwiami do poszczególnych pomie-
szczeń schronu, przywoził mu zawsze na myl najtrudniejsze dni 1940 r., gdy na
Londyn sypały się niemieckie bomby... Naloty w 1942 r. były już rzadsze, ale
Churchill lubił spędzać czas w podziemnym bunkrze. Cisza i nastrój tego
pomieszczenia stwarzały atmosferę sprzyjającą skupieniu.

Wszedł do swojego pokoju, wyłożonego zielonkawym dywanem, i skierował
się w stronę dużego biurka, nad którym wisiała ogromna mapa Europy. Rozległo
się pukanie do drzwi.

- Generał Brooke. sir. - Młody żołnierz czekał na pozwolenie wpuszczenia
gocia.

- Tak. tak. niech wejdzie. - Premier uniósł pokrywkę drewnianego pudełka.
w którym przechowywał cygara. Wybrał jedno, obciśł koniec w mosiężnej
gilotynie i zapalił. Wkrótce pokój wypełniły kłęby dymu.

- Panie premierze - zameldował się generał.

- Niech pan siada - Churchill wskazał fotel przy biurku. - Czy zna pan ostatnie
doniesienia z Waszyngtonu?

- Myli pan o opinii generała Marshalla?

- Tak. On uważa, że Rosjanie nie przetrzymają niemieckiej ofensywy. -

Churchill odwrócił się w stronę mapy i zaczął wyszukiwać wzrokiem rejony
niemieckich uderzeń. - Faktem jest, że daleko zaszli... - dodał po chwili.

- Według naszych ocen, Armia Czerwona straciła w maju i czerwcu tego roku około 250 tysięcy żołnierzy, ale jednocześnie jej liczebność niemalże się podwoiła w stosunku do końca 1941 r., kiedy to Rosjanie mieli pod bronią około 2.5 miliona żołnierzy. Bardzo szybko rosła u nich produkcja zbrojeniowa, ponieważ zakłady ewakuowane za Ural już podjęły normalną pracę. Oczywiście, postępy wojsk niemieckich mogły być niepokojące, ale im dalej zapuszczają się w głąb Rosji, tym trudniejsza staje się ich sytuacja logistyczna. Oddziały partyzanckie, działające na tyłach, liczą obecnie około 250 tysięcy ludzi, kierowanych przez Kreml. Niemieckie linie komunikacyjne wydłużają się, a jednocześnie dywizje są rozpraszane wzdłuż ogromnego frontu o długości około 2,5 tysiąca mil. Panie premierze, nie zgadzam się z opinią generała Marshalla, że Rosjanom grozi klęska - zakończył swój wywód Brooke.

- Uważa pan więc, że inwazja naszych wojsk na kontynent, która zmusiłaby Niemców do przetrzucenia z frontu wschodniej części wojsk, nie jest konieczna...

- Uważam - powiedział z naciskiem Brooke - że przedwczesne otwarcie frontu zachodniego może zakończyć się jedynie straszliwą klęską, która zredukuje do minimum naszą szansę na ostateczne zwycięstwo.

- Roosevelt nalega...

- Bez wstąpienia pod wpływem Marshalla! - W tonie, jakim Brooke wymawiał nazwisko swego przeciwnika, można było wyczuć wyraźną antypatię. - Lub Hopkinsa. Jestem zdania, że możemy najwyżej przeprowadzić duży rajd na

francuskie wybrzeże. W ten sposób odciśniami z frontu wschodniego część sił Luftwaffe. Ssdzę jednak, że rozwój sytuacji w Afryce Pólnocnej skłoni Roosevelta do przyjęcia naszego projektu, zwiřzanego z inwazjř w tamtym rejonie.

To był plan, który Churchill pieczołowicie hołubił. Inwazja wojsk angloamerykańskich na wybrzeże Afryki Pólnocnej pozwoliłaby osiřgnć wiele celów za jednym zamachem. Przede wszystkim dawała szansę rozgromienia wojsk niemiecko-włoskich, zagrażających Kairovi: pozwalała Brytanii objřć w mocne włádanie wybrzeże Morza ródziemnego, przez które prowadziły najważniejsze szlaki komunikacyjne do brytyjskich kolonii na Bliskim i Dalekim Wschodzie: dawała też bazę, z której mogłyby wyruszyć wojska do Europy - najpierw do Włoch, a póniej na Bałkany, aby stamtřd z kolei rozpocźć zwycięski marsz do Berlina.

Przeszkodę w realizacji tego przejrzystego planu stanowili Roosevelt i Stalin. Radziecki dyktator zdawał się odgadywać plany Churchilla, a nie miał zamiaru mu ich ułatwiać. Chciał, aby zachodni alianci jak najszybciej uderzyli na Francję. Co na tym zyskiwał? Przekrełał możliwość inwazji na Bałkany, groźcř wejciem wojsk alianckich na Wędry, do Czechosłowacji i Polski. Państwa te chciał widzieć jako radzieckie zdobycze wojenne. Bitwa na wybrzeżach Francji zmusiłaby Niemców do skierowania tam części sił z frontu wschodniego. Gdyby nawet Niemcy odniełi zwycięstwo, i tak musieliby pozostawić wiele dywizji we Francji - w obawie przed następnymi inwazjami. Przegrana i duże straty zachodnich aliantów nie martwiły Stalina. Wolał, żeby wojska anglo-amerykańskie nie były za silne. Uważał.

że Zwiśzek Radziecki może wygrać wojnę sam, byle tylko alianci odciśgnęli co nieco Niemców i tym samym dali Armii Czerwonej czas na mobilizację rezerw i uzupełnienie zaopatrzenia.

Stalin musiał wzmóc presję na Roosevelta. aby skłonił on Churchilla do jak najszybszej inwazji we Francji. Z takš misjš wyruszył z Moskwy Wiaczesław Mołotow, ludowy komisarz spraw zagranicznych. Pierwszym etapem jego podróży był Londyn, gdzie osobisty samolot Mołotowa Pe-8 wylśdował po południu 20 maja 1942 r.

Churchill nie starał się nawet ukryć niechęci wobec planu szybkiego utworzenia drugiego frontu w Europie:

- Czynimy przygotowania do lśdowania na kontynencie w sierpniu lub wrzeniu 1942 r. - Słowa Churchilla nie miały żadnego znaczenia. Szybko przeszedł do sedna sprawy: - Głównym czynnikiem ograniczajšcym wielkość operacji inwazyjnej jest brak specjalnych okrętów desantowych. Zrozumiałe jest. że nie byłoby korzystne dla Rosjan ani aliantów podejmowanie akcji inwazyjnej za wszelkš cenę. Akcji, która zakończyłaby się katastrofš, dajšc nieprzyjacielowi okazję do chwały z powodu naszej klęski. Jest niemożliwe okrelenie, kiedy sytuacja dojrzeje do przeprowadzenia takiej operacji. Nie możemy więc składać żadnych obietnic, ale jeżeli będzie to możliwe i uzasadnione, nie zawahamy się przed wprowadzeniem planów w życie.

Mołotow liczył na to. że prezydent Roosevelt podejmie innš decyzję i zmusi krnšbrnego sojusznika z Londynu do przypieszenia ataku.

Z Londynu udał się do Waszyngtonu. W czasie rozmowy w Białym Domu stwierdził:

- Jeżeli przesunie pan termin inwazji na Europę, będzie musiał pan ewentualnie przejść cały ciężar wojny, a jeśli Hitler stanie się niekwestionowanym władcą kontynentu, przyszły rok będzie bez wątpienia znacznie gorszy niż obecny [do przeprowadzenia inwazji - BW],

Mołotow wiedział doskonale, które argumenty wysuwać. Wywiad radziecki informował go bowiem, że Roosevelt obawia się załamania Związku Radzieckiego...

- Upoważniam zatem pana do poinformowania Stalina, że oczekujemy utworzenia drugiego frontu jeszcze w tym roku - powiedział prezydent.

Niemieckie koszary w Dieppe (zdjęcie lotnicze)

Churchill wiedział, że nie może pozostawić Roosevelta pod wrażeniem rozmowy z Mołotowem. Wysłał natychmiast do Waszyngtonu lorda Louisa Mountbattena, aby wyjanił on brytyjskie stanowisko. Raport, który przekazał brytyjski wysłannik, wskazywał, że prezydent ulega wpływowi Marshalla i ministra wojny Henry'ego Stimsona. przekonanych o konieczności inwazji. By jak najszybciej przeciwstawić się tej koncepcji, Churchill i generał Brooke wyruszyli 17 czerwca do Stanów Zjednoczonych. Brytyjski premier wychodził z założenia, że odrzucając możliwość inwazji na Europę, musi przedstawić prezydentowi

alternatywę. Przygotował w zwiŹszku z tym memorandum: JesteŹmy przekonani, Źe tego roku nie powinno dojŹć do duŹszej akcji inwazyjnej na francuskim wybrzeŹu. (...) Ale co innego moŹemy zrobiŹć? Czy moŹemy powaliŹć sobie na bezczynnoŹć na atlantyckim teatrze wojny przez cały 1942 r.? Czy nie powinniŹmy przygotowaŹć, w ramach struktury „Bolero”, operacji, w wyniku ktŹorej uzyskalibyŹmy przewagę, a takŹe bezporednio lub porednio przejęlibyŹmy cięŹar prowadzenia wojny w Rosji? PowinniŹmy przestudiowaŹć operację (Torch) we Francuskiej Afryce PŹłnocno-Zachodniej.

Spotkanie w BiałyŹm Domu rozpoczęło się 21 czerwca o 16.30. Za owalnym stołem sali konferencyjnej zasiedli po jednej stronie: prezydent Roosevelt, generał Marshall i Harry Hopkins. Po drugiej stronie zajęli miejsca: Churchill, Brooke i generał John Diii. Gdy ucichły juŹ grzecznościowe formułki, do sali wszedł jeden z sekretarzy. Podał prezydentowi kartkę. Roosevelt przebiegł jŹś wzrokiem i bez słowa przekazał Churchillowi. Ten dłuŹgo wpatrywał się w tekst. WidaŹć było, Źe legła w gruzach misterna konstrukcja negocjacji, ktŹóre chciał prowadzić. Kartka zawierała kilka słów: Tobruk został zdobyty". Było to waŹne zwycięstwo wojsk niemiecko-włoskich, tworzące niebezpieczeństwo, Źe w najbliŹszym czasie wojska osi" mogŹ wdrzeŹć się do Egiptu. W takiej sytuacji planowanie inwazji na FrancuskŹ Afrykę PŹłnocno-ZachodniŹś było nierealne. Ponadto Churchill odczuł boleŹnie fakt, Źe o klęsce swoich wojsk dowiedział się od Amerykanów. Po tej wiadomości niewiele pozostało mu do powiedzenia. Mógł jedynie roztaczaŹ wizję totalnej klęski i „rzeki krwi", w jakŹ zamieni się kanał La Manche. Nie przekonał jednak prezydenta.

Porozumienie w sprawach militarnych, ustalone przez Roosevelta i Churchilla głosiło: Operacje we Francji lub w Belgii i Holandii w 1942 r. mogłyby, gdyby zakończyły się sukcesem, doprowadzić do osiągnięcia ważniejszych celów politycznych i strategicznych niż operacje prowadzone na jakimkolwiek innym teatrze wojny. Plany i przygotowania do takich operacji będą prowadzone z całą możliwą szybkością, energią i pomysłowością. (...) Jeżeli opracowany zostanie mądry plan, nie powinniśmy wahać się, aby go zrealizować. Jeżeli, z drugiej strony, szczegółowe sprawdzenie wykaże, że mimo wszystkich wysiłków sukces jest mało prawdopodobny, musimy być gotowi przyjąć alternatywne rozwiązanie [podkrelenie - BW],

To ostatnie zdanie było niezwykle ważne. Dawało Churchillowi możliwość wycofania się z operacji inwazyjnej, pod warunkiem że udowodniłby, iż „sukces jest mało prawdopodobny”. Od dawna już myślał o wysłaniu na francuski brzeg „próbego” desantu, choć zdawał sobie sprawę z ryzyka, które mogło wzrosnąć, gdyby Niemcy - poinformowani o możliwości desantu - byli gotowi do jego odparcia.

Przygotowania do operacji „Rutter” trwały. Wystarczyło więc wysłać kilka tysięcy żołnierzy na francuski brzeg (najlepiej, gdyby wśród nich byli Amerykanie - prasa amerykańska ubóstwiała opisy bohaterskich mierci obywateli tego państwa), a potem zliczyć trupy i rannych. Niechby wtedy Roosevelt odważył się nalegać na posłanie do Francji kilkuset tysięcy żołnierzy'.... Nie! To był prosty plan. Gdyby Churchill zagrał tę kartę, straciłby wszystko. Opozycja oskarżyłaby go o wysłanie na miarę brytyjskich żołnierzy tylko w celu przekonania

Roosevelta o nierealności inwazji; straciłby zaufanie prezydenta USA. co bez wątpienia natychmiast wykorzystałby Stalin; wreszcie mógł stracić chwalebne miejsce w historii.

8 lipca 1942 r. Churchill nakazał przerwanie przygotowań do operacji „Rutter”. a do prezydenta Roosevelta wysłał depeszę: Żaden odpowiedzialny brytyjski dowódca wojsk lądowych, morskich lub powietrznych nie jest przygotowany do rekomendowania operacji „Sledgehammer” jako możliwej do przeprowadzenia w 1942 r. (...) Szefowie sztabów raportują: „Niewielkie są szanse, na wystąpienie warunków, w których „Sledgehammer” mógłby być rozsądnym przedsięwzięciem.

Waszyngton zareagował ostro. Prezydent powiadomił Churchilla, że wysłał do Londynu swoich przedstawicieli: generała Marshalla, Hopkinsa i admirała Emsta J. Kinga. Informacji o przyjeździe delegacji towarzyszyła depesza, w której prezydent pisał, że obrót wydarzeń nakazuje rządowi Stanów Zjednoczonych zmienić dotychczasową strategię i skoncentrować siły amerykańskie na Pacyfiku, pozostawiając Wielkiej Brytanii tylko niewielką pomoc.

Churchill znalazł się w sytuacji bez wyjścia. W jego ocenie zgoda na szybką inwazję była szaleństwem. Po nieudanej próbie opanowania francuskiego wybrzeża Roosevelt zostałby zapewne zmuszony do rezygnacji z urzędu prezydenta. W Stanach Zjednoczonych zwyciężyliby wówczas zwolennicy zaangażowania wszystkich sił w wojnę z Japonią. Ameryka wycofałaby swoje poparcie dla Wielkiej Brytanii, a bez tego zwycięstwo w Europie było niemożliwe. Efekt byłby ten sam, gdyby Churchill nie zgodził się na dokonanie

inwazji - obrażony prezydent groził, że Ameryka zajmie się wtedy wojnã na Pacyfiku!

Premier postanowił jako wybrnść z tej sytuacji. Musiał pokazać Amerykanom, co przyniesie próba wdarcia się na francuski brzeg. Delegacja amerykańska miała przybyć 18 lipca. Trzy dni wcześniej Churchill wydał polecenie przeprowadzenia rajdu na wybrzeże francuskie. Operacji nadano kryptonim „Jubilee”. Jej dowódcy - kapitan J. Hughes Hallett (operacje morskie), generał J.H. Roberts (działania lądowe), generał T. Leigh Mallory (działania powietrzne) - byli zgodni co do jednego: oddziały inwazyjne nie mają szans wdarcia się na brzeg, jeżeli nieprzyjaciel zostanie uprzedzony o inwazji. Podstawowym warunkiem powodzenia operacji było więc zachowanie cisłej tajemnicy.

W tym samym czasie Adolf Hitler podpisał rozkaz; Jako rezultat na szczytach zwycięscy, osiągniętych gładko, Anglia może zostać zmuszona do natychmiastowego przeprowadzenia inwazji w' celu sparzenia drugiego frontu lub też ryzykuje utracenie Rosji Sowieckiej jako politycznego i militarnego elementu. Z tego względu jest wysoce prawdopodobne, że wkrótce nastąpi nieprzyjacielskie inwazje w rejonie OB West. (...) Przede wszystkim na brzegu kanału La Manche, w rejonie między Dieppe i Le Havre, w Normandii, gdyż obszary te znajdują się w zasięgu nieprzyjacielskich samolotów myśliwskich oraz ze względu na to, że leżą w zasięgu większości okrętów inwazyjnych.

Skąd flihrer wiedział, że alianci planują uderzenie w rejonie Dieppe?

Roosevelt i Churchill. 1941

Pociąg osobowy z Paryża zatrzymał się na niewielkiej stacji Veules-les-Roses. Z ostatniego wagonu wysiadł wysoki, smukły mężczyzna. Rozejrzał się po peronie i po chwili ruszył w stronę budynku dworca. Wszedł do poczekalni, w której był tylko jeden człowiek, drzemący na ławce pod oknem. Przybyły obcesowo szarpnął go za ramię.

- Spać to powinien pan w domu. Raoul - powiedział.

- Przepraszam, niewiele miałem czasu na sen. kapitanie. - Mężczyzna z ławki potarł twarz i oczy dłońmi. - Poza tym pociąg się spóźnił...

- Nie nazywaj mnie kapitanem! Idziemy... Wyszli na niewielki plac przed dworcem.

- Daleko stąd? - zapytał mężczyzna nazwany kapitanem. Był to oficer Abwehry Heinz Eckert.

- Około dwóch kilometrów - odpowiedział jego przewodnik, członek francuskiego ruchu oporu. Raoul Kiffer. noszący pseudonim „Kiki”, od ponad roku współpracujący z wywiadem niemieckim.

- To dobrze. Z Paryża co prawda nie jest daleko, lecz z przyjemnością rozprostuję koci. Co nowego?

..Kiki" obejrzał się, ale na wśkiej wiejskiej drodze, wijącej się między kamiennymi murkami, nie było nikogo.

- Powtarzajś się ostrzeżenia z Londynu, żebymy nie podejmowali działań zbrojnych na własną rękę, lecz czekali na wyrane polecenie.

Jak to rozumiesz?

- Przygotowujś inwazję. - Kiki" wzruszył ramionami. - To oczywiste.

I nie chcś mieć bałaganu. Mylę, że dowie się pan znacznie więcej od madame Jeanette.

- Opowiedz mi o niej.

- Jeanette Dumoulins, około 45 lat. Kieruje miejscowś siatkś ruchu oporu.

Ma podobno ważne materiały do przekazania do Londynu. Obiecałem, że przelemy je przez kanadyjskiego lotnika o nazwisku Evans, którego będziemy tam przerzucać.

- Ten Evans to ja?

- Tak. Wyglśda pan odpowiednio. Musi pan tylko niemiecki akcent zmienić na angielski i madame Jeanette niczego nie będzie podejrzewać. Poza tym najważniejsza jest moja rekomendacja. To już tutaj. - Raoul wskazał szary, jednopiętrowy budynek, położony na uboczu.

Jeanette Dumoulins przyjęła ich gocinnie. Obecność Raoula, którego znała od wielu lat. usuwała wszelkie wśtpliwości na temat kanadyjskiego pilota.

Madame nie mogła wiedzieć, że Raoul pracuje dla Niemców. Za tę niewiedzę

w roku 1944 zapłaciła życiem.

- Wiem, że będzie pan wkrótce w Londynie - zagała rozmowę, gdy usiedli

w saloniku. - Mam do pana probę. Ostatnio odebrałam wiadomość z radia

BBC: Georges wkrótce obejmie Jeanette". To od mojego męża, który od 1940 r.

jest w Anglii. Jak rozumiem, wkrótce przybędzie tutaj z wojskami amerykańskimi.

Gdyby pan zechciał odszukać Georgesa w Londynie i dowiedzieć się od

niego czego więcej...

- Ależ oczywiście!

- Mam też przesyłkę, o której wspomniałam Raoulowi. - Pani Dumoulins

wyszła z pokoju. Przez nie domknięte drzwi Heinz zauważył, że odsunęła parapet

i wydobyła spod niego pakunek. Wróciła do gości i podała Evansowi" paczkę.

starannie owinięts w gazetę.

- Proszę pamiętać, że to bardzo ważne dla naszej sprawy - zaznaczyła.

- Oczywiście. Nie miałem dotąd, co prawda, nic wspólnego z konspiracją, ale

sśdzę, że zdołam wykonać zadanie - umiechnął się Heinz.

-Wyruszy pan dziś wieczorem. Moineau" przyjdzie około dziewiętej. Teraz

pewnie maluje morze. - Pani Dumoulins mówiła o człowieku, którego Heinz

dobrze znał. Malarz Andre Lemoin, pseudonim „Moineau", kilka miesięcy

wcześniej został zmuszony do współpracy z Niemcami. - Przygotowałam pokój

dla panów, abycie mogli wypocząć. Gdyby były inne czasy, zaproponowałabym

wyprawę nad morze; stśd do Dieppe tylko 25 kilometrów. Ale teraz nie pora na

wycieczki.

Weszli wąskimi, krętymi schodami do pokoju na górze.

- Możemy rozmawiać? - Heinz czekał, aż ucichną kroki pani Dumoulin.

a widząc przyzwolenie Raoula. położył paczkę na stole. - Co to jest?

- Dokumenty od Niemca pracującego w Dieppe - odpowiedział Raoul.

- Dowiedziały się o nim czego bliższego?

- Tylko tyle. że nie bierze pieniędzy za materiały, które nam przekazuje.

Prawdopodobnie pracuje w organizacji Todta. ale nie wiem, na jakim stanowisku

ani też, jak się nazywa. Nie mogę zadawać wielu pytań.

- Muszę znać jego nazwisko. Masz na to tydzień. - Heinz wyciągnął z kieszeni

scyzoryk, ale zanim wbił ostrze w brezent paczki, upewnił się: - Czy tam nie ma

jakiego mechanizmu niszczącego?

- Na pewno nie.

Rozciął więc ostrożnie materiał i wyciągnął plik papierów. Przyglądał się im

dokładnie; były to zdjęcia nabrzeży portu i suchego doku w Dieppe, stanowisk

karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych. Heinz przejrzał też kartki

dołączone do fotografii. Na jego twarzy odbijała się narastająca wciekłość.

- Ten drań ma dostęp do wszystkiego. Muszę dowiedzieć się, kto to jest -

powiedział.

Schowwał pakunek do teczki i rzucił się na łóżko. Pónym wieczorem rozległo się delikatne pukanie. Raoul podniósł się z fotela, na którym drzemał.

- Przybył „Moineau” - powiedziała przez drzwi madame Jeanette.

Mężczyźni spakowali się i zeszli na dół, gdzie czekał na nich niski, niepozorny człowiek. Na podwórzu stał wóz zaprzężony w dwa muły.

- Karetą to nie jest. ale pomyślałem, że lepiej będzie jechać choćby czym takim, niż pokonać dwadzieścia parę kilometrów na piechotę.

Heinz wsiadł do obszernej skrzyni.

- Niech pan pamięta o moim mężu - poprosiła pani Dumoulins. - Na pewno go pan znajdzie...

Gdy tylko zostawili za sobą wiatła Yeules-les-Roses, Heinz zeskoczył z pojazdu.

- Daleko stąd do mostka? - zapytał.

- Zaraz za zakrętem. - ..Moineau” wskazał zakole drogi, odległe o kilkaset metrów.

- Dojdę piechotą. A gdzie jest prawdziwy kapitan Evans?

- Nad morzem. Czeka, aż przybije kuter, który zabierze go do Anglii - wyjanił ..Moineau”.

- Posłuchaj uważnie - Heinz wydobyl z teczki niewielki pakunek, podobny do

tego. który odebrał od pani Dumoulin. - Dziewczyna, która wręczy Evansowi tę paczkę, ma powiedzieć, że nazywa się Jeanette. Musi zapytać go o swojego męża. tak jak prawdziwa Jeanette pytała mnie. Evans po przybyciu do Anglii musi przekazać ten pakunek jako bardzo ważny. Dzisiaj w nocy nadacie do Londynu potwierdzenie, że w Dieppe stacjonuje batalion 110. dywizji. Powodzenia.

Heinz ruszył w stronę zakrętu. Za nim dostrzegł samochód ze zgaszonymi światłami. Wsiadł.

- Kapitan Eckert - przedstawił się. - Jedziemy do Paryża. Następnego dnia raport z przebiegu tej akcji dotarł do kwatery feldmarszałka Gerda von Rundstedta. głównodowodzącego wojskami niemieckimi na Zachodzie. Oficer wywiadu, który referował dotychczasowe ustalenia, stwierdził, że z materiałów uzyskanych przez Abwehrę wynika niezbicie, iż alianci uderzą na Dieppe w ciągu 3-4 tygodni. Rundstedt polecił wzmocnić tempo operacji „Porto II”, której celem było wprowadzenie aliantów w błąd co do wielkości i dyslokacji sił niemieckich w rejonie Dieppe. Niemcy przekonali Brytyjczyków, że stacjonuje tu 1400 żołnierzy ze 110. dywizji piechoty, która poniosła ogromne straty na froncie wschodnim i miała rzekomo we Francji zostać zrekonstruowana. Fałszywe raporty informowały też, że w mieście stacjonuje batalion rekrutów nie mających obycia z bronią. W rzeczywistości jednak w rejonie Dieppe rozłożyła się doskonale wyposażona i wyćwiczona 302. dywizja piechoty; w samym mieście stacjonowało 5 tysięcy żołnierzy, batalion artylerii, kompania czołgów, a cała dywizja pancerna mogła przybyć na pomoc w ciągu 6 godzin.

18 lipca na lotnisku Prestwick w Szkocji wylądował samolot, na którego pokładzie przybyli ze Stanów Zjednoczonych: generał George Marshall, admirał Emst J. King i Harry Hopkins. Wsiedli natychmiast do specjalnego pociągu, który miał ich zawieźć do posiadłości premiera w Chequers pod Londynem. Tam oczekiwał ich Winston Churchill. Amerykanie nie zgodzili się jednak na postój i zażądali jazdy do Londynu. Był to afront wobec Churchilla. ale członkowie delegacji nie mieli nastroju do uprzejmych gestów.

Pierwsze spotkanie w sali konferencyjnej siedziby rządu przy Downing Street 10 odbyło się 20 lipca. Do delegacji amerykańskiej dołączył przebywający w Londynie - ze względu na przygotowania do inwazji - generał Eisenhower oraz dowódcy wojsk lądowych, morskich i powietrznych. Już pierwsze słowa wskazywały, że strony nie osiągnęły kompromisu. Amerykanie byli zdecydowani na jak najszybsze przeprowadzenie operacji "Sledgehammer";

jedynie admirał Harold Stark skłonny był przyznać, że warunki atmosferyczne w ciągu najbliższych tygodni nie będą sprzyjać morskim akcjom. Brytyjczycy byli niewzruszeni. Ich zdaniem, próba opanowania francuskiego wybrzeża musi zakończyć się klęską. Dwudniowe negocjacje nie przyniosły rozstrzygnięcia.

22 lipca w sali konferencyjnej panował przygnębiający nastrój. Amerykanie byli wyrażenie poirytowani. Marshall napisał coś na kartce i podsunął ją Hopkinsowi. „Czuję się cholernie przygnębiony” - odczytał Hopkins. Spojrzał na Marshalla i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „A kto w tej sali czuje się dobrze?...” Brytyjczycy również sprawiali wrażenie zdenerwowanych.

Rychło okazało się, iż żadna ze stron nie zamierza zmienić stanowiska.

W pewnym momencie Hopkins poprosił Churchilla o zarządzenie przerwy,

-Zanim podejmiemy ostateczne decyzje, musimy skontaktować się z prezydentem Rooseveltem...

Churchill zgodził się. Hopkins wyszedł z sali i skierował się do pokoju łączności, skąd powrócił po kilkadziesiąt minutach. Przez chwilę rozmawiał z innymi członkami swej delegacji, a gdy przyszedł Churchill. Hopkins przekazał mu tekst depechy Roosevelta: Dowódcy amerykańskich sił zbrojnych mają podjąć prace nad przygotowaniem alternatywnej operacji przeciwko Niemcom, która to operacja poyoli na ofensywne zaangażowanie wojsk amerykańskich w 1942 r. Kryzys został zażegnany.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zgodził się na odłożenie inwazji na kontynent europejski i rozpoczęcie przygotowań do uderzenia na Afrykę Północną. Na czele wojsk alianckich miał stanąć generał Eisenhower. Było to wybrane ograniczenie roli dowódców brytyjskich, ale Churchill nie protestował. Każde zwycięstwo ma swoją cenę. Wygrał długą i męczącą batalię. Operacja Jubilee" nie była już potrzebna. Można było odwołać przygotowania do ataku na Dieppe; Churchill nie mógł i nie chciał jednak zrezygnować z ataku na francuski brzeg. Wzbudziłoby to podejrzania Amerykanów, że cała akcja była przygotowana jedynie w celu wykazania im, że nie umieją prowadzić wojny. Ponadto dowódcy alianccy potrzebowali dowiadczeń w przygotowaniu i kierowaniu wojskami lądowymi, morskimi i powietrznymi w ataku na brzeg zajęty przez nieprzyjaciół. Te dowiadczenia miały się przydać za kilka

lat do przeprowadzenia inwazji w Europie.

Franklin D. Roosevelt

Plaża w Barfleur, w pobliżu Dieppe, pogrżyła się w ciemnościach. Kapral Anton Kappe cišgnł ze stojaka karabin, zapił pas z ładownicami i wyszedł przed koszarowy barak. Czterech szeregowców wyprężyło się na Jego widok. Przyjrzał się ich oporzřdzeniu. Wszystko było w idealnym porzřdku.

- Za kilka minut przejmujemy posterunek Gelb". Zwracać uwagę na wszelkie odgłosy od strony morza: warkot silników samolotowych, a także okrętów i motorówek. Nie lekceważyć odgłosów kroków, dźwięku słów angielskich. O wszystkich spostrzeżeniach natychmiast meldować. Sš pytania?

Żaden z czterech żołnierzy nie drgnł.

- Hasło Berlin", odzew ..Bajonett". Zapamiętano?

- Tak jest.'

- W razie mojej mierci zastšpi mnie szeregowy Lutz.' W prawo zwrot.'

Marsz!

Grupa żołnierzy ruszyła w stronę bramy. Minęli jš, przeszli przez pustš drogę i skierowali się w stronę latami morskiej, której wyniosła sylwetka wyrwanie rysowała się na tle nieba. Szli wšskš cieźkš między łškami. Kappe zerkał na morze widoczne w oddali. Było czarne, ciche, pulsujšce srebrnymi

odblaskami księżycy. ..Złowrogie" - pomyślał. Od kilku tygodni nakazywano im wzmożoną czujność. Widział, jak przyjeżdżały ciężarówki z minami do Dieppe. Wzmocniono posterunki, zainstalowano dodatkowe karabiny maszynowe i działka przeciwlotnicze. Garnizon w Dieppe szykował się do odparcia inwazji.

Dwa tygodnie temu w pobliżu drogi, którą szli, znaleziono dwóch pracowników organizacji Todta. Zapewne wracali późnym wieczorem do domu, gdy zostali napadnięci i zabici. Leżeli na rżysku, z poderżniętymi gardłami. Iedztwo nie wykazało nic, ale gestapo uważało, że to robota ruchu oporu. Kappe nie wierzył w to. Partyzanci nie atakowali pracowników Todta.

Za ostatnimi budynkami patrol skręcił w stronę plaży. ..Gdzie tu powinien być posterunek" - pomyślał Kappe, wpatrując się w ciemne zarysy kozłów, podtrzymujących druty kolczaste. Odnalazł przejście i zatrzymali się.

-Kto idzie? - Głos dobiegał ze szczeliny w betonowych kręgach bunkra strażniczego.

-Zmiana - odpowiedział Kappe.

- Hasło?

- Berlin.

- Odzew: Bajonett - odparł niewidoczny strażnik. - Możecie wejść.

Żołnierze precyzyjnie się między kozłami i wskoczyli do dołu wyłożonego workami z piaskiem.

- Uważajcie - nakazał dowódzcy posterunkiem. - Co tu dzisiaj niespokojnie.

Pół godziny temu słyszeliśmy motorówkę, ale nie zbliżyła się do brzegu. Nie sądzę, żeby to była nasza. Co się dzieje...

- W porządku - Kappe zarepetował karabin. Dwa lata służby nauczyły go nie lekceważyć żadnego ostrzeżenia. Na froncie mógł liczyć na to, że podniesie rękę do góry i pójdzie do niewoli. Tutaj, w nocy, na plaży, atak mógł przyjść nagle. Wiedział, że komandosi angielscy skakali z tyłu, chwytając ofiarę za kolana i rozpędem przewracali na ziemię. Potem wbijali nóż w podstawę czaszki i obracali go, aby rozbełtać mózg. Na podniesienie ręki nie było czasu. Kappe podniósł lornetkę do oczu; morze było spokojne. Godziny mijały powoli. Zwykle pozwalał żołnierzom palić papierosy, ale tym razem się nie zgodził. Minęła trzecia, gdy jeden z żołnierzy szturchnął go w ramię.

- Panie kapralu! - Kappe ocknął się gwałtownie. Nie zauważył, kiedy zmorzył go sen.

- Co jest?...

- Co tam słyszał - powiedział niepewnie żołnierz. - Może to nic, ale kazał pan meldować...

Kapral zerwał się na nogi. Z brzegu dochodziły odgłosy, których nie potrafił jednoznacznie określić: stuk metalu, szorowanie dużego przedmiotu po piasku.

Wpatrywał się w ciemność, ale nie mógł dojrzeć niczego. Zastanawiał się przelotnie, czy nie wystrzelić rakiety, by oświetlić teren, ale bał się przedwczesnego alarmu. Odgłosy się zbliżały...

- Stój? Podać hasło! - krzyknął Kappe.

Kilka sekund później w ich stronę rozległy się strzały; krótkie urywane serie pistoletów maszynowych.

Karabin maszynowy z bunkra odpowiedział natychmiast długą serią. Tuż obok eksplodował granat i płomień na kilka sekund rozświetlił plażę, co wystarczyło, by dostrzec kilka sylwetek.

- W nich! - krzyknął Kappe do obsługi drugiego karabinu maszynowego w okopie. - Zamelduj do garnizonu! - polecił żołnierzowi, chociaż widział, że tamten już kręci korbę telefonu.

Wystrzelił raketę, której jaskrawobiałe wiatło zalało plażę. Jak na dłoni ujrzął sylwetki kilku żołnierzy, którzy przywarli do piasku. Po chwili serie z dwóch karabinów przecięły powietrze. Strzały z pistoletów umilkły. Kappe wystrzelił drugą flarę. Widział, jak komandosi poderwali się. pobiegli w stronę wody i wskoczyli do motorówki. Po chwili zniknęli w ciemnościach.

- Wstrzymać ogień! - rozkazał. Nasłuchiwał przez chwilę. Odgłos motorówki milkł w oddali.

Nie ruszali się z okopu. W każdej chwili napastnicy mogli ponowić atak. Po kilkunastu minutach usłyszeli jedynie warkot nadjeżdżających samochodów

pancernych. Gdy wzeszło słońce, żołnierze zaczęli przeszukiwać plażę. Nie
widać było ladów krwi. a więc zaden z napastników nie został ranny. Wyranie
odcinięte ludy wojskowych butów prowadziły do miejsca, gdzie widniała

^spokojnie.

rzegu. Nie

'-yfy go nie

niesie ręce

O'ć nagle.

za kolana

'ę czaszki

su. Kappe

li. Zwykle

ł. Minęła

y zmorzył

ale kazał

e potrafił

o piasku.

wiał się

idwczes-

me serie

'u obok

wystar-

nowego

Iział. że

li ujrzał

dwóch

/strzelił

; wody

orówki

tak. Po

hodów

ę. Nie

ranie

ała

bruzda wyżłobiona mieczem motorówki. Na piasku leżały łuski, które potem zidentyfikowano jako pochodzące z pistoletów maszynowych Thompson. A więc nocnymi przybyszami byli komandosi angielscy. Zapewne chodziło o nękający wypad, który miał Niemcom przypomnieć, że mogł być zaatakowani w każdej chwili. Dopuszczono również możliwość, że „wizyta” była próbą zlokalizowania niemieckich punktów oporu. Tak czy inaczej, na cztery dni przed lądowaniem wojsk alianckich garnizon w Dieppe został postawiony w stan gotowoci.

Już wcześniej zresztą dowództwo niemieckie nie miało wątpliwoci, że

inwazja nastąpi właśnie tu. Pułkownik von Wedel z Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu sporządził raport, w którym napisał: Wybór tego punktu wypadowego do utworzenia drugiego frontu jest łatwo zrozumiały. Dieppe jest portem położonym najbliżej francuskiej stolicy. Jego urządzenia umożliwiają wyładowanie czołgów i ciężkiego sprzętu, a tym samym pozwalają na dobicie do lądu wojsk następnymi rzutami. Utworzenie przyczółka w rejonie Dieppe stworzyłoby możliwość rozbudowywania go na całym odcinku wybrzeża między Sommę i Sekwaną, a później przez zajęcie Abbeville i Le Havre zdobycia portów koniecznych do prowadzenia dalszej ofensywy.

18 sierpnia z portów brytyjskich wyszło w morze 250 jednostek floty inwazyjnej. Na okręcie desantowym, przeznaczonym do przewozu czołgów (LTS-Landing Tank Ship), porucznik Andrew B. Patterson zaczął notować swoje spostrzeżenia. Po raz pierwszy wyruszał do akcji bojowej i pomyślał, że jeżeli zginie, to może zeszyt z zapisem ostatnich dni trafi jako do jego narzeczonej...

Był Szkotem i wszystko - poza wyglądem i kanadyjskim obywatelstwem - było w nim szkockie: akcent - nabyty w domu, gdzie mówiło się tylko po szkocku - twardy charakter i niedwiedzia siła. Zapewne niewielki wzrost zdecydował, że we wrześniu 1939 r. komisja poborowa skierowała chłopaka do jednostki pancerniej, co bardzo go ucieszyło. Entuzjazm stracił, gdy po raz pierwszy wsiadł do przysłanego z Wielkiej Brytanii lekkiego czołgu Mk VIB, w którym było straszliwie ciasno i głośno. Podczas pierwszej jazdy, na poligonie, Patterson poobtłukiwał sobie głowę i ramiona. Jak tylko mógł najdłużej, trzymał otwartą klapę wjazdu, aby nie dopuścić do torsji, które wywoływały opary oleju

i benzyny, zmieszane ze spalinami. Gdy po raz pierwszy nacisnął spust karabinu maszynowego Yickers 5. dym prochowy wypełnił niewielką wieżyczkę, a wentylator nie zdołał usunąć gryzących oparów. Chłopak miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Szybko jednak przyzwyczaiał się do służby w tych warunkach. Póniej jego brygada czołgów, wchodząca w skład I armii kanadyjskiej, wyruszyła do Wielkiej Brytanii, gdzie we wrześniu 1941 r. został dowódcą pięcioosobowej załogi nowego czołgu Churchill. Były to ogromne, ciężkie pojazdy, imponujące grubością pancerza i dwoma działami, z których jedno, kal. 40 mm, umieszczono w wieżyczce, a drugie - haubicę kal. 76,2 mm - w kadłubie. Podziw dla nowych czołgów rozwiał się szybko. Kierowcy klęli, mocując się z sprzęgiem, silnik Bedforda zatykał się co chwila, a gdy pracował normalnie, nie mógł rozwinąć pełnej mocy, co dawało się odczuć przy próbie pokonania każdego większego wzniesienia. Po dłuższej jeździe gotowała się w chłodnicy woda. Co kilka tygodni do jednostki przyjeżdżali specjaliści z zakładów Vauxhall, zbierający opinie użytkowników Churchillów. Obiecywali szybkie usunięcie usterek i odjeżdżali. Na szczęście warsztaty polowe miały zapasy części zamiennych i mechanicy szybko nauczyli się poprawiać szwankujące mechanizmy. Uwagi jednak na co się przydały, gdyż wkrótce przywieziono do jednostki czołgi Churchill II C.S. Mechanizmy napędu, zawieszenia i kierowania pozostały te same, ale zamieniono działa miejscami, instalując haubicę w wieżyczce, a armatę w kadłubie, co wydawało się rozsądne.

Wiosną 1942 r. rozpoczęły się intensywne ćwiczenia na plażach. Czołgi z Calgary Regiment musiały przejeżdżać przez betonowe bloki, rozsądzone

wybuchami ładunków założonych przez saperów, wspinać się na strome pagórki tuż za wydmami, niszczyć ogniem dział nabrzone bunkry i stanowiska karabinów maszynowych. Nie było wątpliwoci, że szykuje się akcja desantowa...

Przerobiono układy wydechowe wszystkich czołgów. Rurę przedłużono i wypuszczono wysoko do góry, aby woda nie zalała wlotu. Druga rura, stercząca nad kadłubem czołgu, miała doprowadzać powietrze do silnika, gdyby woda zalała pojazd.

17 sierpnia 1942 r. żołnierze spakowali plecaki, pobrali amunicję do czołgowych dział, naboje do pistoletów i granaty. Następnego dnia czołgi załadowano na platformy ciężarówek, które wyruszyły do portu.

Pattersona niepokoiło, że nie rozumiał celu tych wielkich przygotowań. Wielu oficerów uważało, że szykuje się do inwazji na kontynent. Jedni twierdzili, że uderzą na Norwegię, inni byli przekonani, że na północną Francję, a jeszcze inni dowodzili, że wylądują w Afryce Północnej. Wszyscy gubili się w domysłach.

Czołg Pattersona załadowano, wraz z pięcioma innymi, na pokład okrętu desantowego LTS. Na ławkach bieżących wzdłuż burt usiedli saperzy, którzy po przybyciu na brzeg mieli torować drogę czołgom - usuwać miny i wysadzać zapory.

Patterson opisał dokładnie wszystkie wydarzenia ostatnich godzin, ale nie zdradził żadnej tajemnicy wojskowej. Pamiętnik, zamiast do ręki narzeczonej, mógł trafić do Niemców... Zamknął zeszyt. Wspiął się na wieżyczkę czołgu i zajrzał do rodka, by jeszcze raz sprawdzić, czy załoga umocowała wszystkie

przedmioty. Potem przyjrzał się linkom mocującym czołg do pokładu okrętu i uznał, że wykonał wszystkie swe obowiązki. Kierowca i ładowniczy z jego załogi ulokowali się wygodnie z tyłu czołgu i tasowali karty. Przyłszył się do nich.

„Trzy armaty z dobrej baterii, odpowiednio ustawione, mogą zniszczyć każdy okręt wiata” - twierdził admirał Nelson. Brytyjscy dowódcy, którzy opracowali plan uderzenia na Dieppe, wierzyli morskiemu geniuszowi. Dlatego też dwa oddziały komandosów, którym postawiono za zadanie zniszczenie dwóch baterii dział kał. 150 mm, miały pierwsze dotrzeć do francuskiego brzegu. Jedna z baterii znajdowała się w Bemeval, w odległości 9 kilometrów na wschód od Dieppe, a druga w Varengeville Sur-Mer, około 9 kilometrów na zachód.

W stronę Bemeval zmierzały jednostki desantowe 1. i 24. flotyli. Prowadził je cigan dowodzony przez komandora D.B. Wyburda, który był jednocześnie dowódcą całej grupy. Rejs przebiegał zgodnie z planem i od momentu wyjścia z portu nic nie zakłócało podróży.

Komandor spojrział na zegarek: dochodziła 3.47. Obliczał, że do brzegu pozostało jeszcze 7 mil, a więc za kilkadziesiąt minut powinni rozpocząć atak. Było cicho. Nic nie wskazywało na to, że nieprzyjaciel wykrył zbliżającą się flotyllę. Nagle w niebo wystrzeliła flara, która zalała jaskrawym światłem wszystkie okręty brytyjskie. Chwilę potem w ich stronę pomknęły smugowe pociski.

W pierwszym momencie Wyburd pomyślał, że strzelają działa i karabiny

maszynowe z nabrzenych stanowisk obrony. Do brzegu było jednak za daleko.

Musieli napotkać niewielki konwój niemiecki, w którym nie było dużych jednostek, a jedynie trawlerzy uzbrojone w karabiny maszynowe i lekkie działa.

- Trzymaj kurs, będziemy się przebijać! - krzyknął do sternika. Cigacz wysforował się na czoło jednostek desantowych, co zapewne skłoniło Niemców do skoncentrowania na nim ognia. Po pierwszych niecelnych salwach pociski zaczęły trafiać coraz bliżej pędzącego cigacza. Wkrótce uderzyły w pokład i cięły przednie działko. Chwilę później zdruzgotały anteny radiowe. Wyburd patrzył z mostka, jak marynarze ciągnęli na bok pokrwawionych kolegów. Meldowali, że nikt nie zginął, co wydawało się cudem i dlatego uwierzył, że uda im się wymknąć z tego piekła. Jeszcze przez kilka minut strzelało działko rufowe, ale wkrótce i ono zamilkło, trafione niemieckimi pociskami. Prędkość cigacza - podziurawionego odłamkami i pociskami - spadła do szeciu węzłów. Wyburd, ranny odłamkiem w ramię, zaczął tracić nadzieję. Widział, jak działa pięciu niemieckich jednostek strzelających do nich, a malejąca prędkość sprawiała, że cigacz stawał się coraz lepszym celem. Wybawienie przyszło nagle. Brytyjski okręt osłony, który miał wspierać ogniem wychodzących na brzeg komandosów, ruszył na pomoc pokierowanemu dowódcy. Kilkoma salwami zatopił jeden z trawlerów oraz uszkodził inne. Wkrótce do akcji włączył się polski kontrtorpedowiec łszak. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane; ale konwój rozproszył się, a wiele jednostek poważnie uszkodzono.

Było już jasno, gdy 6 okrętów desantowych, przewożących żołnierzy z od-

działu 6 No 3 Commando zbliżyło się do brzegu Bemeval.

Niemcy byli gotowi do odparcia ataku. Załogi bunkrów i stanowisk ogniowych zajęły miejsca, oczekując alianckich okrętów. Gdy dostrzegły je w brzasku witu, rozpoczęły ogień. Pociski z dział, modzierzy i karabinów maszynowych utworzyły trudną do przebycia barierę. Wkrótce do walki włączyły się samoloty.

ORP Iżak przejął ciężar obrony desantu przed atakami niemieckich bombardowców. Niedługo artyleria przeciwlotnicza okrętu strzeliła pierwszy samolot. Jednakże siły przeciwnika były zbyt wielkie, aby działa i karabiny maszynowe polskiego okrętu mogły je pokonać. Wybuch jednej z bomb spowodował poważne straty, ale załoga Iżaka walczyła wciąż z samolotami i ostrzeliwała nabrzeżne stanowiska. Okręty desantowe dobiły do brzegu; komandosi zaczęli wybiegać na plażę. Kapitan Richard Willis - jako najstarszy rangs oficer - objął komendę. Prowadził żołnierzy w stronę, gdzie wysoka skarpa za plażę obniżała się, tworząc możliwość najszybszego wdarcia się w głąb Iżu. Miał nadzieję, że dotrą tam, zanim niemiecka obrona okrzepnie. Mylił się. Cała moc ognia karabinów maszynowych z doskonale zamaskowanych bunkrów, modzierzy i dział została skoncentrowana na plaży. Komandosi rozpięchli się i przygłąnęli do ziemi, szukając schronienia przed morderczym ogniem. Willis zdawał sobie sprawę, że każda chwila ułatwia Niemcom sytuację i niebawem ogień modzierzy stanie się tak celny, że żaden z żołnierzy nie pozostanie żywy. Poderwał się i strzelając na olep z thompsona, zaczął biec w stronę skał. Nagle złapał się ręką za gardło i runął na piasek. Kapral Halls, podczołgał się do niego i z trudem odciśnął za niewielką fałdę gruntu.

- Atakujcie, atakujcie - mamrotał kapitan, dopóki nie stracił przytomności.

Ogień się nasilał. Żołnierze kulili się za każdą nierównością terenu, za skałami.

- No, to przegralimy, kapitanie - powiedział Halls do nieprzytomnego Willisa.

Na drugim krańcu Bemeval dobił do brzegu okręt desantowy dowodzony przez porucznika Henry'ego Bucke'a. Wykorzystali moment, w którym niemieckie trawlerzy skoncentrowały ogień na cieżaczu komandora Wyburda i oderwali się od konwoju, aby niepostrzeżenie dobić do plaży.

O 4.55 rampa okrętu LCA* opadła i na brzeg zeszło 18 komandosów.

Nikt do nich nie strzelał. W pobliżu nie było stanowisk obrony -

może dlatego, że tuż za wąską plażą piętrzyła się pionowa ciana

skał i Niemcy nie podejrzewali, że w tym miejscu Anglicy mogą za-

atakować. Dowódca grupy, major Peter Young, był zdezorientowany; spo-

dziewał się zaciętej walki...

Na wysokim brzegu znajdowała się bateria dział kal. 150 mm, której

opanowanie lub zniszczenie mogłoby mieć decydujące znaczenie dla całej

* LCA - Landing Craft Assault (desantowa jednostka szturmowa) - płaskodenny, niewielki okręt

z 4-osobową załogą, przewożący do 30 żołnierzy. Rozwijał prędkość do 6 węzłów.

operacji, ale siły komandosów były bardzo szczupłe: oddział Younga liczył 18

żołnierzy uzbrojonych w 10 karabinów, ciężki karabin maszynowy, 6 pistoletów

maszynowych Thompson, 3 pistolety i 2 modzierzki z niewielką ilością amunicji.

W tej sytuacji szaleństwem był atak na stanowiska niemieckiej artylerii, obsługiwane przez co najmniej 200 żołnierzy. Ale Young podjął wyzwanie.

Zostawili modzierzę na okręcie desantowym, gdyż były za ciężkie, aby taszczyć je ze sobą, i zaczęli mozolnie wspinać się na skałę. Gdy dotarli do pewnej wysokości, okazało się, że dalszej drogi bronią druty kolczaste. Nie mieli ani ładunków wybuchowych, którymi mogliby wysadzić tę przeszkodę, ani też nożyc, by przeciąć druty. Wydawało się, że to koniec wyprawy, ale jeden z komandosów oparł but na drucie, między kolcami, podciśnął się, chwycił za drut umieszczony wyżej i centymetr po centymetrze zaczął pisać się do góry. Jego ładem poszli inni i - wykorzystując zasieki jako szczeble drabiny - po 45 minutach dotarli na szczyt.

Young przytknął lornetkę do oczu i zaczął lustrować okolicę. Przed nimi były szare, kamienne domy wsi Bemeval, porodku której wznosiła się pękata wieża kocioła. Z lewej strony, między wioską a brzegiem, strzelały działa niemieckiej baterii. Young naprowadził lornetkę na wieżę kocioła. Pod stromym dachem, pokrytym czerwonymi dachówkami, widać było niewielkie okienka.

- Gdyby tam ustawić karabin maszynowy, to moglibyśmy narobić niezłego spustoszenia w tej baterii - powiedział. - Idziemy.

Ruszyli w dwóch rzędach przez pole. Szli pochyleni, rozglądając się bacznie. Niemcy mogli się pojawić w każdej chwili. Jednakże rodki ostrożności okazały się niepotrzebne. Niemcy byli zbyt zajęci walką z ludzкими oddziałami, aby patrolować okolicę. Po kilkunastu minutach komandosi dotarli do pierwszych zabudowań. Okiennice były pozamykane, a na ulicy nie spotkali żywego ducha.

Przeszli kamienistš drogš do kocioła. Przeskoczyli niski mur i podeszli do wieży. Zza drzew okalajšcych kociół wyszedł starzec, prawdopodobnie organista.

- Jesteśmy angielskimi żołnierzami - powiedział Young. ale starzec pokręcił tylko głowš. Nie rozumiał ani słowa, choć wydawało się. że poznaje mundury.

- Drzwi... - major wskazał rękš wejście do wieży. - Na górę! - Starzec zrozumiał, ale gwałtownie pokręcił głowš i zaczął co tłumaczyć.

- Otwórz... - major wykonał rękš ruch przekręcania klucza. Starzec znowu oponował, ale widząc zniecierpliwienie oficera, nacisnął kławkę. Drzwi były otwarte. Żołnierze weszli do wnętrza i Young pojął zachowanie starca. W wieży nie było schodów. Niemcy zdemontowali je, by nikt nie dostał się na górę.

Nie pozostało nic innego, jak zaatakować baterię z bezporedniej odległoci.

Przez pola dotarli do skarpy, z której rozcišgał się widok na stanowiska artylerii.

Działa były doskonale zamaskowane i osłonięte ziemnymi wałami od strony morza. Young uważał, że próba wdarcia się do baterii jest niemożliwa. Było tam około 200 żołnierzy, a więc dziesięciokrotnie więcej, niż liczyła ich grupa. Mogli jedynie strzelać do obsługi armat. Z tyłu działa nie miały osłon, które mogłyby

chronić obsługę przed pociskami. Strzelali aż do wyczerpania amunicji. Wyniki nie sš znane. Prawdopodobnie ranili kilku żołnierzy niemieckich i zmusili ich do obrócenia jednego z dział w stronę strzelaniny. Jednakże niemieckie pociski szybowały wysoko i eksplodowały daleko w polu, nie czyniśc nikomu szkody.

Young uznał, że działania jego żołnierzy zakończyły się sukcesem, gdyż doć

skutecznie przeszkadzali Niemcom w strzelaniu do floty inwazyjnej. Cóż więcej mógł zrobić osiemnastoosobowy oddziałek komandosów bez ciężkiej broni, w obliczu dziesięciokrotnie liczniejszego wroga? Rozpoczęli odwrót. W drodze do plaży jeden z żołnierzy został ranny w wyniku wybuchu miny. I to była jedyna ofiara wypadu na baterię w Bemeval.

Kiedy wrócili do okrętu desantowego, oczekującego ich na plaży, major Young powiedział do porucznika Bucke'a:

- Zabrałem na brzeg 18 żołnierzy, zrobiliśmy swoją robotę i wracam z 18.

Na drugim skrzydle, w rejonie wsi Varengeville, wylądowały dwie grupy z No 4Commando. Oddział majora Dereka Mills-Robertsa sprawnie dotarł do brzegu.

Z wąskiej plaży komandosi ruszyli w stronę jednej z trzech wyrw w skałach.

Saperzy założyli ładunki wybuchowe, aby utorować drogę przez zasieki z drutów kolczastych. Eksplozje nastąpiły w momencie, w którym nadleciały samoloty myśliwskie ze 129. dywizjonu i rozpoczęły atak na stanowiska niemieckiej artylerii, co zagłuszyło odgłos wybuchu ładunków. Dzięki temu komandosi mogli niepostrzeżenie podejść bardzo blisko niemieckich stanowisk. Okopali się w odległości dwustu metrów od 6 dział kal. 150 mm oraz dwóch bunkrów z działami przeciwlotniczymi.

O 5.50 rozpoczęli ogień z modzierz. Już po kilkunastu strzałach trafili w podręczny magazyn amunicji. Potężny wybuch wstrząsnął powietrzem i działa baterii Varengeville zamilkły. Niemcy rzucili się do gaszenia ognia, który groził kolejnymi wybuchami. W niebo wystrzeliła biała rakietka; znak, że z drugiej

strony baterii nadchodzi oddział podpułkownika Lorda Lovata. Wylądowali o pół kilometra dalej na zachód niż grupa Mills-Roberts. Szybko poradzili sobie z bunkrem, strzegącym plaży i rozpoczęli marsz na południe, wzdłuż rzeki Saane. Po przebyciu półtora kilometra skręcili w lewo i dotarli do lasu Blancme-nil-le-Bas, skąd już było blisko do stanowisk niemieckiej artylerii. Podpułkownik Lord Lovat rozdzielił swe siły na dwa oddziały, które zajęły stanowiska na skraju lasu. Gdy pojawiły się myliwce ze 129. dywizjonu i, obniżając lot nad lasem, rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich stanowisk, komandosi wykorzystali ten moment.

Niemieccy żołnierze nie zdążyli wyjść ze schronów, w których schowali się przed pociskami brytyjskich myliwców. Komandosi ruszyli więc z lasu w stronę zasieków otaczających baterię. W kilka minut dotarli do drutów, ale Niemcy zdążyli zorganizować obronę. Serie karabinów maszynowych cięły biegnących na przedzie dowódców grup: kapitana Richarda Pettwarda i porucznika Iana MacDonalda. Dowodzenie przejął kapitan Pat Porteous. Nie było czasu na rozcinanie drutów ani zakładanie ładunków. Na zasieki rzucono ciała zabitych kolegów i po nich komandosi wdarli się do baterii. Pierwszy do dział dobiegł kapitan Porteous. Nie miał jednak w magazynku pistoletu naboju. Wyciągnął bagnet; pchnął Niemca, który zastąpił mu drogę, ale zaraz padł, ranny w obydwie uda. W ciągu kilkunastu minut opór Niemców zdławiono i wszystkie działa wysadzono w powietrze. O 6.50 komandosi ułożyli na ziemi zabitych kolegów. zebrali rannych i ruszyli w drogę powrotną. O 9.00 komandosi z No 4 Commando rozpoczęli powrót do Anglii. Pozostawili we Francji 12 zabitych kolegów.

Oddziały żołnierzy kanadyjskich ponosiły ogromne straty. Royal Regiment of Canada zaległ w Puits na plaży, nie mogąc przedrzeć się przez bardzo silny ogień zaporowy. W Pourville walczyli żołnierze South Saskatchewan Regiment. Tutaj także niemiecka obrona była zbyt twarda.

Do plaży w Dieppe - ciąższej się przez półtora kilometra między portem a skałami, na których wznosił się zamek Vieux Chateau - podpłynęły okręty desantowe z żołnierzami Essex Scottish Regiment i Royal Hamilton Light Infantry. Ich zadaniem było opanowanie plaży, aby mogły wjechać na nią czołgi, które miały osłaniać atak na miasto. Pierwsze minuty nie zapowiadały tragedii. Silne bombardowanie z morza i naloty myśliwców przydusiły niemiecką obronę. Okręty ukryte za gęstym dymem zasłony, postawionej przez samoloty, dotarły do kamienistej plaży bez większych strat. Jednakże pociski z dział niszczycieli i samolotów myśliwskich były za małe, by skruszyć dobrze zabezpieczone niemieckie stanowiska obronne. Gdy tylko wiatr zwiął zasłonę dymną, na podpływające do plaży okręty spadły pociski z setek dział, modzierz, karabinów. Kanadyjczykom, mimo bardzo wysokich strat, udało się rozbić schrony, usytuowane najbliżej plaży i pokonać zasieki. Kilkudziesięciu wdarło się na bulwar Yerdun, biegnący wzdłuż morza. Nie mieli jednak dość sił na dalszy marsz. Czekali na czołgi, które mogłyby zniszczyć punkty oporu i osłonić komandosów w wąskich uliczkach portowej dzielnicy.

Silnik czołgu porucznika Pattersona był już rozgrzany, gdy okręt desantowy dobił do brzegu. Gwałtowny wstrząs dał znać, że za chwilę będzie wjeżdżał do wody. Rampa opadła powoli i Patterson krzyknął do kierowcy:

- Pamiętaj! Trzymaj gaz, bo inaczej utoniemy! - Obawiał się, że kierowca, młody chłopak z Calgary, który po raz pierwszy znalazł się w ogniu bitwy, może zapomnieć o teoretycznych wskazaniach. Czołg zanurzył się gwałtownie, woda chlusnęła na wieżyczkę, ale po chwili zaczął wspinać się na plażę. Patterson obrócił peryskop w lewo, aby zobaczyć, jak przebiega wyładunek z innych okrętów. Jeden z LST dymił, ale z jego opuszczonej rampy zjeżdżały czołgi. Drugi okręt tonił; porucznik zobaczył, jak z burt skaczą żołnierze. Tępy huk uzmysłowił mu nagle, że lada moment stań się celem niemieckich dział przeciwpancernych. Czołg powoli posuwał się w stronę bulwaru. Wypatrywali niemieckich dział. Udało im się zniszczyć jedną z barykad. Czołg jadący przed nimi zakołysał się i skręcił gwałtownie w prawo. Patterson ujrzał, jak rozerwana wybuchem gęśienica osuwa się na kamienie. Drugi pocisk eksplodował z tyłu kadłuba, nie czyniąc szkody. Wieżyczka uszkodzonego czołgu obróciła się w lewą stronę obwałowanego workami stanowiska i po chwili działo bluznęło ogniem. Pocisk musiał trafić w magazyn amunicji, gdyż w olepiającym wybuchu zniknęło działo i jego obsługa.

- Dom na prawo od kasyna! W oknie na parterze! Odłamkowym! - krzyknął Patterson, dostrzegłszy w peryskopie sylwetki żołnierzy niemieckich, ustawiających działko przeciwpancerne. Dwa kolejne pociski zawaliły piętro, grzebiąc w ruinach Niemców,

Posuwali się wolno w stronę bulwaru. Patterson wyranie widział betonowe bloki zamykające podjazd do ulicy. Żadnemu z saperów nie udało się dotrzeć do tego miejsca, aby wysadzić zapory. Zdał sobie sprawę, że nie przejadą tędy.

200 metrów na prawo zapora była wysadzona, ale gdyby porucznik skierował tam czołg, musieliby jechać niemalże równolegle do domów na bulwarze, wystawiając słabiej opancerzony bok czołgu na niemieckie pociski. Z lewej strony stał niewielki dom, zięscy ogromnš dziurš na wysokoci parteru. Patterson uznał, że to jedyna droga, którš można dostać się do miasta. Wjechali w dom, roznieśli ocalałš cianę i znaleli się na bulwarze. Tuż za nimi podšżały dwa następane czołgi. Nie było jednak piechoty. Chłopak zdawał sobie sprawę, że nie majš większych szans wdarcia się głębiej w ulice miasta. Nie mógł się jednak zatrzymać ani wydać rozkazu odwrotu, gdyż taki manewr zakończyłby się zniszczeniem czołgu przez niemieckich artylerzystów. Pozostało im jedynie dalsze posuwanie się i niszczenie kolejnych punktów oporu. Ta droga nie była długa. Na końcu ulicy znajdowały się betonowe zapory, najeżone działami przeciwpancernymi. Były za daleko, aby mogły kierować skutecznym ogniem, ale zbliżenie się mogło być grone. Patterson spojrział przez peryskop w tył. Tylko jeden czołg podšżał za nimi. Z wieżyczki drugiego wydobywał się gęsty, czarny dym.

- Koniec amunicji - zameldował ładowniczy haubicy.

- Ile mamy jeszcze pocisków? - Patterson zwrócił się do ładowniczego działka. 40 mm. Tamten schylił się nad półkami przymocowanymi do burty czołgu.

- Tylko trzy przeciwpancerne zostały - odpowiedział.

Niewiele mogli już zdziałać.

- Wykonaliśmy swoje zadanie - powiedział Patterson. - Teraz niech każdy

ratuje się na własną rękę. Powodzenia! Załoga opuściła czołg, ale tylko

Pattersonowi udało się dotrzeć na plażę i powrócić do Anglii.

Dowódcy operacji na pokładzie niszczyciela HMS Calpe nie bardzo wiedzieli, co dzieje się na lądzie. Dymy zasłaniały widok, z wieloma jednostkami nie było łączności, a meldunki napływające od oddziałów, które miały sprawne radiostacje, były sprzeczne. Jednakże wiadomość, że czołgi wdarły się na bulwar, wydawała się zwiastować przesilenie.

Z brzegu informowano, że udało się opanować budynek kasyna, piętrzący się nad plażą. Dowódca wojsk lądowych, generał J.H. Roberts, zdecydował się rzucić do walki rezerwy. O 7.00 okręty z żołnierzami Fusiliers Mont-Royale ruszyły do akcji. Pierwszym impetem udało im się wdrzeć na bulwar. Jedenastu

żołnierzy dotarło do portu. Wkrótce jednak ci, którzy wdarli się najgłębiej w ulice Dieppe, wystrzelali cały zapas naboju i - nie mając możliwości uzupełnienia amunicji - musieli poddać się lub wycofać na plażę. Niemiecka obrona pozostała nienaruszona.

O 11.00 samoloty brytyjskie zaczęły zrzucać na plażę granaty dymne, aby wycofujący się żołnierze mogli skryć się w nieprzeniknionej zasłonie.

Wymęczeni walką, ranni, obciążeni ciężkim sprzętem komandosi uchodzili przed niemieckimi pociskami na plażę. Wielu nie zdołało przejść tego ostatniego odcinka...

W operacji wzięło udział 6018 żołnierzy (4961 kanadyjskich. 1007 brytyj-

skich, 50 amerykańskich). 4350 zginęło, zginęło lub dostało się do niewoli.

Straty poniosła również marynarka wojenna i lotnictwo: pod Dieppe zginęło, zaginęło lub dostało się do niewoli 550 marynarzy oraz 190 lotników.

Niemcy stracili 600 żołnierzy oraz 58 samolotów.

8 września premier Winston Churchill, przemawiając w Izbie Gmin, powiedział: Raid na Dieppe musi być uważany za rozpoznanie walki. To było twarde, bezwzględne starcie, jakich będzie coraz więcej, gdy wojna pogłębi się. Musielimy uzyskać informacje, niezbędne do przygotowania inwazji na dużą skalę. Ten raid, poza jego wartościowym rozpoznawczym, przyniósł także niezwykle zadowalające wyniki starć powietrznych: wyniki, jakie dowództwo lotnictwa mylińskiego chciałoby uzyskiwać każdego tygodnia. Tak premier bronił swojej decyzji.

Alan Brooke na wieść o stratach pod Dieppe zareagował słowami: To jest lekcja dla ludzi, którzy podnosili taką wrzawę, aby jak najszybciej dokonać inwazji na Francję. Nigdy potem nie powtórzył tych słów...

Angielscy jeńcy

Późnym popołudniem Stalin wyszedł z budynku ambasady Związku Radzieckiego w Teheranie, aby powitać brytyjskich gości przybywających na uroczysty obiad. Pierwszy wysiadł z dużego czarnego Bentleya premier Winston Churchill, który machnął ręką do wyprężonych na baczność żołnierzy i pochylony, ciężko

opierając się na lasce, skierował się w stronę Stalina. Tuż za nim podszli tłumacz i reszta brytyjskiej delegacji.

Po zdawkowej wymianie zdań, których sens przełożyli stojący o pół kroku w tyle tłumacze, obydwaj mężowie stanu zaczęli wspinać się na schody prowadzące do ogromnego białego domu.

Winston Churchill był wyraźnie w złym humorze. Kilka godzin wcześniej, gdy ubierał się na przyjęcie, mruknął do swojego lekarza Sir Charlesa Wilsona Morana: „Już nic więcej nie można zrobić”. A potem powtórzył parę razy, cedząc przez zęby: „cholerni”, nie wyjawiając, kogo ma na myśli.

W podobnym nastroju byli inni członkowie brytyjskiej delegacji. Generał Alan Brooke - którego doktor Moran spotkał na korytarzu, gdy spocony kierował się do swojego pokoju, aby zmienić koszulę - powiedział:

- Powinienem przyjść do pana z prośbą o skierowanie do domu wariatów.

Dłużej już tego nie wytrzymam...

- A co się stało? - zapytał współczująco Moran.

- Siedem godzin obrad i nie posunęliśmy się nawet o cal... - Brooke machnął ręką i wszedł do swego pokoju.

Konferencja przywódców trzech mocarstw: Franklina D. Roosevelta, Józefa Stalina i Winstona Churchilla, która rozpoczęła w Teheranie 17 listopada 1943 r., już od pierwszych chwil przybrała niekorzystny dla Brytyjczyków obrót.

Zaczęło się od wiadomości, że prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D.

Roosevelt postanowił zamieszkać w ambasadzie radzieckiej i Churchill nie mógł temu przeszkodzić, gdyż Stalin rozegrał sprawę bardzo sprytnie. Powiedział Rooseveltowi, że radziecki agent Nikołaj Kuzniecowa wykrył niemiecki spisek. W górach Elburz, na północ od Teheranu, mieli wkrótce wyłśdować dowodzeni przez Ottona Skorzenego spadochroniarze, których zadaniem było dokonanie zamachu na Roosevelta w chwili, gdy jechałby z ambasady amerykańskiej do radzieckiej lub brytyjskiej.

Ostrzeżenie brzmiało gronie. Pułkownik SS Otto Skorzeny wsławił się we wrześniu 1943 r. błyskawicznš i bezkrwawš akcjš uwolnienia Benita Mussoliniego, włoskiego dyktatora uwięzionego w hotelu na szczycie niedostępnej góry Grand Sasso w masywie Abruzzów. Wskazanie Skorzeny'ego jako dowódcy grupy, która miała dokonać zamachu na prezydenta, zmuszało Amerykanów do podjęcia jak największych rodków ostrożności, tym bardziej że zamachowcy mieliby ułatwione zadanie, gdyż budynki ambasady amerykańskiej położone były w odległoci około 3 kilometrów od centrum Teheranu, gdzie sšsiadowały ze sobš ambasady brytyjska i radziecka, a przejazd wšskimi zatłoczonymi uliczkami Teheranu dawał dziesištki okazji do ostrzelania samochodu prezydenta lub podłożenia bomby.

Roosevelt przyjšł zaproszenie do zamieszkania w ambasadzie radzieckiej uznajšc, że jest to najlepsza gwarancja bezpieczeŃstwa, choć Churchill usiłował wpłynšc na zmianę tej decyzji twierdzšc, że informacja o zamachu jest wyssana z palca. Bezskutecznie. Prezydent prawdopodobnie chciał zostać ze Stalinem, aby

bez wiadków przedyskutować problemy podziału powojennego świata i nie miało znaczenia, czy ostrzeżenie przed zamachem było prawdziwe, czy zostało wymyślone przez Rosjan. Doradca Churchilla generał Alan Brooke. na wieść o decyzji Roosevelta westchnął: „Ta konferencja skończyła się, zanim się rozpoczęła”.

Churchill liczył jednak, że uda mu się uzyskać poparcie aliantów dla planu dokonania inwazji na Bałkanach, a nie w północnej Francji. Sądził, że poprze go Stalin. Brytyjska misja wojskowa donosiła z Moskwy, że od początku wojny w Związku Radzieckim zginęło 7 milionów żołnierzy i ponad 10 milionów cywilów. 12 milionów ludzi odniosło rany. największe miasta legły w ruinach, fabryki, linie kolejowe, drogi, mosty zostały zniszczone. Churchill uznał więc, że dyktator - w obawie przed buntem doprowadzonego do ostateczności społeczeństwa - gotów będzie poprzeć każdy plan prowadzący do szybkiego zakończenia wojny.

Mylił się w dwójnasób.

Stalin mocno trzymał w ręku stery państwa i nie obawiał się, że ktokolwiek może zagrozić jego władzy. Wszelka opozycja została zlikwidowana już w 1937 i 1938 r., a w warunkach wszechobecnego terroru, jaki od tamtego czasu panował w ZSRR, nie było możliwości ukształtowania się grupy, która mogłaby sięgnąć po władzę.

Stalinowi zależało na jak najszybszym utworzeniu drugiego frontu, ale nie za każdą cenę. Doskonale zdawał sobie sprawę z zamiarów Churchilla. Wiedział, że do istnienia imperium brytyjskiego konieczne jest opanowanie przez Brytyj-

czyków wybrzeży Morzaródziemnego. Operacja „Torch”, w wyniku której wojska alianckie znalazły się w Algierii, Maroku i Tunezji, była pierwszym krokiem w tę stronę. Następny stanowiła inwazja na Sycylię, później na Półwysep Apeniński i marsz w górę włoskiego buta. Tak ukształtowało się jedno ramię alianckich kleszczy, które miały objść Europę. Drugie ramię powstałoby po wyłśdowaniu wojsk anglo-amerykańskich na wybrzeżu Grecji, skśd ruszyłyby na północ Europy.

Stalinowi nie odpowiadała koncepcja zajęcia przez wojska alianckie Bałkanów, a później Węgier, Czechosłowacji i Polski. W jego planie państwa te miała wyzwolić Armia Czerwona, aby zaprowadzić tam rzśdy komunistyczne. Równie niemiła radzieckiemu dyktatorowi była wizja opanowania przez Brytyjczyków wybrzeży Morzaródziemnego, co umacniałoby wpływy brytyjskie na Bliskim Wschodzie oraz zapewniało bezpieczeństwo szlakom komunikacyjnym do Indii i na Daleki Wschód.

Elyes Bazna

Dlatego właśnie Stalin nie poparł Churchilla, gdy ten podczas pierwszej sesji rozmów w Teheranie przedstawił propozycję uderzenia na Bałkany.

Prezydentowi Rooseveltowi również nie podobała się wizja wzmocnienia brytyjskich wpływów w tym rejonie wiata, a zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, gdzie chętnie widziałyby amerykańskie firmy naftowe i bazy wojskowe.

Za główny cel postawił sobie najszybsze pokonanie Niemiec, co byłoby

ukoronowaniem trzeciej kadencji prezydenckiej i dawało pewność zwycięstwa w wyborach w 1944 r. Z amerykańskiego punktu widzenia najkrótsza droga do Berlina prowadziła z północnych wybrzeży Francji, przez Ren i przemysłowe serce Niemiec - Zagłębie Ruhry. Być może Roosevelt uwzględniał to, czego - zapatrzony w konieczność utrzymania imperialnej potęgi - nie widział Churchill:

wojska alianckie łdując na Bałkanach i zdobywając Jugosławię, Bułgarię i Węgry, pozostawiłyby Armii Czerwonej wolną drogę do Berlina i do gigantycznego przemysłu Niemiec skupionego w Zagłębiu Ruhry.

Roosevelt zastanawiał się, czy ma prawo zmusić najbliższego sojusznika i przyjaciela - Winstona Churchilla - do zmiany planów. Jeszcze w czasie pierwszego etapu podróży do Teheranu, gdy na pokładzie pancernika Iowa płynął przez Atlantyk do Egiptu (gdzie przesiadł się na samolot, który zabrał go do stolicy Persji) rozważał w gronie najbliższych doradców sposób postępowania wobec brytyjskiego premiera. Wstpliwoci rozwiązał szef Sztabu Generalnego generał George Marshall, wyrażając niechęć do angielskim planom. W jego opinii należało zachować „szczególnie ostrożne podejście” do brytyjskich propozycji działań na Bałkanach.

- Brytyjczycy powinni zostać zmuszeni do honorowania porozumień zawartych w czasie konferencji w Waszyngtonie i Quebecu - powtarzał w czasie rozmów z prezydentem. - Jedyną akcją odwracającą uwagę Niemców od głównej inwazji powinna być operacja „Anvil” - lądowanie w południowej Francji, a nie na Bałkanach.

- Czy sšdzisz, że możemy sprawę stawiać tak arbitralnie? - zapytał

Roosevelt.

- Panie preży dęcie, 1 stycznia 1944 r. liczebnoć naszych sił zbrojnych zaangażowanych w walkach na całym wiecie wyniesie 10,7 miliona żołnierzy.

W tym czasie liczebnoć wojsk brytyjskich nie przekroczy 4,4 miliona - twardo odpowiedział Marshall.

Roosevelt milczał przez chwilę, ale widać było, że ta odpowied zrobiła na nim duże wrażenie.

- Tak, generał Marshall powinien być naczelnym dowódcš alianckich wojsk walczšcych z Niemcami i objšć swojš komendš oddziały brytyjskie, francuskie, włoskie i amerykańskie, które wezmš udział w tym przedsięwzięciu! - wykrzyknšł prezydent. Zrobił ogromnš przyjemnoć Marshallowi, który bardzo liczył, że przypadnie mu zaszczyt dowodzenia wojskami alianckimi wyzwajšcymi Europę.

Premier Churchill spodziewał się amerykańskiego sprzeciwu wobec koncepcji

lšdowania na Bałkanach. Był jednak zbyt wytrawnym politykiem, aby przy pierwszych trudnościach zrezygnować ze swoich planów - tak ważnych dla istnienia imperium brytyjskiego. Upierał się przy nich, ale widzšc niechęć sojuszników, twierdził, że akcja na Bałkanach ma być jedynie działaniem odwracajšcym uwagę Niemców od głównego kierunku inwazji, czyli od lšdowania w północnej Francji. Było to rozsšdne tłumaczenie, gdyż pojawienie się wojsk anglo-amerykańskich na greckim brzegu zmusiłoby Niemców do prze-

słania tam wielu dywizji z Francji. Żadna z nich nie mogłaby już wrócić do Normandii w dniu, w którym pojawiłyby się tam główne siły inwazyjne. Jednakże ani Roosevelt, ani Stalin nie chcieli zaakceptować takiego planu wyczuwając, że Churchillowi w rzeczywistości chodzi o skupienie wszystkich sił w tamtym rejonie Europy. Amerykanie zgadzali się, że należy przeprowadzić operację odwracając uwagę Niemców, ale uparli się, że powinna nastąpić na południu Francji. Takiego zdania był również Stalin. Argumenty Churchilla trafiały więc w próżnię. Dlatego premier Wielkiej Brytanii stał się nerwowy i rozdrażniony. Wybuch nastąpił w czasie uroczystego obiadu wydanego w ambasadzie ZSRR.

Jak to było w radzieckim zwyczaju, przez całe przyjęcie Stalin i minister spraw zagranicznych Wjaczesław Mołotow wznosili nie kończące się toasty. Być może nadmiar rosyjskiej wódki rozwiślał język Stalinowi, który nagie podniósł się z kieliszkiem w dłoni i stwierdził, że po wojnie niemiecki Sztab Generalny musi zostać zlikwidowany, co zapobiegnie odrodzeniu się w przyszłości militarnej potęgi Niemiec.

- Funkcjonowanie hitlerowskich armii zależy od 50 tysięcy oficerów i naukowców. Jeżeli oni zostaną wyłapani i rozstrzelani, niemiecka potęga militarna będzie zniszczona - mówił.

Churchill zareagował bardzo ostro.

- Brytyjski parlament ani społeczeństwo nie będą tolerować masowej egzekucji. Zwróć się gwałtownie przeciwko ludziom za nią odpowiedzial-

nym, gdy tylko rzenia się rozpocznie. Zwiśzek Radziecki nie powinien mieć żadnych złudzeń co do tego.

- Pięćdziesiąt tysięcy musi zostać rozstrzelanych - powtórzył Stalin.

Churchill poczerwieniał.

- Raczej zastrzeliłbym się w ogrodzie i to zaraz, niż naraziłbym honor własny i mojego kraju na takś niesławę!

- No, powiedzmy, nie pięćdziesiąt lecz czterdzieci dziewięć tysięcy -

wtrścił się Roosevelt, wyranie zmierzając do rozładowania napiętej sytuacji.

Wtedy podniósł się syn prezydenta pułkownik Elliott Roosevelt, który nie wiadomo w jaki sposób znalazł się na przyjęciu, gdyż nikt go tam nie zaprosił.

-Zgadzam się z propozycjš pana Stalina i jestem pewien, że armia amerykańska poprze ten plan.

Churchill, który nie znosił pyszałkowatego młodego Roosevelta, poderwał się zkięsa, odłożył serwetkę na stół i wyszedł do przedpokoju. Tam usiadł ciężko na fotelu i zapalił cygaro. Po chwili drzwi do jadalni się otworzyły i stanł w nich Stalin z tłumaczem.

- On tylko żartował - skomentował wyskok Elliotta Roosevelta. - Wróćmy do sali. Podszedł do Churchilla i objśł go ramieniem.

Premier, który zdśżył już ochłonść, skierował się do drzwi. Być może uwiadom . sobie, że przeciśga strunę. Nie sposób jednak okrelić, na ile

gwałtowna reakcja na słowa syna prezydenta była wykalkulowanš manifestacjš niezadowolenia z postawy delegacji amerykańskiej, na ile za premierowi puciły nerwy. Zapewne doszedł do wniosku, że sytuacja, która dawno już wymknęła się spod jego kontroli, zmierza w bardzo niebezpiecznym kierunku.

Następnego dnia, 30 listopada, postanowił porozmawiać w cztery oczy ze Stalinem. Napisał póniej:

Czułem, że przywódca rosyjski nie miał prawdziwej oceny brytyjskiego podejcia. W głowie Stalina narodziła się fałszwa idea, że (mówiśc najkrócej) Churchill i brytyjski Sztab Generalny, jeżeliby mogli, zastopowaliby realizacjš „Overlord”, ponieważ chcieli dokonać inwazji na Bałkanach, a nie we Francji.

W czasie rozmowy przed południem Churchill długo mówił o planach brytyjskich. Podkrełał, że działalność brytyjskich służb specjalnych ma jedynie wprowadzić Niemców w błsd co do miejsca i terminu lšdowania wojsk alianckich, aby zapewnić w ten sposób powodzenie akcji i do minimum ograniczyć ofiary wśród żołnierzy.

Stalin zdawał się przyjmować argumentacjš brytyjskiego premiera, ale postawił zdecydowany warunek: akcja wprowadzania w błsd Niemców musi być prowadzona wspólnie przez wszystkich aliantów. Innymi słowy, radzieckie służby specjalne miały zostać wtajemniczone w grę wywiadów i kontrwywiadów, prowadzonš przez aliantów zachodnich. Churchill zgodził się bez chwili namysłu, choć wiedział, że jest to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

Od powstania Zwišzku Radzieckiego do chwili wybuchu wojny niemiec-

ko-radzieckiej wywiady Wielkiej Brytanii i ZSRR toczyły bezwzględnie walkę. Zawieszono ją na czas wojny z Niemcami, ale nie było wątpliwości, że tuż po zakończeniu II wojny światowej wywiady obu mocarstw znów stanęły przeciwko sobie, a wówczas Rosjanie wykorzystali wiedzę przekazaną im przez Brytyjczyków.

Już raz, 22 czerwca 1941 r., gdy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, Churchill musiał zapomnieć o swoich antykomunistycznych przekonaniach w imię zjednoczenia wszystkich sił przeciwko Niemcom. W Teheranie znów musiał pójść na kompromis i dopuścić Rosjan do wielkiej akcji wywiadu i kontrwywiadu prowadzonej od 1942 r., której nadano kryptonim „Jael”.

Tuż przed rozpoczęciem konferencji w Teheranie utworzona przez Churchilla organizacja London Controlling Section przygotowała dokument zawierający zaledwie 7 stron maszynopisu. Był to plan ochrony tajemnic operacji „Overlord” (ładowania alianckich wojsk inwazyjnych na kontynencie europejskim i wprowadzenia Niemców w błąd co do daty i miejsca inwazji). Na pierwszej stronie tego dokumentu, pod pięcioma zielonymi paskami mającymi zwrócić uwagę na jego niezwykle charakter, widniały napisy „Najbardziej tajne!” i „Ograniczony obieg.” Na następnych stronach określono pięć głównych płaszczyzn działania.

Pierwsza - realizowana przez wywiad brytyjski MI-6 i amerykański Office of Strategic Services (OSS) - obejmowała rozpoznanie niemieckich sił obrony i kontrolowanie stanu wiedzy niemieckiego dowództwa o przygotowaniach aliantów do inwazji.

Druga - której realizację przekazano kontrwywiadowi brytyjskiemu MI-5 i amerykańskiemu biuru FBI - zawierała wytyczne działalności kontrwywiadowczej i ochrony tajemnic planów inwazji.

Trzecia - realizowana przez Kierownictwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive - SOE) i amerykański wydział operacji specjalnych OSS - dotyczyła działalności sabotażowej Kierownictwa Działań Politycznych

Czwarta - oddana w ręce brytyjskiego (Political Warfare Executive) i amerykańskiego Biura Informacji Wojennej (Office of War Information) - obejmowała działania propagandowe.

W piśtej, najważniejszej, nakreślono strategię działań, które miały przekonać Niemców, że inwazja nastąpi w innym miejscu, niż rzeczywiście planowali alianci (w południowej Francji, w Zatoce Biskajskiej, Norwegii lub Pas de Calais).

Realizacja tych zamierzeń miała być gigantyczną operacją przeprowadzoną przez tysiące agentów, członków ruchu oporu, naukowców, żołnierzy, sztaby wywiadu i kontrwywiadu.

Ten siedmiostronicowy dokument stał się przedmiotem dyskusji przywódców trzech mocarstw w czasie ostatniej plenarnej sesji, która rozpoczęła się 30 listopada po południu. W dokumencie końcowym konferencji zapisano:

Uzgodniono, że sztaby wojskowe trzech mocarstw powinny pozostawać we wzajemnym kontakcie w sprawie stosownych operacji w Europie. W szczególności

ci uzgodniono, że plan ukrycia przed wrogiem i wprowadzenia w błąd wroga, związany z tymi operacjami, powinien być koordynowany przez zainteresowane sztaby sojuszników.

Trzej przywódcy złożyli podpisy pod dokumentem*. Następnego dnia Churchill i Roosevelt odlecieli do Kairu, gdzie zamierzali dyskutować o wielu ważnych sprawach związanych z organizacją inwazji na kontynent europejski, a jednš z najważniejszych był wybór głównodowodzącego wojskami alianckimi. Generała Marshalla, który kilkanaście dni wcześniej miał pewność, że to on poprowadzi amerykańskich i angielskich żołnierzy do boju o wolność Europy, spotkał głęboki zawód. Przywódcy dwóch mocarstw uzgodnili w Kairze, że zaszczyt ten przypadnie generałowi Dwightowi Eisenhowerowi. Czyżby w ten

*W następnym miejscu ostatecznie sformułowany plan wystano z Londynu do Waszyngtonu w celu utwierdzenia go przez Szefów Połączonych Sztabów, co wobec wcześniejszej decyzji szefów państw i rządsów było czystš formalnościš. Nazwa planu została wówczas zmieniona z „Jael” na „Bodyguard”. Był on tak tajny, że ujawniono go dopiero po 29 latach, w 1972 r.

sposób Churchill zemcił się na niechętnym jego bałkańskim planom, doradcy prezydenta Roosevelta? Jeżeli nawet tak było, to wybór Eisenhowera okazał się bardzo trafny.

Czy brytyjski premier zrezygnował ze swojej koncepcji lądowania na Bałkanach? Wydawałoby się, że ustalenia konferencji teherańskiej przekreliły możliwość skierowania wojsk alianckich do Grecji i przesłdziły ostatecznie o uderzeniu na Francję. Jednakże ta decyzja musiałaby ulec zmianie, gdyby np.

okazało się, że Niemcy tak bardzo wzmocnili obronę wybrzeży, iż inwazja zakończy się klęską. A mogli to zrobić łatwo - przerzucając tam dywizje z innych rejonów Europy.

Prezydent Roosevelt, któremu przedstawiono by dowody wzmocnienia niemieckiej obrony (zdjęcia lotnicze, raporty wywiadu), musiałby przyznać, że inwazja na Francję nie jest możliwa i zgodzić się na dokonanie jej w innym miejscu Europy, np. w Grecji. Doskonale rozumiał, jak katastrofą zakończyłoby się nieudane lądowanie aliantów: przygotowanie ponownej operacji zajęłoby wiele miesięcy, a może w ogóle Stany Zjednoczone wycofałyby się z udziału w wojnie w Europie, gdyż amerykańscy zwolennicy skoncentrowania wysiłku militarnego na Pacyfiku zyskaliby niepodważalny argument.

Czy więc autorzy planu „Jael” opracowali jeszcze jeden plan tajnej gry, w której przeciwnikiem nie byli Niemcy, lecz... sojusznicy? Tak po wojnie twierdził Józef Stalin, ale nikt nie zwracał uwagi na podejrzenia dyktatora uznając, że jest to zabieg propagandowy. A może jednak miał on rację?...

Gdy w Teheranie przywódcy trzech mocarstw dyskutowali o polityce, w niezbyt odległej Ankarze zaczęły się dziać dziwne rzeczy...

Stalin całuje Miecz Stalingradu" - dar od króla Jerzego VI, przekazany przez Churchilla. Teheran, 1943

sposób Churchill zemścił się na, niechętnym jego bałkańskim planom, doradcy prezydenta Roosevelta? Jeżeli nawet tak było, to wybór Eisenhowera okazał się

bardzo trafny.

Czy brytyjski premier zrezygnował ze swojej koncepcji lądowania na Bałkanach? Wydawałoby się, że ustalenia konferencji teherańskiej przekreśliły możliwość skierowania wojsk alianckich do Grecji i przesłodziły ostatecznie o uderzeniu na Francję. Jednakże ta decyzja musiałaby ulec zmianie, gdyby np. okazało się, że Niemcy tak bardzo wzmocnili obronę wybrzeży, iż inwazja zakończy się klęską. A mogli to zrobić łatwo - przerzucając tam dywizje z innych rejonów Europy.

Prezydent Roosevelt, któremu przedstawiono by dowody wzmocnienia niemieckiej obrony (zdjęcia lotnicze, raporty wywiadu), musiałby przyznać, że inwazja na Francję nie jest możliwa i zgodzić się na dokonanie jej w innym miejscu Europy, np. w Grecji. Doskonale rozumiał, jak katastroficznie zakończyłoby się nieudane lądowanie aliantów: przygotowanie ponownej operacji zajęłoby wiele miesięcy, a może w ogóle Stany Zjednoczone wycofałyby się z udziału w wojnie w Europie, gdyż amerykańscy zwolennicy skoncentrowania wysiłku militarnego na Pacyfiku zyskaliby niepodważalny argument.

Czy więc autorzy planu „Jael” opracowali jeszcze Jeden plan tajnej gry, w której przeciwnikiem nie byli Niemcy, lecz... sojusznicy? Tak po wojnie twierdził Józef Stalin, ale nikt nie zwracał uwagi na podejrzenia dyktatora uznając, że jest to zabieg propagandowy. A może jednak miał on rację?...

Gdy w Teheranie przywódcy trzech mocarstw dyskutowali o polityce, w niezbyt odległej Ankarze zaczęły się dziać dziwne rzeczy...

"Stalin całuje Miecz Stalingradu" - dar od króla Jerzego VI,

przekazany przez Churchilla. Teheran, 1943

W połowie października 1943 r. ambasador brytyjski w Ankarze Sir Hughe Montgomery Knatchbull-Hugessen zatrudnił jako kamerdynera Turka Elyesa Baznę. Wydawałoby się, że w ambasadzie mógł pracować tylko człowiek sprawdzony, gdyż niebezpieczeństwo wprowadzenia obcego agneta było w Turcji ogromne.

W latach II wojny Ankara i Istambuł roiły się od szpiegów wszystkich wywiadów wiata, prowadzących cichš, ale krwawš walkę, w której nie obowiązywały żadne zasady, a szantaż, uprowadzenie, tortury i skrytobójcza mierz były powszechnie stosowane.

Wszystkie placówki dyplomatyczne, które wszędzie na wiecie zajmujš się tropieniem tajemnic politycznych i wojskowych, w Ankarze nie kryły się ze swoimi powiżzaniem z wywiadem i kontrwywiadem, a ich łączność radiowa była starannie nasłuchiwana przez przeciwników, liczących na złamanie szyfru i poznanie najcilej strzeżonych tajemnic, W tej grze szczególne miejsce przypadało ambasadam brytyjskiej i niemieckiej, które usilnie zabiegały o przeciśgnięcie Turcji na stronę swoich państw.

Turcja, która w 1939 r. podpisała umowę o wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią, wkrótce zaczęła przechylać się na stronę państw faszystowskich.

18 czerwca 1941 r. rząd turecki podpisał z Niemcami układ o przyjaniu, jednakże

nie zdecydował się wystąpić zbrojnie po stronie państw osi". Wielka gra o zdobycie względów Turcji - państwa ludnego (ponad 17 milionów mieszkańców w 1938 r.), zasobnego w surowce strategiczne i położonego w bardzo ważnym miejscu świata, trwała bez przerwy. Dlatego każdy krok dyplomatów brytyjskich był szczególnie starannie strzeżony przez agentów Abwehry i Sicherheitsdienstu, a pracownicy Secret Intelligence Service bacznie obserwowali placówkę niemiecką.

W tej atmosferze pojawienie się obcego człowieka w bezprecedenskim otoczeniu ambasadora wydaje się co najmniej dziwne, tym bardziej że Bazna nie tylko nie miał odpowiednich referencji, ale był osobnikiem bardzo podejrzanym. Bliższe poznanie jego życiorysu nakazywało trzymanie się za portfel w momencie, gdy wchodził do pokoju.

Urodził się w 1904 r. w Pristinie w Jugosławii (w tym czasie państwo to było częścią Imperium Otomańskiego). Podobno pochodził z przyzwoitej rodziny.

Jego ojciec był mułł (duchownym muzułmańskim). Bazna twierdził, że studiował przez pewien czas w akademii wojskowej Fatih, ale nie ukończył nauki

z bliżej nie znanych powodów. Potem jego życie skomplikowało się tak bardzo, iż w Marsylii trafił do więzienia za kradzież. Po odbyciu kary miał się różnych zawodów, które nie pasowały do jego wykształcenia. Był kowalem w zakładach

finansowych. W lipcu 1944 r. Turcja zerwała stosunki dyplomatyczne z Niemcami, 3 stycznia - z Japonią, 11 marca 1945 r. wypowiedziała wojnę Niemcom.

W Berlinie, w Francji, pracował jako urzędnik w Istambule, w Jozgat dowodził

oddziałem straży pożarnej, jedził jako kierowca taksówki, aż wreszcie został służącym, a potem kamerdynerem, w domach dyplomatów. Pracował u ambasadora Jugosławii, konsula Wielkiej Brytanii, attache militarnego Stanów Zjednoczonych, sekretarza niemieckiej ambasady i w końcu trafił do ambasadora Wielkiej Brytanii.

W życiorysie Bazny było wiele białych plam, a on sam, pytany o konkrety, szybko zmieniał temat lub mówił wprost, że wolałby nie rozmawiać o bolesnych dla niego wydarzeniach.

Już w kilkanacie dni po rozpoczęciu pracy w domu Sir Hughe'a nowy kamerdyner zdobył pełne zaufanie pracodawcy. Wydaje się niezrozumiałe, że stary angielski dyplomata zezwalał Baznie asystować przy porannej toalecie lub pilnować drzwi gabinetu, gdy wypoczywał. Jeszcze dziwniejsze były wspólne domowe koncerty kamerdynera i jego pana; Bazna, mając ładny głos, piewał arie operowe, gdy Sir Hughe akompaniował mu na fortepianie. Przedstawiciele dwóch wiatów - służący i arystokrata - bardzo zbliżyli się do siebie, co było nie do pomylenia nie tylko w służbie dyplomatycznej Jego Królewskiej Moci, ale w żadnym angielskim domu wyższych sfer. Być może wyjanienia tej niecodziennej sytuacji należy szukać wiele lat wczemiej.

Elves Bazna

Było póne popołudnie, gdy kapitan Arthur Leslie Nicholson przyszedł do swojego biura w budynku brytyjskiego poselstwa w Rydze. Cały dzień upłynął mu na ważnych spotkaniach z ludmi zatrudnionymi w łotewskim Ministerstwie

Spraw Zagranicznych i z pracującymi dla niego agentami. Kapitan był człowiekiem bardzo obowiŹzkowym: uważał, że nie może zaniedbywać osobistych kontaktów, gdyż w ten sposób najlepiej poznawał rodowisko.

Mimo niewŹstpliwych zalet charakteru i ogromnej pracowitości Nicholson nie zrobił kariery. Miał 52 lata i wciąż był kapitanem. W 1932 r. wysłano go do Rygi, która nie cieszyła się uznaniem dyplomatów. Nicholson nie przejšł się jednak decyzjš szefów z Secret Intelligence Service i z niezmiennŹ skrupulatności przystŹpił do wykonywania swoich obowiŹzków. Po czterech miesiŹcach pracy w Rydze mógł uważać, że poznał teren całkiem nieie i zdobył kilku waŹnych informatorów, dobrze wprowadzonych w tamtejsze rodowisko.

Wszedł do swojego gabinetu i zapalił lampę na biurku, gdyż do pokoju wpadało niewiele wiatła przez grubŹ firankę i ciŹżkie pluszowe story, ledwo odsunięte na boki. Nicholson uznał, że takie zabezpieczenia sŹ konieczne, aby ustrzec się wcibskich oczu agentów obcego mocarstwa. Usiadł na krzele i zaczął wertować codzienne raporty, przygotowywane przez współpracowników. Jego uwagę zwróciła notatka, że o godzinie 17.30 w kawiarni na rogu czekać będzie August Lepstein, dziennikarz gazety „Promień”. Nicholson spojrział na zegarek. Minęła 17.00. a więc bez popiechu zamknŹł papiery w sejfie, założył palto i skierował się do wyjcia.

Lepstein był człowiekiem doskonale zorientowanym zarówno w sprawach rŹsdowych, jak i towarzyskich. Spotkania z nim były zawsze owocne i Nicholson, choć podejrzewał, że dziennikarz z równŹ ochotŹ sprzedaje informacje Niemcom i Rosjanom, nie zaniedbywał okazji do spotkań. Fun-

dusze, które wyznaczono mu na opłacanie informatorów, nie były duże. ale

Lepstein nie żądał wiele, a zawsze miał co ciekawego do opowiedzenia.

Drobny człowiek z gęstą czarną brodą, zasłaniającą pół twarzy, zamachał gazetą, gdy tylko Anglik wszedł w drzwi kawiarni.

- To rozkosz widzieć pana - powtórzył słowa, których używał zawsze przy powitaniach.

- Dla mnie również, panie Lepstein - odwzajemnił grzeczność Nicholson.

ale zaraz przeszedł do sedna sprawy. - Musi pan mieć coś szczególnego.

skoro nie czekał pan do naszego ustalonego spotkania, lecz zatelefonował do biura...

- Ależ tak, szlachetny panie! - Kwiecisty styl Lepsteina drażnił Anglika, ale starał się nie zwracać na to uwagi. - Powiem więcej. Mam wiadomość wartą co najmniej 80 funtów ... - zawahał się na moment, ale zaraz dodał: - a może nawet

- Dobrze, dobrze - przerwał Nicholson. - Wie pan, że zawsze dobrze płacę, lecz nigdy więcej niż 50 funtów. \

- Może pan przekazać wyrazy szacunku dla Tony'ego... - mówił dalej

Lepstein, co wskazywało, że zaakceptował cenę.

- Jeli za 50 funtów, to mów pan do rzeczy - przywołał go do porządku kapitan.

- Ależ szlachetny pan niecierpliwy, ale ja na te 50 funtów muszę zapracować. -

umiechał się chytrze Lepstein, a jego oczy niespokojnie lustrowały otoczenie.

Nie znajdując nic podejrzanego w zachowaniu ludzi przy pobliskich stolikach, mówił dalej; - Tony to kamerdyner zatrudniony w waszej ambasadzie, którego pan zna jako Tomasza. Pseudonim Tony" nadał mu rezydent wywiadu niemieckiego.

- Skąd ta wiadomość?

- Słuchaj, dobroczyńco, dalej. - Lepstein nie zwrócił uwagi na pytanie o źródło informacji. - Ten wasz kamerdyner jest męskš prostytutkš bardzo wziętš w tutejszym towarzystwie. Nie wiem jeszcze, jaka jest jego stawka, ale chyba wysoka. Chłopczyna ma jednš wadę: nie umie trzymać języka za zębami i ostatnio pochwalił się pewnemu swojemu wielbicielowi, że do ambasady przysłano jakie ważne dokumenty. Podobno miał je w ręku. Ja tam nie wiem, co to było... - Lepstein uznał, że powiedział już dosyć.

Nicholson skinął na kelnerkę i przy okazji odliczania pieniędzy za kawę i koniak wsunął pod tacę 50-funtowy banknot. Wstał bez słowa i chciał wyjść, ale zatrzymał się na moment.

- Dziękuję panu, to była bardzo ważna rozmowa, o której pan już zapomniał...

- Oczywiście, szlachetny dobroczyńco - Lepstein wrócił do swojego stylu. -

Nasze spotkania sš niewypowiedzianš radociš dni moich... - Mówiśc to, szybko wydobyl banknot spod tacy i wsunął do kieszeni.

Nicholson już go nie słuchał.

Wrócił do ambasady rozważając, co ma począć z tak niezwyklej informacjš.

Nie mógł przecieć pójć do ambasadora i oskarżyć kamerdynera, skoro nie miał żadnych dowodów. Zaczşł przypominać sobie fakty: ambasador Hughe Knatchbull-Hugessen rozpocşł pracę w ryskiej placówce w 1930 r. i wkrótce zaangażował nowego kamerdynera Tomasza. Nicholson przyjechał do Rygi dwa lata póniej i nie mógł juć ustalić, w jakich okolicznociach zatrudniono kamerdynera, czy miał stosowne referencje i czy przeszedł odpowiednie sprawdziany.

Przez następnny miesiśc kapitan nie spuszczał Tomasza z oka. Kilka razy widział jak nocami do jego pokoju przemykali się mężczyźni i jak uchodzili nad ranem.

W kalendarzyku, który kaędego wieczoru pieczołowicie chował do sejfu, notował wszystkie fakty. Pewnej nocy zauważył, że Tomasz wyszedł ze swojego pokoju i skierował się na piętro, gdzie znajdowały się apartamenty ambasadora. Nicholson nie mógł pójć za nim, gdyż by się zdekonspirował, więc ukrył się wśród płaszczy wiszących pod schodami i czekał na powrót kamerdynera. Po kilkunastu minutach Tomasz zszedł na dół, wyrzucił co ukrywając pod marynarkę narzuconę na ramiona. Wszedł do swojego pokoju, gdzie pozostał przez kilka minut. Gdy znów wyszedł, rozejrzał się uważnie po korytarzu. Nie mógł dostrzec Nicholsona, który - omotany ciężką pelisą, czując strużki potu ciekące mu po plecach - obserwował, jak kamerdyner szybko ruszył na górę, skąd niebawem powrócił do swojego pokoju, nie ukrywając juć niczego pod marynarkę.

Nicholson nie miał żadnych wstępliwoci, co oznaczała nocna wycieczka.

Wiedział, że ambasador lubił przed snem przeglądać dyplomatyczne papiery. Nie krył się z tym zwyczajem i kazał nawet zainstalować sejf pod łóżkiem, aby nie musiał wstawać w celu zabezpieczenia dokumentów, gdy poczuje senność.

Nicholson postanowił działać, przekonany, że w 52 roku życia odniesie wielki sukces, który da mu co najmniej stopień majora.

- Proszę, niech pan siada - ambasador, siedzący za ogromnym stylowym biurkiem, wskazał sofę pod cianą. - Zaraz skończę przeglądanie dokumentów...

-Panie ministrze... - Nicholson nie czekał, aż ambasador wstanie zza biurka. - Przychodzę do pana w niezmiernie ważnej sprawie. Kamerdyner jest homoseksualistą i niemieckim agentem. Wczoraj w nocy widziałem, jak zakradł się do pana sypialni i wyniósł z niej dokumenty, które sfotografował w swoim pokoju - wypalił jednym tchem wyranie zdenerwowany kapitan.

Ambasador poderwał się z fotela.

- Czy pan jest tego pewien? - zapytał, wyranie zmieszany i zdziwiony.

- Absolutnie tak - twardo odparł Nicholson.

- Czy widział pan Tomasza wchodzącego do mojej sypialni?

-No, nie całkiem. Widziałem, że wszedł na pierwsze piętro... - zaczął pliskać się

Nicholson.

-Czy widział pan, że Tomasz wynosi dokumenty z mojej sypialni? - Pytał dalej podniesionym głosem ambasador.

- Widziałem, że ukrywa co pod marynarkę; zapewne były to dokumenty - Nicholson zaczynał tracić pewność siebie.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że wczorajszego wieczoru w moim sejfie nie było żadnych dokumentów. Pańskie spostrzeżenia są więc czystym nieporozumieniem. Doceniam, że wypełnia pan swoje obowiązki, oczekuję jednak przy tym pełnej odpowiedzialności. Czy poinformował pan Londyn o swoim odkryciu"?

- Nie, jeszcze nie. - Nicholson zrozumiał, że ambasador - bojąc się wplątania w szpiegowską aferę, co mogłoby zaważyć na jego karierze - zrobi wszystko, żeby uniknąć oskarżenia, nawet za cenę ocalenia szpiega. - Chciałem się podzielić tymi myśleniami z panem...

-Dziękuję panu. - Ambasador wstał, dając w ten sposób znać, że nie ma już do rozmowy. - Proszę informować mnie o wszystkich pana odkryciach, a wówczas razem zastanowimy się nad dalszymi krokami. Podał rękę Nicholsonowi i odprowadził go do drzwi.

Kapitan nie zastosował się jednak do polecenia ambasadora. Jeszcze tego samego wieczoru wysłał do swoich szefów w SIS szyfrogram informujący o poczynaniach kamerdynera. Odpowiedz nigdy nie nadeszła...

Był to czas beztróskiego pokoju w Europie. W Niemczech uważano Hitlera za

ulicznego krzykacza i nikt nie traktował go poważnie. W Związku Radzieckim Stalin - zajęty kolektywizacją i umacnianiem władzy - nie zdradzał chęci anektowania innych państw.

Głównym problemem świata był kryzys gospodarczy i nikt nie bał się szpiegów. Być może dlatego ostrzeżenia kapitana Nicholsona utkwiły w biurku któregoś z urzędników SIS.

Rok później Nicholson został odwołany do Londynu. Sir Hughe Knatchbull-Hugessen opuścił placówkę w Rydze w 1934 r. i wkrótce został mianowany ambasadorem w Chinach.

Tony pozostawał w dalszym ciągu na służbie w brytyjskim przedstawicielstwie. Kiedy (w 1940 r.) do Łotwy wkroczyli Rosjanie i państwo to zostało włączone do ZSRR, Brytyjczycy zamknęli ambasadę w Rydze. Dalsze losy Tony'ego nie są znane.

Po zmuszeniu do przysięgi na wierność władzy robotniczo-chłopskiej' rozbrojeni żołnierze łotewscy defilują ulicami Rygi

Parnego październikowego wieczoru 1943 r. przed ciężkimi, kutymi w brzoście drzwiami do niemieckiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Ankarze stanął wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Mimo gorąca nosił kapelusz z dużym rondem, które osłaniało twarz. Niecierpliwie szarpał rączkę dzwonka, starając się zmusić służbę do jak najszybszego otwarcia drzwi, co skróciłoby czas wystawania na ulicy, czego najwyraźniej chciał uniknąć.

Po chwili w małym zakratowanym okienku pojawiła się twarz odwiernego.

- Ja do pana sekretarza Jenkego. To ważne - powiedział przybyły.

Drzwi otworzyły się. co wskazywało, że ludzie z ochrony ambasady wiedzieli,

że nie należy trzymać na ulicy gości sekretarza. Po chwili w korytarzu pojawił się

Albert Jenke w szlafroku.

- Pan do mnie?

- Tak, przychodzę z ważną sprawą - mężczyzna zdjął kapelusz, starając się

stać tyłem do pracownika ambasady, który pozostał przy drzwiach.

- Ach, poznaję. Proszę tutaj - Jenke wskazał drzwi prowadzące do niewielkiego.

stylowo umeblowanego gabinetu.

- Tak, tak! Pan Bazna. Co pana sprowadza do starych znajomych? - podszedł do

dużego biurka przy oknie i oparł się o jego krawędź. Stamtąd mógł uważnie ledzić

twarz Bazny, podczas gdy sam, stojąc tyłem do wiatła rzucanego przez wielką

lampę na biurku, pozostawał ciemną sylwetką. Znał Baznę z czasów, gdy pracował

on jako służący w jego domu.

- Interesy... - odpowiedział Bazna. - Po starej znajomości chciałem panu

zaoferować parę rolek filmu ze zdjęciami tajnych dokumentów angielskich.

- Za jaką cenę? - spytał Jenke.

- 20 tysięcy funtów szterlingów - odparł Bazna, a w jego głosie można było wyczuć pewność sprzedawcy, który wie, że ma towar najwyższej jakości. - Za pierwszą rolkę, z 52 zdjęciami 20 tysięcy funtów, za każdą następną po 15 tysięcy...

To była ogromna suma. 20 tysięcy funtów szterlingów równało się 80 tysiącom dolarów, a za tę kwotę można było kupić w Ankarze ładny domek.

- Nie jestem upoważniony do zawierania tak poważnych transakcji... - Jenke nie wiedział, co zrobić. Nie miał najlepszego zdania o byłym służącym. Podejrzał, że chce go oszukać lub jest angielskim agentem.

- Jeli pan nie chce, to nie będę namawiać. Rosjanie zapłaczą mi więcej -

Bazna nie robił wrażenia zmartwionego oschłociś sekretarza. - Zapomnijmy o tej rozmowie. Wie pan, przyszedłem tutaj, a nie do Rosjan, ze względu na zaufanie, jakie mam do pana. Poza tym byłem przekonany, że potrafi pan docenić niezwykłą wartość dokumentów. Teraz jednak proszę, żeby pan zapomniał o wszystkim. - Podniósł się z krzesła i skierował do wyjścia.

- Niech pan zaczeka! - zatrzymał go Jenke. zbity z tropu pewnościś siebie dawnego służącego.

Wyszedł z pokoju i z aparatu w hallu zatelefonował do szefa miejscowego oddziału Służby Bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst - SD) Ludwiga Moyzyscha. Na szczęście zastał go w mieszkaniu w budynku naprzeciw ambasady i po paru minutach Moyzisch pojawił się w drzwiach.

- W pokoju jest kamerdyner z angielskiego poselstwa. Nazywa się Bazna

i chce nam sprzedać filmy ze zdjęciami tajnych dokumentów - poinformował Jenke.

- Czy sądzi pan, że ten... Bazna może mieć dostęp do takich dokumentów? -
upewniał się Moyzisch

- Nie jest to wykluczone - ostrożnie odparł Jenke.

Obydwóch zastanawiała ogromna suma, której zażądał Bazna. Takie pieniądze płaci się tylko za informacje najwyższej wagi. Czy kamerdyner mógł uzyskać dostęp do takich dokumentów?

Obydwaj Niemcy wiedzieli, że ambasador Knatchbull-Hugessen miał doskonałe kontakty w Londynie. Pochodził ze znakomitej rodziny, kształcił się w college "u Eaton, skąd wywodziło się wielu członków najwyższych władz brytyjskich. Studiował w Oksfordzie razem z ministrem spraw zagranicznych Anthonym Edenem*. Już tylko te fakty wskazywały, że mógł być dobrze zorientowany w zamierzeniach brytyjskiego rządu. Co ważniejsze, w jego rękach były główne nici delikatnej gry, którą prowadził rząd brytyjski, mający nadzieję na przeciśnięcie Turcji na stronę aliantów; musiał więc być informowany o wszystkich najważniejszych decyzjach i zamierzeniach rządu w sprawach europejskich oraz na temat sojuszów ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Jeżeli więc kamerdynerowi rzeczywiście udało się dotrzeć do dokumentów ambasadora, to kwota, jakiej żądał, mogła być tego warta.

- Wejdmy tam - powiedział Moyzisch, wskazując drzwi gabinetu. - Chciałbym poznać tego człowieka. Proszę jednak nie podawać mojego nazwiska ani

funkcji.

- Panie Bazna! Nie wracam sam, proszę jednak nie zadawać zbędnych pytań, lecz obdarzyć mojego kolegę takim samym zaufaniem, jakie okazał pan mi - owiadczył Jenke.

Bazna, który wstał z krzesła na widok wchodzących, skinął głową i ponownie usiadł.

- Dzisiaj nie możemy podjąć decyzji - mówił dalej sekretarz. - Kwota, której pan spodziewa się za filmy, jest tak duża, że musimy się zastanowić.

- Ale nie później niż do jutra - przerwał Bazna.

- To zbyt krótki termin - zaprotestował Jenke. - Proszę przyjąć trzydziestego o 22.00. Wówczas zakończymy sprawę.

- Wie pan. przychodzenie do niemieckiego poselstwa jest dość ryzykowne.

Kto mógłby mnie zobaczyć i rozpoznać...

- Możemy się spotkać w warsztacie, w ogrodzie naszej ambasady. Wejdzie

* Nie wiedzieli jednak, że ambasador był szkolnym kolegą Stewarta G. Manziesa - szefa brytyjskich tajnych służb, oraz płk. Johna H. Bevana - szefa tajnej organizacji London Controlling Section.

pan przez boczną furtkę. Na ulicy jest tak ciemno, że nikt pana nie rozpozna - wtrącił się Moyzisch.

- Dobrze, będę o 22.00 - Bazna wstał i szybko skierował się do wyjścia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Moyzisch obrócił się w stronę Jenkego.

- I co pan o nim sędzi?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie ufałem temu człowiekowi. Gdy był u mnie zatrudniony, nie miałem żadnych podstaw, aby podejrzewać go o współpracę z innym wywiadem, ale czasami odnosiłem wrażenie, że przeszedł przeszkolenie wywiadowcze. Proszę jednak pamiętać, że było to wiele lat temu - powiedział niepewnie Jenke. - Jest człowiekiem, dla którego liczą się tylko pieniądze, ale sędzę, że chętnie będzie je dostawał za działania przeciwko Anglikom. Wielokrotnie demonstrował nienawić wobec nich. Podobno jego ojciec został zastrzelony przez angielskiego oficera w czasie polowania w Albanii. To był wypadek, ale wywołał nienawić do Anglików. Bazna powiedział mi kiedyś, że siedział w więzieniu, ale nie za pospolite przestępstwo, lecz za akt polityczny, jakim była kradzież angielskiego sprzętu wojskowego.

- Może to być trudny orzech do zgryzienia, ale i tak decyzja nie należy do nas.

Na szczęście ten Bazna chce za dużo. - Moyzisch powiedział to z wyraną ulgą. - Musimy całą sprawę przedstawić ambasadorowi.

Franz von Papen też wietrzył podstęp wywiadu brytyjskiego, ale uznał, że wszystkie okoliczności należy skrupulatnie sprawdzić. Gdyby oferta Bazny okazała się ważna, Hitler nie wybaczyłby im, że wypucili z ręk cenne materiały. Jeszcze tego samego wieczoru Moyzisch, na polecenie ambasadora, wysłał do ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa telegram;

Do ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Do ręk własnych. Najtajniejsze.

Otrzymał ofertę od pracownika ambasady brytyjskiej, podającego się za
J-sluzšcego ambasadora. Wykonał fotografie tajnych oryginalnych dokumentów.
^Za pierwsza dostawę, która ma nastšpić 30 padziernika, Źsda 20 tysięcy funtów
^banknotach. 15 tysięcy funtów za kaŹdš następnš rolkę filmu. Proszę doradzić,
fW możemy przyjšć tę ofertę. JeŹeli tak, to Źsdana k\kota musi być dostarczona
W specjalnego kuriera, który musi dotrzeć tutaj nie póniej niŹ 30 padzier-
Bfl. SluŹšcy był zatrudniany kilka lat temu przez pierwszego sekretarza
nbasady Niemiec, tj. Alberta Jenkego - BW], Nic więcej nie wiadomo.

Telegram o tej samej treści otrzymał Walter Schellenberg, szef sekcji wywiadu
B). Nie spodobała mu się ta sprawa, ale uznał, Źe można zaryzykować 20 tysięcy
fantów. Podobnego zdania był Ribbentrop.

Szyfrogram dotarł na biurko jeszcze jednego człowieka - Fritza Kolbego*. Był
10 asystent ambasadora Karla Rittera, prowadŹšcego dyplomatyczne sprawy
Ifchmachtu i z tej racji rutynowo informowanego o waŹniejszych depešach
pttnbasad. Kolbe, antynazista z przekonania, juŹ na poczštku wojny nawišzał
-tltakt z wywiadem amerykańskim. Pod pseudonimem George Wood dostarczał
jWedług innych ródeł jego nazwisko brzmiało Kolpe.

Amerykanom najcenniejsze dokumenty niemieckiego Ministerstwa Spraw Za-
granicznych.

27 padziernika do ambasady niemieckiej w Ankarze dotarł szyfrogram
z Berlina:

Do ambasadora von Papena. Do ršk własnych. cile tajne. Oferta brytyjskiego służšcego do zaakceptowania przy zachowaniu wszelkich rodków ostrożności. Specjalny kurier przybędzie do Ankary 30. przed południem. Oczekujemy natychmiastowego raportu po przejęciu dokumentów.

30 października, punktualnie godzinie 22.00, Bazna zastukał do drzwi drewnianej przybudówki ambasady. Otworzył mu Moyzisch.

- Zgoda na pańskie warunki - powiedział, wskazujšc gociowi krzesło pod cianš z narzędziami. - Czy przyniósł pan filmy?

- Tak. Spodziewałem się, że wyrazi pan zgodę - Bazna wyjšł z kieszeni dwie rolki. - Pierwsza za 20 tysięcy, druga za 15 tysięcy funtów...

- To się rozumie, ale najpierw muszę zobaczyć, co zawierajš.

Bazna umiechnšł się.

- Boi się pan, że za takie pienišdze sprzedam zdjęcia tancerek kabaretowych?

Nie ma obawy. Proszę sprawdzić...

W ciemni fotograficznej w piwnicy laborant czekał już na filmy. Po kilkunastu minutach wyjšł spod powiększalnika zdjęcia dokumentów. Moyzisch rozłożył je na stole pod lampš i za pomocš silnego szkła powiększajšcego zaczął im się przyglšdać. Nie miał czasu na drobiazgowš analizę, ale daty zamieszczone na górze sfotografowanych pism wskazywały, że dokumenty sš aktualne.

Wszystkie opatrzone były nagłówkami: „cisłe tajne” lub „Najbardziej tajne”.

Już pobieżna lektura wskazywała, że dokumenty zawierajš wiele cile strzeżo-

nich tajemnic rządu brytyjskiego. Zrozumiał wtedy, że cena, jakiej zażądał kamerdyner, nie była wygórowana...

Powrócił do warsztatu, trzymając w ręku plik banknotów, zawinięty w francuski gazetę „La Republique”. Bazna nie przeliczył pieniędzy. Schował cały zwitek do wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Chwileczkę! - zatrzymał go Moyzisch. - Niech mi pan powie, jak pan robił te zdjęcia?

- Ustawiłem aparat na statywie, który sam skonstruowałem, i fotografowałem dokumenty w świetle 100-watowej żarówki.

- Gdzie to było?

- U mnie, w pokoju. Miałem pewność, że mogę tam pracować spokojnie.

- Ryzykował pan, że kto może zauważyć brak dokumentów...

- Nie! - zaprzeczył energicznie Bazna. - To wszystko zajęło mi niewiele ponad 3 minuty.

To był pierwszy sygnał wskazujący, że Bazna kłamie. Moyzisch znał plan ambasady brytyjskiej. Wszystkie miejsca, z których Bazna mógł wykraść dokumenty, były odległe od pokoju służącego o mniej więcej 150 metrów. Było więc bardzo mało prawdopodobne, aby w ciągu tak krótkiego czasu zdążył

przejść ten dystans bez popiechu wzbudzającego podejrzenia domowników,

rozłożyć dokumenty, sfotografować je i odnieść na miejsce.

- A co z następnymi filmami? Bierze pan? - zapytał Bazna

- Skontaktujemy się - uciśł rozmowę Moyzisch.

Całą noc spędził na analizie zdjęć. Ich wartość wydawała się bezcenna. Nad ranem poszedł do von Papena. Ambasadora też zaskoczyło znaczenie dokumentów sfotografowanych przez Baznę. Wtedy to, podczas porannej rozmowy z Moyzischem, polecił mu prowadzenie dalszych transakcji z nowym agentem, któremu nadał kryptonim „Cycero”.

Tego samego dnia kurier zabrał dokumenty do Berlina. Walter Schellenberg patrzył z niedowierzaniem na zdjęcia.

- Zbyt dobre, żeby mogły być prawdziwe - stwierdził. Był przekonany, że ma do czynienia z grą inspirowaną przez wywiad angielski. Postanowił jednak uczestniczyć w tej grze, zwłaszcza że (jak się później okazało) nie kosztowało to wiele.

Jeli nawet się okaże, że materiał był oszustem nieprzyjacielskiego Secret Service, to i tak wiedza na ten temat ma określoną wartość. Poznaje się w ten sposób rodki, którymi wróg usiłuje wprowadzić w błąd - napisał w pamiętniku Schellenberg.

W Ankarze Moyzisch, na wyrane polecenie z Berlina, w dalszym ciągu odbierał filmy od Cycera i płacił bająnskie sumy. Poznał już sposób, w jaki Cycero dobierał się do tajnych dokumentów.

Ambasador, który zapewne nie pamiętał o swoich dowiadzczeniach z Rygi, gdzie Tony wyciśgał z jego sejfu w sypialni tajne papiery, w dalszym ciśgu zabierał dokumenty do sypialni, aby czytać je przed snem. Bazna powiedział Moyzischowi, że pewnego wieczoru wszedł do sypialni ambasadora, gdy ten był w łazience, i zobaczył klucze od sejfu leżśce na stoliku. Odcisnł w mydle i szybko dorobił nowy komplet. Od tej chwili zakradał się do sypialni ambasadora, wyjmował dokumenty, zabierał je do swojego pokoju, fotografował i odnosił z powrotem.

Oczywicie ta operacja - przeprowadzana pod nosem piścego ambasadora - była bardzo ryzykowna. Dlatego tak działał tylko w ostateczności. Z reguły wybierał dogodniejsze chwile. Najbezpieczniejszy czas był wtedy, gdy ambasador wyjeżdżał z domu. Bazna miał wówczas całkowitś swobodę. Nie groził mu niespodziewany powrót Sir Hughe'a, gdyż czarny ambasadorski rolls-royce musiał przejechać pod jego oknami, zanim zatrzymał się przy wejciu. Słyszśc warkot motoru, Bazna wiedział, że ma wystarczajśco dużo czasu na dojcie do sypialni i odłożenie papierów na miejsce.

Równie bezpieczny był czas wieczornych koncertów, gdy ambasador siadał do pianina w saloniku na parterze. Dwięki muzyki słychać było w całym domu. Nagła cisza oznaczała, że Sir Hughe za chwilę zamknie instrument, odłoży nuty, dopije filiżankę herbaty i dopiero potem skieruje się na piętro. Trwało to wystarczajśco dłuęo, aby kamerdyner mógł odłożyć dokumenty.

Wersja przedstawiona przez Baznę wydawała się bardzo prawdopodobna, ale

tylko na pierwszy rzut oka... Moyzisch zorientował się, że Bazna dość słabo zna angielski. Jak więc mógł ocenić zawartość dokumentów? Roiło się w nich od dyplomatycznych zwrotów, skrótów i określeń, których nie potrafiłby zrozumieć człowiek nie znający się na polityce, nawet posługując się słownikiem. Trudno, jednak było sobie wyobrazić, że po wykradzeniu papierów Bazna przeglądał je w swoim pokoju, zerkając co chwila do słownika. Jak więc wybierał materiały, które mogły być najbardziej interesujące dla Niemców? Klatki filmu wskazywały, że nie fotografował wszystkich papierów, które wpadły mu w ręce, lecz dokonywał selekcji. Jak więc, działając w ogromnym popiechu, mógł wybierać te najbardziej wartościowe, skoro nie miał żadnego doświadczenia dyplomatycznego?

Następne tygodnie przyniosły dalsze odkrycia bardzo niepokojące Moyzischa.

Na jednym ze zdjęć widać było wyranie dwa palce. Bazna nie mógł tego zauważyć w wizjerze aparatu ze względu na inne pole widzenia celownika i obiektywu; widać to było dopiero na odbitce, Moyzisch bez trudu rozpoznał, czyje to palce, gdyż widoczny był fragment sygnetu z rubinowym oczkiem, który kamerdyner nosił na środkowym palcu. Było to niemożliwe, aby szpieg naciskał spust migawki aparatu jedną ręką, drugą podtrzymując papiery, gdyż odległość między obiektywem a fotografowanymi dokumentami była zbyt duża. Moyzisch natychmiast zaalarmował Berlin i do Ankary przysłano eksperta od fotografii.

Ten przeanalizował wszystkie odbitki. Ustalił, że zdjęcia robione były aparatem o dobrym obiektywie z odległości około 1,2 metra, przy użyciu silnych lamp fotograficznych. Ostrość odbitek wskazywała, że aparat umieszczony był na

solidnym statywie, a fotograf działał bez popiechu. Przed każdym nacięciem migawki robił krótką przerwę, w czasie której korygował ostrość.

Moyzisch postanowił wyjawnić sprawę do końca. Wezwał Baznę do swojego abinetu, w którym za kotarś ukrył się berliński ekspert.

- Wiem, że w tej dziedzinie trudno mówić o jakichkolwiek planach, ale przebieg wydarzeń międzynarodowych zmusza mnie do zadania pytania o przyszłość... - zaczął doć okręnie Moyzisch.

t - Chodzi panu o to, kiedy dostarczę następne zdjęcia? - Bazna wyrwanie nie zrozumiał rozmówcy. - To nie zależy ode mnie...

-Nie! Chodzi mi o to, czy ambasador lub kto z jego otoczenia nie zorientował, że pan wnosi dokumenty z sejfu.

- O to może się pan nie martwić. Z całą pewnością nie.' - odrzekł Cycero.

- Nie chce pan skorzystać z naszej pomocy?

- Niby w jakiej sprawie?

- Techniki wydobywania dokumentów i fotografowania. Musi pan uznać, że w wywiadzie niemieckim mamy lepszych specjalistów niż pan.

l- O, na pewno. Ja jestem tylko amatorem - skwapliwie zgodził się Bazna. -

{tnie wysłucham wszystkich rad,

- Niech mi pan powie, w jaki sposób robi pan zdjęcia?

- Już mówiłem: w moim pokoju ustawiam aparat na zrobionym przeze mnie statywie, oświetlam lampš 100-watowš i pstrykam leicš. Czy sš jakie zastrzeżenia do ostroci? - zaniepokoił się Bazna.

- Nie, nie. Na razie wszystko w porzšdku. Czy używa pan centymetra do mierzenia odległoci między obiektywem a kartkš? - Moyzisch zaczął zadawać wiele bardzo szczegółowych pytań, pamiętajšc o ukrytym za kotarš ekspercie. Bazna skrupulatnie, bez wahania, wszystko wyjanił.

- Jest cień szansy na to, że ten człowiek pracuje samotnie - orzekł ekspert, gdy Bazna opuścił gabinet. - Ale jest to szansa jedna na tysišc.

- Jeżeli miałby pan kategorycznie stwierdzić, czy ten człowiek sam robi zdjęcia, czy też korzysta z czyjej pomocy, jaka byłaby pana opinia? - Moyzisch chciał usłyszeć jednoznaczniš ocenę.

- Nie działa sam! - owiadczył stanowczo ekspert.

Moyzisch nie mógł już mieć wštpliwoci. Bazna był agentem angielskim lub pracował pod nadzorem agentów, ale dokumenty, które dostarczał, były ponad wszelkš wštpliwoc autentyczne! Chociažby dlatego warto było poznać ich treć, jeżeli nawet selekcjonował je wywiad angielski.

Z punktu widzenia wywiadu niemieckiego miały jeszcze jednš ogromniš zaletę: częć z nich docierała do ambasady w Ankarze przez kurierów, częć - drogš radiowš. Te radiogramy znaczyły bardzo wiele: pozwalały złamać brytyjski szyfr dyplomatyczny. Być może tylko z tego względu SD zdecydowało się

korzystać z usług Cycera. choć nikt nie miał już wątpliwoci, że pracuje on pod nadzorem wywiadu brytyjskiego,

Moyzisch nie zwrócił jednak uwagi na wiele innych okolicznoci; nie zastanawiał się, dlaczego ambasador, który objął placówkę w Turcji w 1939 r., nagle w 1943 r. zaangażował nowego kamerdynera... Jeżeli nawet Sir Hughe okazał się tak nieostrożny i naiwny, to w ambasadzie był człowiek, przed którym Cycero nie mógłby długo ukryć swojej działalności.

Za bezpieczeństwo brytyjskiego poselstwa w Ankarze odpowiadał pułkownik Montague Reaney Chidson. Trudno sobie wyobrazić lepszego fachowca. Był jednym z najbardziej doświadczonych oficerów kontrywiadu, w którym pracował od końca I wojny światowej. Jego kariera składała się ze sromotnych klęsk i niezwykłych sukcesów.

W 1937 r. wysłano go do Hagi, gdzie jako urzędnik paszportowy miał leźć migrację młodych Żydów z Polski i Niemiec do Palestyny, Był to czas, gdy rząd brytyjski sprzeciwiał się rozbudowywaniu kolonii żydowskiej na Ziemi Obiecanej i liczył, że nowy „urzędnik paszportowy” odniesie sukcesy w zwalczaniu nielegalnej migracji. Jednakże po kilku miesiącach zwierzchnik Chidsona uznał, że całkowicie nie nadaje się on do tego zadania, gdyż jest zbyt pedantyczny i oczekuje 100% sukcesu, gdy w tej robocie 40% to już dużo”.

Majorowi Chidsonowi zlecono więc inne zadanie, ale pozostawiono go w Hadze, ze względu na biegłą znajomość języka i żonę Holenderkę. dzięki której

doskonale wrósł w tamtejsze rodowisko. Wkrótce odniósł wielki sukces.

W 1940 r. wsławił się brawurową akcją. Do jego zadań należała wówczas penetracja rynku brylantów w Amsterdamie. Gdy Niemcy wkroczyli do miasta, Chidson (już w stopniu pułkownika) postanowił wykraść cały zapas holenderskich diamentów przemysłowych. Przez 24 godziny manipulował przy zamkach sejfów, zanim udało mu się pokonać zabezpieczenia i otworzyć drzwi. Pakował diamenty do worka, słysząc dochodzące z parteru głosy żołnierzy niemieckich zajmujących budynek. W ostatniej chwili przedostał się na strych i unosząc pakunek niezwyklej wartości, przemknął się dachami do bezpiecznego miejsca.

Innym wyczynem dzielnego pułkownika było zorganizowanie przerzutu do Anglii królowej Wilhelminy, księcia Bernharda i członków rządu holenderskiego.

Tak więc jego droga życiowa wskazywała, że jest człowiekiem odważnym, ;; drobiazgowym, a nade wszystko dowiadczonym pracownikiem wywiadu t i kontrwywiadu.

f W Ankarze pułkownik Chidson zajął się ochroną tajemnic ambasady. Przed wyjazdem z Londynu otrzymał szczegółowe instrukcje, z których wynikało, że nowa praca będzie szczególnie trudna - ze względu na charakter miasta i politykę t Wielkiej Brytanii wobec Turcji.

| Bazna nie mógł ujść jego uwagi. Jak pies wyczuwa trop zająca, tak dowiad-

j CZONY pracownik kontrwywiadu dostrzegł fałsz w człowieku ukrywającym

J (riradę. Chidson, który początkowo podejrzliwie przyglądał się kamerdynerowi

(tylko dlatego, że co mu się nie podobało", szybko odkrył kartę życiorysu

kamerdynera, którego starał się on zataić. Ustalił, że przed wojną Bazna został zwerbowany przez wywiad włoski SIM i przeszedł bardzo staranne przeszkolenie. Włosi zwracali szczególną uwagę na przygotowanie techniczne swoich agentów: umiejętność dorabiania kluczy, posługiwania się wytrychami i otwierania najtrudniejszych zamknięć. To wyjaniałoby łatwość, z jaką Bazna radził sobie z zamkami sejfu ambasadora.

Chidson, czuwający nad bezpieczeństwem ambasady, mógł być pierwszym

który przyłapał Baznę w czasie wykradania lub fotografowania tajnych dokumentów. Nie był wszakże jedynym, który odkrył zdradę.

Anglicy dowiedzieli się o istnieniu Cycera w półtora miesiąca po pierwszej transakcji, którą zawarł z Moyzischem, a więc w połowie grudnia 1943 r. Wówczas to do Szwajcarii przybył Fritz Kolbe, asystent ambasadora Rittera, który jako jeden z pierwszych otrzymał telegram von Papena, informujący o kamerdynerze gotowym przekazywać niemieckiemu wywiadowi tajemnice ambasady brytyjskiej. Kolbe był jednym z najcenniejszych agentów amerykańskich. Allan Dulles tak go ocenił:

Nasze najlepsze źródło wywiadowcze w Niemczech pojawiło się w lecie 1943 r. w osobie dyplomaty mającego dostęp do materiałów, o jakich może nieć oficer wywiadu. George Wood (taki nosił pseudonim) był nie tylko naszym najlepszym źródłem w Niemczech, ale bez wątpienia jednym z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

Kolbego bardzo często wysyłano w kurierskich misjach do Bema, co ułatwiało mu

kontakty z Amerykanami. Gdy okolicznoci nie pozwalały mu na spotkanie z Dullesem, wykorzystywał innego antynazistę, doktora Hansa Giseviusa, pracownika szwajcarskiego oddziału Abwehry, znanego Amerykanom pod pseudonimem Doktor Bemd". Działał on, podobnie jak Kolbe, na polecenie antyhitlerowskiej organizacji spiskowej "Schwarze Kapelle", której współzałożycielem był szef wywiadu wojskowego admirał Wilhelm Canaris.

Tego dnia Kolbe mógł osobiście wypełnić misję. Gdy tylko oddał służbowe dokumenty i trafił do przygotowanego dla niego pokoju na ostatnim piętrze poselstwa niemieckiego, otworzył walizkę i podważył ostrzem scyzoryka jeden z zamków. Z cichym trzaskiem odskoczyła boczna cianka walizki, gdzie pod materiałem obicia schowana była niewielka szara koperta. Wydobył ją i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Z kieszeni płaszcza wyszły gazety, które kupił na dworcu. Starannie zaczął wertować kolumny ogłoszeń. Znalazł dość szybko przeznaczoną dla niego wiadomość: "Mój Ch.14. To już tak długo, ale ciśgle czekam - GW".

Umiechnął się. "Ch.14" oznaczało, że tego dnia wysłannik Allana Dullesa - szefa amerykańskiego biura OSS, będzie oczekiwał na kontakt w kocie na Bubenberg Platz przez dwie godziny, poczynając od 14,00. "GW" to inicjały jego pseudonimu „George Wood" i zamieszczono je, aby upewnić Kolbego, że wszystko jest w porządku. Takie ogłoszenia Dulles zamieszczał każdego dnia w miejscowej prasie, wskazując za każdym razem inne z czterech wcześniej ustalonych miejsc.

Kolbe złożył gazetę i skierował się do wyjścia.

- Nazywam się Kolbe - powiedział portierowi. - Wychodzę trochę spacerować, bo nogi mi zdrętwiały w czasie podróży, a potem pójdę co zjeść.

Gdyby kto o mnie pytał, proszę powiedzieć, że wrócę za godzinę.

Portier skinął głową na znak, że zapamiętał polecenie.

Przed ambasadą Kolbe rozejrzał się bacznie, ale nie zauważył nic podejrzanego. Krążył przez kilkanaście minut po ulicach, przyglądając się ludziom, domom i wystawom. Każdy, kto ledziłby go, musiałby dojść do wniosku, że rzeczywiście, zmęczony podróżą, postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza.

Skierował się w stronę mostu Nydeggbriicke, z którego roztaczał się widok na Berno. Stał tam chwilę i ruszył w stronę kocioła.

Dochodziła 14.30, gdy dotarł na miejsce. Kilka osób siedziało w ławkach, oczekując na nabożeństwo. Usiadł tuż przy drzwiach. Po chwili usłyszał skrzypnięcie ławki z tyłu. Nie odwracał się jednak.

- Szef dziękuje za ostatnie przesyłki. Zrobiły duże wrażenie. - Kobieta za jego plecami mówiła szeptem, co mogło uchodzić za cichą modlitwę. W czasie poprzedniego spotkania Kolbe dostarczył mikrofilmy z raportami na temat wyników nalotów brytyjskich i amerykańskich. - Czy ma pan co dzisiaj?

Kolbe pochylił głowę. Niemal niedostrzegalnie wysunął z kieszeni kopertę i położył ją na ławce.

- Widzę - stwierdziła nieznajoma. - Czy jakie życzenia...?

Kolbe pokręcił przecząco głową.

- Następne spotkanie w sklepie z pamiątkami na Aegertenstrasse przy Alpines Museum; litery ..AM". Ogłoszenie o sprzedaży zabytkowej figury - informowała kobieta.

Oznaczało to, że w koczcie nie będą się już spotykać; aktualne pozostawały trzy wcześniej ustalone miejsca kontaktów i to nowe, w sklepie. Podczas następnego pobytu w Bernie miał odnaleźć ogłoszenie o sprzedaży figury, a litery na końcu wskazywałyby miejsce, w którym oczekiwać będzie łącznik.

Kolbe wstał i niespiesznie ruszył w stronę wyjścia. Kłosem oka zauważył, że kobieta również podniosła się, zsunęła kopertę i poszła w stronę ołtarza. W kopercie - która kilkadziesiąt minut później znalazła się na biurku szefa amerykańskiej placówki OSS. Allana Dullesa - były kopie trzech telegramów wysłanych z Ankarą przez von Papena. Wszystkie dotyczyły działalności Cyncera.

Dulles przez kilka godzin rozważał, co dalej ma poczynić z takim materiałem. Uznał wreszcie, że wywiad amerykański nie powinien zajmować się tą sprawą i postanowił powiadomić Brytyjczyków. Skontaktował się z przedstawicielem wywiadu brytyjskiego, księciem Vandenem Huyvelem, proponując natychmiastową rozmowę.

Spotkali się w kawiarni w budynku ratusza w małej szwajcarskiej miejscowości Bollingen.

- Dziękuję, że przybył pan tak szybko - powiedział Dulles. gdy tylko Brytyjczyk usiadł przy stoliku.

- Domyliłem się, że sprawa musi być poważna. Czy tutaj możemy rozmawiać

swobodnie? - Huyvel rozejrzał się po sali pustej o tej porze dnia. Jedyne przy stoliku blisko wejścia siedział krępy mężczyzna w ciemnym garniturze w paski.

- To człowiek z mojej ochrony - wyjanił Dulles. - Drugi pozostał w samochodzie.

- Ach tak, nie przypuszczałem - powiedział Huyvel, co było wyraźnym grzecznym z jego strony, gdyż krępego mężczyzny o wyglądzie chicagowskiego gangstera nie można było wziąć ani za mieszkańca wioski, ani za niemieckiego agenta.

- Właściciel kawiarni jest zaprzyjany z nami i da znać, jeśli ktoś podejrzany pojawi się w okolicy, co oczywiście jest mało prawdopodobne, gdyż ci z Abwehry i SD uważają, że Szwajcaria kończy się na Genewie i Bernie. - Dulles wydawał się nie wyczuwać ironii w głosie rozmówcy.

- O co więc chodzi? - Anglik położył kapelusz i laseczkę na krzesło i skinął na kelnera, prosząc o herbatę.

- W tej gazecie... - Dulles zerknął wzrokiem na gazetę, którą wcześniej położył na stoliku - znajdzie pan kopie telegramów przesłanych do Berlina przez ambasadora niemieckiego w Turcji. Wszystkie mówią o działalności niemieckiego agenta w waszej ambasadzie. Londyn musi się dowiedzieć o tym jak najszybciej!

- To całkowicie zrozumiałe - pokiwał głową Huyvel.

- Przeciek w tak czułym punkcie jak brytyjska ambasada w Ankarze może naruszyć bezpieczeństwo naszych spraw w wielu innych miejscach - mówił Dulles.

Huyvel przytakiwał skwapliwie. Wziął ze stolika gazetę i schował ją do kieszeni. Nie zamierzał zwlekać z wysłaniem do Londynu wiadomości otrzymanej od Amerykanina. Doskonale rozumiał, jak wielkim niebezpieczeństwem może być działalność niemieckiego szpiega w ambasadzie, do której przesyłano najtajniejsze informacje.

Dulles przekazał mu depezę z 27 października, a więc pierwszą, jaką wysłano z Ankary do Berlina, oraz kolejne, wysłane 3 i 4 listopada, informujące o przebiegu transakcji i wartości materiałów dostarczonych przez Baznę. W każdej z nich znajdowało się wystarczająco dużo informacji, by zidentyfikować Cycera. Wielkie było więc zaskoczenie Dullesa, gdy po trzech dniach Huyvel zjawił się w jego berneńskim biurze.

-Chciałem podziękować panu w imieniu moich szefów, którzy bardzo cenią współpracę naszych wywiadów - mówił wyranie zmieszany Brytyjczyk.

- Nie po to chyba pan tu przyszedł? - z umiechem zapytał Dulles.

-Nie, oczywiście, że nie. Londyn prosił mnie o przekazanie, że działalność agenta o pseudonimie „Cycero” jest znana, a sytuacja całkowicie kontrolowana.

Dulles patrzył z niedowierzaniem, ale milczał.

-Moi szefowie proszą, by wywiad amerykański nie podejmował żadnych akcji w związku z tą sprawą - kontynuował Huyvel. - Jak pan doskonale rozumie, mogłoby to skomplikować nasze działania. Krótko mówiąc, moi szefowie uważają, że byłoby najlepiej, gdyby pan zapomniał o wszystkim.

- To wasza sprawa - stwierdził oschle Dulles. - I mnie nic do tego. Już o niej zapomniałem. A co ciekawego w Londynie?

Dulles całą sytuację tak przedstawił w swoim pamiętniku:

Natychmiast przekazałem ostrzeżenie moim brytyjskim kolegom i kilku brytyjskich specjalistów do spraw bezpieczeństwa wyruszyło do ambasady w Ankarze, gdzie zmienili sejfy i kombinacje zamknięć. W ten sposób uniemożliwili działalność Cycera. Ani Niemcy, ani nawet Cycero nie wiedzieli, co kryło się za wizytą specjalistów, która wydawała się rutynowa i normalna. W ten sposób ograbienie przez naszego agenta sejfów Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie zakończyło ograbianie sejfu brytyjskiego ambasadora przez niemieckiego agenta w Turcji*.

Te słowa wskazują wyraźnie, że Dulles nie znał dalszego przebiegu akcji, gdyż Cycero działał jeszcze przez wiele miesięcy, mimo ostrzeżenia, które przekazał brytyjskiemu wywiadowi. Czy oznaczało to, że Dullesa wprowadzono w błąd?

Czy Brytyjczycy mogli wcześniej, zanim poinformował ich o tym Dulles, wiedzieć o istnieniu „Cycera”? Tak, i to co najmniej z dwóch ról.

W czerwcu 1943 roku pracownik Abwehry w Istambule, doktor Erich Yermehren spotkał się z Dusko Popowem - „Tńczyk” - wysłannikiem brytyjskiej organizacji XX-Committee, zajmującej się kierowaniem działalnością niemieckich szpiegów, którzy z własnej woli lub pod przymusem zgodzili się pracować dla Brytyjczyków. Yermehren zdecydował się nawiązać współpracę z wywiadem brytyjskim nie dla pieniędzy. Na tym mu nie zależało: był majątym człowiekiem, a jego żoną była księżna Elisabeth von Plettenberg. On chciał walczyć z nazizmem, którego nienawidził. Od wielu lat należał do tajnej organizacji antyhitlerowskiej „Schwarze Kapelle”.

We wrześniu 1943 r. w Berlinie odbyło się towarzyskie spotkanie w domu pani Hanny Wolf, wdowy po doktorze Wilhelmie Wolfie, b. ministrze ds. kolonii w rządzie cesarskim. Wśród gości, którzy uczestniczyli zwykle w takich przyjęciach, był m.in. Ludwig Gehre z Abwehry, Otto Kiep, były konsul generalny w Nowym Jorku i bliski przyjaciel doktor Yermehrena, z którym snuł plany obalenia Hitlera, hrabia Helmuth von Moitke, wysoki oficer Oberkommando der Wehrmacht i nowy gość - doktor Joachim Reckzeh, lekarz ze słynnej kliniki profesora Maxa de Crinisa. Nikt nie podejrzewał, że został on przysłany przez Służbę Bezpieczeństwa, która odkryła, że towarzyskie spotkania u pani Wolf są w istocie posiedzeniami grupy spiskowców.

Lekarz zdołał zdobyć zaufanie zebranych i został dopuszczony do największych nawet tajemnic: planów zamachu na Hitlera. Wkrótce gestapo aresztowało nieudolnych spiskowców. Wieć o zatrzymaniu pracownika Abwehry, Ottona

* A. Dulles: "The Secret Surrender" Londyn 1966 r. s. 24-25.

Kiepa, szybko dotarła do Istambułu. Vermehren, znając metody gestapo, obawiał się, że szybko wydobędą tam z Kiepa nazwiska współpracowników, i zdecydował się uciekać. Zwrócił się do MI-6 o ochronę i na początku 1944 r. razem z żoną, został przerzucony do Kairu, a stamtąd do Londynu.

Brytyjska propaganda nadała całej sprawie tak wielki rozgłos, że zainteresował się nią Hitler, który wysłał do Istambułu leżącego z poleceniem wyjanienia wszelkich okoliczności działalności i ucieczki Vermehrena. 20 lutego 1944 r. otrzymał raport, z którego wynikało, że uciekinier znał najważniejsze sekrety niemieckich służb wywiadowczych na terenie Turcji. Musiał więc wiedzieć sporo o agencji Cycero i bynajmniej nie zwlekał z powiadomieniem Brytyjczyków do momentu, aż znajdzie się w Londynie. Już na początku grudnia 1943 r. matka Vermehrena spotkała się na jego prośbę, w Lizbonie z Tricycle'em i przekazała informację o Cycerze. Tricycle natychmiast powiadomił swoich szefów w Londynie.

W tym samym czasie w biurze Ludwiga Moyzyscha w Ankarze podjęła pracę nowa sekretarka. Kobieta, która dotychczas pełniła tę funkcję, obcięła sobie palce zamykające ciężkie drzwi kasy pancерnej w gabinecie szefa i została odesłana do Berlina.

Nowa pracownica - Comelia Kapp - miała doskonałe referencje: była córką niemieckiego dyplomaty z ambasady w Sofii. Nikt nie wiedział, że poznała tam młodego oficera z amerykańskiej misji. Zakochała się jednak i zdradzała mu

sekrety, o których mówił ojciec. W marcu 1941 r., gdy Bułgaria przystąpiła do wojny po stronie Niemiec. Amerykanie zamknęli misję, a personel odesłali do Ankary. Kochanek Comelii Kapp przyjechał do Turcji jako asystent attache wojskowego. Dziwnym zrządzeniem losu. wkrótce dotarła tam i Comelia. Zapewne nie był to przypadek, lecz wynik działania wywiadu amerykańskiego. Faktem jest, że podróż z Sofii do Ankary Comelia odbyła pod opieką Ewarta Seagera, agenta OS S,

Gdy podjęła pracę w biurze Moyzyscha, przez jej ręce zaczęły przechodzić tajne dokumenty SD. Przypuszczalnie nie miała wglądu we wszystkie, ale najczęściej dowiadywała się z depeesz, które pisała pod dyktando szefa. Wkrótce uzyskała dodatkowe źródło informacji - Moyzisch nakazał jej sortowanie poczty dyplomatycznej.

Po wojnie, będąc już żoną ukochanego oficera amerykańskiego, Comelia stwierdziła:

Moim zadaniem w ambasadzie było otwieranie poczty, przywożonej każdego wieczoru przez kuriera z Berlina. Miałam wystarczająco dużo czasu, aby skopiować dokumenty, z których jasno wynikało, że Cycero działa w ambasadzie brytyjskiej. Przekazywałam kopie dokumentów Amerykanom. (...) Moim zadaniem był również ustalenie tożsamości Cycera.

Comelia Kapp nigdy nie przyznała się, czy ustaliła, kim był Cycero. Być może ; nie udało jej się to, gdyż poza pierwszymi depeeszami do Berlina, w których S- wyranie podawano, kim jest nowy agent, nigdy nie ujawniono jego tożsamości.

Swe spostrzeżenia Comelia przekazywała miejscowemu agentowi OSS. Bez wstąpienia szefowie tej organizacji ostrzegali Brytyjczyków o niebezpieczeństwie, chociażby w czasie posiedzeń Ankara Committee, anglo-amerykańskiego komitetu koordynującego działania wywiadowcze, kontrwywiadowcze, polityczne i sabotażowe na terenie Turcji,

Może Bazna w przeszłości za niewielkie pieniądze oddawał drobne usługi różnym wywiadom, może dał się zwerbować Włochom i po pobieżnym przeszkoleniu dostarczał im pewnych informacji? Nie ma jednak wątpliwoci, że Bazna nie był niemieckim szpiegiem. Nie był również szpiegiem brytyjskim, gdyż wywiad nie zatrudniałby własnego agenta w swej ambasadzie. Musiał więc wykorzystać okazję, jakś były pozostawione bez dozoru - w sypialni ambasadora - tajne dokumenty lub klucze do sejfu. Zrobił zdjęcia i zaniósł odbitki tam, gdzie spodziewał się otrzymać za nie duże pieniądze.

Kwota 35 tysięcy funtów, którą otrzymał od Moyzyscha za pierwsze dwie rolki, oszołomiła go. Uznał, że dostarczając następne filmy, zarobi krocie i zwinie działalność, zanim kontrwywiad brytyjski wpadnie na jego trop. Rachuby zawiodły go jednak. Pułkownik Chidson szybko odkrył działalność Cycera, ale nie podjął żadnych kroków w celu unieszkodliwienia go. Poinformował Londyn, a członkowie London Controlling Section postanowili wykorzystać okazję i włączyli Cycera do wielkiego planu „Jael”. Odtąd pracował już pod dyktando Chidsona lub agenta przysłanego specjalnie z Londynu. On to selekcjonował autentyczne dokumenty napływające do ambasady i pomagał je fotografować. Anglicy zdawali sobie sprawę, że pewnej granicy w tej grze nie wolno im

przekroczyć: autentyczności dokumentów. Gdyby Niemcy spostrzegli, że Cycero dostarcza im spreparowane dokumenty, natychmiast zakończyliby grę, po której Anglicy musieli sobie obiecywać wiele, skoro skłonni byli ją prowadzić, nie zważając na ogromne koszty. Stawką było bezpieczeństwo szyfrów ambasady, które autorzy wielkiej akcji „Cycero” zdecydowali się oddać w niemieckie ręce.

Pierwsze dni listopada były w Berlinie wyjątkowo zimne. Zaczynał deszcz i drobny nieprzyjemny śnieg. Miasto - jeszcze niedawno pięknie oświetlone, bogate w zdobyczne dobra - stawało się coraz bardziej ponure, a mieszkańcy dotkliwie odczuwali skutki wojny. Gdy nadchodził zmierzch, latarnie gasły, a patrole policyjne starannie pilnowały, aby z żadnego okna nie przedostawało się światło, które mogłoby ułatwiać orientację załogom alianckich bombowców, pojawiających się coraz częściej nad stolicą Rzeszy.

Nieco lepsza atmosfera panowała na przedmieciach, gdzie - wśród ogrodów i jednorodzinnych domów - nie odczuwało się złowroziej pustki, a rygory zaciemnienia nie były tak surowo przestrzegane.

Mimo późnej pory w budynku przy ulicy ImDol na berlińskim przedmieciu Dahlem trwała praca, o czym świadczyła struga jasnego światła, przedzierająca się chwilami przez tkaninę zasłony. Kto otwierał i zamykał okno, zapewne w celu przewietrzenia pomieszczeń.

W domu tym pracowało kilkunastu kryptologów z organizacji nazwanej „Pers Z”. Powstała w 1919 r. pod nazwą Referat I Z Departamentu Kadry

i Budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pierwszym i jedynym do końca I wojny szefem był Kurt Selchow, który w czasie I wojny światowej pracował i w wywiadzie. W 1936 r. zmieniono nazwę na „Pers Z”, co łączyło się z reorganizacją w ministerstwie, w wyniku której wydział kryptologiczny włączono do Departamentu Kadr i Administracji. Nazwa pochodziła od pierwszego członu nazwy departamentu (PERSONNEL), do którego dodano literę „Z”, która nie miała żadnego znaczenia, a jedynie ładne brzmienie, pasujące do tajnej służby.

W 1939 r. kadre Pers Z” podzielono na dwie grupy: pierwsza - kierowana przez wybitnego matematyka - doktora Wemera Kunze - zajęła się badaniem szyfrów, druga - prowadzona przez Rudolfa Schauffiera i Adolfa Paschkego - zajmowała się pracami kodowymi i lingwistycznymi. Szefowie mieli ogromne doświadczenie w tej pracy, a Kunze był wręcz mistrzem w swoim fachu.

Przystąpił do służby kryptologicznej w styczniu 1918 r. i w ciągu kilku miesięcy udało mu się złamać jeden z brytyjskich szyfrów. W 1921 r. przystąpił do zmagania z francuskim kodem dyplomatycznym i rozpracował go po dwóch latach. Największy sukces odniósł w lipcu 1936 r., gdy po trzech miesiącach tajniczego sukcesu złamał japoński szyfr pomarańczowy powstający w maszynie nazwanej Urwon. Nie udało mu się jednak rozpracować, później wprowadzonego (fińskiego szyfru purpurowego, czego dokonali kryptolodzy amerykańscy.

Kunze miał również duże doświadczenie. Urodzony w St. Petersburgu

w 1915 r., został zatrudniony w wywiadzie ze względu na znakomitą znajomość języka rosyjskiego. Później specjalizował się w rozpracowywaniu kodów rosyjskich, włoskich i brytyjskich.

Schauffier rozpoczął karierę w 1916 r., a po wojnie - ze względu na znajomość języków wschodnich - specjalizował się w łamaniu tajemnic japońskich.

W 1933 r., gdy Hitler doszedł do władzy, w „Pers Z” pracowało 30 osób.

Powoli szeregi oddziału rosły, aż stare pomieszczenia - na ostatnim piętrze budynku biblioteki na tyłach Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Wilhelmstrasse - okazały się za ciasne. W 1940 r., gdy kadra liczyła ponad 200 osób, podzielono ją na grupy i przeniesiono w różne miejsca. Na jedną z siedzib wybrano przestronną willę w Dahlem. Tam trafiał materiał dla kryptologów:

depesze wojskowe i dyplomatyczne, przechwycone przez niemieckie stacje nasłuchu radiowego lub Deutsche Reichspost*.

Był to początek bardzo żmudnej pracy wymagającej absolutnej koncentracji i niezwykłej energii. Ważną pomocą dla kryptologów były materiały zbierane przez zespół kobiet, kierowanych przez pastora Joachima Ziegenruckera. Czytały alianckie gazety, broszury, książki, słuchały audycji radiowych. Musiały jak najwięcej wiedzieć o tym, co działo się w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych i umiejętnie kojarzyć wszystkie informacje. Podobno często zdarzały się sytuacje, gdy któryś z kryptologów, pracując nad zaszyfrowanym tekstem, zgłaszał się z pytaniem: „Kto o nazwisku zaczynającym się na t’W” rozmawiał z kim o nazwisku kończącym się na t’N” w miejscu, w którego

nazwie jest 'POŦ. w ostatni czwartek?'. Odpowied mogła znajdować się w artykule angielskiej gazety, akryptolog, otrzymawszy brakujšce litery nazwiska zaczynajšcego się na „W”. mógł poczynić znaczne postępy w pracy nad szyfrem.

Odczytane materiały wędrowały na biurko szefa grupy, a od niego do szefa „Pers Z”. Kurt Selchow odsyłał je z kolei do ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa, który decydował, czy należy przekazać je Hitlerowi. W póniejszych latach wojny coraz mniej rozszyfrowanych depesz odsyłał na biurko wodza, gdyż wiedział doskonale, że fuhrer nie lubi złych wiadomości i nie wierzy w nie.

Na poczštku listopada 1943 r. kryptolodzy z Pers Z" otrzymali zdjęcia z Ankary od szefa Sicherheitsdienstu Waltera Schellenberga. Przez kilka dni ocišgał się z przekazaniem tych materiałów organizacji, która bezporednio mu nie podlegała. Sicherheitsdienst utworzyło bowiem własną służbę kryptologiczną. Poczštkowo głównym celem jej działania było rozpracowywanie opozycji, a nawet obywateli o nieco odmiennych poglšdach politycznych. Na przykład w czasie wyborów pisano za pomocš mleka (prostego, ale skutecznego atramentu

* W Deutsche Reichspost istniał oddział zajmujšcy się nasłuchiowaniem alianckiej łączności telefonicznej i telegraficznej. Jego największym sukcesem było podsłuchiwanie i odkodowanie od marca 1942 r. radiowej łączności premiera Churchilla i prezydenta Roosevelta.

sympatycznego) cyfry na odwrocie kart do głosowania. Obywatel, który otrzymywał od komisji wyborczej tak naznaczoną kartę, nie wiedział, że na licie przy

jego nazwisku pojawiał się taki sam numer. Gdy odważył się napisać co obraliwego pod adresem fuhrera lub nazizmu, można było znaleźć go bez trudu. W 1936 r. SD poszerzyła działalność o sprawy międzynarodowe, a tuż po Anchlussie Austrii w ręce Schellenberga dostały się tajne dokumenty wywiadu tego państwa. Wynikało z nich, że generał Andreas Figi, szef Deciffrierdienst, miał bardzo duże osiągnięcia w pracy kryptologicznej. Bezzwłocznie zwolniono go z gestapo - dokąd trafił objęty falš terroru, który ogarnął Austrię po wkroczeniu wojsk niemieckich - i nakazano przystšpic do zorganizowania służby kryptologicznej SD. Nigdy jednak ta organizacja nie odniosła większych sukcesów. Co prawda w 1940 r. potrafiła odczytywać część jugosłowiańskich, tureckich, portugalskich i brazylijskich kodów, ale tylko dlatego, że zakupiła je za 28 tysięcy koron szwedzkich (tj ok. 80 tysięcy dolarów) od Yamato Ominaty, szefa japońskiego wywiadu w Europie. Była to całkowicie zbędna transakcja, gdyż Pers Z" już wczesniej kody te złamał.

Schellenberg, który został szefem wywiadu zagranicznego RSHA, wybrał się do marszałka Hermanna Göringa, aby uzyskać zgodę na przyłšczenie Forschungsamtu - służby wywiadowczej Luftwaffe. Od pewnego czasu między organizacjami tymi istniała jaka forma współpracy, głównie ze względu na księcia Christopa of Hesse, szefa Forschungsamtu, będącego członkiem SS, ale nie oznaczało to, że Göring zgodziłby się na wypuszczenie z ręki podległej sobie organizacji wywiadowczej.

Marszałek Rzeszy przyłšł Schellenberga w swoim pięknym domu Karinhall, ubrany w rzymskš togę, z grubymi złotymi sygnetami na palcach i w sandałach

wyszyrywanych cekinami. Uprzejmie wysłuchał argumentów i powiedział tylko:

„Porozmawiam o tym z Himmlerem”.

Nigdy do obiecaney rozmowy nie doszło. SD musiało więc poskromić swoje apetyty i w dalszym ciągu polegać na własnych kryptologach, a ponieważ niewiele im się udawało, Schellenberg odsyłał najważniejsze sprawy do fachowców z „Pers Z”.

W nocy z 4 na 5 listopada w willi w Dahlem przystąpiono do pracy nad dokumentami z Ankary. Do tego czasu wiele dni kryptolodzy spędzili nad brytyjskim kodem dyplomatycznym; depesze dostarczane przez nasłuch radiowy nie dawały się jednak odczytać. Fachowcy zorientowali się wkrótce, że są one podwójnie utajniane: tekst depeszy był kodowany, a później szyfrowany. Brytyjczycy stosowali również szyfry jednorazowe, a więc nawet po złamaniu ich próba dobrania się do kodu nic nie dawała, gdyż następna depesza miała już inny szyfr. Szafy pancerne w piwnicach willi były wypełnione równo ułożonymi stosami kartek, a codziennie przybywały nowe, zapisane kolumnami cyfr brytyjskiego szyfru dyplomatycznego.

Gdy specjalny wysłaniec z Berlina dostarczył zdjęcia dokumentów z sejfu ambasadora brytyjskiego, wystarczyło odnaleźć w szafach w piwnicy ich zaszyfrowane wersje i porównać odszyfrowany tekst ze zdjęć Bazny z szyfrogramami. System utajniania korespondencji do Ankary i kilku innych brytyjskich poselstw szybko przestał być dla Niemców tajemniczą i mogli odczytywać większość brytyjskich pism dyplomatycznych.

Jak wiele tajemnic dostało się dzięki temu w ręce niemieckie?

Im większy jest sukces, tym większą cenę trzeba za niego zapłacić" -

powiedział kiedy John Masterman, jeden z szefów XX-Committee. Jaki więc

był sukces operacji "Cycero", skoro zdecydowano się płacić tak wysoką cenę jak

ujawnienie szyfrów? Tego nie wiemy do dzisiaj...

Hennann Górnice

Cycero przybył tego dnia na spotkanie później niż zwykle. Od początku roku

1944 r. Moyzisch przestał spotykać się z nim w budynku swojej ambasady.

Obydwaj uznali bowiem, że jest to zbyt ryzykowne i umawiali się w samochodzie

(zakupionym specjalnie do tego celu), zaparkowanym w umówionym miejscu.

- Spónił się pan, czy co się stało? - zapytał Moyzisch.

- To tylko drobne utrudnienia - Bazna wyglądał na zdenerwowanego.

- Niech pan powie, o co chodzi. W naszym fachu nawet drobiazgi mają

czasami ogromne znaczenie - nalegał Moyzisch.

- Dobrze, powiem panu, choć to pewnie bez znaczenia. Może jestem po prostu

zmęczony, ale wydaje mi się, że od pewnego czasu chodzi za mną mężczyzna...

- Skąd takie wrażenie?

- Zwróciłem uwagę, że siedział w samochodzie, gdy wychodziłem z brytyjs-

kiej ambasady. Innym razem dostrzegłem go na ławce w parku, gdy wy-
prowadzałem psa ambasadora. Dzisiaj widziałem go znowu. W Ankarze nie
można przypadkiem spotkać tego samego człowieka trzy razy. A ponadto
odnoszę wrażenie, że gdzie go już widziałem.

- Jak wygląda?

- Wysoki, szczupły, z twarzą bez wyrazu. Mógł być Niemcem, Francuzem
albo Amerykaninem. A może to wasz człowiek? - Bazna spojrzał podejrzliwie na
Moyzyscha,

- Nie! - stanowczo zaprzeczył tamten. - Jeżeli zobaczy go pan znowu, to
proszę dać mi znać jak najszybciej. Przyniósł pan film?

Bazna wysupłał z kieszeni rolkę owiniętą w papier. Szybko schował pieniądze
i wysiadł z samochodu.

W kilka dni później w dużym sklepie usłyszał kobiety rozmawiające po
niemiecku. Zatrzymał się udając, że ogląda towar, i zaczął się przysłuchiwać.
Kobiety były za daleko, aby mógł uchwycić wszystkie słowa, ale szybko
zorientował się, że jedna z nich pracuje w ambasadzie, gdyż mówiła o przygoto-
waniach do przyjęcia. Przyjrzał się jej uważnie. Była wysoka, zgrabna blondynka
o wydatnych ustach i kociach policzkowych.

- A twój szef też będzie? - zapytała koleżanka.

- Czy widziała kiedykolwiek przyjęcie bez Moyzyscha. On nie opuszcza
żadnej okazji, gdzie można się napić darmowej wódki - zamiała się blondynka.

Bazna nie miał wątpliwoci, że nazwisko usłyszał dobrze. Blondynka była więc pracownicš Ludwiga Moyzischa. Wydawało mu się, że poznaje jej głos, gdyż kilkanacie dni wcześniej telefonował do Moyzischa i rozmawiał z jego sekretarkš. Jeszcze raz spojrział w jej stronę, starajšc się zapamiętać twarz, ale kobiety skierowały się już na piętro sklepu. Wkrótce zapomniał o tym spotkaniu, które nie miało dla niego większego znaczenia. Dowiedział się tylko, że jego partner lubi wódkę...

Była połowa marca, gdy Bazna wyszedł ze swojego pokoju i popieszył na spotkanie z Moyzischem. Poprzednio ustalili, że samochód będzie stał przed kinem. Było to wygodne i bezpieczne miejsce, gdyż w tłumie ludzi wychodžcych po projekcji nikt nie zwróciłby uwagi na kamerdynera wsiadajšcego do samochodu z tureckš rejestracjš. Do umówionej pory pozostało jeszcze kilkanacie minut, więc Bazna przeszedł na drugš stronę ulicy, aby zaczekać w cieniu drzewa. Nagle zobaczył mężczyznę ..wysokiego szczupłš, z twarzš bez wyrazu". Bazna rozpaczliwie rozejrzał się dookoła, ale nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Ulica była pustawa. Mężczyzna po drugiej stronie zdawał się pochłonięty swoimi sprawami. Rozglšdał się wokół, jakby na kogo czekał. Po kilku minutach podeszła do niego kobieta. Obydwoje byli jasno oświetleni kolorowymi żarówkami. Bazna zdrętwiał. Bez najmniejszych wątpliwoci rozpoznał sekretarkę Moyzischa. Widział jej twarz z wystajšcymi koćmi policzkowymi i wydatnymi ustami. Para oddaliła się po chwili. Bazna zastanawiał się, czy nie ruszyć jej ladem, ale zdecydował pozostać na miejscu w oczekiwa-

niu na Moyzyscha. Ssdził, że ten lada moment nadjedzie, a wówczas samochodem łatwo dogoniš ludzi znikajšcych włanie za rogiem ulicy. Jednakże Moyzisch nie przyjechał.

Bazna podejrzewał, że wysoki mężczyzna może być alianckim agentem. Rzeczywicie był pracownikiem OSS, któremu zlecono ledzenie kamerdynera. Stało się to wówczas, gdy Dulles dowiedział się z kopii telegramów o działalności Cycera i stwierdził, że Brytyjczycy zachowujš się dziwnie. Postanowił na własnš rękę dowiedzieć się, o co chodzi i zwrócił się do ekspozytury w Ankarze o wyjanienie tajemnicy kamerdynera. Agenci OSS zaczęli inwigilować Baznę, a jednym z nich był ..wysoki, szczupły człowiek o twarzy bez wyrazu" - kochanek Cornellii Kapp.

Następnego dnia Bazna zatelefonował do ambasady. Dowiedział się jednak, że szef komórki SD wyjechał „w ważnych sprawach służbowych". Takie informacje otrzymywał przez kilka kolejnych dni, aż wreszcie Moyzisch odezwał się.

- To niezwykle ważne - owiadczył zdenerwowany Bazna. - Musimy natychmiast porozmawiać.

Gdy się spotkali, Moyzisch sprawiał wrażenie człowieka bardzo zmartwionego.

- Widziałem mężczyznę, o którym panu wspominałem, że mnie ledzi. Był z pana sekretarkš!

- Skąd pan wie, że z moją sekretarką?

- Zwróciłem na nią kiedyś uwagę w sklepie. Rozmawiała ze swoją koleżanką i padło pana nazwisko.

- Moja sekretarka zniknęła - odparł spokojnie Moyzisch, choć był wyraźnie przygnębiony.

- Co to wszystko znaczy?

- To, że była agentem alianckim i teraz prawdopodobnie jest już w Londynie albo Nowym Jorku.

- Czy wiedziała o mnie?

- Nie - skłamał Moyzisch. - Pewnie teraz odwołaj się mnie z Ankary.

Niewykluczone, że lada moment będę musiał stawić się w berlińskim gestapo na przesłuchaniu.

- Operacja "Cycero" dobiegła końca - pokiwał głową Bazna. - Życzę panu wiele szczęścia.

Podali sobie ręce i ruszyli w przeciwną stronę ulicy. Moyzisch nie wiedział, że nikt w Berlinie nie uwierzył w treść dokumentów przekazywanych przez Cycera.

Być może zawierały one dane na temat miejsca i terminu alianckiej inwazji, ale

Hitler był przekonany, że Cycero jest angielskim agentem i na tej podstawie odrzucał wszystkie informacje z Ankary.

W kwietniu 1944 roku Bazna zrezygnował z funkcji kamerdynera ambasadora Jego Królewskiej Moci. Spod dywanu wydobył 300 tysięcy funtów, które wypłacili mu Niemcy. Był bardzo bogaty. Niewielu szpiegów w historii zdołało w cięgu 5 miesięcy zbić taki majątek.

Tuż po wojnie założył duży firmę handlującą używanymi samochodami, a ponieważ interes rozwijał się doskonale, postanowił popробować szczęcia w branży budowlanej. Powojenny rozmach inwestycyjny zdawał się zapowiadać obfite zyski. Sute łapówki, które dawał wysokim urzędnikom, pozwoliły mu uzyskać ogromny kontrakt na budowę municypalnych domów w kurorcie Bursa.

Pewnego lipcowego dnia Bazna udał się do nowej siedziby swej firmy. Tuż za Ankarą wyprzedził go samochód policyjny, a siedzący za kierownicą funkcjonariusz zaczął dawać znaki do zatrzymania się.

- Chyba przekroczyły przepisy - powiedział Bazna do kierowcy, gdy zjechali na kamieniste pobocze drogi.

Podeszło dwóch policjantów.

- Pan Bazna?

- Tak.

- Proszę wsiść do naszego samochodu - powiedział funkcjonariusz trzymający dłoń na otwartej kaburze.

Wtedy, na rozpalonej słońcem szosie, prysnął sen o bogactwie. Policjanci założyli Baznie kajdanki i wepchnęli do samochodu. W komisariacie dowiedział się, że jest podejrzany o fałszowanie banknotów. Natychmiast zbiegli się wierzyciele, żądający spłaty zaciśniętych kredytów lub wynagrodzenia szkód, jakie ponieśli, przyjmując od niego fałszywe funty. W tajemniczy sposób Bazna uniknął więzienia za długi, ale od tej pory żył bardzo skromnie w niewielkim, wynajętym mieszkaniu, gdzie udzielał lekcji piewu, zarabiając w ten sposób na życie.

W latach 60. postanowił zaskarżyć rząd Republiki Federalnej Niemiec: uznał, że honorarium za usługi dla SD powinno być wypłacone autentycznymi pieniędzmi. Żaden sąd nie chciał jednak rozpatrzyć tej skargi.

Elyas Bazna zmarł w 1972 r. jako nędzarz.

Według innej wersji, zatrzymany przez policję za rozprowadzanie fałszywych pieniędzy, w tajemniczy sposób zniknął z Ankary. Zmarł podobno w Albanii. '

Do dzisiaj nikt nie rozwiślał zagadki Cycera...

BITWA PR

30 stycznia 1944 r. o godzinie 12.50 Adolf Hitler wszedł na mównicę w Staat Palast w Berlinie. Zgodnie z od dawna stosowanym scenariuszem, pozwolił widowni wiwatować na swą cześć przez 2 minuty, a następnie podniósł rękę, dając znak, że chce rozpocząć przemówienie. Zbliżył się do mikrofonów

ustawionych rżędem na brzegu trybuny i zaczął mówić o dziejowej roli narodu niemieckiego.

W brytyjskich stacjach nasłuchowych tama przewijajšca się na wielkich szpulach magnetofonów rejestrowała wszystkie słowa. Transmitowano je natychmiast do Waszyngtonu, gdzie specjaliści z Foreign Broadcasting Intelligence Service (Służba Analiz Zagranicznych Audycji Radiowych) przystšpili do analizy przemówienia. Fuhrer po raz pierwszy od wielu miesięcy stanł przed mikrofonami. Stało się to okazjš dla wywiadu alianckiego do zebrania informacji na temat stanu psychicznego i fizycznego wodza narodu niemieckiego. Z doboru słów, sposobu konstruowania zdań, ekspresji wypowiedzi można było wiele wywnioskować o stanie jego umysłu, sił witalnych, woli walki. Te informacje za mogły mieć pierwszorzędne znaczenie w zbliżajšcym się starciu, które miało zadecydować o losach II wojny wiatowej: operacji „Overlord” - inwazji na Europę.

Hitler przemawiał przez 40 minut, co dało amerykańskim ekspertom materiał wystarczajšcy do wydania opinii o psychicznych i fizycznych moŹliwociach fuhrera. Psychologowie nie wykryli ladów osłabienia woli wodza, zmniejszenia energii ani zaufania do społeczeństwa i wojska.

Mimo wielu lat napięcia i stresów, dochodzšcych do granicy ludzkiej wytrzymałoci, fuhrer mówił pewnie, płynnie, z właciwš sobie siłš, z której wyłaniało się przekonanie, że naród niemiecki i Wehrmacht sš przygotowane do , Odparcia kaŹdego ataku. Niepowodzenia na froncie wschodnim, w Afryce i Mhioonej i we Włoszech traktował jako zmienne koleje wojny, które lada

1'BOment mogł obrócić się na korzyść Rzeszy. Miał przecież wszelkie podstawy, aby tak sądzić.

Na początku 1944 r. Niemcy wciąż były potęgą przemysłową i militarną, która dążyła opierać się siłom alianckim. Produkcja przemysłu zbrojeniowego, kierowanego przez bardzo utalentowanego ministra Alberta Speera, stale wzrastała.

W 1943 r. fabryki niemieckie dostarczyły na front 2,25 miliona ton amunicji, tj. ponad dwukrotnie więcej niż w 1940 r. (wtedy wyprodukowano 865 tysięcy ton amunicji). W 1943 r. wyprodukowano 27 000 dział i moździerzy - czterokrotnie więcej niż w 1940 r. (5500 sztuk), 22 050 samolotów, tj. ponad dwukrotnie więcej niż w 1940 r. (8070 egzemplarzy). Broń dostarczana Wehrmachtowi była lepsza i skuteczniejsza niż broń produkowana przez zakłady alianckie. Wojska niemieckie otrzymywały broń nowej generacji: pociski V-1 i V-2, pociski V-3, przed którymi nie było obrony, myśliwskie i bombowe samoloty odrzutowe oraz raketowe, którym nie mogły dorównać żadne samoloty alianckie, okręty podwodne - ciche, szybkie, o ogromnym zasięgu - które mogły przez wiele dni pozostawać w zanurzeniu i atakować bez wystawiania peryskopu.

Sytuacja strategiczna też była korzystniejsza dla Niemców niż aliantów, którzy, aby wtargnąć do Europy, musieli przepłynąć morze i wdrzeć się na brzegi Norwegii, północnej lub południowej Francji, Grecji albo Turcji. Wszędzie tam oddziały desantowe musiałyby walczyć przez kilkanaście godzin, pozbawień ciężkiej artylerii i czołgów. Byłyby wówczas najbardziej podatne na kontratak. Jedna niemiecka dywizja pancerna mogła znieść słabszą obronę na plażach

i zepchnąć oddziały inwazyjne do morza.

Hitler nie miał wątpliwoci, że tak się stanie. Pod jego rozkazami na zachodzie Europy stało półtora miliona żołnierzy (w tym 350 tysięcy z doborowyc jednostek Waffen-SS), ugrupowanych w 10 dywizji pancernych, 2 dywizji spadochronowe, 17 dywizji zmechanizowanych i 31 dywizji piechoty. Była to siła wystarczająca do odparcia inwazji, a klęska wojsk alianckich zmieniłaby los wojny. Hitler doskonale to rozumiał. 20 marca 1944 r., podczas narady w rezydencji w Berchtesgaden, powiedział:

Gdy inwazja zostanie odparta, wróg nigdy jej nie powtórzy. Chodzi nie tylko o wysokość strat, które poniesie, lecz o czas, jaki musi minąć, zanim odtworzy siły. Nie jest to jedyny czynnik, który będzie powstrzymywać AngloAmerykanów przed ponowną próbą. Nieudana inwazja będzie drugocześnie uderzeniem w ich morale. To właśnie zapobiegnie ponownemu wyborowi Roosevelta na prezydenta w Ameryce i skończy on gdzieś w więzieniu. W Anglii (...) Churchill, ze względu na swój wiek i stan zdrowia, nie będzie w stanie zorganizować nowej operacji inwazyjnej. Dlatego właśnie od każdego żołnierza walczącego na froncie zachodnim zależy wynik tej wojny i los Rzeszy.

Ostatnie słowa były chwytem propagandowym. Wynik batalii, która mogła zadecydować o losach II wojny światowej, zależał od odpowiedniego rozmieszczenia dywizji Wehrmachtu, a to z kolei uzależnione było od ustalenia, kiedy i gdzie alianci uderzą. Wywiady obu stron rozpoczęły bitwę przed bitwą.

Y-MANN RAPORTUJ)

Długi sznur samochodów oczekiwał na znak policjanta kierującego ruchem na zawałonej gruzami ulicy. Robotnicy bez popiechu starali się przesunąć ogromny kawał betonu, z którego wystawały pocięte pręty zbrojeniowe.

Major Hermann Sandel patrzył zirytowany na bezowocne wysiłki ludzi, dla których wynik i tempo pracy pozostawały całkowicie obojętne.

- Przekłęci cudzoziemcy - mruknął Sandel i wyciągnął gazetę z poprzedniego dnia. Uznał, że to jedyne, co może zrobić w oczekiwaniu na odblokowanie ulicy.

W "Yolkischer Beobachter" informowano o hekatombach ofiar w Londynie po ostatnim nalocie Luftwaffe i zapowiadano wzmożenie odwetowych ataków powietrznych na Wielką Brytanię.

Major zmiął gazetę i ze złości wetknął ją pod fotel. Powrócił do obserwowania opieszających ruchów przymusowych robotników, walczących z betonowym blokiem.

Ulica sprawiała przygnębiające wrażenie. Oniezione kikuty domów wznosiły się na wysokość kilku pięter i choć minęło już parę dni od ostatniego nalotu, z ruin wydobywał się dym i czuć było duszący zapach spalenizny. Każdy podmuch wiatru podrywał strzępy zwęglonych szmat i papiery zwisające z poręczami czy rozwalonych klatek schodowych.

Sandel spojrzął na zegarek. Minęła 8,15, a wszystko wskazywało na to, że spędzi na zniszczonej ulicy jeszcze kilkanaście minut, zanim przejazd zostanie otwarty. Pieszył się. Dwie godziny wcześniej nadawał z Londynu najlepszy

Agent Abwehry - A.3725. Pod tym kryptonimem krył się Hans Hansen, młody

^Duńczyk, który w lecie 1940 r. wyskoczył ze spadochronem w rejonie Salisbury

I w następnych miesiącach udało mu się dotrzeć do bardzo interesujących

I wiarygodnych informacji. Oczywiście centrala nie wypytywała swoich agen-

tów, skąd pochodzą ich dane, gdyż to naraziłoby na niebezpieczeństwo cał-

< szpiegowską w wypadku, gdyby wróg złamał szyfr i zaczął odczytywać

; depesz. Jednakże starannie sprawdzono 934 meldunki Hansena, przysłane

z niego do stycznia 1944 r. - większość okazała się prawdziwa i ważna.

w Sandel z niecierpliwością oczekiwał na najnowszy raport A.3725. Przypu-

ał, że będzie on dotyczył generała Dwighta Eisenhowera; takie bowiem

nie otrzymał A.3725.

, 'Gwizdek policjanta wyrwał Sandela z rozmyślań. Robotnikom udało się

znie usunąć betonową zawadę i policjant, niecierpliwie machając pałką,

puszczał samochody.

ajor dotarł jednak do siedziby Abwehry dopiero przed 10.00. Piękny niegdy

niek wywierał przygnębiające wrażenie. Na dachu wiatr poruszał szaro-

tymi płachtami brezentu, które rozłożono, aby zasłonić dziury powstałe

niek bombardowań. Cegły nad licznymi oknami wytrawił ogień, wzniecony

: odłamki bomby zapalającej, która eksplodowała nie opodal. Mimo tych

szkód, wszystkie biura mieszczące się w budynku działały bez zakłóceń, a mają

patrzeć na trzypiętrowy szary gmach, zastanawiał się, jaka to siła chroni Hitle

i jego urzędy, skoro bomby oszczędziły siedzibę Abwehry, równajmniej z ziem

tysiące domów i zabijając dziesiątki tysięcy ludzi...

Na widok majora wchodzącego do pokoju porucznik Knuppe poderwał się z krzesła. Miał na sobie wojskowy płaszcz, a dookoła szyi owiniął gruby wełniś; szalik, gdyż przez okna zabite deskami wpadał lodowaty wiatr, dokuczliwy miron rozżarzonego do czerwoności piecyka w rogu pokoju.

- Nadszedł meldunek od A.3725 - wręczył Sandelowi teczkę.

- Kiedy wstawiś okna?

- Prawdopodobnie za dwa lub trzy dni. Czekaś na transport szyb. - Knuppe wzruszył ramionami.

Sandel wszedł do swego gabinetu i niecierpliwie otworzył teczkę, którą dał mu porucznik. Wewnątrz było kilka kartek, ale major sięgnął od razu po list z dopiskiem „Anglia”, Przeczytał: „Słysząc, że Eisenhower przyjedzie do Ameryki 16 stycznia”.

- Knuppe, proszę do mnie! - Major podniósł słuchawkę telefonu. - O której godzinie jest sesja łączności z A.3725?

- Codziennie o 20.30 - odpowiedział wezwany.

- Przekażcie mu: „Specjalne podziękowania za nr 935. Informuj nas o ruchach Eisenhowera w związku z przygotowaniem do inwazji”.

Knuppe zanotował treść depechy i wstał.

- A to przekażcie natychmiast do Belindy". - Major podał mu tęczę.

z meldunkiem nr 935. - Oczywiście jako SSD - dodał, co oznaczało, że depes należy oznaczyć jako „bardzo, bardzo pilny”.

„Belinda” był to kryptonim tajnej kwatery mieszczącej się w bunkrze, w Zossen, na przedmieściach Berlina. Tam meldunek z Hamburga, przesłany; pomoc G-Schreiber - dalekopisu połączono bezpośrednio linią, co uniemożliwiało przechwytywanie depeesz przez niepowołane osoby - trafił na biurze pułkownika Alexisa von Roennego, szefa Fremde Heere West, odpowiedzialnego za zbieranie informacji o przygotowaniach aliantów do inwazji na Europę. Ten człowiek zrobił szybko karierę dzięki swoim niezwykłym umiejętnościom organizacyjnym i ogromnej wiedzy.

Pochodził z jednej z najstarszych niemieckich rodzin arystokratycznych. W czasie I wojny światowej walczył w słynnym 9. Pułku Poczdamskim. W 1919 r., gdy rodzina straciła posiadłość w Kurlandii, musiał zrezygnować ze służby wojskowej aby zająć się zarabianiem na życie. Został bankierem, ale gdy Hitler zaczął odbudowywać siły zbrojne, von Roenne uznał, że jego miejsce jest w Wehrmachcie. Ukończył akademię wojskową i rozpoczął służbę w sztabie generalnym. W 1939 r. skierowano go do Fremde Heere West, gdzie zajmował się analizą francuskich sił zbrojnych. W 1940 r. jego zwierzchnik - ówczesny szef Fremde Heere West, generał Uirich Liss - wystawił mu entuzjastyczną opinię: i

in, a major,

oni Hitlera

;c z ziemiś

iderwai się

y wełniany

liwy mimo

- Knuppe

ora dał mu

azu po tę

; do Anglii

- O której

o ruchach

nu teczkę

:e depeszę

' bunkrze

sesłany za

uniemoż-

na biurko

dzialnego

ropę. Ten

sciom or-

li. W cza-

'19 r., gdy

wojskowej,
zaczai
ehrmach-
neralnym.
ię analizie
Fremdel
spinie:

To człowiek wspaniały pod każdym względem; człowiek, który potrafi postawić bardzo wysokie wymagania sobie i podwładnym. Sposób, w jaki wyczuwa sprawy polityczne i militarne, mógłby mu zyskać miano geniusza. Ma analityczny umysł i potrafi podejmować decyzje z szybkością błyskawicy.

Nie odmówił mu również uznania szef sztabu generalnego wojsk lądowych, generał Franz Halder, który publicznie stwierdził, że von Roenne obdarzony jest umiejętnościami wnikliwej oceny sił wroga i jest zdolny wskazać wszystkie słabe punkty, które dostrzegał nawet tam, gdzie najwyżsi oficerowie Wehrmachtu widzieli tylko zalety.

W 1942 r. - po krótkiej służbie na froncie wschodnim (dokąd udał się, aby walczyć o odzyskanie rodzinnego majątku, lecz odniósł ciężką ranę i powrócił do Niemiec) - został szefem Fremde Heere West (Armie Obce „Zachód”). Sprawa przygotowań aliantów do inwazji na Europę stała się najważniejsza ze wszystkich, którymi zajmował się pułkownik i jego organizacja.

Depesza z Hamburga, wysłana przez porucznika Knuppego, dotarła do ręk

pułkownika von Roennego tuż po 11.00.

Informacja o rychłym przybyciu Dwighta Eisenhowera do Londynu była bardzo ważna. Od kilku miesięcy FHW zbierał wszelkie wiadomości o poczynaniach amerykańskiego generała, dowodzącego wojskami aliantów w Afryce Północnej. Pułkownik nie wiedział jednak, że 7 grudnia 1943 r. prezydent Franklin D. Roosevelt w czasie podróży powrotnej z Kairu, gdzie konferował z premierem Churchillem, zatrzymał się w Tunisie. Na lotnisku powitał go generał Eisenhower.

W samochodzie zmierzającym do kwatery naczelnego dowódcy prezydent, który zajął miejsce obok kierowcy, odwrócił się nagle do siedzącego z tyłu generała i rzekł:

- Ike, będziesz dowodził „Overlordem”.

- Panie prezydencie, mam nadzieję, że nie będzie pan zawiedziony - powiedział, zaskoczony nagłą nominacją, Eisenhower.

31 grudnia Eisenhower wyjechał z Afryki i ład po nim zaginął. Jednakże wkrótce wywiad niemiecki (który miał w USA doskonale funkcjonującą siatkę) | doniósł, że generał w Waszyngtonie spotkał się z szefem Sztabu Generalnego, j generałem George'em Marshalllem. Agenci informowali również, że podróż otoczona jest ciłą tajemnicą, a generał porusza się po Waszyngtonie w mundurze z zakrytymi gwiazdkami na pagonach. Po oficjalnych rozmowach w stolicy Eisenhower udał się na krótki wypoczynek do domu.

3 stycznia 1944 r. o 7.00 wszedł na pokład samolotu, który z lotniska w Waszyngtonie wystartował w nieznanym kierunku. Von Roenne przeczuł jednak, że dalszych tropów należy szukać w Anglii. Rzeczywiście, 14 stycznia o 11.00 samolot generalski wylądował na szkockim lotnisku Prestwick, skąd w specjalnej salonce, nazwanej przez generała Bayonette" („Bagnet”), Eisenhower wyruszył do stolicy. 7 godzin przed przybyciem salonki do Londynu A.3725 poinformował centralę w Hamburgu o przybyciu Eisenhowera.

Pułkownik von Roenne doceniał wagę meldunku, tym bardziej że następnego dnia Agencja Reutera (której depeche wywiad niemiecki czytał bardzo starannie) poinformowała o przybyciu alianckiego gościa do Anglii, starając się jednak ukryć fakt pobytu generała w USA. Reuter pisał:

Otrzymał wiadomość, że generał Eisenhower podjął w Zjednoczonym Królestwie obowiązki przekazane mu przez szefów Połączonych Sztabów. W czasie podróży z rejonu Morzaródziemnego do Wielkiej Brytanii generał odbył konferencję z prezydentem [Stanów Zjednoczonych - BW] oraz premierem [rządu brytyjskiego - BWJ].

Przyjazd generała Eisenhowera do Wielkiej Brytanii, która miała być bazą sił inwazyjnych, stanowił dowód, że przygotowania do desantu na kontynent weszły w decydującą fazę. Pułkownik von Roenne musiał teraz dowiedzieć się, gdzie i kiedy alianci uderzą. Od tej informacji zależał los III Rzeszy; żadna, nawet najpotężniejsza, armia nie zdołałaby po wyjściu z morza okopać się na brzegu, gdyby Niemcy zgromadzili w pobliżu oddziały pancerne. Jeżeli jednak aliantom udałoby się uderzyć w miejscu niedostatecznie bronionym, wówczas w cięgu

paru dni zbudowali by przyczółek, którego nie mogłyby z kolei skruszyć wojska niemieckie.

Pułkownik von Roenne podszedł do szafy panczernej, skąd wydobyl plik raportów, zebranych przez Abwehrę, a dotyczšcych przygotowań do inwazji.

Pierwsze meldunki pochodziły z poczštku 1942 r. Najcenniejsze przysłał „Baron”.

Ćwiczenia amerykańskich oddziałów inwazyjnych

KONEKSJE BARONA

Baron Waldemar von Oppenheim walczył bohatersko w szeregach armii cesarskiej podczas I wojny wiatowej. Wtedy nikt nie zwracał uwagi na fakt, że był Żydem. Tuż po wojnie porzucił służbę wojskową; zajął się finansami i polubił pannę von Goidschmidt, łącząc w ten sposób dwa bogate i stare rody żydowskie. Baron nie czuł się Żydem. Uważał się za Niemca, do tego stopnia, że w lipcu 1932 r. wstąpił do NSDFB - oddziału partii narodowosocjalistycznej działającej w rodowisku bankierów. Hitlerowcy uznali go jednak za „bękartą drugiego stopnia”, aczkolwiek zapewne przynależność partyjna i hojne wsparcie finansowe partii uchroniły barona przed losem większości jego współbraci.

Oppenheim musiał wszakże przenieć działalność swojego banku do Szwecji, gdzie nawiązał kontakty z potężnym „Enskilda Banken”. prowadzonym przez braci Jacoba i Marka Wallenbergów. Umożliwili mu oni dostęp do finansjery międzynarodowej, co zwróciło uwagę Abwehry.

W czerwcu 1941 r. baron przyjechał w interesach do Kolonii i zatrzymał się w hotelu „Excelsior”. Wracał późnym wieczorem z jakiegoś spotkania, gdy recepcjonista wręczył mu kartkę z informacją: „Proszę mi wybaczyć, że proponuję spotkanie o tak późnej porze, ale sprawa jest szczególnie ważna. Zechce pan przyjąć zaproszenie na kieliszek koniaku w hotelowym barze, gdzie będę czekał na pana. Kapitan Druisenberg”.

Oppenheim uznał, że propozycja ta wiąże się z jego nazistowską przeszłością i bez wahania skierował się w stronę bani. Na jego widok podniósł się zza stolika niski, krępy mężczyzna o szpakowatych włosach, krótko przyciętych na modłę wojskową, z wąsami i bródką, które wyglądały na sztuczne.

- Jestem kapitan Druisenberg - powiedział. Nie było to prawdą; jego prawdziwe nazwisko brzmiało Driessen, ale nie miało to większego znaczenia. - Dziękuję, że przyszedł pan. - Kapitan wskazał krzesło, które przed chwilą odsunął od stolika. - Zastanawia się pan zapewne, skąd to zaproszenie - mówił dalej, gdy baron usiadł. - Nie ma to nic wspólnego z pańską działalnością w partii narodowosocjalistycznej. Ja reprezentuję Abwehrę. Pańska pozycja w wiecie międzynarodowej finansjery zwróciła naszą uwagę, a znając pana sympatię dla rządu Trzeciej Rzeszy uznaliśmy, że zechciałby pan wspomóc jego działania.

- Nie przeszkadza panom, że jestem Żydem? - drwił Oppenheim.

- Absolutnie nie! - stanowczo zaprzeczył kapitan, który wydawał się nie dostrzegać drwiny.

- Nie sądzę, żeby człowiek o żydowskim pochodzeniu mógł zostać włączony

w działalność tak delikatną, jakś prowadzi Abwehra. - Oppenheim przedstawiał swe wstępliwości już w poważnym tonie. - Jestem przekonany, że nigdy nie będziecie mi w pełni ufać.

- Zapewniam, że wśród naszych agentów jest wielu Żydów, co przynosi obopólne korzyści...

- W jaki sposób zwróciłem waszą uwagę? - Oppenheim chciał wiedzieć jak najwięcej przed podjęciem decyzji.

- No cóż, jest pan znany osobistociś - wymijająco odparł Druisenberg.

Nie mógł zdradzić źródła wiedzy o koneksjach barona. Był nim za bankier pracujący dla Abwehry pod kryptonimem F.2371*, bacznie obserwujący Oppenheima, którego określił w raporcie jako silną osobowość z dużym doświadczeniem i wieloma wspaniałymi powiśzaniem zagranicznymi".

- Panie kapitanie, nie spodziewa się pan chyba, że natychmiast udzielię odpowiedzi. Traktuję tę propozycję bardzo poważnie, co zmusza mnie do starannego rozważenia wszystkich za i przeciw. - Baron wstał. - Jeżeli zdecyduję się na współpracę z Abwehrś, zostawię dla pana jakś wiadomość w recepcji.

Rozmowa się skończyła, ale Druisenberg, patrząc za oddalającym się baronem, miał pewność, że zgodzi się on zostać agentem. Znał dobrze ten typ mężczyzn, których w takim samym stopniu pociśgało ryzyko jak służenie sprawie narodowosocjalistycznej.

Rzeczywiście, dwa dni później w recepcji otrzymał kopertę zawierającą czystą

kartkę. To była „jaka wiadomość”. Druinseberg napisał na niej miejsce i datę następnego spotkania i oddał kopertę recepcjonistce.

Spotkali się znów 23 czerwca 1941 r. w restauracji hotelu Hildmanns" w Bremie. Oppenheim dowiedział się, że został tzw. działającym agentem Abwehry o kryptonimie A.2408. W czasie kilku rozmów, prowadzonych przy stoliku w tej samej restauracji, Druisenberg przekazał nowemu szpiegowi P' adenzaehier - urządzenie do szyfrowania, pełną instrukcję wielkości znaczka pocztowego, którą mógł spokojnie ukryć w kopercie zegarka, poduszki do marynarki, które po namoczeniu wytwarzały niewidzialny atrament, adres w Bremie, do którego baron miał kierować listy zawierające szpiegowskie informacje, oraz liczne instrukcje na temat nowej działalności.

Próbna misja odbyła się w Holandii. Oppenheim działał pod okiem fachowców z Abwehry, którzy analizowali jego postępowanie i wskazywali błędy, które popełnił; udzielali rad na temat sposobów zdobywania informacji oraz zacierania śladów. Ogólna ocena działań nowego agenta była bardzo wysoka.

Druga misja miała już charakter poważny: baronowi polecono dotrzeć do Stanów Zjednoczonych i zebrać wiadomości na temat przygotowań tego państwa do wojny. Oppenheim wykorzystał swe powiązania z nie podejrzewanymi niczego Wallenbcigami i uzyskał od nich poparcie i kontakty w USA. Wrócił po dwóch miesiącach i przedstawił 5 dokładnych raportów, które przeszły oczekiwania jego szefów: jeden dotyczył rozwoju amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego; inne zawierały dane o rozmiarach produkcji czołgów i samolotów oraz konstrukcji statków handlowych. Raport oznaczony numerem G4089 przedstawiał metody szkolenia załóg statków

Kolścych udział w konwojach, o czym Oppenheim dowiedział się od pierwszego oficera pewnego amerykańskiego statku.

W kryptonimach współpracowników Abwehry oznaczało, że są oni kurierami lub naganiaczami.

Do końca 1941 r. nowy agent odbył 4 podróże do Szwecji, po których sporządził szczegółowe meldunki na temat wielkości brytyjskiej floty handlowej na Atlantyku, norweskich statków w służbie wroga, produkcji czołgów i pojazdów pancernych w USA oraz stosunków japońsko-amerykańskich.

Rok 1942 był jeszcze bardziej owocny. W czasie kilku podróży do Waszyngtonu i Nowego Jorku Oppenheim zawarł interesujące znajomości. Mając rekomendacje Wallenbergów, dotarł do osób ustawionych najwyżej w amerykańskim establishmentie, dzięki czemu nie musiał wykradać tajnych dokumentów ani dorabiać kluczy do sejfów. Wystarczało, że uważnie słuchał odpowiedzi na swe pytania.

22 grudnia 1941 r. do Stanów Zjednoczonych przybył premier brytyjski Winston Churchill. Konferencja z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem (oznaczona kryptonimem Arcadia") dotyczyła działań obydwu państw, które postanowiły połączyć swe wysiłki wojenne.

Do czasu konferencji polityka amerykańska wobec Europy nie była jasno określona. Co prawda 11 grudnia Hitler wypowiedział Stanom Zjednoczonym wojnę, ale kraj ten był zaabsorbowany głównie rozwojem wydarzeń na Pacyfiku. Zniszczenie Floty Pacyfiku w Pearl Harbor ugodziło amerykańską dumę, a szybkie postępy wojsk japońskich zagrażały wpływowi USA w tej części świata. Wielu

wysokiej rangi dowódców, którym przewodził admirał Ernest J. King, kongresmanów i członków rządu opowiadało się za skoncentrowaniem wszystkich sił na walce z Japończykami.

Premierowi Churchillowi udało się - mimo to - uzyskać deklarację prezydenta, że Stany Zjednoczone skierują główny wysiłek militarny na pokonanie Niemców.

Porozumienie zawarte w Waszyngtonie stanowiło, że dwa mocarstwa [USA i Wielka Brytania - BW] utrzymają na Dalekim Wschodzie pozycję, która pozwoli ochronić żywotne interesy i uniemożliwi Japończykom dostęp do surowców ważnych dla ich wysiłków wojennych, skoncentrując się na pokonaniu Niemiec.

Dalsza część dokumentu zawierała plany na najbliższy okres, m.in.: ograniczonej ofensywy lądowej w 1942 r. i opanowania wybrzeża Afryki Północnej w 1943 r.

Przywódcy obydwu mocarstw zdecydowali się przystąpić do niezwłocznego gromadzenia sił i środków do inwazji (operacja Bolero"). Idea rychłego rozgromienia Niemców tak spodobała się prezydentowi Rooseveltowi, że uznał, iż już we wrześniu 1942 r. dywizje amerykańskie i brytyjskie będą mogły wdrzeć się na francuski brzeg*, j

Baron von Oppenheim nadesłał do oddziału Abwehry w Bremie raport (nr 4097/41 /TH) zawierający pierwsze informacje o przebiegu i ustaleniach konferencji „Arcadia” w kilka dni po jej rozpoczęciu. W styczniu 1942 r. przekazał dwa kolejne raporty (308/42/IH i 573/42/IH), szczegółowo omawiające treść porozumienia Roosevelt-Churchill. |

Z Waszyngtonu raportował również inny agent Abwehry, hiszpański attaché

wojskowy, pułkownik Jose Carlos Garcia. 1 lutego jego przesyłka dotarła w bag

* Realizacja tego planu została przedstawiona w rozdziale pt.: Skawni.

dyplomatycznym do szefa hiszpańskiego wywiadu, generała Camposa Martineza. On z kolei przekazał j'š komandorowi Wilhelmowi Leissnerowi (vel Gustavowi Lenzowi), szefowi oddziału Abwehry w Madrycie, a stamtšd specjalny kurier zawiózł dokument do Berlina, gdzie doręczono go admirałowi Canarisowi.

W tym samym czasie szef Abwehry otrzymał z innych ródeł informacje o pianach aliantów. Włosi przechwycili depeszę, wysłanš do Ankary przez ambasadora Turcji w Londynie, zawierajšcš streszczenie rozmowy z amerykańskim attache wojskowym, pułkownikiem Robertem Leesem, na temat znaczenia konferencji "Arcadia" dla stosunków amerykańsko-tureckich.

Agent Abwehry. działajšcy w szwajcarskim sztabie generalnym, przekazał oddziałowi Abwehry w Bemie zdobytš przez siebie kopię analizy wyników konferencji, sporzšdzonš przez szwajcarskiego attache wojskowego w Waszyngtonie.

Zaledwie 20 dni po zakończeniu konferencji "Arcadia" szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris, przedstawił Adolfowi Hitlerowi szczegółowy raport na temat zamierzeń aliantów. Zapewne pod wpływem tych informacji Hitler wydał 23 marca 1942 r. dyrektywę nr 40, o budowie systemu umocnień wału atlantyckiego.

Nieprzyjacielskie siły, które siadujš [na wybrzeżu Francji - BWJ, muszš być

niszczone lub odrzucone do morza przez bezporedni kontratak - głosił rozkaz

wodza.

Pierwsze umocnienia na wybrzeżu francuskim Niemcy zaczęli wznosić już w końcu czerwca 1940 r. w okolicach miasta Calais. Hitler nie myślał wówczas o obronie wybrzeży. Jego dywizje szykowały się do podboju Wielkiej Brytanii i działa, osadzone w betonowych bunkrach na skalistych brzegach, miały wspierać wojska inwazyjne. We wrześniu 1940 r., gdy Luftwaffe przegrała bitwę o panowanie nad Anglią (co było podstawowym warunkiem dokonania inwazji, gdyż w przeciwnym wypadku samoloty RAF i okręty Royal Navy zatopiłyby niemiecką flotę inwazyjną) i Hitler zrezygnował z planów podboju wyspy, nie przzerwano budowy umocnień. W rejonie Calais powstawały gigantyczne bunkry, które mieściły działa kal. 380 i 406 mm. Ich pociski mogły razić ważny brytyjski port Dover, odległy od Calais zaledwie o 37 kilometrów.

W 1942 r. Niemcy przystąpili do budowy umocnień obronnych. Hitler planował, że pas schronów, zapór przeciwdesantowych, zasieków i pól minowych ciągnąć się będzie przez tysiące kilometrów wzdłuż wybrzeży od granicy francusko-hiszpańskiej do pomocnych krańców Norwegii.

Do Francji przybył feldmarszałek Gerd von Rundstedt, stary żołnierz, który - po okresie niełaski za krytykowanie koncepcji strategicznych Hitlera w wojnie ze Związkiem Radzieckim - został przywołany do służby, otrzymując zadanie obrony Europy przed alianckimi wojskami inwazyjnymi. Uznał on, że rejonem najbardziej narażonym na uderzenie wojsk anglo-amerykańskich jest Calais. Przekonanie to oparł na analizie sytuacji geograficznej i strategicznej:

- najkrótsza droga z Wielkiej Brytanii na kontynent prowadziła przez rejon Calais, gdzie szerokość kanału La Manche nie przekraczała 40 kilometrów; z Calais było najbliżej do przemysłowego serca Niemiec - Zagłębia Ruhry; uderzenie na ten rejon pozwalało aliantom rozdzielić siły niemieckie we Francji; w Pas de Calais wybudowano wyrzutnie V-7, V-2, V-3, które mogły zniszczyć Londyn - było więc oczywiste, że dowództwo brytyjskie podejmie decyzję o jak najszybszym ich unicestwieniu.

Po rajdzie komandosów alianckich na Dieppe, w sierpniu 1942 r., von Rundstedt uznał, że dowództwo wojsk sprzymierzonych wyciągnie wnioski z tej operacji i zrezygnuje z bezprecedensowego uderzenia na silnie bronione porty, gdyż walki trwałyby zbyt długo, stwarzając niebezpieczeństwo zniszczenia urządzeń .przeładunkowych. Uważał, że alianci będą raczej starali się opanować okolice portu, okrążyć go, odciąć od zaplecza i zmusić załogę do kapitulacji. Dlatego też zdecydował się na rozbudowę umocnień w sąsiedztwie portu.

Do 1944 r. powstał pas potężnych zapór, na których musiałyby wykrwawić się każda armia inwazyjna.

Pierwsze przeszkody ułożono na dnie morskim, kilkaset metrów od brzegu. Były to ostro zakończone stalowe szyny, osadzone w betonowych fundamentach, ukryte tuż pod powierzchnią wody, mogły rozpruć poszycie kadłuba każdego okrętu, który usiłowałby zbliżyć się do plaż. Do zapór montowano ładunki wybuchowe, eksplodujące w zetknięciu z okrętem. 500-tonowa barka, która

usiłowała pokonać pas tych zapór podczas prób, zatonała w ciągu 3 minut.

Na plażach rozmieszczono rzędy zasieków z drutów kolczastych, miny przeciwpiechotne i przeciwpancerne, wzniesiono betonowe mury, uniemożliwiające czołgom jazdę w głąb lądu.

Następnie barierę stanowiły niewielkie bunkry, obsadzone przez 2 żołnierzy obsługujących ciężki karabin maszynowy. Ustawione co kilkadziesiąt metrów, miały stworzyć cianę ognia, przez którą nie mogli przedrzeć się żaden żołnierz ani lżejszy pojazd.

Na wydmach zbudowano większe bunkry, mieszczące działa kal. 75-120 mm, które miały razić okręty desantowe podchodzące do brzegu, a także bunkry z działami przeciwpancernymi, niszczącymi czołgi zjeżdżające z ramp okrętów desantowych oraz pojazdy amfibijne wiozące żołnierzy.

Gdyby wrogowi udało się przebić i przez tę linię obrony, zostałyby zatrzymany ogniem z bunkrów ulokowanych wśród pól, w odległości 1-2 kilometrów od plaży Calais.

Niemcy wykorzystali również francuskie budowle obronne z XIX wieku.

Forty, wcinające się 2, może 3 kilometry w głąb lądu, zostały zamienione na koszary dla załóg bunkrów obserwacyjnych, artyleryjskich, stanowisk strzeleckich i dziesiątków punktów ogniowych rozmieszczonych wzdłuż wybrzeża Calais.

Jednakże von Rundstedt wiedział, że umocnienia wału atlantyckiego, tak

potężne w rejonie Calais, są znacznie słabsze na innych odcinkach francuskiego wybrzeża. Pamiętał o dowiadzczeniach z kampanii 1940 . w Belgii i Francji, gdzie gigantyczne budowle obronne - wryte dziesiątki metrów pod ziemię, doskonale zabezpieczone przed wybuchami najcięższych bomb i pocisków - nie spełniły swojego zadania. Linia Maginota okazała się bezużyteczna, gdyż wojska niemieckie po prostu obeszły ją.

Belgijska twierdza Eben Emael - obsadzona przez 700 żołnierzy, obsługujących wieże pancerne z działami kal. 37, 75 i 120 mm, dysponująca bunkrami z karabinami maszynowymi - została opanowana w ciągu kilku godzin przez 50 Spadochroniarzy niemieckich, gdyż obrońcy bali się wyjść na powierzchnię, a napastnicy niszczyli za pomocą ładunków kumulacyjnych jeden bunkier po drugim.

Taki sam los mógł spotkać najpotężniejsze umocnienia na wybrzeżu Francji. i Umocnienia spełniłyby swoją funkcję tylko wtedy, gdyby stanęły za nimi silne i dywizje. Tymczasem głównodowodzący wojskami niemieckimi na Zachodzie, me był zadowolony ze swych wojsk. Mówił:

| Wal jest mitem. Nic przed nim i nic w nim; po prostu dekoracja. Można mieć fMdoję, że wytrzyma atak 24godzinny, ale każde dobrze zaplanowane uderzenie ' doprowadzi do przełamania wału w ciągu jednego dnia. A gdy zostanie on my w jednym miejscu, cała reszta może zostać wzięta od tyłu.

Pozostawało więc pytanie, jak rozmieścić wojska, aby w decydującym momencie alianckiego uderzenia przysły z natychmiastową odsieczą załogom

bunkrów powstrzymujących pierwszą falę wojsk inwazyjnych. Największą siłę stojącą za wałem atlantyckim były dywizje pancerne. Każda z nich (z ok. 400 czołgami) była śmiertelnym zagrożeniem dla oddziałów inwazyjnych, pozbawionych w pierwszym okresie walk broni pancernej i ciężkiej artylerii. Należy przy tym pamiętać, że w 1943 i 1944 r. niemieckie dywizje otrzymały tygrysy i pantery, przewyższające pod każdym względem czołgi brytyjskie oraz amerykańskie.

Niemiecki posterunek obserwacyjny na jednym z bunkrów wału atlantyckiego (rejon Calais)

1

ijscym mo-
sz załogom
większą siłę
i (z ok. 400
i, pozbawio-
Należy przy
ły tygrysy
oraz amery-

ityckiego

HITLER

I FELDMARSZAŁKOWI

6 stycznia 1943 r. admirał Canaris i pułkownik Roenne zostali wezwani na naradę do generała Alfreda Jodła, szefa sztabu dowodzenia w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych (OKW). Sędzili, że będą mogli przedstawić swe poglądy na temat miejsca inwazji. Jodl szybko wyprowadził ich z błędu.

- Żdam, aby panowie zwrócili większą niż dotychczas uwagę na rejon Morzaródziemnego - powiedział, gdy tylko przybysze zajęli miejsca za długim stołem stojącym pod wielką mapą Europy i wybrzeży Afryki Północnej. - To, co dzieje się tam, jest nie tylko odbiciem intencji naszych wrogów, lecz dostarczyć nam może bezcennych danych na temat anglo-amerykańskich planów strategicznych w innych rejonach.

Canaris milczał. Von Roenne niespokojnie kręcił się na krzele, zamierzając wygłosić własną opinię, ale widok kamiennej twarzy Canarisa powstrzymał go przed wdaniem się w dyskusję z pyszałkowskim Jodlem, który zapewne nie miał zamiaru słuchać argumentów gości.

Generał mówił dalej o przegrupowaniach alianckich jednostek desantowych, wycofanych z Afryki Północnej, gdzie znalazły się w wyniku akcji „Torch”.

- Ruchy te - mówił Jodl - wskazują, że główny wysiłek wojenny aliantów nastąpi w rejonie Morzaródziemnego...

Canaris spojrzał wymownie na von Roennego. Pochylił się w jego stronę i szepnął:

- Ssdzę, że nie sš to jego poglšdy.

Jodl potwierdził to spostrzeżenie, mówišc:

-Dyskutowałem tę sprawę z fihrerem w cišgu ostatnich dni. On przewiduje ze strony aliantów serię dezorientujšcych nas posunięć, które Anglicy i Amerykanie zechcš wykonać, zanim zdecydujš się na prawdziwš inwazję. Flihrer spodziewa się lšdowania w Portugalii lub gdzie na wybrzeżu Hiszpanii, a jeżeli we Francji. to na północ od Żyrondy*.

Po naradzie u Jodła pułkownik von Roenne był wyranie poirytowany.

- Czy fuhrer naprawdę sšdzi, że alianci będš tracić siły na próbne rajdy w Portugalii lub Hiszpanii?

- Sytuacja na Zachodzie nie jest jeszcze na tyle poważna, że brak jednoznacznej decyzji co do rozmieszczenia naszych wojsk mógłby mieć decydujšce znaczenie - odpowiedział wymijajšco Canaris. - Ssdzę, że wydarzenia najbliższych miesięcy pozwolš nam zebrać więcej wskazówek na temat miejsca inwazji.

Miał rację.

* Ujcie do Atlantyku rzek Garonny i Dordogne.

W maju 1943 r. hiszpański attache wojskowy w Waszyngtonie nadesłał informacje na temat wyników konferencji „Trident”. w czasie której Winston Churchill i Franklin D. Roosevelt po raz pierwszy omawiali szczegóły inwazji na

kontynent europejski. Od października 1943 r. z Turcji zaczęły nadchodzić informacje, które Sicherheitsdienst kupowała od kamerdynera brytyjskiego ambasadora*.

Zapewne pod wpływem tych ustaleń Hitler uznał ostatecznie, że inwazja nastąpi w północnej Francji. W listopadzie 1943 r. wydał więc dyrektywę nr 51:

Wszystkie znaki wskazują, że ofensywa na froncie zachodnim nastąpi na wiosnę lub może nawet wcześniej. Z tego powodu nie mogę dłużej godzić się na osłabienie wojsk na Zachodzie na korzyść innych teatrów wojny. Dlatego zdecydowałem się wzmocnić obronę na Zachodzie, szczególnie w miejscach, w których rozpoczniemy naszą dalekosiężną wojnę przeciwko Anglii. Z tego powodu nieprzyjaciół musi zaatakować te punkty: tam (...) prowadzona będzie decydująca walka,

Hitler miał na myśli rejon Pas de Calais, gdzie w lasach montowano wyrzutnie pocisków V-7. a w miękkich wapiennych wzgórzach budowano gigantyczne montownie i wyrzutnie rakiet V-2 (epelerlesues i wizernes) oraz drżono wyrzutnie pocisków V-3 (mimoyeques).

Inspekcję stanu przygotowań do odparcia inwazji Hitler zlecił feldmarszałkowi Erwinowi Rommlowi.

Wszystko było w porządku, dopóki Rommel wizytował jednostki i umocnienia w Danii. Jednakże przed świętami Bożego Narodzenia w 1943 r. przybył do Francji i znalazł się na obszarze, który najbardziej interesował von Rundstedta. Wizytator, nie przejmując się kompetencjami dowódcy OB-West, wydawał jego

podwładnym - dowódcom armii i dywizji - polecenia dotyczące konkretnych działań obronnych. Ci przyjmowali ze zdziwieniem dwuwładzę w Wehrmachcie. Feldmarszałek von Rundstedt rozwiązał problem, mianując Rommla dowódcą Grupy Armii „B”, choć nie miał o nim najlepszego zdania. Mówił: To dzielny człowiek i bardzo zdolny dowódca niewielkich operacji, ale nie ma kwalifikacji odpowiednich do dowodzenia dużymi jednostkami.

Problem podwójnych poleceń zniknął, ale pozostały kontrowersje co do użycia jednostek pancernych - decydującej siły, która mogła przesądzić o losach wojny na Zachodzie. Wśród 58 dywizji, jakie Wehrmacht miał na Zachodzie wiosną 1944 r., było 10 dywizji pancernych, z których 3 przydzielono do Grupy Armii „G” broniącej południa Francji i nie można było brać ich pod uwagę przy odpieraniu inwazji na północy kraju. Jedna dywizja pancerna stacjonowała w rejonie Antwerpii. Pozostawało więc 6 dywizji i von Rundstedt uznał, że najlepiej będzie, gdy staną one w rejonie Paryża, to jest w odległości około 150 kilometrów od wybrzeży. Uważał, że w tamtejszych lasach będą w miarę bezpieczne przed atakami z powietrza. Mogłyby szybko uderzyć na wojska

* Rozdział pt.: Kryptonim Cycero.

nie nadesłał

órej Winston

ły inwazji na

nadchodzić

yjskiego am-

Imarszałkowi

powietrznodesantowe, gdyby te wylądowały w głębi Francji, a w wypadku inwazji morskiej, zdołałyby w porę dotrzeć do każdego miejsca na wybrzeżu.

Pogląd von Rundstedta podzielał generał Geyr von Schweppenburg, dowodzący wojskami pancernymi.

Feldmarszałek Rommel nie zgadzał się jednak na takie rozwiązanie. Jego

dowiadczanie nakazywało rozmieścić oddziały pancerne jak najbliżej spodziewanego miejsca inwazji. Mówił:

Lepiej mieć jedną dywizję w miejscu lądowania w dniu lądowania niż trzy dywizje w trzy dni później.

Dowódcę wojsk pancernych oceniał mało pochlebnie:

W przeciwieństwie do mnie, generał von Schweppenburg, który prawdopodobnie dobrze zna Brytyjczyków z czasów pokojowych, nigdy nie spotkał się z nimi w boju.

Rzeczywiście, Rommel miał ważne dowiadczania z walk z Brytyjczykami na pustyni Afryki Północnej, kiedy to przekonał się, jak zabójczą dla czołgów broni są pociski działek i bomby rzucane z samolotów. Pod El-Alamejn myliwce RAF zdziściłkowały czołgi Afrika Korps, które ugrzęzły w piasku*. Obawiał się, że podobna sytuacja może się powtórzyć, gdy czołgi wyruszą spod Paryża w stronę kanału La Manche. Alianci, mając zdecydowaną przewagę w powietrzu, mogliby

uniemożliwić niemieckim czołgom dotarcie do miejsc lądowania swych wojsk.

Spór między dowódcami zaognił się do tego stopnia, że Hitler zdecydował się wysłać do Francji rozjemcę - inspektora wojsk pancernych, generała Heinza Guderiana. Przybył on do kwatery feldmarszałka Rundstedta w marcu 1944 r. Po wysłuchaniu argumentów obu stron przyznał rację von Rundstedtowi, co jednak nie położyło kresu sporom. Dopiero sam Hitler przeciął dyskusję, podejmując decyzję, najgorszą z możliwych: cztery dywizje pancerne zostały wyjęte spod dowództwa Rundstedta i oddane pod bezpośrednią kontrolę naczelnego dowództwa Wehrmachtu (OKW): aby dywizje te skierować do boju. Dowódcy we Francji musieli uzyskać zgodę fuhrera.

Feldmarszałek von Rundstedt mógł mieć jeszcze nadzieję, że wywiad zdoła dostarczyć w porę wiadomość na temat miejsca i czasu uderzenia aliantów.

Abwehra zdawała się bardzo bliska zdobycia upragnionych wieści.

ADMIRAŁA

CANARISA

Pułkownik von Roenne okazał przepustkę esesmanowi strzegłemu pancernych drzwi wiodących do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie admirał Canaris stał przed mapą świata pokrywającą całą ścianę.

- Proszę mi wybaczyć, admirale, ale w ostatniej chwili...

- Nie. nie spóźnił się pan. - Canaris odwrócił się w stronę przybyłego. - To ja przyszedłem wcześniej. Nie traćmy czasu. Przejdmy do pańskich ustaleń.

Był 2 lutego 1944 r. Szef wywiadu, admirał Canaris, zaprosił pułkownika do bunkra w Zossen. aby zapoznać się z ustaleniami dotyczącymi spodziewanej inwazji. Von Roenne rozłożył na stole mapę Europy, zwinięts dotśd w rulon pod pachś.

- Na tej mapie starałem się zobrazować sytuację wynikajścś z naszych ustaleń... To kierunki ewentualnych pozornych uderzeń, które majś odwrócić nasz uwagę - wyjaniał, wskazujśc strzałki nakrelone zielonś kredkś, biegnśce przez Dardanele i Morze Czarne w stronę Odessy. Inne. złożone z przerywanych kresek niebieskich, przecinały Adriatyk, kierujśc się w stronę Chorwacji, a stamtśd do Budapesztu. Kilka żółtych strzałek celowało w południowe wybrzeże Francji - między Marsyliś i Riwierś Włoskś.

- To. domyłam się. kierunek głównego uderzenia - Canaris wskazał grubś czerwonś strzałkę, wymierzonś w brzeg północnej Francji.

- Tak - potwierdził pułkownik. - Założyłem, że wyruszś z baz w okolicach Manchesteru i w rejonie Dover-Folkstone przekrocź kanał La Manche w naj-węższym miejscu...

- To ryzykowne przypuszczenie - przerwał Canańs.

- Dlaczego mieliby wybrać dłuższś drogę, na przykład z Portsmouth, kiedy mogś przeskoczyć z Dover do Calais, w miejscu gdzie kanał ma niespełna 40 kilometrów szerokoci?

- Nie dyskutujmy na ten temat - Canańs pokręcił głowś. - Myle, że zanim

inwazja dojdzie do skutku. Abwehra będzie mogła podać precyzyjnie jej miejsce i czas.

- To prawda, że ostatnie raporty A.3725 wnoszą wiele nowego - powiedział j Roenne. mając na myśli meldunek nr 937 z 16 stycznia, w którym agent informował, że do Wielkiej Brytanii przybyło około 7 tysięcy oficerów amerykańskich. działających w najrozmaitszych organizacjach przygotowujących inwazję. - Zastanawiam się jednak, czy nasze siły w Anglii są wystarczająco duże, abymy mogli liczyć na uzyskanie tej najlepiej chyba strzeżonej informacji...

- Może pan być spokojny, pułkowniku. - Canaris usiadł przy stole, na którym leżała mapa. - To, że w ogóle mamy w Wielkiej Brytanii agentów, z których kilku działa od wielu lat. należałoby uznać za ewenement w historii szpiegostwa

A jednak, mimo bardzo sprawnie działającego brytyjskiego kontrwywiadu i szczególnego charakteru tamtejszego społeczeństwa, udało nam się stworzyć sieć rozciągającą się od Bristolu na południu do Glasgow i Aberdeen na północy... - Canaris przerwał na chwilę, aby następnym słowom nadać większą wagę. Wstał i przechadzając się po pokoju, kontynuował:

- Codziennie otrzymujemy z Anglii od 30 do 40 raportów. Na początku wojny mieliśmy tam tylko agenta A.3504. Teraz - mimo niemałych strat, poniesionych w ostatnim okresie - mamy ich 130. Wspomniał pan z uznaniem o A.3725;

proszę pamiętać również o Trampie", przesyłającym ważne informacje wojskowe, chociaż jest to tylko kobieta. Oprócz agentów kierowanych przez orodki w Hamburgu, Bremie, Wiesbaden, Paryżu i Brukseli, cennych informatorów

mają nasze oddziały w Madrycie, Lizbonie i Bemie. Na przykład Madryt kieruje siatką „Arabal”, złożoną z siedmiu agentów, wspomaganych przez kurierów oraz pięciu innych naszych ludzi w hiszpańskiej służbie dyplomatycznej w Londynie. Lizbona kieruje siatką, na której czele stoi „Ostro” - portugalski handlowiec. Zarządzają dużą firmą międzynarodową w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Sztokholm przesyła raporty od Josephine”. Berno - od Banty”. W kwaterze generała Bradleya mamy polskiego oficera łącznikowego, a wkrótce będziemy dysponować meldunkami od jednego z prywatnych sekretarzy premiera Churchilla. Poza tym, nie ma co ukrywać, że sami alianci zdradzili nam termin inwazji... - Canaris zawiesił głos. Von Roenne patrzył na niego zdziwiony.

- Oto meldunek jednego z najzdolniejszych oficerów Abwehry sekcji IFFw Paryżu, podpułkownika Oscara Reilego. - Admirał podał pułkownikowi kartkę z raportem datowanym 14 października 1943 r.

Oscar Reile informował o aresztowaniu 3 października przywódcy organizacji sabotażowej, kierowanej z Anglii. W czasie przesłuchania wyznał on, że centrala w Londynie przekazała hasło, które - nadane przez radio - miało informować francuski ruch oporu o terminie inwazji. Były to słowa wiersza Paliła Verlaine'a: Les sanglots longs des violons de l'automne blessent mon cœur d'une langueur monotone. Pierwsze wyrazy, do słowa l'automne właśnie. Badanie lub 15 dnia miesiąca oznaczały, że inwazja nastąpi w danym miesiącu. Nadanie drugiej części tekstu było równoznaczne z informacją, że lądowanie odbędzie się w ciągu 48 godzin, licząc od północy w dniu wyemitowania tej części hasła.

J - Jak pan widzi, wiemy bardzo wiele - stwierdził Canaris, gdy Roenne

Jakończył lekturę raportu Reilego. - Sygnał ten został przekazany w 23 kopiach

||<b najważniejszych ogniów dowodzenia Wehrmachtu. Mylę, że możemy spać
pokojnie...

Ta rozmowa wywarła duże wrażenie na pułkowniku von Roenne. Jednakże

lbraz,jaki krelił w Zossen admirał Wilhelm Canaris, niewiele miał wspólnego

Mzcczywistociš. Szef Abwehry budował zamki na lodzie, ale do dzisiaj nie

idomo, czy wiedział, że jego potężna sieć wywiadowcza w Anglii jest mitem,

I też rzeczywiście wierzył w skuteczność swoich agentów, nie zdajšc sobie

sprawy, że wpadł w pułapkę, zastawionš przez brytyjski kontrwywiad... W kilka-
nacie dni po konferencji w Zossen straciło to zresztš znaczenie.

19 lutego 1944 r. admirał Canaris przestał być szefem Abwehry. Przegrał

walkę o pozycję w strukturach władzy, toczonš od lat z ministrem spraw

zagranicznych, Joachimem von Ribbentropem i Reichsführerem SS, Heinrichem

Himmlerem. W wyniku intryg Hitler pozbawił admirała stanowiska, litociwie

mianujšc go szefem departamentu wojny ekonomicznej Oberkommando der

Wehrmacht*. Abwehra została zamieniona w Urzšd Wywiadu Wojskowego

(Amt Mil) i włšczona do RSHA.

Zmiany sparaliżowały działalność wielu agentów, osobicie zwišzanych z Ca-

narisem. Jednakże taki obrót spraw nie był ważny dla siatek działajšcych

w Wielkiej Brytanii, gdyż od wielu lat pozostawały pod nadzorem brytyjskich
tajnych służb.

Eisenhower, Churchill i Bradley sprawdzają nowy typ amerykańskiego karabinu

* Rozdział pt. Czarna orkiestra".

Szczęknęta zasuwają i drzwi celi więzienia we Fresnes otworzyły się szeroko.

Więzień Roman Czemiawski poderwał się z pryczy, ale zaraz usiadł z powrotem.

Nie mogło go spotkać nic gorszego niż śmierć, a z nią zdołał się pogodzić po kilku miesiącach oczekiwania na wykonanie wyroku. Jednakże, z nieznanych mu powodów, Niemcy na razie dawali mu spokój.

Kapitan dypl. pilot Roman Czemiawski we wrześniu 1939 r. odbywał służbę w Dowództwie Wojsk Powietrznych. Gdy Niemcy podeszli pod Warszawę, otrzymał rozkaz obsadzenia ocalałych samolotów oficerami rezerwy i przelotu do Rumunii. Tam został internowany, ale udało mu się zbiec i w listopadzie 1939 r. dotarł do Paryża. Odbył kurs w Ecole Supérieure de Guerre i został oficerem wywiadu w I. dywizji grenadierów. Po klęsce Francji wyjechał do Tuluz, gdzie przypadkowo spotkał rodaka, pułkownik Wincenty Zaremski, wciągnął go do pracy wywiadowczej na rzecz Wielkiej Brytanii.

Czemiawski był odważny, przedsiębiorczy, a przede wszystkim pragnął walczyć z Niemcami. Wydawało mu się, że zbliżone poglądy prezentuje trzydziesto-kilkuletnia Matylda Carre, którą poznał w kawiarni. Udał się z nią do Paryża, gdzie Lili wyszukała mieszkanie na Boulevard du Port Royal i razem zaczęli tworzyć organizację wywiadowczą o nazwie „Interallie”. Zbierali wiadomości o wojskach niemieckich stacjonujących w Paryżu i okolicach. 28 listopa-

da 1940 r. Czemiawski, który przyjął pseudonim „Armand”, przesłał pierwszy raport do pułkownika Zarembskiego, a ten przez radiostację mógł nadać meldunek do Londynu. Grupa szybko się rozwijała. W połowie 1941 r. liczyła 64 członków, którzy umieli zdobywać tajemnice Wehrmachtu.

18 listopada 1941 r. do domu Czemiawskiego wtargnęli Niemcy. Kto był zdrajcą? Prawdopodobnie Lili, zazdrosna o pewną współpracownicę przystojnego szefa grupy „Interallie”. Została również aresztowana i na pewno wtedy rozpoczęła współpracę z Niemcami: pod pseudonimem „Victoire” podjęła działalność w innej organizacji, a później przerwano ją do Londynu.

Niemcy oszczędzili kapitanowi Czemiawskiemu tortur: traktowali go dość dobrze. Z więzienia w Paryżu został przewieziony do Fresnes, gdzie - jak przypuszczał - miał być wykonany wyrok śmierci.

W drzwiach celi stanął oficer Abwehry w stopniu pułkownika.

- Mogę wejść? - zapytał z umiechem.

- Wstąpiły żart, panie pułkowniku - opowiedział Czemiawski, wzruszając ramionami. - Proszę siadać, jeżeli ten stół nie wyda się panu za twarde.

! - Jestem pułkownik Reile. - Oficer położył czapkę na stole i przysunął

siadając (Obie taborety. - Czy wie pan, że po pana aresztowaniu komendant Paryża polecił, aby w Saint Germain zorganizowano wystawę materiałów znalezionych w japońskim mieszkaniu i nakazał zwiedzanie tej ekspozycji? Rzeczywiście, było

co ogłaszać... - To miła wiadomość. Ale chyba nie przyszedł pan, aby życzyć mi gratulacje - przerwał kapitan.

Reile zaczął mówić o sytuacji na wiecie. Przedstawiał sukcesy wojsk niemieckich, dochodzących do Morza Czarnego i Morza Kaspijskiego.

- To już ostatnie stadium wojny, w którym każda pomoc może okazać się ważna. Jeżeli pan i pana przyjaciele z Anglii pomogą nam, będzie to uznane za cenny wkład Polski w zwycięstwo, co niewątpliwie wpłynie na jej los po wojnie - mówił Reile.

Od kilku miesięcy przeszukiwał francuskie więzienia, wyluskując z nich ludzi, którzy chcieliby podjąć współpracę z Abwehrą. Wybrał Czemiawskiego zapewne z tego względu, że jako fachowiec potrafił docenić grupę zorganizowaną przez kapitana.

- Znajdź moją przeszłość, nie spodziewa się pan chyba, że zgodzę się na współpracę z wami? - zareagował gwałtownie Czemiawski.

Pułkownik zdawał się nie dostrzegać determinacji więźnia.

- Proponuję panu współpracę z Abwehrą w zamian za darowanie życia. To korzystna oferta. Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Proszę się zastanowić... - Reile wstał i skierował się do drzwi. Zatrzymał się jednak. - Jeszcze jedno: na razie jest to moja prywatna propozycja - dodał.

Po kilkunastu dniach znów się zjawiał.

- Byłbym skłonny do współpracy, ale pod pewnymi warunkami - owiadczył

Czemiawski.

- Jakimi?

- Po pierwsze, członkowie mojej organizacji otrzymają status jeńców wojennych i po zakończeniu wojny zostaną zwolnieni. Po drugie, od chwili zwolnienia z więzienia będę rzeczywiście wolny i nikt nie będzie mnie ledzić ani wymagać danych o kontaktach z podziemną organizacją, która wprawdzie poniosła duże straty, ale jestem przekonany, że wciąż istnieje. Po trzecie, jakkolwiek potoczą się losy wojny, Polska pozostanie państwem niezależnym.

- Nie mogę przyjąć tych warunków - stwierdził Reile. - Mówiłem panu, że propozycja współpracy jest moim prywatnym pomysłem. Jednakże prześlę te warunki przełożonym. Myślę, że wyrażę zgodę. Cieszę się, że pan dostrzegł możliwość porozumienia.

Czemiawski rozegrał tę partię bezbłędnie. Potrafił stworzyć wrażenie, że jego decyzja współpracy z Abwehrą zapadła po długim namyśle, a fakt, że została podjęta w miernym zagrożeniu, nadawał jej pozór prawdopodobieństwa.

- Mam dla pana dobrą wiadomość - powiedział Reile, gdy po raz kolejny przyszedł do celi Czemiawskiego. - Szef niemieckiego wywiadu wojskowego zgadza się na pańskie warunki. A teraz zechce pan wysłuchać naszych: podejmie pan działania mające na celu nakłonienie rządu polskiego w Londynie do współpracy z nami, a po zorganizowaniu wywiadu na terenie Anglii będzie pan przekazywał nam drogą radiową wszystkie interesujące nas informacje.

Porozumienie zostało zawarte. Czemiawski, który przyjął swój stary pseudonim Armand", musiał wydostać się z więzienia. Początkowo rozważano plan ucieczki z samochodu w czasie podróży na przesłuchanie. Bulwar Saint Germain w Paryżu miała zablokować zepsuta niemiecka ciężarówka. Kierowca samochodu, w którym jechałby Czemiawski, musiałby zwolnić, a wówczas więźni wyskoczyłby i znikł w tłumie. Był to jednak bardzo ryzykowny plan, gdyż któryś z niemieckich żołnierzy, widząc uciekającego człowieka, mógłby strzelić i zabić nowego agenta. Dlatego Reile postanowił, że 14 lipca Czemiawski zostanie przewieziony do Paryża, gdzie w pomieszczeniu Abwehry na bulwarze Messena zapozna się z obsługą sprzętu radiowego, metodami pracy i z szyframi, a potem wyruszy do Anglii.

Dwa tygodnie później „Armand” przedostał się do Tuluzy, skąd - zaopatrzone w fałszywe dokumenty na nazwisko Juan Garcia Luengo - dotarł przez Pireneje do Madrytu. Tam spotkał się z oficerem Abwehrkriegsorganisation*, generałem Erichem Kuhlenthalem. Otrzymał od niego listę zadań w Anglii, instrukcję na temat budowy radiostacji z części dostępnych w angielskich sklepach, książkę The Story of St. Michele" Axela Munthe'a, na podstawie której miał szyfrować swe depesze.

Zaraz potem w ambasadzie brytyjskiej spotkał się z oficerem o pseudonimie Monday", organizującym przerzut uciekinierów z Francji do Londynu.

W listopadzie 1942 r. kapitan Czemiawski przybył do stolicy Wielkiej Brytanii. Natychmiast skierowano go do Royal Patriotic School w Battersea. Było to miejsce

przesłuchań i obserwacji ludzi podejmujących współpracę z wywiadem. Brytyjczycy początkowo nie wierzyli nowo przybyłemu. Obawiali się, że Niemcy, wiedząc o jego wcześniejszej współpracy z MI-6, mogą uznać, że zdradzi ich i ponownie podejmie współpracę z Anglikami, a co za tym idzie, mogli nie traktować poważnie wiadomości nadsyłanych przez Czemiawskiego; mogli go poza tym wykorzystywać do podsuwania Brytyjczykom fałszywych informacji. Jednakże szybko przekonali się, że charakter zadań zleconych Armandowi" przez Abwehrę w Madrycie świadczy o bezwzględnym zaufaniu. Dlatego też zdecydowali się wykorzystać umiejętności polskiego kapitana w wielkiej grze o Overlord".

Czemiawskiemu nadano kryptonim Brutus" i przyznano funkcję oficera łącznikowego przy dowództwie RAF. W decydującym momencie przygotowań do operacji Overlord" został mianowany przedstawicielem polskich sił zbrojnych w kwaterze generała Pattona, dowódcy First United States Army Group. Takie samo zadanie wykonywali z ogromnym powodzeniem inni agenci, których Abwehra obdarzyła zaufaniem.

Wyróżniał się wśród nich Garbo", oznaczony kryptonimem V-319. pod którym krył się hiszpański dziennikarz Luis Calvo. Przez wiele miesięcy wykonywał swoje zadania, aż w lutym 1942 r. hiszpańska siatka została zlikwidowana przez kontrwywiad brytyjski MT-5 i Garbo" znalazł się w więzieniu. Człowiek, który go wsadził tam, Thomas Harris. zorientował się, że Niemcy wiedzą o likwidacji

* Abwehra tworzyła w zagranicznych przedstawicielstwach niemieckich placówki o takiej nazwie.

siatki, ale nie miał pojęcia, że sam Garbo" również wpadł. Postanowił więc

wykorzystać uwięzionego agenta do zorganizowania nowej grupy, licząc, że Niemcy zaakceptują wybór szpiegów, dokonany rzekomo przez Garbo". Tak też się stało.

Nowa organizacja otrzymała w centrali Abwehry kryptonim Arabal" i była tak liczna, że podzielono ją na trzy mniejsze: Alaric", Benedict" i Dagobert".

Jeszcze w czerwcu 1944 r. Niemcy wierzyli, że w grupach tych działają następujący agenci:

V-217 - w rejonie Bedfordu w USA; uznano, że jest dobry";

V-303 - urzędnik z Londynu; ocena: odpowiedzialny, ale zdolny wykonywać tylko drobniejsze polecenia";

V-305 - komiwojażer z południowej Anglii: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-308 - handlowiec z Londynu: odpowiedzialny";

V-314 - urzędnik londyński: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-315 - kupiec z Londynu: sprawdzony i odpowiedzialny";

Y-316 - urzędnik rządowy z Bristolu: sprawdzony i odpowiedzialny";

V 322 - oficer lotnik, Londyn: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-337 - bezrobotny: nic specjalnego";

V-372 - pracownik z Liverpoolu: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-373 - student wenezuelski z Glasgow: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-374 - student wenezuelski z Aberdeen: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-377 - hotelarz z Londynu: sprawdzony i odpowiedzialny";

V-392 - handlowiec podróżujący po USA: dobre raporty";

Y-1239 - technik z Londynu: nowy, jeszcze nie sprawdzony".

Agent A.3725 - Hans Hansen, duński krelarz, który latem 1940 r. został przetrzucony do Anglii - już jesieniš tego roku znalazł się pod kontrolš brytyjskich służb specjalnych i wypełniał zlecone przez nie zadania jako Tatę". Informację o przybyciu Eisenhowera do Anglii otrzymał od swoich opiekunów ze specjalnej organizacji XX-Committee", nadzorującej działania agentów, którzy zdecydowali się współpracować z Brytyjczykami. Kobieta-szpieg, którą szczyił się Canaris, dla Niemców miała pseudonim Tramp", dla Brytyjczków - Treasure". Jej prawdziwe nazwisko brzmiało: Lily Siergiejew. W 1932 r. poznała w Warszawie dziennikarza Felixa Dassela, który jej się zwierzył, że pracuje dla Abwehry. W 1940 r. odnalazła go w Paryżu i poprosiła o wcišgnięcie do pracy w wywiadzie. Dassel przedstawił jš majorowi Emilowi Kliemannowi, jednemu z szefów paryskiego oddziału Abwehry. Ten zdecydował się przyjść Lily i nadał jej pseudonim Tramp". W 1943 r. pojechała do Londynu, gdzie ujawniła kontrwywiadowi swoje zajęcie i rozpoczęła pracę pod kontrolš XX - Committee". W 1944 r., gdy zadania wyznaczone przez Brytyjczków wymagały szybkiego przekazywania licznych wiadomości, Tramp" wyjechała do Lizbony, dokšd cišgnęła majora Kliemanna. Nie mógł on oprzeć się urokowi agentki i zgodził się jej przyznać - jako jedynej kobiecie-szpiegowi w Abwehrze - nadajnik radiowy. Odtšd Tramp" - Treasure" mogła przekazywać

szybciej i więcej fałszywych informacji...

Czy admirał Canaris zdawał sobie sprawę, że większość z jego wspianiałej listy

130 agentów w Wielkiej Brytanii działa pod kontrolą Brytyjczyków? Prawdopodobnie tak, gdyż to on sam wysłał do Anglii najgorszych ludzi, całkowicie nie przygotowanych do funkcjonowania w trudnych tamtejszych warunkach. Lista agentów Abwehry, którzy wpadali w ręce brytyjskiego kontrwywiadu tuż po wylądowaniu na angielskim brzegu, była bardzo długa. Przykładowy wręcz był los 15 szpiegów przerzuconych do Anglii w ramach operacji "Lobster". Z pierwszych czworga, którzy wylądowali 2 września 1940 r. na angielskim brzegu, dwoje zostało aresztowanych przez samotnego żołnierza patrolującego nadmorskie skałki. Trzeci wpadł po 12 godzinach, gdy zgłosił się pod adresem wskazanym przez agenta działającego w Anglii, nadzorowanego przez kontrwywiad. Czwarty - Rudolf Waldberg (nawiasem mówiąc, jedyny z całej czwórki, który znał język angielski) - wszedł o 9.00 do pubu w małym mieście Lydd i poprosił o jabłecznik, nie wiedząc, że w angielskich piwiarniach napoje alkoholowe sprzedaje się od 10.00. Był na tyle naiwny, że zgodnie z radą właściciela pubu - powrócił o tej porze i został aresztowany przez czekających już policjantów. Jedenastu pozostałych agentów zostało schwytych, zanim zdążyli nadać jakkolwiek wiadomość do Niemiec.

Człowiek, na którego rozkaz wyruszyli do Wielkiej Brytanii, szef Abwehry, Wilhelm Canaris - zagorzały przeciwnik hitleryzmu, współtwórca i członek konspiracyjnej antyhitlerowskiej organizacji "Schwarze Kapelle" - prowadził swoją prywatną wojnę z nazistami. Blokowanie działań wywiadowczych przeciw-

ko Wielkiej Brytanii i wysyłanie tam marnych agentów było jednym ze sposobów tej wojny.

Wysiłki Canarisa, zmierzającego do obalenia Hitlera, wsparł inny zagorzały przeciwnik nazizmu... pułkownik von Roenne, choć nie wiadomo, czy wiedzieli oni o sobie.

W styczniu 1944 r. u pułkownika von Roenne zameldował się podpułkownik Roger Michel, szef Grupy Anglii.

- Muszę zwrócić pana uwagę na fakt, że nasze oceny i analizy są zniekształcane przez Sicherheitsdienst - powiedział.

Roenne zdawał sobie z tego sprawę. Fremde Heere West musiał przedstawiać

Woje raporty SD, aby tam, zanim trafił na biurko Hitlera, zostały sprawdzone

i skorygowane. Chodziło o uniknięcie większych różnic w ocenach przed-

stawianych przez poszczególne ośrodki wywiadu. Tymczasem Sicherheitsdienst,

walcząca o palmę pierwszeństwa wśród służb wywiadowczych, zmieniała liczby

podawane przez FHW, z reguły zmniejszając je o połowę.

ł - Mam pełną wiadomość, jeśli o to chodzi i rozmawiałem na ten temat

z Kaltenbrunnerem*, ale, jak słyszę, nie zmieniło to w niczym sytuacji.

-Hitler otrzymuje więc sfałszowane dane. Obawiam się, że to na podstawie

tych raportów, w których SD zaniża szacunek sił alianckich, wycofał część

sił z Zachodu...

ł Kaltenbrunner - od 1943 r. szef SD.

- Czy widzi pan jakie wyjście? - przerwał mu von Roenne.

- Tak - owiadczył Michel. - Musimy zawyżać dane w raportach tak, by po korekcie SD były zbliżone do prawdy.

- To bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Zdaje sobie pan z tego sprawę?

- Owszem, ale nie widzę innego rozwiązania - twardo odpowiedział Michel.

- Jeżeli SD przestanie raptem zaniżać szacunki, Hitler otrzyma całkowicie nierealny obraz stanu sił alianckich...

- Teraz też nie zna prawdy, a co gorsza, uważa, że siły wroga sš znacznie słabsze - nie ustępował podpułkownik Michel.

- Dobrze, rozważę tę sprawę. - Von Roenne postanowił zakończyć rozmowę. Nie widział możliwości fałszowania raportów, gdyż mogłoby go kosztować to głowę.

Jednakże w marcu 1944 r. sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Abwehra została wchłonięta przez Sicherheitsdienst, która poczyniała sobie już zupełnie dowolnie z raportami oceniającymi liczebność sił alianckich. Wtedy von Roenne zdecydował się skorzystać z rady podpułkownika Michela. Nigdy się nie dowiemy, czy kierowała nim chęć przedstawienia Hitlerowi prawdziwego obrazu sytuacji, czy też w radzie podwładnego dostrzegł jeszcze jednš możliwość oszukania fuhrera. Należy chyba przyjąć tę drugš wersję, zważywszy, że von Roenne był aktywnym członkiem "Schwarze Kapelle", za co zapłacił w końcu życiem.

Gdy zdecydował się zawyżać dane dotyczące sił alianckich, wiedział, że nie

może nakazać podwładnym fałszowania dokumentów. SD i gestapo dowiedziałyby się o tym zaraz. Znalazł więc inne rozwiązanie. Przyjść, że brytyjskie służby specjalne, wprowadzając w błąd niemieckich agentów, podsuwają im dane zawyżone o 50%. Wystarczyło nie weryfikować tych raportów, nie porównywać liczb pochodzących z różnych źródeł, a wskaźniki natychmiast zaczęłyby piąć się w górę. Tak się też stało.

Wkrótce z raportów przygotowywanych przez Fremde Heere West wynikało, że w Wielkiej Brytanii stacjonuje 85-90 dywizji (w rzeczywistości było ich 35), w tym 7 dywizji powietrznodesantowych (w rzeczywistości - 3).

Nagle jednak stało się coś, czego się obawiał von Roenne: SD przestała zaniżać dane FHW, gdyż oficer SD, który uważał, że wywiad celowo zawyża liczebność wrogich wojsk, został przesunięty do innej służby i do Hitlera zaczęły płynąć raporty wyolbrzymiające z kolei siły aliantów.

Ta gra kosztowała pułkownika von Roennego życie: 11 października 1944 r. został aresztowany i wkrótce rozstrzelany. W ostatnim liście do matki napisał, że umiera jako „łotr na krzyżu obok Chrystusa”^{*}.

Jego działalność miała dezorganizujące znaczenie dla obrony wału atlantyckiego. Hitler i Oberkommando der Wehrmacht uwierzyli w liczby podawane przez FHW i w istnienie armii, których w rzeczywistości nie było.

^{*} Autor pomysłu, ppłk Michel. uratował się. Był prawdopodobnie agentem amerykańskim, o czym wiadczą jego powojenne losy: został wcześniej niż inni zwolniony z obozu jenieckiego i pojawił się w Heidelbergu w mundurze L'S Counter-Intelligence Corps. Wkrótce potem uciekł do radzieckiej

strefy okupacyjnej; prawdopodobnie był również agentem radzieckim.

KTÓRYCH NIE BYŁO

W mglisty poranek 26 stycznia 1944 r. transportowa dakota zatoczyła kilka kręgów nad lotniskiem amerykańskiej bazy w Cheddingtonie. zanim wieża kontrolna wyraziła zgodę na lądowanie. Opóźniecie było spowodowane zablokowaniem pasa startowego przez bombowca 5-77, który złamał podwozie podczas nieudanego lądowania. Wreszcie dakota, prowadzona przez dowiedzonego pilota, płynnie usiadła na pasie i podkołowała pod główny barak, przed którym stało kilka osób. Drzwi w kadłubie otworzyły się i po metalowej drabince wszedł sprężystym krokiem generał George Patton. Wyciągnął rękę w stronę generała Lee, kwatermistrza wojsk amerykańskich w Wielkiej Brytanii, potem przywitał się z dowódcą bazy. Wymienili kilka zdawkowych uwag na temat podłej pogody angielskiej, a w tym czasie adiutant generała umieścił jego walizkę w bagażniku packarda, na którego drzwiach nie było generalskiej gwiazdki. Wkrótce samochód wyruszył w stronę Londynu.

- Czy już wie pan, po co jedziemy do Londynu, sir? - zapytał adiutant, gdy tylko samochód minął strażników przy bramie lotniska.

- Nie mam pojęcia, ale co innego ten cholerny Ike mógłby mi zaproponować jak nie dowodzenie armią? - Patton wzruszył ramionami. - Ostatecznie nie ma tak dobrych i dowiedzonych dowódców jak ja.

Adiutant skwapliwie przytaknął; parę miesięcy służby u boku generała

nauczyło go, że nie należy mu się sprzeciwiać, gdyż może to wywołać furję.

Patton był rzeczywiście dobrym dowódcą, ale zarazem nieobliczalnym człowiekiem. Bez wstąpienia miał wielki udział w sukcesie wojsk alianckich na Sycylii podczas 39-dniowej kampanii, w której Włosi i Niemcy stracili 167 tysięcy żołnierzy. Jednakże własny temperament niszczył go. Tam, na Sycylii, spoliczkował amerykańskiego żołnierza, o czym wrogowie generała (a miał ich sporo) powiadomili prasę. Zachowanie dowódcy lejącego po twarzy podwładnych wzburzyło opinię publiczną, która zażądała postawienia Pattona przed sądem wojennym. Wiele wysiłku kosztowało przyjaciół uchronienie zdolnego dowódcy przed najgorszymi konsekwencjami.

-Dobrze cię znowu widzieć, George - Eisenhower wstał zza biurka, gdy tylko Patton dotarł do jego gabinetu w Hayes Lodge w Londynie. Jeste zmęczony, głodny?

- Nigdy nie bywam zmęczony, a zjeść co zdążyłem w samochodzie.

opieszylem się bardzo, żeby dowiedzieć się, z jakiego powodu ciśgasz mnie do Londynu.

J' -Dobrze wiesz! Potrzebuję dowiadczonych dowódców najwyższej klasy.

J - A co mi proponujesz? - Widać było, że Patton niecierpliwie oczekuje JMpowiedzi.

- Dowodzenie 3. armii.

- U tego cholernego Bradleya'. - wybuchnął Patton, którego oburzyła myśl, że

mógłby podlegać niedawnemu podwładnemu.

Eisenhower, nie zważając na ten komentarz, mówił dalej:

- Twoja armia jest jeszcze w Stanach i zanim przybędzie tutaj, minie trochę czasu. My za nie możemy czasu marnować, George. Dlatego musisz przejść dowodzenie grupami armii, których nie ma...

Patton uspokoił się i z wyrazem zaciekawienia słuchał dalszych słów

Eisenhowera.

- First United States Army Group. istniejąca jedynie w meldunkach niemieckich szpiegów, uderzy w rejonie Pas de Calais. Niemcy muszą w to uwierzyć - oświadczył Eisenhower z naciskiem. - Tej grupy wprawdzie nie ma, ale dowódca musi istnieć naprawdę. Wybrałem cię, gdyż Niemcy doskonale cię znają. Twoja osoba przyciągnie ich uwagę silniej niż milion żołnierzy. Muszę jednak zaznaczyć, że błąd z twojej strony może zniweczyć całą grę.

Eisenhower zastanawiał się długo przed tą rozmową, jak przekonać Pattona o potrzebie absolutnej dyskrecji. Wiedział, że generał rzadko panuje nad językiem i nie zastanawia się, co można powiedzieć, a czego nie. Uznał więc, że nie pora na dyplomatyczne ostrzeżenia:

- Wielokrotnie odrzucałem moje uwagi na temat nieprzemysłanych wypowiedzi dla prasy. Teraz nie udzielam ci rady. To jest rozkaz. Pomyśl, zanim co

chlapiesz, George, gdyż nie będziesz mógł winić nikogo poza sobą za konsekwencje nierozważnego gadania.

- Oczywiście! Będę ostrożny - obiecał Patton, który, bezwzględny w stosunku do podwładnych, zwykł okazywać uległość wobec przełożonych.

Wkrótce jednak złamał zakaz Eisenhowera, dotyczący publicznego pokazywania się i udzielania wywiadów. W kwietniu 1944 r. przyjął zaproszenie "Welcome Club" - organizacji zajmującej się uprzyjemnianiem żołnierzom amerykańskim służby w Anglii - do złożenia wizyty w niewielkiej wsi Knutsford, leżącej kilkanaście kilometrów od jego kwatery. Eisenhower ostrzegł: „Żadnej prasy i żadnych zdjęć”. Ufny, że słowa, skierowane do mieszkańców wioski, nie będą znane nikomu więcej, Patton stwierdził: Odkąd stało się oczywiste, w przeznaczeniu Brytyjczyków i Amerykanów jest rozdzielić wiatem, powinniśmy się lepiej poznać, aby wykonać lepszą robotę. Mieszkańcy przyjęli wypowiedź gromkimi oklaskami, gdyż miła jest myśl o rozdzieleniu wiatem, nawet w Knutsfordzie. Jednakże generał nie wspomniał o najbliższych sojusznikach: Rosjanach i Francuzach, co było ogromną niezręcznością.

Następnego dnia główne gazety angielskie i amerykańskie zacytowały wypowiedź Pattona. W Londynie w budynku przy Downing Street premier Churchill bardzo niepolitycznie wyrażał się o pyskатым generałе; w Moskwie Kreml, zadrżał od gniewu Stalina, a w Algierze w St. George's Hotel kipiał z gniewu generał Charles de Gaulle.

Szef Sztabu Generalnego, generał George Marshall, napisał do Eisenhowerii sugerujśc, aby rozważył przydatność Pattona do sprawowania funkcji dowódczych". Takie sformułowanie oznaczało nieformalne polecenie zwolnienia Pattona, ale generał Eisenhower zachował spokój. Wysłał do Pattona list:

Jestem szczerze zmęczony kłopotami wynikajścymi z t\wojego braku kontroli nad językiem i zaczynam mieć wścpliwoci co do słusznoci oceny twej osoby. A ma to istotne znaczenie w przypadku zajmowania wysokiej pozycji w hierarchii wojskowej.

Burza trwała, a Patton zadawał sobie pytanie, skšd prasa dowiedziała się o wydarzeniu w Knutsfordzie, skoro nie było tam dziennikarzy? Jakim cudem wypowied została opublikowana, skoro cała prasa podlegała rygorystycznej cenzurze wojennej? W jaki sposób informacja wydosłała się poza granice Wielkiej Brytanii? Przecież wszelka korespondencja (nawet dyplomatyczna) była starannie sprawdzana'. Patton odpowiedział sam sobie na te pytania w licie do Eisenhowera:

Jeste prawdopodobnie cholernie zawiedziony (...), ale mój ostatni rzekomy wyskok mierdzi prowokacjš, jeli się zważy, ze impreza była pod kontrolš [brytyjskiego - BW] Ministerstwa Informacji, którego przedstawiciel był obecny [w Knutsfordzie - BW],

Bez wścpienia Patton miał rację, dopatrujśc się nieuczciwej gry Brytyjczyków.

Wiele wskazywało na to, że redakcje dowiedziały się o wszystkim od przedstawiciela Ministerstwa Informacji o nazwisku Mould. Telegramy koresponden-

tów prasy zagranicznej na temat przemówienia amerykańskiego generała zostały początkowo wstrzymane przez brytyjską cenzurę, lecz wkrótce szef departamentu cenzury wyraził zgodę na ich wysłanie.

Można przypuszczać, że niefortunna wypowiedź wykorzystano do wywołania afery, która musiała zwrócić uwagę Niemców na Pattona. Skoro wywiad niemiecki zacząłby ledzić gadatliwego generała, tym samym zacząłby bacniej przyglądać się wojskom, którymi on dowodził, czyli FUSAG. O to właśnie aliancom chodziło.

Patton był rozżalony i tak przekonany, że jego kariera dobiegła końca, iż polecił ordynansowi, aby zaczął pakować walizki. Niespodziewanie wezwał go Eisenhower i najspokojniej w wiecie powiedział, by już się nie martwił tą sprawą. Patton zapisał w pamiętniku:

Ten incydent był tak trywialny w swojej naturze, lecz tak straszny w skutkach, że nie mógł być wynikiem przypadku.

W maju 1944 r. rozpoczęto ostentacyjną koncentrację jednostek FUSAG w trójkącie Dover-Cambridge-King's Lynn. Na drogach pojawiły się długie kolumny samochodów i czołgów.

Farmer ze wsi Chau End w Kencie zobaczył przez okno swojego domu kilkanaście ciężarówek, wspinających się z mazołem pod górę. Zastanowiło go, że pojazdy nie poruszają się po drodze, lecz, zjechawszy na pobocze, ruszyły przez pole. Ponieważ nie było to jego pole, nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Jednakże następnego dnia ujrział kilkadziesiąt czołgów, przetaczających się przez

jego łskę. Nasunł na głowę czapkę, wybiegł z domu i wskoczył na rower, al
jak najszybciej dotrzeć do oficera dowodzącego kolumną. Chciał zaprotestow:
przeciwko dewastacji łski. Zanim dotarł na miejsce, czołgi zniknęły równ
szybko, jak się pojawiły, a farmer ze zdziwieniem stwierdził, że trawa w ogó
nie ucierpiała pod gśienicami ciężkich pojazdów. Raptem dostrzegł, że w do'.
nie ruszył na czołgi byk rozsierdzony niecodziennym widokiem. Zaatakow
pierwszy z brzegu pojazd. Zaczepił rogiem o kadłub i nagle... czołg z hukie
rozpadł się jak balon przekłuty szpilką. Na szczęście kilkunastu żołnien
osaczyło byka i zapobiegło zniszczeniu batalionu czołgów wykonanych z gum;

W nocy na poboczach dróg wschodniej Anglii i Kentu pobłyskiwały wiatł
Z wysokości kilku tysięcy metrów - na której latały niemieckie samolo
zwiadowcze - lampki wyglądały dokładnie tak samo jak reflektory ciężarowi
wojskowych. Prowadziły do obozowisk, w których dymiły wojskowe kuchni
pracowały radiostacje i kręcili się żołnierze. Niemcy nie mogli wiedzieć, że sš
tylko rezerwicy z 10. Worcestershires i 4. Nonhamptonshires; wszyscy gorši
oddani służbie przypominającej im lata młodoci, spędzone pod koniec XI
wieku w koloniach.

W zatoczkach, ujciach rzek i portach morskich zaroilo się od jednostt
desantowych, kutrów i statków. Z ich kominów unosił się dym; na sznurat
rozciśniętych nad ładowniami suszyła się bielizna; wokół kadłubów widoczi
były plamy ropy oraz resztki jedzenia, wyrzucane przez załogi. Niemieck
samoloty rozpoznawcze robiły zdjęcia, na których widać było 400 jednostek flo

inwazyjnej. Jednakże nawet pod najsilniejszym szkłem powiększającym najlepszy niemiecki oficer, analizujący zdjęcia, nie mógłby dostrzec, że okręły zrobione są z płótna rozciągniętego na drewnianych szkieletach, a unoszą się i w wodzie dzięki pływakom z beczek po oleju. Wszystkie powstały w pracowni wytwórni filmowej w Sheppertonie pod Londynem.

Dodatkowym elementem dezorientującym był hałas w eterze, którego Niemcy słuchali bardzo uważnie. Co pewien czas nierozważnym radiotelegrafista! FUSAG wrywały się meldunki: „1/5 Queen's Royal Regiment melduje o kilku cywilnych kobietach, prawdopodobnie nie upoważnionych, w wagonie bagażowym. Co mamy z nimi zrobić? Zabrać je do Calais?” FUSAG - armie, której nie było - przejęły część łączności radiowej 21. Grupy Armii. Z rejonu stacjonowania w Portsmouth przeciągnięto kable do Dover i tam ustawiono anteny. Niemieckie stacje pelengacyjne lokalizowały nadajniki 21. Grupy Armii jako nadajniki FUSAG. a stacje nasłuchowe przypisywały nie istniejącym jednostkom meldunki wysyłane przez rzeczywiste jednostki.

Lokalna prasa zamieszczała listy księży, oburzonych „upadkiem moralności” wywołanym wtargnięciem do miejscowych społeczności dużej liczby żołnierzy „zwłaszcza amerykańskich spadochroniarzy oraz francuskich i polskich pancerniaków”. Jedna z kobiet skarżyła się, że „prę zerwały wy zamiecając okolicę w rejonie baz spadochroniarzy amerykańskich w Marham i Coggeshall”. \

Brytyjskie dowództwo potrzebowało jednak ostatecznego argumentu, który przekonałby Niemców, że inwazja nastąpi w rejonie Pas de Calais: Taką opinię

powinien wyrazić człowiek, którego autorytetu nikt nie miałby podważyć. Był nim generał Hans Cramer, ostatni dowódca Afrika Korps. Dostał się on do niewoli w maju 1943 r. i z Afryki Północnej przewieziono go do obozu w Anglii. Tam się okazało, że stan jego zdrowia pogarsza się w szybkim tempie, więc Brytyjczycy zgodzili się na odesłanie go do Niemiec. W maju 1944 r. z obozu w południowej Walii przewieziono go do Londynu. Była to dziwna podróż; przebiegała bardzo określą trasą, prowadzącą przez okolice Portsmouth, gdzie stacjonowały jednostki 21. Grupy Armii. Generał mógł obserwować maszerujące oddziały żołnierzy, sznury ciężarówek, zmierzające w kierunku portów, magazyny z zaopatrzeniem i cysterny z paliwem, ale nie mógł dostrzec żadnej tablicy z nazwą miasta, ani jednego drogowskiego - usunięto je przed paru laty, gdy Anglia szykowała się do odparcia niemieckiej inwazji. Gdzieś natomiast ustawiono fałszywe tablice, które miały zasugerować generałowi Cramerowi, że znajduje się w rejonie Dover, a nie Portsmouth.

Po drodze jeńiec jadł lunch z głównodowodzącym FUSAG", generałem Pattonem, i dowódcami kilku dywizji, z których dwóch - nie zachowując należytej ostrożności - wspomniało, że ich żołnierzy czeka walka w rejonie Calais.

23 maja 1944 r. generał Cramer dotarł na pokładzie szwedzkiego statku Gripsholm do jednego z niemieckich portów, skąd pojechał prosto do Berlina.

Został przyjęty przez generała Kurta Zeitzlera, szefa sztabu, któremu zapewne

zrelacjonował dokładnie podróż przez Anglię...

Po krótkiej kuracji został przydzielony do sztabu generała Geyra von Schweppenburga jako doradca. Wrażenia, jakie wywiózł z Anglii, przekonanie, że widział wojska grupy armii Pattona, musiały wpłynąć na decyzje ludzi odpowiedzialnych za przygotowanie wojsk niemieckich do odparcia inwazji.

jego łskę. Nasunął na głowę czapkę, wybiegł z domu i wskoczył na rower, i jak najszybciej dotrzeć do oficera dowodzącego kolumną. Chciał zaprotestować przeciwko dewastacji łski. Zanim dotarł na miejsce, czołgi zniknęły równo szybko, jak się pojawiły, a farmer ze zdziwieniem stwierdził, że trawa w ogóle nie ucierpiała pod kołami ciężkich pojazdów. Raptem dostrzegł, że w (M nie ruszył na czołgi byk rozsierdzony niecodziennym widokiem. Zaatakował pierwszy z brzegu pojazd. Zaczepił rogiem o kadłub i nagle... czołg z hulał rozpadł się jak balon przekłuty szpilką. Na szczęście kilkunastu żołnierzy osaczyło byka i zapobiegło zniszczeniu batalionu czołgów wykonanych z gumy.

W nocy na poboczach dróg wschodniej Anglii i Kentu pobłyskiwały wiał Z wysokości kilku tysięcy metrów - na której latały niemieckie samoloty zwiadowcze - lampki wyglądały dokładnie tak samo jak reflektory ciężarów wojskowych. Prowadziły do obozowisk, w których dymiły wojskowe kuchnie, pracowały radiostacje i kręcili się żołnierze. Niemcy nie mogli wiedzieć, że są tylko rezerwicy z 10. Worcestershires i 4. Northamptonshires; wszyscy gonieni oddani służbie przypominającej im lata młodości, spędzone pod koniec XIX wieku w koloniach.

W zatoczkach, ujciach rzek i portach morskich zaroilo się od jednos
desantowych, kutrów i statków. Z ich kominów unosił się dym; na sznun
rozciśniętych nad ładowniami suszyła się bielizna; wokół kadłubów widoci
były plamy ropy oraz resztki jedzenia, wyrzucane przez załogi. Niemiec
samoloty rozpoznawcze robiły zdjęcia, na których widać było 400 jednostek fl
inwazyjnej. Jednakże nawet pod najsilniejszym szkłem powiększającym najl
szy niemiecki oficer, analizujący zdjęcia, nie mógłby dostrzec, że oki
zrobione sś z płótna rozciśniętego na drewnianych szkieletach, a unoszś się
wodzie dzięki pływakom z beczek po oleju. Wszystkie powstały w pracowni.
wytwórni filmowej w Sheppertonie pod Londynem.

Dodatkowym elementem dezorientującym był hałas w eterze, którego Nien
słuchali bardzo uważnie. Co pewien czas nierozważnym radiotelegrafist
FUSAG wrywały się meldunki: „1/5 Queen's Royal Regiment melduje oki
cywilnych kobietach, prawdopodobnie nie upoważnionych, w wagonie bagE
wym. Co mamy z nimi zrobić? Zabrać je do Calais?" FUSAG - armie, któr
nie było - przejęły część łączności radiowej 21. Grupy Armii. Z rejonu
stacjonowania w Portsmouth przeciśnięto kable do Dover i tam ustawi
anteny. Niemieckie stacje pelengacyjne lokalizowały nadajniki 21. Grupy Ai
jako nadajniki FUSAG, a stacje nasłuchowe przypisywały nie istniejąc
jednostkom meldunki wysyłane przez rzeczywiste jednostki.

Lokalna prasa zamieszczała listy księży, oburzonych upadkiem moralno(
wywołanym wtargnięciem do miejscowych społeczności dużej liczby żołnie:
zwłaszcza amerykańskich spadochroniarzy oraz francuskich i polskich pani

niaków". Jedna z kobiet skarżyła się, że „prezerwatywy zamiecajś oko w rejonie baz spadochroniarzy amerykańskich w Marham i Coggeshall".

Brytyjskie dowództwo potrzebowało jednak ostatecznego argumentu, kl

przekonałby Niemców, że inwazja nastłpi w rejonie Pas de Calais: Takś opinię

powinien wyrazić człowiek, którego autorytetu nikt nie miałby podważyć. Był

nim generał Hans Cramer, ostatni dowódca Afrika Korps. Dostał się on do

niewoli w maju 1943 r. i z Afryki Północnej przewieziono go do obozu w Anglii.

Tam się okazało, że stan jego zdrowia pogarsza się w szybkim tempie, więc

Brytyjczycy zgodzili się na odesłanie go do Niemiec. W maju 1944 r. z obozu

w południowej Walii przewieziono go do Londynu. Była to dziwna podróż;

przebiegała bardzo okrężnś trasś, prowadzścś przez okolice Portsmouth, gdzie

stacjonowały jednostki 21. Grupy Armii. Generał mógł obserwować maszerujśce

oddziały żołnierzy, sznury ciężarówek, zmierzajśce w kierunku portów, magazy-

ny z zaopatrzeniem i cysterny z paliwem, ale nie mógł dostrzec żadnej tablicy

z nazwś miasta, ani jednego drogowskazu - usunięto je przed paru laty, gdy

Anglia szykowała się do odparcia niemieckiej inwazji. Gdzieniegdzie natomiast

ustawiono fałszywe tablice, które miały zasugerować generałowi Cramerowi, że

znajduje się w rejonie Dover, a nie Portsmouth.

Po drodze jeniec jadł lunch z głównodowodzścym FUSAG", generałem

Pattonem, i dowódcami kilku dywizji, z których dwóch - nie zachowujśc

należytej ostrożności - wspomniało, że ich żołnierzy czeka walka w rejonie

Calais.

23 maja 1944 r. generał Cramer dotarł na pokładzie szwedzkiego statku Gñpsholm do jednego z niemieckich portów, skšd pojechał prosto do Berlina.

Został przyjęty przez generała Kurta Zeitzlera, szefa sztabu, któremu zapewne zrelacjonował dokładnie podróż przez Anglię...

Po krótkiej kuracji został przydzielony do sztabu generała Geyra von Schwep-penburga jako doradca. Wrażenia, jakie wywiózł z Anglii, przekonanie, że widział wojska grupy armii Pattona, musiały wpłynšć na decyzje ludzi odpowiedzialnych za przygotowanie wojsk niemieckich do odparcia inwazji.

^

-t't^_ -O-llt. !';.^.

Oddziały alianckie podczas przedinwazyjnych ćwiczeń w Anglii

18 maja 1944 r. wojskowe kolumny, z których wiele rozcišgało się na 100 kilometrów, rozpoczęły powolne przemieszczanie się z rejonów zgrupowań do portów Komwalii, Devonu, Somerset. Gloucestershire, Wiltshire, Dorsetu, Sussexu i Surrey.

Dniem i nocš na wšskich drogach warczały silniki bedfordów i studebakerów, załadowanych żołnierzami, skrzyniami z amunicjš, beczkami z paliwem i olejami. Ambulanse, jeepy z karabinami maszynowymi, cišgniki artyleryjskie, czołgi, dziesiątki typów najrozmaitszych pojazdów zmierzały na południe. Rozpo-

czyniała się decydująca faza przygotowań. Dowództwo wojsk inwazyjnych musiało się upewnić co do wiedzy Niemców o terminie i celu uderzenia.

Eisenhower miał pełną wiadomość, iż informacja z Francji, że stacjonujące tam niemieckie dywizje przemieszczają się w rejon planowanej inwazji, oznaczałaby konieczność odwołania wielkiej akcji.

29 maja z Francji napłynęły niepokojące sygnały: 91. dywizja, przygotowana do zwalczania desantu powietrznego, oraz 6. pułk spadochronowy zostały przemieszczone w rejon St. Mere-Eglise, gdzie alianci planowali zrzucić spadochroniarzy.

Głównodowodzący alianckimi siłami powietrznymi, generał Leigh-Mallory, w liście do generała Eisenhowera ostrzegał, że przemieszczenie 91. dywizji do rejonu planowanego zrzutu rodzi niebezpieczeństwo zdziśtkowania spadochroniarzy i zestrzelenia ok. 50% samolotów biorących udział w akcji. Brytyjski Połączony Komitet Wywiadu (British Joint Intelligence Committee) nadesłał raport stwierdzający, że:

Główne uderzenie jest oczekiwane [przez Niemców - BW] na północnym wybrzeżu Francji od Boulogne do Cherbourga włącznie. (...) Istnieją dowody, że obszar Le Havre-Cherbourg [a więc rejon planowanej inwazji - BW] uznawany jest za możliwy, a nawet pewny rejon uderzenia.

Decyzja należała do jednego człowieka - generała Eisenhowera. Nie uwierzył on w ostrzeżenia. Oparł się jedynie na informacjach wywiadu, wskazujących, że Niemcy nie spodziewają się uderzenia w Normandii. Taka była opinia francuskiego ruchu oporu, który rozmieścił swoich ludzi w najlepszych miejscach, skąd

można było obserwować ruch niemieckich jednostek - w... pralniach. Każdy oddział Wehrmachtu w czasie przewidzianym regulaminem musiał oddać do prania pociel i bieliznę żołnierzy. Gdy nadchodził rozkaz wyjazdu, a bielizna nie była gotowa, w pralni zjawiał się żołnierz i zostawiał adres, pod którym należało odesłać czyste rzeczy. Żaden z francuskich agentów ulokowanych w pralniach nie zameldował o takiej sytuacji. Dywizje pancerne pozostawały więc na swoich miejscach - daleko od plaż Normandii.

W niedzielne popołudnie 28 maja 1944 r. Hitler wszedł do sali konferencyjnej swojej willi „Berghof” w Berchtesgaden. Podkrążone oczy i ziemista cera

wskazywały, że nie czuł się dobrze. Od kilkunastu dni osobisty lekarz, doktor Morel, aplikował coraz silniejsze rodki nasenne lub podbudzające, by utrzymać fuhrera w znanej kondycji.

Baron Oshima, ambasador japoński, jeszcze nie przybył i Hitler, oczekując na niego, krężył nerwowo po pokoju, aż wreszcie skierował się do dużego hallu, z którego prowadziły drzwi na kamienny taras. Stał obok wyprężonych na baczność esesmanów w czarnych galowych mundurach. U wylotu drogi widocznej z tarasu pojawił się czarny mercedes.

- To nasz japoński gość - powiedział stojący obok fuhrera generał Jodl.

Hitler zszedł nieco niżej, aby powitać ambasadora, który wysiadł z samochodu.

W ostatnich miesiącach przedstawiciel rządu Jego Cesarskiej Moci był dość częstym gościem Hitlera, który uważał, że wymiana informacji o wysiłkach

wojennych obu państw ma istotne znaczenie.

Po krótkim powitaniu, gdy baron kłaniał się, przytrzymując szablę przypiętą do boku, rozmówcy przeszli do sali konferencyjnej. Hitler lubił zapraszać swoich gości do reprezentacyjnego pomieszczenia w Willi Berghof, z którego rozciągał się wspaniały widok na Alpy.

Rozmowa skoncentrowała się na przewidywanej inwazji. Oshima był szczególnie zainteresowany tym tematem, gdyż zdawał sobie sprawę, że porażka aliantów może spowodować w Stanach Zjednoczonych głębokie zmiany, w wyniku których nowy prezydent zajmie się wyłącznie wojną na Pacyfiku, uznając Europę za drugorzędny front.

- Alianci uderzą w tym rejonie - Hitler wskazał na mapie rejon Pas de Calais. - Mają aż nadto powodów, aby inwazji dokonać tutaj. Oczywiście mogą podejmować ataki odwracające naszą uwagę. Sądzę, że taka pozorna inwazja nastąpi w rejonie Le Havre-Cherbourg. Nie uda im się jednak wprowadzić nas w błąd. Będziemy cierpliwie czekać, aż ich główne siły uderzą w innym miejscu, trafiając pod grzywnice naszych czołgów.

Dwa dni później brytyjska stacja nasłuchowa przechwyciła depeszę barona Oshimy, wysłaną z Berlina do Tokio. Kryptolodzy pracujący w Bletchley Park szybko ją odszyfrowali. Baron informował swój rząd o wynikach rozmów w Berghofie, z których wynikało, że Niemcy oczekują inwazji w rejonie Pas de Calais.

Jedynie feldmarszałek Erwin Rommel i jego oficer wywiadu pułkownik Anton Staubwasser przewidzieli intencje aliantów. 31 maja ci dwaj ludzie spotkali się

w gabinecie Rommla w Chateau de La Roche Guyon.

- Aliantów nie stać na to, żeby zorganizować dwa lądowania wojsk inwazyjnych - twierdził Rommel. - Nie będzie żadnych „kilku lądowań lub akcji pozornych”, jak to przewiduje OKW. Nastąpi jedno uderzenie, najprawdopodobniej w rejonie ujścia Sommy lub Sekwany.

- Zarówno OKW, jak i OB-West przewidują, że inwazja rozpocznie się od desantu powietrznego, który nastąpi o wicie lub za dnia, a główne akcje desantu morskiego zostaną przeprowadzone w ciemności, w czasie przypływu. - Staubwasser cytował tajny dokument nadesłany z kwatery feldmarszałka Rundstedta.

- Bzdura! - Rommel wstał z fotela. - Okręty desantowe będą mogły dotrzeć do brzegu tylko wtedy, gdy saperzy utworzą im przejścia wśród zapór podwodnych, a to można zrobić jedynie w czasie odpływu, gdy widać zapory. Dlatego możemy być pewni, że jednostki desantu powietrznego wysłają w nocy, aby chronić skrzydła desantu morskiego, natomiast główne siły dobiją do brzegu o wicie.

- Pozostaje pytanie: kiedy? - Staubwasser odłożył niewiele wartych dokumenty OB-West.

- Alianci mogą uderzyć w każde miejsce, jakie tylko sobie wybiorą, ale jeśli chodzi o czas, muszą podporządkować się pogodzie. Potrzebne im co najmniej sześć dni dobrej pogody...

-... a w czerwcu będą tylko dwa okresy, gdy wszystkie warunki będą aliantom sprzyjać - Staubwasser uzupełnił słowa Rommla. - Między 5 a 7 oraz między 12

a 14 tego miesiąca.

- Wtedy właśnie możemy spodziewać się uderzenia - mówił dalej Rommel. -

Dla nas najistotniejsze jest odzyskanie możliwości jak najszybszego rzucenia do walki wszystkich dywizji pancernych. Muszę spotkać się z Hitlerem i przekonać go, że jest to sprawa najwazniejsza.

- Miejmy nadzieję, że sentyment, jaki fuhrer żywi do pana, feldmarszałku, przesłdzi o pańskim zwycięstwie.

- Obawiam się, że w ostatnich miesiącach Hitler kieruje się wyłącznie sentymentami, a nie rzeczowš ocenš sytuacji. - Rommel powiedział te słowa z wyrañš ironiš. - Pojadę do Berchtesgaden, gdy tylko uznamy, że pogoda wyklucza możliwość inwazji.

Decyzję swš feldmarszałek zrealizował 5 czerwca, uznajšc, że pogoda jest tak zła, iż alianci mogš wyjć w morze dopiero za tydzieñ. Z niewiadomych powodów nie dotarł do niego meldunek pułkownika Reilego o nadaniu przez angielskš radiostację sygnału alarmowego dla francuskiego ruchu oporu.

1 czerwca od godziny 13.30 do 14.30 radiostacja w Daventry kilkakrotnie wysiała do pięciu oddziałów partyzanckich pierwsze słowa wiersza Paula Yerlaine 'a.

Pułkownik Oscar Reile wiedział, że jest to sygnał do podjęcia przez Francuzów pizygotowań do przyjęcia inwazji. Natychmiast wysłał (w 23 kopiach) raporty do i, OKW, Fremde Heere West, naczelnego dowództwa OB-West, dowódców grup Mttmii oraz armii stacjonowanych na terenie Francji, Belgii, Holandii i Danii.

2 czerwca o godzinie 7.55 w kwaterze generała Jodła meldunek został odebrany przez kapitana Henkela, który zanotował ten fakt w odpowiednich dokumentach, nie przekazując dalej informacji.

JN 3 czerwca niemieckie stacje nasłuchowe we Francji zarejestrowały między 2.00 i 14.30 drugą część wiersza Verlaine'a, nadaną piętnastokrotnie przez stację w Daventry.

Reile natychmiast wysłał raporty. Dołączył do nich notatkę:

; Podobnie jak dotychczas, linia Skalda-Normandia-Bretania uważana jest za

bardziej prawdopodobny teren ataku, jakkolwiek natychmiastowa inwazja nie

jest jeszcze oczywista.

4 czerwca o 11.37 w biurze Jodła raport przyjął major Cranz. Z nieznanego powodu nie przekazał go jednak szefowi.

W biurze pułkownika Roennego w Zossen ostrzeżenie utkwiło gdzieś w stercie papierów.

W kwaterze Rundstedta we Francji raport dotarł do ręk pułkownika Wilhelma Meyer-Dietringa, który natychmiast powiadomił oficerów wywiadu w armiach dwóch grup armii.

W 15. armii, stacjonowanej w rejonie Calais, podpułkownik Helmuth Meyer zaraz po odszyfrowaniu raportu schował go do teczek i wyruszył na poszukiwanie dowódcy armii, generała Hansa von Salmutha. Zgodnie z informacją adiutanta, znalazł go na przyjęciu, gdzie generał grał w brydża.

- Dobrze, ogłócie Alarmstufe U [stan najwyższej gotowoci bojowej - BW], ale nie widzę specjalnych powodów do niepokoju. Za stary ze mnie wyjadacz - skwitował generał treć meldunku i wrócił do gry.

Wkrótce 15. armia była gotowa do odparcia alianckich wojsk inwazyjnych, gdyby wylądowały one w okolicach Calais.

7. armia, stacjonowana w Normandii, nie została postawiona w stan pogotowia. W St. Lô oficerowie sztabu 84. korpusu brali udział w urodzinowym przyjęciu dowódcy, generała Ericha Marcksa. W Le Mans, gdzie znajdowała się siedziba dowództwa, nie było generała Friedricha Dollmanna, gdyż wyruszył on, podobnie jak wielu dowódców dywizji, na ćwiczenia sztabowe do Rennes. Przed wyjazdem nakazał szefowi sztabu, generałowi Maxowi Pemselowi. odwołanie próbnego alarmu, wyznaczonego na noc z 5 na 6 czerwca, gdyż - jak stwierdził - „ żołnierze potrzebujš snu”.

Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego żołnierze armii wyznaczonej do obrony brzegów Normandii zostali zerwani z łózek dopiero 6 czerwca o 2.15. Po wojnie pułkownik Staubwasser zeznał przed amerykańskš komisjš:

Około godziny 22.00 oficer sztabowy z 75. armii poinformował mnie przez telefon, że przechwycono jedno z kodowych słów [fragment wiersza Verlaine'a - BW] i że z tego powodu 15. armia postawiła w stan gotowoci swoich żołnierzy. Natychmiast przekazałem tę informację Speidlowi*, ale uwzględniajšc, że dowództwo Grupy Armii B" nie miało żadnych (podkrelenie Staubwassera) wskazówek, na pod-

stawie których można byłoby ocenić znaczenie przechwyconych słów, rozkazał mi on uzyskanie decyzji [o ogłoszeniu alarmu - BW] z kwatery głównej Rundstedta.

Najciekawsze, że generał Speidel przekazał ten rozkaz pułkownikowi Staubwasserowi w czasie przyjęcia, którego uczestnicy - członkowie antyhitlerowskiej organizacji "Schwarze Kapelle" - dyskutowali 22-stronicowy projekt zawieszenia broni, przygotowany podobno na żądanie feldmarszałka Rommla.

Pułkownik Staubwasser skontaktował się natychmiast z kwaterą feldmarszałka Rundstedta, ale tam „oficer sztabowy” przekazał mu rozkaz OB-West, powstrzymania się od alarmowania oddziałów.

* Gen. Hans Speidel - szef sztabu Grupy Armii B”.

Kim był ten oficer sztabowy”? Czyżby alianckim agentem, który w decydującej chwili nie dopuścił do ogłoszenia alarmu? Nie wiemy tego do dziś. Adolf Hitler był przekonany, że to generał Speidel zdradził i nie postawił w stan gotowości bojowej jednostek 7. armii. Został aresztowany przez gestapo, ale udało mu się uratować życie, a w wiele lat po wojnie mianowano go wysokim urzędnikiem NATO. Czyżby w uznaniu zasług w gorczą noc 6 czerwca?...

; nieznanym

zie w stercie

ika Wilhelma

iu w armiach

;Imuth Meyer

poszukiwanie

icjś adiutanta,

>jowej - BW],

ie wyjadacz -

inwazyjnych,

v stan pogoto-

urodzinowym

znajdowała się

ż wyruszył on,

Rennes. Przed

)wi odwołanie

jak stwierdził -

mej do obrony

2.15. Po wojnie

w przez, telefon,

^e'a - BW] i ze

rzy. Natychmiast

wództwo Grupy

izówek, na pod-

v, rozkazał wi on

Rundstedta.

ownikowi Staliby

Jityhitlerowskiej

irojekt zawiesz-

)mmla.

rš feldmarszałka

, OB-West, po-

Jedenacie minut po północy pomocnik Noel Poole wysunął się przez luk

w podłodze stirlinga lecącego na wysokości 3 tysięcy stóp nad półwyspom

Cotentin. Spadał przez chwilę jak kamień w czarną przepaść, aż poczuł

gwałtowne szarpnięcie. To automatycznie rozwijający się spadochron przywrócił

mu poczucie rzeczywistości.

Tuż nad nim, po lewej i prawej stronie, rozwinęły się trzy kolejne spadochrony

skoczków grupy „Titanic”. Po 5 minutach wszyscy wylądowali bezpiecznie na

łšce w pobliżu drogi prowadzącej do odległego o 8 kilometrów St. Ló.

Kilkanacie minut później do czterech skoczków, wypakowujących broń

i amunicję z brezentowych pojemników, dołączyło 4 następnych spadochronia-

rzy. Razem zaczęli poszukiwać dużych skrzyń, również zrzuconych na spado-

chronach. Nie minęło pół godziny, gdy niebo nad ich głowami pokryły setki

spadochronów. Każdy, kto obserwowałby tę scenę, musiałby uznać, że alianci

przystąpili do zmasowanego desantu oddziałów, których zadanie polegało na opanowaniu St. Ló. Jedynie z bliska można było dostrzec, że z samolotów zrzucono gumowe 60-centymetrowe lalki, które po uderzeniu o ziemię wydawały odgłos imitujący ogień karabinowy prawdziwych spadochroniarzy.

Porucznik Poole i jego grupa zamontowali głośniki emitujące dźwięki wybuchających pocisków, strzelających modzierz, odgłosy komend dowódców i okrzyki żołnierzy. Po trzydziestu minutach Poole i pozostali żołnierze porzucili aparaturę i rozpoczęli odwrót.

Podobne desanty", przeprowadzone w kilkunastu innych miejscach, spełniły zamierzone zadanie: niemieckie oddziały, przewiadczone, że rozpoczyna się) walka, zajęły pozycje obronne. Zabrakło ich w miejscach, gdzie rzeczywiście | wylądowali alianccy spadochroniarze. Gumowe kukły zmyliły nawet głów-*) | nodowodzszego wojskami niemieckimi na Zachodzie.

Feldmarszałek Gerd von Rundstedt poszedł spać o 23.00. W jego kwaterze i spodziewano się tej nocy problemów, gdyż zła pogoda wydawała się przek] możliwość inwazji. Najwyżsi niemieccy- oficerowie byli przekonani, że ; dowódca nie wydałby rozkazu wyjścia okrętów w morze przy wietrze, kti siła przekraczała 6 stopni w skali Beauforta.

O godzinie 2.15 w kwaterze von Rundstedta zadzwonił telefon. Szef sz 7. armii, generał Pemsel, informował o desantach spadochronowych.

Kilkanacie minut później USS Bayfeid, na którego pokładzie płynął dowó

oddziałów, mających atakować plażę oznaczoną kryptonimem Utah", n
kotwicę w odległości 11,5 mili od brzegu. O 2.51 USS Ancon, okręt dowod
jednostkami amfibijnymi, zakotwiczył w odległości 11 mil od plaży okrel
przez Amerykanów kryptonimem Omaha".

O 2.55 generał Pemsel przekazał do kwatery von Rundstedta informację,]
z morza na wschód od Cotentin dobiega hałas silników okrętowych (cli

ię przez luk

półwyspom

, aż poczuł

} przywrócił

.padochrony

:piecznie na

Ló.

szych broni

adochronia-

i na spado-

ikryły setki

, że alianci

idegało na

samolotów

ę wydawa-

ięki wybu-

dowódców

e porzucili

h, spełniły

)czyzna się

sczywicie

vet głów-

aterze nie

rzekrelać

że żaden

;, którego

;ef sztabu

dowódca

", rzucił

rodzenia

krelonej

nację, że

chodziło

o USS Ancon), a w rejonie Cherbourga dostrzeżono kilka nieprzyjacielskich okrętów. Rundstedt, wyrwany z głębokiego snu, w szlafroku przechadzał się po gabinecie.

- Nie mam pewności, czy nie jest to główna operacja aliantów - powiedział do generała Bodš Zimmennanna, który nie zdążył położyć się spać, gdyż na tę noc zaplanował sobie urlop, ale nie odjechał daleko; adiutant szybko go odnalazł. - Proszę udać się natychmiast do Berchtesgaden i przedstawić sytuację w kwaterze fuhrera.

Feldmarszałek wziął prysznic i wypił filiżankę mocnej kawy. O 3.15 wszedł do pokoju operacyjnego, aby na bieżąco obserwować rozwój wydarzeń - na podstawie meldunków наносzonych na mapy przez dyżurnych zbierających informacje z całego wybrzeża.

Już po godzinie zorientował się, że desant spadochronowy był początkowo fazą wielkiej operacji inwazyjnej. Wiedział, że skierowanie do boju dywizji pancernych przesłdzi o rozwoju sytuacji. Gdyby czołgi wyruszyły natychmiast, to w ciemnościach - chroniących je przed samolotami - szybko dotarłyby do ; miejsca lądowania wojsk alianckich...

O godzinie 4.05, na dwie godziny przed wschodem słońca, z amerykańskich okrętów w rejonie Omaha" żołnierze zaczęli przesiadać się do pojazdów, amfibijnych i jednostek desantowych. |

Feldmarszałek wahał się. Zdawał sobie sprawę, że rozkaz skierowania dywizji j pancernych do walki z desantem może mieć dla niego bardzo poważne konsekwencje. Jednakże o 4.30 rozkazał dwóm dywizjom: 12. SS Hitler Jugend"-j stacjonowanej między Paryżem i Caen - oraz Panzer Lehr (między Orlea i Caen) wyruszyć w stronę wybrzeża Normandii. Jednocześnie wydał rozki

dowódcy 12. dywizji SS, generałowi Kultowi Meyerowi, aby połowę i skierował na północ od Lisieux w celu zniszczenia spadochroniarzy. N domyślał się nawet, że nie było tam żadnych spadochroniarzy, a jedynie gumot' kukły...

Mimo rozproszonych sił jednostki pancerne, które zmierzały do Norma stanowiły siłę wystarczającą do zmielenia żołnierzy zbiegających z oku desantowych.

O 5.30 alianckie okręty, które zajęły pozycje wzdłuż 60-milowego odcin wybrzeża, rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich punktów dowodzenia i wisk ciężkiej artylerii. 600 okrętów salwa po salwie wstrzeliwało się w bu

O 6.30 pierwsze dwadziecia okrętów desantowych LCVP (Landing Yehicle or Personnel) - z których każdy przewoził 30 żołnierzy z 8.

4. dywizji - otworzyło rampy w odległości około 90 metrów od plaży oznac kryptonimem Utah". Żołnierze zeskakiwali do morza i brnę po pas w wo zbliżali się do brzegu.

Opór niemiecki był znikomy, gdyż kilkanacie minut wcześniej

i działka 276 bombowców B-26 Marauder zniszczyły najsilniejszy punkt oporu - bunkier W5, uzbrojony w 5 dział.

Feldmarszałek von Rundstedt nie był pewny, czy właściwie ocenia sytuację.

A jeżeli meldunki o zbliżaniu się floty inwazyjnej do Normandii są wynikiem sprytnego podstępu aliantów, zastosowanego po to, aby cięgnąć tam główne siły

niemieckie, gdy właściwa inwazja rozpocznie się gdzie indziej? Był przekonany, że atak nastąpi w Pas de Calais. Nie chciał brać na siebie ciężaru odpowiedzialności i do OKW wysłał meldunek:

OB-West zdaje sobie sprawę, że jeżeli [podkrelenie moje - BW] jest to nieprzyjacielska operacja na pełną skalę, to może być ona zniszczona jedynie przez bezprecedensową akcję naszych sił. To wymaga zaangażowania tego dnia dostępnych strategicznych rezerw (...) 12. dywizji SS i Panzer Lehr. Jeżeli wyruszą szybko, mogą przystąpić do bitwy na wybrzeżu w ciągu dnia.

Oficer dyżurujący w OKW nie odważył się jednak obudzić generała Jodła.

W rezydencji Hitlera w Berchtesgaden admirał Karl Doenitz odebrał telefon z OKW, około 5.00, i dowiedział się, że nadszedł „niejasny meldunek o jakiej próbie inwazji we Francji”. Doenitz zdecydował się nie budzić Hitlera, gdyż niewiele miał mu do powiedzenia, poza tym istniała obawa, że obudzenie wodza o tej porze spowoduje jedną z niekończących się scen, które często prowadziły do podejmowania najgorszych decyzji.

Tymczasem niemieckie dywizje pancerne, zgodnie z rozkazem feldmarszałka von Rundstedta, zbliżały się do normandzkiego wybrzeża.

O godzinie 6.00 obudził się Jodl, którego natychmiast poinformowano o napływających meldunkach: że we Francji nastąpiła inwazja i feldmarszałek von Rundstedt rzucił do walki dwie dywizje pancerne. Jodl wpadł we wściekłość. Był przekonany, że inwazja nastąpi w rejonie Pas de Calais i tam należy skierować odwody pancerne. Wydał rozkaz natychmiastowego zatrzymania czołgów. O 7.30

osobicie poinformował o tym Rundstedta. Ten mógł odwołać się tylko do Hitlera.

Nie zrobił tego jednak. Być może dlatego, że miał bardzo słaby słuch i korzystał z telefonu najrzadziej, jak mógł. Być może dlatego, że nienawidził Hitlera i uważał, że feldmarszałkowi nie wolno się poniżać telefonowaniem do kaprała.

[: . W sytuacji gdy Jodl zatrzymał dwie dywizje, w Normandii do walki z amerykańskimi, kanadyjskimi i brytyjskimi oddziałami wychodzącymi na brzeg mogło

I kańskimi, kanadyjskimi i brytyjskimi oddziałami wychodzącymi na brzeg mogło

I Stanść 146 czołgów i 51 dział samobieżnych 21. dywizji pancernej, zamiast 500

IŁ czołgów, 100 dział samobieżnych oraz 40 tysięcy grenadierów pancernych trzech Ijdywizji.

^ Hitler obudził się o 10.00. Do jego pokoju weszli admirał Puttkamer i drugi

adiutant, generał Rudolf Schmudt. Przynieśli mapę północnego wybrzeża

ftancji z naniesionymi znakami, obrazującymi rozwój sytuacji w ciągu ostatnich

" "an. Hitler, ubrany w szlafrok, wysłuchał ich uważnie i nakazał wezwać

narszałka Wilhelma Keitla, szefa naczelnego dowództwa Wehrmachtu, oraz

raia Jodla. Stawili się po kilku minutach. Jodl wyjaśnił, że wydał już rozkaz

mania dywizji pancernych, uruchomionych przez Rundstedta.

o USS Ancon), a w rejonie Cherbourga dostrzeżono kilka nieprzyjacielskich

okrętów. Rundstedt, wyrwany z głębokiego snu, w szlafroku przechadzał się po

gabinecie.

- Nie mam pewności, czy nie jest to główna operacja aliantów - powiedział do

generała Bodš Zimmermanna, który nie zdążył położyć się spać, gdyż na tę noc

zaplanował sobie urlop, ale nie odjechał daleko; adiutant szybko go odnalazł. -

Proszę udać się natychmiast do Berchtesgaden i przedstawić sytuację w kwaterze fuhrera.

Feldmarszałek wziął prysznic i wypił filiżankę mocnej kawy. O 3.15 wszedł do pokoju operacyjnego, aby na bieżąco obserwować rozwój wydarzeń - na podstawie meldunków nanoszonych na mapy przez dyżurnych zbierających informacje z całego wybrzeża.

Już po godzinie zorientował się, że desant spadochronowy był początkowo fazą wielkiej operacji inwazyjnej. Wiedział, że skierowanie do boju dywizji pancernych przesłdzi o rozwoju sytuacji. Gdyby czołgi wyruszyły natychmiast, to w ciemnościach - chroniących je przed samolotami - szybko dotarłyby do miejsca lądowania wojsk alianckich...

O godzinie 4.05, na dwie godziny przed wschodem słońca, z amerykańskich okrętów w rejonie Omaha" żołnierze zaczęli przesiadać się do pojazdów amfibijnych i jednostek desantowych.

Feldmarszałek wahał się. Zdawał sobie sprawę, że rozkaz skierowania dywizji pancernych do walki z desantem może mieć dla niego bardzo poważne konsekwencje. Jednakże o 4.30 rozkazał dwóm dywizjom: 12. SS Hitler Jugend" - stacjonowanej między Paryżem i Caen - oraz Panzer Lehr (między Orléans i Caen) wyruszyć w stronę wybrzeża Normandii. Jednocześnie wydał rozkaz dowódcy 12. dywizji SS, generałowi Kultowi Meyerowi, aby połowę sił skierował na północ od Lisieux w celu zniszczenia spadochroniarzy. Nie domyślał się nawet, że nie było tam żadnych spadochroniarzy, a jedynie gumowe

kukły...

Mimo rozproszonych sił jednostki pancerne, które zmierzały do Normandii, stanowiły siłę wystarczającą do zmielenia żołnierzy zbiegających z okrętów desantowych.

O 5.30 alianckie okręty, które zajęły pozycje wzdłuż 60-milowego odcinka wybrzeża, rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich punktów dowodzenia i stanowisk ciężkiej artylerii. 600 okrętów salwa po salwie wstrzeliwało się w bunkry.

O 6.30 pierwsze dwadzieścia okrętów desantowych LCVP (Landing Craft, Vehicle or Personnel) - z których każdy przewoził 30 żołnierzy z 8. pułku 4. dywizji - otworzyło rampy w odległości około 90 metrów od plaży oznaczonej kryptonimem Utah". Żołnierze zeskakiwali do morza i brnęli po pas w wodzie, zbliżali się do brzegu.

Opór niemiecki był znikomy, gdyż kilkanaście minut wcześniej bomby

i działka 276 bombowców B-26 Marauder zniszczyły najsilniejszy punkt oporu - bunkier W5, uzbrojony w 5 dział.

Feldmarszałek von Rundstedt nie był pewny, czy właściwie ocenia sytuację.

A jeżeli meldunki o zbliżaniu się floty inwazyjnej do Normandii są wynikiem sprytnego podstępu aliantów, zastosowanego po to, aby ciśnąć tam główne siły niemieckie, gdy właściwa inwazja rozpocznie się gdzie indziej? Był przekonany, że atak nastąpi w Pas de Calais. Nie chciał brać na siebie ciężaru odpowiedzialności i do OKW wysłał meldunek:

OB-West zdaje sobie sprawę, że jeżeli [podkrelenie moje - BWJ] jest to nieprzyjacielska operacja na pełną skalę, to może być ona zniszczona jedynie przez bezprecedensową akcję naszych sił. To wymaga zaangażowania tego dnia dostępnych strategicznych rezerw (...) 12. dywizji SS i Panzer Lehr. Jeżeli wyruszą szybko, mogą przystąpić do bitwy na wybrzeżu w ciągu dnia.

Oficer dyżurujący w OKW nie odważył się jednak obudzić generała Jodła.

W rezydencji Hitlera w Berchtesgaden admirał Karl Jesko von Puttkamer odebrał telefon z OKW, około 5.00, i dowiedział się, że nadszedł „niejasny meldunek o jakiej próbie inwazji we Francji”. Puttkamer zdecydował się nie budzić Hitlera, gdyż niewiele miał mu do powiedzenia, poza tym istniała obawa, że obudzenie wodza o tej porze spowoduje jedną z niekończących się scen, które często prowadziły do podejmowania najdziwniejszych decyzji.

Tymczasem niemieckie dywizje pancerne, zgodnie z rozkazem feldmarszałka von Rundstedta, zbliżały się do normandzkiego wybrzeża.

O godzinie 6.00 obudził się Jodl, którego natychmiast poinformowano o napływających meldunkach: że we Francji nastąpiła inwazja i feldmarszałek von Rundstedt rzucił do walki dwie dywizje pancerne. Jodl wpadł we wściekłość. Był przekonany, że inwazja nastąpi w rejonie Pas de Calais i tam należy skierować odwody pancerne. Wydał rozkaz natychmiastowego zatrzymania czołgów. O 7.30 osobiście poinformował o tym Rundstedta. Ten mógł odwołać się tylko do Hitlera. Jodl nie zrobił tego jednak. Być może dlatego, że miał bardzo słaby słuch i korzystał z telefonu najrzadziej, jak mógł. Być może dlatego, że nienawidził Hitlera i uważał, że feldmarszałkowi nie wolno się poniżać telefonowaniem do kaprała.

W sytuacji gdy Jodl zatrzymał dwie dywizje, w Normandii do walki z amerykańskimi, kanadyjskimi i brytyjskimi oddziałami wychodzącymi na brzeg mogło wejść 146 czołgów i 51 dział samobieżnych 21. dywizji pancerniej, zamiast 500 czołgów, 100 dział samobieżnych oraz 40 tysięcy grenadierów pancernych trzech dywizji.

Hitler obudził się o 10.00. Do jego pokoju weszli admirał Puttkamer i drugi adiutant, generał Rudolf Schmundt. Przyniesli mapę północnego wybrzeża Francji z naniesionymi znakami, obrazującymi rozwój sytuacji w ciągu ostatnich dni. Hitler, ubrany w szlafrok, wysłuchał ich uważnie i nakazał wezwać marszałka Wilhelma Keitla, szefa naczelnego dowództwa Wehrmachtu, oraz generała Jodła. Stawili się po kilku minutach. Jodl wyznał, że wydał już rozkaz o wycofaniu dywizji pancernych, uruchomionych przez Rundstedta.

- Aprobuję tę decyzję - powiedział Hitler. - Użycie rezerw strategicznych musi poczekać na wykrystalizowanie się sytuacji.

Tę opinię powtórzył kilkakrotnie.

Na Zachodzie tymczasem 1600 pojazdów pancernych z napełnionymi zbiornikami i załadowanych amunicją na darmo oczekiwało rozkazu wyruszenia do Normandii.

Około 11.00 pułkownik Roenne został powiadomiony, że w czasie porannej narady Hitler nakazał przygotowanie oceny sytuacji we Francji. Pułkownik zebrał ostatnie meldunki, jakie nadeszły od agenta „Arabel”, i zamknął się

w swoim gabinecie, aby do 12.00, na którą wyznaczona była konferencja w „Berghofie”, przygotować raport.

Siły użyte w inwazji stanowił relatywnie mały część dostępnych sił alianckich. Z 60 dużych formacji [dywizji - BW). stacjonowanych w południowej Anglii, wydaje się, że użyto zaledwie 10 lub 12, w tym powietrznodesantowe - pisał pułkownik Roenne. I ostrzegał: - Żadna z jednostek First United States Army Group, składająca się z ok. 25 dużych formacji, stacjonowanych na północ i południe Tamizy, nie została dotychczas użyta. To wskazuje, że wróg planuje dalszą, na pełną skalę, operację w rejonie kanału La Manche, jedna z nich może być oczekiwana w sektorze Pas de Calais.

Biuletyn zawierający tę notatkę wręczono uczestnikom konferencji, która rozpoczęła się w zamku Klessheim, dość daleko od ośrodków dowodzenia Wehrmachtem. O wyborze tego miejsca zdecydował rozkład zajęć Hitlera, który tam właśnie podejmował nowego premiera Węgier, generała Dome Sztójjay. Z tego też powodu fuhrer nie dotrwał do końca narady, musiał powitać gościa.

Jednakże tuż po godzinie 14.00 Hitler wyszedł z sali. w której podano uroczysty obiad na cześć węgierskiego gościa, aby polecić generałowi Schmuntowi przekazanie zgody na użycie dwóch dywizji pancernych, z zastrzeżeniem, że nie wolno użyć do walki w Normandii żadnej z jednostek 15. armii z Pas de Calais.

Około 16.00 czołgi i działa samobieżne dwóch dywizji pancernych rozpoczęły ponowny marsz w stronę normandzkich wybrzeży. Straciły prawie 12 bezcen-

nych godzin, podczas których - korzystając z osłony ciemności, a później porannych mgieł, chroniących przed alianckimi samolotami - mogły szybko dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Obecnie ich szansę na rychłe przemieszczenie były znacznie mniejsze.

Samoloty alianckie przystąpiły do blokowania wszelkich dróg, jakie pozostały po wysadzeniu przez ruch oporu mostów i torów kolejowych.

Generał Eisenhower zdecydował się wprowadzić w życie plan opracowany przez generała Montgomery'ego, a określony stworzeniem „duszących punktów” („choke points”). Początkowo dowództwo amerykańskiej 8. armii lotniczej protestowało przeciwko zniszczeniu miast leżących na trasie przejazdu niemieckich czołgów, jednakże musiało ustąpić wobec rozkazu głównodowodzącego - generała Eisenhowera.

Francuskie miasta i wsie zostały obrzucone gradem amerykańskich bomb. Wie Bocage, licząca 1500 mieszkańców, została starta z powierzchni ziemi. St. Lô zamieniono w kupę gruzów. W szesnastotysięcznym Coutances bomby latających fortów oszczędziły tylko piękną katedrę neogotycką. Również w Lisieux ocalała jedynie katedra. Podobny los spotkał dziesiątki normandzkich miast.

Czołgi z trudem przedzierały się przez gruzy, musiały godzinami oczekiwać, aż saperzy utworzą przejazd w stertach ruin blokujących ulice, albo kierowały się na wielokilometrowe objazdy. Ruch 500 czołgów i około 50 tysięcy żołnierzy został spowolniony, a każda godzina dawała aliantom szansę na wzmocnienie sił, ciągnięcie większej liczby dział przeciwpancernych, amunicji, czołgów, ciężkiej

artylerii.

W tej sytuacji najniebezpieczniejsze dla wojsk inwazyjnych pozostawały oddziały 15. armii w Pas de Calais. Mogły one w cięgu jednego dnia dotrzeć do Normandii. Należało więc za wszelki cenę umocnić Hitlera w przekonaniu, że desant w Normandii jest pułapką, a właściwe uderzenie nastąpi w Pas de Calais, gdy tylko stacjonowane tam oddziały zostaną skierowane do wsparcia jednostek walczących w Normandii.

OSTATNI CIOS

8 czerwca 1944 r. radiostacja w Paryżu odebrała szyfrogram nadany przez Andre" z Londynu. Kilkanacie minut później w Zossen pułkownik Roenne otrzymał odszyfrowany tekst:

Na własne oczy widziałem, jak oddziały grupy armii Pattona przygotowują się do wyruszenia z rejonów zgrupowań do portów na wschodnim i południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Według słów generała Pattona, operacja odwracająca uwagę w Normandii rozwija się dobrze i w tej sytuacji nadszedł czas, aby przystąpić do akcji w rejonie Calais.

Pułkownik Roenne nie miał powodów, by wątpić w meldunek agenta Andre", który kilka tygodni wcześniej został mianowany oficerem łącznikowym przy dowództwie FUSAG, a więc miał bezpośredni dostęp do najważniejszych decyzji podejmowanych przez generała Pattona.

Roenne kazał przynieść wszystkie materiały, które w ciągu ostatnich kilku dni

zebrano na temat FUSAG. Gdy na biurku pojawiła się gruba teczka, wyszł z niej kilka wycinków z prasy angielskiej, informujących, że 9 i 10 czerwca do zamku w Dover przybędzie szef Sztabu Generalnego US Army, generał George Marshall. Bez wątpienia, takie wydarzenie łączyło się z czymś szczególnym. A co szczególnego działo się w tych dniach? Oczywiście - wyruszenie oddziałów FUSAG do walki.

Teczka zawierała również raport z rozpoznania lotniczego. Z analizy zdjęć wynikało, że w Orwelle i Debenie następuje koncentracja okrętów inwazyjnych. Nasłuch radiowy meldował o gwałtownym zaniku normalnej łączności, co z reguły poprzedzało wyruszenie oddziałów do akcji. Pułkownik Roenne wysłał depeszę do wszystkich dowódców wojsk niemieckich na Zachodzie:

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, główna operacja inwazyjna na półwyspie belgijskim jest oczekiwana 10 czerwca. Wycofanie jednostek z rejonu 15. armii jest niewskazane.

Następnego dnia, tuż przed południową konferencją Hitlera z najwyższymi dowódcami, do Berghofu zadzwonił pułkownik Roenne. Telefon odebrał pułkownik Friedrich-Adolf Krummacher, oficer wywiadu podlegający bezpośrednio Hitlerowi.

-Musisz przekazać fuhrerowi - mówił Roenne, wyraźnie podekscytowany -

o decyzji skierowania do Normandii jednostek 15. armii będzie niewybaczal-

nym błędem. Nasłuch radiowy przechwycił właśnie depesze dla belgijskiego

ichu oporu, nakazując podjęcie na masową skalę działań sabotażowych noc

19 na 10 czerwca. Musi pan też poinformować Führera, że najnowsze doniesienia wywiadu wskazują, iż wróg jest już gotowy do rozpoczęcia wielkiej operacji inwazyjnej.

Oczywiście. Zaprezentuję pański punkt widzenia z pełnym zaangażowaniem inojej strony - zapewnił Krummacher odkładając słuchawkę. Nie była to pusta obietnica, która miała uspokoić podekscytowanego szefa Fremde Heere West, Oficer wywiadu Hitlera również był przekonany, że alianci uderzą w rejonie Calais.

Hitler bardzo uważnie wysłuchał opinii Jodla i raportu Roennego. Zdecydował jednak, że nie podejmie decyzji w sprawie użycia jednostek 15. armii wcześniej niż podczas konferencji o północy. Tak więc najbliższe 12 godzin miało przesądzić o losach inwazji.

Tuż przed konferencją generał Jodl przekazał Hitlerowi meldunek, który nadszedł z Madrytu od generała Ericha Kuhlenthala, kierującego najcenniejszymi agentami niemieckimi w Wielkiej Brytanii (w tym również „Andrem”).

- Sszdę, mein Führer, że w obecnej sytuacji jest to dokument szczególnie ważny - powiedział Jodl, podsuwając tekturową teczkę zawierającą raport z Madrytu.

Hitler sięgnął po szkło powiększające, którego musiał używać ze względu na

bardzo słaby wzrok, i zagłębił się w lekturze.

Po osobistej wymianie poglądów z moimi agentami (...) i uwzględnieniu

^masowanej koncentracji wojsk we wschodniej i południowowschodniej części

Anglii, nie biorących udziału w dotychczasowej operacji, doszedłem do wniosku,

ze [normandzka - BW] operacja jest manewrem odwracającym naszą uwagę. Jej

celem jest ciśnięcie naszych rezerw w rejon przyczółków, aby przeprowadzić

decydujące uderzenia w innym miejscu...

Być może dokument ten zdecydował o losach wojny na Zachodzie...

Następnego dnia w Storey's Gate w centrum Londynu zebrali się najwyżsi

dowódcy amerykańscy i brytyjscy, którzy pozostali jeszcze w Wielkiej Brytanii.

Przybył również generał Marshall. Wszyscy doskonale rozumieli, jak ważne

chwile nadeszły. Na razie rozwój sytuacji można było uznać za pełny sukces.

Plany przewidywały, że czwartego dnia inwazji alianci przerzucą na wybrzeże

normandzkie 16 dywizji, które będą musiały stawić czoło 21 i pół dywizji

niemieckiej. Tymczasem 10 czerwca Niemcy mieli w Normandii 10 i pół

dywizji. Taki był efekt zmasowanego bombardowania, zablokowania szlaków

komunikacyjnych przez francuski ruch oporu i wielkiej gry wywiadu, która

wprowadziła w błąd niemieckie dowództwo. Jednakże ta korzystna dla aliantów

sytuacja mogła zmienić się z godziny na godzinę. Czołgi i żołnierze 15. armii

potrzebowali zaledwie jednego dnia, żeby dotrzeć do Normandii.

W pewnej chwili do pokoju weszła Joan Bright - sekretarka, której pieczy

powierzono najtajniejsze dokumenty. Trzymała w ręku czarną teczkę. Wszyscy

rozpoznali Black Book" - teczkę, w której przechowywano rozszyfrowane depesze Enigmy". Miss Bright położyła teczkę na stole mówiąc, że są tam dokumenty, które mogły zainteresować zebranych.

Generał Marshall i generał Brooke podeszli do stołu. Uważnie czytali dokument i po chwili ich twarze rozjaśniły się. Tezka zawierała rozszyfrowaną depeszę, informującą o wynikach północnej konferencji w Berchtesgaden: Hitler nie tylko nie zdecydował się skierować do walki w Normandii jednostek

15. armii, lecz, przewidując rychłe uderzenie w rejonie Pas de Calais, uznał za konieczne wzmocnienie 15. armii.

Obecny w pokoju pułkownik Ronald Wingate napisał później:

Wygramy i cóż to być za wspaniały moment! Wiedzieliśmy, że musimy wygrać; mogły być jeszcze ciężkie bitwy, ale wygramy! W pokoju nie było nikogo tak zaskoczonego jak Bevan*, który zapewne nie sądził, że cała ta gra się uda. Reakcja Brooke'a** była dziwna. Powiedział, że jeżeli Hitler był takim cholernym głupcem, to dlaczego tak dużo czasu zajęło nam pokonanie go. (...)

Wszedł premier z Stewartem Menziesem [szefem tajnych służb - BW1 i powiedział, że było to koronne osiągnięcie w długiej i chwalebnej historii brytyjskich tajnych służb - lub coś podobnego...

jeńcy niemieccy

* Pik. John Bevan - b. szef organizacji dywersyjnej London Controlling Section.

** Gen. Alan Bródkę - Szef Sztabu Imperialnego, doradca Churchilla.

PIERWSZA ODPOW

Po dotkliwej, kompromitującej klęsce w Pearl Harbor. w grudniu 1941 r..

Amerykanie chwycili za broń; ale żołnierze nie umieli walczyć ani też nie byli odpowiednio uzbrojeni. Dowódcy nie mieli dowiadczania, które w Europie od wielu miesięcy zbierali walczący. Na wyspach Pacyfiku japońska potęga rozlewała się szeroko, zmywając amerykańskie garnizony. Generał Douglas MacArthur raportował z Filipin: Sukcesy nieprzyjaciela wynikają z naszej słaboci na morzu i w powietrzu. Nawodne elementy Floty Azjatyckiej zostały wycofane, a efekty działań okrętów podwodnych są bez znaczenia. Brak lotnisk dla nowoczesnych samolotów pocigowych pozwala Japończykom bombardować w dzień. Nieprzyjaciel uzyskał swobodę operacji morskich i powietrznych.

Admirał Chester Nimitz, który 31 grudnia 1941 r. objął dowództwo Floty Pacyfiku, stosował taktykę „uderz i uciekaj”. Wypady samolotów, startujących z lotniskowców, nie odgrywały jednak większej roli militarnej i propagandowej. Amerykanie potrzebowali sukcesu, o którym można by pisać na pierwszych stronicach wszystkich gazet.

Nalot na Tokio! To byłby sukces! Ale jak dotrzeć do stolicy Japonii? Bazy ciężkich bombowców B-29 były zbyt daleko, aby startujące z nich samoloty mogły

dolecieć do Japonii, zrzucić bomby i powrócić na macierzyste lotniska. Poza tym wątpliwe, czy udałoby się im przedrzeć przez japońską powietrzną obronę przeciwlotniczą. Atak samolotów z lotniskowców też był mało prawdopodobny, gdyż okręty Imperialnej Marynarki patrolujące wody 400-500 mil od brzegów wyspy Honsiu utworzyły barierę nie do przezwyciężenia. Lotniskowiec poszedłby na dno, zanim zdążyłby wypuścić samoloty. Ponadto bazujące na lotniskowcach jednosilnikowe myśliwce bombardujące i bombowce zabierały tak niewielki ładunek bomb, że nie wyrządziłyby większej szkody japońskiemu miastu.

A jednak admirał Ernest J. King nie rezygnował z przeprowadzenia spektakularnej akcji. W końcu stycznia 1942 r. wezwał na naradę członków swego sztabu i kilku dowódców jednostek sił powietrznych.

- Jeżeli nie można posłać jednosilnikowych bombowców, to dlaczego nie skorzystać z bombowców o dużym zasięgu? - zapytał komandor F. Łów ze sztabu admirała Kinga. Kilka dni wcześniej oglądał, jak załogi dwusilnikowych bombowców ćwiczyły zrzucanie bomb na pokład lotniskowca, narysowany na planie (na mapie) lotniska. - Mogłyby wystartować z pokładu lotniskowca, ale nie miałyby tam wracać. Po zbombardowaniu celów w Japonii mogłyby dolecieć do Japonii i tam lądować. Podobną metodę ataku zastosowano, gdy bombowce brytyjskie w 1940 r. atakowały obiekty we Włoszech, a nie mając paliwa na powrót do bazy, lądowały we Francji.

"Admirałowi Kingowi spodobała się ta myśl. Powiadomił generała Henry'ego Arnolda, głównodowodzącego siłami powietrznymi wojsk lądowych US Army Air Force. Temu za nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pięćdziesięcio-

pięcioletni generał był entuzjastą broni powietrznej; głęboko wierzył w idee teoretyków wojny powietrznej: Włocha Giulio Douheta i Amerykanina Williama Mitchella. utrzymujących, że ciężkie bombowce, o dużym zasięgu i potężnym uzbrojeniu obronnym, mogą przedrzeć się przez każdą zaporę i niszczyć miasta oraz zakłady przemysłowe wroga, zmusić go do kapitulacji. Milionowym armiom lądowym pozostałoby tylko zajmowanie terytorium poddających się nieprzyjaciół i likwidowanie oporu oddziałów, które chciałyby uniknąć niewoli. Generał Arnold przystał od razu na pomysł szaleńczego rajdu na Tokio i zasugerował, aby nalotu dokonały bombowce B-25 Mitchell.

Te dwusilnikowe samoloty miały zasięg 2 tysięcy kilometrów, który można było zwiększyć, instalując dodatkowe zbiorniki paliwa i usuwając z kadłubów wszystko, co nie było niezbędne. I tak zdemontowano ciężkie celowniki bombowe Norden i karabiny maszynowe tylnego strzelca, wstawiając w ich miejsca kije od szczotek, aby przestraszyć japońskich pilotów, którzy chcieliby atakować od ogona. Ładunek bomb zmniejszono do 900 kilogramów. Załogi, które ochotniczo zgłosiły się do tej misji (choć nie wiedziały, dokąd polecą), musiały opanować cyrkową sztukę startu z pasa o długości stu kilkudziesięciu metrów. Ich dowódca, weteran I wojny światowej, pułkownik James H. Doolittle, przyglądał się z niepokojem pierwszym próbom na lotnisku na Florydzie.

Na pasie stanowym zaznaczono linię oznaczającą koniec pokładu lotniskowca. Samoloty, jeszcze bez bomb i ze zbiornikami paliwa napełnionymi do połowy, musiały wzbić się w powietrze dokładnie po 140 metrach. Początkowo wznosiły się

daleko za wyznaczoną linię. W bojowych warunkach oznaczałoby to rozbitcie na falach oceanu. Wkrótce jednak udało się opanować tę trudną sztukę i wybrano 24 najlepsze załogi. 16 z nich dopuszczono do udziału w przygotowywanej akcji.

Na początku lutego załoga nowiutkiego lotniskowca Hornet ze zdziwieniem patrzyła, jak na pokład okrętu władowano dwa duże bombowce B-25. Wyglądały monstrualnie na wąskim pasie startowym. Odległość ich skrzydeł od krawędzi burt wynosiła tylko 1,8 metra. Najbardziej dowiadczeni marynarze nie umieli wyjanić, po co znalazły się na pokładzie lotniskowca tak duże i ciężkie samoloty. Z jeszcze większym niedowierzaniem patrzono, jak okręt po wypłynięciu w morze w pobliżu Norfolku (Wirginia) ustawił się dziobem pod wiatr i dwa samoloty, z których każdy ważył 15 ton, wzbiły się w powietrze.

W marcu 1942 r. Hornet przeszedł przez Kanał Panamski i skierował się do portu w San Francisco. Tam w największej tajemnicy załadowano na jego pokład 16 bombowców. Nawet prezydenta nie powiadomiono o rejsie, w który wyruszał lotniskowiec. Tylko kapitan Marc A. Mitscher i 134 lotników znali cel wyprawy.

2 kwietnia 1942 r. Hornet, eskortowany przez krążowniki Vincennes \ Nashvilk, skierował się w stronę Midway, gdzie dołączył do niego lotniskowiec Enterprise ze swoją eskortą. Jego 27 myśliwców Wildcat miało zapewnić całemu zespołowi osłonę powietrzną, gdyż myśliwce Horneta były zablokowane pod pokładem i mogły wystartować dopiero po wypuszczeniu wszystkich bombowców.

17 kwietnia okręty znalazły się w odległości około 1000 mil od Tokio. Zatakowały

paliwo i pozostawiając za sobą niszczy ciele i zbiornikowce, wyruszyły w stronę wyspy Hokkaido.

Następnego dnia, gdy do wybrzeża było jeszcze około 500 mil, dostrzeżono japoński okręt patrolowy. Był daleko poza pasem ochrony, stworzonym przez japońskie jednostki. Krążownik Nashville natychmiast zaczął strzelać. Kolejne salwy nie trafiały w niewielki cel i dopiero po wystrzeleniu 938 pocisków kal. 150 mm japoński okręt poszedł na dno. Japończycy zdążyli jednak nadać radiogram ostrzegający przed amerykańskim zespołem. Co robić? Przerwać misję czy poderwać samoloty, mimo 900-kilometrowej odległości od Tokio? Admirał William F. Halsey, dowódca zespołu, zdecydował się na drugie rozwiązanie.

18 kwietnia o 8.00 pułkownik Doolittle usiadł za sterami pierwszego z 16 bombowców. Przed kabiną było tylko 140,1 metra wolnego pokładu. Silniki były pełną mocą, aż pilot zwolnił hamulce i samolot ruszył do przodu. Pułkownik wpatrywał się w białą linię na pokładzie, po której należało prowadzić przednie koło samolotu. Gdyby zboczył o kilkadziesiąt centymetrów, skrzydło mogło zawadzić o pomost okrętu. Wszyscy wstrzymali oddech widząc, jak obciążona bombami i paliwem maszyna toczy się po pokładzie. Start był dobrze wyliczony i bombowiec Doolittle'a dojechał do końca pasa w momencie, gdy dziób lotniskowca, uniesiony przez fale, osiągnął najwyższy punkt i zaczynał opadać, przez co działał jak katapulta, ułatwiając ciężkiej maszynie wzbicie się w powietrze. Już nad wodą samolot na moment obniżył lot, ale po chwili uniosły go silniki pracujące na maksymalnych obrotach. Doolittle wyprowadził samolot na odpowiednią wysokość i zaczął zataczać koła, oczekując na kolejne bombowce. Po godzinie i 20 minutach 16 samolotów

uformowało przepisowy szyk i z prędkości 400 km/h skierowało się w stronę japońskiego wybrzeża. 13 samolotów miało zaatakować Tokio, a 3 pozostałe kierowały się do Nagoi, Kobe i Osaki.

Japończycy, zaalarmowani przez okręt patrolowy, nie pieszyli się z postawieniem i w stan pogotowia obrony powietrznej. Nie przypuszczali, że na pokładzie lotniskowca i mogł znajdować się dwusilnikowe bombowce redniego zasięgu. Sšdzili, iż amerykańskie | okręty będą musiały znacznie zbliżyć się do wybrzeża i wyliczyli, że wrogie samoloty l pojawił się nad Japoniś za co najmniej 7 godzin. |

Tego ranka w Tokio odbywał się próbny alarm przeciwlotniczy. Na dźwięk syren ludae| niespiesznie podśzali do schronów. Widok kilkunastu bombowców nikogo nie zaniepokoi | Obsługi dział przeciwlotniczych podejrzewały, że dowództwo skierowało nad miastt samoloty, aby dodać ćwiczeniom autentyzmu.

Doolittle prowadził samolot na wysokości 450 metrów. Wypatrywał zakładów zbroja niowych. na które powinien zrzucić bomby.

- Zbliżamy się do celu - powiedział do bombardiera, sierżanta Fre Braemera, gdy dostrzegł w oddali zarys hal fabrycznych.

- Wszystko gotowe, pułkowniku - usłyszał w odpowiedzi. Po chwili pulpicie mignęła czerwona lampka - znak, że pierwszy stukilogramowy ładun zapalajšcy opucił komorę bombowš. Zaraz potem lampka zamrugwała trzyk

Tonę wyspy

ino japoński

L japońskie
nie trafiły
oński okręt
ijscy przed
loty, mimo
[ca zespołu,

zego z 16
Uniki wyły
Pułkownik
sednie koło
i zawadzić

bombami
>ombowiec

uniesiony
: katapulta,
amolot na
symalnych
^ł zataczać
samolotów

w stronę

pozostałe

stawieniem

)tniskowca

erykańskie

samoloty

/ren ludzie

miepokoił.

ad miasto

w zbroje-

ta Freda

hwili na

ładunek

trzykrot-

nie, a bombowiec, pozbawiony 900-kilogramowego ciężaru, skoczył raptownie do góry.

Doolittle, zajęty naprowadzaniem samolotu na cel, nie dostrzegł, że dookoła unoszą się białe i szare dymki rozrywających się pocisków przeciwlotniczych. Japońska obrona ochłonęła z zaskoczenia.

- Wszystko w porządku, Paul? - zwrócił się do sierżanta Leonarda.

- Wszystko w porządku - odparł zapytany.

- Mijajcie nas o milę - zamiał się Doolittle, myśląc o niecelnych strzałach

japońskiej artylerii przeciwlotniczej. W tym momencie pocisk rozerwał się 100 metrów przed nimi, a odłamki przebiły w wielu miejscach kadłub, nie czyniąc jednak szkody.

- Pułkowniku, myślę, że to nie była mila - skomentował sierżant Paul Leonard, ale już mniej pewnym głosem.

- No, uciekamy stąd! - Doolittle zwiększył prędkość i obniżył lot do wysokości 30 metrów.

Wszystkie bombowce przeleciały nad Japonią bez strat. Niektóre dotarły do bezpiecznych lotnisk w Chinach; jeden skierował się do Władywostoku, a załoga została internowana przez władze radzieckie (później uciekli do Iranu).

Omiu pilotów, którzy wpadli w Chinach w ręce Japończyków, oskarżono o zbrodnię przeciwko ludzkości. Trzech rozstrzelano.

Doolittle miał jednak szczęście. Z Chin powrócił do USA, gdzie odznaczono go Medalem Honoru.

Szkody, wyrządzone przez samoloty z Horneta, były minimalne, ogromne natomiast było psychologiczne znaczenie rajdu. Amerykanie zyskali nadzieję, że mogą w tej wojnie zwyciężyć. Marynarka japońska została skompromitowana wpuszczeniem na swe terytorium powietrzne wrogich samolotów. Co najważniejsze za, dowódcy japońscy uznali, że samoloty amerykańskie startowały z bazy Midway i postanowili uderzyć na tę wyspę, aby nie dopuścić do ponownego nalotu na Tokio. Bitwa o Midway stała się zwrotnym punktem wojny

na Pacyfiku.

General Henry Arnold był zadowolony, gdyż po udanym nalocie na Japonię zwierzchnicy i politycy łaskawiej patrzyli na jego próby stworzenia wielkiej armady powietrznej. Trzon armii lotniczej, która mogłaby wygrać wojnę z Japonią, zaczął bowiem tworzyć trzy lata wcześniej.

W 1939 roku generał Henry Arnold wystąpił do dowództwa wojsk lotniczych z propozycją zamówienia bombowca o bardzo dalekim zasięgu (VLR - Very Long Range). Szefowie US Army Air Corps uznali, że taki samolot może się przydać i opracowano parametry, jakim powinien odpowiadać: jego zasięg planowano na 5333 mile, tj. 8533 kilometrów, a prędkość i udźwig bomb miał przewyższać osiągnięcia największego dotychczas bombowca amerykańskiego B-17.

Zakłady Boeinga - widocznie lepiej niż dowódcy amerykańskiego lotnictwa - wyczuwające potrzeby nowych czasów - już wcześniej przygotowały model samolotu (Model 341), który z 12-osobową załogą miał latać na odległość 8 tysięcy kilometrów z ładunkiem dwóch ton bomb. Gdy tylko generał Arnold przesłał zamówienie, na podstawie wspomnianego modelu opracowano prototypy XB-29 i zgłoszono do konkursu, w którym wzięli też udział prototypy zakładów Consolidated, B-32 Dominator. Boeing zwyciężył konkurenta.

Rozwiązania konstrukcyjne, które zastosowano w samolocie B-29. wyprzedziły czasy, w jakich powstał. Jego twórcy zdecydowali się utrzymać stałe ciśnienie w całym kadłubie, bez względu na wysokość lotu. Dotychczas rozwiązanie takie zastosowali konstruktorzy niemieccy w Ju-86, hermetyzując kabinę, aby na

dużej wysokości piloci nie musieli używać masek tlenowych. Amerykanie przewidzieli hermetyzację całego kadłuba, co w wypadku bombowca wydawałoby się niemożliwe, gdyż w pewnym momencie samolot musiał otworzyć drzwi bombowe. Rozwiązano ten problem, dzieląc kadłub na 3 szczelne części: dziobową, środkową - z ładunkiem bomb, i ogonową.

Hermetyzacja kadłuba pozwalała zachować na wysokości 10 tysięcy metrów warunki, jakie panują na 3 tysiącach metrów, dzięki czemu załoga nie musiała używać masek tlenowych niewygodnych i powiększających zmęczenie.

Innym osiągnięciem był system kierowania karabinami maszynowymi. W końcu 1941 r. General Electric Company wyprodukowała niewielkie urządzenie automatycznie przeliczające odległość i wysokość celu, szybkość wiatru i temperaturę powietrza. Dzięki temu aparatowi możliwe stało się zamontowanie systemu zdalnego kierowania karabinami maszynowymi. Bombowce zostały uzbrojone w dziesięć karabinów kal. 13 mm i jedno działko kal. 20 mm. Całą tę artylerię obsługiwało tylko 4 ludzi.

W maju 1941 r. na 4 miesiące przed pierwszym lotem prototypu XB-29, zakłady Boeinga otrzymały zamówienie na 250 bombowców. Tuż po japońskim ataku na Pearl Harbor zwiększono zamówienie do 500 maszyn, a we wrześniu 1942 r. o kolejne 500.

Musiało minąć wiele długich miesięcy, nim B-29 uzyskał zdolność bojową. Trzeba było usunąć wady, których nie uniknęli konstruktorzy, ulepszyć mechanizmy, a następnie wyszkolić załogi. Czas naglił. Stacjonowane na Hawajach

i Filipinach bombowce 5-77 okazały się mało przydatne; w pierwszych miesiącach wojny zatopiły zaledwie dwa japońskie okręty. Straty własne natomiast były bardzo wysokie.

Generał Hap" Arnold tworzył popiesznie strukturę powietrznej armii.

Zorganizował XX Dowództwo Bombowe, które miało kierować strategicznymi akcjami Superfortec B-29.

Jesieni 1943 r. jednostki lotnicze w USA otrzymały pierwsze samoloty i na 4 lotniskach rozpoczęło się szkolenie załóg i próby.

Najwięcej kłopotów nastręczały nowe 18-cylindrowe, chłodzone powietrzem, silniki Wright R-3350. Ich awarie były przyczyną katastrofy drugiego prototypu, który rozbił się na lotnisku, a cała załoga zginęła. W następnych miesiącach podobny los spotkał 19 innych samolotów.

W pierwszych 175 produkowanych seryjnie bombowcach trzeba było usunąć 9900 usterek.

Przeciśgało się szkolenie pilotów, którzy musieli nauczyć się obsługi całkowicie nowego sprzętu. Wyszukolenie pilota trwało 27 tygodni, nawigatora - 15, tylnego strzelca - 12. Kolejne tygodnie mijały na nauce współdziałania załogi przy wykonywaniu zadań.

Generał Arnold wierzył jednak, że Superfortece zmienią bieg wojny. W połowie 1943 r. opracował niesłychanie mialy ..Powietrzny plan pokonania Japonii", w którym założył, że wiosną 1944 r. jego samoloty rozpoczną naloty na cele

w Japonii, startując z baz w pobliżu chińskiego miasta Czungtu. Zanim jednak do tego doszło, na początku maja 1944 r. grupa 130 bombowców wylądowała w bazach indyjskich, oczekując na przygotowanie lotnisk w Chinach. Tam, pod Czungtu, tysiące Chińczyków mozolnie budowało 4 lotniska. Wyrównywanie i utwardzanie pasów startowych, z których każdy liczył 2200 metrów długości, było nie lada wyczynem, zwłaszcza że budowniczowie dysponowali tylko łopatami, taczkami i prymitywnymi maszynami. Problem najważniejszy stanowiło zgromadzenie zapasów paliwa i amunicji dla setek bombowców.

Wspaniałe osiągnięcia Superfortec: prędkość maksymalna 586 km/godz., pułap 9750 m, zasięg 6750 km i udwag bomb 9071 kg pozostawały teoretycznymi danymi i w praktyce nigdy nie wykorzystywano możliwości samolotów.

Wyliczenie zużycia paliwa w czasie lotu do celu odległego o 2768 kilometrów przedstawiało się następująco: w czasie rozgrzewania silników i kołowania na stan samolot spalał 225 kg benzyny. Start pochłaniał 108 kg. Osiągnięcie wysokości 1500 m - 150 kg. W locie na wysokości 1500 m, z prędkością 328 km/godz., 5-29 zużywał 7308 kg paliwa. Na 265 km przed celem samolot wzbijał się na wysokość 6000 m - spalając przy tym 1097 kg paliwa. Po osiągnięciu wysokości zużycie paliwa wynosiło nieco poniżej 3,1 kg na 1 km lotu. Po wyrzuceniu bomb zużycie zmniejszało się do 2,8 kg na 1 km lotu.

Samolot rozpoczynał podróż powrotną: po oddaleniu się o około 90 km od celu, (dyktando istniało już niebezpieczeństwo rażenia przez artylerię przeciwlotniczą, obniżał stopniowo lot do wysokości 4500 m. Zużycie paliwa zmniejszało się do 2,19 kg na 1 km. W odległości 384 km od bazy rozpoczynała się operacja

lądowania, podczas której silniki spalały zaledwie 1,85 kg na 1 km. W cząstce akcji trwającej 15 godzin i 28 minut B-29 pokonywał trasę 5536 km, ze średnią prędkością 358 km/godz. Zużywał 15 550 kg paliwa, a w zbiornikach pozostało

2500 kg rezerwy.

Ile tysięcy ton benzyny trzeba było zgromadzić w zbiornikach w Czenngu. i umożliwić start setek Superfortec do rajdów na Japonię? Jak to zrobić? Chińskie wojska Kuomintangu, przyjazne Amerykanom, same były uzależnione od amerykańskich dostaw.

Generał Arnold zdecydował się na przerzucanie do Chin paliwa, części zamiennych i amunicji z Indii.

B-29 z cysternami w kadłubach musiały odbywać niesłychanie niebezpieczne i kosztowne podróże nad szczytami Himalajów. Przy dobrej pogodzie dostarczenie jednego galona paliwa wymagało zużycia dwóch galonów. Proporcje gwałtownie się zmieniały, gdy samoloty napotykały niekorzystny czołowy wiatr lub musiały zbaczać z kursu ze względu na warunki atmosferyczne. Zużyły wówczas 12 galonów paliwa na każdy galon dostarczony do Czenngu. Zaliczyły trasę nad Himalajami ..Aluminiowym szlakiem" ze względu na dużą liczbę rozbitych samolotów, których szczątki srebrzyły się w skalnych rozpięlinach.

Do maja 1944 roku udało się przerzucić tylko 1400 ton zaopatrzenia. Było to bardzo niewiele, lecz generał Arnold nie zamierzał czekać dłużej. Pragnął wygi

wojnę sam, z pomocą swoich Superfortec. Dlatego też utworzył oddziel

20. armię lotniczą (20 Air Force), której awangardę miały stanowić samoloty ?

Dowództwa Bombowego. Domagał się od dowódcy, generała Wolfe'a, j

najszybszego wysłania bombowców na japońskie obiekty. Ponieważ zapa

w Czentu były za małe, pierwsze formacje wystartowały 5 czerwca 1944

z lotnisk indyjskich. 98 Superfortec skierowało się w stronę Bangkoku z zam:

rem zniszczenia japońskich zakładów kolejowych. Raid zakończył się fiaskie:

Tylko 18 bomb spadło w rejonie wyznaczonego obiektu, ale żadna nie traf

bezporednio w cel. 14 maszyn musiało przerwać lot ze względu na awa

silników, 5 rozbiło się przy lądowaniu, a 42 osiadły na przygodnych lotniskac

gdyż kończyło im się paliwo. Dziewięć dni później generał Wolfe po t

pierwszy wysłał bombowce z Czentu, aby zniszczyły obiekt w Japonii.

Wystartowało 68 B-29, Nad cel: hutę na wyspie Kiusiu - doleciało

samolotów, lecz tylko jedna bomba spadła w pobliżu wyznaczonego obiekt

Sześć bombowców rozbiło się w wyniku awarii silników lub zostało z

strzelonych przez japońską obronę. Efekty pierwszych działań nie były wił

krzepiście. Zapasy paliwa w Czentu kurczyły się w zastraszającym tempie, l

raidzie na hutę pozostało tylko 5 tysięcy galonów, co nie wystarczało nawet d

jednego samolotu na lot do Japonii i powrót.

- Góra urodziła mysz, ale poród kosztował bardzo dużo - powiedział jedt

z wyższych oficerów Pentagonu na wieść o wynikach pierwszych działań

Superfortec.

Pentagon poczynił jednak odpowiednie kroki. Generał Wolfe został wezwany do Waszyngtonu, skąd nie powrócił już na swoje stanowisko. Zastąpił go generał Curtis LeMay, który szybko zaprowadził nowe porządki. Zabronił nocnych nalotów, ponieważ w ciemnościach szansę na odnalezienie i trafienie w cel były mniejsze niż za dnia. Wprowadził szyk samolotów wypracowany i sprawdzony w czasie walk w Europie: 54 samoloty, podzielone na 3 grupy, formowały w powietrzu „pudełka” rozłożone po przekątnej prostokąta o wymiarach 890 x 400 x 2538 m. W ten sposób tworzyły bardzo zwartą formację obronną (zajmując w powietrzu zaledwie 26,5% przestrzeni, w jakiej leciały samoloty poprzednich ugrupowań), w której każdy z samolotów, broniąc się ogniem karabinów maszynowych przed atakiem myśliwców, osłaniał jednocześnie sąsiadnie.

LeMay zmienił również technikę naprowadzania samolotów na cel. Cała formacja naladowała samolot prowadzący, w którym podczas zbliżania się do celu pilot włączał urządzenie zwane Automatic Flight Control Equipment (automatyczna kontrola lotu), połączone z celownikiem Nordena. Od tego momentu bombardier, naprowadzając celownik na wyznaczony obiekt, powodował zarazem, że samolot automatycznie kierował się w odpowiednią stronę. Gdy znalazł się nad celem - wystrzeliwał racę dymną, dając znak pozostałym załogom formacji, że mają zrzucić bomby. Oczywiście, gdy prowadząca załoga pomyliła się, wszystkie załogi kopiowały błąd. Jednakże prowadzący samolot obsadzany był zawsze przez najlepszych i najbardziej doświadczonych lotników, a tym samym prawdopodobieństwo błędu było niewielkie.

Już najbliższe miesiące przyniosły lepsze rezultaty. W październiku udało się poważnie uszkodzić zakłady lotnicze Omura na wyspie Kiusiu, a straty wśród załóg były mniejsze niż w czasie poprzednich rajdów.

Superfortece miały dopiero pokazać, co potrafiś, gdy wojska amerykańskie zajęły kilka wysp leżących w odległości około 2500 kilometrów od Tokio:

Saipan, Guam i Tinian. Bombowce B-29 mogły z nich dolecieć do Tokio.

Start B-25 z lotniskowca do lotu na Tokio

BOMBOWCE PODPALAJĄ

TOKIO

Generał Arnold pieszył się. Na wysepkach trwały jeszcze walki, a z okrętów już wyładowywano buldożery, ciężarówki, walce drogowe i ekipy saperów, które natychmiast przystąpiły do przygotowania pasów startowych.

W październiku 1944 r. pierwsze bombowce wylądowały na Saipanie, chociaż jedyny pas startowy nowego lotniska był jeszcze o 1000 metrów krótszy niż planowano, a prace przy drugim dopiero trwały, brakowało miejsc do kołowania oraz baraków dla załóg. Nie zważano jednak na te niedogodności i w listopadzie na wyspę przyleciało z baz treningowych 100 samolotów.

Wydano rozkaz ataku na zakłady lotnicze, ale młodzi piloci nie bardzo sobie radzili z prowadzeniem samolotów w formacjach i z precyzyjnym bombar-

dowaniem. Sytuację pogarszały częste defekty silników.

Od listopada B-29 startowały wielokrotnie, aby zniszczyć położone na przedmieciach Tokio zakłady Nakajima, które produkowały 1/3 silników dla japońskich samolotów. W czasie pierwszego nalotu silny wiatr rozproszył formacje i bombowce, które dotarły w okolice Tokio, zrzuciły bomby na chybił trafił.

W czasie następnych 10 nalotów zaledwie 2% bomb trafiło w budynki i zakłady. Straty Amerykanów były natomiast wysokie: 40 bombowców uległo zniszczeniu w ogniu obrony przeciwlotniczej lub rozbiło się w czasie lądowania. Nie wiadomo, jak długo trwałyby próby zniszczenia zakładów Nakajima, gdyby dowództwo lotnictwa marynarki wojennej nie wysłało w lutym 1945 r. swoich samolotów. Myśliwce i bombowce z Zespołu Operacyjnego 58 (Task Force 58) wyrzdziły w czasie jednego nalotu znacznie większe szkody niż wszystkie akcje Superfortec.

Generał Arnold miał jednak w zanadrzu inny plan. Wywiad donosił, Japończycy przystępi do rozpraszania zakładów przemysłowych narażonych i ataki amerykańskich samolotów. Wszędzie, gdzie było to możliwe, z dużyd fabryk wynoszono maszyny i instalowano je w salach kinowych, teatralnyc sportowych, a nawet domach mieszkalnych.

Generał zwrócił uwagę na jeszcze jednš informację z raportu o zmiana organizacji japońskiego przemysłu: W miastach występuje głównie zabudm drewniana, szczególnie podatna na atak rodkami zapalajšcymi; obszarowe dl

mogł być 5-krotnie efektywniejsze niż precyzyjne bombardowanie wyznaczonych celów.

Superfortece, uzbrojone w bomby zapalające, zostały skierowane przeciw miastom, które miały doznać losu, jaki spotkał w Europie Lubekę, Hamh Darmstadt i Berlin: nalotów dywanowych. 3 stycznia 1945 r. B-29 zrzucały 2-tonowe bomby zapalające na Nagoję. Wkrótce potem 3 tysiące ton

zapalających spadło na Kobe, gdzie spłonęły zakłady produkujące gumę syntetyczną. Bardzo poważnie została uszkodzona stocznia; produkcja przemysłowa w mieście spadła o połowę.

Od tego czasu 75% zawartości komór bombowych stanowiły ładunki zapalające. Najskuteczniejszą okazała się bomba zapalająca M 76, zawierająca mieszaninę galaretki olejowej, ciężkiego oleju, benzyny, proszku magnezowego i azotanu sodu. Ze względu na zawartość utleniacza, jej płomieni nie można było ugasić wodą ani piaskiem.

Curtis LeMay zmienił również taktykę działania bombardowców. Zrezygnowano z ataków dziennych z dużej wysokości, wprowadzając nocne naloty z wysokości zaledwie 2 tysięcy metrów. Z pokładów Superfortec usunięto komputery GEC i wszystkie karabiny maszynowe, pozostawiając jedynie działko w ogonie, dla obrony przed japońskimi myśliwcami.

Pierwszy „zapalający” nalot na Tokio nastąpił w nocy z 9 na 10 marca 1945 roku.

Nad miasto nadleciało 279 samolotów, które przez 2 godziny zrzuciły bomby na centralne dzielnice. Ładunki zapalające eksplodowały na wysokości kilkunastu lub kilkudziesięciu metrów nad ziemią; w ten sposób zasięg rażenia płonącej mieszaniny był znacznie większy. Małe domy, stłoczone wzdłuż wąskich uliczek, zamieniały się w pochodnie, gdy tylko gorące krople o temperaturze setek stopni Celsjusza padały na ich drewniane ściany. Ogień przerywał się z jednego domu na drugi z szybkością biegnącego człowieka. Ludzie, którzy nie zdążyli wydostać się z krętych zaułków, ginęli w płomieniach. Inni padali z braku tlenu lub zatruci gazami wydzielanymi przez fosfor; każdy kilogram mieszaniny zapalającej pochłaniał około 40 m³ tlenu. Płytkie schrony, piwnice murowanych budynków, które dotąd dawały ochronę przed odłamkami, przestały być bezpiecznym miejscem. Na większych ulicach tłumy ludzi, którzy uszli z płomieni, kierowały się w stronę rzeki. Skakali z mostów albo zsuwali się po betonowych nabrzeżach nie bacząc, że wcześniej wiosną temperatura wody jest niewiele wyższa od zera.

Przed powierza, wytworzony szalejącymi w mieście pożarami, wznosił się na wysokość tysięcy metrów. Odczuwały go nawet załogi bombowców. Pilot z 20. Bomber Group powiedział, że było to gorsze niż burza, którą przeżył za sterami samolotu w Teksasie: Wszędzie unosiły się słupy dymu zmieszane z mieciami, podrywanymi do góry prądem powietrza. Czuć było zapach spalony i umierającego miasta. W czasie jednej z wypraw gwałtowny podmuch powietrza wyrzucił samolot do góry kołami i w ostatniej chwili pilotowi udało się uniknąć zderzenia z górami otaczającymi miasto, j

Tamtej nocy zginęło w Tokio co najmniej 84 tysiące ludzi. Spłonęły domy na

4150 hektarach. Amerykanie za stratili 14 samolotów i 154 lotników... |

Kilka dni później 285 bombowców zrzuciło 1700 ton ładunków zapalających

na Nagoję. Pięćset hektarów miasta zrównano z ziemią. W nocy z 13 na

14 marca bomby spaliły w Osace zabudowania na obszarze dwóch tysięcy

zygnowa-

rae naloty

usunięto

; jedynie

arca 1945

zrzucały

wysokoci

g rażenia

; wzdłuż

:e krople

y. Ogień

Powieka.

płomie-

:z fosfor;

. Płytkie

nę przed

:h tłumy

mostów

, wiosn

;ił się na

w. Pilot

zeżył za

mego ze

spaleni-

odmuchi

vi udało

łomy na

/...

ających

13 na

tysięcy

hektarów. Z 16 na 17 marca w płomieniach stanęło 770 hektarów Kobe. Trzy dni później znowu płonęło centrum Nagoi.

W ciągu 2 tygodni zginęło około 120 tysięcy Japończyków. Amerykanie stracili 22 bombowce i 242 ludzi...

Generał LeMay dysponował już 700 samolotami. Mógł podzielić siły tak, aby część Superfortec wspomagała lądowanie wojsk inwazyjnych na Okinawie, bombardując stanowiska obrońców, a druga grupa kontynuowała ofensywę przeciwko największym miastom: Tokio, Nagoi. Osace. Kawasaki, Kobe

i Jokohamie.

13 kwietnia 327 5-29 zrzuciło na Tokio 2000 ton ładunków zapalających.

Zniszczeniu uległy domy na obszarze 3 tysięcy hektarów. 23 maja 510

Superfortec ponownie nadleciało nad miasto. Dwa dni później powróciły 464

bombowce, by uderzyć na dzielnice, które ocalały z dotychczasowych po-

gromów. Do końca miesiąca stolica Japonii zamieniła się w gruzowisko.

Połowa miasta, około 14 500 hektarów, została całkowicie zrównana z ziemią.

Dzielnica przemysłowa Tokio po bombardowaniu

Japończycy usiłowali się bronić, ale ich siły lotnicze były już bardzo nikle.

W maju 1945 r. Japonia mogła przeznaczyć do ochrony miast zaledwie 5

samolotów myśliwskich, w tym dwie grupy nocnych myśliwców, wyposażony

w dość prymitywne radary. Zakłady lotnicze, które ocalały, nie były już w stanie

produkować dużej liczby samolotów, choć konstruktorzy opracowywali projekt

bardzo dobrych i szybkich myśliwców. Zakłady Kawasaki Kokuri Kogyo B

stworzyły świetny myśliwiec przechwytyjący Ki-102a. Uzbrojony w działko kal. 37 mm

i dwa działka kal. 20 mm mógł latać z prędkością 580 km/h. Udało się jedynie

wyprodukować zaledwie 20 tych maszyn, z których 15 trafiło do jednostek

bojowych.

Los nocnej wersji tego myśliwca - Ki-102c - był jeszcze gorszy. W

produkowano tylko 2 prototypy wyposażone w 2 działka kal. 30 mm i 2 działka

kal. 20 mm oraz radar.

W sierpniu 1945 r. wystartował do dziewiczego lotu japoński odrzutowi Nakajima Kikka, zbudowany w zakładach Nakajima. Prototyp rozwinął prędko 712 km/h, a konstruktorzy opracowywali myliwiec przechwytyjący, wyposażony w dwa silniki o dwukrotnie większym ciśnieniu. Jednakże do końca wojny uruchomiono produkcję zaledwie 18 samolotów, z których żaden nie opuścił zakładów. Inżynierowie z zakładów Mitsubishi gorączkowo pracowali nad nowym, raketowym myliwcem przechwytyjącym, wykorzystując niemiecki projekt Ar 763B, ale do końca wojny zdołano wyprodukować tylko 7 prototypów J8 Shusui.

W fabryce Kyushu Hikoki powstał oryginalny projekt myliwca 7W1, szokujący kształtem skrzydeł, kadłuba, podwozia i umieszczeniem migła z tyłu kadłuba. Wyposażony w potężny silnik spalinowy o mocy 2130 KM. wy startów. W kwietniu 1943 r. W czasie prób osiągnął prędkość 500 km/h. Konstruktorzy planowali, że będzie uzbrojony w 4 działa kal. 30 mm i bomby. Do końca wojny powstały jednak tylko 2 prototypy. Japończycy nie byli już w stanie zatrzymać fali Superfortec nadlatujących nad miasta. Brakowało im samolotów i doświadczonych lotników. Program szkolenia pilotów ograniczono do minimum. W rezygnacji za sterami siadali ludzie młodzi z niewielkimi umiejętnościami. Szybko więc ginęli.

Sytuację pogarszał fatalny system organizacji obrony powietrznej. Każda z grup myliwskich miała wyznaczony obszar obrony i nie mogła udzielić

pomocy sšsiedniemu rejonowi, choćby go bombardowało setki Superfortec.

Tymczasem B-29 otrzymały silnš ochronę Mustangów, które - zaopatrzeń w dodatkowe zbiorniki paliwa - mogły towarzyszyć bombowcom w czasi całego lotu.

29 maja nad Jokohamę nadleciały 454 bombowce, osłaniane przez Mustang które wystartowały z lotnisk Iwodzimy. Straty japońskie wyniosły 26 mylii ców. W tym rajdzie Amerykanie stracili 4 Superfortece i 3 myliwce. Dla Amerykanów utrata samolotów nie oznaczała nic. Dla Japończyków za w tym okresie brak 26 myliwców był szkodš nie do naprawienia*.

Już od czerwca 1945 r. amerykańskie wyprawy bombowe nie były niepokojone przez japońskie myliwce.

Generał Curtis LeMay stosował coraz to innš taktykę bombardowania. Jedne grupy, latajšc nisko, pustoszyły całe dzielnice japońskich miast. Inne specjalizowały się w precyzyjnym bombardowaniu z dużej wysokości zakładów lotniczych. 313 Bomber Wing zrzucił 13 tysięcy min morskich na przybrzeżne wody. wejcia do ponów i kanały portowe. Największe japońskie porty - w Hiro-szimie, Kurę. Tokio. Nagoi. Tokujamie. Aki i Nodzie - zostały zablokowane.

W czasie prób sforsowania pól minowych zatoneły statki o łącznym tonażu 213 tysięcy BRT. Ruch zamierał, a zakłady przemysłowe odczuwały rosnšcy z dnia na dzień brak surowców. Gdy największe miasta zostały wypalone bombami.

LeMay rzucił swoje eskadry na mniejsze, liczšce od 100 000 do 200 000 mieszkańców. Tojama została zniszczona w 99.5%. Amerykanie panowali na

niebie. Zanim wystartowały bombowce, nad cel nadlatywał pojedynczy samolot, który zrzucał ulotki ostrzegające mieszkańców, że za dwa dni ich miasto zostanie zbombardowane. W zapowiedzianym czasie na niebie pojawiały się samoloty z zapalającymi bombami.

Japonia dogorywała. Nie była w stanie stawić skutecznego oporu potęgze zza oceanu. Ale broniła się. Premier Kantaro Suzuki wydał polecenie sporządzenia tajnego raportu o sytuacji gospodarczej państwa. Lektura tego dokumentu była przygnębiająca. Transport kołowy był niemalże całkowicie sparaliżowany. Zapasy paliw malały zastraszająco, a jedynymi dostawcami były małe destylarnie, gdzie wyciskano benzynę z korzeni sosny. Produkcja zakładów zbrojeniowych.

z powodu zniszczeń wyrządzonych przez naloty i braku surowców, spadła o 50-70%.

Raport nie uwzględniał sytuacji militarnej i strategicznej, a ta była jeszcze gorsza.

Premier i minister spraw zagranicznych uznali, że dalsze prowadzenie wojny jest samobójstwem, jednakże minister wojny i trzech najwyższych dowódców odrzucili możliwość podjęcia pertraktacji pokojowych. Wierzyli, że mają jeszcze dość wojska i broni, aby odwrócić losy wojny. Zwycięstwo miał przynieść plan "Ketsu - Go" („Decyzja”).

Jego autorzy uznali, że Amerykanie dokonają najpierw inwazji na wyspę Kiusiu, skąd po kilku tygodniach uderzą na wyspę Honsiu. w rejonie Tokio. Do

odparcia ataku przeznaczono 65 dywizji piechoty, 2 dywizje pancerne. 25

brygad, 3 brygady gwardyjskie i 7 brygad pancernych. Siły obrońców miały

liczyć 2 350 000 żołnierzy i 32 miliony członków milicji i organizacji paramilita-

* Do końca sierpnia 1945 r. japońskie zakłady wyprodukowały 11 066 samolotów - w tym 5 474

myliwce i 1934 bombowce (w 1944 r. - 28 180, w tym 13 811 myliwców i 5100 bombowców). W tym

okresie Amerykanie wyprodukowali 47 714 samolotów (w tym 21 696 myliwców i 16 492 bombowce).

mych. W sumie - 34 350 000 ludzi: było to więcej, niż liczyły armie USA,

Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego razem wzięte'. Do oddziałów samo-

obrony rekrutowano wszystkich mężczyzn w wieku od 15 do 60 lat i wszystkie

kobiety w wieku od 17 do 45 lat. Ci, dla których nie starczyło karabinów, mieli

uzbroić się w strzelby myliwskie, muzealne muszkiety, bambusowe lance,

szable i łuki. Nawet dzieci trenowano do zwalczania czołgów. Obwieszane

granatami, miały wpełzać pod czołgi i ginąć w samobójczej eksplozji roz-

rywającej dno wozu bojowego. Te dziecięce oddziały nazywano dywanem

shermanów", od nazwy amerykańskich czołgów.

Na morzu Japonię miało chronić 19 niszczycieli (każdemu z nich pozostało

tylko 3500 ton paliwa). 38 okrętów podwodnych oraz flotylla składająca się z 32

jednostek wybranych z 94 jednostek najrozmaitszych typów, wśród których było

300 „żywych torped" kaiten i 2000 motorówek wypełnionych dynamitem.

W powietrzu najgroniejszą bronią miały być samoloty samobójców - kamikaw.

Szef nowo utworzonego dowództwa wojsk powietrznych generał M. Kawabe,

opierając się na dowiadzeniach z walk o Okinawę. uznał, że kamikaze będą

najgroniejsz bronisz; liczył, że do końca czerwca zgromadzi 2000 samolotów dla pilotów-samobójców, a w ciągu następnych dwóch miesięcy siły te zwiększą się o dalszy tysiąc. W najbardziej optymistycznych planach liczył, że 10 tysięcy samolotów zaatakuje amerykańską flotę inwazyjną.

Nie trzeba być żołnierzem, aby zrozumieć, czym zakończyłoby się starcie armii samobójców z doskonale wyposażonymi i zahartowanymi w bojach dywizjami amerykańskimi. W dotychczasowych, niezwykle zaciętych, walkach na wyspach, gdzie wojska amerykańskie musiały łamać opór wyszkolonych, dobrze wyposażonych i przygotowanych do obrony japońskich garnizonów, straty obrońców były wielokrotnie wyższe niż atakujących. Np. na Iwodzimie zginęło bez mała 20 000 Japończyków i 5391 Amerykanów, na Saipanie 31 000 żołnierzy (oraz 22 000 cywilów) i 3426 Amerykanów, na Okinawie 110 071 Japończyków i 12 500 Amerykanów, Tam żołnierze walczyli z żołnierzami. | Teraz z żołnierzami amerykańskimi walczyliby kobiety, dzieci, starcy. :

Członkowie rządu japońskiego, którzy nie chcieli dopuścić do realizacji tego i obłąkańczego planu, podjęli starania o nawiązanie negocjacji z Amerykanami. | W Moskwie poseł Sato zwrócił się do rządu radzieckiego z prośbą o mediację Cesarz był zdecydowany wysłać do stolicy ZSRR członka swojej rodziny, księcia Konoye, jako emisariusza pokoju. Japoński attaché morski w Szwajcarii przeżył, że szefowi amerykańskiego wywiadu w Europie, Allenowi Dullesowi, wiać, że gotów jest podjąć u swojego rządu starania o zaakceptowanie warunków kapitulacji.

Szwedzki bankier Per Jacobson zrelacjonował Dullesowi przebieg spotkania

z japońskimi osobistociami, wśród których był generał Seigo Okamoto. Usta-
no wówczas warunki kapitulacji.

NADRO

W Stanach Zjednoczonych szefowie Połączonych Sztabów nie mieli jednolitego
poglądu na temat sposobu prowadzenia dalszych działań przeciwko Japonii. Jedni
opowiadali się za kontynuowaniem bombardowań miast, inni uważali, że należy
utrzymać blokadę ponów. Wszyscy rozumieli, że wcześniej czy później musi dojść
do inwazji z morza i niezwykle zaciętej walki na japońskiej ziemi.

14 czerwca 1945 r. w biurze prezydenta Trumana w Omaha sekretarz obrony
Henry Stimson przedstawił dwuetapowy plan inwazji na Japonię. Plan „Olimpie”
przewidywał, że 1 listopada 1945 r. (tzw. X-Day). po omiodniowym bombar-
dowaniu z morza i powietrza, 815 tysięcy żołnierzy dokona inwazji na wyspę
Kiusiu i zajmie jej południową część, by założyć tam bazy lotnicze i morskie.
Obliczano, że w pierwszym etapie walk może zginąć 30-40 tysięcy żołnierzy
amerykańskich. Straty obrońców były nieprzewidywalne, ale mogły sięgać setek
tysięcy. Plan „Comet” zakładał, że 4 miesiące później, 1 marca 1946 r., na wyspie
Honsiu wyląduje 1 170 tysięcy żołnierzy. Oddziały 1. i 8. armii amerykańskiej
miały desantować się na równinie Kanto na północny wschód od Tokio. Wybrano
ten rejon z kilku powodów. Szeroka i łagodna dolina pozwalała rozwinąć duże
jednostki pancerne, a bliskość Tokio dawała szansę szybkiego opanowania miasta,
co miało skłonić obrońców w innych rejonach wysp do zaniechania oporu. Plan
„Comet” przygotowano na razie w ogólnych zarysach.

Prezydent Harry Truman myślał z niepokojem o przedłużającej się wojnie na Dalekim Wschodzie; obawiał się, że wkrótce włączy się do niej Związek Radziecki. Z jednej strony zabiegał o pomoc Armii Czerwonej, z drugiej obawiał się jej nadmiernych sukcesów w kontynentalnej Azji.

Zaakceptował obydwa plany inwazji, ale miał wszelkie podstawy przypuszczać, że do ich realizacji nie dojdzie.

Naukowcy przygotowali broń zdolną zmienić bieg wojny w bardzo krótkim czasie, i to w sposób korzystny dla USA pod każdym względem: zmusić japończyków do kapitulacji bez ogromnych strat, jakie niosła ze sobą konieczność zdobywania wysp japońskich z morza, i zademonstrować Stalinowi niezwykłą broń Stanów Zjednoczonych.

Trudno ustalić gradację celów. Wszystkie były równie ważne dla Trumana, który musiał rozwiązać skomplikowaną sytuację wojenną, myśląc jednocześnie o układzie sił, jaki zacznie się kształtować po wojnie. Bomba atomowa, w której moc uwierzył zbyt gorliwie i naiwnie, dawała mu taką możliwość. Latem 1943 r. generał Arnold otrzymał polecenie dostarczenia specjalnie przygotowanego bombowca B-29, który miał wykonać próbne loty z nową bombą.

W grudniu tegoż roku w zakładach Boeinga przystąpiono do modyfikowania bombowców. Pierwszy próbny lot samolotu wyposażonego w nowe urządzenia odbył się 28 lutego 1944 r. Próby wypadły pomyślnie i zakłady przystąpiły do produkcji 46 samolotów przeznaczonych do przenoszenia nowych bomb.

W czerwcu 1945 r. do bazy na wyspie Tinian przybyła eskadra 10 bombowców - ..Composite Group 509". dowodzona przez weterana walk w Europie, 29-letniego pułkownika Paula Tibbetsa. Codziennie samoloty startowały w stronę wybranych miast: Hiroszimy, Kokury, Nigaty i Nagasaki. W kadłubie każdego z nich spoczywała tylko jedna bomba, pomalowana na jaskrawożółty kolor. Nad celami samoloty zawracały, nie atakując. Po kilku rajdach obrona przeciwlotnicza tak przywykła do widoku samotnych B-29. że obsługi dział nie zdejmowały nawet siatek maskujących', nie podnoszono zapór balonowych ani nie ogłaszano alarmu. Władze wojskowe uznały, że miasta nie będą celem bombardowań. a samoloty wykonują; jedynie zadania rozpoznawcze. Wracając do bazy, Superfortece przelatywały nad małymi miastami i dopiero tam zwalniały bomby. Natychmiast po ataku musiały wykonać trudny manewr: pełny zwrot w ciągu 28 sekund. Żaden z pilotów nie rozumiał, dlaczego muszą trenować tak dziwną figurę...

W nocy z 12 na 13 lipca 1945 r. tajną drogą - zbudowaną na wypadek konieczności szybkiej ewakuacji załogi z laboratorium nuklearnego w Los Alamos. gdzie powstawała bomba atomowa - przejechał konwój ciężarówek i jeepów. W skrzyniach znajdowały się części mechanizmu wybuchowego bomby. Umieszczono je na szczycie 33-metrowej wieży, wzniesionej na pustym w rejonie nazywanym Jordana del Muerto (Droga mierni). Nie było tam jeszcze ładunku uranu, nad miejscem próby często przechodziły bowiem gwałtowne burze i trafienie pioruna w stalową konstrukcję z bombą atomową mogłoby spowodować wybuch nuklearny, zanim naukowcy i personel zdążyliby oddalić

się na bezpieczną odległość. Dlatego też uran miał być umieszczony na szczycie wieży tuż przed próbą.

Dzień pierwszej eksplozji nuklearnej oznaczono kryptonimem „Trinity” („święta Trójca”). Dlaczego wybrano tę nazwę? Nie wiadomo. Jedni twierdzą, że w pobliżu miejsca wybuchu znajdowała się opuszczona kopalnia szmaragdów o tej właśnie nazwie, inni dowodzą, że „święta Trójca” oznaczała trzy gotowe bomby nuklearne: dwie uranowe i jedną plutonową.

16 lipca, o 2.00. 425 osób z załogi Los Alamos oraz zaproszeni goście zajęli miejsca w głębokim wykopie 15,5 kilometra od wieży.

Żaden naukowiec nie potrafił określić siły wybuchu. Generał Leslie Groves, wojskowy szef projektu, uważał, że będzie równa eksplozji 100 do 500 ton trotylu. To i tak było ponad wszelkie wyobrażenia. Najcięższe bomby lotniczej „Tallboy” ważyły 5 ton, a wybuch takiej bomby wywoływał lokalne trzęsienia ziemi i zdruzgotał np. wiadukt w niemieckim mieście. Najbliższy prawdy byli Robert Oppenheimer, szef zespołu naukowców, którzy stworzyli bombę. Twierdził, że siła wybuchu równa będzie eksplozji kilku tysięcy ton trotylu. Nikt mu nie wierzył... |

O godzinie 5.20 nad pustynią zajaśniała ognista kula. W ułamku sekundy stalowa wieża znikła z powierzchni gruntu. Wyparowała. Przyrządy pomiarowe ustawione zbyt blisko punktu zerowego, przestały działać. Te, które funkcjonowały, przekazywały oszałamiające informacje: siła wybuchu równa 17-20 tysiącom ton trotylu, temperatura trzykrotnie wyższa niż na powierzchni Słońca,

w promieniu 1600 metrów zginęło wszelkie życie biologiczne, wrzścy piasek utworzył wokół miejsca, gdzie stało rusztowanie szklisť płytę o rednicy 500 metrów. Dalsze badania wskazywały, że były to efekty reakcji łańcuchowej, jaka zaszła zaledwie w kilogramie uranu, gdyż pozostałe 3 kilogramy ładunku nuklearnego zostały zniszczone, zanim rozpoczęła się w nich reakcja.

w

Tego dnia o 19.30 prezydent Truman, przebywajšcy na konferencji pokojowej w Poczdamie, otrzymał telegram: Operowany dzi rano. Diagnoza jeszcze niepewna, ale rezultaty wydajš się zadowolajšce i już przekraczajš oczekiwania.

Truman przesłał odpowied: Najserdeczniejsze gratulacje dla lekarza i jego pacjenta. Następnego dnia z Waszyngtonu dotarł do Poczdamu specjalny kurier.

Do lewej ręki miał przykutš kajdankami teczkę. Znajdował się w niej film z przebiegu próbnej eksplozji. Truman był tak zadowolony, że nie odmówił sobie przyjemności napomknięcia Stalinowi, iż USA dysponujš broniš o niezwyklej sile. Stalin nie zareagował; zapewne dlatego, że doskonale orientował się w postęпах nad stworzeniem nowej broni. Przez całš wojnę jeden z naukowców zatrudnionych w Los Alamos - Klaus Fuchs - informował ambasadę radzieckš w Waszyngtonie o przebiegu prac.

24 lipca prezydent otrzymał następnš depeszę, informujšcš, że zgodnie z jego decyzjš z 2 kwietnia 1945 r. nalot nuklearny na jedno z japońskich miast zostanie przeprowadzony 4 lub 5 sierpnia.

W tym samym czasie do portu na wyspie Tinian zmierzał kršżownik Indianapolis,

Flagowy okręt głównodowodzącego V Floty wyruszył z portu w San Francisco 16 lipca 1945 r. Kapitan McVay nie wiedział, co się znajduje w długim, wiklinowym koszu pod pokładem okrętu. Rozkaz, który otrzymał, niewiele wyjaśniał: Okręt flagowy wemie na pokład majora Roberta Furmana i doktora Jamesa Nalana z małym, ale niezwykle ważnym ładunkiem. W poniedziałek "Indianapolis" wyruszy 7. największą szybkością do Pearl Harbor. Cała akcja ma mieć pozory wyprawy inspekcyjnej.

Tego samego ranka z japońskiego portu Kure wyszły w morze okręty podwodne, tworzące grupę "Tamon"; wśród nich był I-58, dowodzony przez kapitana Mochit-sura Haszimota. Wszystkie okręty, oprócz torped załadowanych w wyrzutniach, miały na pokładach po kilka "żywych torped" - kaitenów, z pomocą których zamierzano niszczyć statki w amerykańskich konwojach.

"Indianapolis" w rekordowym tempie 3 dni i 3 godzin przebył 2100 mil, dzielących San Francisco od Pearl Harbor. Tam zatankował paliwo i skierował się w stronę Tinianu.

I-58 przeciął jego kurs w odległości 30 mil. Nikt z japońskiej załogi nie zdawał sobie sprawy, że cel był tak blisko.

26 lipca "Indianapolis" zakończył swoją misję. W porcie Tinian przekazano kosz z tajemniczym zawartością generałowi Farrelowi i krążownik wyruszył natychmiast w drogę powrotną.

27 lipca I-58 wypuścił dwa kaiteny przeciwko amerykańskiemu tankowcowi.

Załoga japońskiego okrętu usłyszała dwie eksplozje, ale prawdopodobnie były to wybuchy „żywych torped”, trafionych amerykańskimi bombami głębinowymi lub pociskami z działek. Na pokładzie okrętu podwodnego pozostały jeszcze 4 „żywe torpedy”. Dowódca nie był zadowolony. Samobójcze pojazdy, przymocowane na pokładzie tuż za kioskiem, bardzo ograniczały manewrowość i szybkość okrętu, przez co zmniejszały szansę umknienia amerykańskim niszczycielom i utrudniały przeprowadzanie skutecznych ataków przy użyciu torped klasycznych.

Trzy dni później marynarz, pełniący wachtę przy peryskopie 1-58, dostrzegł sylwetkę amerykańskiego okrętu. Kapitan Haszimoto rozważał przez chwilę, czy użyć torped Typ 95, czy też wypuścić kaiteny. Zdecydował się w końcu odpalić sześć torped. Po 75 sekundach trzy stalowe cygara rozpruły kadłub krążownika, który zatonął w ciągu 19 minut. Z 1199 marynarzy kilkuset zginęło już w czasie wybuchu; inni umierali przez wiele godzin - w wodzie. Pomoc nadeszła dopiero po 80 godzinach. Uratowano zaledwie 316 ludzi.

O godzinie 3.00 kapitan Haszimoto nadał do bazy wiadomość, że 3 godziny wcześniej wystrzelił 6 torped, z których 3 trafiły H' pancernik klasy Idaho (...), zatapiając go definitywnie. Tekst depechy wskazywał, że załoga 7-58 nie zdawała sobie sprawy, iż zatopiała Indianapolis. Nie mogli też wiedzieć, że gdyby dokonali tego 3 dni wcześniej, zmieniliby bieg historii...

iu tankowcowi.

3dobnie były to

ii głębinowymi

zostały jeszcze
jazdy, przymo-
rowość i szyb-
im niszczenie-
uciu torped

'-58, dostrzegł
:ez chwilę, czy
końcu odpalić
b krążownika.

o już w czasie
deszła dopiero

że 3 godziny

sy Idaho (...),

'8 nie zdawała

byby dokonali

30 lipca samoloty transportowe C-54 dostarczyły na Tinian uranowy ładunek, podzielony na kilka części. W ciele strzeżonym bunkrze naukowcy i technicy przystąpili do montowania w kadłubie bomby skomplikowanych zapalników i ładunku nuklearnego: 38 kilogramów uranu. Zapalnik miał zacząć działać, gdy bomba - zrzucona z wysokości około 9 tysięcy metrów - znalazłaby się na wysokości 560 metrów.

1 sierpnia prace montażowe dobiegły końca. Na wózku, przypominającym

bagażowś przyczepę samochodu osobowego, leżała bomba atomowa o długości 4,20 m. rednicy 1,5 m i wadze około 5 ton. Brakowało tylko zapalników.

2 sierpnia generał Nathan F. Twinning, szef 20. Armii Lotniczej, wydał rozkaz nr 13. Rozkaz przeprowadzenia 6 sierpnia ataku atomowego. Komunikat meteo zapowiadał na ten dzień piękńš, bezchmurnš pogodę. Był to niezbędny warunek, gdyż skutki eksplozji nuklearnej musiały być zarejestrowane z największš dokładnościš.

Na lotnisku wszystko przygotowano do akcji. I wtedy zdarzył się wypadek.

4 sierpnia cztery bombowce, startujšce do lotu treningowego, nie wzbiły się w powietrze. Pilotom nie udało się zahamować rozpędzonych maszyn przed końcem pasa startowego i roztrzaskali się na nadmorskich skałach. Pułkownik Tibbets zdawał sobie sprawę, co stałoby się z wyspš, gdyby takiemu wypadkowi uległ samolot z uzbrojonych bombš atomowš na pokładzie. Dlatego wydał rozkaz zamontowania zapalników dopiero po starcie.

Kapitan William Parson rozpoczął trening na 16 godzin przed startem. Setki razy powtarzał te same czynności, wiedząc, że w czasie lotu w ciasnej komorze bombowej, w wietle latarki, będzie musiał złączyć wiele kabli skomplikowanego zapalnika. Po godzinach treningu miał palce pocierane do krwi.

- Na miłość boską, niech pan założy rękawiczki! - powiedział generał Farrel na widok pokaleczonych rak eksperta ds. uzbrojenia.

- Nie mogę - pokręcił głowš Parson. - Przy tej robocie muszę mieć pełne czucie w palcach.

5 sierpnia pułkownik Tibbets zwołał odprawę załóg i przedstawił plan. O 01.15 wystartują 3 samoloty zwiadowcze, kierując się w stronę Hiroszimy, Kokury i Nagasaki*. Stamtąd miały przekazać informacje o pogodzie, od których zależeć będzie wybór celu. Półtorej godziny później wystartuje grupa uderzeniowa trzech samolotów B-29: jeden z nich zrzuci bombę, drugi instrumenty pomiarowe, a trzeci wykona zdjęcia.

Kiedy pułkownik skończył omawiać plan nalotu, jego miejsce na podwyższeniu zajął kapitan Parson.

* Nigaty zostało skreślone z listy celów, gdyż wywiad doniósł, że znajduje się tam obóz jeńców amerykańskich.

- Gdy w słuchawkach zabrzmiał długi, ostry dźwięk, należy bezwarunkowo założyć ciemne okulary - powiedział do załóg zgromadzonych w sali drewnianego baraku. - Lepi piloci nie doprowadzają maszyn z powrotem na lotnisko.

W razie strącenia któregoś z samolotów, żaden z członków załogi nie może dostać się żywy do niewoli japońskiej. W torebkach oznaczonych czarnymi krzyżykami znajdują się ampułki.

O 23.00 wytoczono z bunkra przyczepę, na której leżała bomba osłonięta brezentem. Drzwi komory bombowej samolotu, z wymalowanym na kadłubie napisem „Enola Gay”. okryto plandekami. Mechanicy przystąpili do mocowania nuklearnego ładunku. Dookoła błyskały flesze lamp fotograficznych i wieciły reflektory ekip filmowych, uwieczniających przygotowania do niezwykłego lotu.

6 sierpnia o godzinie 1.15 wystartował bombowiec nazwany „Straight Flush”, biorąc kurs na Hiroszimę. W kilkunastuminutowych odstępach wzbiły się dwa samoloty zwiadowcze. O 2.27 włączono silniki „Enoli Gay”, stojącej już na pasie startowym. Na prawo przygotowywała się do lotu załoga samolotu „Great Artist” z przyrządami pomiarowymi. Z lewej strony stał bombowiec z kamerami filmowymi i fotograficznymi. O 2.45 „Enola Gay” ruszyła. W dwuminutowych odstępach wzniosły się w powietrze pozostałe samoloty.

W 6 minut po starcie radiotelegrafista głównego bombowca przekazał wiadomość: Judge - A-1. Nikt poza kapitanem Parsonem i generałem Farrelem nie rozumiał, co oznaczały te słowa, gdyż kod ułożyli ci dwaj oficerowie specjalnie w celu przekazywania wiadomości o locie „Enoli Gay”. Pierwszy meldunek, nadany z pokładu bombowca, oznaczał: „Na pokładzie wszystko w porządku, przygotowuję się do następnego etapu”.

Kapitan Parson zanotował w dzienniku: Po starcie wszystko przebiega normalnie. Musimy lecieć na niewygodnej wysokości 4 tysięcy metrów, aby uniknąć zderzenia z jednym z 600 bombowców, powracających z nalotu na Japonię.

O 4.00 kapitan przeszedł do przedziału bombowego i w zupełnych ciemnościach przystąpił do montowania zapalników. Radiotelegrafista „Enoli Gay” przekazał meldunek: Judge, A-2, co oznaczało: „Parson planowo uzbraja bombę”.

O 7.30 Parson powrócił do kabiny. Bomba była gotowa do zrzucenia.

Zwiadowczy samolot „Straight Flush” znajdował się nad Hiroszimą. Jego

dowódca, major Eatherly, przesłał informację do „Enoli Gay”: Widoczność nad Hiroszimą 10 mil. O godzinie 7.41 napłynęły meldunki o stanie pogody nad , innymi celami: nad Nigaty wieciło słońce i nie było chmur, nad Kokurō i Nagasaki panowało duże zachmurzenie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami,; pułkownik Tibbets skierował samolot w stronę Hiroszimy. Gdyby tam nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, musiałby lecieć w stronę następnego celu: Nigaty. Okazało się to jednak niepotrzebne. Drugi pilot „Enoli Gay” zapisał w dzienniku: Gdy znaleliśmy się w odległości 50 mil od japońskiego wybrzeża, radiotelegrafista Nelson odebrał wiadomość: nad głównym celem widoczność znakomita.

warunkowo

^ sali drew-

na lotnisko.

v załogi nie

ch czarnymi

?a osłonięta

na kadłubie

mocowania

h i wieciły

ykłego lotu.

ightFlush”,

ły się dwa

išcej już na

lotu Great
z kamerami
nutowych
azał wiado-
arrelem nie
e specjalnie
meldunek,
/ porzřdku,
'ga normal-
by umknřć
Japonię.

ch ciemno-
;noli Gay"
vo uzbraja
enia.

zimř. Jego
cznoć nad
ogody nad
ad Kokurř
staleniami,
n nastřpiło
lu: Nigaty.

.ł w dzien-

wybrzeza,

vid.oa.nosc

^aiaAA"*^-----

l ("--y yfl"^

^,o^ T, ^ ^ ^ . ^ ^ - ^

K,pi>an P""n ^ ^ ^ , Ě ' ^ ^ , ^ "" : , , ^ t'

: ^ ^ ^ s % ^ ^ ^ -

s ^ ^ r : ^ , ^ . ^ ,

cicf.nir. ""*; dowódca ..S""1^1,) ^ w rf^l""""-'""-1' wh ^ nit wida.

MW ^ T ^ . "" łliTOS^""y Mp ?OT' "1,>-t't""-Nic """-

^ ^ ^ ^ ^

'sS ^ ^ ^ ^ Sr ^

^amostAloi,, wyspę. Bowo ch wczeniej ego

SS ^ S ^ ^ ^ ^

^sS ^ S s ^ S ^ S

S ^ S 5 s ^

^y^~~~~

^.S^-iSiSS !

?;:s. t"- , , , , , , t'... ""

-t-st';...;" ;;; "o"~;S" . ;;- -;:;;;

sgssgSSSe

Tetki bombowców.

ŤŤliB^^

ytał: Czy zgadza

Tak jest. Jeden

ie robić zdjęcia.

t po zwolnieniu

'kundach sygnał

odległości 65

brzmiał wysoki,

ez nie nie widzę.

okularze celow-

: ze rodkowego

ny spust z boku

i drzwi komory
od 5-tonowego
newr, który tak
300 metrów od
ora błyskawicz-
ica wyniosła 28
ie rednica kuli
i ziemi. Ludzie
Ma dachówkach
sdległoci 1000
trš od wybuchu
>vorzšc huraga-
)ć 1500 km/h.
ewniane domy
stały poważnie
ię za grubymi
)dy były sadze,
. Były w nich
e zna nikt. Do
kala zniszczeń
a 9 marca, gdy
nęło i odniosło

legała na tym,
nie dużych jak

Następnego dnia o 9.00 najwybitniejszy japoński fizyk atomowy, profesor Josio Niszina został zaproszony do Sztabu Generalnego, gdzie powitał go generał M. Kawabe.

- Zaprosiłem pana po otrzymaniu niepojętej wiadomości - powiedział generał i podał Niszinie kartkę papieru: Całe miasto Hiroszima zostało zniszczone w ciągu jednej chwili, przez jedną bombę. - Pamiętam, że kilka tygodni temu mówił pan o możliwości skonstruowania takiej bomby.

- Tak. To wynikało z doniesień wywiadu morskiego, który informował, że Amerykanie prowadzą prace nad nową bronią. Rozumiałem, że nie chodzi o zwiększenie ciężaru ładunku bomby lotniczej, lecz skonstruowanie jakoś nowej broni - wyjaśnił profesor.

- Czy mógłby pan zbudować bombę atomową w przeciągu sześciu miesięcy?
Tyle możemy w obecnych warunkach poczekać...

Profesor spojrział z niedowierzaniem na generała, zdając się pytać: ..Czy pan nie widzi, co dzieje się dookoła: spustoszone miasta, spalone fabryki, unieruchomiony transport? Jak w tych warunkach można podjąć realizację projektu, wymagającego ogromnych nakładów finansowych, rzeszy naukowców, budowy laboratoriów?..."

- W obecnych warunkach nie starczyłoby mi nawet szcziu lat na zbudowa-
nie takiej bomby. Poza tym nie mamy uranu - odpowiedział spokojnie.

- Czy istnieje jakakolwiek skuteczna broń przeciwko bombom atomowym?

- nie ustępował generał.

- Tylko jedna - odrzekł Niszina. - Zestrzelić każdy samolot, który pojawi się
nad Japoniś...

Generał Kawabe nie zadawał więcej pytań. Odpowiedzi najwybitniejszego
japońskiego atomisty nie pozostawiały żadnych wśtpliwoci: Amerykanie
mogś bezkarnie bombardować japońskie miasta. Los państwa zależy tylko od
tego. jak dużo bomb atomowych wyprodukowali i wyprodukujś w najbliższej
przyszłoci. Takś opinię wyraził generał Kawabe w raporcie, który wysłał do i
ministra wojny.

W tym samym czasie, gdy profesor Niszina uzmysłowił szefowi Sztabu,
Generalnego bezradnoć japońskich sił zbrojnych wobec nowej broni, w bazie i
na wyspie Tinian rozpoczęto przygotowania do drugiego nalotu atomowego.l
Plan przewidywał, że druga bomba zostanie zrzucona 11 sierpnia, ale prognozaj
pogody nie była dobra. Meteorolodzy zapowiadali mgły, deszcze i niski pułap|
chmur w dniach od 9 do 15 sierpnia. W tej sytuacji generał Farrel zdecydowali
przypieszyć termin nalotu i wyznaczył 9 sierpnia. O 3.47 z lotniska na Tinian
wystartował samotny B-29, nazwany "Bock's Car", prowadzony przez majo
Charlesa Sweeneya. Poczśtkowo nie towarzyszył mu żaden z samolotó
obserwacyjnych. Miały one dołśczyć póniej. O 9.15 „Bock's Car" doleciałi

miejsce spotkania z innymi samolotami i zaczął zataczać duże koła. I
5 minutach zauważono, że zbliża się jeden z oczekiwanych B-29. Mijał
minuty, a drugi samolot nie nadlatywał. O godz 9.50 major Sweeney zakon

wy, profesor

; powitał go

- powiedział

zima zostało

;am, że kilka

mby.

formował, że

:e nie chodzi

>wanie jako-

ciu miesięcy?

ta: „Czy pan

fabryki, unie-

-ację projektu,

/ców, budowy

t na zbudowa-

?okojnie.

n atomowym?

tory pojawi się

wybitniejszego

i: Amerykanie

należy tylko od

ś w najbliższej

.tory wysłał do

szefowi Sztabu

broni, w bazie

itu atomowego.

.a, ale prognoza

ze i niski pułap

Tel zdecydował

iska na Tinianie

-ly przez majora

-i z samolotów

;ar" doleciał na

duże koła. Po

ti B-29. Mijały

;eney zakończył

oczekiwanie i skierował samolot w stronę Kokury. Prognozy pogody nadesłane

z bazy wskazywały, że nad tym miastem chmur nie ma. Meteorolodzy pomylili się. Gdy o 10.44 „Bock's Car” znalazł się nad Kokurš, załoga nie mogła dostrzec przez gęstš warstwę chmur celu. Major Sweeney dwukrotnie nadlatywał nad miasto, ale za każdym razem bombardier meldował, że nie widzi celu. Po 45 minutach dowódca skierował samolot w stronę celu zapasowego: Nagasaki.

O 11.50 znaleli się w rejonie tego miasta. Chmury w dalszym cišgu zasłaniały ziemię. Major Sweeney był zdecydowany zrzucić bombę na cel widziany jedynie na ekranie radaru, ale nagle w gęstej zasłonie ukazała się dziura, przez którš było widać zabudowania. Sweeney skierował natychmiast samolot w tamtš stronę. Tylko przez 20 sekund widzieli miasto, lecz wystarczyło to, by naprowadzić samolot na cel. O godz. 11.58 bombardier kapitan K.K. Beahan nacisnšł spust zwalniajšcy zaczepy bomby o nazwie „Fat Mań”. Pilot położył samolot w gwałtownym skręcie i po chwili zwiększył maksymalnie moc silników. Za nimi zajaniała ogromna kula, a gdy przygasła, w górę wystrzelił słup dymu szeroki na kilometr, który juź po minucie osišgnšł 10 tysięcy metrów wysokości. W Nagasaki zginęło prawdopodobnie 70 tysięcy ludzi.

Enola Gay” lšduje na wyspie Tinian po zrzuceniu pierwszej bomby atomowej

9 sierpnia w Mandżurii wojska radzieckie przystšpiły do ofensywy. Stacjonujšca tam japońska Armia Kwantuńska, choć liczyła 1.5 miliona żołnierzy, nie

przedstawiała wielkiej wartości bojowej. Młodzi żołnierze, le wyszkoleni i jeszcze gorzej wyekwipowani, nie mieli wielkich szans w starciu z dywizjami dobrze uzbrojonymi i zahartowanymi w bojach w Europie. Jednakże dopóki na kontynencie azjatyckim stacjonowało półtora miliona żołnierzy, zwolennicy kontynuowania wojny powoływali się na możliwość wykorzystania tej siły do walki z wojskami amerykańskimi, gdyby wdarły się one na wyspy japońskie. Przewidywali też możliwość ewakuacji cesarza i rządu do Chin lub Mandżurii i prowadzenia stamtąd walki z Amerykanami i Rosjanami. Klęski w Mandżurii przekreśliły te plany i stawiały pod znakiem zapytania sens dalszego oporu.

9 sierpnia o 23.30 w niewielkim schronie głęboko pod pałacem cesarskim w centrum Tokio zebrali się na naradę członkowie rządu i najwyżsi dowódcy wojskowi. Zwykle to oni doradzali cesarzowi. Teraz cesarz miał przedstawić im swoją opinię na temat dalszego prowadzenia wojny. Po 20 minutach do sali wszedł cesarz Hirohito w mundurze generalskim. Gdy wszyscy zajęli miejsca, sekretarz generalny gabinetu. Hisatsune Sokomidzu. odczytał tekst deklaracji poczdamskiej, podpisanej przez Trumana, Churchilla i Stalina, wzywającej władze Japonii do bezwarunkowej kapitulacji. Premier Suzuki przeprosił cesarza za to, że ani rząd, ani Najwyższa Rada Wojenna nie potrafił podjąć jednomyślnej decyzji co do dalszego prowadzenia wojny. Politycy i żołnierze kolejno prezentowali swoje stanowiska. Minister Togo zdecydowanie opowiedział się za kapitulacją. Podobnego zdania byli admirał Jonai i baron Hiranuma. Najwyżsi dowódcy opowiadali się za dalszą walką, i

- Sto milionów Japończyków gotowych jest pójść w obronę honoru naszej |

rasy. I to przejdzie do historii - zakończył krótkie przemówienie generał Anami. ,

- Gromadzimy siły do przyszłych operacji i w swoim czasie przejdziemy do kontrataku - owiadczył szef Sztabu Generalnego, generał Umedzu. |

- Nie można stwierdzić, że zwycięstwo jest pewne, ale nie wierzymy, że będziemy całkowicie pokonani - powiedział głównodowodzący marynarki wojenną admirał Tojoda.

Dyskusja trwała do 2.00. Wtedy wstał premier Suzuki. Złożył głęboki ukłód cesarzowi i rzekł:

- W tych warunkach z całą pokorą stoję u stóp tronu, aby błagać dostojną mądrość cesarską o rozśdzenie sporu zgodnie z decyzją jego cesarskiej mocy. < Premier doskonale rozumiał, że cesarz jest jedyną osobą, której autorytet mógł zmusić armię do podporządkowania się decyzji o kapitulacji. Aby tak się stało cesarz musiał otwarcie powiedzieć, że należy zakończyć wojnę. ;

Hirohito mówił krótko, i

- Przemyslałem sprawę z całą powagą i uznałem, że kontynuowanie wojny

sywy. Stac-

alnierzy, nie

wyszkoleni

? dywizjami

e dopóki na

zwoleńnicy

. tej siły do
/ japońskie.
> Mandżurii
/ Mandżurii
;o oporu.
i cesarskim
si dowódcy
dstawić im
:h do salki
^li miejsca,
: deklaracji
wzywającej
3sił cesarza
inomylnej
jno prezen-
:iał się za
. Najwyżsi
ioru naszej
ał Anami.
dziemy do
;rzymy, że
marynarkš
)oki ukłon

: dostojnš

;j moci. -

ytet može

: się stało,

nie wojny

može oznaczać tylko ruinę dla narodu, dalszy rozlew krwi i okrucieństwo. -

Cesarz mówił o wielkich ofiarach, które żołnierze i naród japoński złożyli w tej wojnie, ale nie widział możliwości kontynuowania walki.

- Nadszedł czas, kiedy musimy znieć to. co wydaje się nie do zniesienia.

Kiedy sięgam do przeszłości, kiedy myślę o uczuciach mego przodka, cesarza

Meidzi, o tym. co przeżywał w czasie interwencji trzech mocarstw, to dławie łzy

i aprobuję propozycję przyjęcia sojuszniczej deklaracji, przedstawionej przez

ministra spraw zagranicznych.

Narada była skończona...

14 sierpnia 1945 r. 804 bombowce B-29 wystartowały do ostatniego nalotu na

Japonię. Tego dnia prezydent Truman wydał zakaz dokonywania dalszych

nalotów. Przywódcy Kraju Wschodźscego Słońca szykowali się do kapitulacji.

2 września 1945 r. o 5.00 w zniszczonej rezydencji nowego premiera Japonii,

Tosihiko Higaszikuni, zebrali się wojskowi i dyplomaci, którym przewodził

64-letni minister spraw zagranicznych Mamoru Szigemitsu. Obok niego stał szef

Imperialnego Sztabu Generalnego, generał Joszijiro Umedzu. Dotychczas odmawiał udziału w ceremonii kapitulacji, ale został do tego zmuszony osobistym poleceniem cesarza. Brakowało głównodowodzącego marynarki wojennej admirała Soemu Tojody, który nie usłuchał polecenia cesarza i przysłał w zastępstwie oficera ze swego sztabu, Sadatoszi Tomioke.

Zanim delegacja opuściła Jokohamę, jej uczestnicy odpięli szable, a z samochodów, którymi jechali, zdjęto proporczyki. Żołnierze bez broni i dyplomaci bez flag wyruszali poddać imperium. W porcie zobaczyli niszczyciel Hatsuzabura. Jeden z nielicznych okrętów tak potężnej niegdy marynarki wojennej stał przycumowany przy nabrzeżu z opuszczonymi lufami dział, jakby oddawał pokłon...

O 8.55 delegacja dobiła do burty pancernika Missouri. Pierwszy do trapu podszedł minister Szigemitsu. Z trudem wspinał się po stromych stopniach, gdyż kilka lat wcześniej stracił nogę w zamachu bombowym w Szanghaju. Jeden z Amerykanów wyciągnął rękę. Minister zawahał się, ale przyjął pomoc. Na pokładzie byli już alianccy dowódcy. Anglicy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Chińczycy, Rosjanie, Holendrzy i Amerykanie uformowali szereg w kształcie litery U, w otwarciu której stał mikrofon oraz stół, wyciągnięty z mesy i przykryty zielonym sukniem.

Nad nim piętrzyło się rusztowanie dla operatorów i korespondentów wojennych. Na wieżach artyleryjskich i lufach potężnych dział pancernika tłoczyli się marynarze.

Gdy Japończycy stanęli w miejscach wskazanych przez komandora Birda, na pokład wszedł naczelny dowódca Zjednoczonych Sił, generał Douglas MacArthur. Przybył znacznie wcześniej i w admiralskiej kabinie oczekiwał na rozpoczęcie ceremonii. Podszedł do mikrofonu. Trzymał w dłoni kartkę papieru, ale nie złożył za plecami. Mówił krótko o znaczeniu aktu, który miał zostać podpisany. Nie otrzymałem żadnych instrukcji, co mówić ani co robić - przyznał się później MacArthur. - Stojąc na pokładzie, byłem pozostawiony sam sobie, tylko z Bogiem i własną wiadomością, i to miało mnie prowadzić.

Na stole leżały dwie kopie aktu kapitulacji: amerykańska - oprawiona w skórę - i japońska - w okładkach z płótna. MacArthur, gdy skończył przemawiać, skinął do ministra Szigemitsu. Ten kulejąc podszedł do stołu. Usiadł i zaczął nerwowo przekładać laseczkę, rękawiczki i cylinder. MacArthur, czując, że minister jest całkowicie zagubiony, powiedział do stojącego obok komandora Sutherlanda:

- Pokaż mu, gdzie podpisać'.

Po Japończykach nadeszła pora na aliantów. Podchodzili kolejno składać podpisy. Ostatni usiadł przy stole MacArthur. Położył przed sobą 5 wiecznych piór i z ich pomocą złożył podpisy na dokumentach. Ostatnie, tanie czerwone pióro należało do jego żony Jane. Prosiła, aby zachował je dla syna.

O 9.25 ceremonię zakończono. MacArthur, wyraźnie odprężony, objął ramieniem dowódcę pancernika Missouri i rozglądając się po niebie zapytał:

- Bili, gdzie, do diabła, są wszystkie samoloty? Jakby na ten sygnał pojawiły się formacje myśliwców i bombowców 5-29. Defilada zwycięzców wojny na Pacyfiku...

2 września 1945 na pokładzie amerykańskiego pancernika "Missouri" japoński generał Joshiuro Lmedzu podpisuje akt kapitulacji Japonii

my sam sobie,

'iść.

awiona w skó-

'ł przemawiać.

Jsiadł i zaczął

ur, czujśc, że

ok komandora

olejno składać

ś 5 wiecznych

anie czerwone

.yna.

/, objął ramie-

apytał:

/gnał pojawiły

:ów wojny na

TESTAM

Był późny wieczór 21 czerwca 1941 r., gdy trzech najwyższych dowódców Armii Czerwonej: komisarz obrony Siemion Timoszenko, szef Sztabu Generalnego Gieorgij Żuków i jego zastępca Mikołaj Watutin weszli do gabinetu Stalina. W pomieszczeniu panował półmrok i tylko lampa na biurku przy oknie oświetlała duży pokój. Stalin krążył wokół biurka, ale na widok przybyłych podszedł do dużego stołu konferencyjnego, na którym rozłożono mapy.

- Prawdopodobnie niemieccy generałowie wysłali następnego dezertera, aby sprowokować konflikty - powiedział.

Stalin nawiązywał do ostatniej informacji przekazanej przez ukowca, o dotarciu niemieckiego kaprala do jednego z radzieckich oddziałów pogranicza.

Żołnierz ów stwierdził, że wojska niemieckie zajmują rejony wyjściowe do natarcia, które miało rozpocząć się następnego dnia we wczesnych godzinach porannych.

- Nie! - Komisarz Timoszenko odezwał się stanowczym głosem, jakby w ten sposób chciał przekonać Stalina o tym, że niemieckie przygotowania do ataku są już bardzo zaawansowane. - Uważamy, że człowiek ten mówił prawdę!

W tym czasie do gabinetu weszli członkowie Biura Politycznego.

- Co mamy robić? - zapytał Stalin, po zapoznaniu ich z sytuacją.

- Trzeba natychmiast wydać wojskom rozkaz postawienia wszystkich jednostek okręgów przygranicznych w stan pełnej gotowości bojowej! - Timoszenko, zdesperowany, wiedział, że nie może pozwolić na rozpętanie dyskusji. Już nie było na to czasu. - Tak się złożyło, że szef Sztabu Generalnego, Żuków, przygotował odpowiednie zalecenia.

- Przeczytajcie - powiedział Stalin.

Dyrektywa nie zyskała jednak uznania.

- Na wydanie takich rozkazów jest jeszcze za wcześnie. Być może problem uda się rozstrzygnąć postępowaniem pokojowym. Trzeba wydać krótką dyrektywę, zwracając w niej uwagę na to, że napać może się zacząć od prowokacyjnych działań oddziałów niemieckich. Wojska okręgów przygranicznych nie powinny pod żadnym pozorem dać się sprowokować - zaproponował Stalin.

Żuków i Watutin opracowali takie zalecenia i Stalin, po wprowadzeniu paru poprawek, podpisał je. Watutin natychmiast zabrał dokument, aby przekazać dowódcom okręgów. O godzinie 0.30 jego treść została wysłana w eter. Było to na 135 minut przed niemieckim atakiem. Za późno, aby dyrektywa mogła cokolwiek zmienić. Co gorsze dla Rosjan, dowódcy wielu okręgów nie odebrali depeszy z Moskwy, gdyż niemieckie oddziały dywersyjne przecięły linie telefoniczne.

O północy ekspres Moskwa-Berlin przemknął, dudniąc po mocie w Brześciu Litewskim. Gdy zniknął w odali, uniósł się semafor, otwierając drogę przed pociągami towarowymi, wiozącymi ukraińskie zboże do Niemiec.

W tym samym czasie Żuków ponownie zatelefonował do Stalina.

- Towarzyszu Stalin, kolejny dezerterski informuje o ataku przygotowywanym na wczesne godziny poranne.

- Co to za jeden?

- Robotnik, komunista. Nazywa się Alfred Liskov z 222. pułku piechoty 74. dywizji. Około 21.00 przepłynął Prut, żeby przedostać się do naszych oddziałów.

- Rozstrzelać za sianie dezinformacji - powiedział spokojnie Stalin i odłożył słuchawkę.

Chwilę potem przeszedł przez korytarz wyłożony czerwonym dywanem.

Wsiadł do windy i zjechał na parter. Przed wejściem do budynku stał już wyprostowany na baczność szef osobistej ochrony, generał Własik. Na widok Stalina otworzył drzwi do opancerzonej limuzyny.

- Do Kuncewa. towarzyszu Stalin? - zapytał, zanim Stalin zniknął w przepastnym wnętrzu samochodu.

Czarna limuzyna i towarzyszące samochody ochrony ruszyły w stronę Bramy Borowieckiej, przemknęły przez ulice upionej Moskwy i po kilkudziesięciu

minutach dojechały do willi Stalina w podmoskiewskiej miejscowości Kunczewo.

Dyktator ułożył się na sofie w salonie, przykrył wojskowym kocem i zasnął. Była godzina 3.30.

Generał Żuków siedział w swoim gabinecie w Sztabie Generalnym. On wierzył w informacje dezerterskie, potwierdzone przez oddziały obserwujące niecodzienny ruch po niemieckiej stronie. Był przekonany, że niemieckie armie lada moment uderzą. Nie mógł jednak nic zrobić. Pozostało mu tylko czekać...

O 3.30 zadzwonił telefon na jego biurku.

- Tu generał Klimowski - zgłosił się szef sztabu Zachodniego Okręgu

Wojskowego. - Samoloty niemieckie bombardują miasta na Białorusi.

Trzy minuty później szef sztabu Kijowskiego Okręgu Wojskowego generał

Purkajew meldował o nalotach na miasta Ukrainy.

Nie można już było mieć żadnych wątpliwości. Wojna!

Tuż przed godziną 4.00, 22 czerwca 1941 r., Żuków zadzwonił do

komisarza obrony i przekazał meldunki, które nadeszły z okręgów wojs-

kowych. Timoszenko nakazał skontaktować się ze Stalinem.

W Kunczewie nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie zgłosił się zaspany generał z ochrony Stalina.

- Kto mówi?

- Szef Sztabu Generalnego, Żuków. Proszę natychmiast połączyć mnie z towarzyszem Stalinem.

- Co? Teraz?!. Towarzysz Stalin pi.

SPRAWA ŻUKOWA

w Brześciu

rogę przed

ywanym na

;u piechoty

jo naszych

in i odłożył

dywanem.

iku miał już

Na widok

w przepast-

;ronę Bramy

kudziesięciu

ci Kuncowo.

zasnął. Była

iralnym. On
obserwujšce
niemieckie
iło mu tylko
lego Okręgu
ałorusi.
vego generał

adzwońił do
ręgów wojs-
spany generał
ałšczyć mnie

- Proszę go obudzić nie zwlekajšc! Niemcy bombardujš nasze miasta!

Po kilku minutach do telefonu podszedł Stalin. Wysłuchał meldunku, lecz nie odpowiadał. Cisza w słuchawce przedłužała się.

- Czy rozumielicie mnie? - zdecydował się zapytać Żuków.

Milczenie trwało. Dopiero po długiej chwili Stalin zapytał:

- Gdzie jest ludowy komisarz?

- Rozmawia z Kijowskim Okręgiem Wojskowym.

- Przyjedcie na Kreml z Timoszenkš. Powiedzcie Proskrebyszewowi [sekretarz Stalina - BWj. żeby wezwał wszystkich członków Biura Politycznego.

O godzinie 4.30 Żuków i Timoszenko weszli do gabinetu na Kremlu. Byli tam już wszyscy członkowie Biura Politycznego. Stalin, blady jak ciana, siedział nieruchomo za biurkiem z wygasłš fajkš w ręku. Nie wierzył jeszcze, że wybuchła wojna. Wszyscy czekali na powrót komisarza spraw zagranicznych, Wiaczesława Mołotowa, który miał się spotkać z ambasadorem niemieckim. Wrócił po kilkunastu minutach, wyrazie roztrzęsiony, i owiadczył:

- Rzšd niemiecki wypowiedział nam wojnę.

Stalin, który na widok wchodzącego Mołotowa poderwał się zza biurka, opadł na krzesło. Przez wiele minut nic nie mówił. Nikt się nie odważał przerwać ciszy. Wreszcie odezwał się Żuków i zaproponował, aby wszystkie siły przygranicznych okręgów wojskowych rzucić do walki z nieprzyjacielem i powstrzymać napór.

- Nie powstrzymać, lecz zniszczyć - powiedział komisarz Timoszenko

- Wydajcie rozkaz - odezwał się Stalin.

Rozkaz odparcia wojsk niemieckich i przejcia do kontrofensywy na całym froncie, przekazany do okręgów wojskowych o godzinie 7.15, był wyrazem absolutnego niezrozumienia sytuacji w armii i na froncie. Tam ruszyła do boju niemiecka tzw. Armia Wschodnia (Ostheer), wspierana przez armie rumuńskš i węgierskš - łącznie ponad 120 dywizji piechoty, 2,5 miliona ludzi, 3350 czołgów, 48 tysięcy dział i modzierzy i 2200 samolotów.

Siły Armii Czerwonej w zachodnich okręgach pogranicznych liczyły 2,9 miliona ludzi w 170 dywizjach, 38 tysięcy dział i modzierz, 1470 czołgów nowych typów (T-34 i KW-1) z posiadanych ogółem 22-24 tysięcy czołgów, oraz około 1500 samolotów nowych typów, z ponad 3 tysięcy stacjonowanych w tym rejonie. Stosunek sił nie zapowiadał kataklizmu. Te wojska, postawione odpowiednio wcześniej w stan pogotowia, mśdrze rozlokowane w rozbudowanych liniach obronnych, mogły zatrzymać napastników. A jednak na całym długim froncie ponosiły ciężkie straty i cofały się, podejmujśc rozpaczliwe próby zorganizowania obrony. Wszędzie panował nieopisany chaos.

48. dywizja piechoty Bałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego maszerowała z Rygi w stronę frontu, gdy nisko nad drzewami nadleciały samoloty Messerschmitt Bf 109. Wystrzeliły pierwsze serie w stronę całkowicie zaskoczonych żołnierzy. Żaden z oficerów nie pomyślał o zorganizowaniu obrony przeciwlotniczej. Tuż potem wysoko na niebie pojawiły się Ju 87 Stuka. Z niezwykłą precyzją lokowały 250-kilogramowe bomby na zatłoczonej drodze. W ciśgu 20-minutowego nalotu dywizja poniosła tak duże straty, że gdy nadciśgnęły niemieckie oddziały, nie mogła już się bronić i została całkowicie zniszczona.

Dywizje: 5. i 126. były na poligonach w odległości około 100 kilometrów od koszar i nie mogły dotrzeć do wyznaczonych rejonów. Jednostki obrony przeciwlotniczej Mińska kończyły ćwiczenia na poligonach znajdujących się w odległości 430 kilometrów od miasta. W rejonie Tilsit 125. dywizja piechoty stawiała czoło całej niemieckiej 4. grupie pancерnej, z której 3 dywizje pancерne i 2 dywizje piechoty rozniosły radzieckš jednostkę.

Na lotniskach sytuacja była wprost rozpaczliwa. Część kadry z Zachodniego Okręgu Wojskowego przebywała na krótkoterminowych urlopach. W większości baz samoloty stały równo ustawione, tak że były znakomitym celem dla niemieckich myliwców. W innych rejonach, gdzie przerzucono już samoloty na lotniska zapasowe, nie dowieziono amunicji i paliwa.

Luftwaffe zbierała przerażające żniwo: w czasie ośmioipółgodzinnych walk lotnictwo niemieckie zniszczyło około 1200 samolotów radzieckich (z czego 70-80% na lotniskach), uzyskując całkowite panowanie w powietrzu. Straszliwy chaos, w którym gubiły się dywizje, pogłębiali oficerowie nie umiejący ani zorganizować obrony, ani opanować spanikowanych żołnierzy. Kadra nie wiedziała, gdzie znajdują się podlegające jej oddziały. Dowódcy kompanii i batalionów - z których wielu nie umiało czytać map - w obliczu sprzecznych rozkazów, lub braku wszelkich wskazówek, prowadzili swoje wojska wprost pod lufy niemieckich czołgów. Takie były następstwa wielkiej czystki, która pochłonęła Tuchaczewskiego i wielu innych najwybitniejszych, najbardziej doświadczonych dowódców: w wojsku od 40 do 85 tysięcy oficerów zostało zabitych, uwięzionych lub zwolnionych ze służby. Z 5 marszałków - 3 zamordowano, z 15 dowódców armii uratowało się tylko 2, z 85 dowódców korpusów - ocalało tylko 28, z 195 dowódców dywizji - 85. z 406 dowódców brygad - ocalało 186.

Ci, którzy zajęli miejsca uwięzionych i pomordowanych, nie mieli dowiedzenia i przygotowania. Oficerowie, zaledwie radzący sobie z dowodzeniem pułkiem, dostawali pod swoje rozkazy dywizje. Ci, którzy nie sprawdzili się

w dowodzeniu dywizjami, stawali na czele armii, a nawet frontów. Efektem była jedynie przelana krew.

Żuków, jako szef Sztabu Generalnego, ponosił bezprecedens odpowiedzialność za nieprzygotowanie wojsk do obrony. Jednakże przyszło mu działać w wyjątkowo nie sprzyjających warunkach. Dyktator nie wierzył w agresywne plany Niemiec i uważał, że wszelkie informacje na ten temat są inspirowane przez wywiad brytyjski, który zmierzał do sprowokowania wojny między dwoma zaprzyjaniem państwami, tj. Związkiem Radzieckim i Niemcami. Dezinformację pogłębiał... radziecki wywiad. W lipcu 1940 r. szefem wywiadu wojskowego GRU został generał lejtnant Fiodor Golikow, który niewiele wiedział o funkcjonowaniu wywiadu - jego wiedza pochodziła z konfidenckiej współpracy z NKWD, w czasach gdy donosił na kolegów. Po awansie obawiał się, że jego niekompetencja wyjdzie na jaw i, w celu zamaskowania braku wiedzy, rozpętał kampanię poszukiwania w wojsku szpiegów, dywersantów i wrogów ludu. Odwracał w ten sposób uwagę wojska od najważniejszych problemów i zmuszał kadrę do poszukiwania sprawców wymyślonych aktów sabotażu: na przykład dodania szkła do filcu, z którego produkowano walonki, umieszczania gwóźdź w butach lub dostarczania zatrutych bochenków chleba. Efekty były paradoksalne. Na przykład w czasie manewrów morskich na Bałtyku okręty podwodne nie zanurzały się, gdyż nadeszła informacja, że zostały uszkodzone przez sabotażystów; pływając po powierzchni zachowywały się tak, jakby poruszały się w głębinach, a podniesienie peryskopu oznaczało atak torpedowy. W takiej atmosferze Golikow mógł być spokojny, że nikt nie będzie sprawdzał

jego kompetencji, ani też oczekiwał sukcesów w innych dziedzinach pracy wywiadowczej. Jednakże największy problem stanowiły raporty radzieckich szpiegów, którzy, jak doktor Richard Sorge w Tokio, uzyskali dostęp do największych tajemnic rządu III Rzeszy i przesyłali precyzyjne meldunki o przygotowaniach do wojny. Golikow nie mógł wyrzucić ich do kosza, wysyłał więc do Stalina z adnotacjami: „zaprzedał się Brytyjczykom” lub „podwójny agent”.

20 marca 1941 r. przekazał raport wywiadowczy, w którym informował, że uderzenie wojsk niemieckich ma nastąpić 15 maja* oraz podawał organizację sił niemieckich. Golikow napisał w podsumowaniu raportu: Pogłoski i dokumenty, mówiące o nieuchronnej na wiosnę tego roku wojnie z ZSRR, należy oceniać jako dezinformacje pochodzące od angielskiego, a może nawet od niemieckiego wywiadu.

W podobnym tonie wypowiadali się najwyżsi dowódcy wiedząc, że słowo o autentycznym zagrożeniu może przynieść straszliwe konsekwencje. Komisarz marynarki wojennej admirał Nikołaj Kuzniecowa, przesyłając Stalinowi raport na temat niemieckich planów, napisał: Przypuszczam, że informacje są fałszywe i specjalnie skierowane na tę drogę, ażeby sprawdzić, jak zareaguje Związek Radziecki.

Stalin nie uwierzył nawet w szokujące wyznanie niemieckiego ambasadora, hrabiego Friedricha Wernera von Schulenburga, który na początku czerwca

1941 r. powiedział do radzieckiego dyplomaty Władimira Diekanozowa:

Hitler podjął decyzję o rozpoczęciu wojny ze Związkiem Radzieckim 22 -" czerwca. Dlaczego was o tym informuję? Wychowano mnie w duchu Bismarcka, który był zawsze przeciwny wojnie z Rosją".

Dyktator uznał jednak, że to szokujące wyznanie jest częścią gry politycznej, której celem jest uzyskanie od Związku Radzieckiego większych ustępstw w stosunkach gospodarczych. Wkrótce miał już doć wszelkich informacji o nadchodzącej wojnie i postanowił sprawę zakończyć definitywnie.

*Była to pierwotna data rozpoczęcia wojny z ZSRR. Hitler przesunął termin na czerwiec ze względu na podjęcie działań przeciwko Jugosławii.

16 czerwca wezwał do swojego gabinetu szefa Wydziału Wywiadu Zagranicznego OGPU, Pawła Fitina.

- Słuchaj, szefie wywiadu - powiedział. - Nie musicie przedstawiać mi ostatnich raportów naszych agentów, znam je na pamięć [chodziło o meldunki agentów z Berlina i Sorgego z Tokio - BW]. Zapamiętaj, szefie wywiadu, nie ma Niemców, którym można byłoby wierzyć poza Wilhelmem Pieckiem [organizator Komunistycznej Partii Niemiec i od 1935 r. jej przewodniczący - BW]. Czy to jest jasne?

- Jasne, towarzyszu Stalin - odpowiedział Fitin.

Szef Sztabu Generalnego generał Żuków (i zapewne komisarz obrony) nie otrzymywał nawet tych okrojonych, opatrzonych komentarzami raportów wywiadowczych, gdyż trafiały bezpośrednio do Stalina, a ten, bez wstąpienia, nie przekazywał swoim oficerom ostrzeżeń przed niemiecką agresją.

Czy Stalin zdał sobie sprawę, że wielkie klęski, jakie ponosiła Armia Czerwona w pierwszych dniach wojny z Niemcami, są efektem wielkiej czystki? Zapewne nie. Był przekonany, że nie udało się zlikwidować wszystkich jego wrogów wśród oficerów, że wielu dowodzących armiami i frontami to poplecznicy Trockiego i Tuchaczewskiego. Osobnicy, którym udało się ukryć przed NKWD. To przekonanie tym bardziej skłaniało go do otoczenia się wąskim gronem oficerów, którym bezgranicznie wierzył. Jednym z nich był Gierogij Żuków. Stalin pozwolił mu zostać bohaterem.

Józef Stalin

LOS DOWÓDCY

Bieda panowała w chałupie wiejskiego szewca w Strielkowce w kałuskiej guberni, gdzie 19 listopada 1896 r. urodził się Gieorgij.

Gdy skończyłem 5 lat, a siostra zaczynała już siódmy rok, matka urodziła jeszcze jednego chłopca, któremu nadano imię Aleksiej. Był on bardzo chudziutki i wszyscy się bali, że nie wyżyje. Mama płacząc nieraz powtarzała: 'A od czegoż to dziecko będzie silne? Od samej wody i chleba?' Zaledwie w kilka miesięcy po urodzeniu syna matka postanowiła znów pojechać do miasta na

zarobek. Ssiedzi odradzali jej, namawiali, żeby bardziej troszczyła się o chorowite maleństwo, które potrzebowało karmienia piersiś. Ale groba głodu, wiszśca nad całś rodzinś, zmusiła matkę do wyjazdu. Alosza pozostał za pod nasz opiekś. Żył niedługo, niecały rok. Jesieniś pochowaliśmy go na cmentarzu w Ugodzkim Zawodzie. Oboje z siostrś, nie mówiśc już o matce i ojcu, bardzo żalowali Aloszy i często chodziliśmy na jego grób. W tym samym czasie nawiedziło nas inne nieszczęcie - ze staroci zawalił się dach naszej chałupy. Trzeba stśd uciekać - postanowił ojciec - bo wszystkich nas zagniecie.

Dopóki ciepło, zamieszkamy w szopie, a póniej zobaczymy. Može kto pozwoli skorzystać z wolnej łani lub stodoły. Pamiętam dobrze, jak matka, roniśc gęste łzy, mówiła do nas: "No cóż, nie ma rady, dzieci, zabierajcie manatki i przenocie wszystko do szopy".

Szczęcie umiechnęło się jednak do Żukowów. Odnaleli brata matki, bogatego kunierza, i ubłagali go, żeby wziśł na naukę 12-letniego Gieorgija. I zapewne przez całe życie przyszywałby futrzane kołnierze do pelis bogatych chłopów, gdyby nie wojna. 7 sierpnia 1915 r. 19-letni chłopak stanśł przed komisjś poborowś, która skierowało go do kawalerii. Był cierpliwy, zdyscyplinowany i odważny, a w dodatku miał szczęcie. Zdobył sympatię przełożonych, którzy skierowali go do szkoły podoficerskiej. Wrócił na front. Dzielnie walczył. Był ranny. Dwukrotnie nagrodzono jego brawurę i dzielnoć Krzyżami w. Jerzego.

Tak jak wojna niespodziewanie odmieniła jego życie, tak równie niespodziewanie wtargnęła w nie rewolucja. O wicie 27 lutego 1917 r. szwadron Żukowa

stacjonujący w wsi Łageria został postawiony w stan gotowości. Wkrótce wyprowadzono go do pobliskiego miasteczka, gdzie na placu ćwiczeń przed budynkiem sztabu stały już inne oddziały kawalerii. Żołnierze nie czekali długo. Zza rogu ulicy usłyszeli krzyki, a potem wyłoniła się grupa ludzi z czerwonymi sztandarami. Zapewne zgromadzono konnicę, aby rozpędziła tłumy demonstrantów, ale wydarzenia przybrały inny obrót. Z budynku sztabu wyszło kilku żołnierzy. Zaczęli krzyczeć, że wojsko nie uznaje już cara Mikołaja, że lud nie chce wojny, władzy kapitalistów i obszarników. Kawalerzyci odpowiedzieli im gromkim hurra".

Żołnierze mieli już dość wojny, klęsk, widoku zniszczeń, miernoty, życia

w okopach wśród szczurów i wszy. Wojsko buntowało się przeciwko nieudolnym dowódcom i rządom, który zdecydowany był prowadzić wojnę, chociaż nikt nie widział już jej celu. Komunistyczni agitatorzy wzywali do obrócenia broni przeciwko dowódcom i zakończenia wojny. To podobało się żołnierzom. Nie protestowali, gdy bolszewicy aresztowali dowódcę pułku i innych najwyższych oficerów.

Żuków poddał się fali buntu, która ogarnęła wojsko. Wybrano go na delegata do rady pułkowej. Szwadron Żukowa został rozformowany we wrześniu 1917 r., a on sam, z papierem w kieszeni, potwierdzającym, że został zwolniony ze służby, powrócił na rodzinną wieś.

Przewrót październikowy oddał władzę bolszewikom, a Lenin, który jeszcze w kwietniu 1917 r. uważał, że nowej władzy nie będzie potrzebna armia, policja

i służba bezpieczeństwa, gdyż rewolucja ogarnie wiat i zniesie granice, przekonał się nagle, że naród nie kocha bolszewików. W wyborach do Zgromadzenia Ustawodawczego, które odbyły się 8 grudnia 1917 r., opowiedziało się za nimi 9 milionów z 36 milionów głosujących, a więc niecałe 25%, co dało bolszewikom 175 miejsc w Zgromadzeniu. Zdecydowaną większość zdobyli rewolucyjni socjaliści, lewicowi socjalrewolucjoniści i mienszewicy, zajmując 370 miejsc w Konstytucyjnym Zgromadzeniu. Lenin nie zamierzał jednak oddawać władzy, ani dzielić jej w koalicyjnym rządzie. Na pierwszym posiedzeniu Konstytucyjnego Zgromadzenia 18 stycznia 1918 r. zgłosił wniosek o przyznanie rządowi specjalnych uprawnień. Zostało to odrzucone przez większość posłów, którzy argumentowali, że zadaniem Zgromadzenia Ustawodawczego jest uchwalenie konstytucji. Dzień później bolszewicki rząd rozwiązał Konstytucyjne Zgromadzenie. Żołnierze zamknęli wejścia do sali obrad i odpędzili posłów.

Lenin zrozumiał, że zdobędzie i utrzyma władzę tylko wtedy, gdy będzie miał do dyspozycji duże siły policyjne i wojskowe. Z jego rozkazu 20 grudnia 1917 r. Feliks Dzierżyński przystąpił do organizowania tajnej policji politycznej, a w styczniu 1918 r. Lew Trocki zaczął tworzyć siły zbrojne. Żuków, gdy tylko wydobrzeł po tyfusie, w sierpniu 1918 r., stawiał się w Moskwie, gdzie wstąpił do 4. pułku kawalerii I Moskiewskiej Dywizji. Ten wybór był oczywisty: chłopak z wiejskiej rodziny, przez lata przymierającej głodem, w naturalny sposób wybrał tych, którzy obiecali mu dostatnie życie.

Bolszewicy tracili jednak kontrolę nad sytuacją. Rosja pogrążyła się w ogniu wojny domowej. Na zachodzie, mimo zawarcia traktatu pokojowego w Brześciu ;

w marcu 1918 r., wojska niemieckie posuwały się naprzód; na południu Turcy j
podeszli do wybrzeży Morza Czarnego i kierowali się w stronę Baku; Kozacy |
dońscy pod wodzą Piotra Krasnowa wznieśli bunty przeciw bolszewikom j
i wkrótce z wojskami generała Antona Denikina zajęli ogromny obszar od frontu |
niemieckiego do Wołgi; na wschodzie zbuntowany Korpus Czechosłowacki i
opanował południową część Uralu i przejął kontrolę nad transsyberyjską linią
kolejową; w Samarze powstał rząd opozycyjny; w Omsku powstał rząd admirała
Aleksandra Kołczaka; w Murmańsku wyładowały wojska brytyjskie, aby

ko nieudolnym

hacia nikt nie

rocznica broni

żołnierzy. Nie

l najwyższych

o na delegata

eniu 1917 r.,

zwolniony ze

Dowódcy I. Konnej Armii

- ^, i. ivonne) Armii

REWOLUCJA, WOJNA DOMOWA

f7"

dopuścić do opanowania przez Niemców składów amunicji; w maju 15-tysięczny brytyjski korpus ekspedycyjny przejął kontrolę nad półwyspom Kola i Archangielskiem; we Władywostoku wylądowały wojska brytyjskie i japońskie. Wydawałoby się, że wobec takich potęg władza bolszewicka niewielkie ma szansę przetrwania, ale okolicznoci jej sprzyjały: Brytyjczycy nie kwapili się do wychylania nosa poza rejony ponów, które łatwo i szybko opanowali. Wystarczyłoby przysłanie 3 dywizji, które przełamałyby opór bolszewików i doszły do Moskwy. Jednakże zakończenie wojny w Europie w listopadzie 1918 r. podziałało tak demobilizująco na armię brytyjską, że żaden polityk ani dowódca nie odważyłby się zaproponować zebrania wojsk i wysłania ich do Rosji.

Biali generałowie, choć mieli pod swoimi rozkazami około miliona żołnierzy, nie potrafili skoordynować działań podlegających im wojsk, nie potrafili również zawrzeć sojuszu z Polską*. To dawało szansę zwycięstwa bolszewikom, których szeregi rosły szybko, a dobrze organizowane przez Lwa Trockiego stawały się poważną siłą bojową.

Żuków, z pułkiem I. Dywizji Moskiewskiej, wyruszył na front wojny domowej. Dowódcą brygady był Siemion Timoszenko, a dywizję dowodził Siemion Budionny. Pod Uralskiem Żuków poznał Michaiła Frunzego - dowódcę południowego zgrupowania wojsk Frontu Wschodniego. W guberni tombowskiej walczył razem z Michaiłem Tuchaczewskim i Hieronimem Uborewiczem przeciw oddziałom Antenowa. Gdy wygasła wojna domowa, ci ludzie przejęli dowodzenie Armii Czerwonej, a znajomości i przyjaźnie z pola bitwy zawsze

były decydujące w powojennych żołnierskich kańerach.

Żuków od 1923 r. dowodził pułkiem, przeszedł liczne przeszkolenia, przełozeni mieli o nim jak najlepsze zdanie. Prawdopodobnie te względy zadecydowały o skierowaniu go do Akademii Wojennej w Berlinie. W żadnym radzieckim ródle nie ma wzmianki o nauce w Niemczech (Żuków również nie wspominał nic na ten temat), choć potwierdzało jš kilku niemieckich wyższych oficerów, a wród nich generał F. W. von Mallenthin. Jest to bardzo prawdopodobne, zważywszy, że po zawarciu traktatu w Rapallo w 1922 r. obydwą państwą nawišzały cišš współpracę wojskowš. Najwyżsi oficerowie widzieli w tym możliwość szybkiej modernizacji Armii Czerwonej, a przede wszystkim szkolenia kadry. Niemcy szukali okazji obejcia zakazów traktatu wersalskiego, co znakomicie umożliwiały radzieckie poligony, nie podlegajšce żadnej kontroli zwycięskich mocarstw, których inspektorzy bacznie obserwowali wszystkie poligony w Niemczech. Dlatego wysyłano do Kazania i Lipiecka tajnie produkowane czołgi i tam można było je swobodnie testować. Na niemieckich poligonach natomiast, gdzie odbywały się ćwiczzenia , dozwolone traktatem wersalskim, szkolili się radzieccy oficerowie. {

Dojcie Hitlera do władzy przerwało kwitnšš współpracę, a Rosjanie szybko j się zorientowali, że nowy rzšd stawia na mechanizację i rozwój wojsk pancern-

* 26 listopada 1919 r. generał Anion Denikin zwrócił się o pomoc do Józefa Pilsudskiego, jednakże l podtrzymał nieustępliwie stanowisko w sprawie granicy polsko-rosyjskiej. co ostatecznie przesšdzi-

1
lo o powstrzymaniu się Pilsudskiego przed udzieleniem pomocy, ii

nych. Michał} Tuchaczewski, goršcy zwolennik takich zmian w Armii Czer-

wonej, korzystając wówczas z poparcia Stalina, przystąpił do modernizacji radzieckich sił zbrojnych. W korpusach kawaleryjskich w Białoruskim Okręgu Wojskowym zaczęto wprowadzać jednostki pancerne. Pierwsze dwa pułki pancerne miały otrzymać szczególnie wyróżniających się dowódców. Wyboru dokonał sam Józef Stalin, który chętnie wtrzącał się w sprawy wojska i osobiście podejmował decyzje nawet w błahych sprawach; pierwszymi dowódcami zostali Dmitrij Pawłow i Gieorgij Żuków. Ta nominacja zdaje się potwierdzać informacje o studiach Żukowa w niemieckiej szkole wojennej, gdzie mógł być odpowiednio przygotowany do dowodzenia jednostek pancernych.

Nowe zadania okazały się bardzo trudne. Wszystko było nowe, żołnierze nie obcy ze sprzętem, nie przyzwyczajeni do innych warunków służby. Kadra nie umiała sobie poradzić z codziennymi problemami, liczne awarie i wypadki tworzyły chaos, w którym nowy dowódca łatwo mógł stracić władzę i... głowę.

Żuków odniósł sukces. Żołnierze z eksperymentalnej jednostki zapamiętali go jako dowódcę bardzo wymagającego, konsekwentnego, sprawiedliwego i unikającego stosowania surowych kar, które były na porządku dziennym w Armii Czerwonej.

Pewnego razu późnym wieczorem jednostka powróciła z ćwiczeń. Czołgaci, mając za sobą cały dzień służby w ciasnych i dusznych wnętrzach czołgów, gdy tylko wjechali do koszar i ustawili swoje maszyny na placu, poszli, za zgodą oficera dyżurnego, spać. Wkrótce zjawił się Żuków. Popatrzył na zabłocone czołgaci i kazał wezwać oficera.

- Solidarność z towarzyszami broni to cenna cecha, ale, widzicie, w ten sposób im nie pomogliście, a wprost przeciwnie, złamaliście regulamin i doprowadziliście swoich towarzyszy do przekroczenia wojskowej dyscypliny i rozkazu. Wiem równie dobrze jak wy, że ludzie byli zmęczeni i że to było trudne dla nich [tj. umycie czołgów - BW], ale oni zostali powołani do służby, by się wyszkolić i przygotować do wojny, do jej trudności i wyrzeczeń. Zmęczenie podczas ćwiczeń to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co czeka nas w czasie wojny. Powinnicie zostać zwolnieni ze służby i ukarani, ale w drodze wyjścia nie zrobię tego dzisiaj. Organizacja partyjna oceni wasze działanie i osądzi was. Później zobaczymy, co z wami zrobić.

Po chwili żołnierze, wyciśnięci z łóżek, musieli pod okiem dowódców kompanii i batalionów myć czołgi. Dwie godziny później Żuków sprawdził, czy pojazdy są w należytym stanie i pozwolił żołnierzom udać się na spoczynek. Na placu pozostali dowódcy.

-Odnoszę wrażenie, że nie dorolicie do dowodzenia kompaniami. Przemyślcie to poważnie, możecie jeszcze zrezygnować, zanim nie jest za późno. Następnym razem nie pójdzie tak łatwo. Ostrzegam was.

Żuków do końca pozostał dowódcą wyrozumiałym i troszczącym się o żołnierzy, dbałym o to, aby nadaremnie nie przelewać ich krwi, co nie było cechą często spotykaną wśród radzieckich dowódców. Charakteryzował go jednak bezwzględny stosunek do oficerów. Dowódcy kompanii i batalionów, którzy zezwolili na pozostawienie brudnych czołgów, mieli ogromne szczęście, że

skończyło się tylko na polajance. W czasie wojny za przewinienia tego rodzaju wysyłał oficerów do karnej kompanii, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Stawał się dowódcą wielkiego formatu: doskonale prowadził pułk, wietnie rozgrywał działania na manewrach, wybornie znał swój rodzaj broni. Stalin doceniał jego zdolności i lojalność do tego stopnia, że w 1936 r. odznaczył go Orderem Lenina. Jednakże w najważniejszym okresie nie zdecydował się wysłuchać jego rad.

W lipcu 1936 r. w Hiszpanii wybuchła wojna domowa. Przeciwko rządowi sojuszu stronnictw lewicowych, zapowiadajścemu radykalne reformy społeczne, wystąpiły ugrupowania prawicowe mające oparcie w kadrze oficerskiej i części garnizonów. Siły obydwu stron były mniej więcej wyrównane i żadna z nich nie mogłaby odnieć zwycięstwa. O przebiegu wojny miał przesądzić udział innych państw. Najpierw włączyły się do niej Włochy i Niemcy, popierajśc buntowników. Do listopada 1936 r. niemiecki kontyngent lotniczy w Hiszpanii stał się tak liczny, że nadano mu nazwę Legionu Kondor: dysponował 30 samolotami bombowymi Ju 5213m. 27 dwupłatowymi myśliwcami He 51 i 12 - He 70 oraz 16 innymi samolotami. Do tego trzeba jeszcze dodać jednostki artylerii polowej, oraz grupę czołgów „Drobne”.

Włosi utworzyli Corpo Truppe Yolontare - Korpus Oddziałów Ochotniczych - który bez lotnictwa liczył około 50 tysięcy ludzi.

Związek Radziecki przez wiele miesięcy po wybuchu wojny domowej pozostawał bierny. Stalin nie kwapił się do pomocy, a wiele wydarzeń wskazywało, że ladem Francji i Wielkiej Brytanii zachowa neutralność

w konflikcie na Półwyspie Iberyjskim. W sierpniu 1936 r. ZSRR podpisał pakt o nieinterwencji. Pierwsze dostawy broni i amunicji dla wojsk republikańskich rozpoczęły się dopiero wówczas, gdy hiszpański rząd przesiał do Odessy większość swoich rezerw złota o ogromnej, jak na owe czasy, wartości 500 milionów dolarów. W zamian Rosjanie dostarczali republikańskim wojskom samoloty myliwskie 1-16, bombowce SB-2, czołgi, amunicję, a także ochotników i instruktorów wojskowych. W czasie wojny w Hiszpanii służyło około 2 tysięcy instruktorów radzieckich, ale jednorazowo ich liczba nigdy nie przekraczała 500*.

Pomoc materiałowa była doskonałym interesem dla Związku Radzieckiego. Wywiad radziecki zorganizował sieć firm w omiu stolicach europejskich, które zajmowały się sprzedaż broni do Hiszpanii - niele na tym zarabiając. Co ciekawe: głównym dostawcą broni dla tych firm były Niemcy. Dodatkowy zysk dla Związku Radzieckiego polegał na tym, że wywiad tworzył w ten sposób swoje agentury, licząc na wykorzystanie ich w przyszłości.

* W brygadach międzynarodowych w czasie całej wojny służyło około 40 tysięcy ochotników z różnych państw wiata. Najwięcej było Francuzów - około 18 tysięcy (zginęło 3 tysiśce). Niemców i Austriaków - 5 tysięcy.

tonów. którzy

szczęcie, że

ł tego rodzaju

z wyrokiem

owadzi! pułk,

i rodzaj broni.

6 r. odznaczył

decydował się

tiwko rzśdowi

my społeczne,

rskiej i części

[dna z nich nie

udział innych

;rajśc buntow-

izpanii stał się

50 samolotami

! - Hę 70 oraz

ylerii polowej,

iłów Ochotni-

)jny domowej

.ele wydarzeń

'a neutralność

SRR podpisał

wojsk repub-

śd przesłał do

a owe czasy,

li republikańs-

>igi, amunicję,

ly w Hiszpanii

wo ich liczba

Radzieckiego.

ipejskich, które

zarabiajśc. Co

odatkowy zysk

w ten sposób

W Hiszpanii przebywała grupa radzieckich obserwatorów, którymi dowodził generał Jan Berzin, szef wywiadu wojskowego Sztabu Generalnego. Oficerowie, wśród których znalazł się Żuków, bacznie obserwowali przebieg bitew, starajśc się zbierać jak najwięcej dowiadzczeń dotyczcych użycia wojsk. Wielokrotnie musieli przełykać gorzkie pigułki z powodu kompromitujścych działań radzieckich jednostek. Np. w rejonie Fuente de Ebro radziecki dowódca, mimo protestów oficerów republikańskich, skierował 40 czołgów na grzšski teren. Zaledwie 12 zdołało powrócić, a reszta zagrzebała się w miękkim gruncie i została póniej zniszczona.

Generał Dmitrij Pawłów, który, jak należy sšdzić, był głównym znawcš broni pancernej, każdego dnia pisał długie raporty, jednakże doszedł do błędnych wniosków, że czołgi nie mogš działać samodzielnie na polu bitwy. Bezpośrednim następstwem takiej oceny działań w Hiszpanii było rozwišzanie w ZSRR dużych

zwińzków pancernych - korpusów - i sprowadzenie udziału czołgów do wsparcia piechoty.

Żuków był innego zdania. Podczas dowodzenia pułkiem pancernym, a potem w trakcie obserwacji działań czołgów radzieckich, włoskich i niemieckich w Hiszpanii, miał okazję ocenić przełamujścš siłę nowej broni, ale niewiele mógł jeszcze powiedzieć. Tym bardziej że nadszedł czas, w którym każde nieopatrne słowo mogło oznaczać mierć: wielka czystka.

Georgij Żuków, który po powrocie z Hiszpanii objśł stanowisko dowódcy 3., a póniej 6. korpusu kawalerii w Białoruskim Okręgu Wojskowym, przeżył ten straszny czas bez szwanku. Co więcej: w 1938 r. awansował na stanowisko zastępcy dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego. Dlaczego los (i NKWD) był dla niego tak łaskawy? Jest tylko jedno wyjanienie: miał szczęście, że w czasie wojny domowej był kawalerzystš i służył pod rozkazami ludzi, których Stalin darzył szczególnš sympatiš: Budionnego i Woroszyłowa. Na skutek tej sympatii Kliment Woroszyłow - prostak, gbur i głupiec - doszedł do stanowiska komisarza spraw wojskowych i przez wiele lat Stalin tolerował jego, aż nadto widocznš, niekompetencję. Z tego samego powodu Siemion Budionny nie poniósł żadnych konsekwencji za wyjstkowo nieudolne dowodzenie w 1941 r. wojskami Kierunku Południowo-Zachodniego (obejmujšcego Front Południowo-Zachodni i Front Południowy oraz Flotę Czarnomorskš).

Tak więc kawaleryjski rodowód sprawił, że Stalin patrzył na Żukowa łaskawym okiem. Kiedy zdecydował się zniszczyć starš kadrę oficerskš, musiał równoczenie przygotowywać nowš. Majšc dostęp do kartotek komisariatów

obrony i spraw wewnętrznych, mógł wybrać młodych oficerów, wolnych od podejrzeń o powiższania z opozycjš, którzy po przyjęciu awansów z jego ršk pozostaliby mu wierni. W tej grupie znaleli się: Żuków, Pawłów, Markian Popów, Timoszenko, Andriej Jerjomienko, Apanasienko, Tiuleniew, Koniew i Stem. Wród tych 9 oficerów 6 wywodziło się z l. Armii Konnej.

1 czerwca 1939 r. w sztabie 3. korpusu kawalerii w Mińsku do Żukowa dotarł rozkaz bezzwłocznego stawienia się u komisarza obrony w Moskwie. Następnego dnia w gabinecie Woroszyiowa dowiedział się, że musi niezwłocznie udać się do Mongolii, gdzie powtarzające się starcia z wojskami japońskim niepokoily sowieckie władze. Pierwszy atak niewielkich sił japońskich (około 300 żołnierzy) nastąpił 11 maja 1939 r. Bez wstpienia było to rozpoznanie, gdyż 28 maja do boju ruszyło 5500 żołnierzy wspieranych przez 40 samolotów, ale zostali zmuszeni do odwrotu. Było oczywiste, że Japończycy ponowiš uderzenia, a dowództwo Armii Czerwonej negatywnie oceniało możliwości oficerów dowodzących wojskami w Mongolii.

W sztabie 57. korpusu Żuków zastał grupę przerażonych oficerów, bojšcych się podjšć jakškolwiek decyzję i z niecierpliwociš oczekujšcych na telefon z Moskwy. Dlatego nie opuszczali sztabu, choć ich wojska znajdowały się w odległoci 120 kilometrów i niewiele wiedzieli, co tam się dzieje. Dowódca 57. korpusu komdyw (dowódca dywizji) N. Feklenko szczerze przedstawił sytuację:

- Siedzimy tu rzeczywiście trochę za daleko, lecz rejon wydarzeń bojowych

nie jest przygotowany pod względem operacyjnym. W terenie nie mamy ani jednego kilometra linii telefoniczno-telegraficznej. brak odpowiednio urządzonych stanowiska dowodzenia oraz lądowisk dla samolotów.

- A co się robi. żeby to wszystko zorganizować? - zapytał Żuków, wyraźnie zdziwiony bezradnością człowieka, który lada moment miał poprowadzić swoje wojska do walki z bardzo górnym wrogiem.

- Mamy zamiar wysłać odpowiednią ekipę po materiały budowlane i przystąpić do urządzania stanowiska dowodzenia.

Już po kilku dniach, zapewne w wyniku dokładnego raportu, przesłanego przez Żukowa do Moskwy, dowódca 57. korpusu został zwolniony, a jednocześnie Sztab Generalny zdecydował się wzmocnić siły, nad którymi komendę powierzono Żukowowi, i wysyłał 3 dywizje piechoty, brygadę pancerną, artylerię i samoloty myśliwskie. Stalin powiedział później: Żuków jest moim George'em B. McClellanem*. Tak jak McClellan, zawsze chce więcej żołnierzy. więcej dział, więcej karabinów. Także więcej samolotów. Nigdy nie ma dość. Ale Żuków nigdy nie przegrał bitwy.

Bitwa nad rzeką Chałchyn-gol była rzeczywiście powodem dumy Żukowa.

Bardzo sprawnie i sprytnie przeprowadził koncentrację wojsk. Jednocześnie zastosował sztuki, które zmyliły Japończyków: fałszywe rozmowy telefoniczne, fałszywe depeche, które łatwo było odszyfrować, maskowanie. Na podstawie tych sygnałów przeciwnicy byli przekonani, że wojska radzieckie szykują się do obrony, podczas gdy one przygotowywały się do ataku.

2 lipca 1939 r. wojska japońskie liczące 38 tysięcy żołnierzy, 310 dział, 135

czołgów i 225 samolotów sforsowały rzekę Chałchyn-goł. W rejonie góry

* George Brionton McClellan (1826-1885), amerykański generał, głównodowodzący w latach 1861-1882 wojskami Unii w wojnie domowej. Zwolniony przez prezydenta Abrahama Lincolna za niewykorzystanie zwycięstwa nad konfederatami nad Antietam. W 1854 r. kandydował bezskutecznie na stanowisko prezydenta.

ocześnie udać się do

mskim niepokoiły

oło 300 żołnierzy)

, gdyż 28 maja do

lotów, ale zostali

anowiś uderzenia,

.żliwoci oficerów

)ficerów. bojścych

JJścych na telefon

ka znajdowały się

ę dzieje. Dowódca

:zerze przedstawił

wydarzeń bojowych

nie nie mamy ani

wiednio urzędzone-

ił Żuków, wyrwanie

poprowadzić swoje

owiany i przystąpić

i, przesłanego przez

my. a jednocześnie

komendę powierzo-

pancem, artylerię

moim George'em B.

liery, więcej dział,

ć. Ale Żuków nigdy

lem dumy Żukowa.

/ojsk. Jednoczenie

mowy telefoniczne,

∴ Na podstawie tych

skie szykuj się do

rzy, 310 dział, 135

3ł. W rejonie góry

/nodowodzcy w latach

a Abrahama Lincolna za

kandydował bezskutecz-

Bain-Cagan doszło do boju spotkaniowego, w którym Japończycy stracili

wszystkie czołgi, większość artylerii i 10 tysięcy żołnierzy. Ponowny atak 8 lipca

znowu zakończył się klęską.

W sierpniu Japończycy wzmocnili siły; nowo utworzona 6. armia liczyła 75 tysięcy żołnierzy, 182 czołgi i 300 samolotów. Jednakże Żuków potrafił wykorzystać swoją dobrą passę: Moskwa zgodziła się na przysłanie dodatkowych oddziałów i nowego sprzętu. Na początku sierpnia wojska Żukowa liczyły 57 tysięcy żołnierzy, 498 czołgów, 542 działa i 515 samolotów.

20 sierpnia ruszyły do natarcia poprzedzonego nalotami 153 bombowców i blisko trzygodzinnym przygotowaniem artyleryjskim. Po 4 dniach walk wojska japońskie zostały okrążone, a po tygodniu zniszczone. Straty radzieckie i mongolskie w ciągu 3-miesięcznych walk wyniosły 18,5 tysiąca zabitych i rannych; straty japońskie (wg danych radzieckich): 61 tysięcy zabitych, rannych i wziętych do niewoli, 600 samolotów, 200 dział*.

Nagrodą za wielkie zwycięstwo nad Chałchyn-golem był stopień generalski (dopiero co przywrócony w Armii Czerwonej) i spotkanie ze Stalinem, w maju 1940 r., w czasie którego Żuków dowiedział się, że został mianowany dowódcą największego Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego.

Zwycięstwa na Dalekim Wschodzie mogły utwierdzać Stalina w przekonaniu, że Armia Czerwona stanowi siłę, przed którą ugięła się Japonia i która będzie mogła opanować Europę. Działania w Polsce we wrześniu 1939 r., choć ograniczały się do niewielkich potyczek, też przyniosły sukces. Jednakże były to fałszywe dowody. Słabość ogromnej maszyny, jaką była Armia Czerwona, licząca w owym okresie 5 milionów żołnierzy, ujawniła się z całą siłą w czasie

wojny z Finlandiś.

Plany agresji na ten kraj od lutego 1939 r. przygotowywał generał Kiry}}
Miereckow, dowódca Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. To on zapewnia}
Stalina, że do podboju Finlandii wystarczy wojska jego okręgu.

30 listopada 1939 r. wojska radzieckie rozpoczęły działania wojenne pod
fałszywym pretekstem ostrzelania przez artylerię fińskš nadgranicznych poste-
runków radzieckich. Mimo ogromnej dysproporcji sił (ZSRR - 27 dywizji
piechoty, 1 dywizja kawalerii, 1 korpus zmechanizowany. 3 brygady czołgów
i około 800 samolotów. Finlandia - 14 dywizji piechoty, 1 brygada kawalerii
- łącznie 400 tysięcy żołnierzy wspieranych przez słabe lotnictwo, bez broni
pancernej i ciężkiej artylerii) wojska radzieckie zostały zatrzymane przez dywizje
fińskie - doskonale przygotowane do obrony, wietnie dowodzone i wykorzys-
tujšce warunki terenowe i klimatyczne. Dopiero na poczštku 1940 r., poważnie
wzmocnione (w lutym liczyły 55 dywizji, 2 tysiŃce czołgów i 2500 samolotów),

Kłęska nad Chałchyn-gołem przesšdziła o kierunku dalszej ekspansji japońskiej. Stratedzy
japońscy uznali, że uderzajšc na radzieckš Syberię napotkajš zbyt duŃe siły. Jednoczenie brak
rozstrzygnięcia w Chinach, gdzie japońskie dywizje nie potrafiły osiŃgnš ostatecznego zwycięstwa,
zadecydował o zwrocie na południe z zamiarem opanowania krajów zasobnych w surowce mineralne
oraz odcięcia Chin od pomocy materiałowej państw zachodnich.

przełamały przedniš pozycję wojsk fińskich we wschodniej i centralnej jej części
i, kontynuujšc ofensywę, przełamały głównš pozycję obrony na zachodnim
odcinku linii Mannerheima. W nocy z 12 na 13 marca ogłoszono zawieszenie

broni. W wyniku działań wojennych wojska fińskie straciły 24 923 żołnierzy zabitych i około 35 tysięcy rannych; straty radzieckie wyniosły około 250 tysięcy zabitych, rannych i zaginionych, 800 samolotów i prawie 2300 czołgów.

Stalin wyjątkowo łagodnie obszedł się z tymi, którzy ponosili bezprecedens winę za ogromne straty i kompromitujący Armię Czerwoną przebieg walk z małą armią fińską.. Usunął ze stanowisk ludzi decydujących o sprawach armii: wiemy Kliment Woroszyłow objął tytułowe stanowisko przewodniczącego Komitetu Obrony oraz jednego z wiceprzewodniczących Rady Komisarzy Ludowych. Być może Stalin zdał sobie sprawę, że główną winę ponosi on sam (co Woroszyłow w chwili szczeroci powiedział wprost: ..Sam jeste wszystkim winien. Wyniszczyły stare kadry w wojsku. Zabiły najlepszych generałów"), Jednakże zmiany, które nastąpiły w dowództwie Armii Czerwonej, niczego w rzeczywistości nie przeobraziły. W dalszym ciągu decyzje należały do ludzi niekompetentnych, acz bezgranicznie oddanych Stalinowi.

2 stycznia 1941 r. w Moskwie rozpoczęła się wielka gra wojenna, której założenia opracował generał Nikołaj Watutin, szef Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego. Przewidywał, że atak „niebieskich” (czyli Niemców), dysponujących niewielką przewagą w stosunku 6:5, nastąpi na froncie ciągnącym się od Bałtyku do Polesia. 11 stycznia, gdy gra dobiegła końca, było oczywiste, że „czerwoni” ponieśli druzgoczącą klęskę.

13 stycznia na Kremlu rozpoczęła się dyskusja nad wnioskami wynikającymi z gry. Główny referent generał Kirył Miereckow, szef Sztabu Generalnego, był wyrażnie zmieszany, nie potrafił jasno formułować myśli, a spotykając się

z ostrymi docinkami Stalina, coraz bardziej tracił grunt pod nogami. Było oczywiste, że Stalin w nim widział głównego winowajcę niepowodzenia czerwonych" w grze wojennej.

W dyskusjach brał udział Żuków. Być może jego wystąpienia, jasne, logiczne, przypadły do gustu Stalinowi. Rozmowy na temat wyniku gry wojennej zakończyły się 13 stycznia, a 14 stycznia Żuków został wezwany na Kreml.

- Biuro Polityczne postanowiło zwolnić Miereckowa ze stanowiska szefa , Sztabu Generalnego i na to miejsce wyznaczyć was. |

Żuków był wyrażnie zaskoczony. Nie spodziewał się takiej decyzji, choć | dla wszystkich było oczywiste, że dni Miereckowa są policzone. ,

- Nigdy nie pracowałem w sztabach. Zawsze byłem liniowcem. Nie potrafię być szefem Sztabu Generalnego - usiłowałem się bronić. Jednakże żadne argumenty nie mogły wpłynąć na zmianę decyzji Stalina. Czystka objęła również oficerów sztabowych i trudno było znaleźć odpowiedniego kandydata: absolwenci Akademii Sztabu Generalnego nie mieli niezbędnego doświadczenia i wymaganych stopni a wśród dowódców okręgów jedynie Żuków wydawał się najbardziej odpowiednie

centralnej jej części

ly na zachodnim

żono zawieszenie

24 923 żołnierzy

około 250 tysięcy

0 czołgów.

sili bezporedniś
la przebieg walk
,cych o sprawach
przewodniczšce-
Rady Komisarzy
nę ponosi on sam
im jeste wszyst-
jlepszych genera-
u-mii Czerwonej,
;czyje należały do
vi.

i wojenna, której
;racyjnego Sztabu
iców), dysponujš-
cišgnšcym się od
Ło oczywiste, że
mi wynikajšcymi
Generalnego, był
a spotykajšc się
)d nogami. Było
owędzenia czer-

stężenia, jasne,
mat wyniku gry
stał wezwany na
stanowiska szefa
iej decyzji, choć
:zone.

i. Nie potrafię być
Inę argumenty nie
również oficerów
alwenci Akademii
maganych stopni,
dziej odpowiedni.

- Biuro Polityczne postanowiło wyznaczyć właśnie was - powtórzył Stalin,
wymawiając słowo „postanowiło” z takim naciskiem, że dalsze wzbranianie się
przed objęciem nowego stanowiska mogło stać się dla Żukowa niebezpieczne.

Powiedział tylko:

- A jeśli się okaże, że nie jestem dobrym szefem Sztabu Generalnego, będę
prosił o przeniesienie z powrotem do służby liniowej,

- Dogadalimy się więc! Jutro ukaże się uchwała Komitetu Centralnego -
Stalin zakończył rozmowę.

1 lutego 1941 r. Żuków rozpoczął pracę jako szef Sztabu Generalnego. Miał jednak rację, że wzbraniał się przed tą funkcją. Nie nadawał się do papierkowej roboty; administrowanie, co przyznawało wielu jego przyjaciół, miertelnie go nudziło. Jednakże nie poddał się. Chroniła go sympatia Stalina, o której wszyscy wiedzieli. To usuwało wiele przeszkód i powstrzymywało wrogów. Resztę osiągnął dzięki niezwyklej pracowitości i doskonałemu zorganizowaniu. Niedługo jednak piastował stanowisko szefa Sztabu Generalnego. Już pierwszego dnia wojny, 22 czerwca 1941 r. o godzinie 13.00, Stalin zatelefonował do niego:

- Nasi dowódcy Frontów nie mają dostatecznego dowiadczenia w kierowaniu działaniami bojowymi wojsk i najwidoczniej są trochę zdekonowani. Biuro Polityczne postanowiło wysłać was do Frontu Południowo-Zachodniego, w charakterze przedstawiciela Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa. Do Frontu Zachodniego wylemy marszałka Szaposznikowa i marszałka Kulika, Wezwałem ich do siebie i wydałem im odpowiednie wytyczne. Musicie polecieć natychmiast do Kijowa, a następnie razem z Chruszczowem udać się do sztabu Frontu w Tarnopolu.

Stalin nie chciał zrozumieć, że nadszedł czas straszliwej zapłaty za jego działania w latach 1937-1938. Dotkliwą klęskę w pierwszych dniach wojny uznał za wynik spisku najwyższych oficerów. Uważał, że dowódcy Frontów zdradzili go, że wycofują swoje jednostki lub poddadzą je, aby otworzyć niemieckim wojskom drogę do Moskwy. Dlatego zdecydował się wysłać zaufanych ludzi na najbardziej zagrożone odcinki, dając im nieograniczone uprawnienia.

Żuków niewiele mógł zdziałać. Kirył Kirponos, dowódzcy Frontem Południowo-Zachodnim, był miernym dowódcą, ledwie radził sobie z dywizją liczącą kilkanaście tysięcy żołnierzy, a już zupełnie nie potrafił zapanować nad tak wielką formacją, jaką był front, z setkami tysięcy żołnierzy. Awans zawdzięczał wyjątkowo służalczej postawie w latach wielkiej czystki, gdy bojąc się o własną skórę (jego szwagier Jan Piłsudski mieszkał na stałe w Polsce), ze szczególną zaciętością tropił wrogów ludu" w szkole piechoty w Kazaniu, gdzie był komendantem. W 1940 r. zgłosił się na wojnę z Finlandią i oddano mu dowodzenie 70. dywizją piechoty. Szczęśliwy traf chciał, że jednostka ta jako pierwsza wkroczyła do Wyborga, co zadecydowało o dalszej karierze Kirponosa:

odznaczenia, awans do stopnia generała pułkownika i stanowisko dowódcy Leningradzkiego oraz Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Prowadząc wojska Frontu Południowo-Zachodniego do walki, popełnił tak wiele kardynalnych błędów, że członek Rady Wojennej Frontu, Korkor Waszugin, wnioskował o jego natychmiastowe zwolnienie. Kirponos miał jednak szczęście, że Stalin wysłał do niego Żukowa, frontowca, który chciał ratować sytuację. Do dowódcy Frontu Zachodniego, generała Dmitrija Pawłowa, przybyli ludzie zdecydowani wykazać, jak bardzo przydają się Stalinowi w tropieniu zdrajców. Byli to:

Woroszyłow, Mechlis, Szaposznikow. Mieli z góry upatrzone ofiary: dowódcę Frontu, oraz jego najbliższych współpracowników. Generał Pawłow, aresztowany 4 lipca, po dwóch dniach tortur przyznał, że jako uczestnik spisku Tuchaczewskiego w 1937 r. postanowił pomóc mierze marszałka i otworzyć front przed wojskami niemieckimi. 22 lipca, po krótkim procesie, został roz-

strzelany wraz z 3 innymi generałami. Nad kadrš dowódczš zawisła nowa groba czystek i to w czasie, gdy wojska niemieckie parły na Moskwę. Każda klęska czy nawet rozkaz odwrotu, rzecz normalna, a niekiedy bardzo pożądana w warunkach nowoczesnej wojny, uważane były za zdradę ojczyzny. a za to groziła mierz.

Żuków niewiele mógł pomóc Kirponosowi. Tym bardziej że już 26 czerwca, a więc 3 dni po przybyciu do Tarnopola, zadzwonił Stalin:

- Na Froncie Zachodnim powstała trudna sytuacja. Nieprzyjaciel znalazł się pod Mińskiem. Nie sposób dociec, co się dzieje z Pawłowem. Nie ma wieci o marszałku Kuliku. Marszałek Szaposznikow zachorował. Czy możecie natychmiast wrócić do Moskwy?

Stalin, który powoli dochodził do siebie po szoku, jakim było totalne załamanie polityki sojuszu z Niemcami, przejmował bezporednie kierowanie wojskiem. 30 czerwca 1941 r. stanšł na czele Komitetu Obrony Państwa. 8 sierpnia utworzono Kwaterę Głównš Najwyższego Naczelnego Dowództwa (było to kolejne przekształcenie utworzonej 23 czerwca Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych). Najwyższym naczelnym dowódcš, aż do końca wojny, był Józef Stalin. Jego najbliższym współpracownikiem został Georgij Żuków,

Bez wštpienia wielkš zasługš Żukowa było nakłonicie Stalina do wstrzymania krwawej rozprawy z frontowymi dowódcami. Okazjš do tego stała się sprawa generała Iwana Koniewa. który ponosił bezsprzecznš winę za załamanie frontu pod Wiamš i otwarcie Niemcom drogi do Moskwy. Co prawda podobnš odpowiedzialnościš można było obarczyć marszałka Siemiona Budionnego, który, dowodząc

Kierunkiem Południowo-Zachodnim. nie potrafił skoordynować działań dwóch wielkich frontów, zbyt długo zwlekał z wydaniem rozkazu odwrotu, co umożliwiło Niemcom okrążenie głównych sił. Stalin jednak nie chciał ruszać przyjaciela z lat wojny domowej. Było oczywiste, że spadnie głowa Koniewa. I wówczas Żuków i wstawił się za nim. Powiedział Stalinowi, że takimi sposobami niczego się nie poprawi i nikogo nie podniesie na duchu. Może to wywołać natomiast negatywne odczucia w wojsku. ..Przypomniałem mu, że oto rozstrzelano (...) Pawłowa i a to dało? Nic. (...) A Koniew to nie Pawłów, to człowiek mądry. Przyda się jeszcze".

W ten sposób Żuków uratował Koniewa. gdyż Stalin zdecydował się tylko pozbawić go dowództwa frontem i nie postawił przed sądem, który

wnioskował

o tym, że Stalin

o dowódcy

zdecydowani

o tym. Byli to:

o dowódcę

Żukowa, areszt-

ownik spisku

; otworzyć

został roz-

ważona groba

klęska czy

warunkach

a mierz.

5 czerwca.

łzył się pod

marszałku

wrócić do

załamanie

jskiem. 30

utworzono

rzekszał-

Sił Zbroj-

talin. Jego

.trzymania

ię sprawa

rontu pod

awiedział-

dowodzśc

in dwóch

możliwiło

;iela z lat

is Żuków

;o się nie

egatywne

Iowa i co

rzyda się

się tylko

tory bez

Jeńcy radzieccy

wstąpienia wydałby wyrok mierci. Prawdopodobnie ta sprawa miała ważne następstwa: Koniew sprawdził się w czasie bitwy moskiewskiej i zapewne wówczas Stalin doszedł do wniosku, że lepiej nagradzać swoją kadrę, niż oddawać w ręce NKWD i niszczyć.

Stalin potrafił docenić przymioty charakteru i umysłu generała Żukowa.

Polegał na nim całkowicie i od pierwszych dni wojny wykorzystywał jako strażaka do gaszenia największych pożarów.

10 września 1941 r. Żuków poleciał do Leningradu, gdzie wojska niemieckie przecięły ostatnią linię komunikacyjną i zablokowały miasto. Kierował obroną w okresie najsilniejszych niemieckich ataków, czyli do października 1941 r.

5 października Żukowa wezwano do telefonu. Telegrafista Kwatery Głównej informował:

- Będzie mówił towarzysz Stalin.

Po kilku minutach Żuków usłyszał głos Naczelnego Wodza:

- Chcę wam zadać tylko jedno pytanie: czy moglibyście wsiść do samolotu i natychmiast przylecieć do Moskwy? Ponieważ wytworzyła się złożona sytuacja na lewym skrzydle Frontu Odwodowego w rejonie Juchimowa, przeto Kwatera Główna chciałaby zasięgnąć waszej opinii. Na swoim miejscu możecie pozostawić kogokolwiek, choćby Chozina.

- Proszę o zgodę na wylot wczesnym rankiem 6 października.

- Dobrze, jutro oczekujemy was w Moskwie.

Zaczynała się nowa karta, jedna z wielu w wojennej karierze generała.

W Moskwie brał udział w organizowaniu obrony stolicy, a następnie wielkiej kontrofensywy, w wyniku której wojska niemieckie zostały odrzucone o 150 kilometrów na zachód, co załamało niemiecką „wojnę błyskawiczną”.

W połowie 1942 r., tuż po awansowaniu Żukowa na zastępcę Naczelnego Wodza, Stalin skierował go do Stalingradu, miasta, które ze względu na położenie oraz rozwinięty przemysł zbrojeniowy miało ogromne znaczenie dla gospodarki wojennej Związku Radzieckiego. Tam koordynował działania Frontów w czasie wielkiej bitwy stalingradzkiej. Potem powrócił do Leningradu, aby nadzorować działania wojsk przystępujących do deblokady miasta, koordynował działania Frontów w czasie największej bitwy pancernej wiaty pod Kurskiem, dowodził operacjami na Białorusi i Ukrainie i wreszcie na czele wojsk I. Frontu Białoruskiego przeszedł przez polskie ziemie i stanął nad Odrą, marząc aby jemu Stalin przydzielił zadanie zdobycia stolicy niemieckiej i zakończenia II wojny światowej.

Wiosenny wit blado oświetlał podmoskiewskie pola, gdy ciemnozielona dakota zatoczyła krąg nad lotniskiem i zniżyła się do lądowania. Samolot zjechał z betonowego pasa i kołysząc się na nierównościach murawy, przejechał w stronę baraków na krańcu lotniska, gdzie pilot wyłączył silniki. W drzwiach kabiny pasażerskiej stanął niski krępy oficer w długim płaszczu. Zaczekał, aż podjedzie samochód i wtedy zszedł po drabince wysuniętej z kadłuba na trawę lotniska.

- Mam nadzieję, Gieorgiju Konstantynowiczu, że lot macie spokojny - oficer, który wysiadł z samochodu, zsalutował i otworzył tylne drzwi.

- Tak, tak - marszałek Gieorgij Żuków podniósł rękę do daszka czapki, odpowiadając na pozdrowienie oficera. - Faszyci już nie latają po zmroku.

Jedziemy prosto do Naczelnego Wodza?

- Nie, towarzysz Stalin oczekuje was w późnych godzinach popołudniowych - wyjął oficer, który usiadł na przednim siedzeniu, obok kierowcy.

Żuków odetchnął z ulgą. Lot z jego kwatery nad Odrą trwał 7 godzin. Pogoda była fatalna, samolotem trzęsło i rzucało tak, że nie mógł oka zmrużyć, a przez kilka poprzednich nocy niewiele spał. Wolał w takim stanie nie stawiać się przed Naczelnym Wodzem.

- Jaki mamy czas?

Oficer spojrział na zegarek.

- 6.15, towarzyszu marszałku.

- Ja pytam o dzień...

- 29 marca... - odpowiedział nieco zdziwiony żołnierz.

- Na froncie, synu. czas płynie inaczej - spokojnie powiedział Żuków

i odwrócił się do okna.

Rozkaz wzywający go do Moskwy nie wyjaniał celu podróży, ale Żuków nie miał wątpliwoci, że chodziło o ostateczne opracowanie planu uderzenia na Berlin. Przewidywał, że operacja rozpocznie się na początku maja, co wydawało mu się bardzo krótkim terminem. Armie 1. Frontu Białoruskiego, którym dowodził, straciły wiele krwi podczas walk w Polsce. Wiele dywizji liczyło od 3 do 4 tysięcy żołnierzy zamiast od 10 do 12 tysięcy. Nie było wątpliwoci, że walki o Berlin będą bardzo ciężkie. Należało dowieźć posiłki i zmagazynować setki tysięcy ton amunicji, paliwa, żywnoci, a to wymagało czasu, gdyż linie komunikacyjne wydłużyły się nadmiernie. Co prawda, na obszarze Polski poszerzano rozstaw torów, aby nie trzeba było zmieniać podwozi wagonów, ale mimo najsprawniejszej organizacji przygotowanie wojsk musiało zająć wiele tygodni. Żuków zdawał sobie sprawę, że Stalin będzie chciał rozpocząć operację berlińską jak najwcześniej, lecz nie przypuszczał jak bardzo wcześnie.

- Front niemiecki na zachodzie ostatecznie się załamał i prawdopodobnie hitlerowcy nie zamierzają przedsięwziąć żadnych kroków w celu zatrzymania natarcia wojsk alianckich - powiedział Stalin, gdy późnym wieczorem Żuków wszedł do jego gabinetu. Ucisnął mu rękę i krzyżąc po pokoju, mówił dalej: - A jednocześnie na wszystkich ważniejszych kierunkach naszego natarcia

Niemcy umacniają swoje zgrupowania. Oto mapa, zapoznajcie się z ostatnimi danymi dotyczącymi wojsk niemieckich.

Żuków podszedł do długiego stołu przy cianie naprzeciw okien. Znał te dane.

Według ocen radzieckich na zachodzie Europy Niemcy mieli 60 dywizji.

Jednakże po klęsce w Ardenach, w ostatnich dniach 1944 r., jednostki te nie przedstawiały już większej wartości bojowej. Brakowało im paliwa, amunicji i odwodów. Alianci za mogli rzucić do boju 80 pełnowartościowych dywizji, w tym 23 dywizje pancerne. Lotnictwo anglo-amerykańskie panowało w powietrzu i mogło paraliżować ruchy pancernych kolumn, które miały jeszcze paliwo. Stalin słusznie się obawiał, że wojska brytyjskie i amerykańskie mogły dojść do Berlina, zanim dotrą tam Rosjanie.

- Kiedy nasze wojska będą gotowe do natarcia? - zapytał Stalin, gdy Żuków wyprostował się po przestudiowaniu map.

- 1. Front Białoruski może rozpocząć natarcie najpóźniej za dwa tygodnie - meldował Żuków. - 1. Front Ukraiński zapewne również będzie gotów w tym samym terminie. 2. Front Białoruski, według wszelkich danych, w związku z ostateczną likwidacją nieprzyjaciela w rejonie Gdańska i Gdyni, zatrzyma się tam do połowy kwietnia i nie będzie w stanie rozpocząć natarcia z rubieży Odry jednocześnie z 1. Frontem Białoruskim i 1. Frontem Ukraińskim.

Żuków bardzo sprytnie skonstruował odpowiedź na pytanie Stalina. Przedstawił pełną gotowość frontu, którym dowodził, ale oceniając, że 1. Front Ukraiński będzie gotów do natarcia w tym samym terminie, postawił w bardzo

trudnej sytuacji marszałka Iwana Koniewa dowodzącego tym frontem, gdyż on potrzebował więcej czasu na przygotowanie swoich wojsk. Żuków liczył na to, że informacja o braku gotowości do akcji 2. Frontu Białoruskiego marszałka Konstantego Rokossowskiego, który miał uderzać na prawym skrzydle, skłoni Stalina do opóźnienia operacji, gdyż trudno było sobie wyobrazić, że dwa fronty uderzą w centrum i na południu, pozostawiając odsłonięte skrzydło północne. Jednakże te zabiegi nie zrobiły na Stalinie żadnego wrażenia.

- No cóż - powiedział spokojnie - trzeba będzie zaczynać operację, nie czekając na Rokossowskiego. Jeśli spóźnie się o kilka dni, bieda niewielka.

Żuków patrzył bez słowa na Stalina. Wiedział, do czego zmierzał: uprzedzić za wszelką cenę aliantów! Musiało stać się coś nadzwyczajnego, co skłoniło Stalina do gwałtownego przyspieszenia operacji berlińskiej. Co? Chwilę potem Stalin odpowiedział na to pytanie. Podszedł do stojącego przy oknie biurka i spod sterty papierów wydobyl kartkę.

- Przeczytajcie to... - podał Żukowowi.

Była to informacja od pewnego, życzliwego obcokrajowca", który donosił o rozmowach najwyższych hitlerowskich oficerów z przedstawicielami aliantów na temat możliwości kapitulacji wojsk niemieckich na zachodzie i otwarcia drogi do Berlina.

- No i co powiecie? - spytał Stalin, gdy Żuków odłożył kartkę. Nie czekał jednak na odpowiedź. Mówił dalej: - Przypuszczam, że Roosevelt nie naruszy porozumień jałtańskich, ale Churchill jest zdolny do wszystkiego.

Stalin właściwie oceniał sytuację. Amerykanie byli zdecydowani przestrzegać porozumień. Plany operacji opracowane przez naczelnego dowódcę wojsk sojusznicznych, generała Dwighta Eisenhowera, jednoznacznie wskazywały, że nie zamierza uderzyć na Berlin. Natomiast brytyjski marszałek Bernard Law Montgomery, dowódca 21. Grupy Armii, nie taił chęci zakończenia wojny w stolicy III Rzeszy, co bardzo odpowiadało premierowi Winstonowi Churchillowi.

Stalin wezwał generała Aleksieja Amonowa, szefa Sztabu Generalnego.

- Zadzwońcie do Koniewa i każcie mu przybyć 1 kwietnia do Kwatery Głównej z planem operacji I. Frontu Ukraińskiego, a przez te dwa dni popracujcie z Żukowem nad planem ogólnym.

Obydwaj oficerowie zaszalutowali i wyszli z gabinetu Stalina.

- Musimy co zjeść, zanim się zabierzemy do pracy - zaproponował Antonow.

Żuków zgodził się skwapliwie. Opuszczało go napięcie, lęk towarzyszący spotkaniom ze Stalinem, ale wzbierało uczucie ogromnego ciężaru, jakim była wiadomość, że za kilkanacie dni będzie musiał poprowadzić swoje wojska do szturm na Berlin. Z drugiej strony marzył, że to on zapisze się w historii świata jako zdobywca Berlina, człowiek, który zakończył II wojnę światową w Europie. Byłoby to najpiękniejsze ukoronowanie życia żołnierza.

1 kwietnia Koniew przybył na Kreml. Już podczas pierwszego spotkania wyjawiał, jak bardzo zależy mu na dojeździe do Berlina.

- Towarzyszu Stalin - mówił, odpowiadając na pytanie o to, czy będzie musiał przegrupować wojska - wszelkie niezbędne kroki zostaną podjęte. Przegrupujemy się na czas, by zdobyć Berlin.

Stalin wyznaczył dowódcom frontów bardzo krótki termin: 48 godzin na przygotowanie planów zdobycia Berlina.

3 kwietnia obydwaj przedstawili plany. Żuków zdecydował się skierować do głównego uderzenia 4 armie ogólnowojskowej, 2 armie pancernie. Łącznie z siłami drugiego rzutu I. Front Białoruski wysłał do walki 768 100 żołnierzy.

Natarcie miało poprzedzić nawała ogniowa 11 tysięcy dział, prowadzona przez 30 minut.

Koniew dysponował mniejszymi siłami: przewidywał, że rzuci do walki 3 armie ogólnowojskowej i 2 dywizje pancernie - 511 700 żołnierzy, ale rozpaczliwie potrzebował uzupełnień.

Stalin zaakceptował plany przedstawione przez dowódców, ale nie zamierzał dawać Żukowowi uprzywilejowanej pozycji. Kreśląc na mapie linię rozgraniczenia frontów Koniewa i Żukowa, doprowadził ją tylko do miejscowości Lubben, położonej około 60 kilometrów na południowy wschód od Berlina. Powiedział przy tym:

- W razie stawiania przez nieprzyjaciela zaciętego oporu na wschodnich

podejściach do Berlina i ewentualnego zahamowania natarcia I. Frontu Białorus-

kiego [tj. frontu Żukowa - BW], l. Front Ukraiński [tj. front Koniewa - BW] ma być gotów do wykonania uderzenia armiami pancernymi na Berlin od południa.

Tego samego dnia wieczorem obydwaj dowódcy pojechali na lotnisko, skąd polecili do swoich kwater. Rozpoczynała się najważniejsza operacja II wojny światowej w Europie, operacja, po której miała przestać istnieć III Rzesza.

Georgij Żuków

wiało wydobywajęc się ze szczelin osłon reflektorów ledwo owietlało lenš drogę. Jednakże kierowca jeepa, trzęsšcego się niemiłosiernie na wybojach, z kociš zręcnociš wymijał największe rozpadliny.

- Warto by go zatrzymać, gdy będę w Berlinie - pomyłał Żuków, z uznaniem przyglšdajęc się wyczynom młodego kierowcy.

- Daleko jeszcze do Czujkowa? - zapytał.

- Około 5 kilometrów, towarzyszu marszałku - odpowiedział kierowca, nie odwracajęc wzroku od niebezpiecznej drogi. - Ale wkrótce powinniśmy wyjechać na asfalt. Będzie szybciej.

Żuków odsłonił rękaw munduru i spojrział na zegarek. Za kilkanacie minut powinni dotrzeć do punktu obserwacyjnego dowódcy 8. armii gwardii generała Czujkowa.

Zadecydował, że atak rozpocznie się o godzinie 3.00. Dowiadczenie pod-

powiadało mu, że jest to czas najlepszy, gdy żołnierze nieprzyjaciela są najmniej przygotowani do odparcia ataku i najłatwiej dają się zaskoczyć. Liczył, że nawała ogniowa zmiecie stanowiska obrony. Na niewielkim odcinku frontu zgromadzano 1150 czołgów i dział pancernych i 14 628 dział i modzierz oraz 1531 wyrzutni raketowych. Planowano, że pierwszego dnia walk wystrzeli 1,2 miliona pocisków. Ogniowa burza miała oszołomić nieprzyjaciela, zniszczyć jego linie obronne, zmusić oddziały przygotowane do obrony do dalekiego odwrotu. Żeby zwiększyć efekt. Żuków zaplanował zastosowanie jeszcze jednego, niekonwencjonalnego rodzaju...

Po drugiej stronie Odry stały wojska Grupy Armii „Wisła” dowodzone przez generała pułkownika Gottarda Heinriciego, starego dowiadzonego oficera, który w styczniu 1942 r. dowodził 4. armią pod Moskwą. Dobrze poznał rosyjską technikę ataku. I dlatego, gdy Rosjanie szykowali się do natarcia, Heinrici wycofywał swoich żołnierzy na drugą linię, aby radzieckie działa niszczyły puste transeje i okopy, nazywał to „biciem w pusty worek”.

15 kwietnia, analizując w swojej kwaterze w Schönnewalde raporty wywiadu, doszedł do wniosku, że wojska radzieckie rozpoczną szturm następnego dnia we wczesnych godzinach porannych. Natychmiast rozkazał generałowi Theodorowi Busse, dowodzącemu 9. armią, aby wycofał swoich żołnierzy na drugą linię obrony.

W nocy z 15 na 16 kwietnia transeje i okopy, w które Rosjanie wycelowali działa, były puste.

Do godziny 3.00 pozostały jeszcze 3 minuty, gdy Żuków i towarzyszący mu członek rady wojennej Frontu generał Tielegin wyszli z ziemianki, gdzie pili herbatę, i skierowali się na punkt obserwacyjny. Żuków przełamał początkowo niechęć, jaką czuł do tego oficera, i chętnie przebywał w jego towarzystwie, ceniąc dowcip i zdrowy rozsądek generała.

Punktualnie o 3.00 wysoko poszybowały trzy zielone rakiety, dając sygnał do rozpoczęcia przygotowania artyleryjskiego. Wnet niebo rozbłysło, jakby rozświetlone wiosenną burzą, a po chwili dał się słyszeć głuchy i długotrwały grzmot. Przycichło na moment, aż nowy błysk rozświetlił ciemności. Potem wszystko już zlało się w jeden nieustający huk.

Jasność, którą rozświetlały wybuchające pociski, zamieniła się w czerwony huk. Fala pożarów, wzniecona eksplozjami, ogarniała lasy i wsie z prędkością biegnącego człowieka. Po kilkunastu minutach gorące powietrze, niosące swąd spalenizny, piasek, kurz, popiół i płonące szmaty, dotarło do radzieckich okopów. Tam artylerzyści z otwartymi ustami, oszołomieni dymem prochowym i hukami wystrzałów, jak w gorączce ładowali pociski i wysyłali je w stronę niemieckich stanowisk. Stamtąd nie padł ani jeden strzał.

Żuków był zadowolony. Brak aktywności nieprzyjaciela uznawał za wynik celnego ognia, który zniszczył stanowiska obronne i wypłoszył ich załogi.

Po półgodzinnej kanonadzie na niebie rozpały się tysiące różnokolorowych rakiet. I wtedy stało się coś dziwnego. Nad linią frontu rozbłysły jasnoniebieskie smugi, które rozżarzały się z sekundy na sekundę. To 140 reflektorów lotniczych,

ustawionych w odstępach 200-metrowych, oświetlało stronę nieprzyjacielskich okopów. W jaskrawym blasku znikwały sylwetki żołnierzy i czołgów, które wyrwały się z okopów i podszły ku niemieckim liniom obronnym.

Żuków patrzył z dumą na to widowisko, pewny, że niemieccy żołnierze, z których niewielu mogło przeżyć straszliwą nawałę radzieckiej artylerii, olepione wiatłem reflektorów nie będą już mieli siły, aby oprzeć się pancernemu walcowi, który ruszył w stronę Wzgórz Seelowskich. Jednakże pierwsze godziny walki przekonały go, że się pomylił. Tempo natarcia zaczęło słabnąć. Niemieckie oddziały bezpiecznie schowane przed pociskami w okopach drugiej linii, powróciły na wysunięte stanowiska. Zbliżając się do nich radzieckie czołgi wytracały impet na wietnie przygotowanych stanowiskach dział przeciwpancernych. Niezwykle skuteczne armaty kal. 88 mm, niszczyciele czołgów i żołnierze z panzerfaustami, zbierały straszne żniwo wśród nacierających wozów.

- Co to, do diabła, znaczy? Dlaczego twoje oddziały ugrzęzły?'. - Żuków wrzasnął na generała Czujkova, gdy tylko ten zameldował o skuteczności niemieckiej obrony.

- Towarzyszu marszałku - spokojnie odpowiedział Czujkow - nie ma znaczenia, czy zostalimy przygwożdżeni na krócej, czy dłużej. Ofensywa już zwyciężyła. Obrona niemiecka stężała i na chwilę nas zatrzymali.

Żuków wiedział, że tamten miał rację. Ogrom rodków, które zgromadzono do tej operacji, dawał pewność, że wczniej czy później obrona niemiecka zostanie przełamana. Tylko pierwszego dnia radzieckie armaty wystrzeliły 2450

wagonów pocisków. Samoloty wykonały 6550 nalotów. Ale dla Żukowa największe znaczenie miało zdobycie Berlina, zanim zrobi to Koniew. On, który służył przez całą wojnę w najtrudniejszych miejscach wielkiego frontu, nie mógł dopuścić do tego, by czerwoną flagę zatknęli żołnierze innego dowódcy!

18 kwietnia obrona na Wzgórzach Seelowskich została przełamana. Tymczasem na południu, gdzie niemiecka obrona była słabsza, Koniew odnosił sukcesy, które bardzo niepokoiły Żukowa. 3. armia pancerna gwardii generała P. Rybalkowa zdobyła Zossen i w błyskawicznym tempie zbliżała się do Berlina. Teraz aktualne stało się pytanie, czyje wojska pierwsze dojdą do punktu uznanego za centrum Berlina: do Reichstagu. Obydwaj konkurenci mieli równą szansę, ale ostateczną decyzję podjął Stalin. W rozkazie nr 11 074, wydanym 23 kwietnia, podzielił Berlin między dwa fronty. Linia podziału między wojskami Żukowa i Koniewa biegła zaledwie w odległości 200 metrów na zachód od Reichstagu, który znalazł się w strefie wojsk Żukowa. Jemu przypadła najwyższa nagroda.

Rankiem 3 maja marszałek w towarzystwie kilku oficerów, prowadzeni przez syna Wilhelma Piecka - Arthura, który dobrze znał Berlin, wyruszyli w stronę Reichstagu. Stalin dał mu satysfakcję dojścia do miejsca, o którym Żuków marzył. Kilka dni później pozwolił mu zakończyć wojnę w Europie.

7 maja zatelefonował do marszałka.

- Dzisiaj w mieście Reims Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji - powiedział. - Główny ciężar wojny dwigał na swoich barkach naród

radziecki, a nie sojusznicy, dlatego też akt kapitulacji musi być podpisany w obecności naczelnych dowództw wszystkich krajów koalicji antyhitlerowskiej. a nie w obecności przedstawicieli Naczelnego Dowództwa Wojsk Sojuszniczych.

Ceremonia w Reims we Francji dotknęła Stalina do żywego. Tam 7 maja w nocy o godzinie 1.41 generał Alfred Jodl podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji. Ze strony aliantów zachodnich podpis złożył szef sztabu głównodowodzącego wojskami alianckimi generał Walter Bedell Smith, a ze strony radzieckiej generał major Iwan Susłoparow. W dokumencie przewidywano zakończenie działań wojennych 8 maja o godzinie 21.01. Opóźnienie wynikało z trudności, które napotykało dowództwo wojsk niemieckich w przekazaniu decyzji o kapitulacji do oddziałów rozrzuconych w Niemczech, a pozbawionych łączności z kwaterą główną.

Stalin, na wieść o zakończeniu wojny w Reims, zatelefonował do szefa sztabu artylerii generała N. Woronowa.

- Któż to jest ten „słynny” generał artylerii Iwan Susłoparow? Nie czekał jednak na odpowiedź. Przerwał bełkoczącemu Woronowowi. - Nie zadbalicie o właściwą edukację swoich ludzi. Generał Susłoparow zostanie odwołany do Moskwy i surowo ukarany.

Wbrew tej zapowiedzi Susłoparow, choć rzeczywiście odwołany do Moskwy, uratował życie, gdyż zabicie go, stawiałoby Rosjan w niezręcznej sytuacji. Woleli zrobić dobrą minę do złej gry i uznać dokument z Reims za „wstępny protokół”. Jednakże cofnąć biegu wydarzeń już się nie dało. Premier Wielkiej Brytanii

Winston Churchill i prezydent USA Harry Truman na wieć o podpisaniu kapitulacji w Reims zaproponowali, by 8 maja szefowie rżsdów złożyli owiad-czenie o zwycięstwie nad Niemcami. Stalin zaprotestował. Argumentujśc, że

SPRAWA ŻUKOWA

walki jeszcze trwajš, zaproponował złożenie takiego owiadczenia 9 maja. Churchill odpowiedział pierwszy: ..Odroczenie mojego owiadczenia o 24 godziny, jak Pan proponuje, będzie dla mnie niemożliwe".

Prezydent Truman stwierdził 8 maja w licie do ambasadora Andńeja Gromyki: Proszę Pana o powiadomienie marszałka Stalina, te jego pismo do mnie doszło do Białego Domu dzisiaj w nocy o godzinie 1.00. Jednakże, gdy list dotarł do mnie, przygotowania były zaawansowane tak dalece, ze rozpatrzenie sprawy przesunięcia terminu ogłoszenia przeze mnie wiadomoci o kapitulacji Niemiec okazało się niemożliwe.

Stalinowi udało się jedynie wytargować od sojuszników uznanie aktu z Reims za prowizorium kapitulacyjne i zgodę na podpisanie właściwego aktu 8 maja w Berlinie.

- Umówilimy się z sojusznikami - mówił Stalin w rozmowie telefonicznej z Żukowem, że podpisanie aktu w Reims będzie traktowane jako wstępny protokół kapitulacji. Jutro do Berlina przybędš przedstawiciele Naczelnego Dowództwa Niemiec, a także Naczelnego Dowództwa Wojsk Sojuszniczych. Reprezentowanie radzieckiego Naczelnego Dowództwa powierza się wam.

8 maja o godzinie 23.45 do gmachu szkoły saperów w berlińskiej dzielnicy Karishorst przybyli przedstawiciele aliantów: brytyjski marszałek lotnictwa Arthur Tedder, amerykański generał Cari Spaat, francuski generał Jean M. de Lattre de Tassigny. Z Flensburga dowieziono byłego szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu feldmarszałka Wilhelma Keitla, naczelnego dowódcę marynarki wojennej admirała Hansa Friedeburga i generała pułkownika lotnictwa F. Stumpffa. Otwarcie ceremonii podpisania aktu kapitulacji przypadło marszałkowi Żukowowi.

Wojna w Europie została ostatecznie zakończona.

Żuków w punkcie dowodzenia I Białoruskim

Frontem pod Berlinem

Niedzielny poranek 12 sierpnia 1945 r. był w Moskwie wyjątkowo upalny.

Z tego też względu marszałek Żuków, pieszący na wielką paradę z okazji

Narodowego Dnia Sportu, zdecydował się założyć biały mundur. Co prawda

speszył go trochę widok generała Dwighta Eisenhowera, który wszedł na plac

Czerwony w polowym mundurze, ale nikt nie zwrócił na ten drobiazg uwagi. 20

tysięcy ludzi owacyjnie witało amerykańskiego generała, choć prasa niewiele

miejsca poświęcała jego pobytowi w Moskwie, a informacja o udziale w odświet-

nej paradzie podana została w mało widocznym miejscu na kolumnach stołecz-

nych gazet. A jednak moskwianie oczekiwali na tego człowieka będącego dla

nich legendą. Szedł, umiuchając się niemiało, wzdłuż długiego szpaleru ludzi

wiwatujących na jego cześć. Obok niego postępował ambasador Averell Har-

riman, a pół kroku z tyłu szedł Żuków, któremu przypadła rola gospodarza podczas pobytu amerykańskiego generała w Związku Radzieckim. Weszli na podwyższenie tuż obok głównej trybuny na placu Czerwonym, gdy podszedł do nich generał Anionów.

- Generalissimus zaprasza pana na główną trybunę - zwrócił się do Eisenhowera. - Generalissimus powiedział, że jeżeli zechciałby pan przyjąć, to zaprasza również dwóch pana towarzyszy, jeżeli chciałby pan ich przyprowadzić.

Ambasador Harriman nachylił się do ucha Eisenhowera:

- Nigdy w historii Związku Radzieckiego nie zapraszano obcokrajowca na główną trybunę - powiedział wyrażając zdziwienie.

- Wobec tego, panie ambasadorze, i panie generale - Eisenhower zwrócił się do Hammana i generała Johna Deane'a, szefa amerykańskiej misji wojskowej - chodmy.

Po kilku minutach stanęli obok Stalina, który bardzo serdecznie powitał amerykańskich gości i ruchem ręki przywołał Żukowa trzymającego się o kilka kroków z tyłu.

Marszałek Żuków był ewidentnie wielkim faworytem Generalissimusa - zano-tował w pamiętniku Eisenhower. - Żuków uczestniczył w każdej rozmowie, którą prowadziłem ze Stalinem, a obydwaj zwracali się do siebie w sposób zażyty i serdeczny. Było to dla mnie bardzo sympatyczne ze względu na wiarę w przyjaźń i współpracę z marszałkiem Żukowem.

Eisenhower wyciśgał błędne wnioski, gdyż opierał się na czysto zewnętrznych oznakach: Żuków był członkiem Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec, naczelnym dowódcą radzieckich wojsk okupacyjnych i szefem lokalnej administracji. Skupiał w swoim ręku niemalże dyktatorską władzę. Były to stanowiska szczególnie istotne w powojennych miastach i na tej podstawie amerykański generał oceniał, że Żuków jest bliskim współpracownikiem Stalina. Do głowy mu nie przychodziło, że dni radzieckiego marszałka są policzone.

Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa, 1 stycznia 1946 r. na pierwszej stronie "Krasnej Zvezdy" zamieszczono wielką fotografię Stalina w mundurze. Tuż za nim stał umięchnięty Żuków, a po drugiej stronie Woroszyłow, Rokossowski, Koniew, Budionny, Timoszenko i inni. Tytuł głosił: Ludzie radzieccy z radością i entuzjazmem wysuwają swoich najlepszych synów na kandydatów na posłów do Rady Najwyższej ZSRR. Poniżej zamieszczono przemówienie inżyniera z zakładów optycznych: Ludzie radzieccy doskonale znają sławnego przywódcę marszałka Gieorgija Konstantynowicza Żukowa. Jego nazwisko jest zwiśzane z licznymi wielkimi zwycięstwami Armii Czerwonej.

Rosnąca sława marszałka nie mogła się podobać Stalinowi. Zaczł się obawiać najwyższych dowódców, gdyż oni przestali bać się jego. Strach, jaki sparaliżował kadrę oficerską w okresie wielkiej czystki, z biegiem lat wojny zaczął słabnąć. Ustępował miejsca poczuciu własnej siły, znaczenia, popularności wśród żołnierzy. Oficerowie, którzy przed wojną obawiali się wyrażać jakąkolwiek ocenę, nawet w towarzystwie najbliższych, zaczęli otwarcie krytykować decyzje władz

partyjnych, a nawet samego Stalina. Przez wiele lat wpajano im, że za granicami Związku Radzieckiego panuje głód. że chłopci umierają w nędznych lepiankach, gdyż gospodarując na niewielkich poletkach nie mogli wyżywić rodzin, że robotnicy żyją w norach, do których wracają po kilkunastu godzinach zabójczej pracy u kapitalistów. Aż tu nagle wojenne drogi zaprowadziły ich do Polski, Czechosłowacji, na Węgry, do Niemiec. Zobaczyli wsie, w których nie było lepianek z mrściami z głodu chłopami. Ujrzeni społeczeństwa lepiej zorganizowane, bogatsze, dostatniej żyjące.

Pozostawienie spraw swojemu biegowi groziło wybuchem, który mógł zmieść dyktatora i Stalin doskonale rozumiał to niebezpieczeństwo. Postanowił zastosować metodę sprawdzoną w roku 1937: pokazać swoją siłę, uderzając w najwyższego oficera, najbardziej popularnego w wojsku i społeczeństwie, zwycięzcę z Berlina - Żukowa. Zniszczyć go, aby inni, widząc jak spada głowa wielkiego człowieka, struchleli przed potęgą dyktatora. Wówczas sparaliżowani strachem, dąliby się złapać, jeden po drugim, nawzajem oskarżaliby się i dostarczali dowody winy.

W którym momencie Stalin wybrał Żukowa na swoją ofiarę? Prawdopodobnie było to na posiedzeniu Biura Politycznego WKP(b) 24 maja 1945 r. Stalin, upojony zwycięstwem, zadał najwyższemu dowódcy pytanie o to, co sądzi o nadaniu mu stopnia generalissimusa*. Żuków nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

- Powinniśmy pamiętać, że tytuł generalissimusa noszą tak odrażające indywidua, jak Franco i Czang Kaj-Szek - wypalił nagle.

Stalin zamilkł na dłuższą chwilę. Nie podjął dyskusji, a na jego twarzy widać było wciekłość. Żuków popełnił niewybaczalny błąd: uraził dyktatora, do żywego. Stalin nigdy nie zapominał zniewag. Mógł odłożyć zemstę na rok albo dziesięć lat, ale się mcił.

- Widzieliście sami, towarzyszu Stalin, jak ludzie się zmieniają - powiedział Andriej Żdanow, gdy następnego dnia przyszedł do Stalina, by pożegnać się przed wyjazdem do Leningradu. - Ja sam z trudem poznaję Żukowa, choć myślałem, że wiem o nim wszystko. Poznalimy się przecież w najtrudniejszych chwilach w Leningradzie, gdy faszyci już zaglądali do miasta.

Stalin słuchał z zaciekawieniem.

- Wydawało by się, że doskonały oficer, dowiadczony frontowiec, zdyscyplinowany, a nie wiadomo kiedy takiemu przyjdzie do głowy sięgnąć po władzę - mówił dalej Żdanow. Nienawidził Żukowa, gdyż ten wielokrotnie wykazał mu niekompetencję w czasie obrony Leningradu we wrześniu 1941 r.

- Macie jakie informacje? - zainteresował się Stalin.

- Gdybym miał, natychmiast bym was poinformował. I nie omieszkał tego zrobić.

Szybko jednak zmienił temat i mówił dalej o działaniach podejmowanych w związku z wywrotowymi tendencjami", jakie dostrzegł w leningradzkim środowisku kulturalnym. Stalin wiedział o wojennym konflikcie Żukowa i Żdanowa, ale był przekonany, że za informacją o ambicjach marszałka kryje się co

więcej niż tylko zadawniona nienawić. Coraz częściej dochodziły go słuchy, że Żuków uważa się za zwycięzcę II wojny, że skupia dookoła siebie oddanych mu całkowicie oficerów, że zabiega o popularność na Zachodzie.

Jesień była najpiękniejszą porą roku w Kuncewie, gdzie Stalin przebywał w swojej daczce - jednopiętrowym drewnianym domu wśród lasów, kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy. Tego roku mrozy się opóźniały, utrzymywała się piękna jesienna pogoda i Stalin często wyjeżdżał do Kuncewa.

Wielki czarny żół skręcił z szerokiej podmoskiewskiej szosy w las. Żołnierze stojący na poboczu zaszalutowali, ale pasażerowie samochodu nie zwrócili na nich uwagi, zajęci rozmową.

- Ławrentij, wyrasta nam nowy przywódca Związku Radzieckiego - Stalin patrzył bacznie na twarz szefa NKWD Ławrentija Berii. - Żdanow, Bułganin i paru jeszcze innych powiadają, że marszałek Żuków poczuł się w Berlinie bardzo pewnie.

- To prawda, Koba - skwapliwie przytaknął Beria. Był jednym z niewielu ludzi w Związku Radzieckim, któremu wolno się było zwracać do Stalina po imieniu. - Prawda. Moi ludzie informują o zbyt częstych kontaktach Żukowa z Eisenhowerem...

- Wydawało mi się, że tak dowiadczony w polityce człowiek, jakim jest Żuków, powinien właściwie zrozumieć brak mojej zgody na wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

Stalin mówił o zaproszeniu Żukowa przez prezydenta Trumana do złożenia wizyty w Stanach Zjednoczonych.

- Zwłaszcza że już podczas stanu samolotu chcieli uzyskać kompromitujące materiały - podjął temat Beria. - Niewykluczone, że zmusiliby go do pozostania w Stanach Zjednoczonych.

- powiedział

pożegnać się

ukowa, choć

trudniejszych

iec, zdyscypl-

gnąć po wła-

nie wykazał

41 r.

ueszkam tego

dejmowanych

leningradzkim

bukowa i Żda-

i kryje się co

go słuchy, że

oddanych mu

,lin przebywał

/, kilkadziesiąt

wała się piękna

las. Żołnierze

wrócili na nich

kiego - Stalin

nów, Bułganin

się w Berlinie

ym z niewielu

do Stalina po

iktach Żukowa

iek, jakim jest

jazd do Stanów

ina do złożenia

Lompromitujšce

o do pozostania

Zaproszenie prezydenta Trumana do odwiedzenia USA przekazał Żukowowi generał Eisenhower. Stwierdził wówczas, że radzieccy piloci nie mają dowiadczania w lotach nad Atlantykiem i zaproponował, żeby Żuków odbył podróż jego samolotem C-54 Sunflower. Marszałek, po uzyskaniu wstępnej zgody Stalina, przyjął zaproszenie i poprosił, aby generałowie Eisenhower i Ciay towarzyszyli mu w podróży. Rychło się okazało, że żaden z nich nie może opuścić Europy.

Wówczas Żuków poprosił, żeby towarzyszył mu syn Eisenhowera - John. W generalskim samolocie i z generalskim synem przy boku będę się czuł absolutnie bezpiecznie" - żartował Żuków.

Beria, któremu pomysł podróży do Stanów Zjednoczonych nie podobał się od samego początku, uważał, że kabina w samolocie będzie naszpikowana aparaturą podsłuchową, a w czasie wielogodzinnej podróży Amerykanie bez trudności wydobędą od marszałka, który nie stronił od alkoholu, interesujące ich wiadomości. Ostatecznie Stalin cofnął zgodę i Żuków poinformował Eisenhowera, że ze względu na chorobę musi odłożyć wizytę. Co prawda kilka dni po tej odmowie Eisenhower spotkał Żukowa na posiedzeniu Rady Sojuszniczej, ale uprzejmie zauważył, że marszałek rzeczywiście leży w łóżku.

Samochód zatrzymał się przed domem. Z ganku wybiegł pułkownik Łozgaczow, szef ochrony Kuncewa, otworzył drzwi i stanął na baczność.

- Ostatnio widzieli się 7 listopada na przyjęciu w Berlinie z okazji święta rewolucji - powiedział Stalin, gdy tylko wysiedli i ruszyli w stronę domu wójska wyżywanego alejkami. Lubił się chwalić informacjami, które uzyskiwał z innych niż Beria źródła. Tym razem Beria nie dał się zaskoczyć.

- Otrzymałem dokładny raport w tej sprawie - odparł.

Weszli na ganek, gdzie usiedli za długim prostym stołem. Beria schylił się i z teczki, którą położył przy nogach krzesła, wyjął kilka kartek. Nie wyjaniał, w jaki sposób otrzymał stenogram rozmowy, w której uczestniczyli Żuków z żoną, Eisenhower i tłumacz, ale wydawało się oczywiste, że były to zeznania

tłumacza lub zapis na taśmie magnetofonowej, rejestrującej każde słowo, które padło w saloniku budynku radzieckiej misji w Berlinie.

Stalin wyciągnął rękę i przez kilka minut w milczeniu studiował stenogram.

- A to łajdak - powiedział po chwili. - Kuty na cztery nogi. Komunizmem się zasłania...

Beria wiedział doskonale, czego dotyczyła uwaga Stalina. W czasie rozmowy Żuków przekonywał Eisenhowera, że kapitalizm odwołuje się do egoizmu człowieka, komunizm za stara się wyrobić w obywatelu poświęcenie dla wielkiego narodowego kolektywu, którego jest częścią. Nie wspomniał jednak ani słowem o Stalinie i nie zganił Eisenhowera, gdy ten potępił wszystkie systemy umożliwiające rozwój dyktatury. Poskarżył się natomiast na niesprawiedliwość amerykańskiej prasy.

- Proszę, oto pan Walter Kerr, wasz korespondent w Moskwie, napisał, że moja żona jest wyższa ode mnie - Żuków był bardzo dotknięty fałszywą informacją. - Wstań - zwrócił się do żony. - Proszę popatrzeć. Wyższa jest?

Teraz pan widzi, jakie kłamstwa publikują wasi dziennikarze. Poza tym napisał, że mamy dwóch synów i córkę. Nie mamy synów, tylko dwie córki. A niedawno w waszych gazetach ukazały się artykuły przedstawiające towarzysza Stalina w niekorzystnym świetle. - Czytając ten fragment stenogramu, Stalin obruszył się ponownie. Nie podobało mu się, że marszałek zajmuje się takimi sprawami. - Gdyby taka publikacja o panu ukazała się w rosyjskim czasopiśmie, dopilnowałbym, aby ono natychmiast przestało istnieć. Zostałoby zniszczone. A pan co ma

zamiar zrobić?

- Dureń - syknął przez zęby Stalin. Od takich spraw jest Gromyko [ambasador ZSRR w Waszyngtonie - BW].

Eisenhower nie miał kłopotów z odpowiedzią na uwagę Żukowa. Wyjaśnił, że w Stanach Zjednoczonych prasa jest niezależna, a potęga amerykańska opiera się na mechanizmach, które zapobiegają dyktaturze. Żuków nic nie odpowiedział.

Stalin odłożył kartki.

- Myli, że jest już obrońcą Związku Radzieckiego - skwitował lekturę. - Jak przywołać go do porządku?

- Trzeba dać ludziom do zrozumienia, że Żuków nie korzysta z twojego poparcia. To powinno wystarczyć. Resztę zostaw mnie.

Stalin skorzystał z tej rady. Nie uwzględnił jednak faktu, że wojna bardzo zmieniła ludzi.

- Trzeba zwołać naradę najwyższych dowódców, aby przedstawić wstępliwoci co do szczeroci działań marszałka Żukowa. Gdy towarzysze przekonają się, że Żuków utracił zaufanie i poparcie kierownictwa partii, nie będzie większych kłopotów z pozbyciem się go.

Stalin postanowił skorzystać z metody, którą z powodzeniem stosował w latach trzydziestych. Jeśli który z najwyższych oficerów popadł w niełaskę, to tworzyła się dookoła niego próżnia. Odsuwali się najbliżsi współpracownicy

i przyjaciele. Łatwo było złamać takiego człowieka. Stalin nie wstąpił, że podobnie będą się miały sprawy z Żukowem, gdy jego otoczenie i najwyżsi oficerowie się dowiedzą, że marszałek nie jest już pupilem dyktatora.

Nie mylił się. Oficerowie zebrani w gabinecie Stalina w milczeniu wysłuchali słów dyktatora, który o swoim najwierniejszym dowódcy mówił, że przypisuje sobie wszystkie zwycięstwa i w sposób oczywisty obniża rolę Naczelnego Dowództwa. Potem zabierali głos: jeden po drugim potwierdzali zarzuty Stalina i występowali, mniej lub bardziej ostro, przeciwko Żukowowi. Dyktator, słuchając wystąpienia tych ludzi, był zadowolony. Nie zawiedli go. Oddawali mu najlepszego ze swojego grona nie wiedząc, że gdy spadnie jego głowa, bardzo szybko polecą ich głowy.

PIERWSZ;

- Gieorgiju, niedobre wiadomości z Moskwy - generał Tielegin zamknął za sobą drzwi prowadzące z sekretariatu do gabinetu Żukowa, przeszedł szybko kilka metrów, które dzieliły drzwi od biurka, i usiadł na jednym z dwóch fotelików.

- Co znowu - Żuków zdjął okulary i z zaciekawieniem patrzył na przyjaciela. Słowa, z jakimi Tielegin wszedł do gabinetu, nie przstraszyły go.

- Wczoraj na Kremlu odbyła się narada najwyższych dowódców... - Tielegin przerwał, czekając na efekt tych słów.

- Nie sądzę, żeby było tam coś ważnego, skoro Stalin nie zaprosił mnie -

spokojnie odpowiedział Żuków.

- No włanie! - Tielegin przeszedł do sedna. - Stalin otworzył posiedzenie mówiąc, że sobie przypisujesz wszystkie zwycięstwa.

- Bzdura! - zachnął się marszałek.

- Nie mnie to tłumacz. Podobno wszyscy, którzy brali udział w tej naradzie, poparli go. Uznali, że lekceważysz rolę i znaczenie Najwyższego Dowództwa.

Czy rozumiesz, jakie to może mieć następstwa?

- To jakie nieporozumienie. Wyjanię wszystko w czasie najbliższej rozmowy ze Stalinem - Żuków usiłował zachować spokój, ale widać było, że wiadomość z Moskwy zdenerwowała go.

- Gieorgiju, nie lekceważ tego ostrzeżenia - radził Tielegin. - Poza tym jest druga wiadomość. Ssdzę, że w bezporednim zwiżsku z pierwszš: za kilka dni przyjeżdża do Berlina Abakumow.

- Zastępcą Berii, Wiktor Abakumow? - upewniał się Żuków

- Tak, wicekomisarz spraw wewnętrznych Wiktor Abakumow - potwierdził Tielegin.

Żuków sięgnął po słuchawkę.

- Połszczcie mnie z towarzyszem komisarzem Bertš - polecił sekretarce.

Wstał zza biurka i oczekując na połszenie, zaczął nerwowo krżyć po gabinecie. Tielegin nie odzywał się. Wiedział, dlaczego wiadomość o przyjeździe

generała Abakumowa poruszyła Żukowem. Ten człowiek, stojąc w czasie wojny na czele kontrwywiadu Smiersz", zyskał sobie ponurą sławę bezwzględnego
\oYraYne.g.o -W^OTWNC,^ poVe.ce.Ti S\AVma. ^a KierrA-a yAeórzAano, że podczas przesłuchań w swoim gabinecie w NKWD kazał rozkładać szmaty na dywanie, aby przesłuchiwany nie zaplamiać krwią pięknego dywanu.

- Towarzysz Beria na linii - po chwili zameldowała sekretarka.

- Mówi marszałek Żuków. Towarzyszu Beria, tu na miejscu dowiaduję się, nie od was, że wysyłacie do mnie Abakumowa...

- Zamierzałem was powiadomić, że takie są polecenia Stalina. Jak dobrze wicie, walka się zaostrza i musimy działać szybko. Jestecie przecież na najbardziej wysuniętej placówce.

- Nie musicie mi tłumaczyć, gdzie jestem. A na przyszłość bądźcie łaskawi informować, kogo przysyłacie na placówkę, za którą ja odpowiadam - powiedział dobitnie Żuków i odłożył słuchawkę.

- Meldujcie mi o wszystkich ruchach Abakumowa, a teraz wybacz, muszę trochę popracować.

Tielegin skinął głową i szybko wyszedł z gabinetu. Wiedział, że Żuków chciał pozostać sam, aby przemyśleć sytuację. Nie było cienia wątpliwości, że narada w Moskwie i przyjazd Abakumowa wiążą się bezpośrednio i zapewne chodziło o zebranie dowodów obciążających Żukowa.

Abakumow natychmiast po przyjeździe zebrał oficerów NKWD, pełniących

służbę w Berlinie.

- Z naszych ustaleń w Moskwie wynika, że wrogowi udało się przeniknąć do szeregów naszego wojska, zaatakować i odnieść pewne sukcesy. Jednakże czujność towarzysza Stalina pozwoliła w odpowiednim momencie podjąć przeciwdziałanie. Skoro widzicie mnie tutaj, towarzysze, to znaczy, że sprawa jest bardzo poważna, a działanie wroga objęło nawet kręgi dowódcze naszych wojsk.

Towarzyszu Pawlicki, jakie macie ustalenia?

Wywołany oficer wstał.

- Oto lista oficerów, którzy w ostatnim okresie szczególnie często kontaktowali się z Anglikami i Amerykanami. Sędzimy, że wróg upatrzył w nich swoich współpracowników - Pawlicki położył na stole przed Abakumowem kartkę z nazwiskami szeciu oficerów. Jest to pierwsza grupa, a po przesłuchaniu uzyskamy następne nazwiska.

- Jakie przygotowania poczyniliście?

- Oficerowie z tej listy znajdujś się pod stałym nadzorem. Jutro możemy ich aresztować.

- Bardzo dobrze. Wezmę w tym udział. - Abakumow zakończył zebranie i udał się na bankiet powitalny na jego cześć, wydany przez szefa miejscowego oddziału NKWD.

Następnego dnia szeciu oficerów niemalże równoczenie zostało aresztowanych.

- Masz, czytaj - generał Wasilij Sokołowski, zastępca Żukowa, położył przed nim listę aresztowanych oficerów. - Ci ludzie zostali dzisiaj rano aresztowani przez Abakumowa. Czy ty co o tym wiesz? Mnie nawet nie raczyli poinformować.

Żuków poczerwieniał na twarzy. Zerwał się z fotela, podszedł do drzwi sekretariatu.

- Dyżurny, do mnie! - krzyknął.

- Wemiesz dwóch żołnierzy i pojedziesz do kwatery generała Abakumowa.

Powiesz, że ma przyjechać do mnie... - przerwał na moment - ...i przyjedziesz z nim, choćby miał przywieść jego cierwo'.

- Tak jest, towarzyszu marszałku'. - żołnierz odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Sokołowski patrzył na tę scenę ze zdumieniem. Dawno już nie widział tak wciekłego Żukowa. Zasalutował i oddalił się bez słowa.

icw łaskawi

m - powie-

bacz, muszę

luków chciał

;i, że narada

vne chodziło

), pełniących

irzeniknść do

sy. Jednakże

podjąć prze-

e sprawa jest

iszych wojsk.

zęsto kontak-

ty nich swoich

owem kartkę

przesłuchaniu

o możemy ich

iczył zebranie

ł miejscowego

ało aresztowa-

, położył przed

ssztowani przez

oinformować.

,zedł do drzwi

:a Abakumowa.

...i przyjedziesz

ruszył w stronę

L nie widział tak

- Towarzyszu generale, marszałek Żuków oczekuje was - żołnierz stanął w drzwiach pokoju Abakumowa. - A krótko mówiśc, mam rozkaz dowieć was.

Sami pójdziecie, po dobremu, czy mam wykonać rozkaz...?

Abakumow patrzył zdziwiony na zwalistego lejtnanta, który trzymał rękę na otwartej kaburze pistoletu. Jego mina mówiła wszystko: przy próbie odmowy wyjmie pistolet i zdzieli kolbš w głowę. Zarzucił bez słowa płaszcz i skierował się do wyjcia. Dwaj żołnierze, którzy stali za drzwiami, ruszyli za nimi pozostajśc jednak dwa kroki z tyłu.

- Na Łubiance tak się więniów prowadzi! - wybuchnšł Abakumow, ale idšcy z boku lejtnant nawet nie odwrócił głowy. Widzšc to, generał zdusił w sobie upokorzenie i wstyd i dał się bez oporu wepchnšć do łazika stojšcego na podwórzu.

Gdy wszedł do gabinetu Żukowa, opuciła go pewność, z jakš przybył do Berlina. Spotkanie ze starym frontowcem, bohaterem II wojny, oniemieliło go.

- Aresztowalicie szeciu moich oficerów - powiedział Żuków, nie podnoszśc głowy. - Zwolnicie ich natychmiast, czy mam was odesłać pod straż do Moskwy?

- Towarzyszu marszałku, aresztowalimy ludzi podejrzaných o współpracę z imperialistami, a ledztwo bez wštpienia wykaże...

- Natychmiast... czy chcecie pod straż do Moskwy? - warknšł Żuków. Podniósł

się z fotela za biurkiem i podszedł do Abakumowa. - Na froncie kazałbym was rozstrzelać. Zrozumiano!

Abakumow wiedział, że Żuków nie zwykł żartować i próba dalszego oporu może go drogo kosztować.

- Czy mogę zadzwonić? - ruszył w stronę biurka.

- Mówi Abakumow, z pułkownikiem Pawlickim - powiedział do słuchawki. -

Zwolnijcie aresztowanych oficerów. To mój rozkaz - dodał, słysząc zapewne, że Pawlicki jest wyrażnie zdziwiony nagłą zmianą decyzji.

Odłożył słuchawkę i obrócił się w stronę drzwi. Naciskając klamkę zatrzymał się na moment i spojrzał na Żukowa. Chciał powiedzieć: jeszcze się zobaczymy", ale napotykając twarde wzrok marszałka, przestraszył się, że jakkolwiek uwaga może mieć dla niego fatalne następstwa. Wyszedł szybko z gabinetu. Następnego dnia powrócił do Moskwy.

Beria szalał po wysłuchaniu raportu Abakumowa. Zbiegł po schodach swojego ministerstwa i kazał się wieść na Kreml. Tam wpadł do gabinetu Stalina

- Żuków przegonił Abakumowa! - powiedział Stalin, zanim Beria zdążył

otworzyć usta. - Widzisz, Ławrentiju, moi oficerowie to nie byle kto, a nad swoimi powiniene trochę popracować.

- Koba, on czuje się zbyt pewnie - mówił o Żukowie Beria.

- Nie, to my popełnilimy błąd. Nie doceniliśmy Żukowa, a poparcie najwyż-

szych dowódców, wyrażone na grudniowej naradzie, może być funta kłaków warte.

Stalin i Beria usiedli po obu stronach długiego prezydialnego stołu.

- Mogliby z tego się wycofać, w pewnych okolicznościach - kontynuował

Stalin. - I co wówczas mielibyśmy w rękę? Nic. Żuków udowodnił nam to z całą siłą.

- Znajdę dowody przeciwko niemu - burknął Beria. - Nie wymknie mi się z ręki.

- Posłuchaj, Ławrentiju. sprawa jest poważniejsza. Wczoraj rozmawiałem z moim Wasilijem - Stalin mówił o 24-letnim synu, generale majorze lotnictwa.

- Powiedział mi, że jakość naszego sprzętu lotniczego jest dużo gorsza od amerykańskiego czy brytyjskiego.

Stalin wstał i swoim zwyczajem zaczął krząć po pokoju.

- To dowiadczony lotnik - wtrcił Beńa. - W czasie wojny latał na samolotach dostarczanych przez sojuszników, wie. co mówi.

- No właśnie - kontynuował Stalin. - Jeżeli, mimo tak dużej wagi. jakś przykładamy do produkcji lotniczej, ciśgle powstają złe modele, to znaczy, że rozplecił się sabotaż. Wróg przeniknął i tam...

- W 1941 r. zebraliśmy dużo materiałów dowodowych w tej sprawie - przypomniał Beńa.

Na początku 1941 r. Główna Rada Wojenna zajęła się problemem budowy

nowych typów samolotów. Wtedy zabrał głos dowódca lotnictwa generał lejtnant Paweł Rygaczow: ..Awaryjność będzie większa, ponieważ zmuszacie nas do latania w latających trumnach" - powiedział.

Te słowa zaszokowały zebranych. Lotnictwo było uważane za oczko w głowie Stalina i uwaga dowódcy dotknęła go osobicie. Nie powinnicie tego mówić" - powiedział po dłuższej chwili Stalin.

Wkrótce Rygaczowa uwięziono. Do więzienia, aczkolwiek nieco później, trafiła również jego żona - pilotka Maria Nesterenko. Potem nastąpiła seria aresztowań, których ofiarami padli konstruktorzy lotniczy, dyrektorzy zakładów, dowódcy lotnictwa. W celach znaleli się: komisarz przemysłu zbrojeniowego Wannikow, dowódca wojsk obrony przeciwlotniczej generał Stem, dowódca lotnictwa Moskiewskiego Okręgu Wojskowego generał lejtnant Piotr Pumpur, były szef sztabu sił powietrznych generał lejtnant Fiodor Arżenuchin, konstruktor Jaków Taubin.

f Znamienne było to, że duży część aresztowanych stanowili Żydzi, Wskazywałoby to. że Stalin wyciśgał przyjazną dłoń w stronę Hitlera. Dokonywał czystki w lotnictwie i przemyśle zbrojeniowym - dwóch dziedzinach o podstawowym znaczeniu dla obronności państwa. Był to więc bardzo wyrany sygnał dla Hitlera, że Związek Radziecki nie ma żadnych planów agresywnych i liczy na dalszą przyjacielską współpracę z Niemcami. Ponadto usuwając Żydów, dawał Hitlerowi kolejny dowód dobrej woli.

Wybuch wojny raczej niweczył te plany i powinien spowodować uwolnienie niesłusznie aresztowanych. Jednakże okazali się potrzebni do tego, aby obarczyć ich winą za klęskę radzieckiego lotnictwa, które już pierwszego dnia walk straciło

1200 samolotów. Na przełomie czerwca i lipca nastąpiła nowa fala aresztowań.

Tym razem wybór padł na: szefa sztabu sił powietrznych - generała majora

Wotodina, dowódcę lotnictwa Kierunku Południowo-Zachodniego - generała

Ptuchina. dowódcę lotnictwa Frontu Dalekowschodniego - generała lejtnanta

am to z całoś

mi się z ršk.

^zmawiałem

'e lotnictwa.

> gorsza od

i samolotach

wagi, jakś

> znaczy, że

'ie - przypo-

ciem budowy

lerał lejtnant

acie nas do

ko w głowie

o mówić" -

5niej, trafiła

i aresztowań,

w, dowódcy
> Wannikow,
nictwa Mos-
zef sztabu sił
<ow Taubin.
skazywałoby
ywał czystki
odstawowym
ił dla Hitlera,
zy na dalsz
ywał Hitlerowi
ć uwolnienie
aby obarczyć
walk straciło
i aresztowań.
lerała majora
5 - generała
rała lejtnanta

Konstantina Gusiewa i wielu innych. Ukoronowaniem akcji było osadzenie
w areszcie byłego szefa Sztabu Generalnego, niefortunnego autora planów wojny
z Finlandiś, generała Kiryła Miereckowa. Jego bowiem ..wyznaczono" na
wojskowego przywódcę spisku. Politycznym przywódcę miał być brat Łazara
Kaganowicza członka Biura Politycznego i sekretarza Komitetu Centralnego -

Michaił (wpływowo brat na wieć o aresztowaniu powiedział: ..trzeba postępować zgodnie z prawem").

Było oczywiste, że Berta zgodnie ze wskazówkami Stalina przygotowuje wielki proces przeciwko zdrajcom, ale wydarzenia na froncie ostatecznie zmusiły dyktatora do zrezygnowania z tego planu i wielu oskarżonych, jako wybitnych specjalistów, wypuszczono na wolność, jednakże równie wielu, po cichu, bez procesu, zamordowano.

Tę sytuację Beria przypomniał Stalinowi. Miał wszystkie dokumenty ze ledztwa prowadzonego w czerwcu i lipcu 1941 r., dowody, których nie mógł wówczas wykorzystać.

- To słusna droga - powiedział Stalin, słuchajśc relacji Berii. - Złamiemy w ten sposób kark wrogom Zwišzku Radzieckiego.

Pierwszš ofiarš został 14 grudnia 1945 r. zastępcą dowódcy sił powietrznych marszałek lotnictwa Siergiej Chudiakow. W cišgu kilku następných miesięcy w więzieniu znalazło się całe dowództwo lotnictwa wojskowego, poczynajśc od marszałka lotnictwa Nowikowa.

Najważniejsi aresztowani przesłuchiwani byli osobicie przez Wiktora Abakumowa (marszałek Nowikow napisał w pamiętniku: Byłem u Abakumowa co najmniej siedem razy zarówno w dzień, jak i w nocy (...)) Metody przesłuchiwania stosowane przez Abakumowa: poniżanie, prowokacja, groby, doprowadzenie człowieka do pełnego rozstroju moralnego i fizycznego). Zwracali uwagę, że

komisarz interesował się nie sprawami lotnictwa, lecz chciał wiedzieć jak najwięcej o działalności marszałka Żukowa. Nowikow nie wytrzymał tortur i podpisał specjalnie przygotowane zeznanie, że Żuków skupił wokół siebie grupę niezadowolonych oficerów i generałów oraz pogardliwie wyrażał się o Naczelnym Dowódcy. Biorąc pod uwagę rangę człowieka składającego takie zeznania, już na ich podstawie można było oskarżyć Żukowa o organizowanie spisku, którego celem było obalenie władz Związku Radzieckiego i ustanowienie dyktatury wojskowej. Dodając do tego zeznania innych aresztowanych, którzy, torturowani, podawali przykłady współpracy Żukowa z imperialistami, łatwo już było wysunąć zarzut szpiegostwa", a za takie obwinienie bardzo wielu ludzi zapłaciło życiem.

Georgij Żuków

NIESPODZI1

AWANS MARSZAŁKA

Był marcowy wieczór 1946 r. Żuków powrócił do swojego mieszkania późno.

Wyraźnie zmęczony przygotowywał się do snu, gdy zadzwieczał telefon. Telefonował jego sekretarz.

- Towarzysz Stalin dzwonił przed kilkoma godzinami i nie zastałszy was.

powiedział, abycie zatelefonowali do niego.

Żuków odłożył słuchawkę. Od pewnego czasu z niepokojem przyjmował

telefony z Moskwy i z jeszcze większym niepokojem tam dzwonił. Wieści o seńi

aresztowań napawały go lękiem.

- Mówi marszałek Żuków, chcę rozmawiać ze Stalinem - powiedział, gdy tylko uzyskał pośczenie.

Po chwili odezwał się Stalin.

- Rząd Stanów Zjednoczonych odwołał z Niemiec Eisenhowera, pozostawiając na jego miejscu generała Claya. Rząd brytyjski odwołał Montgomery'ego. Czy nie powinnicie powrócić do Moskwy?

Żuków milczał przez chwilę. Ostatnie słowa Stalina nie były dla niego pytaniem, lecz poleceniem.

- Zgoda - nie mógł powiedzieć nic innego. - Jeli chodzi o mojego następcę, to proponuję wyznaczyć na dowódcę grupy wojsk oraz głównego komendanta radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech generała Sokołowskiego. On najlepiej ze wszystkich jest zaznajomiony z pracš Sojuszniczej Rady Kontroli i dobrze zna własne wojska.

- Dobrze. Zastanowimy się nad tym - odparł Stalin. - Proszę czekać na wskazówki.

Odpowied nadeszła po kilku dniach. Stalin zatelefonował pónym wieczorem.

- Biuro Polityczne zgodziło się na wyznaczenie na wasze miejsce Sokołowskiego. Po kolejnym posiedzeniu Sojuszniczej Rady Kontroli proszę wyjechać do Moskwy. I jeszcze jedna sprawa. Zdecydowaliśmy się znieć funkcję pierwszego zastępcy ludowego komisarza obrony, a na jego miejsce utworzyć stanowisko zastępcy do spraw ogólnych. Na to stanowisko zostanie wyznaczony Bułganin, szefem Sztabu

Generalnego mianowano Wasilewskiego. Na stanowisko dowódcy Marynarki Wojennej zamierzamy wyznaczyć Kuzniecowa. A jaką funkcję wy chlelibyście sprawować?

Stalin, wymieniając listę obsadzonych już najważniejszych stanowisk, nie pozostawił Żukowowi wielkiego wyboru.

- Będę pracował na każdym stanowisku, które Komitet Centralny uzna dla mnie za najodpowiedniejsze.

- Sądzę, że powinniście zająć się wojskami lądowymi. Uważam, że winny mieć własnego dowódcę. Nie sprzeciwicie się?

- Zgadzam się.

<ania pono.

:fon. Telefo-

-tawszy was.

przyjmował

Wieci o serii

iał, gdy tylko

ozostawiając

'ego. Czy nie

go pytaniem,

3 następcę, to

komendanta

, On najlepiej

i dobrze zna

cię czekać na

n wieczorem.

Aołowskiego.

do Moskwy.

'ego zastępcy

) zastępcy do

zefem Sztabu

/narki Wojen-

e sprawować?

isk, nie pozost-

ilny uzna dla

im, że winny

- Więc dobrze. Powróćcie do Moskwy i razem z Bułganinem i Wasilewskim

popracujecie nad funkcyjnymi obowiązkami i uprawnieniami kierowniczego

aparatu Ludowego Komisariatu Obrony.

- Tak jest, towarzyszu Stalin.

Żuków odłożył słuchawkę. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Tracił azyl, jakim dla niego był Berlin, gdzie mógł się czuć bezpiecznie. Powrót do Moskwy wydawał się zejciem do ciemnego lochu, gdzie czyhało tysiąc niebezpieczeństw. Wiedział o fali aresztowań, które co prawda objęły głównie dowództwo lotnictwa, ale nadchodziły wieci o aresztowaniach najwyższych oficerów innych rodzajów broni. Czy mogło to również jemu grozić? Po co przyjechał Abakumow?

Stalin, cišgajšc go do Moskwy, ofiarowywał wysokie stanowisko, ale na jak długo? Najwidoczniej chciał go mieć przy sobie, to znaczy pod bezporedniš kontrolš.

W kwietniu 1946 r. wraz z rodzinš był juŹ w Moskwie.

Mijały miesišce i nic złego się nie działo. AŹ do czerwcowego wieczoru.

Żuków siedział na leŹaku przed wejciem do swojego domu letniskowego w Sosnowce pod Moskwš. Wieczór był upalny i duszny, więc zdjšł koszulę i z niechęciš mylał, Źe w poniedziałek trzeba wrócić do pracy w miecie, gdzie temperatura szczególnie dawała się we znaki.

- Chyba kto jedzie do nas - na ganku stanęła Źona i przysłoniwszy oczy rękš przed promieniami zachodzšcego słońca, wpatrywała się w drogę biegnšcš z lasu. Źuków spojrział w tamtš stronę. W oddali widać było szybko jadšcy samochód. Podniósł się z leŹaka i przez chwilę się zastanawiał, czy nie poprosić Źony, aby przyniosła koszulę. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Być moŹe zmierzali do niego wysoko postawieni gocie, a nie zdšŹyłby się ogarnšć, zanim dostrzegš go z okna samochodu. Ruszył więc szybkim krokiem do sieni,

słyszęc jeszcze utyskiwania żony: przecięż jeste u siebie.

Założył koszulę i przez okno spoglądał, kogo to los im przywiódł. Z samochodu wysiedli trzej osobnicy, których wygląsd mówił wszystko. Żuków przez chwilę się zastanawiał, czy nie wyjć do nich, ale zdecydował się pozostać w saloniku myliwskim. Po chwili drzwi się otworzyły i dwaj mężczyźni weszli do pokoju.

- Marszałek Żuków? - zapytał ten, który stał najbliżej. Żuków nie odpowiedział, co nie przeszkodziło przybyszom. Rozejrzeli się szybko po pomieszczeniu.

- Jestemy z NKWD - wyciśgnął z kieszeni legitymację w ciemnoczerwonej oprawie. - Mamy nakaz przeprowadzenia rewizji - mówił, nie wyciśgajśc ręk z kieszeni.

- Tak, synu. Masz nakaz. To pokaż go. Ciekawym, kto podpisał - wycedził przez zęby Żuków.

- Pokażemy we właściwym czasie - do rozmowy włączył się drugi, prawdopodobnie wyższy stopniem. - Zaczynamy, Bona.

Żuków powoli podszedł do ciany i zdjśł sztucer wiszcy pod olbrzymimi szablami dzika, którego upolował zeszłego lata. Przeładował broń i podniósł do góry. Ze sposobu, w jaki to zrobił, wynikało, że następnš czynnościš będzie naciñęcie spustu. Mężczyźni widzśc, że nie ma żartów, gwałtownie rzucili się do drzwi. Słychać było szybkie kroki i po chwili zobaczył ich przez okno, jak

zamieniali kilka słów z trzecim mężczyzną, który pozostał przy samochodzie, po czym wsiedli do auta i szybko odjechali.

- Kto to był. Gieorgiju? - żona zajrzała do pokoju. Na jej twarzy widać było strach.

- Nic. nic. nie martw się. Tacy ludzie... - Żuków odwrócił się do okna, aby ukryć zdenerwowanie.

Nie mógł się zorientować, czy była to prowokacja, czy też próba zastraszenia go. choć bez wstąpienia za wizytę trzech funkcjonariuszy stał Abakumow.

- Niech wiesz, że nie pójdzie im łatwo - mruknął do siebie, ale zdawał sobie sprawę, że nic nie może zrobić. Wielki dowódca, rzucający do boju całe armie, wielbiony przez żołnierzy, witany kwiatami przez mieszkańców miast, z których jego wojska wypierały faszystów, decydujący o życiu i śmierci setek żołnierzy, stał teraz przy oknie dachy wiedząc, że może tylko biernie oczekiwać na to, co przyniesie mu los...

Głównodowodzący wojskami sojuszniczymi. Drugi z prawej Żuków, Berlin, 1945

Samochód punktualnie o godzinie 9.00 minął Bramę Spasską. Stalin wysiadł, trzymając na ręku stary wojskowy tren. Wszedł po schodach prowadzących do wejścia, minął salutującego żołnierza i windę wjechał na drugie piętro.

- Towarzysze już czekają - poinformował Proskrebyszew.

- Stalin skinął głową i skierował się do sali obrad. W dalszym ciągu trzymał pod ręką tecz. Kiedy otworzył drzwi, oczy zebranych spoczęły na jego kurtce.

Mówiło się, że miał ją przy sobie lub na sobie, gdy był w wyjątkowo złym humorze. Odłożył teczkę na krzesło stojące przy drzwiach i skierował się do głównego miejsca w prezydium. Na sali byli marszałkowie, generałowie oraz członkowie Biura Politycznego: Beria. Mołotow. Malenkow. Kaganowicz.

Stalin od razu przystąpił do rzeczy. Bardzo ostro, nie przebierając w słowach.

zaatakował Żukowa. Przytoczył argumenty wymyślone przez Berię. a przez

ledczych „wtłoczone” w usta torturowanych ludzi: Żuków wypowiadał się

przeciwko rżsdowi, pomniejszał znaczenie Naczelnego Dowództwa i podważał

jego autorytet, a w oficjalnych wypowiedziach, zwłaszcza dla prasy zagranicznej.

wyolbrzymiał swoje znaczenie w zwycięstwie nad faszyzmem. Stalin usiadł.

Teraz swoją rolę miał odegrać generał Siergiej Sztienienko.

Żuków widząc, jak zbiera papiery i idzie na mównicę, wiedział, że może

spodziewać się najgorszego. Sztienienko był człowiekiem Berii, jemu za-

wdzięczał awans na szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego. Było

oczywiste, że Beria. chcąc wzmocnić wymowę oskarżenia, oddał to w ręce

wojskowego, ale całkowicie zależnego od siebie.

Tak było w istocie: Sztienienko odczytał materiały zebrane przez NKWD.

opierające się na zeznaniach marszałka A. Nowikowa. Zeznaniach, które uznano

za dowód na to, że Żuków skupił wokół siebie grupę niezadowolonych oficerów.

gdyż przygotowywał zamach stanu.

Dowody zostały przedstawione. Teraz, zgodnie ze scenariuszem. Stalin oczekiwiał, że usłyszy powszechne głosy potępienia, że wszyscy zebrani marszałkowie i generałowie uznają Żukowa za niegodnego zasiadania wśród nich.

a wówczas Stalin, pod presją ogólnej opinii, zmuszony będzie przekazać sprawę aparatowi ciania i sprawiedliwości ludowej.

Początkowo wszystko układało się zgodnie z jego przewidywaniami. Beria, Mołotow, Kaganowicz - członkowie Biura Politycznego - potępił Żukowa.

Brakowało jednak głosów wojskowych, którzy wyrażenie oświadczyli się z oskarżeniem. Pierwszy z nich zgłosił się generał Fiodor Golikow. Jednakże jego argumenty nie miały żadnej siły, gdyż wiadano, że nienawidzi Żukowa. który w 1943 r. pozbawił go (całkowicie słusznie) dowództwa Frontu Briańskiego.

Potrzebny był kto mający większy autorytet. Wybór padł na Koniewa. W 1941 r. interwencja Żukowa uratowała mu życie.

Zaczął tak, jak Stalin sobie życzył: skrytykował Żukowa za oschłość w stosun-

kach międzyludzkich, samolubność, nietolerancyjność, ale na tym krytyka się

skończyła. W pewnym momencie Koniew zaczął charakteryzować Żukowa jako

wybitnego dowódcę, uczciwego człowieka, oddanego partii i ojczyźnie. Potem

wstawali inni: marszałek Wasilij Sokołowski, marszałek Aleksandr Wasilewski,

szeft Sztabu Generalnego, marszałek Konstanty Rokossowski, marszałek wojsk

pancernych Paweł Rybałko, który pod rozkazami Żukowa zdobywał Berlin.

Żaden z nich nie odważył się oskarżać Żukowa. Rybałko posunął się dalej.

- Towarzyszu Stalin, te zarzuty oparte są na zeznaniach wymuszonych na

więniach sił - powiedział, jakby chciał uzmysłwić dyktatorowi, że za jego plecami dzieje się niesprawiliwoć.

Stalin usiłował interweniować, wtręcać uwagi do wypowiedzi wojskowych, ale widać było, że traci pewność siebie. Nie znalazł poparcia, którego oczekiwał i którego był pewien, dlatego stracił siłę. Prawdopodobnie planował, że tuż po naradzie Żuków zostanie aresztowany. Potem, torturowany, wskazałby innych „uczestników spisku”. Odbyłby się proces marszałka oskarżonego o szpiegostwo, współpracę z imperialistami i planowanie spisku mającego na celu obalenie legalnych władz i ustanowienie dyktatury wojskowej. Ten scenariusz załamał się, ponieważ żaden z najwyższych oficerów nie zgodził się brać udziału w tym przedstawieniu, gdyż wiedzieli, że torturowany Żuków może podać ich nazwiska jako współników. Nie porozumiewając się między sobą, w obliczu zagrożenia zdecydowali się stanąć w obronie Żukowa. Czuli jeszcze w sobie wojenną siłę i nie ugięli się przed Stalinem. Ten, wiedząc, że przegrał tę rundę, powiedział do Żukowa:

- Przyjdzie wam na pewien czas opuścić Moskwę.

9 czerwca marszałek został wysłany do Odessy na stanowisko dowódcy tamtejszego okręgu wojskowego. Mianowanie bohatera Wojny Ojczyźnianej dowódcą mało znaczącego okręgu było wyranym aktem niełaski Stalina.

Jednakże Żuków ocalał życie. Na jak długo? Generał Abakumow nie zapomniał upokorzenia, które spotkało go w Berlinie.

Żuków w Odessie, 1946

SPRAWA ŻUKOWI

IMPERIUM

GENERAŁA ABAKUMOWA

- Aresztant Kriukow - strażnik otworzył drzwi celi.

Wysoki, szpakowaty mężczyzna, który stał na baczność przy pryczy, ruszył w jego stronę. Wyszedł na korytarz i obrócił się twarzą do ciany, jak nakazywał regulamin. Począł, aż sierżant zamknie drzwi i posłusznie poszedł za nim. Przy końcu korytarza dołączyło do nich dwóch żołnierzy.

- Zwykła procedura - pomyślał aresztowany. Za każdym razem, gdy wzywano go na górę, tak sobie powtarzał i za każdym razem się bał.

Wspięli się schodami na pierwsze piętro i ruszyli długim korytarzem wyłożonym miękkim chodnikiem. Nie było słychać kroków. Kriukow widział przed sobą dwóch żołnierzy idących pewnie i szybko. Sierżant szedł z tyłu. Więniowie mówili, że w tym korytarzu wykonywano wyroki śmierci. Tak po prostu: sierżant idący z tyłu wyciągał w pewnym momencie pistolet i strzelał w tył głowy. Może to była nieprawda. Może chodziło tylko o to, by dodatkowo dręczyć ludzi prowadzonych na przesłuchanie. Korytarz miał może 40, może 50 metrów długości, ale przejście tego odcinka wydawało się Kriukowowi najgorszą torturą. Chciałby zobaczyć, kiedy sierżant odepnie kaburę, wyjmie pistolet i przyłoży mu do tyłu głowy. Jednakże nie wolno się było odwracać, więc nasłuchiwał każdego szmeru, który mógłby być odgłosem odpinanej kabury czy szelestem ręki trzęcej

o mundur. Czekał na ból.

Wreszcie doszli do wysokich, ciemnobrązowych drzwi, obitych skórą od wewnątrz. Kriukow spodziewał się zastać tam Lichaczowa, który go zwykle przesłuchiwał, ale tym razem zobaczył innego człowieka. Znał go. Był to generał Abakumow. Siedział za biurkiem, zajęty przeglądaniem papierów. Trwało to kilka minut. Kriukow rozejrzył się po pokoju, który dobrze znał. Ale dopiero teraz uzmysłowił sobie, dlaczego na cianie w pokoju, w którym prowadzono przesłuchania, wisiało duże lustro w złotych ramach. Patrzył na swoje odbicie i wydawało mu się, że widzi obcego człowieka: starca z siwymi włosami, ziemistą cerą, podkrążonymi oczami, krwiś zakrzepłą przy uchu. A więc powiesili je po to, żeby badany mógł widzieć, jak się zmienia, jak opuszczają go siły. To był dodatkowy chwyt, taki jak przejście korytarzem wyłożonym miękkim dywanem. Wszystko po to, aby złamać podejrzanego.

- No, siadajcie - powiedział wreszcie Abakumow. Wstał zza biurka i podszedł bliżej.

- Oj, bili - stwierdził, przyglądając się ranom na twarzy i głowie.

- Bili - cicho powiedział Kriukow. - Jeden siadał na nogach, drugi na ramionach i grzmocili gumową pałką. Złamali mi nos, wybili zęby. O, popatrzcie - otworzył usta, pokazując bezzębne dziąsła, jeszcze nie zagojone.

- To dranie - z oburzeniem owiadczył Abakumow - ukarzę swołocz.

Kriukow gotów już był mu uwierzyć, gdyby nie ledwo dostrzegalny umie-

szek, jaki przemknął przez jego twarz.

- Ale, to nie takie proste, generale Kriukow - Abakumow wyciągnął paczkę papierosów w jego stronę. - Ukarzę jednych drani, przyjdź drudzy. I wiecie, co z wami zrobię? Będę jeszcze bardziej rozżłoszczony, że przez was ukarano kolegów. Przecież wy macie 52 lata. Piękna żona. Chcecie, żeby Lidia Ruslanowa też zęby straciła? Przecież to nie tylko piękna kobieta, ale piosenkarka. Piewać nie będzie mogła.

Abakumow wyszedł z teczki na biurku zdjęcie żony Kriukowa i położył tak, aby aresztowany mógł je zobaczyć.

- Siedzi w celi niedaleko was. oczywiście w żeńskim oddziale. - Abakumow podszedł do okna i udął, że zapatrzył się na co na dole. To był następny chwyt. Pozwolił Kriukowowi spokojnie popatrzeć na zdjęcie żony. - Piękna kobieta - powiedział, nie odwracając się. - Pomyłcie, generale: nos jej złamię, zęby wybiję. Okrutników jest dużo. Kobiety nie uszanuję...

- Czego ode mnie chcecie?

- A widzicie, obywatelu generale, zaczynamy rozmawiać. No to powiedzcie, w jaki sposób w waszym mieszkaniu znalazły się 123 obrazy. Wszystkie tu są opisane: na przykład dwa obrazy Rublowa, jeden Chagalla, jeden Cranacha i tak dalej i tak dalej. To niezły majątek. A 700 tysięcy rubli w gotówce. Oj, to dużo. Skąd to macie?

Kriukow nie odzywał się.

- Widzicie, przesłuchiwali was, nic nie powiedzieliście. Was już nic gorszego spotkać nie może. ale żony szkoda. Dostaniecie wyrok, czy chcecie, czy nie, ale po co cierpieć i kazać cierpieć kobiecie. Mam w ręku wystarczająco dużo dowodów przeciwko wam i waszej żonie, żeby was wsadzić na długie lata. Możecie spowodować złagodzenie wyroku, jeśli powiecie wszystko o waszych współnikach. Skąd to macie?

Kriukow nie odpowiadał. Nagle rozległ się wstych i na jego bark spadła gumowa pałka, która nie wiadomo skąd znalazła się w ręku Abakumowa. Poczł paraliżujący ból i przewrócił się z krzesłem na podłogę. Usiłował się podnieć, ale Abakumow nastąpił mu butem na dłoń. Ból paraliżował przedramię. Człł, że chyba uderzenie złamało mu obojczyk

- Skąd macie? - powtarzał Abakumow. - Mówcie, bo stracę cierpliwość.

Znowu uderzył, celując w to samo miejsce. Kriukow zawył z bólu. Dwa następne ciosy spadły na twarz i brodę. Poczłł, jak krew wypływa mu z ust.

- Z Niemiec... - wyjškał.

- No, widzicie. Zaczynamy wreszcie rozmawiać. - Podeszedł do telefonu i zażądał, żeby przyszedł protokolant. Ten stał już prawdopodobnie przygotowany za drzwiami, gdyż natychmiast wszedł, usiadł przy stoliku obok drzwi i zaczął notować.

Abakumow był wyraźnie zadowolony.

- Mówcie i nie wstydcie się. U nas każdy zaczyna mówić po paru dniach -

PRZYSIĘGA, ROK 1947

- jego głos stał się znowu łagodny. - W jaki sposób dostalicie w Niemczech 123 obrazy mistrzów? Obywatele wam dali w podzięcie za obalenie Hitlera?

- Od generała Tielegina...

- O, to ciekawe! - Abakumow był wyranie zadowolony. - Kiedy dostalicie?

- Moja żona występowała w Niemczech dla naszych wojsk. To znaczy, piewała patriotyczne pieśni. Wszystkim to się bardzo podobało. Marszałek Żuków nawet dał jej order. Często w naszym towarzystwie przebywał generał Tielegin. Pewnego dnia, był już mocno pijany, zaproponował, żeby moja żona przewiozła dużą przesyłkę do Moskwy. Powiedział, że wozi ze sobą skrzynie z ubraniami i rekwizytami, to ukryje w nich bez trudu paczkę, a takiej gwiazdy nikt nie będzie sprawdzał. Tym bardziej że z nią podróżuje mąż generała.

Zgodziliśmy się.

- Co było w pakunkach?

- Biżuteria i obrazy

- Ile razy bylicie w Niemczech na zaproszenie marszałka Żukowa?

- Trzy razy.

- Czy Tielegin mówił, że pakunki, jakie przewozicie, są przeznaczone dla

Żukowa, lub sš własności Żukowa?

- Nie, nic takiego nie wspominał.

- Chyba le zrozumieliście moje pytanie - warknął Abakumow. a jednocześnie dał znak protokolantowi, żeby nie notował ostatniej odpowiedzi Kriukowa.

- Towarzyszu ledczy, gdyby Żuków chciał przewieć co do Moskwy, nie musiałby korzystać z mojego porednictwa. Z Berlina wysyłano pocišgi i wy o tym dobrze wiecie.

- To były pocišgi z dobrami wywożonymi z niemieckiej strefy okupacyjnej jako odszkodowania wojenne dla naszego zniszczonego kraju.

- Tielegin wysłał pocišg złożony z 25 wagonów. Nie było tam maszyn, ale nie wiem, do kogo należały dobra przewożone w tych wagonach. Tielegin twierdził, że sš to dary dla Tatarska.

- Powróćcie teraz do celi, a potem podpiszecie protokół. - Abakumow był wyranie zadowolony. Nie musiał już o nic więcej pytać. Miał w ręku dowody przeciwko człowiekowi, którego nienawidził całym sercem. Miał również drugi ład, prowadzcy do bliskiego współpracownika Żukowa.

Tielegin, który powrócił razem z marszałkiem Żukowem do Moskwy, został na podstawie zeznań Kriukowa zwolniony z wojska i 24 stycznia 1948 r. aresztowany. ledtwo w jego sprawie cišnęło się do wrzenia 1951 r., gdy został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. W grypsie przemyconym z łagru pisał:

ledczy i kierownictwo MGB [Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego

- BW] żądali ode mnie zeznań o spisku", którym jakoby kierowali Żuków,

Sterów [dawny zastępca Żukowa, b. wiceminister spraw wewnętrznych - BW]

i ja, dajęc do zrozumienia, że ich także aresztowano. (...) 26 lutego 1948 r.

zostałem pospiesznie przerzucony z wewnętrznego więzienia NKWD do lefortows-

kiego i tego dnia byłem potwornie, ze zwierzęcym okrucieństwem, dwukrotnie

pobity gumowymi pałkami przez ledczych Sokołowa i Samarina. Katusze te

trwały codziennie do 4 marca 1948 r. Wyrywano mi kawałki ciała (wiadczš

o tym lady, które noszę). (...) Jedynym moim pragnieniem i błaganiem wobec

katów była mysi o tym, by mnie najszybciej zabili, kończęc w ten sposób moje

męki. Traciłem wiadomoć, nie mogłem dłużej wytrzymać tortur. Katujęc mnie,

oprawcy siadali mi na głowie i nogach, bili do nieprzytomności, a gdy traciłem

przytomnoć, oblewali wodš i bili znowu. Potem za nogi wlekli po kamiennej

podłodze do karceru, tłukęc mojš głowš o cianę. Nie pozwalali mi leżeć, siedzieć

nie mogłem. W cišgu pół roku byłem w stanie jedynie klęczeć przy cianie,

opierajęc o niš głowę. Morzyli mnie głodem, dręczyli pragnieniem, stale nie

dawali spać - gdy tylko zasypiałem, dręczyiele zaczynali wszystko od poczštku.

Zapomniałem nawet o tym, że mam rodzinę, zapomniałem imion żony i dzieci. (...)

ledztwo celowo wypaczyło i zniekształciło sens moich zeznań, by wyszło z nich

oskarżenie osób, którymi interesowało się MGB. (...) Dopiero we wrześniu 1951

r. dano mi do podpisania protokół potwierdzajęc część oskarżeń (w szczególności

dowcipy, jakoby opowiadane w grupie: Żuków, Sierow, Tielegin, wymiewajęc

wodza narodów Stalina)*.

Żuków wiedział, że pętla zaciska się. Każdego ranka gdy wychodził do pracy. miał przy sobie niewielką walizkę. W niej była czysta bielizna i przybory toaletowe. Obawiał się, że w każdej chwili mogł zabrać go do więzienia. Serce nie wytrzymało stałego napięcia. Na początku 1948 r. zachorował na zawał serca. Jednakże aresztowanie nie następowało. Do dzisiaj nie wyjaśniono, dlaczego Stalin nie odważył się zamordować marszałka. Może przesłodziło o tym pamiętne zebranie, gdy najwyżsi oficerowie nie poparli oskarżeń. Może oczekiwał na zebranie dowodów tak pewnych, że nie musiałyby oglądać się na poparcie wojska. Bez wątpienia wiemy Beria informował na bieżąco Stalina o postępach w ledztwie w sprawie Żukowa i z informacji tych wynikało, że zebranie miażdżących dowodów jest sprawą miesięcy. Stalin czekał, ale sytuacja na wiecie uległa gwałtownej zmianie. 26 czerwca 1950 r. w Korei wybuchła wojna, w którą bezprecedensowo zaangażowały się Stany Zjednoczone (w ramach ONZ) oraz Chiny. Związek Radziecki obserwował wydarzenia z boku, ale było oczywiste, że udzielił pełnego poparcia finansowego i materialowego Korei Północnej. Obydwa wielkie mocarstwa coraz bardziej zbliżały się do granicy bezprecedensowego konfliktu. Wystarczyła tylko jedna decyzja Stalina o wysłaniu radzieckich żołnierzy do Korei lub zgoda prezydenta Trumana na zrealizowanie projektu generała Douglasa MacArthura, który zalecał zrzuć bomb atomowych na Chiny, a wybuchłaby trzecia wojna światowa. Stalin zdawał sobie z tego sprawę i nie chciał ponownie znaleźć się w sytuacji, w której zabrakłoby mu najlepszych dowódców. Stary marszałek, który swoją wartość wykazał w najbardziej przełomowych momentach II wojny, stał się potrzebny.

Powoli nazwisko Żukowa znowu zaczęło się pojawiać: początkowo w plotkach

i nie sprawdzonych wiadomościach (na przykład o spotkaniu z Mao Zedongiem

* Cytowane za: Paweł Wieczorkiewicz. Stalin i generałowie"- maszynopis.

i Kim-Ir Senem). W 1951 r. nazwisko marszałka znalazło się w radzieckich gazetach w związku z wizytą w Polsce. To zapowiadało szybki powrót do łask.

W listopadzie 1952 r. w czasie defilady na placu Czerwonym marszałek Żuków stanął na trybunie w bezpośrednim sąsiedztwie Stalina. Był zastępcą ministra obrony ZSRR.

Zastępca ministra obrony ZSRR, Żuków

9 marca 1953 r. wielokilometrowa kolejka krok po kroku posuwała się w stronę domu, gdzie wystawiono trumnę ze zwłokami Józefa Stalina. Ludzie przechodzili w milczeniu, połykając łzy. Jeszcze wierzyli, że odchodzi od nich wielki wódz, człowiek, który budował potęgę powojennego państwa i prowadził naród do dobrobytu, jakiego na Zachodzie klasa robotnicza zaznać nie mogła.

W pewnym momencie na schodach prowadzących do sali, gdzie spoczywały zwłoki, pojawiła się grupa wyższych oficerów. Obok starego druha Stalina, Siemiona Budionnego, szedł Żuków. Razem podeszli do katafalku i przejęli honorową wartę. Na twarzy Żukowa nie było widać żadnego uczucia. Jak żołnierz na warcie, stał przy katafalku człowieka, który chciał go zabić. Nie mógł jeszcze czuć się pewnie. Stalin odszedł, ale pozostał Ławrentij Beria, osobisty wróg Żukowa, który robił wszystko, aby przejść władzę.

Trzy miesiące później Żuków wszedł do sali na Kremlu, gdzie obradowało

prezydium Komitetu Centralnego. Wyciśgnął pistolet z kabury i powiedział do

Berii: „Ręce do góry!”

Cztery medale Złote g"m/dv" Bohatera Zwiśzku Radzieckiego, otrzymane przez Żukowa w latach 1939, 1944, 1945, 1956

Wydawnictwo HAONUM polew

David Remnick

GROBOWIEC LENINA

Nie sposób wymienić nawet jednej książki o ostatnich lotach komunizmu w Zwiśzku Radzieckim, która okazałaby się lepsza od tej... Wspaniała, pobudzająca do mylenia, absorbująca.

Kirkus Reviews"

Najlepsza książka roku 1994, wybrana przez Time", i jedna z dziewięciu najlepszych w rankingu The New York Times".

Autor zdobył za nią

Nagrodę Pulitiera w 1994 roku.

David Remnick

ZMARTWYCHWSTANIE

Remnick błyskotliwie wprowadza czytelnika w chaos i napięcia społeczne po odejciu Gorbaczowa w 1991 roku. To najlepsza książka, jaka powstała o postkomunistycznej Rosji.

Publishers Weekly"

Następny tom, przedstawiający ciąg dalszy wydarzeń po rozpadzie imperium radzieckiego.

Książka ta ukazała się w Stanach Zjednoczonych w 1997 roku.